Andrzej Kijowski
Notes z lat 1955 - 1985
całość

Andrzej Kijowski
Notes z lat 1955 - 1985
całość

W pociągu do Bielska, 12.I.1976.

Brzydota, bełkot, brud, i nikogo, z kim można porozumieć się co do niskości, na jakiej znaleźliśmy się w czasie tej podróży; pragnienie podniesienia się, pragnienie dosłowne, fizycznie odczuwalne, czystości, wzniosłości, doniosłości. Jest

coraz gorzej, i nie ma właściwie innego powodu, jak ten, że ludziom, którzy z natury są skłonni wybierać raczej niskość, niż wzniosłość, ukazano ich raczej nisko. Prawie pełzają.

Bajka o łagodnym królu, który objął swoje królestwo po szalonym fanatyku; do czego doprowadził swoje królestwo zwyczajną tolerancją.

Tzn. nie zupełną: nie pozwalał na wzniosłość.

Nie, to nie o to chodzi. Nie wiem o co chodzi.

Kultura rzemieślnicza: droga do arcydzieła; kultura

przemysłowa - droga od modelu do serii - a zatem kultura w założeniu niedoskonała, niedoskonałość prawo serii przyjmująca za zasadę.

Cieszyn, 13.1.

Niewysłowione, nieopisane jest plugastwo, przez które przebrnąłem, aby dostać się do tego miasta, i w którym pławię się nadal. Nigdy w takim stopniu jak wczoraj nie uderzyła mnie okropność przemysłu. Może dlatego, że pociąg jechał w ciemnościach, które rozjaśniały się

tylko po to, aby w upiornym świetle siwych jarzeniowych lamp ukazać rury, kotły, pochylnie, hale wypełnione maszynami, albo place zawalone ruchomym albo nieruchomym żelastwem. Na dodatek w przedziale wraz ze mną znajdowało się trzech dżentelmenów jadących na jakieś budowania do Czechosłowacji. Przez całą drogę gawędzili swobodnie o uchwytach, zaczepach, obejmach, pierścieniach, wygniotach, o zlewaniu, zgrzewaniu, tak jak my sobie gawędzimy o kinie. Wszystko to zresztą osobliwie

łączyło się z biurokracją i skomplikowanymi manewrami personalnymi. Opowiadali sobie dzieje, jakichś okólników, jakichś atestacji, jak my opowiadamy sobie o książkach, i rzucali nazwiskami mówiącymi im wiele, i tasując je, próbując się nawzajem, zawierali jakieś sojusze, sondowali opinie etc. Młody człowiek w kącie przedziału czytał z zajęciem książkę ilustrowaną wykresami i przekrojami, a więc przygotowywał się już do takiego samego idiotyzmu jaki uprawiali ci trzej.

Do Bielska (370 km) jechałem 6,5 godziny, z Bielska do Cieszyna (39 km) ponad 1,5 lokalnym piętrowym pociągiem. Dostałem pokój na II piętrze bez łazienki, był silny wiatr, łomotały wszystkie okna i drzwi, oraz wywietrznik. W nocy zdawało mi się, że ktoś próbuje dostać się do mojego pokoju, ale nie może trafić kluczem do zamka. Myśl nie była taka głupia, ponieważ przed moimi drzwiami spał w fotelu pijany. Co pewien czas budził się i rozbierał; zostawiłem go w spodniach ściągniętych do połowy w ciepłych gaciach.

Słuchałem najpierw jakiegoś Kwartetu Brahmsa, grał Artur Rubinstein. Potem czytałem nadal historię Stanów Zjednoczonych Williama Millera. Nie jest to dobra książka, ale czegoś się dowiem. Nie zdawałem sobie np sprawę, że Anglia XVIII wieku była - jak twierdził Miller - najwolniejszym krajem na świecie. Kryzys nastąpił w momencie największej potęgi; wyczerpała ją wojna sukcesyjna.

*

Co prawda (wracając do moich inżynierów), teraz w kawiarni

hotelu pod Jeleniem, gdzie siedzę, mam za plecami gromadę śląskich muzyków, a nawet pedagogów muzycznych, którzy o kompozycjach filmowych, muzyce radiowej rozmawiają bardzo podobnie, "10 minut bębna - wiesz ile to leci na ZAIKS?" ...

Jeden z nich pisze operę Porno, opera na jednego śpiewaka - Dlaczego porno? - pyta drugi. - No bo o pieprzeniu. - To nie porno. - Puszczą, bo Różewicz pisze tekst. Różewiczowi wszystko puszczą.

Obory, 23.1.

Myśl, czy też cień myśli:

zasadnicza, jakościowa różnica pomiędzy stosunkiem człowieka do bytów psychicznych i do bytów pozapsychicznych. W stosunku do bytów psychicznych człowiek jest ograniczony i zdeterminowany własną psychologią. Przyjmuje zawsze postawę obronną, albo agresywną; przypisuje innym bytom psychicznym swoją własną psyche, poza którą nie ma wyjścia. Człowiek nie może sobie wyobrazić innego życia jak tylko psychiczne, to zaś wyobraża na

obraz i podobieństwo swoje. Ten sam związek przypisuje stosunkowi między Bogiem a stworzeniem. Człowiek manifestuje swoją wolność tylko w stosunku do bytów niepsychicznych, tj. do materii martwej, oraz w stosunku do własnych struktur oddzielonych od życia psychicznego; np. matematyka, język.

Obory, 25.1.

Nie ma w praktycznym życiu rzeczy trudniejszej jak kontynuacja. Wyrzec się myśli o

tym, że można w jakimkolwiek wybranym momencie odtworzyć początek i w ceremonialnej formie powtórzyć go, aby Życiu nadać nowy bieg, oprzeć się tej myśli, a przywiązać się do trwania, do czynienia nieustannego, do utwierdzania się w istnieniu sposobami normalnymi przez tę masę przypadków, jaka składa się na los, to znaczy zrozumieć, że w życiu chodzi o coś więcej niż o poczucie własnej racji, i że istnienie poszczególne jest podporządkowane. Codzienna cierpliwa pilność to podporządkowanie, to nieustanne

uznanie tajemnicy, to najwznioślejsze nabożeństwo, jakie może odprawić smutny świadomy owej tajemnicy człowiek. Właśnie liturgia - osobista i zbiorowa - to próba osłody. To rozrywki duszy udręczonej trwaniem.

Zbadaj te liturgie na sobie samym.

Obory, 26.1.

Zbudziłem się około piątej rano i po krótkiej męce wstałem. Przygotowałem sobie filiżankę kawy, poczym, usiadłszy, wziąłem

się do czytania "Rozprawy o metodzie", którą tu sobie przywiozłem w związku z "Panem Cogito" (przyszło mi do głowy, że jest to transpozycja poetycka "Rozprawy"). Zachwycony pierwszym rozdziałem napisałem fragmencik, dwie strony bardzo czystego rękopisu pt. "Co wiem". Spodobało mi się to, zaczem odłożywszy pisanie, starałem się czytać dalej. Tu jednak spotkał mnie zawód. Najpierw zaczął mi przeszkadzać zły przekład (Wandy Wojciechowskiej), a potem myśl Kartezjusza wydała mi się mierna, pełna przechwałek, a na dodatek

wcale nie tak czysto przeprowadzona, jak się zwykło sądzić. Te jego "oczywistości", są po prostu dogmatami wieku, a "metoda", chwytem stylistycznym bardziej niż rzeczywistą metodą myślenia. Mniejsza. Tak mi czas zeszedł do ósmej, kiedy wziąłem się do porannych obrzędów. Wyszedłem nawet na chwilę, aby z pałacu zadzwonić do Kazi. Powróciwszy, poszedłem do sauny. Położyłem się z książką Custine'a, i po krótkiej lekturze, oraz dość długo trwającej męce, zasnąłem. Zbudziłem się o 11. Przepisałem owe 2 strony

napisane rano. Wyszło 1,5 strony. Teraz notuję to, co zrobiłem. Dla pamięci i nauki; a kiedy skończę wezmę się do przepisywania moich amerykańskich szkiców.

Łatwość, jaką sprawiła mi poranna lektura, a następnie lekkość z jaką napisałem wspomniany tekst, pouczały mnie, że z całą pewnością taki właśnie powinien być mój tryb życia i pracy przez resztę lat, jakie mi pozostały do dyspozycji. Resztę dnia jeśli nie mam żadnej rzeczy do zrobienia, powinienem poświęcić na lektury związane z tekstem pisanym rankami; przed

zaśnięciem winienem poprawić tekst rano napisany, i przepisany, i przygotować sobie dyspozycję na następny ranek. Dyspozycja winna dotyczyć porannego pisania połączonego z pisaniem, ponieważ jak wskazuje dzisiejsze doświadczenie, te dwa procesy ściśle ze sobą łączą się - takie już mam usposobienie.

Dodam, że w napisanym dziś tekście kryją się poważne nadzieje, i nader, nader, powabne plany. Napisać taką właśnie naiwną spowiedź filozoficzną - mój Boże! - czegoż mi więcej trzeba?

*

Winienem teraz rozwieść się szerzej nad wątpliwościami dotyczącymi mojego pochodzenia.

Nieznajomość moich rodziców.

Któż zna swoich rodziców.

Kogóż to nie niepokoi?

Mity z tym związane.

Mit sieroctwa.

Bękart.

Różne obciążenia - szlachectwo, żydostwo.

Sieroce społeczeństwo.

Bękarcie klasy.

Narody-sieroty.

Sieroctwo człowieka na ziemi.

Mit Boga-Ojca.

Moja pobożność.

Powtórne osierocenie.

Historia rzucona w przyszłość (marksizm).

Historia zamiast rodowodu.

Psychoanaliza zamiast rodowodu.

Psychoanaliza nie wyjaśnia przyszłości. Próba potępienia: astrologia. Psychoanaliza analityczna Junga. Historia rzucona w przyszłość - (marksizm).

Brak wyjaśnienia losu i

rozwiązania zagadki osobistej rzuca światło na historię, naukę społeczną, ideologię, psychologię ... totalna nieufność!

Nieufność także do filozofii.

Służyła dotąd do uzasadnieniu rozumieniem religii, odłączona od niej jest jałowa (wydaje się jałowa).

Jedynie bliskie w niej wydają się wątki egzystencjalne, zbliżone do skargi.

Skutki dla twórczości literackiej.

Nieudolność do stworzenia człowieka pełnego. Wszystko jest w pół przekłamane.

Czy był kiedy taki moment w dziejach? Moment śmierci Boga? Jak z niego wydobyła się ludzkość? Dobra Nowina - co w niej jest żywe, co martwe?

Message wielkich religii monoteistycznych.

*

Uwaga metodyczna:

zauważyłem, że najwięcej czasu tracę wtedy, gdy w czasie pisania, lub przepisywania zabraknie mi słowa, albo gdy otworzy mi się możliwość jakiegoś efektu, a nie potrafię jej

odrazu wykorzystać. Zasadą moją powinno być odtąd pisanie, tak długo, jak długo udaje mi się to bez przerw i zastanowień, oraz przepisywania tego tylko co jest napisane, nawet w kalekiej formie. Poprawki i uzupełnienia, winienem zostawić na późniejsze redakcyjne studia pracy.

To bardzo ważne!

*

Przepisywałem do obiadu, trochę jeszcze po obiedzie, potem się położyłem, a później wszystko diabli wzięli, bo zjawił się Jacek

B. z Kasią Herb., i z zasranym papierem w ręce. Podpisałem - co miałem robić, a potem obaj z Arturem pluliśmy sobie w brodę do północy.

Obory, 30.I.

Okropne trudności mam z pisaniem, czy raczej kompletowaniem książki o Ameryce. Mam do niej cykl reportaży z podróży dookoła Stanów oraz kilka felietonów z tygodnika. Razem ok. 120 stron. Brakuje z 50. Tu napisałem 27 o Nowym Jorku, ale wszystko nie

ma związku, ciągłości, sensu. Nie wiem czym to uzupełnić. Minęło mi już podniecenie, w jakie wprawiła mnie ta podróż, a nie mam żadnych nowych podniet na ten temat. Nawet to co o Ameryce tutaj przeczytałem nie podnieciło mnie wystarczająco, abym na powrót do tej myśli wrócił.

Warszawa, 1.II.

William James:

"Posiej czyn a zbierzesz przyzwyczajenie; posiej przyzwyczajenie a zbierzesz charakter; posiej charakter a

zbierzesz swój los".

5.II.

Zajżałem do "Życia Henryka Boznard?". Duchowo mnie już niewiele łączy z tą książką i z tym pisarzem za wyjątkiem obsesyjnego przywiązania do prawdy, którego wprawdzie sam nie mam, ale które u niego imponuje mi. Nawet maniacka dokładność w ustalaniu dat i topografii, nawet dziecinne rysunki, którymi ilustruje swój tekst świadczy o tym, jak prześladuje obowiązek wierności.

Pisać prawdę - nic więcej! - Boże drogi.

9.2.76.

Co się dzieje?

Listy w sprawie Konstytucji. Pod tym, który podpisałem, położyło podpisy 101 osób, jedna z nich wycofała się (Kiejstut Bacewicz), ok. 50 dalszych zgłosiło akces po terminie. Jakieś inne listy. Dziś w Życiu Warszawy podano artykuł o prawach i obowiązkach obywateli w nowym brzmieniu. Myślę, że listy odegrały tu rolę drugorzędną

- główny opór "Znaku", a może także różnica zdań w Kierownictwie partii. Być może zresztą, że głosów krytycznych było bardzo dużo. Jeśli tak, były one z pewnością zachęcone owymi listami. A więc warto.

Co jeszcze warto? Warto napewno wydawać podziemną gazetę. Ale jak to zrobić?

Warto pozatem pisać Kronikę, dziennik, roman-fleuve o Warszawie "ludowej". Jak to zrobić? Czy potrafiłbym?

Zacząć np. od opisania dziesiątego dnia. Wydział Finansowy. Urzędnik o wyglądzie

szczura. Paprocie. Moje myśli. Rozmowa o Chińczykach. Potem u weterynarza. Psy miniaste - quasi-ludzie.W domu. Próby pisania. Telefon. Rozmowy przy obiedzie. Joasia. Co się właściwie stało? Wyznaczyć sobie zadanie - zapisać codziennie 4 strony - zdarzeń, albo refleksji. 4 strony - nie więcej, nie mniej. Dało by mi rytm - rytm życia, gotowość pisania i myślenia, a zarazem materiał do obróbki na literaturę oficjalną. Zrealizowałbym w ten sposób dawny program "życia z piórem w ręce". Te krótkie notatki w notesie, to mało. To właściwie

nic. Nie zobowiązują mnie do niczego, nie dają też satysfakcji, która zaczyna się naprawdę dopiero od budowy zdań.

A więc zaczynamy ...

10.2.

Tak, ale wedle planu Montaigne'a, a nie Balzaca. Nie Komedia ludzka, ale traktat o duszy samotnej, odepchniętej od źródeł pociechy i natchnienia.

Wstałem o 4:45, aby po napisaniu kilku idiotycznych zdań w 3 osobie l.poj., wziąć się do czytania Montaigne'a. Czytałem

po francusku (w starej francuzczyźnie, posługując się przekładem Boy'a w miejscach trudniejszych).

Przed przebudzeniem sen. Dzwonek u drzwi, melodyjny gong, taki jaki mamy tu u nas na Jaworzyńskiej, ale zbudziłem się (we śnie) na Warszawskiej, jak gdyby w pokoju rodziców. Poszedłem do drzwi. - Kto to? - spytałem. - Czarna Ala - brzmiała odpowiedź. Otworzyłem. Zobaczyłem dwie damy, niewątpliwie prostytutki, jedna z nich była w biało-żółtej sukni i w żółtym kapeluszu. To była czarna

Ala. Bardzo ładna. Domagały się kawy. Przekomarzałem się z nimi chwilę. Wysyłałem je do hotelu francuskiego. - On tego nie chce - powiedziała Ala patrząc w kąt za drzwiami. Zrozumiałem, że jest tam ukryty mężczyzna. Chciałem zatrzasnąć drzwi (rozmawiałem przez łańcuch), ale wtedy coś nastąpiło - czy mnie chwycono za rękę, czy mnie przytrzymano. Obudziłem się, wystraszony.

1.2.

Sny karciane i znów z dziwkami - św. Freudzie, módl się

za mną.

Wczoraj w telewizji straszne oglądałem widowisko: "debatę" sejmową w sprawie poprawek konstytucyjnych. Dziwna rzecz: ci ludzie są przecież w sensie fizycznym bardziej wolni i mniej zagrożeni, niż byli w latach 1945-1953, kiedy to najmniejszy odruch sprzeciwu czy tylko cień wątpliwości mógł sprowadzić na nich już nie tylko represje w życiu, lecz więzienie i śmierć cywilną, i rzeczywistą; są też bardziej chyba wolni i bezpieczni w czasach Gomułki i Kliszki, kiedy łatwo było zarobić na zarzut

"rewizjonizmu", albo czegoś gorszego i wylecieć raz na zawsze z socjalistycznego tramwaju. Cóż im dziś grozi? Są pozatem lepiej odżywieni, odziani, lepiej im się mieszka, więcej świata widzieli i mniej mają innym do pozazdroszczenia. A jednak są coraz gorsi. Coraz podlej i tchórzliwiej postępują wykonując wszystko co im zleci zwierzchność, coraz mniej troszczą się o reputację społeczną, nie mówiąc już o dobrze publicznym, a na koniec wolność, im więcej jej mają, tym w mniejszej mają ją cenie, i godność

osobistą, im mniej jest zagrożona, tym mniejszą uwagę poświęcają jej zachowaniu i podniesieniu. Jeden za drugim wstępowali na trybunę i martwymi głosami dukali zadaną lekcję, nie znalazł się ani jeden człowiek, co by jakiś ton osobisty wydał z siebie poza Żukrowskim, który wszystkich widocznie chciał prześcignąć w lizusowstwie i poza pochwałą za nienaganną treść, chciał jeszcze zdobyć wysoką notę za wykonawstwo roli.

Odpowiedź na to pytanie leży być może w faktach społecznych w starzeniu się mianowicie ludzi,

którzy od dawna zużywają się w mechanizmach systemu, oraz w tym, że nowi, którzy przychodzą i pochodzą rzeczywiście z klas awansowanych, oraz z pokoleń, które nie zaznały innych form życia publicznego jak takie właśnie. Coraz gorsi przy tym ludzie idą do polityki, która dla młodego pokolenia jest już tylko takim właśnie widowiskiem, takim cyrkiem pcheł, w którym uczestniczą najmniej zdolni, najniżej siebie ceniący.

A to już jest błąd systemu, od którego nie uleczy go żadna reforma. Demokracja otwarta nie

przestaje przyciągać ludzi do działania dla niej i nie zabija zainteresowań politycznych; reżim totalny ma natomiast to do siebie, że pociąga tylko aktem swoich narodzin, jako realizacja skrajnej idei i gruntowna, gwałtowna zmiana; jego pomyłki, choć noszą w sobie już zapowiedzi przyszłych kłamstw i zbrodni, mogą być nawet efektowne także w sferze myśli, sztuki, mogą odbyć się w atmosferze jak gdyby triumfu umysłów żywych nad ospałymi, talentów nad przeciętnością. Takie były początki rewolucji rosyjskiej, podobne były początki "Polski Ludowej". Ale skleroza przychodzi nazajutrz. Żywsze umysły i odważniejsze ... nie mają nic do szukania w trwaniu takiego reżimu, ani on ich nie potrzebuje.

A na to już nikt nic nie poradzi. Owszem, system może ożywić wojna; "Wojna Ojczyźniana"przedłużyła żywot Związku Radzieckiego, podobnie przedłużyła mu żywot zimna wojna. Mogą także ożywiać go fale terroru. Terror wprawdzie trwa krótko - długo trwać nie może, bo grozi systemowi samopożarciem się - długo natomiast trwa wydobywanie się z

terroru, które niewolnikom daje właśnie wolność, a reżimowi nowe narzędzia propagandy i sposoby manipulowania nastrojami mas.

Tak było z "destalinizacją", z "degomułkizacją" etc. Bardzo możliwe, że obecny reżim także potrzebuje takiego oczyszczenia i ożywienia przez terror podobnie jak potrzebował tego Gomułka w 68 roku. Oznaczałoby to skazanie Gomułki na śmierć polityczną w ciągu najbliższych 2 lat. Porządek bowiem jest taki, iż przywódcę wynosi się na wyżyny, w imię jego utrzymuje się terror poczem zwala się go z piedestału, oskarżając o dyktatorstwo. Przywódcy są w istocie rytualnymi ofiarami, które zużywa się do ostateczności, a następnie dożyna publicznie, poświęcając je dla dobra samego systemu i "partii". Gierek jest kolejnym bykiem ofiarnym; już mu złocą rogi.

Reżim totalny jest przy tym prosty w swoim działaniu łatwy do wyuczenia się zadań dla celów praktycznych (tj. dla tych, którzy chcą w nim mieć swój udział), jak i dla tych, którzy wolą sądzić go z boku. Jako łatwizna staje się w

końcu faworytem obu stron, a przede wszystkim "daje się lubić" szerokim masom. Wbrew pozorom, wbrew drobnym, dokuczliwym i upokarzającym trudnościom, takim jak braki w sklepach, kolejki, biurokracja, niski standard, wbrew temu wszystkiemu żyje się w nim łatwo, gdyż pracy wymaga niewiele i zwalnia człowieka z rzeczywistej walki o byt. Upokarzając administracyjnie i politycznie, stwarza złudzenia ekonomicznej niezależności. Człowiek tu jest zmuszony do zabiegów o to, co mu się należy, zwolniony jest natomiast z zabiegów o to, co mu jest niezbędne do życia: np. musi błagać o mieszkanie, za które zresztą zapłacił, ale nie straci pracy, choćby ją nawet do ostateczności zaniedbywał. Poniża się w ten sposób jego godność, stępia się jego instynkt walki, obniża się jego standard etyczny - gwarantując zarazem życie. Kiedy ma się do wyboru gwarancję życia za cenę rezygnacji z wolności, jedności, dostatku, wybiera się pierwsze. to "ucieczka od wolności", podobna do ucieczki w chorobę.

*

Zbadać rolę kłamstwa w dziejach. Np. zasada cuius regio, eius religio; bunt purytanów.

12.2.

Wczorajsza rozmowa z Wiktorem W. była niepotrzebna i na dodatek niezdarna. Sam, na ochotnika wstąpiłem w ten rynsztok, którego sam zapach i bulgot dochodzący z daleka napełniały mnie wstrętem. Nie pierwszy raz to robię.

Albowiem od wszystkich

innych idiosynkrezji najgorsza jest idiosynkrezja do bierności; nie mogąc w jeden sposób wyładować energii, szukam wyładowania jej w inny; niestety szukam ujść łatwych i na cudzy koszt. Jest to bardzo podobne do puszczania wiatrów, do czego też ostatnio nabrałem upodobania.

Śniło mi się zwiedzanie starego jakiegoś miasta - jak gdyby krakowskiego Kazimierza. Odnalazłem tam studnię, która była od wewnątrz wykładana glazurą kolorową; otwór studzienny wyłożony był kolorowymi i malowniczymi

figurkami z wypalonej i barwionej glinki. Były to jakieś scenki rodzajowe, domki, kościółki tworzące krajobrazy, na podobieństwo dekoracyj w starych szopkach.

Potem w zaniedbanym zaułku znalazłem nowy, ale już zepsuty automat sprzedający kawę gorącą i bardzo dobre czekoladowe wafelki. Równocześnie ze mną posłużyła się tym automatem rodzina odbywająca krajoznawczą wycieczkę. Rodzice byli młodzi, chłopiec miał kilkanaście lat. Wszyscy sportowo ubrani, dźwigający plecaki. Kobieta była

ładna, śmiała się do mnie, podobała mi się. Mąż spojrzał na mnie zazdrośnie. Obejrzałem się za nim, kiedy odchodził: miał spodnie spuszczone poniżej zadka i nie nosił gaci.

Potem śniły mi się jeszcze inne rzeczy, równie ważne, ale ich już nie mogę sobie przypomnieć.

Idiotyczna była ta wczorajsza rozmowa.

Dzwonił Gawlik. Nie muszę pisać artykułu o Panu Cogito bo przedstawienie krakowskie zostało zawieszone.

*

Zapytałem sam siebie, która ostatecznie rzecz sprawia mi więcej cierpienia: ta pierwsza czy ta druga. Nigdy jeszcze nie zadałem sobie tak obcesowego pytania, ani też nie przyszło mi do głowy obu rzeczy z sobą porównywać. Po raz pierwszy powiedziałem sobie, że ta rzecz pierwsza, to jest choroba i śmierć W., jej historia, symulacja, terror, jaki wokół siebie roztoczyła, kłamstwo, z którego zrobiła system i któremu nadała sankcję religijną, ta rzecz, powtarzam, ta historia, którą dotąd uważałem za najważniejszą, a może jedynie ważną w moim życiu, jest w istocie drugorzędna wobec rzeczy, historii drugiej, później przeżytej, w dojrzałości, czy też raczej u kresu młodości, kiedy to odmówiono mi praw ... wzgardzono moją dobrą wolą ... wyrażono zwątpienie w moje zdolności uczuciowe, słowem: podważono gruntownie wiarę w siebie jako mężczyznę, a nawet gorzej: nie tyle podważono, ile w najokrutniejszy, najbardziej prostacki sposób potwierdzono niewiarę, którą w sercu nosiłem i której przezwyciężenie było celem

wszystkich moich poczynań, ukrytym planem życia, jego sekretną strategią.

Ta druga zatem, nie pierwsza!

W środku zaś, między tymi dwiema sprawami była reszta: wojna, Bóg, Stalin, literatura. I jakże ja biedny, mam to wszystko opowiedzieć? Po kolei? I jako o sobie? Ależ mnie wstyd.

Byłem w Urzędzie finansowym złożyć oświadczenie podatkowe i widziałem tam człowieka zużytego przez biuro: młody jeszcze, miał niewięcej niż 30 lat, a twarz, głowę, plecy miał tak zużyte jakby spędził za

biurkiem długie, długie lata: głowa była spłaszczona, twarz wydłużona w ryj, plecy zgięte w kabłąk. Zajął się moją sprawą z tym nadmiarem uczuć - to się gniewał, że późno przychodzę, to mi wybaczał, to wzdychał z ulgą, że mi nic nie grozi, bo nie dość zarobiłem - który dobrze znam z własnej praktyki biurowej. Ja też kiedyś kręciłem się jak fryga wokół moich klientów, zgrywałem przed nimi, też tak starałem się zasłużyć na osobistą wdzięczność tych, którzy mi się spodobali, prowokowałem ich do podziękowań i błogosławieństw,

od których oganiałem się skromnie, twierdząc, że spełniam tylko obowiązek, albo nawet do wciskania mi drobnych łapówek, które dumnie i gniewnie odrzucałem. Ten posunął się do tego, że kiedy wypełniałem papiery, spojrzał do gazety i wykrzyknął: no, no, proszę, dawny minister bezpieki premierem. - Chodziło o Chińczyka mianowanego po śmierci Czou-En-laja. Wdałem się z nim w rozmowę na ten temat. Tylko o to mu chodziło: "Chińczyki tsymajom się mocno".. Na koniec spytał mnie jaką

książkę piszę.

Ciekaw jestem czy list 101 miał jakiś wpływ na jego zaciekawienie i ożywienie.

Nad głową miał paproć jak papieski piuropusz. Inni urzędnicy też je mieli. Razem były w pokoju trzy paprocie wielkości sporych drzewek.

*

Wiktor nie zgodził się, aby Blumstein i Toruńczykówna podpisali list 101. Doszło do awantury między nim a Adasiem M. Mówią, że bardzo ostrej, o

szczegóły Wiktora nie pytałem. Mówiąc o tym miał ręce kurczowo splecione. Podobno zarzucano mu antysemityzm. Potem "oni" (tj. Adaś i Kuroń) zebrali dodatkowe podpisy i wszczęli awanturę o ich dołączenie do już złożonej listy. Jerzy A. odmówił ich wysłaniu poniewczasie. Wtedy oskarżyli Wiktora o kolportowanie tych nowych podpisów. Kazik powiedział mi to, i chciał żebym z nim pojechał do Jerzego wpłynąć, aby wobec takiego stanu rzeczy te podpisy wysłał. Odmówiłem. Zamiast pojechać do Jerzego poprosiłem do siebie Wiktora i spytałem wręcz jak to jest. Oczywiście, nieprawda. Pokazał komuś te nowe nazwiska, ten ktoś - dziewczyna z Ruchu - odpisała je, poczem prawdopodobnie pochwaliła się "tamtym", że je ma od Wiktora. "Tamtym" wystarczyło to, aby zaszantażować Jerzego. Ten w końcu postanowił podobno przesłać te dodatkowe nazwiska dotychczasowym "subskrybentom do wiadomości".

Na dodatek W.E. podała podobno wiadomość, że do listu 101 dołączyli się młodzi naukowcy, Toruńczykówna i Lityński.

W sumie, żałuję, że podpisałem ten list, że nie wykonałem pomysłu, który mi przyszedł do głowy w chwili kiedy zgłosili się do mnie Janek i Kasia w Oborach: że nie napisałem listu oddzielnego jak Braun. Za mało pychy.

Te awantury nie oburzają mnie tak bardzo. Polityka to umiejętność. Bez osobistej rywalizacji historia byłaby przebiegiem zbrodniczych zdarzeń i zmiany koniunktur rynkowych, a jej podręczniki wyglądałyby jak gazety komunistyczne.

*

Załatwiłem moje sprawy. Moja neurastenia, ustaliłem, nie ma innej przyczyny jak uraz psychiczny, którego przyczyna leży nie w pierwszej rzeczy, jak dotąd myślałem, lecz w drugiej; dlatego w dojrzałych tematach - miłości, odpowiedzialności, pracy, przedsiębiorczości - winienem szukać rozwiązania, nie zaś w infantylnych, archaicznych, złączonych z historią, dewocją i upodobaniem do choroby i śmierci. Jest to antynomia podobna do mannowskiej

(nietzscheańskiej). Rozwiązań praktycznych, powtarzam, winienem szukać tu; źródeł sztuki w samej antynomii. Sprzeczność tych dwóch urazów - pozorna zresztą - oto co mi nie pozwala poznać siebie i paraliżuje. Ta sprzeczność niewyjaśniona - oto źródło mojej "neurotical stupidity".

13.2.

Z Montaigne'a:

"Le peuple disoit en ma jeunesse, qa'un roy de nos visons, aqant recen de Dieu une

bastonade, jura de ien renyer, ordonnant que de dix ans on ne le priast ny parbast de luy, ny autant qu il estoif en sor auctoritŐ, qu'on ne erenst en [...] ." (Ch. IV).

Wnoszę z tej historii, że ten Król najgorszy ze wszystkich wierzył w Boga, skoro tak bardzo go chciał dotknąć.

Mogę sobie łatwo wyobrazić reżim, który narzucił. Nakazał przede wszystkim zamknąć kościoły i zamilknąć dzwonom. Gdyby Bóg był mu osobą obojętną, i gdyby nie on sam, lecz oddani mu ludzie, kler mianowicie oraz wszyscy wierzący, byli

prawdziwym przedmiotem jego nienawiści i zemsty, władca ten byłby na tym poprzestał. On jednakże naprawdę jego samego, Boga, chciał ukarać pozbawiając go modłów i wiary. Zakazy królewskie sięgnęły więc do wnętrz klasztorów i kapituł zakazując również odprawiania potajemnych, zamkniętych nabożeństw, odmawiania modłów zbiorowo i pojedynczo. To samo oczywiście dotyczyło laików. Nakazano zatem konfiskatę modlitewników, oficjów, brewiarzy, mszałów, śpiewników, na koniec różańców. Jakże jednak

przeszkodzić modlitwom odprawianym w wolności, westchnieniom miłosnym, spojrzeniom wysyłanym w stronę Boga na krzyżu, Boga w stajence, w tęczy, w trójkącie, w hostii promiennej, w postaci Baranka, lub tylko kłosów pszenicy i winnego grona, albo także otoczonych gipsowymi obłokami monogramów? Jakże usunąć go z pamięci w innych pośrednich postaciach, mianowicie w postaciach jego Aniołów i jego Świętych, zwłaszcza gdy jest się miłośnikiem sztuki i architektury? Tę, rzecz Król zlecił swoim

artystom, kustoszom, architektom, poetom, wzięli się do dzieła z wielkim znawstwem i zapałem, okazując tyle pasji w niszczeniu, ile jej zwykli okazywać w tworzeniu. Poniszczyli więc wszystko co się dało. Czy to dość? Król nie przestawał myśleć o zemście; zbyt był wielki przeciwnik, zbyt mocne jego władztwo, zbyt ostra gra jaką z nim rozpoczął monarcha, aby miał zadowolić się byle jakim prowizorium. Z okien swojego pałacu oglądał rezultaty swojej pracy: widział wieże i kopuły pozbawione krzyżów, co je wieńczyły, fasady kościołów, z których zniknęły figury długowłosych aniołów, biskupów w ich stożkowatych mitrach, rzymskich i innych rycerzy unoszących ku niebu swe palmy męczeńskie, dziewic, wdów, świętych zakonnic ugiętych we wdzięcznych przechyleniu - zniknęły te uroczyste, poczerniałe od deszczów i zzieleniałe już czasem, orszaki, parady, balety, którymi żyło miasto widziane z wyżyn zamkowej góry. Na frontonach widniały białe, bo wapnem zasmarowane blizny po innych znakach i wizerunkach.

Cisza panująca nad miastem w południowej i przedwieczornej godzinie, kiedy dzwony zwykły bić na Anioł Pański, a zwłaszcza w niedzielne poranki, szczególnie kierowała myśl Króla na nienawistny temat, a raczej - jak należałoby rzec - na ulubiony temat jego nienawiści: - Słyszę tę ciszę - mówił do siebie stojąc przy szerokim weneckim oknie - a jeśli ja ją słyszę, to i inni ją słyszą. Widzą także te puste miejsca, a jeśli ja je widzę, to inni także je widzą. Widząc ją i słysząc, myślę o niej, a jeśli ja myślę, to inni także myślą. I kto zaręczy, czy pustka nie jest Nim? I kto mi zaręczy, czy pustki nie kochają, ciszy nie wielbią, czy do tych blizn i dziur, i zjawisk, i śmietników, gdzie włożono resztki, nie zanoszą modłów? Czy mu przyjemności nie zrobiłem tym wszystkim? Czy nie śmieje się za mnie? Czy nie skrył się przede mną w jakieś absurdy, w których go nigdy nie dosięgnę, i które aby zbadać, nie starczyłoby życia, stulecia, ja zaś mam czasu tak niewiele, skoro za 10 lat obiecałem przywrócić całą jego chwałę.

Nie mogąc osobiście

rozstrzygnąć tego problemu, zwłaszcza, że sporo czasu pochłaniały mu sprawy państwowe król polecił zwołać konferencję naukową poświęconą dalszej, skutecznej zemście, którą zainaugurował także krótką mową, poczem usunął się prosząc tylko o codzienne raporty z przebiegu obrad.

14.2.

Nie wiem o co chodziło w moim dzisiejszym śnie, pamiętam tylko okropne zamieszanie z jakąś drabiną, która okazywała się to za

krótka, to za długa. Jak to drabina ...

*

Czytam "Czarodziejską górę" - po wielu, chyba 21 latach - i widzę cośmy stracili ze sztuki opowiadania: dystans. Widzę jak zdemoralizowała, narratora forma I osoby, która dawno już przestała być rewelacją Szczerości dawno przestała być "ja rzeczywistym" (wobec tego, że tyle tych "ja" może dziś pisarz rozprodukować, na ile mu fantazji starczy), a pozostawia tylko rodzaj myopii

albo po prostu jest jak krótkowzroczne okulary, od których nieprzystosowany wzrok się mąci: widzę niby to tylko co mógłby zobaczyć mówiący o sobie, czyli konstruuję fikcję i wykluczam z niej swoją fantazję: odtąd muszę postępować tak jak mi moje sztuczne ja zagra. Cała meskineria współczesnej prozy jest stąd.

Bohater! - znaleźć bohatera.

Rozejrzyj się dokoła.

17.2.

Wczoraj cenzura zdjęła z

Twórczości teksty wszystkich, którzy "cokolwiek" podpisali: Kamińskiej, Karpińskiego, Jar.M. Rymkiewicza, Lipskiego i Najdera. Lisowski spytał [...] czy jest jakaś lista, ten mu powiedział, że "oni sami wpisali się na listę".

Obory, 21.2.

Wczoraj przemówienie Gierka w TV - z plenum. Straszne brednie, sam się nudził. Jedność moralno-polityczna. To przeciwko wszelkiej opozycji. Patriotyzm. To przeciwko kardynałowi. Ojczyzna to państwo. To przeciwko jakimś

lewakom. Dyktatura proletariatu zmieni się w państwo ogólnonarodowe. To przeciwko Francuzom. Język polski jest najwyższym dobrem. To przeciwko jakiejś ruskiej frakcji albo tym, którzy podjęli sprawę nauczania polskiego w szkołach jako temat opozycyjny. I, jak zwykle mnóstwo samochwalstwa.

Co do "nas", w opisie patriotyzmu socjalistycznego, znalazło się słowo "warcholstwo". To będzie ta pała selektywnie bijąca, z której pomocą nas spacyfikuje.

Niebezpiecznie zabrzmiały

słowa o snobizmie i kosmopolityzmie, a także połajanka za "złe zachowanie podczas pobytu zagranicą".

*

Wczoraj opowiadanie Hena o przeżyciach w Rosji. Ile sprytu aby przeżyć! Ile upokorzeń! Ciosy spadały ze wszystkich stron. To był bity jako Polak, to jako Żyd. Nikt go nie chciał.

I jaki słaby refren muzyczny całej opowieści: no i była s t r a s z n a zadymka.

Obory, 23.2.

Jakże mam się nie nudzić przy pisaniu i jak mam nie szukać od niego ucieczki raz za razem, kiedy myśli w nim nie ma żadnej, którą chciałbym rozwinąć, lub ścigać, ani wątku, który chciałbym śledzić? Cóż mam do powiedzenia o tej zasranej Ameryce, czego bym już nie wiedział?

Opisałem podróż - dobrze. Dotarłem do Pacyfiku - dobrze. Teraz pozostaje mi powiedzieć po co to wszystko.

*

Cień myśli: "Świat zawsze był jednolity, tylko nie zawsze ogarniano go myślą w całości." Co chcę przez to powiedzieć? Świat był jednolity? To znaczy jaki świat - ten przez człowieka zamieszkały, ten który dziś znamy - tj, ludzki świat? Czyli ziemia? Co to znaczy, że była jednolita? Oczywiście, była. Istniała. Była taką samą kulą jaką jest dzisiaj, zanim ją opłynięto dokoła i stwierdzono jej kształt. Ameryka istniała zanim ją odkryto. Dla tych fok np., albo dla tych jej pierwotnych mieszkańców.

Istniała potem w mitologii jako królestwo cieni, jako Ziemia obiecana. Istniała w sagach islandzkich, w legendzie islandzkiej. Istniała jako mityczna kraina złota. Jako teren eksploatacji, jako ziemia przygody i szansy. Wreszcie jako centrum świata. Zrobiła niewiarygodną karierę. Przeszła jakby pełną ewolucję od mitu do rzeczywistości; i to w bardzo krótkim czasie. I co teraz będzie? Przez tysiąclecia ludność żyła w przeświadczeniu, że ma jeszcze taką ukrytą szansę, niespodziankę - od 100 lat nawet mniej,

tajemnica przestała być tajemnicą. Jakby dzieci dostały się na strych, wyzwoliły stamtąd duchy i te duchy zapanowały nad dżinem.

Nie, jakie tam duchy! Przecież to już Europa i Rosja, i Afryka razem wzięte, wszystkie stare kontynenty razem wzięte, plus wolna przestrzeń, wolna od pra-struktur. Jest to nasza kreacja. I jest obraz nas samych, gdybyśmy byli wolni.

Wolni od czego?

Z czego to powstało?

1. Otwarta przestrzeń. Niezupełnie. Początkowo ta przestrzeń była podzielona, bądź

to granicami dominiów, bądź to przez terytoria nieznane i niebezpieczne.
2. Liberalne prawa? Też niezupełnie. Nie myśląc już o kolonialnym okresie, kiedy gospodarka była równie skrępowana jak w każdym innym terytorium brytyjskim, później toczyła się ta nieustanna walka pomiędzy poszczególnymi grupami interesów - jak np. przemysłowcy wschodni ograniczali migrację na zachód w obawie przed utratą siły roboczej?
3. Charakter ludzi. Też nie. Przecież to nie sami święci

wędrowali na zachód, ale w pierwszym rzędzie skurwysyny. Dawny zachód tylko na filmach tak ładnie wygląda, a naprawdę musiało to być piekło.

[...] Ameryka została odkryta i zagospodarowana z powodów duchowych, a mianowicie tak jak kraj ten był od początku przedmiotem mitologii, pozostał nim nadal; pozostaje uniwersalnym mitem i produkuje mity wewnętrzne: mit Eldorado, mit ogrodu, mit pustyni, mit drogi, mit ruchu - (Kerduac).

Obory, 24.2.

Ledwo usiadłem, już myśl moja zakreśliła absurdalny krąg dalekich skojarzeń, i zmusiła mnie do owych zewnętrznych ćwiczeń w "konwersacji", do treningu w snobizmie i pochlebstwie towarzyskim, do owego gadulstwa z upatrzoną publicznością - do owych idiotyzmów, które są tak uporczywe, że ich nawet nie zauważam, a tylko płacę za nie stratą czasu, zmęczeniem i niezadowoleniem ze siebie.

*

Jak to powiada Montaigne: "znajduję sam siebie tam gdzie się nie szukam".

*

Opisałem więc sekwoje, cymbała, a przedtem foki; powiedziałem też z całą stanowczością, że Amerykę odkrył i zagospodarował duch; co jest też prawdą dla wszystkich innych cywilizacji poza tymi, w których od samego początku, od założenia, nie chodziło o szczęście człowieka ...

Nie inaczej: instynkt szczęścia

jest tym, który rozwinął się najpóźniej, i co cywilizację amerykańską różni od innych, jest to, że człowiek, który ją tworzył miał już ten instynkt szczęścia wysoce wyrobiony, a żadnym innym, żadnym ubocznym (e.g. narodowym, religijnym) nie ulegał namiętnościom. Wielkie namiętności polityczne zostały za oceanem - może dopiero tam się pojawiają, kiedy Ameryka została mocarstwem? Tzn. tak niedawno!

*

Zrobiło mi się coś paskudnego

na wardze - czarny, podskórny guzek, który już dawno wykryłem, i który nabrzmiewa i ciemnieje to niknie, że aż zapominam o jego istnieniu. Teraz nabrzmiał znowu i to bardzo, bo go poczułem przy poruszaniu ustami. Pozatem grzybica rzuca mi się z nóg na ręce - serdeczny palec prawej ręki już ma zniekształcony paznokieć, a ponadto popękał, i boli.

*

(Co zabawne: ledwom to zobaczył odbywam wewnętrzny trening rozmowy na ten temat z

lekarzem, do którego się zgłoszę, z Kazią i jeszcze innymi osobami - nawet sam sobie odpowiadam za nich. Postanowiłem łapać się na tym i zapisywać te haniebne ćwiczenia, aby tą drogą wyleczyć się z nich).

*

Na temat Watergate, o której wspominałem z powodu spotkania z republikańskim babskiem, rozmawiałem też z panem Post i jego gośćmi.

Dom państwa Post. Fotografie Franklina i Eleonory Roosevelt.

Zacność i jakaś bojowość. Przyjaciele państwa Post - jakiś adwokat. Rzucili się obaj na sprawę Watergate, a przede wszystkim żywo mi zaprzeczyli, gdy powiedziałem, że USA mają do wyboru być demokracją, albo supermocarstwem. Argument, którego użyłem: mowa Mc Governa konferencja Kissingera. Mc Govern obiecywał skończyć wojnę w ciągu 90 dni, nazajutrz Kissinger powiedział, że "peace is at hands", tzn., że Biały Dom nie informował opozycji o rozmowach z Wietnamem, a nie robił tego także prawdopodobnie

pod naciskiem Wietnamu. Źródłem władzy i sakrą władzy dzisiejszej jest wywiad; może mieć tylko jedno źródło i jednego adresata. Czy opozycję stać na własny wywiad? I co by było, gdyby do tego doszło? Gdyby obok "gorącej linii", istniał także sztab cieni i wywiad cieni, albo gdyby część wojska i wywiadu pracowała na rzecz opozycji? A cóż to były "Pentagon papers"?

*

Po kąpieli. W kąpieli próba zastanowienia się dlaczego tak

lękliwie i nienawistnie odnoszę się do osób w rodzaju p. Neumanowej, "Maji", obecnej kierowniczki"Obór", dlaczego tak podejżliwie obserwuję jej karierę towarzyską i ze złością przyjąłem wiadomość, że Arturowie ją zaprosili. Otóż przyszło mi do głowy, gdym leżał w burej wodzie - p. Maja należy do fauny kobiecej z linii A-B, z tego narożnika przed kawiarnią Europejską w Rynku, gdzie gromadziło się krakowskie towarzystwo, "Grande elegante Welt", "paczka", w której rej wodził mec. Solecki, skrzypek Teutsch i inne jeszcze typy, oraz

ich żony, żony kolegów w pelisach; jest sposób mówienia, śmiania się, palenia papierosa, który mi tę faunę przypomina; Maja do niej należy. Ja sam należałem do fauny innej - do fauny czarnej, drobnej, przemykającej się bokiem, kryjącej się w kościołach, do fauny wrogiej, do fauny mojej matki. Ciotka Róża, Maśka należała do tej - kolorowo upierzonej i rozgdakanej. (Być może pierwszym objaśnieniem tej fauny była owa złoto-zielona dama w pensjonacie Stasin w Zakopanem, tej, która wzbudziła we mnie zazdrość o oficera z orderami, czy też - na odwrót - o którą byłem zazdrosny z powodu oficera, i przez którą tak gorzko płakałem w wieczór Sylwestrowy roku 193* - chyba 1933 - ale nie jestem pewien - w każdym razie byłem wtedy bardzo młody). Maśka - może ona była najważniejszą moją miłością i jakby ideałem kobiety! "Maja" jest w pewnym sensie powtórzeniem i Maśki, i "pani" ze Stasina (z jaką nienawiścią moja matka nazywała ją "gospopytią" za to, że chodziła w spodniach), ale powtórzeniem w karykaturze. Nb. Julia zanim ją

poznałem, należała też do tej fauny - gdy ją zobaczyłem po raz pierwszy tu, w Oborach, wracającą ze spaceru z naręczem kwiatów, z Rogozińskim u boku, miałem wobec niej ten sam co wobec tamtych kobiet - wobec kobiet po prostu - odruch niechęci, miłości i zazdrości.

Zresztą, co tu daleko szukać: czyż Kazia, gdy ją zobaczyłem, tańczącą w jadalni na "Orlej" nie była egzemplarzem fauny? Czyż nie wzięła mnie uczesaniem, gestem, papierosem, sportowym strojem, rytuałem, szyfrem ...

*

Lecz wracajmy do Ameryki. Bubek i pani Post - dwie Amerykanki. Także dwie kultury. Idiotyczny luksus bubka i wielki styl pana Posta: stary, ciężki samochód. Wielołazienkowy dom, z widokiem na zatokę. Stary murzyn, kamerdyner, i murzynka - kucharka, która po pieczystym przyszła z kuchni spytać czy smakowało.) ta rozmowa, w której zapalczywy adwokat sypał często skurwysynami, jakby mówił paniedziejku (son of the bitch). W każdym razie była to pieśń na

cześć instytucji amerykańskich i sprowadzała się do teorii, że jeśli prawo jest dobre, i dobrze zabezpieczone, nie ma takiego skurwysyna, który potrafiłby je złamać, lub użyć go niewłaściwie, co miała udowodnić afera Watergate, której przebiegu jeszcze wtedy nikt nie umiał przewidzieć. Poczem zasiedliśmy rzędem na kanapie, a pani Post zrobiła nam picture na ogromnym aparacie, który od razu tę picturę wywołał.

Poczem polecieliśmy dalej - (pomijam wiele: wizyty w Berkeley i w Palo Alto, obie

osobiste, polskie, a więc jakby do innej tematyki należące, i do innej książki) wznieśliśmy się nad San Francisco nad te miasta - ogrody dokoła, ponad góry, ponad Dolinę Śmierci (nawet z wielkiej wysokości oglądana wydała mi się straszna - tak straszliwie jałowa), i znów podesłała się pod nas pustynia Nevada, podzielona na olbrzymie kwadraty, jak mapa, diabeł wie dla jakich celów, pewnie wojskowych, bo przecież tam dokonuje się prób z bronią jądrową), do Las Vegas; tam przesiedliśmy się na mały samolocik w rodzaju Antonowa, i

wznieśliśmy się ponad góry, nad którymi lecąc, mówiłem sobie, że widzę rzecz piękną, że nigdy piękniejszej nie zobaczę, ale że chcę być już w domu i pisać wspomnienia. Lot nad górami pewnie zawsze jest takim przeżyciem grozy i piękna; leciałem nad Kaukazem - co prawda nie nad samymi szczytami, a tylko przemykując się nad niższymi partiami masywów, ale zawsze - leciałem więc już nad górami, to wiem i przypuszczam, że lot nad doliną Pięciu Stawów Polskich byłby też piękny i emocjonujący. Góry to

góry. Tak, ale nie wszystkie są purpurowe. Nie od słońca zachodzącego jak Tatry, ale jeszcze z siebie. I nie tylko purpurowe (w rzeczywistości nie jest to purpura, ale kolor zakrzepłej krwi), ale podbita fioletem - podbite mówię, bo fiolet jakoś tak podchodzi z załomów skalnych, z ciemnych wąwozów, i też nie jest tylko cieniem, lecz barwą porostów swych, i też nie jedyną, którą do tej głównej się wtrąca, lecz przemieszany z zielenią, żółtością i złotem - złotem, tak, którym dzięki refleksom słońca, i prawem

kontrastu błysnęła z głębi kanionów wijąca się tu rzeka Colorado - z tej wysokości do złotej nici wplątanej - materią podobna.

A jeszcze kształty. Nie "turnie", szpice, stożki, "kopy", granie etc., ale znowu formy reglarne, architektoniczne, rytmiczne, powtarzające się rodzinami, cyklami, jak style, stworzone przez różne generacje i grupy artystów: z tej wysokości nie widać, potworków, ułomków, którymi usypane są doliny, i które podbiegły do okien przy Rio Grande, lecz tylko kompleksy tych gmachów o ścianach prostopadłych, lecz o najróżniejszych najrozmaiciej przeprowadzonych obwodach - a to filarniasty, a to tworzących jakby absydy półokrągłe, to znów prostych, lecz o mozaikowej bogatości faktury. I wszystko na dodatek zaczyna się i kończy na jednym poziomie - wszystko to ścięte równo - posypane po wierzchu rzadką zielenią karłowatych lasów. Wszystko to właściwie jest równiną! Tak, równiną prawie jak okiem sięgnąć płaską, która naraz otworzyła się za sprawą kataklizmów jakichś,

czy tylko tej nici złotej, co ją tam od środka podbarwia, i nagle rozumiesz, że to nie góry widzisz, nie fantastyczną powierzchnię ziemi, ale jej wnętrze, jej flaki tak pokręcone, i tak zarazem symetryczne jak twoje własne, człowieku.

Samolotem rzucało. Lot trwał jakie dwie godziny. Ziemia zamknęła brzuch, pokazały się lasy sosnowe przyprószone śniegiem. Sypnęło i na nas, trochę owiało mgłą, ażeśmy usiedli na lotnisku małym, pod pawilonem jak w Batowicach pod Krakowem, pośród chudych sosenek. Byliśmy

w Grand Canyon Arizona.

*

Spacer do Konstancina. Kupiłem kawę, słoninę dla ptaków, krem do rąk i dezodorant do łazienki. Mam bardzo dziwną manię rozpylania w powietrzu obrzydliwych zapachów. Nie wiem, czy robię to dla siebie, czy też dla kogoś, kto wszedłszy, polubi mnie za to, że u mnie nie śmierdzi "jak u innych"?

Żeby nie być jak inni. Zarazem, żeby być jak inni. Szukałem kobiet, żeby być

szczęśliwy jak inni, i byłem wobec nich nieśmiały, albo grubiański, aby nie obrażać się ani zachłanny, ani brutalny, ani tak do nich skłonny "jak inni".

Nigdy nie zdecydowałem się jaki mam być. Dlatego powinienem lepiej rozumieć tych, co tacy, i drugich; kto nie jest sobą, powinien być wieloma naraz - i to jest sztuka.

*

Ciągłe pisanie. Wszystko co do głowy przyjdzie jest warte zapisania; nie wszystko jest warte

przepisania i publikowania. Selekcja przyjdzie później.

*

Podtrzymać zamiar pisania o pisarzu, który leci dokądś, i jedzie gdzieś daleko - zaproszony - aby coś napisać, coś rozstrzygnąć. Jedzie, żeby wyzwolić się, od "petty affairs" - i dostaje się dopiero w wirówkę "petty affairs".

M. in: Żyjący na codzień w niewoli, w zależności, do tego stopnia nie może się od niewoli uwolnić, że stwarza wokół siebie fikcyjny system podobny do tego,

w którym zwyczajnie żyje.

Podobnie jak jego partner, który tu przyjechał, aby uwolnić się od swoich głupich interesów, niczym innym nie żyje jak tymi interesami, oraz stwarza nowe, również fikcyjne.

*

Arizona.

Autobus olbrzymi cow-boy, który wszystkich objeżdża - i niewiadomo, z temperamentu, czy z obowiązku, i czy za to mu właściwie nie płacimy? A przecież ten kraj to był również

niebezpieczny jak dziś niebezpieczny jest Manhattan. Może tam, na 42 ulicy będą kiedyś leżały wypchane trupy, jak tu, które widziałem w Hannibal?

Jedziemy sosnowym laskiem. Dojeżdżamy do miejscowości, która tak mi znajomo wygląda: sosny, świerki, stosy świeżo okorowanego drzewa, tory kolejowe, stacyjka mała, strumień obok płynie, skacząc po kamieniach, dwa tu schroniska w alpejskim stylu - rodzaj Szaflar, tyle że bez gór w pobliżu. Płasko jak w Konstancinie. Straszny cowboy wysadził wszystkich

pasażerów przed schroniskiem, a sam - spojrzawszy na nasze adresy - każe czekać. Za chwilę pokazuje się znów, każe przesiąść się do limuzyny i jedzie z nami w las. W lesie domki campingowe. Cała wioska. Krążył wśród nich przez chwilę, aż znalazł właściwy numer, i kazał wysiadać, pokazawszy jeszcze gdzie szukać manadżera. Potem odjechał. Manadżer okazał się studentem. Dał klucz, wprowadził do domku i poszedł. Domek owszem, ładny, ale zimno w nim jak w psiarni, światło się nie świeciło, ogrzewanie nie działało, woda nie

szła, łóżka gołe, stół goły, Boże Święty i co my tu będziem robić. Za oknami rozszalała się śnieżyca. Las dokoła [...] .

Ale nie minęło pięć minut - pukanie. Wraca nasz menadżer z manadżer - studentką. Moje dzieci właściwie. Ośnieżeni, niosą plastikowe worki. Manadżer niósł w ręce kartkę oprawioną w plastikową okładkę, a na niej spis przedmiotów, które nam musi zostawić i czynności, które ma wykonać. Prześcieradło, poszwa, poduszka, popielniczka, włączyć światło, odkręcić wodę i dowidzenia. Na koniec jeszcze

plik broszurek, map, fotografii. I poszli. Już było ciepło, już woda szła, już pościel świeża, serweta na stole. Tylko co robić. Śnieg za oknami. Nie minęło jednakże następne 5 minut, pukanie. Wchodzi cowboy, a właściwie nie cowboy, ale coś w rodzaju kawalerzysty z wojny secesyjnej, lub żołnierz armii korpusu ekspedycyjnego z I wojny światowej w kapeluszu z małą główką, a nasada ronda na pasku, kurtka z futra, spodnie do kolan, grube skarpety. Młody. Mówi dzień dobry, patrzy do kartki oprawionej w plastikową okładkę i

sylabizuje: mister Klidiotski ... from Warsaw? T f u r t s o h o s t? Nazwa mojego pisma wydrukowana w środku lasu, w Arizonie wprawiła mnie w mistyczne zdumienie więc spytałem strzelca skąd właściwie wie, że tu mam być. Pokazuje mi, oprawione w plastikowy kartonik pismo Dep. Stanu sprzed 2 tygodni, zapowiadające, że tego a tego dnia, tym a tym samolotem, taki a taki mister przybędzie do L.C. i zamieszka w tym właśnie domku, a jego obowiązkiem jest zająć się mną i moją żoną. No więc jest samochód czeka, proszę,

jedziemy w lasy. Na brzeg? Rimo? Krawędź? Czego? Kanionu -

*

Przyjechała Kazia.

Jest lista 37 osób, którym nie wolno występować w tv, radio, w gazetach, i ... Właśnie, niewiadomo czego jeszcze nie wolno. Jak z drukiem, wydawaniem etc. Są tam zarówno Jerzy Andrzejewski, Antoni Słonimski, obaj Brandysowie, Artur, ja - oczywiście, Młynarski, Mikołajczyk, Wiłkomirska ... A także Sprusiński, Matuszewski i

Szymańska, którzy wprawdzie nic nie podpisali, ale ... Właściwie co? Pozatem Matuszewskiego wyrzucili z Literatury.

Jakie konsekwencje tego wszystkiego? I co się jeszcze stanie? To na pewno nie koniec.

*

Wsiedliśmy do samochodu, podjechaliśmy z powrotem do owego miejsca gdzie kończą się tory, leżą śniegi płynie strumień i gdzie stoi schronisko, gdzie kręcą się ludzie z plecakami, dokądś odchodzą dzwoniąc czekanami,

ale dokąd? Nie ma przecież gór. Otóż są. Tuż za schroniskiem. Ale rosną w dół - i tak je nazywają tutejsi indianie Hopi w swoim języku: góry-rosnące-w-dół. Tuż za schroniskiem jest żelazna poręcz, podchodzisz do niej, opierasz się o nią i patrzysz na 2000 metrów w głąb ziemi, skąd jednakże nie zieje ogień, nie leci lawa, ani gejzer, ale wręcz przeciwnie: gdy u nas śnieżyca, tam w dole słońce świeci; jego promienie przebijają się przez lecące chmury bardzo blisko nas - bo chmury pędzą tuż nad naszymi głowami, jesteś w chmurach -

przebijają się więc i szerokimi smugami omiatając zbocza w kolorze zakrzepłej krwi, fioletu, złota, rozkładają się tam na dnie na zielonych łąkach wiosenną pogodą, rozbłyskując w strumyku, który tam płynie, w strumyku, mówię, który w rzeczywistości jest rzeką szerokości Bugu - ciągle tą samą rzeką Colorado. Jaki zresztą jest widzę, gdy kamyki rozsiane na jego brzegu okazują się po bliższym obejrzeniu domami wioski indiańskiej. Jak to daleko widzę po samolocie, który nisko niziutko pod nami leci, rzucając cień na łąki, na skały.

Nad doliną zbocza, tzn. skarpy, mury, równymi, poziomymi kondygnacjami przecięte, a każda z nich inny ma kolor, inną fantazję. A po wierzchu trawy sosny karłowate, dalej [...] i lasy.

Nasz strzelec obserwował nas spod oka. Po chwili zapytał czy nie chcemy zrobić zdjęć. Nie, odpowiedzieliśmy, my w ogóle nie mamy aparatu. Lepiej się patrzy bez aparatu, to mu się spodobało. Powiedział że nas zawiezie do takich miejsc, skąd kanion jest jeszcze ładniejszy. I zaczęliśmy jeździć wzdłuż tej rime, wysiadaliśmy, aby spojrzeć

to pod takim, to pod innym kątem, a on jeszcze na zegarek patrzył i mówił jakie za chwilę światło będzie i chciał nas dotrzymać do zachodu słońca, i dotrzymał do tej pory, kiedy mgły powoli podnoszą się z kanionu, a słońce w nich czerwieni i gdy promienie barw przemienia czerwone skały zielenią, to znaczy przeniosą barwy szczegółu, w cień etc. etc.

Był to bowiem entuzjasta, ten nasz strzelec. Wieczorem przy kolacji w schronisku, na którą zaprosiliśmy go opowiedział swoje dzieje. Ma dwadzieścia parę lat, od paru lat włóczy się po

parkach narodowych jako ranger - strażnik. Nie potrafiłby żyć już w mieście. Przyroda jest jego jedynym życiem. Syn Kontradmirała, dzieciństwo spędził w różnych państwach, w bazach marynarki, na pokładzie okrętu. Nie wie co to znaczy osiąść ... Nie ożeni się chyba nigdy, bo która by z nim wytrzymała. Melanholijny. ... Przyszedł do lokalu w cywilu - tzn. w podartym swetrze, który uważał za elegantszy od munduru.

Ranek był katastrofalny, Śnieżna chmura siadła nam na głowie. Odwołano wszystkie loty

w schronisku kłębił się tłum turystów, nie można było dostać nic, nawet krzesła. Zorganizowano kolejkę etc.

*

Teraz już mógłbym tak w nieskończoność pisać. Pytanie, należy pisać to, co idzie łatwo, czy to właśnie, co sprawia trudność?

*

Obory, 25.2.

Kazia pojechała do Poznania,

Jędrek sam w domu, ja tu. Śniło mi się, żem się wspinał na zieloną górę, która u samego szczytu okazała się skorupą jak gdyby jaja olbrzymiego; zleźć nie mogłem, bo było za stromo, na domiar złego skorupa zaczęła pękać. A pies siedział w dolinie z zadartą głową i czekał na mnie.

*

Przeczytałem dziś z Montaigne'a o przepowiedniach; znalazłem ładny cytat z Horacego:

"Ille potens sui Laetusque neget, cui licet in diem dixisse:

Vixi ... "

"Ten się szczęśliwszym wyznawać nie boi, komu po dniu przeżytym przystoi powiedzieć: żyłem."

*

Wreszcie wezwano przez megafony osoby, które miały odlecieć tego dnia do Phoenix - nas między innymi. Było nas razem czworo - jakiś starszy pan bardzo rozbawiony lotem awionetką w głąb kanionu, jakiś młody fotograf amator i my. Zajechaliśmy na lotnisko i tam

cisza. Żadnego rumoru, ani jednego samolotu, nic nie startuje, nic nie ląduje, cisza jak na dalekiej stacji kolejowej. Mija godzina, pytam wreszcie kogoś z obsługi co z samolotem. Ma przylecieć. Ale kiedy? A niewiadomo. Jak się wiatr trochę uspokoi to wystartuje z Phoenix. Nic nie rozumiem. Jest przecież chyba jakiś radar, cóż to jest dla dzisiejszych samolotów, mają chyba jakąś łączność w powietrzu z nimi i wiedzą, czy wystartował już czy nie. Wiatr wyje raz za razem, tuman śnieżny galopuje przez lotnisko, jak stado bawołów. Potem znów cisza.

Wszyscy siedzą spokojnie, a ja wstydzę się już pytać. Wychodzę na płytę, nasłuchuję leci czy nie leci. Nic nie leci. Owszem coś zaterkotało, wylądowała awionetka i podskakując na wybojach przytoczyła się do pawilonu. Ktoś kiwa ręką z kabiny i woła "come on ...", nasz wesoły pan, i fotoamator idą - to właśnie nasz samolot! Dopiero przypomniałem sobie co mówił John B., asystent Engle'a, przy ustalaniu programu: że trudno o połączenie z Gr. Canyon do Phoenix, że raz dziennie coś tam lata, ale niewiadomo całkiem co.

Otóż to: sześcioosobowy, dwumotorowy samolocik, w którym trochę trudno utrzymać się na fotelu. Odbyłem tę podróż jedną ręką uczepiony fotela przede mną, drugą fotela obok, nogą opierając się o drzwiczki. U moich stóp na podłodze siedział fotoamator, któremu lepiej było w tej pozycji fotografować widoki i nie ryzykować, że zleci z fotela razem z aparatem, obok mnie moja żona, którą asekurowałem ciałem, przed nami wesoły pan, który gadał przez cały czas oraz dwóch pilotów. Pan wtrącał się do pilotowania, radził, żeby teraz wziąć się na prawo, albo podnieść się trochę bardziej w górę, fotoamator pstrykał a samolot to podnosił się w górę, jak piłka kopnięta, poczem ześlizgiwał się - bokiem z jakiejś niewidzialnej góry powietrznej - a pod nami preria tu i ówdzie przebita czarnymi chatkami, preria najpierw ośnieżona, a potem, w miarę jak oddalaliśmy się od gór a przybliżali do pustyni Arizona owianej już ciepłem wiatru od zatoki meksykańskiej, coraz bardziej zielona.

Potem wyrosły przed nami góry - niełądne, szare, porośnięte z

rzadka, dymiące chmurami, samolot targa się raz za razem jak spłoszony koń, i w chmury wlecieliśmy, a gdyśmy się wydobyli z nich otworzył się przed nami słoneczny kraj. Góry były ostatnią zaporą przed gorącem dopływającym tu spod tropików. Wylądowaliśmy podskakując wesoło na kolorowym, ruchliwym lotnisku. Zewsząd kłaniały nam się, szarpane ciepłym wiatrem palmy, potrząsające pióropuszami jak na wiwat.

*

Największe moje nieszczęście, najdotkliwsza plaga: chwile roztargnienia zupełnie jałowe i którym kresu nie ma. Męczą mnie, rozstrajają, zabierają czas, odbierają energię i ochotę do pracy. Boże, żebym się z tego mógł wyleczyć! Czy to jest tylko siła woli? Powinienem wynaleźć jakiś sposób mechaniczny na zahamowanie biegu myśli, gdy już raz się ten bieg zacznie. Jaki? Najlepszy: nie ustawać ani na chwilę w czynnościach - jakichkolwiek. Pisać nawet kiedy nie mam nic do napisania - i tak

potem poprawię. Albo wyrzucę. Lepiej napisać idiotyzm, niż nic. Albo czytać - cokolwiek. Albo wyjść coś zrobić ... Wszystko, byle nie siedzenie w bezruchu, ze wzrokiem wbitym w firankę.

*

Przyczyną tych roztargnień jest wyłącznie lenistwo, ponieważ zdarzają mi się zawsze wtedy gdy w pisaniu, lub przepisywaniu natrafiam na najmniejszą trudność. To są po prostu ucieczki, przed wysiłkiem myślowym.

Obory, 26.2.

Co to wszystko znaczy? Po co ta cała nowa Konstytucja, po co lista proskrybowanych, po co w Konstytucji i w przemówieniach absurdalnie brzmiące gwarancje ochrony hymnu, godła i języka polskiego? Czyżby, oni naprawdę dążyli do ściślejszego połączenia demo-ludów w organizację jednolitą i podporządkowaną ZSRR także w kategoriach dotąd względnie autonomicznych, takich jak polityka bezpieczeństwa i kulturalna?

To jest możliwe. Po pierwsze

mogą to zrobić z obawy przed rozprzestrzeniającą się i pogłębiającą schizmą w ruchu komunistycznym. Po wypowiedzeniu posłuszeństwa ZSRR, komuniści francuscy zyskali głosy. Jest to przykład dla innych partii komunistycznych. Może nie byłoby to dla ZSRR tak groźne, skoro woli on pertraktować z najbardziej nawet prawicowymi rządami, niż z lewicą, gdyby nie obawa, że przykład ten może oddziałać również na Komunistów w krajach przez nich rządzonych. Te partie nie mogą sobie dać rady z

dyscypliną i wydajnością pracy, duszą się od braku ludzi, zjada ich energia walki, walki o władzę. Sytuacja ich - mogą myśleć - zmieniłaby się radykalnie, gdyby odzyskały kredyt społeczny i mogły zwrócić się do rzeczywiście szerokich warstw społeczeństwa z propozycją otwartej współpracy - i odtworzeniu czegoś w rodzaju pluralistycznej demokracji kontrolowanej przez zblokowane stronnictwa. Cóż to - nie przychodzi to nikomu do głowy? Może nie w Polsce - ale na Węgrzech? A przede wszystkim przychodzi to do głowy

radzieckim ekspertom, którzy boją się satelitów bardziej, niż oni na to naprawdę zasługują. W każdym razie muszą się liczyć z procesem erozji i aby mu zapobiec dążą do "zrównania szeregów".

Drugim powodem, dla którego mogą dążyć do jakiejś ściślejszej integracji, jest obawa przed zjednoczeniem Europy. Mogą mieć na ten temat zupełnie fałszywe wyobrażenia, niemniej mogą działać pod ich wpływem.

*

Poszedłem do pałacu (odwilż i

wichura) i przeczytałem referat Breżniewa. Rzeczywiście, bardzo silny akcent położył na współpracę z krajami zwycięskiego socjalizmu. Mówił o postępującej integracji gospodarczej, o stałych spotkaniach z przywódcami, podkreślił to, że nie są one sporadyczne, lecz stanowią stałą praktykę. Dalej powiedział o współpracy ideologicznej i o spotkaniach tych działaczy, którzy zajmują się ideologią; wreszcie o współpracy w dziedzinie telewizji i radia. Przeciwstawił tej współpracy wrogą działalność

Chin i zapowiedział nieugiętą walkę z maoizmem. Co do innych partii komunistycznych, przestrzegł je przed nacjonalizmem, powiedział, że niektóre z nich tak traktują internacjonalizm, że niewiele z niego zostało. Nie wymieniał żadnej. O światowej Konferencji Komunistycznej bąknął tak, jakby tego inni chcieli a ZSRR w zasadzie się na to zgadzał. Wyśmiał tych, którzy sądzą, że odprężenie oznacza dla ZSRR wyrzeczenie się popierania walki narodowo-wyzwoleńczej i klasowej.

W sumie była to mowa utrzymana w trybie twardym, pełna przemilczeń, tabu, i kłamliwego samochwalstwa. Mowa pozbawiona elementów programowych zarówno w polityce zagranicznej jak wewnętrznej. Mowa stagnacyjna. O rolnictwie radzieckim powiedział dwa zdania: susza i bohaterska praca - ale co z tego, jakie rezultaty - nic! Ciekawe, że podobnie bezprogramowa, ogólnikowa i nijaka była mowa Gierka na plenum KC. Dziwne, jak gdyby czekali na coś.

*

No, dobra, revenous a naos moutons.

Jestem więc w Phoenix. Pan starszy. Arizona Highways. Fotografia pustyni i wielkiego kanionu.

Phoenix - miasto na pustyni.

Pustynia wesoła. Wiatr. Kaktusy. Architektura.

Duch kolonizatorski. Imigracja. Turystyka, powietrze i czyste niebo.

E, bzdury.

Ale jakie wiadomości o tym mieście? O osiedlaniu się tam? O

architekturze?

*

Ileż jest tych Ameryk? Ta różnorodność pasjonuje mnie od samego początku. Uderzenie w N. Jorku, w China Town, kiedy po drugiej stronie ulicy Włosi świętowali San Genewe. Ale to różnice narodowe ... Natomiast te różnice całej atmosfery: to dynamiczne dorobkiewiczowskie Denver skupione, quasi totalitarne Utah, tak rozluźniona Kalifornia, na koniec Arizona, gdzie panuje - tak mnie się przynajmniej zdaje -

nieustanna euforia. Zresztą nie dziwię się - bo powodów jest mnóstwo. Njpierw klimat słońce, wiatr - lekkość tego powietrza, szybkość tego wiatru, jego lotność. Zresztą nie wiem. Pan starszy, redaktor Arizon Highway zabrał nas za miasto na pustynię. Zatrzymał się na stacji benzynowej już na skraju pustyni. Wyszedłem z samochodu, poszedłem trochę w stronę piasków ... poczułem naprawdę skrzydła u ramion. Jest to coś mistycznego. Przypuszczam, że znają to też ludzie żyjący na stepach Ukrainy. Pustynia do niedawna była groźna, teraz dzięki klimatyzacji, stała się mieszkalna, i okazała się fantastycznym rezerwatem zdrowia. Leczy gruźlicę, reumatyzmy, choroby serca, nerwice, Bóg wie co.

Ciekawe jak tu ludzie żyją. Całe to południe, jest dla mnie tajemnicą. Zdaje się, że tam stosunkowo najłatwiej osiągnąć wysoki standard życia. Ale, osiedlenie się tam oznacza skazanie się na pewną prowincjonalność. Ludzie tam poświęcają wiele wysiłków, aby swemu życiu nadać zewnętrzny blask. Zresztą niewykluczone, że

w niedalekiej przyszłości Arizona będzie tym co Cote d'Azur - środkiem eleganckiego świata. W każdym razie jej hotele, miasta przekraczają wszystko co w tej dziedzinie zrobiono w Europie. Arizona ma wszystkie dane, aby stać się " [...] ", światowej turystyki. I wydaje się na to przygotowana. Narazie tamtejsi mieszkańcy zjadają sami ten bankiet, który przygotowali i nawet dla Amerykanów cuda jej przyrody i architektury są niedostępne.

*

Znalazłem przed chwilą na egzemplarzu "Typów psychologicznych" Junga, tekst, który musiałem napisać w chwili podniecenia, i który wygląda na zapiskę wariata. Jestem bliższy demencji niż sądziłem.

*

Zadałem pytanie, ile jest tych Ameryk; otóż cudowną stroną tej podróży jest ustawiczna zmiana krajobrazów, klimatów i usposobień społecznych. Układa mi się w rytm podróży

filozoficznej i gdyby nie obawa popadnięcia w pretensjonalne stylizatorstwo, opowiadałbym to stylem wolteriańskim.

Co by powiedział Kandyd o Arizonie? Nic, rozejrzałby się za jakąś skałką, gdzie by usiadł w nadziei, że to zdrowe powietrze, piękne widoki, zamożność mieszkańców, głośno objawiających swe zadowolenie z życia i tak wiele energii poświęcającego na jego uprzyjemnianie, pomogą mu w rozmyślaniach. I usiadł. I po pewnym czasie nadojadło mu życie bez konfliktów i kontrastów.

Głupia bajeczka. Przypomniała mi się jazda do Anamozy. Kac i obrzydzenie na widok tylu świeżo malowanych domów. Potem więzienie. Chłopak grający sobie na gitarze. Cele - klatki, zakręcane korbą.

I co z tego? Chłopcy, którzy tam siedzą, najczęściej nie mogą wytrzymać tej właśnie aseptyczności życia amerykańskiego. Odczuwają te same mdłości, które ja poczułem. Minie im ta choroba, gdy sami zaczną budować domy, czy też w całej generacji, która nastąpi po tej budującej, objawią się te

destrukcyjne dążności. Czy autodestrukcja należy do systemu biologicznego? Wszystkie moje upodobania są po stronie ładu zewnętrznego, wszystkie moje sympatie po stronie buntowników. Ileż razy doznawałem nudy wędrując alejkami Iova City, albo gdzieś na Long Island ... Tu w Arizonie dochodzi do jakiegoś apogeum, tu czystość, ład osiągają rozmiary niesamowite. Ale gdyby mnie kto zapytał czy chcę, żeby tak Polska wyglądała, odpowiem: tak! Ale gdy mnie kto spyta, czy wiem, że zrodzi się wtedy pokolenie, które będzie od tego

uciekać, i psuć co ojcowie zrobili, odpowiem: wiem. I czy godzę się na to? Tak. Bo dobrze jest gdy społeczeństwo osiąga ekstremów i gdy się tworzą między ekstremami napięcia.

*

I dalej, i dalej. Odlot z Phoenix - piękne dziewczyny z pistoletami. Dallas, Houston, New Orlean - wędrówka. Zjeść Świat. Wędrówka w poszukiwaniu pastwisk, łowisk, chleba, złota.

Wędrówka w poszukiwaniu myśli (średniowieczna wędrówka

intelektualistów).

Wędrówka w poszukiwaniu wrażeń.

Wędrówka po świecie, zamiast w głąb siebie.

Czy nie oszalałem? Czy nie oszalał Paul Eagle, że wyciąga poetów z domów i każe im uganiać po świecie.

Kto kogo używa: my - środków transportu, czy środki transportu używają nas? Ktoś musi latać tymi samolotami, których jest aż tyle w powietrzu (Dallas, Chicago). My korzystamy z nowych urządzeń, czy one nas używają. Wariactwo. Stary piękny

New Orleans. Starzy, mądrzy murzyni w zaśmieconej salce. Stare Missisipi. Jej dostojeństwo, jaka była pod Dubugne jaką była pod Hannibal, i jaka jest tu. Rzeka, która stworzyła Stany Zjednoczone. Ona i Góry Skaliste.

*

Powrót. New York City. Wspomnienie jak go oglądałem nocą, niby odkopane z ruin miasto. Płynę dokoła niego. Jego rozmaitość. Na końcu, dwa słupy WTC. Przecholowali, czy nie?

Wspomnienia wież w Laory.

Budowali 200 lat i nie zdążyli.

Tu 200 lat temu nie było nic.

Potem dowiedziałem się, że Jean Petit przeszedł po drucie między tymi wieżami. A to bezczelny gówniaż!

*

To już staje się nie do zniesienia: każda chwila zastanowienia nad tekstem, który mam napisać zanosi mnie, tzn. moją myśl, na zupełne manowce, i w ten sposób już nie minuty i godziny, ale lata mi zbiegają!

Pisać bez przerwy byle co,

byle jak, aby bez przerwy, a potem tylko poprawiać, poprawiać, w nieskończoność poprawiać, traktować pisanie jako obronę przed rozkojarzeniem, przed schizofrenią. Jako czynność przymusową, jak żucie gumy, albo palenie papierosa. Pisanie nie jest pracą, ale czynnością automatyczną; redakcja jest pracą.

*

27.2.

Czytam "Czarodziejską górę". Nie wiem po co. Świetny opis

sanatorium, świetne typy, humor - oto co zostało. Dyskusja Naphty z Settembrinim oraz całe królowanie Hansa Castorpa jest martwe. Dlaczego? Bo antynomie tam użyte, przestały być antynomiami. Generalna antynomia: życie - śmierć, oczywiście, istnieje, ale wszystkie pochodne od niej pozmieniały miejsca.

*

Słoneczny dzień, wiatr wieje, jest dość chłodno. Błoto leży wszędzie i nie można wyjść na

spacer, na który właśnie dziś mam ochotę. Poszedłem tylko do PGR-u po słoniny kawał dla moich ptaszków. Ten co poprzednio powiesiłem, dziś w nocy znowu zniknął. To pewnie znów sprawka kota, albo psa pani Neumannowej, którego słyszałem wczoraj wieczorem szczekającego w pobliżu.

*

Opis sanatorium, typy ludzkie, humor - oto co zostało z "Czarodziejskiej góry". Liryzm i metafizyka wyparowały

doszczętnie. Czy to jest reguła? Może, tak jest zawsze, że choć wzrusza nas liryzm nowych dzieł i najbardziej zastanawia ich sens metafizyczny, lub myśl moralna, znamię trwałości mają tylko te, które kryją śmiech? Czy to nie sprawdza się w całej literaturze. Czy nie dotyczy w takim samym stopniu Homera, Szekspira, Montaigne'a, Dostojewskiego i Kafki?

Ale o jaki to humor chodzi?

Co jest śmieszne w "Czarodziejskiej górze"? Np. lokaj odganiający muchę od zwłok dziadka? Dlaczego jest śmieszne i

wspaniałe? Bo zostały uprzednio wyzyskane wszystkie szanse powagi. Inaczej: ponieważ powadze dano wszystkie szanse. Podobnie jest z epizodami i postaciami "Berghofu". Pani Stóhr ze swoimi błędami językowymi, złymi manierami, wścibstwem etc., byłaby pospolitą idiotką, nie wartą uwagi - postacią z farsy - gdyby nie kontekst w jakim się zjawia - kontekst śmierci, choroby etc. A najśmieszniejszy jest epizod z konsulem Tienapplem, ponieważ on sam i jego kilkudniowy pobyt w Berghofie jest parodią pobytu Hansa: ma on nawet swoją panią

Chauchot - panią Redisch z Poznania.

Ale, na litość boską, co z liryką i metafizyką, jeśli tak lekką ręką odganiamy wszystko? Co z powagą? Chodzi o to, że powaga odnawia się wciąż i coraz to nowych potrzebuje pożywek, podczas gdy śmiech jest wciąż ten sam. Bo śmiech jest z natury, a powaga z ducha. Duch podlega odnowie, natura trwa.

Naturalnie, nie mówię tego poważnie.

*

Na lotnisku w Phoenix pożegnały nas uzbrojone dziewczyny, które dokonywały "anti-hijaching check". I dalej, i dalej. Do Texasu, stamtąd do Nowego Orleanu w Louisianie, stamtąd ponad całymi Stanami do Chicago z powrotem do Cedar Rapids, i do Iova City. A gdzie tu żagle? Gdzie piękne podobno zatoki morskie u brzegów Karoliny? A Wirginia, której skrawek tylko widziałem na początku jadąc z Washingtonu do Mount Vernon, miejsca urodzenia i śmierci Jerzego Waszygtona? Pod nami Missisipi, wzdłuż niej

lecimy. Widziałem ją na Północy koło Dubayne - płynąłem jachtem, miałem strasznego kaca, dama wyprowadziła mnie na dach i kazała przejść dokoła, samą krawędzią, żeby wydostać się na dziób i stamtąd obserwować rzekę. Wykonałem to. Niech jej Bóg przebaczy, skąd miała wiedzieć co się we mnie dzieje. Zostawiła mnie tam. Nie dziwię się. Musiałem być plagą z uśmieszkiem przylepionym do ust. Słowa nie umiejący wykształcić. Za to wpatrzyłem się w rzekę i w jej brzegi. Była bura, wezbrana. Płynęła wieloma nurtami, wymijając wyspy porośnięte zagajnikami, w zatokach stała lub płynęła w przeciwnym kierunku. Niosła zatopione drzewa. Poczerniałe, spruchniałe, wynurzały się z toni jak rekiny. Brzegi miejscami były urwiste, ukrywały skałę łupkową, żółtą, a lasy czerwone, winne połyskliwe. Była jesień. Potem ją zobaczyłem na wiosnę w Missouri, gdyśmy z Davidem jechali zobaczyć Hannibal, rodzinne miasteczko Marka Twaine'a - ów St. Petersburg z "Przygód Tomka Sawyera". Po K..., gdzie skręca, wyglądała jak morze - dalej była

jakgdyby olbrzymią drogą, wzdłuż której nasza biegła - jak dodatek do niej, miasteczka przez które przejeżdżaliśmy, wszystkie zdawały się z niej tylko żyć, nią tylko zajmować. Domy do niej frontem zwrócone, a główne ulice biegły nie środkiem miasta, lecz brzegiem. Tu były sklepy, warsztaty, zakłady etc.

Tyle, że puste. I miasta zdawały się opustoszałe. Bez szans. Jedno Hannibal żyje - dzięki Tomkowi i Huckowi.

Aż na koniec zobaczyłem ją w Nowym Orleanie. Wychodzi się z dzielnicy francuskiej (która

naprawdę jest hiszpańska co do architektury i charakteru), trzeba obejść katedrę św. Ludwika (barokową), przejść przez plac z pomnikami, kwietnikami etc., i pozostawiwszy za sobą ten Paryżek, czy Madrycik, których całą urodą poza śliczną architekturą stanowią nb. murzyni dmiący w swoje saksofony i walący w swoje perkusje, pozostawiając więc to miasto niepoważne, na pokaz, wychodzi się na falochron, który jest od katedry o 300 metrów i widzi się rzecz brzydką, ale poważną: do morza leje się potworna masa

brudnej wody, niosąc śmieci i statki. Dokoła składy, śluzy, bocznice kolejowe. To jest ujście. Missisipi. Missisipi stworzyła i utrzymała w jedności Stany Zjednoczone.

A tak: Amerykę północną odkrywano po kawałku. Le Selle przepłynął ją od razu całą - właśnie z biegiem Missisipi i cały pas ziemi położonej wzdłuż rzeki zajął dla Francji. Tyle, że Francja nie była zainteresowana osadnictwem, a tylko portami nad zatoką meksykańską. Dla kontrolowania Missisipi. Potem Napoleon sprzedał to wszystko

Stanom, które za jednym zamachem, za cenę 15 milionów dolarów zagarnęły olbrzymie terytorium sięgające teoretycznie aż po Pacyfik, tyle, że na drodze do niego były prerie, góry, pustynia i Indianie.

W czasie wojny domowej Missisipi utrzymała jedność. Jest jedynym szlakiem wodnym łączącym północ z południem. Szlakiem, na którym bawełna plantatorów z południa spotykała się z drzewem i węglem Pensylwanii, kukurydzą Iova, pszenicą i tytoniem Kentucky.

Missisipi odegrała podobną

rolę w dziejach Stanów, jak Wisła w dziejach Polski - była kręgosłupem.

Drugim były Góry Skaliste. Dwa kierunki, dwa trendy naturalne tworzą Stany Zjednoczone: wschód - Zachód, coast to coast, i Sud-North, z biegiem Missisipi i Colorado. East-West to ekspansja, new territories, new frontieres; Missisipi to handel. Rocky Mountains to tajemnica, romantyka. Drogowskazy na drogach, kierunki jazdy autobusem Grayhund. Nawet kierunki ulic.

*

Lecimy więc North. Widzieliśmy: ... Nie widzieliśmy. Podróż wytwarza zachłanność. Zjeść świat.

Dlaczego nas tak nosi po świecie? Może dlatego, że tyle naprodukowano tych samolotów? Tak samo może po to przyjechaliśmy do Iova City, żeby się ktoś zamieszkał w Hotelu "Mayflower"? Kto kogo użycza naszej cywilizacji, czy nasza cywilizacja użycza nas?

Wędrówka po świecie, zamiast

wędrówki w głąb siebie? Średniowieczni intelektualiści wędrowali w poszukiwaniu myśli. Po co my wędrujemy? Po co nas tu ściąga Paul Eagle, po co tylu ich się miota po świecie - Katoliki w Nowym Orleanie, Żydy w Nowym Jorku, w Denver też jakichś widziałem, ... Po co? Lotnisko w Chicago - kompletnie zatkane.

Co widziałem? Rozmaitość. Nic. Tylko to: rozmaitość rzeczy, ludzi, szans.

Ameryce się udało. Jeszcze nie wiadomo co tam się stanie, ale jest, stoi. Nowy Jork widziany z

morza. Rozmaitości od nędzy, do dziwactw i wspaniałości - w końcu dwa świetliste słupy WTC.

Wspomnienie wież w [...] .

*

Treść duchowa. Objawiła mi się w okresie dojrzewania wraz z lękiem, jaki budziło we mnie życie, i zniknęła, gdy mi poszło łatwo. Nie boję się już życia i nie boję się jeszcze śmierci i nie ma we mnie nic wewnętrznego poza niejasnym pragnieniem, aby żyć "głębiej", i poza silnym poczuciem winy z powodu tego,

że żyję płytko. Wydaje mi się czasem, że zamknęła mi się wyobraźnia na rzeczy sztuczne; że nie troszczę się już po prostu o to jak długo żyć będę i dokąd uda się po mojej śmierci ten ktoś kto jest we mnie, z kim rozmawiam, i kto, jak mi się wydaje nie powinien umrzeć. Nie troszczę się o to i nawet śmierć jego, gdyby mi ją oznajmiono przyjąłbym obojętnie nie protestując, albowiem oduczyłem się już walczyć o wszelką sprawiedliwość, w tym także zaziemską. Zresztą nie bardzo chcę wiedzieć; ta prawda, jak i inna, stała mi się po prostu

obojętna. Cóż od niej zależy? Czyż nie posiadając jej nie potrafię cieszyć się chwilą? A może, może - okropna myśl przyszła mi do głowy - zapomniałem jak wygląda radość i ten stan pół smutku, w którym żyję, nie sprawia mi przykrości.

Radość? Radość poznania? Radość piękna? Radość prawdy? Radość spełnionych pragnień? Osiągniętej sprawidliwości? Radość wolności? Radość wiary, i wiara w radość, jako ostateczny cel istnienia? Zaznać jej i podarować ją drugim, a odnajdę drogę do zbawienia. Muszę sobie

przypomnieć czy jej zaznałem kiedy przedtem.

Obory, 28.2.

Wczoraj na kempie długie, spokojne, niczym niezakłócone rozmyślania o radości jako celu istnienia.

H.T. znała J.A. W Kielcach. Jakie J. miała oczy? H. twierdzi, że czarne. Ja mówię, że jasne. Ale zdaje mi się H. ma rację. Nie pamiętam! Tzn., że to nic ważnego.

Wciąż ten sam brak ochoty. Wciąż ten sam okropny wysiłek

zmuszania się do wszystkiego: do wstania, do ubrania się, do pracy. Tylko do jedzenia siadam chętnie i spać kładę się z radością o każdej porze. Nawet w dzień.

Mało miałem radości w życiu i dlatego nie wiem nawet czego mogę pragnąć.

Mało? Czy też nie umiałem się cieszyć? Gdzie jest ta radość? W rzeczach, czy w naszym usposobieniu? Oczywiście, w usposobieniu bo wielu jest ludzi niezdolnych cieszyć się tym, co komu innemu sprawia najżywszą radość.

*

Na brak ochoty do życia nie ma innego lekarstwa jak przymus.

Zresztą to nie jest brak ochoty do życia; to jest brak ochoty do ponoszenia jego ciężarów. Czyli gnuśność, lenistwo jak to jeszcze nazwać, najobrzydliwsze z przestępstw, któremu staramy się nadać jakieś ładne imię. Tylko przymus.

Warszawa, 4.III.

Co to ja o tej radości myślałem?

Pomyślałem najpierw o radościach dzieciństwa. Co sprawiało mi najżywszą radość? Nowe zabawki. Dlaczego? Z ich pomocą stwarzałem świat, który był ode mnie zależny, i z którego strony, nie doznawałem żadnych oporów. Marzyłem o tym, aby tą moją władzę rozszerzyć; aby ołowiani żołnierze ożyli i pozostając nadal tak małymi jakimi byli jako ołowiane figurki. Czy to władza sprawiała mi rozkosz, czy też po prostu brak oporu?

Chodzi o jedno i to samo. Wszystko co później sprawia

rozkosz, to również brak oporu - sprawdza się nawet we wrażeniach estetycznych.

A przyjemność pokonywania oporu?

To co innego - chodzi mi o stan radości, spełnienia - ten przychodzi tylko po pokonaniu wszystkich trudności.
Obcowanie z Bogiem - partycypacja w jego wszechmocy, a zarazem Bóg wszystko może zrobić. (Por. Baudelaire: une grande prostituce).

8.3.

Moja rzeczywista pasja: Bóg.

Nigdy się od niej nie uwolnię. Chyba z życiem, i wolą życia razem. Tak się stało.

*

Andrzej Kuśniewicz: Trzecie Królestwo. Cała dziwność, całe szaleństwo współczesnego świata; terroryści, hippisi, narkotyki, zatrucie ziemi i powietrza. Koniec świata.

Leopold Buczkowski: Oficer na nieszporach. I wojna światowa i eschatologia. Spekulacje kabalistyczne.

Józef Hen: Crimen. Polska XVII wieku: Z okresu anarchii szlacheckiej.

Andrzej Stojowski: Carskie wrota.

B. [...] : Powódź - wspaniałe opisy przyrody, i gówno.

J.J. Szczepański: Przed nieznanym trybunałem. Szkic o Koloseum, o Mantonie.

14.III.

Gide, Huizinga, Jammes, Karamzin, Kasprowicz, Maine de Bizan, Restif de la Bretonne, Rilke, Błok, Blake, Carlyle,

Churchill, Conrad, Cousin, Eliot George Spinoza, Sterne Lawrence, Twain, Voltaire, St. Zweig.

*

1. 45 min lektury filozofii.
2. 45 -"- -"- poezji (*) Lub prozy pięknej, traktowanej jak poezja.)
3. 45 -"- -"- historii.
4. Dopiero potem możesz zabrać się do pracy obowiązkowej.
5. Kończysz dzień obowiązkową notatką w dzienniku.
6. Do poduszki tylko lektura w językach obcych.

*

16.III. - północ.

Beznadziejny dzień: Kazia w domu zagrypiona, Jędrek spał do południa. Wypełniałem kwestionariusze do wizy francuskiej, oglądałem mapę Hiszpanii. Telefon od Julii, że Artur chory. K. znowu coś pokręciła. Diabeł w nią wstąpił. Najder też chciał, żeby go wieźć do Konstancina. Jazda do konsulatu hiszpańskiego. Przeniesiony. Idiotyczny obiad. Paplanina bab Jahody i Głowackiego. Latanie za sprawunkami. Kiełbasa i pastylki emskie. Niech ich piekło pochłonie z ich sklepami. Godzina szukania zasranych pastylek. Pisanie 1,5 godziny. Ćpanie kiełbasy. Kino i Widmo wolności Bunuela. Niby dobre, a puste zupełnie. Idiotyczna przemowa. Joasia jest gęś. Stryjkowski, Matuszewski to półinteligenci. Wszyscy jesteśmy idioci. Mam tego dosyć.

18.3.

Planu, oczywiście, nie

wykonuję, a to dlatego, że wstaję za późno, i za dużo mam spraw do załatwiania na mieście. Wczoraj wizy, redakcja, wożenie Kazi, dopiero wieczorem przysiadłem na godzinę. Jedyny stały punky dnia to czytanie Nowego Testamentu po angielsku. Czytam [...] of Apostoles - okropna lektura. Chwilami mam wrażenie, że mam do czynienia z gangsterami. A ta masa głupstw, które wygadują! Ta cała atmosfera histerii i fanatyzm wokoło! ...

21.3.

Grypa. Bez gorączki. Śnieżyca. Wybory. Wszyscy w domu. Zadławię się nienawiścią.

30.III.

Znowu ten sakramencki Dedal.

O czym? Powiadają, żebym napisał o "Konfrontacjach", ale co to za sens, Nie ma o czym pisać.

*

Nic mi do głowy nie przychodzi. Przejrzałem gazety i też jakoś nic.

Jerzy A. pisze o wynalazkach

....

13.4.

Dedala napisałem chyba o niczym, bo nawet nie pamiętam o czym. A tu właściwie już nowego trzeba pisać.

Paszportu mi odmówiono. Oczywiście, "podjąłem starania".

Z książką o Ameryce już nie zrobię nic więcej. Dziś zaniosę tak jak jest. A jeśli przyjdzie mi ochota dopisać rozdział o dalszych lotach i objawieniach (Wielki Canyon, Phoenix, New Orlean), dopiszę. W tej chwili nie jestem

już do tego zdolny.

Co dalej:

1. Książka o Gombrowiczu. Wydaje mi się, że nie mam już nic do dodania

30. do tego co napisałem o "Pamiętniku z okresu dojrzewania".

Co pozatem mam:

30. Baudelaire.

20. Obcy.

10. Droga królewska.

10. Pamiętniki Malraux.

10. Z dawnych Dedali to co o krytyce.

Nowe eseje! Melville, Miller, Durell, Conrad, Reymont,

Stendhal. 2. Wydać, a w każdym razie złożyć scenariusze.

1. Modrzejewska.
2. Chopin. (dwa?).
3. Dembowski. (?).
4. Mgła.
5. Hübner?
6. Kondratiuk?
7. Konrad Wallenrod?

3. Przekład Cabanisa (szybko!). Esej o Saint Simone, Racinie, Pascalu, Port Royal etc. O despotyzmie, grzechu i świętości. Przetłumaczyć następnie Saint-Beuve'a o Post-Poybe i co się da z epoki poza literaturą piękną.
4. Biblioteka romantyczna. To aby

utrzymać łączność z polską literaturą.
5. Przeprowadzka.

Święty Brandon.

Camilla II czyli powieść o domu na Warszawskiej. W stylu Joyce'a "Pamiętnika". ...

24.4.

Chrystus był jednym z nas i podawał się za Syna Bożego. Mówił, że ma władzę nad niebem i ziemią. Podzielił się z nami ciałem, krwią i cierpieniem. Uczynił nas Synami Bożymi, wzbudził w nas boski instynkt,

boską krew pobudził do krążenia. Przeniósł Boga z zewnątrz do wewnątrz serca człowieczego - każdego serca.

Doktryna chrześcijańska jest interpretacją, nauki Chrystusa w duchu pogańskim: z człowieka, który zrozumiał, że jest Bogiem, zrobiono Boga, który przez jakiś czas udawał człowieka.

Madryt, 16.5.

Podróż nic nie zmienia. Rzeczy pozostają takie same. Zamyślenie przed ołtarzem w Sewilli jest takie samo, i na ten sam temat co przed ołtarzem w Wildze. Sosny w Sierra Nevada w Andaluzji szumią (tym samym) smutkiem co sosny w Wildze. Podróż jest tylko nauką o proporcjach i utwierdzaniem w pewności, że prawda ukryta jest w głębi: "choćbym ... etc. ... a miłości bym nie miał ... nicem nie jest. Tajemnica miłości ile można dać siebie, ile żądać wzamian? Rachunek nigdy nie zostanie wyrównany. Ale przecież: nie ma miłości bez pragnienia szczęścia, które ono daje. Jedyna miłość możliwa: która ma Boga za arbitra. Bóg wyrównuje straty. Ale

jeśli nie wierzysz w Boga? Jesteś nieszczęśliwy ... Bóg jest źródłem szczęścia jedynym nie dlatego, że "wyjaśnia" tajemnicę istnienia - początku, dalszego ciągu (po co nam ta tajemnica?) ale dlatego, że wyrównuje straty poniesione w miłości. To nie jest prawda, że Bóg jest koniecznością poznawczą, że rodzi się z niedoskonałości poznania. Rodzi się z miłości, jest koniecznością miłości, jest miłością!"

*

Rozpacz i idiotyzm udawanej

miłości: tajemnica Chrystusa, który dał się ukrzyżować dla "tej istoty"! Dla tych, co chcieli cudów, chleba, potęgi i na koniec Barabasza!

Wilga, 5.6.

Szczęśliwy wieczór. Żaby rechotają, w słupku od bramy, wylęgły się pliszki, Jędrek ślęczy nad jakimś przekładem, Kazia czyta Konwickiego, ja zaś chodzę między sosnami ze szklanką w ręce i piję whisky do księżyca.

Piję wciąż na ten sam temat: siebie i Boga.

Czytałem wczoraj historię Hiszpanii. Wizygoci byli Arianami. Dopiero zdaje się król Recarade przyjął doktrynę rzymską i wprowadził kler katolicki oraz łacinę.

Wilga, 8.6.

Początek mógłby być taki:

"Jestem Polakiem. Jestem bardzo dumny z tego, że jestem Polakiem. Polacy od wielu wieków mieszkają nad Wisłą i Odrą. (W dorzeczu Wisły i Odry). "

Wilga, 9.6.

Muszę to zapamiętać:

nie stać mnie na "wielką opowieść", nie mam na nią siły, odpadnę po 50 stronach. Jestem natomiast mistrzem krótkiej formy, notatki, felietonu. Z krótkiej formy trzeba zrobić wielką. Pisać to, co dotychczas pisałem, ale zbudować konstrukcję. Książka powinna być wielkim cyklem felietonów, wypchanych materiałami. Cykl myśli spostrzeżeń, budowanych z krótkich haseł, jak np. "smutni ludzie wydają z siebie radosny

wrzask".

*

1. Kłamstwo. Co to jest.

No, najprościej: świadome przeinaczanie prawdy. (*) Ciekawe, czy są inne definicje.)

Czyli kłamca jest kłamcą wtedy tylko, gdy zna prawdę, a świadomie ją przeinacza. Np. urząd, który podaje fałszywe statystyki, przedsiębiorstwo, które poprawia wyniki na swoją korzyść, rząd czy jego odpowiedni organ, który fałszuje wyniki wyborów, a następnie poddający

je interpretacji. We wszystkich tych wypadkach prawda jest dokładnie znana, i kłamstwo wymaga tu pewnej operacji - np. zniszczenia lub ukrycia prawdziwych cyfr. W tych wypadkach liczba osób znających prawdę jest bardzo ograniczona. Inni, zarówno ci, którzy się nimi posługują, dla interpretacji, jak i ci, którzy są odbiorcami owych interpretacji, mogą się tylko domyślać fałszerstwa, przy czym wątpliwości ich są dwustronne i wątpią nie tylko w owe cyfry, lecz także nie są pewni własnych wątpliwości. Wątpią nie tylko w

prawdę, która im została podana, ale także w tę, której się domyślają. Dodam, że korzyść płynąca z takiego kłamstwa może zmienić pogląd na jego istotę w pierwszym rzędzie na tych, którzy się go tylko domyślają, a następnie nawet na tych, którzy go dokonali. Albowiem w formowaniu się każdego przekonania bierze udział wiara, pragnienie korzyści. Jest ono, jak sądzę silniejsze od pragnienia prawdy. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że jest ono pierwotne.

Pragnienie prawdy, przywiązanie do prawdy, dążenie

do prawdy, praca nad jej wykonywaniem zrodzić się może wtedy tylko gdy jej korzyść z nią się wiąże i od niej zależy. Tak jest w naukach, naukach ścisłych mianowicie, w których nie często zdarzają się wypadki fałszowania prawdy; dzieje radzieckiej biologii za dyktatury Łysenki są jednym z takich przypadków. Innym, niemniej słynnym, jest historia astronomii po potępieniu przez Kościół teorii Galileusza i Kopernika.

Warto może przypomnieć te wydarzenia. I te niedawne, i te dawne, nie dla usprawiedliwienia

dawnych, lecz dla ukazania tła psychologicznego, na którym mogły powstać.

Ale powtarzam, są wyjątkowe i niewiele więcej dałoby się takich przykładów znaleźć. Walka o prawdę w fizyce? Albo w matematyce? Jak to było z negowaniem teorii Einsteina? Rzecz dotyczyła raczej hypotezy, lub ich filozoficznych implikacji. Inaczej z psychologią, niewiadomo jednak, czy jest to nauka ścisła, podobnie jak socjologia, gdzie takich fałszerstw lub przykładów uporczywego negowania faktów jest znacznie więcej. Przypomnijmy bodaj sprawę "pokoleń"; albo dyskusje na temat pojęcia klasy. Im bliżej ideologii, tym więcej kłamstw, albowiem ideologia łączy się już z korzyścią jaką osiąga ten, kto się nią posługuje, oraz ten kto w nią wierzy.

Najwięcej jednocześnie kłamstw spotyka się w naukach historycznych, co na historię rzuca szczególne światło. Może w ogóle nie jest nauką, tylko sztuką wykorzystywania przeszłości na rzecz teraźniejszych i przyszłych celów.

Wilga, 13.6.1976.

A może tę książkę, którą wciąż zbieram się napisać, tzn. zacząć, już napisałem, a przynajmniej zacząłem pisać?

Te moje notesy ... Jeżeli nic w nich nie ma, to jestem osioł, a jeśli jest, trzeba z nich wybrać co najlepsze, nadać im jakąś formę, wzmocnić następnie do maksymalnych granic, życie duchowe i spisywać codziennie wszystko co mi do głowy przychodzi, nie troszcząc się zbytnio o formę. Porządkować wątki myślowe, tak jak

powieściopisarz porządkuje wątki romansowe. Wykorzystać słabości. Notatki w notesach wzięły się z niezdolności do stworzenia innej całości. Z rozpaczy i z lenistwa. Postąpię jak wszyscy pisarze przeszłości podnosząc do rangi twórczości te owoce mojego próżniactwa. Nawet nieprzepartą ostatnią ochotę do wylegiwania się powinienem obrócić na swoją korzyść i pisać właściwie w tej pozycji, która mi tak odpowiada. Proszę: te słowa piszę leżąc, i nawet pismo mam ładniejsze, wyraźniejsze.

Przepisać i odredagować notesy z 20 lat, a następnie je wyrzucić.

*

"Wieczne zmartwienie" w ogóle nie jest zmartwieniem. Natychmiast, od jutra zabrać się do przepisywania notesów, gdzie jest wszystko: "wielka książka" i sto projektów do wykorzystania.

*

Tłumaczę książkę Cabanisa o Saint-Simonie. Książka niezbyt

inteligentna i przez niezbyt wykształconego człowieka napisana, ale nic obrzydliwego. Nie lubi ani Saint-Simona, ani dworu Ludwika XIV.

W Warszawie wszyscy mówią o książce Konwickiego. Prymitywna, pewnie, ale spontaniczna, tzn. napisał ją o tym, co go rzeczywiście interesuje, i tak jak mu się podoba. Jest wiele głupstw, ale nic wymuszonego, nawet język - wygodny, potoczny, znajomy, jak popularny papieros - śmierdzi, ale w sposób, który wszyscy polubili, do którego przywykli. Książka

mnie zajęła. Nie ma w niej dla mnie niespodzianek. Niczego więcej nie spodziewałem się po Konwickim. Nie spodziewałem się tylko, że odważy się tak odkryć, on, który jest takim mistrzem kamuflażu i mistyfikacji.

Wilga, 17.6. - Boże Ciało.

Cztery upiorne dni w Warszawie: pogrzeb matki Artura, leczenie psa, transportacja Anki Baranowskiej ze szpitala, bezradne obijanie się po pokoju, który nie jest moim pokojem, ale przejściowym korytarzem, gdzie

wszystko jest pozorem: biurko tylko udaje biurko, biblioteka bibliotekę, nawet tapczan udaje tapczan, bo jest za krótki. Nie mogę tam ani pisać, ani czytać. Po powrocie stąd, gdzie mi jest dobrze tak jak w hotelu, albo gdzieś na wakacjach, muszę coś z tym pokojem zrobić, aby był bardziej podobny do pracowni.

18.6.

Skompletować eseje, tzn. dopisać do Gombrowicza:

Gombrowicz, Baudelaire - maniacy;

Malraux, Stendhal, St. Simon - świadkowie.

Wilga, 19.6.

Portrety, "charaktery", sceny, problemy.

Portrety: Jarosław, Antoni, Julek S., Jarek L., Kazik, etc., zamienione w charaktery uniwersalne.

Oddzielić wyraźnie "choses vués" i "fiction".

*

Cóż za mania, co za Słabość,

co za choroba: właściwie chciałbym być każdym, kogo poznaję. Każdą postacią, każdym pisarzem. Teraz chciałbym być Saint-Simonem.

Dlaczego nie? - jak zapytałby Stryjkowski.

I nawet wiem od czego bym zaczął: od inwektywy na starych pisarzy, których zachowanie zwiodło nas wszystkich, w latach 1945-1953. Pruszyński! Nałkowska!

*

"On discerne rerement ce qui a

changé un homme ordinaire c'est-a-dire normal, e ecrivain, quelqu'un qui met sa vie dans son écriture et pour qui ce n'est plus vivre que n'est pas écrire, ce qui est fou".

Warszawa, 22.6.

1. Sacrum.
2. Camilla II czyli desakralizacja.
3. Bunt. (Wojsko, literatura, polityka).
4. Miasto - kręgi.
5. Wkroczenie armii.
6. Próby rekonstrukcji.
7. Cierpienie w świecie

zrujnowanym, samotność bez B.

23.6.

Dzisiaj imieniny mojej Matki.

Wczoraj wróciłem do pisania Domu. Nie będę zdrowy, jeżeli tego nie napiszę.

Sny nie do zrekonstruowania: czekanie na jakiś autobus w nieskończenie długiej kolejce, w błotnistej uliczce podmiejskiej, nie w Polsce.

Ale prócz tego mnóstwo innych zdarzeń i osób - nic nie pamiętam.

Dedal o Konwickim.

Kalendarz i klepsydra.

Nie potrafię już pisać recenzji.

25.6.

Okropne rozmyślania i czytanie Karola Rahnera.

To co "muszę wiedzieć" wyniknąć może tylko z mojego postanowienia.

Akt wiary jest postanowieniem, ustaleniem swojego statusu. ...

26.6.

Bardzo dziwne rzeczy:

jednego dnia ogłoszono podwyżkę cen, nazajutrz ją odwołano, powołując się na "zastrzeżenia" niektórych załóg robotniczych. Zastrzeżenia te wyraziły się podobno, falą strajków i demonstracji.

Co ciekawe nie było w tej sprawie uchwały KC, a tylko sejmu; nie wypowiedział się w tej sprawie Gierek, a tylko Jaroszewicz. Czy kryje się za tą sprawą manewr polityczny - próba, "ustalenia" tow. Piotra? Podejrzewam, że partia z góry wiedziała, że ustąpi.

*

Do kłamstwa: jest wszechobecne, nie do zwalczenia; można z nim walczyć jedynie rozwijając korzyści wynikające z prawdy.

Tego samego dnia w Wildze.

Wczoraj robotnicy Ursusa zablokowali węzeł kolejowy. Były też strajki w innych wielkich fabrykach. Starć nie było. Dziś spokój.

*

Kłamstwo.

Moje kłamstwo w banku.

Podobne: kłamstwo statystyk, rezultatów produkcyjnych, wyników wyborczych.

Kłamstwo cyfrowe najbardziej uchwytne i niedające się zaprzeczyć.

Wszystkie inne są już wątpliwe, albowiem uczestniczy w nich już element wiary.

Dlatego trudno zakazać kłamstwa - mało kto z kłamiących wie, że kłamie.

Kłamstwo redukuje się tylko przez dążenie do prawdy, a raczej

przez rozwój korzyści związanych z prawdą.

Wilga, 27.6.

Upał. katorżnicze godziny nad Dedalem. Przyjechała Kasia Herbertowa.

Wilga, 28.6.

My only problem: selfdiscipline. They to understand why.

Spróbuj być dla siebie niedobry. Tylko dyscyplina. Nic więcej. Tylko działając przeciw

sobie można służyć innym i znaleźć upodobanie w rzeczach i sprawach zewnętrznych. Moja modlitwa: racz wyprowadzić mnie ze mnie, z domu niewoli. Ja: najgorsze z więzień.

Piekło: ja.

Potępienie: ja.

*

Jest substancja duchowa, która jest ponad czasem i ponad przestrzenią, wszystko ogarnia, wszystko pojmuje. Jesteśmy jej cząstką, jej potomstwem. Ta substancja sprawdza samą siebie

w tworzeniu. Każdy z nas jest jej wysiłkiem, i każdy z nas bierze cząstkę jej wysiłku na siebie. Jeśli nasz wysiłek - wysiłek miłości, pracy, tworzenia i myśli - pomieści się w jej dziele, pozostaniemy w niej na wieki, świadomi całości, którą stwarza i naszej cząstki, którą wzbogaciliśmy całość. Jeżeli będziemy opieszali, lub złośliwi, przekorni jej dziełom, jak fałszywe tony sprzeciwiają się kompozycji, pozostaniemy na wieki, każdy sam z sobą, ze swoją przeklętą pamięcią o sobie samym i o swoich zaniechaniach.

Skąd wiesz o tym, co było, zanim się narodziłeś! Wiem, bo tęsknię i marzę o tym, na nieskończoną przyszłość. O czym? O pełnej świadomości, o współistnieniu z wszelkim duchem, w duchu, który ogarnia wszystko.

That's all.

Jest jak ojciec, czyli daje wszelkie życie; jest jak Duch, czyli jest myślą; jest jak syn, czyli jest obecny w stworzeniu i doznaje życia - cierpi, umiera, kocha, mówi. W trzech osobach wyłania się pełnia przymiotów owej substancji: jej konkret,

abstrakt i konsekwencja. Daje życie, daje myśl i jest obecna.

Warszawa, 3/VII.

Wirówka warszawska.
Cenzura.
Piórkowski - Izajasz Prorok.
Artur szalony.
Dziś Ket Puzyna - weteran lat pięćdziesiątych.

10.VII.

Ileśmy przeżyli w ciągu Tych siedmiu dni! Umarł Antoni - "W tym ciemnym pokoju, jakim teraz jest Polska, zgasła świeca" - powiedział jakiś pan idący w kondukcie.

Postanowiłem pisać felietony w Tygodniku. Oznajmiłem to Jerzemu T. na śniadaniu w Laskach i ucałowaliśmy się serdecznie.

*

Pomysł opowiadania "Nudziarz".

Wilga, 18/7.

Nie mogę temu wszystkiemu

sprostać. Gubię się w sprzecznych sądach i uczuciach. Nawet postawę mam niejasną: podejrzewam się czasem o to, że ulegam tylko bezpośredniemu naciskowi i wpływowi. Teraz mają na mnie wpływ ludzie tacy jak Wiktor, Jarek; miał go Antoni. ... A może równie uległy byłbym wobec Putramenta, Żółkiewskiego, czy Borejszy? Mieli przecież argumenty! W sprawie np. religii wciąż nie mam zdania, przecież nikt w tej sprawie nie ma na mnie bezpośredniego wpływu. Możliwe, że coś z tego wynika. Czy w ogóle człowiek

zdolny jest do czegokolwiek sam przez się? Patrzy na życiorysy tych, co zdziałali coś w polityce, w myśli, nawet w sztuce, która jest - zdawałoby się - dziedziną najbardziej samotną. Historia ich życia, to historia wpływów, jakim ulegli. Zwrotne momenty ich działalności i twórczości, a nawet w historii ich charakterów polegają na "wyzwoleniu się" od jednego wpływu, a poddaniu się innemu.

Ale dlaczego temu, a nie innemu? Dobrać wpływ, który odpowiada parametrom historycznym i wewnętrznym - to

cała sztuka. Zgrać swój charakter z historią - złączyć siebie z ogółem tak dobraną formułą, aby sprzyjała wewnętrznie mnie i ogółowi - to cała sztuka.

Moje szkoły, moje "wpływy", pierwszy mocny wpływ umysłowy jaki odczułem na sobie, był rodzaj historycznego egzystencjalizmu - przekonanie, że człowiek realizuje się, określa w historii, która jest żywiołem ślepym. Ułożył mi się wtedy szereg patronów niezbyt dobrze znanych osobiście, ani z niezbyt wielkim zapałem czytanych, z pewnością nadużywanych dla swoich celów: Malraux, Camus, Sartre, Brzozowski, Witkacy ... Z każdym nazwiskiem kojarzyłem sobie jakieś hasło: Malraux - "los", Camus - "odpowiedzialność", Sartre - "zaangażowanie", Brzozowski - "świadomość dziejowa", Witkacy - absurd. Z tych haseł lepiłem sobie doktrynę, która miała mnie pogodzić z Perelą, wyjaśnić moje prywatne "błędy i wypaczenia" (np. udział w stalinowskim życiu literackim, niektóre artykuły i wypowiedzi, podpis na liście potępiającym kler krakowski) - doktrynę - alibi raczej niż instrument myślenia i

działania.

Potem przyszła w moich umysłowych maniach kolej na psychoanalizę, socjologię "serce", z całą tą, quasi-ezoteryczną wiedzą o nad-rzeczywistości i pod-świadomości. Po co mi to było? Zaczęło się od mody, zastąpiło mi sferę nadprzyrodzoną, a na koniec pomogło mi wyjaśnić własną osobowość, której równowaga została zachwiana na skutek pewnych osobistych wydarzeń.

Tym razem ów "światopogląd" był też raczej alibi, raczej namiastką światopoglądu, raczej

uzasadnieniem postawy negatywnej, niż programem działania. Co miało z tego wyniknąć?

Są więc światopoglądy - środki uspokajające, usypiające ... Itd.

W sumie światopogląd można porównać do lekarstwa; usypia, uspokaja, podnieca, lub rzeczywiście leczy.

*

A lire:

Ortega y Gesset: La revolte des masses.

Wilga, 22.VII.

Wczoraj Jarek. List do Nouvel Observateur. Wieczorem u Wajdów przyjęcie dla Daviesów. W radio wiadomości o protestach włoskich i francuskich związków zawodowych.

List do N.O. dobry.

Konferencja prasowa Jacka Kuronia przed odjazdem do wojska. Jego list już podają agencje zachodnie.

Najdziwniejsze, że władze same nadały rozgłos procesowi. O terminie procesu w Warszawie

zawiadomił korespondentów Interpress. Rozmowy z Lassotą, który wyraźnie podlizuje mi się, i chce złapać kontakt.

Ciekawe, czy w T.P. ukaże się mój artykuł o Antonim.

Wilga, 23/VII.

List do sąsiada.

Jakimi to my jesteśmy sąsiadami?

Co nas mianowicie łączy.

Ale jakie mamy szanse porozumienia.

Jakie to bariery wzniesiono między nami.

Jako społeczeństwo jesteśmy organizmem o poprzecinanych nerwach.

Nie możemy sobie udzielać wiadomości, bodźców, nasze współżycie jest ściśle regulowane.

Zanikają wszelkie związki między nami: klasowe, religijne, koleżeńskie, stajemy się sąsiadami, którzy patrzą na siebie wilkiem.

24.VII.

List do N.O., a raczej wiadomość o liście, już podano w W.E. Podpisało 13 osób, ale

agencje podają tylko pierwszych sześć, czy siedem, o których wiedziałem. Kto jeszcze?

Przewiduję tym razem ostrą reakcję, prawdopodobnie w postaci jakiegoś kontr-listu, który podpisze dobrana ekipa zwołana przez egzekutywę.

Sama inicjatywa wydaje mi się słuszna, list dobrze wymyślony, oczywiście, jak zwykle, wolałbym być przy narodzinach pomysłu i wziąć udział w układaniu tekstu. Niby to ja jestem główną osobą, w każdej takiej sprawie, bo jej daję nazwisko, ale właśnie ja - a w tej sytuacji jest każdy - wiem o niej

najmniej, a możliwości odmowy prawie nie mam.

26.VII.

List do N.O., który zresztą W.E. w ślad za agencjami określiła jako "odwołanie się do opinii światowej" oznacza dla nas, którzyśmy go podpisali, ostateczne zerwanie z reżimem. Wszystkie nasze poczynania dotychczasowe miały stempel legalności; prasa była po mojej stronie. Odtąd prawa wedle tutejszego rozumienia są przeciw nam, ponieważ uznaliśmy je za

niewystarczające. Nie mamy odtąd tytułu zwracać się do władz PRL w żadnej sprawie, ani własnej, ani cudzej; a PRL może dysponować naszymi osobami i prawami wedle swego uznania. Może nam wytoczyć proces o, szkalowanie, może tylko nękać szykanami, może - jeśli się jej spodoba, przymknąć na wszystko oczy, albo wyrzucić nas z kraju jako osoby uciążliwe.

Co zrobi? Musi replikować. Uczyni to w formie jakiejś deklaracji zbiorowej potępiającej nasz czyn, albo tylko w formie zawoalowanej konferencji

prasowej. Następnie zawiśnie wokół nas krąg "zezwoleń": może będę mógł publikować jako Dedal oraz w Tygodniku Powszechnym, ale o wydaniu czegokolwiek mowy nie ma. Mowy też nie ma o paszportach. Stryjkoś i ja będziemy chyba wywaleni z redakcji. Stryjkoś ma już chyba emeryturę. A ja? Będę żył z rzeczy publikowanych pod pseudonimami. w Tyg. Pow., w Więzi, może w tejże Twórczości. Film oczywiście aut. Tłumaczenia? J'eu doute. Trzeba będzie chyba zacząć pisać do Kultury.

Zmiany oczywiście są nie tak istotne, ale są. Stan ten nie potrwa pewnie długo, do następnej odwilży, która wydaje się zbliżać, albo do fali otwartego terroru, która położy kres wszystkiemu. Wszystko jest teraz możliwe. Wydaje się jednak, że siły antagonistyczne wobec całego tego układu Breżniew-Gierek-Husak-Honecker, mianowicie od tego jaka jest ich kompozycja, zagrają kartę liberalną. Będzie to tym bardziej możliwe, im dalej Gierek posunie się na drodze totalitarnej. Plain pouwoir jakiej udzielił Łukaszewiczowi zdaje się

na to wskazywać, natomiast, opozycja, wydaje się kształtować na linii Kępa - Olszowski - ew. Szlachcic, z poparciem odpowiednich sił w Moskwie.

Niemałą rolę może odegrać sprawa Groszkowskiego, którego list ogłosiła Kultura i WE. Jak się tam dostał? Napewno nie przekazał go sam Groszkowski. Mógł więc wyjść tylko z kancelarii sejmowej, lub z MSW. Ponieważ Petryc działał na Śląsku, muszą się w tym kryć skandale związane z ekipą Gierka. Jest to ładunek wybuchowy o sile Watergate, a na nasze stosunki, o

sile sprawy Światły, który pozwolił umocnić się Gierkowi. Scenariusz odwilży znamy już na pamięć z tym, że w o b e c n y c h warunkach schizmy zachodniej oraz prozachodniej, "europejskiej"polityki Chin, a także po tych nieszczęsnych dla Breżniewa Helsinkach, siła jej może być nieoczekiwanie wielka. Proces erozji bloków, sojuszów, ideologii dotyczy nie tylko zachodu, jak to się pisze; tak samo zachodu, przy czym kluczowym faktem, jest to supermocarstwo, któremu podlegamy, głoduje i swoim głodem zagraża wszystkim

swoim satelitom. Aparat partyjny mając do wyboru trudności gospodarcze, towarzyszące im niepokoje, i osobiste ryzyko, oraz przykład włoskich i francuskich, a także egipskich sukcesów, musi wziąć pod uwagę tamto rozwiązanie.

Tak, odwilż jest możliwa. Artur też tak uważa, ale sądzi, że trudno do niej dotrwać nie wykładając wszystkich kart. "Oni nas chcą skompromitować przed czasem". Ze swojego punktu widzenia ma może rację; inne jednak są jego kalkulacje od moich. Jako pisarz nie-polityczny

i niepopularny, liczący na sukces d'estine oraz propozycję instytucjonalną, musi liczyć się, z każdym establishmentem, który go będzie brał pod uwagę jako postać centrową. Jego siłą nigdy nie będzie pisanie, lecz zachowanie; musi na nie bardziej zwracać uwagę. Ja liczę właśnie na pisanie, i to w tym społecznym moralnym rodzaju, do którego się nadaję, a do którego pcha mnie instynkt. Przez skrajne zachowania wzmacniam jego efekt. Dowodem tego były straty, jakie poniosłem, ukrywając się przez ostatnie lata: straciłem identity. Muszę być

teraz konsekwentny: pisać w jednym kierunku i działać w jednym kierunku: wsiąść do tego pociągu, skoro zapłaciłem za bilet.

Wilga, 27.7.

Prosił mnie tu kiedyś - było to na wiosnę, gdyśmy drzewka sadzili - jakiś starszy człowiek o podwiezienie do Maciejowic. Był okropnie zdenerwowany, bo wysiadając z autobusu zostawił w nim teczkę z pieniędzmi i kluczami do domu. Szarpał za klamkę od furtki, wrzeszczał, obiecywał, że mi zapłaci, a ja,

ogarnięty dziwną niechęcią i niemocą, targowałem się z nim, i z sobą, tłumacząc mu, że zamiast mnie prosić o wytoczenie wozu z lasu i otwieranie bramy, powinien raczej zatrzymać wozy jadące w tamtą stronę. Stary tak rzeczywiście zrobił i po paru daremnych próbach ostatecznie zdołał zatrzymać jakąś Syrenką, która go zabrała. Widziałem go w jaką godzinę później wracającego z odzyskaną teczką.

Wszystko w porządku, ale ... czy gdybym samochodem wtedy jechał, stanąłbym na widok wymachującego łapami nachała?

Czy odsyłając go do innych, miałem jakie gwarancje, że inni będą lepsi? I ostatecznie dlaczego mu odmówiłem? Dlatego, że był antypatyczny? Kto zaręczy, że Chrystus zawsze przychodzi pod postacią jaśniejącego młodzieńca? Czy dlatego, że bałem się o rozciągliwość tej przysługi. Pamiętałem, żem go spytał odrazu dokąd ten autobus jedzie, a usłyszawszy, że do Ryk, zesztywniałem: a więc jeśli nie dogonimy go do Maciejowic, popędzimy do Ryk, a po drodze nie wiem czy nie wstąpimy do teściowej w połogu? Jeśli chce aż, tyle, ile jeszcze może zażądać? Ten sam rachunek z Bogiem. A wreszcie: wstyd przed kimś - przed Kazią? czy przed wszystkimi, którzy mogliby mnie wyśmiać, gdyby mnie ten stary wodził po okolicy ...

Inni wprowadzeni do rozumowania zawsze wprowadzają chaos. Inni, wobec których myślę, czy postanawiam to zaprzaństwo, to szatan. Dość, że nie pojechałem.

A teraz skutki: pojadę następnym razem zupełnie niepotrzebnie bez sensu. Tak, ta odmowa, każda odmowa, czyni

nas nieodpornymi na następne żądania. Każde zaniechanie osłabia wolę czynu. Brak postanowienia, rodzi błędne postanowienia.

Iść za odruchem serca. Ba, a jeśli odruchu nie mam?

Wilga, 28.7.

Mam teraz okres snów. Spostrzegłem tym razem, że rozbudzenie wyobraźni sennej, łączy się u mnie z podnieceniem seksualnym. Ciekawe czy tak jest zawsze.

Dziś śniły mi się dwie

bliźniaczki, ale w nierównym wieku: jednakowe - obie grube, postawne blondyny, dość wszelako porządne - z tym, że jedna była w moim wieku, druga dużo młodsza. Miałem niejasne poczucie, że obydwie są moimi rówieśnicami. Miało to jakoś związek z pogrzebem Antoniego. Przyszły mu złożyć hołd?

Wczoraj operacja wymóżdżania mojego brata. Widziałem jego mózg: był jak olbrzymi, okrągły bochen czerstwego chleba.

Przedwczoraj jakieś miasto nad rzeką, rzęsiście oświetlone,

ale troszkę sztuczne, jak makieta filmowa z lat trzydziestych. I naraz kanonada. Już nie pamiętam o co chodziło.

Jeszcze śniło mi się, że sprowadzam się znów na Warszawską, i komuś kto mnie pyta jak dawno tam mieszkam odpowiadam; siedemnaście - nie, dwadzieścia siedem lat! I powtarzam z euforią: dwadzieścia siedem lat. Potem zbudziłem się i zrozumiałem, że to było 37 lat temu!

Był też jakiś sen w śnie. Nie pamiętam.

Może właśnie ten ostatni.

*

Opowiadania na wzór Saint-Simone'a (w kolejności pisania):

1. Pogrzeb Antoniego.
2. Listy (Ruch, 15, 59, 101, Nouv. Observ.).
3. Marzec.
4. Proces Szpotańskiego.
5. Przegląd Kulturalny.
6. Październik.
7. Początki literackie (1950-1953 - do śmierci Stalina, włączając w to podróż do ZSRR.)
8. Twórczość.
9. O początkach PRL -

opowiadanie historyczne ze sensownymi wnętrzami osobistymi.

Wilga, 29.7.

Wczoraj wieczorem zacząłem pisać opowiadanie o śmierci Antoniego. Śniła mi się czyjaś śmierć - kogoś uciążliwego jak Antoni, i podobnie zawiniona przez otoczenie, ale było to niejasne. Dopiero nad ranem przyśniło mi się to wszystko, jakby jeszcze raz: była to śmierć Nixona. Musiał wylecieć do nieba na rozmowy. Ktoś go tam

poprosił. On czekał tylko na sygnał, że wszystko poszło dobrze. Przyśnił mi się nawet jakiś żart - fajka, jakby fajka Nixona, czekająca na sygnał i nagle zaczynająca się krztusić. Same głupstwa. I nagle jeden w tym wszystkim obraz znaczący: Nixon dostaje zawału, aby go przysposobić do odlotu pielęgniarze motają mu brutalnie nogi, wciągają mu na stopy skarpetki, on leży u ich stóp, zmaltretowany z twarzą purpurową, nabrzmiałą. Nagle głowa mu spada - skonał. Pielęgniarze odrzucają mu stopy z

wściekłością.

Nixon leżał na podłodze pod piecem, w tym samym miejscu na Warszawskiej w Krakowie, w którym spoliczkowałem leżącą matkę i zobaczyłem przed sobą jej zmaltretowaną, bezzębną twarz, wykrzywioną w okropnym grymasie.

A w tym pierwszym, niejasnym śnie, widziałem Antoniego: w jasnym, lekkim ubraniu i w kapeluszu, taki starczy, niezdarny i miły, jaki wydał mi się przed laty w Oborach, gdy szedł potykając się ku nam. Siedziałem z

Rymkiewiczami.

Tego samego dnia.

Tłumaczę książkę Cabanisa o Saint-Simonie. Straszny chuj. Nienawidzę dewocji. Nawet nie przypuszczałem, że tak bardzo. Religia: w niej każdy znajduje to co chce. Nie. Każdy w niej powinien osiągać swoje maximum. Każdy jest zdolny do spekulacji teologicznej. Religia jest filtrem kulturowym, który odrzuca indywidualne głupstwo. Gdy się ten filtr zatka, powstaje bigoteria - tzn., że nie umiesz

przedostać się na drugą stronę i zrealizować swojej wolności duchowej. Myślenie o mojej ostatecznej szansie w chrześcijańskich kategoriach w chrześcijańskiej dialektyce stworzenia, grzechu i odkupienia jest koniecznością tak wyższą jak np. język. Reszta jest "przydana". Tak jak łacina okazała się niekonieczna, choć przez wieki była cond.s.qua non kiedyś przyznamy, że eucharystia jest tylko znakiem wspólnoty, a spowiedź indywidualnym dramatem.

17.VII.1976.

Niedziela 4 lipca była upalna jak całe to lato tegoroczne, przynajmniej do dziś 17 lipca, kiedy piszę te słowa. Kazia wyjechała do Kazimierza n/Wisłą, na festiwal zespołów ludowych, dokąd ją zresztą sam zawiozłem z Wilgi, a pozostawiwszy w Kazimierzu, zabrałem stamtąd Halinę Wierzyńską i przywiozłem do Warszawy. Jędrek odsypiał swój egzamin magisterski do południa. Około 11 zadzwoniła Julia. Wybierali się do Obór na

obiad z Antonim Słonimskim, z którym widzieli się w sobotni wieczór na koncercie z okazji 200-lecia Stanów Zjednoczonych w Muzeum Narodowym. Jędrek spał i spał. Nie mogłem sobie z jakiegoś powodu miejsca znaleźć, wyszedłem około 12, zabrałem samochód i pojechałem na mszę do wizytek, a stamtąd na dworzec autobusowy na Pragę, zobaczyć, czy Kazia nie przyjeżdża.

Czytałem "Alfabet wspomnień" Antoniego Słonimskiego. Drugi raz zabrałem się do tej książki. Za pierwszym razem wydała mi się pusta. Potem

Kazia ją czytała i wykrzykiwała mi raz za razem jakie to zabawne, wdzięczne, aleganckie. W poprzedni piątek, w ten pamiętny wieczór, podwyżki cen, spotkaliśmy go wieczorem w Spatifie. Przyszedł w tej swojej legendarnej błękitnej muszce, w białe kropki i w odpowiedzi na komplement Kazi, powiedział poprawiając muszkę: dziękuję moja droga.

Kazia nie przyjechała. Wróciłem około 2. Jędrek już nie spał; powiedział mi, że Artur telefonował z Obór. Zdziwiłem się. Czy coś się stało? Nie, nic.

Tak sobie dzwonił. Poszliśmy na obiad do Rarytasu, było obrzydliwie. Co było po południu? Nie pamiętam. Nic chyba. Czytałem dalej "Alfabet wspomnień". Około 7 pojechałem znów po Kazię. Przyjechała o ósmej. Bardzo zmęczona i głodna. Przywiózłszy ją, wziąłem się do przygotowania kolacji. Wtedy znów zadzwonił Artur. Antoni miał wypadek na drodze do Obór. Jechał jak zwykle z Aliną Kowalczykową, córką Lorentza.

- I co? - krzyczę.

- Było lepiej - odpowiedział Artur, ale ...

- Czy jest przytomny? - Na to Artur: - Nie mam Ci nic dobrego do zakomunikowania.

- Czy mam przyjść? - wołam. - Na to Artur: Czy jadłeś już kolację?Przerwałem rozmowę, upewniwszy się, że są w lecznicy. Artur obiecał jeszcze raz do mnie zadzwonić. Przygotowałem szybko sałatę Kazi i Jędrkowi z rąk mi wszystko leciało, sam nic nie jadłem, porwałem samochód, pojechałem do Lecznicy. Zaparkowałem na Hożej. Przed wejściem od strony Emilii Plater, stali Julia z Arturem i Krystyna Tarnowska. - No co - spytałem -

podchodząc. - Antoni nie żyje - powiedziała Julia takim tonem, jakim wybija się z głowy złudzenia. W tej chwili zobaczyłem w jej rękach kapelusz Antoniego z brązowego kordonku. Opadły mi ręce i ogarnęło mnie uczucie olbrzymiego zniechęcenia. Znam je dobrze - nachodzi mnie ilekroć umrze ktoś bliski, kogo cenię, na kogo liczę. Moje stosunki z Antonim nie były bliskie; widywałem go rzadko, nieczęsto też dzwoniłem do niego. Nudził mnie. Z kolei ja też nie bardzo byłem dla niego atrakcyjny. Nie znosiłem mu

wiadomości, dość umiarkowanie wyrażałem zachwyty dla wszystkiego co napisał czy powiedział. Ale cieszyłem się, że jest. Gdym go zobaczył maszerującego do kawiarni, albo przy stoliku pod ścianą w Spatifie, gdzie w niedziele "karmił personel", tj. Alinę i Adasia M., cieszyłem się, że trwa coś tak starego i niezmiennego. Jako wódz polityczny irytował mnie, a nawet sądziłem, że wyrządza duże szkody swoim egocentryzmem i rachubą na rozgłos. Ale był, działał, "wymyślał coś". A pozatem: był taki miły!

Co się stało? Krystyna opowiedziała mi to tak: Alina zamiast pojechać główną ulicą Konstancina i skręcić w Mickiewicza w lewo, pojechała tak jak się jedzie do Świerkowej, skręciła w jedną z przecznic, poczem znalazła się na Mickiewicza i miała przeciąć główną ulicą; przy przejeździe wpadła w nadjeżdżającego z lewej strony Fiata 125. Krystyna nie była przy wypadku; opowiedział jej to milicjant, który przyjechał za karetką pogotowia do szpitala na Stępińską, gdzie oboje rannych odwieziono.

*

Najpierw: co my tu robimy? - Nikt z nas nie miał prawa tu wejść - powiedział Artur, co Krystyna potwierdziła po angielsku, że jest to tresspassing. Takie prawo ma tylko adwokat Trypens, u którego Antoni złożył testament. - Słuchaj mnie uważnie - powiedział Arturowi w Lecznicy, kiedy poczuł, że umiera, i to mu właśnie zwierzył. Czy polecił Arturowi i Julii wydać klucze do mieszkania, tego już nie wiem, dość, że im je wydano wraz z rzeczami za

protokołem. Teraz trzeba znaleźć adwokata Trypensa. Tym zajął się Adaś, ale mu powiedziano, że mecenasa nie ma. Druga sprawa to zawiadomienie Piotra Słonimskiego. Artur zaraz zadzwonił do Gif; zgłosił się Kazimierz Brandys, który tam mieszkał i odbyła się rozmowa taka: czy jest Piotr. Spytał Artur, na co tamten, że nie ma, i zaraz pośpieszył złożyć mu kondolencje z powodu śmierci matki. "Smutne wiadomości" - powiedział, czy coś takiego. Na co Artur: tak, ale są nowe. I zaczął kręcić w podobny sposób jak to robił w telefonie do

mnie, przekonany w swojej nieskończonej dobroci, że każdy musi na taką wiadomość dostać zawału serca, albo sraczki. Tak, sraczki. Bo gdym później zrobił delikatny wyrzut z tego powodu, że mnie trzymał w niepewności, odrzekł mi, że Kazia przyjechała zmęczona, i mogłaby najpierw dostać rozstroju żołądka. Skąd mu ten rozstrój żołądka? Dwa tygodnie przedtem, kiedy jego matce pogorszyło się nagle, zadzwonił do Kazi w panice, i powiedział, że musi jechać po Julię. Kazia z nim pojechała, aby mu raźniej było (zresztą po to

chyba dzwonił), a przyjechawszy, nie wyksztusił nic ze siebie, tylko tak się zachowywał, jakby ot, tak przyjechał w odwiedziny, co Julia właściwie zrozumiała i podała wódkę. Taki jest Artur. - Powiedz mu, powiedz - krzyczeliśmy z boku, a ten dalej: że jadł, że było lepiej, że rozmawiał, szedł sam, ale ... no umarł.

Tamten przyjął wiadomość spokojnie. Piotra nie ma, wróci nazajutrz rano i Kazika nie zastanie, bo ten wcześnie z Marysią wyjeżdża z Gif. Jakoś tam w końcu dogadali się, że jedno na Piotra poczeka, lub zostawi wiadomość, poczem Artur, odłożywszy słuchawkę pieklił się przez chwilę: wyjeżdża? Co to znaczy wyjeżdża? to ciul, pinda, sk... Kazik pewnie nic tak stanowczego nie powiedział, ale Artur potrzebował wroga w tej chwili. Za chwilę znów szalał usłyszawszy, jak Kasia zmęczonym głosem tłumaczy przez telefon matce Zbyszka (która jest i głupia, i schizofreniczna), że nie może ani wrócić, ani powiedzieć gdzie jest. - Ona musi tłumaczyć się ... krw., tego nie można wytrzymać - wołał i biegał po drugim pokoju. -

Wariat - powiedziała Julia i uspokoił się. Jak zawiadomić Jarosława Iwaszkiewicza? Za późno dzwonić, zobowiązałem się pojechać nazajutrz rano do Stawiska. A związek? Zadzwoniłem do Pawła Hertza. Ten już wiedział o wszystkim od Załuskiej, z którą z kolei Artur rozmawiał zaraz po wypadku; chciał zawiadomić pułkownika i uzyskać od niego lecznicę rządową lecz ten leżał po zawale, i baba pułk. wzięła w swoje ręce, zawiadamiając Syczewskiego i Kępę. Hertz dowiedziawszy się, zadzwonił do Stawisk. Telefon przyjęła pani Hania. Usłyszawszy wiadomość, wykrzyknęła: - I nie pogodzili się! - Obiecała powtórzyć Jarosławowi. Ten w chwilę potem oddzwonił Hertzowi. - Był bardzo smutny - powiedział Hertz. Potem zajął się znów stroną prawną. Zdumiewająca jest prawnicza pasja jaka się w takich okolicznościach objawia. - Panowie powinniście poprosić adwokata, aby uniknąć ... etc. Oczywiście. Poprosiłem go, żeby zawiadomił jako wiceprezes Zarządu Głównego Koprowskiego, i polecił mu

uruchomić "mechanizm związkowy", a jednocześnie zapowiedział mu, że pogrzeb będzie religijny, prywatny i o żadnym udziale państwa, ani o oficjalnej uroczystości mowy nie ma. Już tam podobno ktoś (Basia) przebąkiwał o wystawieniu zwłok w Sali pałacu prymasowskiego. Więc Nie: kościół Św. Krzyża i Laski. Tak chciał zmarły. Tak powiedział po pogrzebie pani Janki rok temu.

1. Brandys.
2. Barańczak.
3. Bocheński.
4. Kijowski.

5. Kisielewski.
6. Nowakowski.
7. Lipiński.
8. Mikołajska.
9. Michnik.
10. Lipski.
11. Zieja.
12. Krynicki.
13. Stryjkowski.

Następna sprawa: zabezpieczyć mieszkanie i papiery. Mogą - "oni", jacyś "Oni" - wejść tu w każdej chwili, wiedząc właśnie to, co i my wiemy, że nikt tu nie ma prawa przebywać z braku spadkobierców w miejscu, i wobec tego, że "na

okoliczność śmierci" jest teraz otwarte śledztwo. Nie ruszą się zatem z tego mieszkania, aż do przyjazdu Piotra, okupując mieszkanie. Będziemy tu spać. Kto? Arturowie, Adaś i ja. Dobrze. Ale przedtem trzeba przeszukać papiery i wyłączyć z pośród nich te, które "w razie czego" mogą być niebezpieczne. Udaliśmy się więc z Adasiem do przeszukiwania biurka i szafy.

Jakie to okropne, jakie dziwne tak grzebać w cudzych papierach!

*

Andrzejewski o Gombrowiczu: a więc nie zrozumiał Formy, która jest swoistym wynalazkiem Gombrowicza.

Nie chcę się spierać, ani upierać.

Najchętniej powiedziałbym jak to sobie sam wyobrażam.

Otóż zdaje mi się, że

*

Zdziwił mnie Jerzy Andrzejewski swoimi uwagami o Gombrowiczu. Zafascynowany zwyczajowymi grami o własną

twarz - pisze Andrzejewski w kolejnym odcinku swego świetnego zresztą, i zarazem ciekawego dziennika drukowanego w Literaturze - (Gombrowicza) nie zauważył, iż na dużych przestrzeniach wieku XX walka z "gębą" przesunęła się bardzo wyraźnie i przeważnie w sposób tragiczny z konfliktu jednostka-jednostka, na konflikt jednostka-ustrój, jednostka-władza. W czarnym świetle tego wszystkiego co się działo w III Rzeszy Hitlera. "Ferdydurke" wydana w roku 1936 była książką staroświecką, odnoszącą się do układów odchodzących chyba nieodwołalnie w przeszłość.

Niezręcznie jest spierać się o znaczenie metafor; śmiać mi się chce, że na samą myśl, że mógłbym Jerzemu Andrzejewskiemu zarzucić fałszywą interpretację terminu "gęba". Ale jeśli Gombrowicz jest staroświecki, jeżeli był staroświecki już w 1931 roku, jeżeli "wywodzi" się, jak pisze Andrzejewski, "z rozlicznych elementów charakteryzujących życie towarzyskie sfer uprzywilejowanych kulturalnie, lub z racji pochodzenia", to czego

szukałem w nim i czego szukali w nim nasi rówieśnicy dojrzewający umysłowo dopiero w latach czterdziestych, już po wojnie i pod ciśnieniem nowych zupełnie doświadczeń, wobec których z kolei "Mein Kampf" wydawał się staroświecki? I czego w owym Gombrowiczu szuka następne pokolenie, dlaczego jego twórczość nie przestaje fascynować wciąż nowych, i coraz młodszych krytyków, badaczy, i jest chyba dziś najczęstszym tematem prac magisterskich, doktorskich, habilitacyjnych, dlaczego też nie spada - jak sądzę,

jego poczytność? Mogę mówić tylko za siebie. Otóż Gombrowicz zajął mnie kiedyś i nadal zajmuje właśnie tym, że w stosunkach ludzkich odkrył element wyjaśniający między innymi zjawiska totalne; odkrył, że gdy się człowiek zetknie z człowiekiem powstaje między nimi coś takiego, co jest nieprzewidziane, nieobliczalne, tajemnicze, potężniejsza od ich intencji i zamiarów, obejmuje nad nimi władzę i sprawia to, że związek ich (obojętne jakiej natury: politycznej, miłosnej czy zbrodniczej) zaczyna rozwijać się

wedle własnych praw, na które już nikt nie ma wpływu. To "coś" Gombrowicz nazwał formą.

A więc np. gdy się pan zetknie z panią, to choćby jedno od drugiego chciało tylko pożyczyć zapałek, może przy sprzyjających okolicznościach (zależnych od ich woli, mody, temperamentu, sytuacji) wytworzyć się między nim forma miłości, która zawładnie nimi i doprowadzi np. do małżeństwa wbrew ich woli. Małoż to połączyło się z sobą ludzi, którzy nie znosili się od pierwszego wejrzenia? Albo gromada spokojnych, poczciwych ludzi może wydać z siebie formę agresywną, zbrodniczą, która ich pozmienia w zbrodniczą organizację; taki właśnie wypadek opisany został przez Gombrowicza w Pornografii, którą uważam za najdoskonalszy jego utwór. - Małoż to takich powstało w naszych czasach organizacji i formacji? Gombrowicz znalazł klucz do tłumaczenia czynów mimowolnych, niezamierzonych, czynów popełnionych wbrew intencjom; zjawisko formy wyjaśnia ludziom ich własne postępowanie w pewnych i określonych okolicznościach,

którego nie mogą zrozumieć, wyjaśnić, ani usprawiedliwić, w okolicznościach zmienionych. Gombrowicz powiada, że człowiek tylko w części jest odpowiedzialny za swoje czyny, ponieważ w prowokowaniu ich ma decydujący udział forma, czyli energia powstająca z przedziwnych zdarzeń.

Tak rozumiem "nowoczesność" Gombrowicza.

Klasyczna literatura opisała drogę człowieka od stanu inercji czy impasu do "aktu" myślowego, uczuciowego, społecznego, politycznego etc. - i studiowała

prawdę ludzkiej natury ujawniającą się w owych "aktach". Gombrowicz odkrył automatyzm owych aktów; w "Ślubie" powiada, że wyczyny człowieka zmierzającego do rozstrzygnięcia swego losu, do urzeczywistnienia swych pożądań i ambicji, są podobne do awantur pijaka; człowiek upija się miłością, władzą, gniewem zbrodnią, upija się formą, i szaleje jak pijak. Henryk ze "Ślubu" Gombrowicza jest jakby wersją Hamleta z epoki totalnej, a historia jego jest właściwie historią Hitlera. Podejrzewam, że pomysł "Ślubu"

ma jakiś związek ze ślubem, którego wódz III Rzeszy udzielił sobie sam w kwaterze w stanie upojenia się wszechwładzą podobnie do tego, w który wpada ... Henryk.

Przyznaję, że literackie pomysły Gombrowicza przeinterpretowane nudzą mnie często i niecierpliwią, wydają mi się zanadto naciągnięte do jego doktryn "przeinterpretowane" w jej duchu, a ponadto za wiele w jego języku jest słów-kluczy, pseudoterminów oraz nadużytych metafor. A zresztą myślę już o czym innym: nie o tym jak owe

automatyzmy działają, bo już je znam, i dzięki Gombrowiczowi umiem odkrywać, myślę o tym jak się od nich uwalniać. Myślę o tym, jak ja sam, czy mój ewentualny bohater literacki, jak moi współcześni, jak moje społeczeństwo, jak my wszyscy tworzący teraźniejszość i przyszłość powinniśmy dysponować naszą wolą i [...] , naszym rozumem, jak używać naszej tradycji i jakie nowe wymyślić środki, aby odzyskać psychiczną wolność od przymusów, które sami stwarzamy i sami sobie nakładamy.

Dlaczego to robimy? Najczęściej ze strachu przed odróżnieniem się od innych i z niepewności co do własnych racji. "Forma" jest rodzajem schronu, do którego uciekamy się przed osobistą odpowiedzialnością za własne czyny i myśli. Nad osobistym zachowaniem każdego z nas górują prawa zachowań zbiorowych. Mamy nadmiar świadomości zbiorowej, a niedostatek świadomości indywidualnej. Lepiej dziś wiemy co to jest i czym się rządzi, niż to czym jest i czym kieruje się poszczególny człowiek.

Gombrowicz między innymi pokazał jak głęboko gromada zapuszcza swe łapy do pojedynczej duszy. Trzeba wobec tego sięgnąć jeszcze głębiej, aby odkryć nietknięte jej pokłady, i wartości, które tam spoczywają, i które stanowią wciąż jeszcze niezdewaluowane zabezpieczenie osobistej ciekawości.

*

Z życia sąsiadów.

wszyscy na naszej ulicy zajmujemy się bardzo losem cioci Peli. Tak nazywamy tę

nieszczęśliwą kobietę, która na skutek różnych okoliczności, wojennych, poślubiła człowieka co jej do pięt nie dorasta, a ten teraz znęca się nad nią. Nie pozwala jej na nic co ciocia lubi. Książka, która spodobała się cioci znika zaraz z domu, kwiat, który lubiła wąchać i podlewać, usycha z niewyjaśnionych powodów, ba! nawet krzesło, w którym ciocia lubiła siadać, zostało wyrzucone i zastąpione jakimś potwornym, niewygodnym, potencjalnym sprzętem, a okno, przez które lubiła wyglądać na świat boży, zamurowano pod idiotycznym pretekstem, że powoduje przeciągi. Cóż mówić o ludziach, z którymi ciocia chciałaby przyjaźnić się, lub pogawędzić bodaj! Każdy kogo zaprosi, lub do kogo ona chce pójść sobie na plotki, przechodzi przez baczną kontrolę wuja, i musi to już być najgorsze jakieś wariactwo, albo głupstwo, aby zyskało aprobatę wuja dręczonego nieustanną obawą, że ktoś lub coś spodoba się cioci bardziej niż on sam. Wuj wie, że ciocia ma go dosyć, wie także, iż ciocia nigdy nie miała dla niego serca, a połączyły ją z nim bardzo szczególne okoliczności

wojenne, o których nie ma co opowiadać, bo każdy je zna lub może sobie wyobrazić. Wtedy wuj cioci pomógł utrzymać się na powierzchni, ale później. Powinniby jakoś inaczej ułożyć sobie współżycie, gdyby wuj zgodził się, że nie może być w życiu cioci wszystkim i decydować o każdym jej kroku. Nikt nie ma prawa zawładnąć życiem drugiego człowieka tak zupełnie, i decydować o tym, co w jego życiu ma znaczenie i wartość, toż to tyrania najgorsza ze wszystkich, bo wynikająca z lęku i poczucia własnej miłości.

Wahałem się, czy podać te historię do wiadomości publicznej; nie powinienem może zajmować się sąsiedzkimi plotkami. Pomyślałem sobie jednak, że takie rzeczy zdarzają się pewnie często, może ten i ów człowiek ma podobną sytuację u siebie w domu, niechże więc przykład cioci Peli posłuży wszystkim ku rozwadze: każdy z nas jest odpowiedzialny za czyjąś wolność, i każdy jest obowiązany urzeczywistniać własną. Do czego dochodzi: wuj odmawia cioci rozrywek poza takimi, które sam ceni, a gust ma pod tym względem bardzo szczególny. Nawet

odmawia jej takiego jedzenia, jakie jej smakuje, jakby się obawiał, że ciocia najedzona nabierze sił i ochoty do życia i wykopie go z domu. Pozwala jej tylko upijać się do woli. Pijanej pozwala wychodzić na ulice, zaczepiać znajomych i nieznajomych, stukać do drzwi sąsiadów i przesiadywać u nich jak długo tylko ją zechcą znosić. Z pobłażliwym uśmieszkiem przysłuchuje się okropnościom, jakie wtedy ciocia na niego wygaduje, znosi nieprzyzwoitości, które popełnia i wie, że przy cioci poniżonej i ośmieszonej wzrasta

jego autorytet; że sąsiedzi powiedzą o nim ze współczuciem: ten ma życie ..., i ciocię, której słowa zazwyczaj biorą przeciw niemu, odprowadzą mu w końcu, oddadzą, pozbędą się jej z ulgą. Uznają wreszcie jego wyższość nad nią, a i sama ciocia w końcu, obolała, spokorniała, zawstydzona, słucha go wreszcie tak jak sobie to wymarzył.

Od czasu do czasu ciocia buntuje się. Woła:

- Mam tego dosyć, co ja za życie mam z tobą, zasłużyłam na coś lepszego, etc. - i nawet tłucze wtedy naczynia oraz tanie meble.

Wuj próbuje cioci przylać, ale potem - rzecz niewiarygodna - płacze. - Pelcia - mówi - nie jestem taki zły ... sierota jezdem ... dzieciństwo miałem parszywe, dzięki tobie na człowieka wyszłem, kocham cię, Pelcia, a ty ze mną może nawet nie jesteś szczęśliwa, ale inni są gorsi. Popatrz tylko dokoła. Wolałabyś ich? Mam sam zostać? Pelcia, uspokój się, będziem jakoś żyli, wszystko zmienimy.

Dobra ciocia osusza łzy, uśmiecha się, gładzi wuja po rudawych włosach i zabiera się do sprzątania zrujnowanego lokalu, pełna niezachwianej wiary w przyszłość, i w to, że odtąd wszystko będzie zupełnie inaczej.

My, sąsiedzi, już patrzeć na to nie możemy. Ciocia ma jeszcze wiele sił, ale wszystko to wyczerpuje ją nadmiernie, Ciocia starzeje się, brzydnie, a i charakter jej zmienia się powoli pod wpływem awantur, przymusu i wódki. Coraz nieufniej na świat patrzy, coraz rzadziej zagaduje do sąsiadów, coraz rzadziej siada przy oknie, coraz rzadziej sadzi nowy kwiat w doniczce, coraz rzadziej przynosi do domu książki, coraz bardziej zaniedbuje siebie i

swój dom. Jak pomóc cioci, póki nie umarła?

Uważajcie, uważajmy wszyscy, aby naszym bliskim nie zadawać podobnych cierpień, albo nie popaść w podobną niewolę. To okropne co może drugiemu człowiekowi sprawić człowiek, który ma więcej siły niż rozumu, i więcej władzy niż siły, i który nie chce się z tym pogodzić.

*

Szyderstwo, drwina
wyszamerowane śmiesznością
okryte śmieszności

przetkane śmiesznością
pikowane śmiesznością
ugarnirowane szyderstwem
złośliwymi plotkami
nie szczędząc nawet jej
garnirowano złośliwą plotką, i na całe samotne życie pani de Vandome obficie spływało szyderstwo, nie omijając jej powierzchowności. Szyderstwo, które obficie spływa
gorączka
wścieklizna
szaleństwo
miejscową gorączką życia
"Nawiedziła go wówczas radość ze wszystkim co najczulszego i

najżywszego odczuć pozwala, z najmilszym niepokojem, z uciechą, której pragnął tak bezmiernie i uparcie. "

"Nawiedzony wówczas radością, i wszystkim co ona najczulszego i najżywszego odczuć pozwala, wdzięcznym niepokojem, uciechą, której tak bezmiernie i uparcie pragnął".

*

Takie były mechanizmy i kombinacje tych mechanizmów, które moje przywiązania do przyjaciół, nienawiść Dla Księżnej

Pani, wzgląd na moją sytuację ówczesną i przyszłą, umiały odkryć, użyć, wprawić w ruch właściwy i przemyślany w całości, wsparty siłą, a które zaczęły działać i udoskonaliły się w okresie postu, i których znałem wszystkie obroty, zgrzyty oraz postępy w sprawach mających dla mnie znaczenie, i które również co dnia nastawiałem z nowa na odpowiedni takt.

Wilga, 30.7.1976.

List "13" ukazał się już w Le

Nouvel Observateur. Przedrukowała go Liberation oraz ... organ maoistów "Rouge". Nowością tu jest zwrócenie się do lewicy, i lewicowa stylizacja listu. Dotychczas "sprawa polska" tułała się po antyszambrach prawicy, która zresztą opędzała się od niej ponieważ sama antyszambrowała u Rosjan. List "13", skierowany do lewicy nie-Komunistycznej, jeśli zdoła wywołać reakcję z tamtej strony, i jeśli przyda się jej do rozgrywki Z komunistami może sprawić wpisanie "sprawy polskiej" na repertuar polityczny lewicy, zwłaszcza we Francji i Włoszech. Ma w ten sposób szanse dotarcia do politycznej młodzieży.

Dobór sygnatariuszy nie ma tu żadnego znaczenia. Przynajmniej na zewnątrz.

Jeżeli zaś chodzi o reperkusje wewnętrzne, u nas, to przewiduję najgorsze. Nie mogą przełknąć prowokowania lewicy, na której neutralności im zależy; będą się także obawiać, że komuniści francuscy i włoscy, nie chcąc, aby sprawa polskich robotników została użyta przeciw nim, sami zechcą się zająć, a to byłoby kłopotliwe. W tym wypadku

nawet Moskwa będzie nalegać na replikę, może nawet nie na represje, ale na replikę właśnie, czyli "odpór". Oczywiście, "odpór" taki w wykonaniu aparatczyków oznacza zawsze represje. Będzie więc na pewno jakieś oświadczenie, może prawdziwych polskich intelektualistów, czy też po prostu "prawdziwych Polaków", "prawdziwych robotników", a może nawet cała kampania.

Mimo wszystko uważam ten krok za dobry, chociaż tym razem znów jak za każdym poprzednim, irytuje mnie nieznajomość źródła,

z którego wyszła ta inicjatywa, brak udziału w podejmowaniu decyzji i w redakcji tekstu, który podpisałem, i męczy podejrzenie, od którego nie mogę się uwolnić, że mogą w tym mieć udział czynniki demoniczne. Poruszając się w takich ciemnościach, jakie nas otaczają, łatwo brać skutek za przyczynę, i uznać np. Kępę i jego ludzi za autorów inicjatywy, jeśli okaże się, że im właśnie najbardziej przysłuży się ona w rozgrywce ze "Śląskiem",

Skutki osobiste dla mnie: przez jakiś czas nie będą szły felietony w TP. Tak

przypuszczam. Jeżeli rzecz przybierze duży obrót, mogą mnie wywalić z Twórczości. Ale w to wątpię. Nie wątpię natomiast, że w najbliższym czasie nie będę mógł zawrzeć żadnej nowej umowy. Trzeba więc wykonać przede wszystkim te, które mam z Czytelnikiem i WL.: " Gombrowicz i inni", oraz pierwszy tom Biblioteki Romantycznej. Reszta do szuflady. Nie należy też lekceważyć Więzi a nawet Przewodnika Katolickiego, gdzie mógłbym ogłaszać "jakieś nowelki". "piszesz nowelki?

Piszesz, piszesz?" - pytał kiedyś Jarosław Stryjkosia ...

*

Pomysł do felietonu: różne rodzaje poglądów m.in. "poglądy-narkotyki". ludzie którzy je podają, stają się panami umysłów najbardziej wyrafinowanych: Muszi-bing, pani Guyon, Towiański, Rasputin. I Jaś Forsten ..., którego tą drogą pozdrawiam serdecznie. Może mi coś załatwi?

Warszawa, 3.VIII.

Chaos, oczywiście. W redakcji wciąż ten sam idiotyzm. Dostaliśmy "opiekuna" z KC. Każda redakcja i każde wydawnictwo ma swojego. Jest to rodzaj komisarycznych zarządów. Mają "ułatwiać" kontakty z cenzurą, w rzeczywistości stanowić będą jeszcze jedno jej sito. Jarosław oczywiście mógłby go wyrzucić za drzwi, ale tego nie zrobił i nie zrobi. Jak teraz będą wyglądać "dyskusje" z cenzurą?

Wilga, 7.VIII.

Warszawa w punktach:

1. redakcyjne idiotyzmy,
2. miły wieczór z Arturami u nas,
3. ciekawa rozmowa z Jackiem Bocheńskim o "sytuacji",
4. nic nie zrobiłem, poza dokończeniem Cabanisa,
5. maszynopis z Czytelnika zwrócono mi, że "niedokończony",
6. ukazał się felieton w Tygodniku,
7. odgłosy o artykule o Antonim dobre, ale ... No, zresztą dobre,
8. Jerzy A. napisał apel do robotników Ursusa,
9. W.E. podała listę represji związanych jeszcze ze sprawą

Konstytucji,
10. nastrój w mieście marny, bo w sklepach nadal nic nie ma,
11. o dawnych procesach nie słychać,
12. na list do N.O. żadnych jak dotąd reakcji ani stąd, ani stamtąd.
13. W Chinach zginęło może 100.000, a może milion ludzi.
14. W Libanie wciąż nie można przeprowadzić ewakuacji obozu uchodźców, bo go bombarduje artyleria "chrześcijańska".
15. W Kulturze paryskiej ukazał się list prof. Groszkowskiego, za którym kryje się polska Watergate,

16. a duch boży nadal na mnie nie zstąpił, choć go o to prosiłem.

*

Chciałbym do T.P. pisać tylko o tym co naprawdę ważne. Gdybym miał pełną swobodę pisania, o czym napisałbym tym razem? Z wyliczonych powyżej 16 punktów conajmniej połowa nadaje się do opowiedzenia. Do opowiedzenia, tak, bo też najbardziej wartościową czynnością pisarską wydaje mi się dzisiaj opowiadanie zdarzeń, o których ludzie albo nie mają

najmniejszego pojęcia, albo mętne. Opowiedziałbym więc o pogrzebie Antoniego i wszystkich przedziwnych zdarzeniach z nim związanych - ileż osób, ileż scen, ileż paradoksów ... Opowiedziałbym o scenach z sądu ... O rozmowach, jakie teraz ludzie z sobą prowadzą, o "eurokomunizmie", doktrynie Breżniewa i Sonnenfelda, o Amalriku, o ... Wszystko to nonsens, bo gdybym mógł o tym wszystkim mówić, nie byłoby tego wszystkiego.

O czym właściwie można pisać? Zdaje mi się, że tę potrzebę

opowiadania i słuchania opowieści można zastąpić historią. Opowiadać rzeczy dawne, które odnoszą się do współczesności, rymują się z nią, i dają ludziom czytającym chwilę pocieszającej refleksji: ach, więc to już kiedyś było!

*

Ponieważ zbliża się rok szkolny, napiszę o szkole. Nawet mam już tytuł: Witaj, szkoło!

1. Moja pierwsza lekcja w szkole: nauczono mnie nie rzucać pestek na trotuar.

2. Narzekamy na złe wychowanie dzieci i młodzieży. Kto ma się tym zająć? Rodzice nie mają czasu, mogłaby to zrobić właśnie szkoła. Złagodzić obyczaje. Oduczyć wrzasków, klątw, nauczyć uśmiechu.

3. Obyczaje amerykańskie. Amerykanin nie przepuści przodem starszej osoby, ani nie wstanie, gdy takowa wchodzi do pokoju, ale za to pomoże, uśmiechnie się etc. Sienkiewicz w listach z Ameryki opisuje straszliwe obyczaje Amerykanów w pociągach, nieuprzejmość urzędników, plucie etc. Potem opisuje właśnie pracę nauczycielki, która całą tę bandę rozwydrzoną zmienia w społeczną gromadkę. Widoczne tego rezultaty. Mieszkałem kiedyś w czeskim miasteczku. Wszyscy mnie witali. W tym roku spędziłem tydzień na wsi w Pirenejach hiszpańskich. Wszędzie to uprzejme buenos dies - tylko u nas nic. Od siedmiu lat przyjeżdżam do tej samej wsi, do tego samego gosodarstwa, znam dzieci gospodarza i jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby mi które powiedziało dzieńdobry. Co mówię na wsi: mieszkam w

centrum Warszawy. Nikt mnie nie pozdrawia. No to i ja z tym uważam. Podchodzi facet, przedstawia się - cieszę się, że mam kolegę, który może mi się nawet przydać, bo to na dodatek milicjant. Nazajutrz wołam do niego radośnie: dzieńdobry. Ani drgnie! Arab, który chodził po ulicy i mówił wszystkim good morning. Dozorczyni na moje pytanie, kto to jest - pogardliwie: jakiś mongoł. Mała dziewczynka, która pytała mnie jak się ma mój piesek, gdy dorosła, przestała na mnie zwracać uwagę. - Głupia? Może. Ale przez te głupstwa czasem nie chce mi się wychodzić z domu, a czasem żyć. Według nowego programu dzieci mogą być uczone zasad obsługiwania się z bronią, rozpoznawania dywersji ideologicznej oraz "doceniania wartości socjalistycznej". Może bodaj godzinę poświęcić w miesiącu na uczenie, że oprócz ludzi, do których należy strzelać są też tacy, którym trzeba mówić dzieńdobry?

Wilga, 10.VIII.

Nonsens rozpoczynać opowieść od postaci prałata, od

opisu budynków etc. To, oczywiście, potrafię, ale mnie nudzi, i to w specyficzny sposób nudzi i podoba się, znajduję upodobanie w przedmiocie mojej nudy.

*

Chciałbym w postaci mojej matki ukazać ideał świętości sponiewierany, ośmieszony i zredukowany w końcu do dewocji, narkomanii i choroby umysłowej.

Ale opowiadając historię mojej matki musiałbym się cofnąć do czasów, których nie znam.

Powinna to być moja rówieśnica.

Lub ja sam.

*

Dwa różne tematy: Camilla II i Matka.

Najpierw opowiedzieć Camillę tak jak zacząłem. Prałat, pomnik, moje dzieciństwo, parady etc. To jakby prehistoria - potem nagle opowiedzieć o tym jak odszedł w [...] prałat, jak wybuchła wojna, jak przyszedł "zesłaniec", jak wyleciał w powietrze pomnik i jak zostałem klerykiem.

Nie klerykiem, to tylko takim właśnie księżym piplem jakim byłem, udającym księdza.

Dlaczego?

Bo kochałem się w Dzidce, nie śmiałem jej tego wyznać i zakochał się w niej mój brat. Zajął się nią. Ani jedno, ani drugie nie zauważyło nawet co się ze mną działo.

Nie byłem księdzem, ale mi ks. doktor podarował sutannę. I chodziłem w sutannie. Miałem iść od jesieni do seminarium.

"Tamci" oczywiście konspirują.

Moja rozmowa z

proboszczem. O próbach. On te próby już zna. Sens tej rozmowy powinien sięgać daleko, daleko, aż po przepastne próby: chodzi o to już jak się ta cała "nasza" sfera duchowa ma do świata. My i świat, Bóg i świat. Przyrodzone i nadprzyrodzone. Jesteśmy śmieszni. Jesteśmy boży błazenkowie w naszych koronkach i wstążkach. Anachroniczni. Zabytki innych czasów. Te klękania, cmokania ... Ale właśnie jak on to wszystko wzorowo odprawiał! To inni zgrywali się na różne sposoby i dawali do zrozumienia, że ich to nuży lub

śmieszy, albo tak doskonale zrastali się z duchową skórą, że nie odczuli nawet inności świata, jaki ich otaczał.

Sprawa Camilli.

Niemcy zażądali, żeby udostępnić wieżę.

Ks. metropolita pozwolił.

Mój bunt, jak to?

Organizacja, Dzidka i mój brat wciągają mnie do spisku.

Chodzi o założenie ładunku na wieży, który wybuchnie, gdy Camilla będzie zjeżdżać.

Ja, któremu proboszcz polecił wpuszczenie ich na wieżę miałem tylko włączyć motor od organów.

Decyduję się.

Ale zostaję sam na sam z Camillą na chórze. Camilla modli się. Poczem rozmawia ze mną. Widzę ją.

Pozatem - nienawidzę pamięci "tamtych". Są mi obcy. Granica przyrodzonego i nadprzyrodzonego przesunęła się, "oni" znaleźli się po tamtej, jej stronie, Camilla po tej, razem ze mną.

[wychodzę razem z Camillą].

Boję się wrócić do domu.

Jeszcze mnie ten jej towarzysz fotografuje. I widzą to Dzidka i Leszek.

Zostaję z proboszczem, który się do mnie dobiera łagodnie. Nie, tylko że jest takie dziwne skrępowanie między nami. Rano chcę się wyspowiadać, nie mówię wszystkiego.

Po spowiedzi, zdejmuję sutannę.

Wracam do domu.

Nie zastaję brata. Nie wrócił na noc. Biegnę na górę: nie ma też Dzidki. Ktoś mnie nie pozdrawia na schodach.

Matka robi scenę o zdjęcie sutanny. Jej teatralna rozpacz.

A ja? Po Witku została paczka "junaków". Wyjąłem jednego i

zapaliwszy rozpocząłem na nowo myśleć o wszystkim.

22.8.

W skrócie:

pijany playboy rozwalił mi na Krakowskim Przedmieściu samochód potrąciwszy przedtem człowieka.

W PZU spotkałem Alinę K., i oglądałem samochód, w którym zginął Antoni Słonimski. Jego miejsce nietknięte.

Dziwna ta Alinka: plecie, jakby nakręcona przez Stefana Traugutta, że nie chce się bronić,

ponieważ w procesie wyszłyby na jaw nieformalności śledztwa oraz zaniedbania Lecznicy, a wówczas powstałaby z tego sprawa polityczna. "Wolna Europa tylko na to czeka ... ".

I to mówi osoba, która była ostatnio najbliższa Antoniemu. Jest to więc widocznie schizofreniczka.

*

Pomysł opowiadania o cioci Peli, która z litości poślubiła bezdomnego chama. I jak ten znęca się nad nią; Jak jej nie

pozwala mieć niczego, co ciocia lubi. Gdy tylko ciocia roześmieje się, zapłacze, krzyknie, lub zaśpiewa prawdziwie, z głębi duszy, gdy na chwilę bodaj jest sobą, wuj Karol reaguje natychmiast. Książka, która wzbudziła jej zaciekawienie znika natychmiast z domu, kwiat, który lubiła wąchać, usycha z niewyjaśnionych przyczyn, ba! krzesło, w którym cioci jest wygodnie siadać, zostaje natychmiast zastąpione jakimś potwornym sprzętem. Cóż mówić o ludziach, których ciocia lubi! Nawet jedzenia jej odmawia,

jakby jej zazdrościł, jakby się obawiał, że ciocia rozbudzona do życia, nie zniesie go ani chwili w domu. Pozwala jej tylko upijać się. Kiedy ciocia pijana krąży po ulicy, wuj łamie nad nią ręce, góruje nad nią, potem wyciąga ją z kaca - spokorniałą, otumanioną ... Czasem ciocia buntuje się. Woła: - Mam tego dosyć, co to za życie etc. - Wówczas - rzecz niewiarygodna - wuj najpierw próbuje przylać cioci, a gdy to ciocię jeszcze bardziej rozjusza - płacze. - Pelcia, Pelcia ... nie jestem taki zły ... sierota jezdem ... dzieciństwo miałem takie straszne,

dzięki tobie wyszedłem na człowieka, kocham cię Pelciu, a ty tylko ze mną jesteś szczęśliwa. Może jestem głupi, może nie umiem gospodarować, może rzeczywiście nie nadaję się dla ciebie, ale robię co mogę, a zresztą inni są gorsi. - Dobra ciocia osusza łzy, uśmiecha się, gładzi wuja po rzednących włosach i zaczyna życie od nowa pełna niezachwianej wiary, że odtąd wszystko będzie inaczej.

My, sąsiedzi, już patrzeć na to nie możemy. Ciocia ma jeszcze wiele sił, ale wszystko to ją wyczerpuje, no i charakter jej się

zmienia pod wpływem tych awantur, zalęknienia i wódki. Jak pomóc cioci Peli, póki jeszcze nie umarła?

Zacząć to opowiadanko od ogólnych uwag o ludziach w szczególności o losie kobiet. Napisać do Women Liberation.

3/XI.

Do domu wiejskiego przyjeżdża córka, młoda tancerka baletu folklorystycznego, przedstawić swojego męża, reżysera filmowego, dziennikarza, czy coś w tym rodzaju. Jest to

starszy pan, w wieku nieledwie ojca młodej.

Efekt: wejście jego. Wchodzi później, bo coś tam z samochodem - utknął, nie mógł wyjechać czy coś takiego. Ona wbiegła pierwsza - powitanie etc. Wchodzi stary człowiek, ubrany jak play-boy. Pomógł mu ten samochód wyciągnąć młody człowiek miejscowy - dawny amant młodej. Wchodzą razem.

Młoda wyszła niby za pana, ale przyjechała wyciągnąć jakieś pieniądze na kupno mieszkania w Warszawie. Jej mąż chwali się, że jest spokrewniony z dawnymi

właścicielami wsi, może nawet tu przyjeżdżał. Obaj ze starym wspominają dawne czasy.

Co za bzdury!

Wilga, 4.IX.

Przyjechaliśmy tu autobusem. Kupowanie biletu i wsiadanie do autobusu to jedno piekło. A potem robi się przyjemnie.

Po drodze pomysł: dzieje kolejki. Jak stajesz. Jak się denerwujesz czy stoisz we właściwej. Jak próbujesz ją zreformować. Jak popadasz w apatię. Jak tworzysz grupę z tymi,

którzy są najbliżej. Jak nienawidzisz tych co są bliżej, Jak im patrzysz na ręce. Jak nienawidzisz tych, którzy "załatwiają". Jak próbujesz "coś zrobić". Jak w miarę zbliżania się milkniesz. Jak przy ladzie, czy przy okienku zmieniasz się w lizusa. Jak odchodząc gardzisz tymi, którzy jeszcze stoją.

Warszawa, 10.9.

Sfrunęła z wieży w szumie braw. Zgrzytała stalowa lina i brzękła jak struna, odginając się, gdy Emmę chwytali już chłopcy ...

Brawa, brawa. Trwało to tak krótko. Zdawało się, że została w powietrzu rdzawa smuga po jej rozwianych włosach.

Patrzyli na to ... Skąd i kto.

Z wieży patrzył Teoś. Odmawiał brewiarz.

Zeszedł z wieży, poszedł na plebanię zdać sprawę proboszczowi. I coś opowiada z entuzjazmem o tym jakie to było piękne i wspomina o rozmowie z rudą Emmą. Ten wysłuchał nerwowo, dał mu śliwkę i odesłał spać. Wywołuje go służąca. Ktoś do niego. To Jurek. Wciąga go do kamienicy. Tam narada co zrobić

z tym całym przedstawieniem. Mają plan: chodzi tylko o to, aby Teoś włączył motor od organów.

Co się stanie?

Dziewczyna gruchnie na bruk.

Co dalej będzie? Wyjaśnia mu organista.

Zabiorą Teosia, proboszcza, zamkną kościół.

Ale przecież kościół jest sprofanowany. Powaga proboszcza jest sprowadzona do zera. Tego, czemu służy Teoś już nie ma.

Całe życie Teosia: znaleziony przez proboszcza gdzieś na wschodzie, gdzie się zgubił w

czasie ucieczki, wrócił z nim tutaj. Jego życie z proboszczem w liturgii. Proboszcz wyrzucony z seminarium. Mikro-świat archaiczny. Mętne wspomnienia z domu. Nie chce iść do rodziny. Rodzina obawia się, że Teoś będzie nienormalny. Wizyty Teosia na Karmelickiej. Dla niego oni są nienormalni. Wszystko co poza kościołem jest nienormalne. Już kamienica jest nienormalna.

Narada u Jurka: Dzidka, pokusa normalności, pokusa życia.

Pokusa tak straszna, że Teoś jest nią skuszony. W czasie drugiego występu patrzy na Emmę

już jako na swoją ofiarę.

Potem pomieszanie: a więc po to aby żyć przez chwilę, musi zginąć. To ma do rozważenia drugiej nocy poprzedzającej trzeci występ Emmy.

*

Przemyśleć sprawę spotkania. Stare formy - hodowla infiltracji. Formy ruchome i zmienne trudniej uchwytne.

Aktualna sytuacja: czy istnieje rzeczywista potrzeba stałej instytucji stanowiąca jej wystarczające uzasadnienie.

Prawdopodobnymi inicjatorami są S.N. i J.O. Będą mieli argumenty. Ich chroni immunitet - nas nie. Uważać na granicę zaangażowania. Przekroczenie jej oznacza dla mnie wplątanie się na zawsze w działalność.

13.IX.

Wczoraj u prof. L.

Sen o powrocie do domu, w którym wszystko dzieje się przeciw mnie, jak gdybym był intruzem.

Dziś: Hamilton (coś pan taki napięty? rozpręż się pan!). Ewa

Otwinowska w czerni wraz z przyjaciółką Stefana też w czerni (ah, ta scena na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie!) Bartoszewski, który przepędził mnie przez całe miasto piechotą, wrzeszcząc, Kombatanci z krzyżami, którzy nas nagabywali, stary inżynier Eyssmont próbujący mnie przekupić jako świadka w wypadku, na koniec tryumfalny telefon Wudzkiego: zamknąłem sprawę Brzozowskiego?

14.IX.

Co jest "święte", a co

"ciekawe"?

Felieton Hamiltona o wycieczkach.

Tak, tylko że zjawisko jest w tej chwili światowe. (*) Na sprzedaż historia życia wielkich ludzi, religia. Odnosi się wrażenie, że cała cywilizacja europejska, i cała jej substancja duchowa została oddana na pokuszenie).

Wrzask przewodników w kaplicy sykstyńskiej.

Wrzask wszędzie. Kościoły które mają znaczenie architektoniczne - zwłaszcza we Włoszech - straciły już prawie charakter sakralny - jak S. Vitale - w Rowennie; czy Madonne di Trewi w Wenecji.

To samo w Hiszpanii. Podwójne życie katedr. Zakrystie, gdzie wszystkie przedmioty kultu są wystawione na pokaz. Łącznie z relikwiami! Te same relikwie, o które toczono kiedyś wojny, do których wędrowano, składano śluby, zanoszono modły.

Do cudownego Chrystusa z Burgoes wpuszcza się za pieniądze; jest taką samą kuriozita, jak śmiejący się dzwonnik pod sklepieniem. A że główną masę turystów stanowią Japończycy i Amerykanie ze

swoimi aparatami, odnosi się wrażenie, że Stary Kontynent sprzedaje się obcym. Nb. zmianom uległo też zachowanie religijne: pielgrzymi w Montserrat całują w rączkę Madonnę poczem ją fotografują, żując gumę. Stara katolicka Europa nie tylko otworzyła swe świątynie dla pogan, ale sama poganieje i dziczeje.

Albo też zawsze była dzika.

Dziś kupczymy relikwiami, z których większość jest fałszywa. Co lepiej: wystawić je jako świętość czy jako osobliwość?

Dziś depczemy po schodach

zamków, kaźni, a nawet zwiedzamy obozy koncentracyjne i krematoria. Lepiej je zwiedzać, niż w nich siedzieć i płonąć. Itd. Co do płacenia, płaciło się zawsze: dziś za zwiedzanie katedry, dawniej za msze. Co lepiej? Nic nie lepiej. Jest to może ogólna prawidłowość, że sakra z czasem ulatnia się. Ulatnia się, czy zmienia miejsce? Sakra, zwróćcie uwagę, uleciała ze świąt. Boże Narodzenie i Wielkanoc są dziś wielkimi światowymi targami, wykorzystującymi elementy kultów. Przypuszczam, że to samo jest w Japonii, albo w krajach

arabskich z buddyzmem i islamem. Reguła jest może taka, iż w miejsca wartości duchowej wchodzi materialna; kupno relikwi i odpustów, symonia były też podobnym zjawiskiem w stosunku do wczesno-średniowiecznej pobożności. (Wyidealizowany okres przeszłości jaki przekazał nasz XIX wiek historyczny - mamy wciąż do czynienia z jego stereotypami.

Chodzi o to, aby odczyścić ducha historii z tego werniksu, wiedzieć jak było naprawdę, a wraz z tym pewnikiem za prawdziwym obrazem historii,

święcić sakrę - gdzie ona mianowicie się "przemieszcza"?

Gdzie są te miejsca rzeczywistych skupień, rzeczywistej trwogi, rzeczywistej tajemnicy: gdzie jeśli nie w świątyniach wypełnionych mrowiem turystów, - jeśli nie w ustroniach górskich i leśnych tratowanych przez wycieczki, gdzie jeśli nie na cmentarzach, gdzie jeśli nie w "przestrzeniach" niebieskich, porytych "korytarzami" powietrznymi, w których coraz częściej rozgrywają się akty gwałtu, gdzie jeśli nie w przestrzeni międzygwiezdnej,

pełnej krążącego tam żelastwa adaptowanej (*) gdzie jeśli nie w poezji, wyśpiewywanej, wprowadzona na wysokie sposoby, gdzie jeśli nie w muzyce, która nie jest muzyką, gdy się jej słucha z płyt, gdy nie jest zbiorowym skupiskiem ... gdzieś się skrył Panie Boże? Święty a nie ciekawy ...

17.IX.

24-rocznica śmierci mojej Matki.

Walka z jałowością. Wstawać zawsze na czytanie: od 6-7:30: to dość na lekturę, to 50 stron! To ca 300 stron tygodniowo, 1200 miesięcznie! 4 duże książki.

Potem w czasie porannej kotłowaniny zapisać to co czytałem. Nic innego zrobić wtedy nie zdołam. Pisać w godzinach południowych, urzędniczych. A właściwie nie tyle pisać, ile przepisywać rzeczy wymyślone, rzucone na papier kiedy indziej, w różnych chwilach dnia.

Lektury: jak gdyby od początku. Przyjmijmy teoretyczne założenie, że od przyszłego roku będę profesorem w Chicago. (Skoro się o to staram, muszę

przyjąć to jako hipotezę). Co w takim razie musiałbym zrobić. Musiałbym najpierw przeczytać książkę Miłosza, a następnie poszerzyć jej wiadomości o wszystko co mi jest zupełnie nieznane. Muszę po prostu przestudiować historię literatury polskiej pod kątem widzenia porównawczym, skupiając się na zjawiskach rzeczywiście ważnych i ciekawych; skupić się zwłaszcza na XIX i XX wieku.

Pisanie:

1. zawsze najpierw dziennik, ale w związku z lekturami (lektury powinny być mieszane!).

2. potem zawsze przepisywać to co już jest gotowe, obojętne co by to było.
3. Na samym końcu (obojętnie na jaką porę dnia ten koniec przypadnie) napisać coś nowego - ale nigdy nie więcej niż dwie strony rękopisu - obojętnie czego, byle codziennie.

2 strony dziennie! - 60 miesięcznie, ponad 700 rocznie! - przy czym, jak wiesz, z twoich dwóch stron rękopisu powstaje potem 4 w maszynopisie.

Co mam do napisania:

1. Felietony: TP - 8 str. miesięcznie

TW - 8 = 16 -"- -"-
Reszta: powieść
Camilla II.
Brendan ...
Nie wiem.
Albo coś zupełnie nowego.

*

Myślałem kiedyś o tym, że powinienem literaturę moją przenieść ze sfery pracy obowiązkowej, która mi zawsze sprawiała przykrość, do sfery zabawy, która była zawsze (tzn. w dzieciństwie), moim prawdziwym życiem. Pisać tak jak się bawiłem,

i na te same tematy, z tą samą fantazją, tak samo dowolnie, konsekwentnie i całym sercem.

*

Wszystkie moje namiętności współczesne i zainteresowania współczesnością powinienem włożyć w felietony i opowiadania. Natomiast pisać historię. Pisać na kanwie istniejących już zapisków, jak St. Simon na podstawie Daugesa i papierów De Torey'ego. Faice reviere (?) z historią. Temat: Historia polskiej konspiracji. Kopalnia dramatów, charakterów,

biografii, a przy tym studium pewnej jednolitej ideologii i struktury.

Desapresant - des oujourd'hui - W 24 rocznicę śmierci matki mojej, i w 37 rocznicę wkroczenia do Polski Sowietów.

*

Początek: Kościuszko i Poniatowski. Studiując materiały do książki dla BR. (Biblioteki Romantycznej - przyp. KK.), notować wszystko co potrzebne jest dla mojego celu.

Poniatowski - czy nie jest to

przykład owej ideologii wojny regularnej i jawności, która tyle razy przeszkadzała zawiązaniu się konspiracji i terroryzmu? Na marginesie tych studiów zwracać uwagę i gromadzić wszystko co się pisze na temat współczesnego terroryzmu arabskiego, irlandzkiego i japońskiego! Moje studium będzie miało wagę tylko w oparciu o współczesność! ...

30.IX.

Zamącenie świadomości.

Czego właściwie chce człowiek współczesny? Człowiek,

za dużo powiedziane. Głodujący Etiopczyk chce trochę chleba. Francuz trochę spokoju do trawienia, Chilijczyk, aby reżim zelżał, czarny z Namibii praw ludzkich. A Polak? To znaczy ten człowiek, którego znam? Bo, ostatecznie mówiąc człowiek, muszę mieć na myśli kogoś kogo znam.

Mam przy tym na myśli pragnienia nie osobiste, lecz zbiorowe. Każdy człowiek chce trochę swobody, dobrobytu, spokoju, bezpieczeństwa, przyszłości dla dzieci.

Można chyba ustalić idealny i

jednolity dla wszystkich ludzi na świecie standard owych pragnień. Zrealizowany w kilku najbardziej rozwiniętych krajach świata, stanowi przedmiot pragnień Polaka, Chińczyka, Hindusa etc. Absolutnie wszystkich. I to ujednolicenie standardu pragnień wydaje mi się głównym elementem zaangażowania świadomości w skali światowej. Standard pragnień związanych z cywilizacją przemysłową wyeleminował właściwie z gry wszystkie ideologie, wszystkie inne ideały życia oraz zepchnął na drugi plan dążenia polityczne.

2.X.

Z Conrada:

"Jestem przekonany, że nie można całkowicie oszukać żadnej kobiety. Gdybyśmy znali całą prawdę, to okazałoby się, że nawet te, które są zgubione, skaczą w przepaść z otwartymi oczami". (W oczach zachodu).

*

A propos Conrada: zbadać co w nim już jest rosyjskiego.

Napewno jest tym poczucie, iż

nikt nas nie może rozumieć.

*

Nienawiść Rozumowa do szwajcarskiego robotnika wypoczywającego na ławce w ogrodzie: "Wyborca! Wybieramy! A z tym wszystkim bydlę."

*

O sztuce powieściowej:

" ... Zadaniem ... nie jest ubranie w formę opowiadania treści pewnego dziwnego ludzkiego dokumentu, lecz (...)

przedstawienie moralnych warunków istniejących na znacznej części powierzchni naszej ziemi: warunków niełatwych do zrozumienia, a tym mniej do wykrycia w wątku jakiejś historii, póki nie znajdzie się czegoś w rodzaju słowa-klucza; słowo, które by stało poza wszystkimi słowami wypełniającymi te strony - słowa, które nie będąc samą prawdą, mogłyby zawierać dość prawdy, by dopomóc dokonaniu moralnego odkrycia - jakie powinno być celem każdej opowieści."

*

Cynizm:

"Jest to znamię zarówno rosyjskiej autokracji, jak i rosyjskiego buntu. W swej pysze liczb, w swych dziwacznych pretensjach do świętości i w tajemnej gotowości do poniżenia się w cierpieniu, duch Rosji jest duchem cynizmu. Duch cynizmu wypełnia do tego stopnia oświadczenia rosyjskich mężów stanu, teorie rewolucjonistów i mistyczne przepowiednie proroków, że wygląda tam na pewną formę rozpusty, a nawet

same cnoty chrześcijańskie wydają się nieprzyzwoite ... "

*

Być może ten cynizm w zachowaniu i postępowaniu Polaków jest już rosyjski.

Cynizm bardziej w znaczeniu angielskim niż francuskim, tzn. w znaczeniu zbliżonym do sceptycyzmu.

*

Raznanow(?): "Nie jestem demokratycznym Żydem. Nie

każdy ma takie szczęście".

"dziwny popęd do niedyskrecji, jaki cechuje ludzi wiodących tajne życie".

*

" ... Któż z nas Rosjan mógłby pozostać głuchy na stłumiony jęk naszej niewoli? Dla świata oczywiście może to być niczym. -
- Do świata docierają raczej odgłosy waszych waśni - rzekłem
- Taki bowiem jest świat.
- Tak. - skinęła głową potakująco i zawahała się przez chwilę. - A jednak muszę panu wyznać, że nie

przestanę oczekiwać dnia, kiedy wszelkie waśnie znikną. Proszę sobie wyobrazić świt takiego dnia. Zgiełk walk i złorzeczeń ustaje; cisza jest wokół; nowe słońce wschodzi i utrudzeni ludzie łączą się wreszcie, obliczając w sumieniach bilans skończonej walki. Są zasmuceni swoim zwycięstwem, bo tyle idei musiało zginąć, aby zatriumfowała jedna, tyle wierzeń opuściło ich bezpowrotnie. "

5.X.

O cierpliwości.

Czy to jest cnota?

Skąd pochodzi słowo?

Źródłosłów: cierpienie. Patientia, patient - to łączy się z chorobą.

Więc to jest pewnie cnota, ale łącząca się z chorobą, z choroby wynikająca.

Ale czy w zdrowiu też trzeba być cierpliwym?

I czy uznanie cierpliwości za zdrową cnotę, nie oznacza przyjęcia dla siebie statusu chorobliwego? Może więc namawiając się nawzajem do cierpliwości, wszyscy razem idziemy "na chorobę".

Cierpliwe społeczeństwo - społeczeństwo na chorobie.

*

Cierpliwość - Niecierpliwość.

Niecierpliwość - niepokój, niepokój również twórczy, myślowy, duch sprzeciwu, buntu.

12.X.

Pokój.

Leo (Emil).

Przywitanie.

Pan Key.

Pani Key.

Przyjęcie.

Upijam się.

Wychodzi na jaw to przed czym uciekłem: przed jakąś miłością i jakimś obowiązkiem, - opowiadanie o tym, co mi dokuczyło, a jest jakgdyby małżeństwem z PRL.

Zerwanie pod warunkiem efektywności.

Czy potrafię być na tyle efektywny, wartościowy, aby opłacić moją zdradę.

Zdrada pociąga za sobą dalsze zdrady.

Czekanie na list z wezwaniem.

Innych potraktować

politycznie: Argentyńczycy, Chilijczycy.

A ja niby nie mam sprawy politycznej, lecz tylko osobistą.

Decyzja emigracji - odwaga konfrontacji świata, lecz nie tego świata, który tu widzę - to karykatura świata prawdziwego.

Gdzie? Jak? Podróż. Pustynia, góry. Morze. Foki. Nie ma dokąd uciekać.

Telefonuję do Emila: czy jest jakiś list do mnie.

Czyta mi go przez telefon.

Ale czy nie zmyśla?

Chcę mu powiedzieć, że od tego dużo zależy.

Emil - Nic od tego nie zależy. Wrócisz, bo masz to we krwi.

- Co?

- Wierność. [-inaczej oczywiście].

*

Ks. Sierota, Ks. Sierotka, Sierotka, Ks. Kazimierz Sierotka.

Spotkanie z ks. K. Sierotką.

Jego opowiadania, pisma, listy.

16.X.

Tematy nerwicowe, które

wypływają w każdej chwili zawieszenia, czy rozproszenia uwagi:

K...

S...

pochodzenie (rozmowa z Zalew.)

Klęski towarzyskie, etc., etc.

Jak kozak na wodzie.

Niesamowite.

Biją się za to po pysku. Tracą na to całe lata!

20.X.

Do Tygodnika:

?

*

Sprawa książki amerykańskiej.

Mogę z łatwością dołączyć do obecnego maszynopisu napisane już rozdziały o Wielkim Kanionie i o Phoenix, oraz wzbogacić opis Nowego Jorku o opis wycieczki statkiem dokoła Manhattanu; będzie to rzecz obszerniejsza niż jest teraz i zapewne lepiej, wyraźniej zakończona. Ale po co? Prawdopodobnie teraz wydana nie będzie. Ukaże się (jeśli w ogóle) za jakie 2 lata najwcześniej. Będzie to już długo po mojej

podróży do Stanów, inne będą Stany, inny będzie świat i ja sam będę inny, starszy, 50-letni. I na cóż mi wtedy taka książka? Należy więc to wszystko przerobić na powieść, wedle klucza, który wymyśliłem już wtedy, w Iova.

Powinna to być historia różnojęzycznej gromady mitomanów, którzy pod wodzą miejscowego mitomana wmawiają w siebie i w miejscowe społeczeństwo, że mają jakieś istotne znaczenie. Konsekwencje owej mitomanii.

Sytuacja bohatera: wyjechał żeby wyzwolić się z jakiegoś

przymusu psychicznego, który nie wiadomo czy jest miłością, czy też niewolą.

Bohater nazywa się: Adam Mazur. Jest typem literata warszawskiego, bęcwała, który ma może nawet liryczną duszę, świadomość siebie, ale którego światopogląd jest zupełnym galimatiasem.

Ma to być konfrontacja dzisiejszego Polaka ze światem. Próba zuniwersalizowania, oderwania się od sytuacji lokalnych, symbolizowanych przez różę i ten list, którego nie może nawet zacząć. Natomiast

rozmaitym osobom udziela rozmaitych, sprzecznych z sobą wyjaśnień dotyczących jego sytuacji osobistej. I nawet nie można się od niego dowiedzieć: czy kocha, czy jest w niewoli, czy chce w ogóle wracać, czy zostać. Kompletna konfuzja.

Będzie to opowieść o mitomanii miłosnej, o miłości z dala, o miłości bez partnerki - tak, aby w końcu nie wiadomo było kto nią jest - (kobieta, czy Polska), ani czy ona w ogóle istnieje.

A ten kwiat wręczony na lotnisku to goździk, urzędowy, etatowy goździk w celofanie.

21.X.

Do Tygodnika:

Z kroniki wypadków.

Idę sobie na Krakowskim Przedmieściu - był wieczór, deszcz padał, ciepło jeszcze było, przechodniów sporo, niektórzy pijani - aż tu nagle trzask, prask, pisk hamulców, chłopak wylatuje w górę i pada na mokry bruk jak ustrzelona kurka. A na chodniku dwa rozwalone samochody, gdzieś dalej samochód sprawcy, też rozwalony. Tłum na chodniku, w tłumie sam sprawca, ktoś woła:

telefon ... etc. A na bruku - skulony ludzki kształt.

Ktoś tam do niego pobiegł, dotknął, ktoś krzyknął nie dotykać, nie ruszać, ostrzegano.

I słusznie, nie wolno ruszać.

Ale ponieważ nie wolno, jesteśmy zwolnieni od wszelkiej pomocy. Ponieważ jesteśmy zwolnieni od pomocy, jesteśmy także zwolnieni od uczuć. Bo uczucia są czynem, albo nie ma ich wcale. Gdyby wolno było ruszać, pomagać, ratować, wokoło rzeczy wywiązała by się dyskusja, a może nawet bójka: - Bierz go pan ... pod nogi ... Zostaw go pan

... Dajcie mu przecież coś pod głowę, będzie ... etc. - Ponieważ nie wolno - tłum milczał. W milczeniu tłumu, tym okrutniej zabrzmiały słowa jakiegoś pijaka:
- O k... Kto mu tak przyp....

W milczącym tłumie, tym głupiej zabrzmiało pytanie jakiejś dziewczyny:
- Co mu się stało?

Chłopiec towarzyszący jej nie wiedział jak jej odpowiedzieć, wobec tego - jak piszą w powieści - zamknął jej usta pocałunkiem. Dziewczyna przywarła do jego warg i tak szła ta para ciągle całując się, a o parę kroków

tamten leżał.

W jakie 10 minut potem przyjechało pogotowie, zgarnęło chłopca i tłum się ożywił. Głośno odtwarzano wypadek, którego, którego bohaterem był już nie zabrany chłopiec, lecz - samochody. [... nieczytelne do końca akapitu ...]

8.XI.

TEKA zawiera utwory literackie i artykuły, które były i są przeznaczone do publikacji w PRL w zgodzie z obowiązującymi w niej prawami. Przyczyną ich

konfiskat przez cenzurę, lub odrzucenie przez wydawnictwo nie zostały nigdy sprecyzowane. Można się ich tylko domyśleć. W niektórych wypadkach są one politycznej natury, w wielu wypadkach tylko personalnej. Nie chcemy ich zresztą dochodzić. Przedmiotem naszej troski jest ogólne podłoże takiego stanu rzeczy oraz jego konsekwencje. Jak mogło do tego dojść, i co z tego wynika.

Trzydziestoletnie z górą dzieje PRL dzieli się na różne fazy, przyjmując za ich granice momenty kryzysowe takie jak

październik 1956, marzec 1968, grudzień 1970. Można przyjąć, że są to dzieje trzech sekretarzy - Bieruta, Gomułki i Gierka, a momenty kryzysowe związane są z przejęciem władzy. Na ogół związane z przejęciem władzy były też kolejne programy reform i liberalizacji. Każdemu przejęciu władzy towarzyszy odwilż, a schyłek każdego z kolejnych "reżimów" charakteryzuje się zamrożeniem stosunków wewnętrznych. Ci, którzy to oglądali już trzy razy nie dziwią się temu, i nie zdziwią się gdy przydarzy się to jeszcze raz,

więcej razy. Obserwacje tych zjawisk na dłuższej przestrzeni i stwierdzona ich powtarzalność, pozwala sformułować parę wniosków ogólnych.

Gros energii idzie na utrzymanie i przejęcie władzy. Aparat władzy jest centrum całego życia i jedynym wytwórcą ideologii. Aparat wtedy potrzebuje takich ideologii, które służą mu do utrzymania i przekazania władzy. Dominacja polityki nad ideologią. Są właściwie dwie ideologie - tych co są u władzy, i tych, którzy chcą się do niej dostać. Jeżeli ci, którzy są u władzy, prowadzą politykę

miękką (jak to się dzieje zawsze w początkowym okresie), ci, którzy ją utrudniają, bo chcą się do niej dostać, głoszą wtedy politykę twardą. I na odwrót.

To już oczywisty stan rzeczy. Do swoich celów aparat władzy wytwarza fikcje ideowe; z każdej ideologii tradycyjnej bierze to co mu się przydaje, czyli to, co najgorsze. Z marksizmu frazeologię, z katolicyzmu sentymentalizm, z patriotyzmu przyjęcie wspólnoty i lojalizm. A z literatury? Generalną nieufność.

Wszystko poza ideowością i realizmem. Awangarda - tak,

ezoteryczność - tak, mętniactwo - tak, estetyzm - tak, sanacja - tak, okulizm - tak. Pornografia - tak (zwłaszcza w wykonaniu byłego ministra kultury, który pisarzy namawia do ideowości i [...]). W ślad za tą selekcją idzie selekcja - personalna. Oczywiście, władza nie lubi też "mieszania się do polityki", ponieważ monopol polityczny należy do najgorliwiej strzeżonych. To też do kryteriów "wyboru" należy po prostu napięty czas i represje.

Stan rzeczy w literaturze stanowi więc fragment całości - procesy, które w niej odbywają się

są te same - polegają na cynizmie i korupcji.

Wilga, 16.11.

Przestałem właściwie prowadzić mój dziennik, pamiętnik, czy jak to nazwać. I dobrze. Wszystko, całą moją substancję werbalną, cały zapas ochoty do pisania pochłaniają felietony. Też dobrze. Zguba, nicość. Nienawidzę tego, a robię dobrą minę do złej gry. Czuję się wciąż tak, jak zmęczony biegiem człowiek, który nie może złapać głębokiego oddechu. Teraz

kolejny idiotyzm. TEKA - no, i oczywiście Tygodnik.

Do Tygodnika. Może coś o psychologii? O psychologii i astrologii.

Słońce wchodzi w znak strzelca. Czuję się tym mile podniecony, bo to właśnie mój znak. My Strzelcy, jesteśmy skłóceni z samymi sobą, niejako zawstydzeni swoim istnieniem i własną naturą, poszukujemy tedy potwierdzenia u innych, i czepiamy się ich z natarczywą wiernością. Oddajemy się w niewolę nadmiernie sobą udręczeni. Jesteśmy tego w pełni

świadomi, więc odpłacamy się naszym właścicielom - tj. przyjaciołom, żonom (mężom), zwierzchnikom, wodzom, idolom - sarkazmem, ironią, jadowitym szyderstwem, drwiną, które ujawniamy na tyle tylko, aby nie doprowadzić do zrzucenia błogosławionego jarzma. Drażnimy się z naszymi tyranami na tyle, na ile nam pozwolą. Potem odprawiamy uroczyste ekspiacje i zaznajemy napowrót słodyczy niewoli. Jeśli tyrani nasi są tak niecierpliwi i niewyrozumiali, albo tak dalece nie pojmują, czy nie chcą

pojmować, że obrzucanie ich obelgami ma dla nas moc oczyszczającego rytuału, zadowalamy się furią szeptaną, atakami wściekłości odprawianymi w ciszy i samotności, z których wychodzimy spoceni jak myszy, i oczyszczeni w poczuciu winy.

Wilga, 22.XI. - wczesnym rankiem.

Próba uporządkowania.

Może nastąpić tylko wokół pisania, wokół, jak mawia ironicznie Janek Błoński, dzieła.

Wszystko co mam jeszcze do zrobienia: pisać, to już wiem napewno.

Pisać to znaczy opowiadać.

Moim błędem dotychczasowym było to, że próbowałem opowiadać o sobie. Próbowałem - chciałem - opowiadać o sobie prawdę. Nie mam nic do opowiedzenia - Impulsem opowiadania jest łgarstwo, piękne zmyślenie.

Muszę opowiedzieć o sobie to wszystko co mi się nie przydarzyło.

Przykład Conrada.

Prawdopodobnie w każdej powieści Conrada jest ktoś, czyją rolę wyznacza sobie. W "Nostromo" to Decoud ... Dość, jeszcze za mało o tym wiem.

Z czytania Conrada zrobię sobie przeżycie.

Nie ufałem dotąd sile kreacyjnej wyobraźni. Trzymałem się jakichś fikcyjnych, małostkowych prawd. Byłem tak zawstydzony moim życiem, że właśnie z niego, z takiego, jakim było chciałem zrobić literaturę. Stąd moje klęski. Udawało mi się tylko to co było ponad moje życie, chociaż trochę wystawało. Zresztą dość o tym. Ani słowa o "moim

życiu ". Już go nie ma. Już się wtapia w "dzieło", już się z nim utożsamia, miesza jak składnik stopu w kotle. Odtąd cały wysiłek, cała uwaga należy do dzieła.

*

Ksiądz Karuś zatem zajrzał przez zbutwiałe sztachety na drugą stronę i zobaczył tam to, co chciał zobaczyć: Teosia z panienkami.

Panny siedziały na składanej ławce pod orzechem, Teoś u ich stóp. Panny były trzy. Dwie z nich znał, trzecia była nowa. Dwie były w sukienkach, trzecia w krótkich

spodenkach. Długie gołe nogi. Teoś ma także długie, gołe nogi. Proboszcz odszedł od bramy.

Państwo boże.

Państwo boże to nie terytorium, to nie instytucje ...

Ksiądz Karuś wie, że państwo boże jest domeną ducha. Że jest tam, gdzie jest Chrystus, a On dociera przez Słowo, przez Sakrament, przez łaskę, która prócz widomych ścieżek, ma też niewidoczne. Ksiądz Karuś to wie, i wierzy w to, lecz pragnie Królestwa, pragnie Imperium bożego takiego, jakie oglądał jako alumn Georgianum. Sympatia dla

Mussoliniego? Dyskretna. Potem jego służba przy boku Księcia metropolity. Objazdy parafii. Poświęcenie domów, kin etc. Ironia Księcia metropolity.

Co myśli Książę metropolita?

Co myślał wtedy, o bożym imperium, którego był jedynym z wielkorządców?

Co myślał o ucieczce z klerykami?

Co myślą inni? Ksiądz dr. Wnęk, z którym byli razem na Georgianum i który uchodził za teologicznego geniusza ...

Wszyscy o nim mówili geniusz, geniusz, to co pisał było genialne, lecz były to przyczynki. To co mówił było też genialne, lecz na temat wynikający z czytania, lub z okoliczności lecz co myślał pozatem ... Ksiądz Karuś wiedział o swoim ograniczeniu wynikającym stąd, że Bóg i jego Kościół był jego jedyną miłością, i że nie znał innej. Wiedział o swoim zaślepieniu, o swojej pobożnej tępocie, i chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Ale wszystko milczało. A książki ... Większość ich była zakazana, lub podejrzana, lub po prostu niebezpieczna dla wiary. Zachować wiarę,

rozszerzając miłość. Pozbyć się odrazy.

Powrócił do bramy i zawołał Teosia: spytał co robi, dlaczego się nie uczy, jak się ma mamusia.

Teoś był jakiś podniecony.

- Był brat.

Ksiądz Karuś przestraszył się.

- Nocował?

- Nie, przyszedł rano, kiedy mnie nie było. Zastałem go wychodzącego.

- Po co przyszedł? Naraża was.

- Przyniósł mamie pieniądze i ...

- I co? ...

- Patrzył na to, co Niemcy na placu robią.

- Patrzył?

- Przez lornetkę. I coś rysował.

- Mówił coś?

- Powiedział ...

- No?

- Kiedy mu mówiłem, że to ma być pomnik pokazał tylko wnętrze dłoni i drugą ręką pokazał jak mu wyrasta ...

- Co?

- To takie nasze powiedzenie: że mu kaktus na ręce wyrośnie, jeśli ...

- Idźże, idźże.

Chłopiec zabrał się do odejścia.

- Poczekaj no. Co to za panna, ta z

gołymi nogami.
- Lilka.

Pokazał świeżo odmalowane okna w plebanii.
- Córka tych państwa.
- Już się z wami pokumała?
- Bardzo fajna. Proszę Ojca ...
- Co to?
- Czy to prawda, że to są Żydzi?
- A to cię nic nie obchodzi.

Chłopiec zarumienił się.
- Przyjdź na plebanię. Mam coś dla ciebie.

*

Kamienica.

Kto tam mieszka?

Cała Polska.

Główny awantaż tej kamienicy i punkt jej honoru: widok z okien: panorama miasta. Każdy to widzi inaczej.

Dlatego zawrzało tam w związku z pomnikiem Hitlera. Nie tylko, że stanie, ale że jest zniewagą. Wiadomość o tym rozeszła się błyskawicznie, połączona jeszcze z nagłą wizytą Witolda (?), którego widziano jak o świcie lornetkował plac. Widziano go też dzwoniącego do mieszkania Klaczyńskich.

Mieszkanie Klaczyńskich.

Ostentacja konspiracyjna. Podniecenie.

To podniecenie donosi Teoś, przychodząc na plebanię. "wszyscy o tym mówią". I że trzeba coś zrobić.

Gniew Księdza Karusia. Daje mu ostro swoje czarne spodnie i każe mu włożyć. Na niego są za długie, na chłopca będą w sam raz.

Chłopiec przebiera się, jest zachwycony. I proboszczowi też się podoba: wygląda jak jeden z tych chłopaków przed włożeniem sutanny ...

- Mam przecież być tym księdzem, nie?

Postanawia porozmawiać z panem Różyckim, żeby Lilka mu z gołymi nogami nie paradowała po obejściu kościelnym, bo to nie Jastarnia.

To pomyślawszy zszedł do kancelarii i zastał tam pana Różyckiego na rozmowie z panem Musiałem.

Pan Różycki ma nową wiadomość. To nie będzie pomnik, ale szafot. Na Żydów.

*

Kompletne zamieszanie w kamienicy, gdzie wszyscy mówią

o tym co będzie, co się stanie, ale nie wszyscy mówią o tym samym. Trudności komunikowania się. Nagle stosunki między sąsiadami stają się konspiracyjne.

Wiadomości o przygotowywanej akcji odwetowej.

W kołach "zachowawczych" obawy przed represjami. Opinia, że "gra nie warta świeczki". Ale co generał miał na myśli: pomnik, czy szafot? Komeraże. Co myśli proboszcz? Myśl o wysłaniu deputacji do księcia metropolity. Osobistości: generał, minister, obie hrabiny.

To wszystko trwa do wieczora, i przez całą noc, zaostrzone jeszcze powrotem młodzieży z pracy.

Samotność Teosia, który usiadł wyśmiany w ogrodzie przez panny z powodu spodni.

*

Spontaniczność, swoboda, naturalność jak w listach. Ale trzeba wiedzieć do kogo się pisze.

Do kogoś, kogo znam dobrze, i o kim wiem, że zaciekawiony byłby wszystkim co opowiem.

24.XI.

I nie ma co daleko szukać: tym "kimś" jest Kazia, której wrażliwość wypróbowałem ostatnio czytając jej głośno Conrada. Jest bezwzględna i naiwna, właśnie taka, jaka jest i jaka powinna być tzw. "szeroka publiczność"; pragnie być zaciekawiona, a niewielką zwraca uwagę na pięknostki stylu, nie wiedząc nawet, że gdyby ich nie było, opowieść nie dotarłaby do niej, podobnie jak każdej rzeczy nie możemy zobaczyć bez światła; styl jest światłem opowieści.

Piszemy więc listy do Kazi; te, które pisałem do niej dotychczas wyzwalały ze mnie zawsze swadę, może nawet nieco rozpaczliwą przez to, żem się obawiał, iż rzecz, na której najbardziej mi w opowieści zależy nie dojdzie do niej, nie zostanie przez nią dostrzeżona. Pomaga mi w pisaniu do niej jej niezachwiana wiara we mnie, połączona z ukrytą pretensją, że mnie zarazem nie docenia. - W istocie - myślę sobie - nie wiesz kogo masz, otóż proszę, podziwiaj, jak pisać potrafię, gdy mi żadne zamówienie na karku nie leży.

*

Dzisiejszy sen: Leszek, mój brat, przyjechał do naszego domku w Wildze pod naszą nieobecność, rozebrał się i położył do łóżka Kazi, paląc papierosa. Próbowałem go grzecznie wyprosić, proponując mu bądź to moje łóżko, bądź łóżko Jędrka na górze. Odmawiał nucąc gniewnie, i w rozmowie ze mną był już raczej Jędrkiem niż sobą.

Przedtem jechałem po Kazię na podmiejską stację kolejową starym, psującym się, dwuosobowym samochodem z epoki, Erola Flynna, i nie mogłem dojechać; po drodze widziałem pogrzeb kogoś, jakby prof. Mroszczaka, któremu katolicki pogrzeb odprawił Brzechwa, jako ksiądz. Toczyły się jakieś tajemnicze sprawy związane z emigracją z Polski, w której odgrywali rolę aktywiści z PAX-u. Rozpoznałem ich twarze na fotografii w jakiejś kolorowej gazecie; znałem ich i miałem dotąd za aktywistów partyjnych.

Wczoraj tu śnieg spadł mokry i kruchy jak lukier. Na zewnątrz nie bardzo zimno, ale domek

przewiewany podmuchami zimnymi, które przesączają się do niego wszystkimi szparami. Przed południem temp. spada do 13 stopni i niżej, poczem gdy piec się rozgrzał, podnosi się do 25 i wyżej.

Przeczytałem w maszynopisie książkę Najdera o Conradzie. Bardzo ciekawa, bo Conrad jest ciekawy, a napisana dość żywo i obficie inkrustowana listami, których fragmenty dobrze dobrał. Ostatecznie zrobiła na mnie przykre wrażenie. Widać małego człowieka, który spoufalił się z wielkim i stracił jego miarę, jeżeli

ją kiedykolwiek posiadał; ochłódł też w miłości do niego. Nie ma o nim do powiedzenia nic poza faktami, które na dodatek z uporem pedanta koryguje pomawiając wciąż albo Conrada o fałszerstwo i blagi, albo dotychczasowych jego biografów o ignorancję, czy naiwność.

Traktuje swojego bohatera z podobną pobłażliwością, i z podobną dezaprobatą, jak swego przyjaciela Zb. Herberta; i jednego, i drugiego pragnąłby wziąć pod kuratelę, nie wyjaśniając zarazem, ani w jednym, ani w drugim wypadku

dlaczego, z jakich własnych powodów zajmuje się tego rodzajem żywota, co go mianowicie łączy ze światem twórczości, i czego sam w świecie szuka. Ma duszę policjanta, dobrodusznego nawet, takiego, który staruszki i dzieci przeprowadza przez ulicę, ale robi to z poczucia władzy, wyższości, nie z miłości, nie z poczucia, że jest takim jednym z potrzebujących, jednym z szukających drogi. Jest to w sumie książka intelektualnie bezwartościowa; nie zawiera nic nowego poza ustaleniem

prawdopodobnie ścisłym wielu - może nawet istotnych - szczegółów.

*

Révenous ů nos moutons, tj. - Do księdza Karusia, którego zostawiliśmy, jak ujrzawszy Teosia w towarzystwie panien, a zwłaszcza w towarzystwie panny nieznanej dotąd księdzu, i to nieprzyzwoicie ubranej, odszedł od bramy w irytacji, pogrążony w rozmyślaniach o współczesnym świecie, którego nie lubi, którego się obawia, i który uważa za

rozszerzające się z dnia na dzień władztwo szatana. Oczywiście wie, że Chrystus zwycięży, niepokoi go wszakże jego nierychliwość; skoro dopuszcza do takich rzeczy, to znaczy, że zamierza karać, wkroczyć gwałtownie i kto wie czy nie ostatecznie. Nad tymi szortami, kinami, dansingami, dwuczęściowymi kostiumami, zawisło widmo katastrofy.

Co ciekawe, wojny i jej katastrof, ksiądz Karuś nie włączał do swej wizji zła i nie uważał jeszcze za tę katastrofę, którą spuści Chrystus, gdy uzna, że przepełniła się miara zła. Ksiądz Karuś bowiem nie patrzył światu w oczy, lecz jakby ponad głowę, nie czytał w jego historii rzeczywistej. lecz w tym co retoryka kościelna wokół niej naplotła; jej figury i metafory miał za rzeczywistsze od wydarzeń. "Płacz i zgrzytanie zębów", pękanie gór, zaćmienie słońca, zarazy, ale takie, że ludzie mrą na ulicach - to były katastrofy, których się spodziewał, i którym umiałby sprostać, nie myśląc o prześladowaniu wyznawców Chrystusa i kapłanów, na które czekał z radością jako na

ostateczne wypełnienie swego losu i jakgdyby najwyższą akceptację swego powołania. Ale póki tego nie było ... Póki tego nie było pozostawało walczyć ze zgorszeniem i bezbożnictwem, a zwłaszcza do upadłego walczyć o dom tych, których Bóg bezpośrednio powierzył jego pieczy ... Szybkim krokiem powrócił do bramy i przyłożywszy zwiniętą dłoń do ust zawołał, ile sił w wątłych piersiach:

- Teoś!

25.XI.

Conrad dręczył się zapewne niedoskonałością swego wysławiania i niemożnością przekazania tego, co wiedział i czuł. Ja natomiast (wzruszające jest to natomiast - całkiem jakby porównanie narzucało się samo przez się) męczę się tym, że nic nie mam do powiedzenia i opowiedzenia; dlatego godziny całe trwam w zupełnej bezczynności, aby wreszcie, przyciśnięty ostateczną potrzebą, czy też po prostu poczuciem przyzwoitości, napisać byle co moim najdoskonalej prostym, poprawnie dźwięczącym stylem.

Dręczą mnie godziny pustki, wpatrywania się w jeden punkt - ależ to nic innego jak świadomość pustki. Po prostu źle wybrałem zawód, a teraz, nie mając już odwrotu, muszę się z tej sytuacji jakoś honorowo wykaraskać.

Artykuł do "Teki" trzeba napisać na nowo, bo to, com napisał, jest głupie.

Zatem:

Literat polski ma lekkie życie. Minęły, co prawda czasy, gdy należał do kasty uprzywilejowanej wraz z funkcjonariuszami partyjnymi szczebla centralnego, gdy miał na zawołanie

mieszkanie, leczenie, wakacje, gdy spadały nań co roku nagrody, wyróżnienia, odznaczenia, gdy książki jego drukarnie tłukły i tłukły nie bacząc na zapotrzebowanie rynku, gdy każdy aktywista i każde dziecię szkolne nauczani byli szacunku dla "pracowników pióra", "inżynierów dusz ludzkich", "naszych literatów", i gdy w każdej mowie oficjalnej znajdował się ciepły fragment poświęcony ich pracy, na równi z pracą naszych hutników, górników, chłopów i inżynierów", co najwyżej z łagodnym napomnieniem, aby

jeszcze wierniej wdrażali w praktykę twórczą wskazania teoretyków marksizmu-leninizmu i śladem Wielkiego Nauczyciela, pisarzy, Józefa Stalina, lepiej poznawali życie narodu, a zwłaszcza klasy robotniczej i pracującego chłopstwa, bardziej stanowczo tępili pozostałości burżuazyjnych, schyłkowych prądów literackich, i pod przewodem partii nie szczędzili trudów nad stworzeniem literatury godnej naszych wielkich czasów. Minęły więc te piękne czasy, nikt już na głowę " inżyniera dusz nie sypie ani takich jak dawniej przywilejów i łask, nikt go tak nie kusi jak dawniej" obietnicami jedwabnego życia w zamian za przyłączenie się do chóru, ale też nikt mu tak jak wtedy nie patrzy na palce, i w głąb duszy, nie pakuje do głowy zaleceń, ostrzeżeń i pogróżek, i nie waży mu każdego zdania, każdej metafory, czy aby nie zawiera jakiejś antysocjalistycznej nadwagi.

Ale i tak nie jest mu źle. Nakłady są co prawda nieduże i każde wznowienie trzeba wydawcom wydzierać z gardła, a w ogóle brak papieru tak hamuje

proces wydawniczy, że trzeba latami czekać w kolejce, w której i tak ani równości nie ma, ani pierwszeństwa dla literackiej jakości i oczekiwań rynku. Honoraria też są marne, a drożyzna wzrasta. Ale jak dawniej dostaje się pieniądze za nakład podstawowy (w większości wypadków i tak większy niż trzeba), i tak łatwo uzupełnić budżet prelekcjami organizowanymi przez różne instytucje, które w ten sposób składają się na utrzymanie literatów; a Związek Literatów Polskich ponadto dysponuje stypendiami, zapomogami oferuje Dom Pracy Twórczej wreszcie nawet emeryturę. Zachodni pisarze, niewolnicy kapitalistycznego rynku mają czego zazdrościć swoim polskim kolegom! Dowie się o tym każdy gość z zachodu, który zjawi się w Warszawie i będzie podejmowany przez Związek Literatów Polskich.

A ponadto jeszcze w naszym kraju panuje prawdziwa wolność twórcza. Z dawnych sztywnych przepisów i teorii nic nie zostało, a na dodatek, pisarz zupełnie nie musi liczyć się ze względami komercjalnymi - państwowy

wydawca na siebie bierze ryzyko. Można więc pisać co się chce i taki rodzaj twórczości uprawiać, jaki się duszy zamarzy; psychologiczny, mistyczny, eskapistyczny, można pisać niejasno, albo zupełnie bez sensu, nie troszcząc się ani o czytelnika, ani o krytykę (której wobec zredukowania liczby czasopism prawie nie ma); wszystko z paroma wyjątkami nie dla formy nawet nie dla tematów, lecz dla myśli.

Rzecz w tym, że tych kilka zakazanych myśli i tematów stanowią substancję życia polskiego w obecnej dobie, i że objęcie ich zakazem stawia polską literaturę współczesną poza rzeczywistym zainteresowaniem czytelnika, pozbawia ją wszelkiej doniosłości, wszelkiego znaczenia na dziś i na jutro, dla kraju i dla świata zewnętrznego.

Polska literatura "dozwolona" jest bogata co do form, co do rodzajów, co do indywidualności; lecz jest literaturą uśpioną, i reagującą jak śpiący człowiek - tylko na bodźce pamięci. Polska literatura niedozwolona, nienapisana jest w rzeczywistości, w codziennym konflikcie tego

kraju z narzuconą mu formę ustroju, i w powolnym procesie jego moralnej i umysłowej degradacji pod rządami biurokratycznego społecznie niekontrolowanego aparatu. Polacy tracą z dnia na dzień zdolność zwykłego, odpowiedzialnego życia. Tracą instynkt wolności i poczucie prawdy. Tracą poczucie wartości pracy, przeto poczucie wartości osobowej. Przestają być zorganizowanym, świadomym swych celów i swej historii społeczeństwem; stają się bezkształtną masą "pracowników"

niepowiązanych między sobą więzami organizacyjnymi, a zależnymi wyłącznie od ośrodków władzy, która manipuluje dowolnie ich potrzebami, ich świadomością, ich odruchami, ich mową.

Na naszych oczach zmienia się pejzaż kraju i charakter jego mieszkańców.

...

"Czemuż o tym pisać nie chcecie panowie ... "

Ależ owszem, chcemy. Jakże jednak można o tym pisać skoro cenzura prasowa hamuje wszelki obieg wiadomości i myśli; bez

dziennikarstwa i publicystyki nie ma współczesnej powieści i noweli. Jakże można o tym pisać, kiedy każdą próbę myśli krytycznej cenzura usuwa, a pisarze, którzy starają się w jakikolwiek sposób przełamać tabu, czy w inny sposób dać wyraz swoim niepokojom, zostają natychmiast usunięci poza nawias owej "wolnej" i uprzywilejowanej literatury i nawet ich nazwisk ujawniać nie wolno?

Są dwie polskie literatury dozwolone i niedozwolone. Ta druga jest ważniejsza i - właściwie - nienapisana.

Utwory, które znalazły się w tece są i były przeznaczone do druku etc.

.

.

.

Jak z tego widać, polskim literatom życie układa się różnie.

26.XI.

Dzień dzisiejszy zaczął się od zadymki. Droga zupełnie zasypana i z rzadka tylko przyjeżdża wolniutko samochód. Las w bieli śnieżnej i w szarej mgle; przyjemnie, cicho, ale w domku

zimno (11 stopni) i jedzenie się kończy, pora więc odjechać.

Co napisałem? Rozdział powieści o Camilli II. Co wymyśliłem? Że pozostaje mi tylko pisać z tego jedynie powodu, że tylko to daje mi chwile rzeczywistego szczęścia. Wymyśliłem także i to, że muszę zupełnie pozbyć się autobiografizmu, który mnie dotąd paraliżował w pisaniu. W prozie narracyjnej nie ma nic do wymyślania, i nie ma potrzeby wymyślania czegokolwiek. Dzieje powieści to dzieje awangard - każdy z wielkich powieściopisarzy był Joyce'em swojego czasu. Rzeczywiste wynalazki w tej dziedzinie wynikały zawsze stąd, że pisarz chciał powiedzieć wszystko co wie o świecie i o swoim bohaterze, i chciał dowieść, że wie więcej prawdziwiej od swoich poprzedników.

Powieść to osobliwy użytek z wszechwiedzy.

I ja mam moją wszechwiedzę (mój rodzaj wszechwiedzy). Jaki? Pozostaje mi to właściwie wyłożyć, spełniając jeden i wciąż ten sam warunek: zaciekawienia - do czego służą odwieczne sposoby narracji.

*

Mam wygłosić odczyt dla seminarium Klubu Tłumaczy. Powiem im: będziecie mieli do czynienia z panią, której reputacja stała się ostatnio podejrzana ... Pragnąłbym wziąć ją w obronę. Mam rzeczywiście na myśli powieść.

1. Skąd się wzięło przekonanie o kryzysie powieści? (por. kryzys w XVIII w.) Na czym polegał kryzys w owym czasie? Na tym, że księgarze nie chcieli przyjmować rękopisów powieści. Na czym

polega teraz? Na tym samym. Wtedy konkurencją powieści stały się "opowieści prawdziwe"; dzisiaj "history", "contemporary history". Czy w XVIII w. powstawały nadal powieści? Tak: Manon Lasant (Loscant?), Przygody Guliwera, Diabeł kulawy, etc. Czy dzisiaj powstają? Tak: Durrell, Sołżenicyn etc. - powieści z piętnem prawdy. Idą? Tak. Co nie idzie? Co iść przestało? To co wtedy w XVIII w.: powieści precieux. Każdy kryzys powieści jest przecież "preciosite", za każdym razem rzeczywistość upomina się o swój

dług. Popularność nie-powieści jest prosta i krótkotrwała. Z owych opisów podróży, "autentycznych pamiętników" pozostały tylko te, które były fikcją lub mistyfikacją (listy S. Justa All.). Z dzisiejszego zakresu literatury faktu pozostanie Sołżenicyn.

2. Nowość w powieści. Nowy rodzaj wszechwiedzy. czyli nowa rzeczywistość.

Od początku dziejów powieści stanęła ona przed wyborem: czy jest światem czystej wyobraźni, czy też światem prawdy? Powieść barokowa była światem iluzji.

Z nadmiaru iluzji powstała

powieść-parodia. Powieść ironiczna. I to ironia wprowadziła do powieści rzeczywistość: Sorel, Cervantes, Seasson (?), Voltaire, Diderot.

Rzeczywistość obserwacyjną i myślową.

Jak się zrodziło poczucie rzeczywistości jako grozy, rzeczywistości patetycznej? Drogą od Voltaire'a do Balzaca i Humberta.

A może rzeczywistość (realizm) jest z natury ironiczne?

Może to jest element satyry?

Może napuszona jest tylko powieść imaginacyjna?

Byłyby zatem dwa zwalczające się żywioły powieści: żywioł precjozów i żywioł ironii, lub [...] , barok, preciozy parodia, realizm.

Powieść zrodziła się z kontynuacji prozą: opowieści poetyckich; z "felietonu"; z pytania co dalej. Prawdziwa forma powieści: somme - ...

Odwieczne prawa powieści: prawa narracji - czy kto je spisał? Gramatyka zaciekawienia - czy ją kto ułożył? Andre de la Breton: Le romes de XVII si.

28.XI.

Skutki takiej wymuszonej indyferencji:

człowiek, oczywiście, odruchowo sprzyja wszystkiemu, co zmniejsza wysiłek; reaguje bezwładnie; sprzyja degradacji. Ten proces stanowi o trwałości, która utrzymuje się z negatywnych cech charakteru ludzkiego, kopiąc jednocześnie sobie grób - bo indyferencja umysłowo moralna rozprzestrzenia się na całą egzystencję także w stosunku do pracy; cedując prerogatywy polityczne, pozbawiają się praw, społeczeństwo rozprzęga się

zmieniając w bezkształtną masę, w arytmetyczną sumę istnień upodobnionych do siebie, a zarazem odosobnionych.

A indyferentna literatura? Literatura pozbawiona możliwości wypowiadania się w kwestiach najbardziej żywotnych ... wpływa na życie społeczne; obserwowanie zmian, odczucia społecz. i kraju ... pozbawiona uczestnictwa w kształtowaniu losu kraju ... czym się staje? Formą działalności "kulturalnej", zwyrodniałą specyfiką taką jak temat ludowy czy rzępolenie kapeli - rzeczy ciekawe może dla samych

twórców i ich kibiców, ale bez żadnego rezonansu.

Albowiem najmniejsza próba wychylenia się poza zakreślone ramy spotyka się z natychmiastową reakcją cenzury.

Cenzura istnieje 30 lat i powstała w 1946 na mocy dekretu KRN. Punkty i ich interpretacja miały - jak wszystko w PRL - swoje fazy miękkie i fazy twarde.

Obecnie jest tak czarna jak ta po kongresie wiedeńskim. Jej zasady.

Cenzura personalna.

Dawniej pisarz po prostu znikał.

Dziś to niemożliwe, zresztą wymyślono sposób lepszy: pisarz nie znika, ale zostaje pozbawiony znaczenia. Drukuje się go troszkę i to co najmniej dla niego i dla innych ważne. W ten sposób sprawia się wrażenie, że się skończył. Co zresztą w wielu wypadkach nastąpi, bo jak można pracować bez widoków publikacji i rozpowszechnienia? (Innym sposobem jest druk przy jednoczesnym utrudnianiu rozpowszechniania).

Paradoks: im bardziej pozbawiony praw politycznych i wiadomości, tym więcej o tym myśli, tyle że nieracjonalnie jak o jakiejś oderwanej sile, i demonizuje ją łatwo. Zepchnięta w społeczną podświadomość, stała się zbiorową nerwicą! Jakże od niej ma uwolnić się literatura. Jeśli to uczyni, nerwica polityczna spadnie na nią ze zdwojoną siłą.

Można postawić pytanie: czy to literatura musi być polityczna, a innej nie ma? Przecież literatura jest sztuką - oto odpowiedź: w kraju, w którym cała władza została skupiona w rękach aparatu politycznego, który decyduje o potrzebach i ich zaspokojeniu, o losach ludzi, losach regionów oto

w kraju, w którym wszystkie cykle składające się na historię kraju (cykl gospodarczy, kulturalny) zostały zdominowane przez cykl związany z utrzymaniem i przejmowaniem władzy, który stał się ich przyczyną sprawczą. Literatura, Aby była prawdą musi być tak polityczna, jak całe życie w tym kraju.

*

Trudno przypuścić, aby układ rzeczy zmienił się w kierunku pożądanym przez tę część społeczeństwa, która zachowała

jeszcze jakąś wolę polityczną, tzn. w kierunku społecznego uczestnictwa w rządach przez demokratyzm form. Morawski ...

Odstępując prawa do rządzenia nami i reprezentowania, nas, nie możemy jednak odstąpić nikomu woli życia; o jej zachowaniu musimy sami decydować, a wynika ona dla każdego z pracy na miarę zdolności i aspiracji własnych, nie zaś na miarę zakreśloną mu arbitralnie. Te miary musimy przekraczać, gdy tylko zagrażają one wartości naszego życia. Każdy to musi robić w swoim

zakresie, jeżeli chce zachować swą wartość dla siebie, dla społeczeństwa. Leży to w interesie nas wszystkich, duszy zbiorowej, całego narodu. Zachowanie literatury, która jest czułym sejsmografem męczonych i udręczonych, musi tu być wskaźnikiem: literatura nie może pogodzić się z owym ideologicznym czysto społecznym ubezwłasnowolnieniem, nie może być sprowadzona do statusu elitarnej rozrywki, mającej tylko świadczyć na zewnątrz, że wszystko tu jest w porządku ... Musi partycypować w tworzeniu prawdy.

Utwory złożone w TECE były i są przeznaczone do druku w PRL zgodne z obowiązującymi prawami. W naszym pojęciu, autorów, nie wykraczają przeciw żadnemu z punktów umieszczonych w dekrecie o utworach Gł.U.K. Zbieramy, aby ...

29.XI.

Nadszedł zatem czterdziesty ósmy z kolei dzień klęski ... Wczoraj skończyłem artykuł do Teki; jest dobry.

Teraz muszę napisać Dedala, Tygodnik Powszechny oraz zrobić odczyt dla tłumaczy.

Ale o czym?

*

Dla tych tłumaczy: les chemiks de la critique:

1. Mamy właściwie do wyboru 3 szkoły krytyczne:

a) Strukturalistyczną, która wywodzi się z dawnej formalistycznej,

b) psychoanalityczną, która wywodzi się z dawnej psychologiczno-biograficznej,

c) marksistowską, która wywodzi się z dawnej socjalistyczno-tendencyjnej.

A recenzje pisze się właściwie wciąż tak samo: w zależności od książki.

Nie ma metody uniwersalnej - metodę krytykowi narzuca samo dzieło.

Każda szkoła krytyczna rodzi się z określonej literatury:

krytyczna psychologia narodziła się z psychologizmu,

krytyka strukturalistyczna z nowej powieści.

Georges Poulet: krytyk jest wspólnikiem.

Analizuję powieść tak jak ona tego wymaga.

Analizuję tę powieść, którą chcę analizować.

Krytyka jest nie tylko współuczestnictwem, lecz także podporządkowaniem, wyjaśnieniem doskonałości. I tylko krytyka afirmatywna jest naprawdę metodologiczna.

Negatywne recenzje pisze się zawsze tak samo.

*

Moja metoda.

"Methode ist Erlebnis"

(Gundolf).

"Wortwandel ist Kulturwandel und Seelenwandel".

*

Damaso Alonso:

"W dziele literackim zbiegają się dwie intuicje: autora i czytelnika. Dzieło jest rejestrem, tajemniczym depozytem pierwszej i nieświadomym budzicielem drugiej. Dzieło implikuje te dwie intuicje i jest bez nich niepełne. Popełniając pewną przesadę naszej koncepcji, powiedzielibyśmy, że dzieło

poczyna się dopiero w chwili, gdy pobudza intuicję czytelnika, bo dopiero wtedy zaczyna oddziaływać".

Pierwsze poznanie dzieła poetyckiego jest zatem poznaniem go przez czytelnika i polega na intuicji scalającej; pod wpływem olśnienia lekturą jakby odtwarza intuicję scalającą, która dała początek samemu dziełu, tj. intuicję jego autora. Poznanie intuicyjne, jakie osiąga czytelnik w dziele literackim, jest poznaniem bezpośrednim i tym większym, im mniej obcych elementów włączyło się między

obie intuicje.

Nie jest to zupełnie prawdziwe.

Dzieło literackie nie jest przecież dziełem czystej inteligencji, lecz sposobem odniesienia do pewnych znaków porozumiewawczych; z których pierwszy jest język, a następne tworzą mniej lub więcej warstw, przez które czytelnika musi przeprowadzić albo jego własna wiedza, albo wiedza krytyka.

Nie ma czytelnika np francuski obarczonego tak genialną intuicją, aby zrozumiał "Wesele" Wyspiańskiego nie znając ani

języka polskiego, ani realiów krytycznych i obyczajowych, oraz nie rozumiejąc aluzji literackich zawartych w tym utworze.

Pierwszym stadium krytyki jest tłumaczenie.

Drugim wyjaśnienie klucza.

Ten klucz może być nader różny.

Są dzieła, dla których np. klucz autobiograficzny ma znaczenie kluczowe, np. dla Dziadów, są inne, dla których nie ma znaczenia żadnego, lub tylko drugorzędne.

Są inne dzieła, których poznanie nie może obyć się bez

odczytania ich tendencji (np. Faraon); są inne uwarunkowane presją wewnętrzną - np. Cichy Don.

Jak widzimy wyjaśnienie dzieła idzie jakby tropem przez nie wskazanym; metoda krytyki dostosowuje się do metody tworzenia.

30.XI.

Wszystkiego najlepszego.

Godzina u S.S.W. (Sióstr Wizytek - przyp. KK.). Napis "Legia" na pięknej ławce z lewej strony.

"Żeby pan Bóg był zdrowy".

Wspomnienie o szklarzu Masnym.

Rodzina: nie śmiej się z nich.

Kochali się.

3.XII.

Dla Tygodnika:

Wszyscy znają Kościół sióstr Wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Nie, nie wszyscy, bo nie wszyscy jeszcze mieszkają w Warszawie.

Stoi w głębi placyku zacienionego kasztanami i wybrukowanego kocimi łebkami.

Żółtawą fasadę zdobią cienkie kolumny i poczerniałe figury kamienne. Drzwi ma tylko jedne, czarne, ciężkie, za którymi jest tak cicho, jakby hałasy uliczne zostały po prostu wyłączone za pociśnięciem jakiegoś klawisza; tak cicho, że w południe słychać nawet zza krat i grubych murów klauzurowych cieniutkie głosy zakonnic odmawiających modlitwy. Mówią pomalutku, robiąc pomiędzy wersetami długie, długie pauzy.

Cicho, czyściutko i nic tam nie razi smaku. Nie ma ekranów, rzutników, liter i emblematów

wycinanych z papieru, transparentów, chorągwi, ani "jarzeniówek", którymi tak okropnie zeszpecono większość kościołów w Polsce. W pojezuickim, kościele w Legnicy, widziałem w barokowym ołtarzu, pośród kręconych kolumn, potężnych figur i stiukowych ornamentów, model bazyliki św. Piotra w Rzymie wycięty z tektury, pomalowany plakatówką i podświetlony jarzeniową żarówką.

U wizytek wszystko jest stare, dawne, śliczne. Na szczycie białego ołtarza siedzi bardzo przystojny Bóg Ojciec w lokach,

jak Ludwik XIV, łokciem wsparty na podstawie kuli ziemskiej - dokoła uwijają się aniołowie unoszący fałdy draperii, podciągający i wiążący. Pan Bóg wyraźnie wstał z łoża, zostaliśmy zatem dopuszczeni jej sznury do ceremonii. Grande Levee".

Jakże naiwna była ówczesna wyobraźnia religijna! Monarchiczna, towarzyska i prowincjonalna. Naprawdę wyobrażano sobie, że ziemia jest aż tak duża w stosunku do swego Stwórcy, że Ten może wesprzeć się na niej jak na poduszce? A słońce, księżyce, inne planety?

Na pierwszym filarze po mojej stronie jest ambona w kształcie łodzi, też biała, ozdobiona złotem. Złote są fale, które skaczą do rufy, złocona jest gipsowa sieć przerzucona przez burtę, i ogromny żagiel rozpięty w górze. A jeszcze z boku na ścianie, przylepiono mały obłoczek z gipsu i spod niego strzela sześć drewnianych pozłacanych piorunków.

Z bielą i złotem kontrastują czerń i srebro. Czernią, srebrem inkrustowane jest tabernakulum w głównym ołtarzu i predella. Z czernią, srebrem, bielą i złotem (na tle czerni i srebra, bieli i złota łagodnie grają kolory obrazów. A do tego jeszcze dochodzi ciepłe drewno, fornirowane bogato drzwi ciemnych krużganków i jasnych, na złocony kolor politurowanych ław.

Dobrze tam posiedzieć, pogapić się i podumać. Spływa z głowy całe głupstwo dnia, uciszają się hałasy, zwalnia się tempo. Siedzisz i naraz czujesz, że kochasz świat, którego dopiero co tak nienawidziłeś.

Siedziałem tak w jednej z politurowanych ław kiedyś właściwie kochając świat - sam

byłem w kościele, siostrzyczki za kratami milczały, gdy nagle o parę rzędów przed sobą zobaczyłem jakiś napis w pulpicie wyryty mocno, ciemniejący na lśniącym tle. Było mi tak dobrze, że pomyślałem sobie rzewnie: - Jakie to piękne ... Ktoś tu przede mną siedział równie szczęśliwy jak ja i wyrył czyjeś imię. Jakież to imię? Wytężyłem wzrok ... Zerkałem niecierpliwie, bo zakończone na a. Mój Boże, myślałem dalej zakochany chłopiec, utrwalił na kościelnej ławie imię swej kochanki ... Jakież to imię? Na "L". Ligia? Lidia? Leonia? Wstałem, przechyliłem się i siadłem, zaraz, "bo mnie mało co krew nie zalała" "Legia"!

Siedział tu, w tym czystym, cichym, biało-złoto-czarno-srebrnym kościele i rył nazwę jedenastki piłkarskiej! Sam był jak ja, czy zrobił to podczas mszy, w tłumie? Rył starannie, głęboko, nożem. Zrobił to z miłości, czy z nienawiści. Dlatego rył, że tak tę jedenastkę kocha, czy dlatego, że tak głęboko nienawidzi nas wszystkich, którzy tu przychodzą pomyśleć o naszych zmarłych i kochanych żywych, o naszym życiu i o naszej śmierci, o naszych

rzeczach ostatecznych? A jeśli ta Legia jest jego jedyną miłością i jego jedyną czy ostateczną, kto temu jest winien - on, czy my wszyscy, którzyśmy naszych miłości i naszej powagi nie umieli wznieść dość wysoko, aby pojął jak jego miłość jest marna i aby nie śmiał jej w taki sposób wyznawać, nawet jeśli jest tylko debilem.

Jedno z okien mojego mieszkania wychodzi w studnię i spotyka się z oknem drugim, do którego zaglądam czasem, tak jak tamci zaglądają pewnie do mojego. Jest to jakieś dziwne, zagracone i pełne ludzi mieszkanie, którego ściany zdobią aż dwa - dwa! - plakaty przedstawiające reprezentacyjną jedenastkę, która na mistrzostwach świata w Monachium zajęła III miejsce. Wiszą, po dwóch stronach obrazu ze świętym Józefem. Plakaty takie do dziś w 2% roku po owych mistrzostwach, zobaczyć można w sklepach papierniczych i innych miejscach publicznych >Nadal ukazują się wydawnictwa ilustrowane przedstawiające drogą owej jedenastki do światowego sukcesu: gra o złotą piłkę, czyli

złota jedenastka etc. Co do Legii, nie wiecie zapewne, że wydaje swój stary periodyk pt. "Nowa Legia". Pamiętacie zresztą, że piłkarzom powracającym z Monachium zgotowano trymfalny przejazd przez miasto. Nie, ten człowiek ryjący nazwę swojej Legii czy to w kościele wizytek, czy w głuszy leśnej, czy na szczycie Tatr, nie musi ukrywać się ze swoją miłością, która ma sankcję publiczną. Byłem niedawno na wielkim odpuście i stwierdziłem ze zdumieniem, że ze straganów zniknęły nagle tradycyjne dewocjonalia, a w ich

miejsce pojawiły się obrazki ze św. Dejną, na innym święty też na "d" ale małe.

Co się dzieje? Co powie o tym skośnooki lub czarnooki archeolog, który cywilizację naszą odkopie z popiołów, albo brat nasz z odległej planety, który zwiedzać będzie nasze ruiny? Co go bardziej rozśmieszy, bardziej zadziwi: Stwórca wszechrzeczy z kulą ziemską wielkości sporej poduszki, czy ten napis "Legia" na kościelnej ławie. Bo co do nas, gdy chodzimy np. po rzymskim forum, dziwiąc się wszystkiemu jednakowo: śladom kultu i śladom

zabawy - np. tym tajemniczym kwadratom wyrytym na stopniu jednej z bazylik, które służyły zapewne do gry w kości.

My cywilizacja, jesteśmy nie tylko śmietnikiem, jak napisał kiedyś Paul Valery, lecz także samotni; jedni o drugich tyle wiedzą,ile ja samotnie siedzący w ławce o moich rzeczach ostatecznych i tamten samotnie ryjący imię swojej.

23/24.XII.76.

Rozmowa z Wiktorem wobec Kazika, Artura i Jacka. Zerwanie z Wiktorem. Wyzwanie rzucam Komandosom. Próba uniezależnienia się kosztem Wiktora i podpisu pod listem do sejmu. Podpis. Obrzydzenie do siebie. Wytrąciłem ślepemu laskę i wyłoiłem mu skórę.

Sprostać nowej sytuacji. To znaczy wznieść się ponad to wszystko i dowieść swej racji.

*

Do Kamilli: wnętrze proboszcza. To czego nie lubił - niedobra, zamienić na wielką dychotomię jego domu rodzinnego

i reszty świata. Świat jego rodziców rozciągnięty na wieczność, nie niebo, Chrystus - Ojciec, NM Panna - matka, święci rodzeństwo. Familijny świat. Familia jako metafora wszechświata. Wszystko co familii przeciwne. Biedna siostra - i jej to zło - metafora wszelkiego zła.

Teoś - idealny porządek - piękno, rytm, absolut obecny w każdym szczególe. Wspaniałe absurdy liturgii.

Niepokój: Dzidka, płeć.

Niepokój księdza: Teoś.

Zainteresowanie nim ...

27.XII.

Przedwczoraj wizyta Kazików i próba klajstrowania oraz indoktrynacji. Sprawa pisma wydaje się dla nich zupełnie drugorzędna. Kazik przyznał, że od początku miał wątpliwości, a Marysia wobec nas błagała go ostentacyjnie i patetycznie, żeby się wycofał. Istotna jest dla nich w tej chwili akcja Kuronia; nie ta tylko, lecz wszystkie. Nie warto przytaczać wszystkich głosów, które mówili. Nie warto sobie nimi zaprzątać głowy.

Najważniejsze dla mnie jest co innego: zbudować sobie własną siłę, któraby mnie od nich i od K... uniezależniła. Raz na zawsze. Moja podwójna gra. Muszę z tego wyjść zwycięsko. Muszę ich wszystkich zdominować: nikt nie wie, że do ich rzędu zaliczam także K... jest osobą tego samego rzędu.

3.1.1977.

Czytanie Koźniewskiego: Historia co tydzień. Książka o tygodnikach literackich dwudziestolecia. Nic z tej lektury

jak dotąd nie wynika. Przypomnienia różnych ludzi w lekturach. Za mało się nimi przejmują.

Z wiadomości: B. Toruńczykówna była zatrzymana przez bezpieczeństwo, ale, jak się zdaje, bez związku z pismem. U Kuronia była rewizja, a Chojeckiego znowu pobili. Informację "Mrozowskiej" o próbie samobójstwa Haliny M. trzeba chyba przyjmować ostrożnie. Wskazuje na to stan Haliny. Możliwe też, że Halina sama wypuszczała o tym przesadne wiadomości.

*

Zastanów się chwilkę czego ci potrzeba. Bez wątpienia: dopływu świeżej myśli. Jesteś ostatecznie wyjałowiony. Zacznij tedy dzień od czytania rzeczy istotnych.

*

Co ja właściwie teraz piszę:
1. Mam zaszłą opowieść o "Kamilli", tzn. o tym jak cyrk rozbił jedność religijną małej społeczności. Nie mogę się z tym (ani z żadnym opowiadaniem)

wykokosić, ponieważ wciąż nie wiem, kto to ma opowiedzieć. Zdaje się, że muszę to być ja; mam owo ja wyrobione dość mocno w twórczości krytycznej i felietonowej, przeto wszelka próba oderwania się od niego, i udawania jakiegoś ja innego - czy to naiwniejszego, czy to jeszcze mądrzejszego - kończy się niepowodzeniem. Może to być ja skłamane co do realiów, podkoloryzowane, ja nieco poplątane, co do chronologii, nieco starsze lub nieco młodsze ode mnie, ja z rozszerzonym niejako życiorysem, ale niechże

moim ja pomimo wszystko pozostanie. I tak też należy opowiedzieć Kamillę.

2. Zacząłem opowiadanie o przeprowadzce. Tego nie mogę opowiedzieć jako ja, ani nie mogę utożsamiać się z nim. Nie ukrywać, że jest to kreacja. Zacząć od znalezienia się rodziców w nowym mieszkaniu. Wesele i to co przed weselem się działo w retrospekcji. Wszystko o retrospekcji - z tą oślepioną kobietą w sąsiedztwie. Jego wspomnienia z całego nieudałego życia: okupacja - chaos heroiczny i próba zagrzebania w sobie

późniejszej zdrady. Zdradził, żeby ocalić siebie. Kiedy został uwolniony, okazało się, że nie było czego ocalać. Podobnie teraz: Zofia (czy jak jej tam), stwarza mu warunki odkrycia siebie. Nie ma nic do odkrycia. Fascynuje go ta ślepa kobieta.

3. Zaczęta powieść o degradacji psychicznej osoby wciągniętej w aparat władzy. To najsłabsze i nie upierałbym się przy tym. Pomysł: opowiedzieć o kim innym, inaczej. Nie o kobiecie, ale o mężczyźnie, o aktywiście posiwiałym w trzydziestym roku życia, który przyjeżdża do rodzinnego miasta

na wiadomość o śmierci matki w zakładzie.

Zresztą może to być kobieta. Ten wyjazd, pogrzeb matki, wspomnienia o jej chorobie, potem zdrady ojca, i jej własnych zdrad, wreszcie opowieść o jej małżeństwie. Jak ona próbuje się zmusić do miłości i wierności. Jak pogodzona wraca do domu. Widzi, że ją śledzą. Wróciwszy do okropnego, pustego domu, zastaje tam Bezp. - jej mąż został aresztowany. Przesłanki jego aresztowania. Zostaje aresztowany za "nadużycie władzy". Jej rozmowa z kimś dowodzącym tą operacją, który jej tłumaczy na czym ona polega. "Rewolucja musi się oczyścić ... ". Przepowiada co to się będzie dziać w najbliższym czasie.

4. Ale przede wszystkim muszę skończyć "Podróż na najdalszy zachód", albo jakoś inaczej to nazwać.

10/I.77.

Ciekawe, że kiedy się zaleję i zamyślę, mówię do mojego brata, i jemu opowiadam moje życie, próbując olśnić go i upokorzyć. I widzę przed sobą jego

ugrzecznioną twarz z udanym wyrazem zaciekawienia: Ach, tak? - powiada. A ja bardzo jestem z siebie wtedy zadowolony.

Oczywiście, na codzień te moje uczucia miłosne - nienawistne przenoszę na Artura.

19.1.

Do T.P. O Płatonowie w Teatrze Narodowym.

Bardzo brzydkie przedstawienie Płatonowa Czechowa w Teatrze Narodowym. Zdzisław Wardejn gra amanta z Targówka. Kucówna kurwę.

Rowicka wariatkę. Ewa Ziętek debilkę. Itd. A najgorsze, że tak ma być. I że tym razem rzecz została teoretycznie uzasadniona. Przez samego dyr. Hanuszkiewicza, który wyłożył swoją wersję historii teatru, i przez R. Przybylskiego, który z kolei wyłożył swoją wersję teatralnej estetyki Hanuszkiewicza.

*

Pomysł Andrzeja Wajdy: do prowincjonalnego miasta, gdzie jest orkiestra symfoniczna - taka na jaką stać to miasto - przyjeżdża

sławny na cały świat dyrygent i zagrypiałych muzykusów przemienia na jeden wieczór w prawdziwych artystów. Ale tylko na jeden wieczór.

Główny motyw filmowy: fizyczna męka grania.

Najważniejsze są do napisania wątki poboczne.

Sam reżyser - milczący upiór owinięty szalem, z upiorną żoną. Raz coś się dzieje - przed hotelem stoi karetka pogotowia, a on sam pociąga przez rurkę lekarstwo z butelki, którą ma w kieszeni na piersi.

Ale coś się musi rozgrywać na

marginesie tego kontraktu. Coś czemu ten koncert przeszkadza, czy coś, co udaremnia ...

3.III.1977.

Spotkanie z Józefem Rybickim w kawiarni Ekonomista. Niezdarny w ruchach, chociaż ruchliwy, żwawy; pewne niechlujstwo w ubiorze. Spłowiała wstążeczka Virtuti Militari. Przypomiał rozkaz Marszałka Piłsudskiego, że kawalerowie tego Krzyża zawsze powinni mieć na sobie zewnętrzne jego odznaki, by

pamiętali, że mają odpowiednio do niego postępować. Twarz dziecka, nawet uniżoność. Kresowy akcent. Delikatny. Skrupulatny. Jeden z najbardziej zakrwawionych ludzi A.K. Przyniósł "Wieczór Listopadowy", pokazywał jakieś swoje zakreślenia i mamlał coś o narodzie i ojczyźnie. Wzrusza się łatwo. Deklaracja. Powiedziałem, że jest zdezaktualizowana w zasadniczym punkcie. - "A, to nic, mądrzy Syjonu powiedzieli, że to nie szkodzi". Przyznał, że między nim a KOR-em jest spór o zakres działalności: Kuroń rozszerzył ją

poza akcję pomocy, do której chciał ją ograniczyć Rybicki.

Potem Z.N. Podkreśla swoje znaczenie i zaangażowanie. Dobrze, będę mu podbijał bębenka.

*

Conrad (w artykule o H. James'ie):

Twórczość powieściopisarza to "akcja ratownicza" - wydobywanie z ciemności i utrwalania kształtów.

*

Rybicki powiedział mi, że 8 razy przeczytał "Wieczór listopadowy"; tzn., że nic innego nie powinienem pisać. Skoro to jest tak potrzebne. To znaczy skoro ktoś tego potrzebuje.

*

Poważne są tylko: filozofia, polityka i poezja. Tzw. literatura piękna, czy beletrystyka, którą się zajmujemy, to strefa pośrednia.

To niepoważny wiek XIX, to niepoważne mieszczaństwo, to niepoważna demokracja

parlamentarna ze sfery pośredniej, tj. z romansu, z tej gazetowej wersji i polityki, i filozofii, i poezji; czerpały swoją powagę. Porównaj to z literaturą XVI, XVII, XVIII wieku! Porównaj ze średniowieczem! Porównaj z antykiem!

4.III.

Kazia w dzień swoich imienin odleciała do Krakowa, do chorej matki. Deszcz pada. Rano zadzwonił Rybicki: - Przeczytałem Pańską książkę ... to pan miał rację, nie ja. -

Oczywiście, ponieważ dziś Rada Państwa ratyfikował Pakty Praw Człowieka, tak jak mu zapowiedziałem, zwracając uwagę, że za późno, aby tego żądać w programowej deklaracji Komitetu, jaki on zamierza założyć.

Teraz rozmawiałem przez telefon ze Stryjkowskim, który mi powiedział, że jestem upragniony w towarzystwach, bo magnetyzuję ludzi prawie tak jak Adaś Michnik, i że marnuję moje zdolności na rzeczy nietwórcze. - Stała ci się wielka krzywda -. Chodziło mu o scenariusze, dla

pieniędzy, - a może też o cały mój domowy rozgardiasz.

Rzeczywiście, nie miałam dziś chwili wytchnienia od zajęć kucharki, niańki, i po prostu matki. Za dużo tego wszystkiego.

5.3.77.

Turbacz.

Czy system nadaje się do reformy.

Str. 6. "Możliwe jest stopniowe rozszerzenie w Polsce zakresu demokracji i wolności, oraz stopniowe rozszerzenie suwerenności - do granic

wyznaczonych przez rosyjską rację stanu".

Z dotychczasowego wywodu wynika, że również do granic wyznaczonych przez konserwatyzm aparatu partyjnego zainteresowanego w utrzymaniu swoich przywilejów, oraz do granic wyznaczonych przez indyferentyzm polityczny całego społeczeństwa, pragnącego nade wszystko zachowania wewnętrznego i zewnętrznego pokoju. Między tymi trzema determinantami rozciąga się niewielkie pole manewru; w istocie takie, jakim dysponowały

dotąd wszelkie próby reformatorskie - podjęte czy to przez obóz "październikowy" (np, system rad robotniczych), czy to Gierka (próba wprowadzania rotacji kadr postępowych w 1970, czy też tajemnicze bariery, "system konsultacyjny" głoszony po rozruchach czerwcowych).

Czy Rosja jest skłonna do "znacznych ustępstw" (str. 7)? Może. Czy z obawy przed niepokojami w Polsce? Niepokoje takie, są także na rękę; Pozwalają Rosjanom włączyć się bezpośrednio w sprawy wewnętrzne Polski, czy

jakiegokolwiek innego kraju katolickiego. Nie musi to oznaczać zbrojnej interwencji, lecz prowokację, penetracją grup opozycyjnych szachowanie aparatu władzy, a w efekcie silniejsze jeszcze uzależnienie go od swego poparcia. Kierownictwo moskiewskie, lub jakieś frakcje "sprzyja" (dziś np. grupa Andropowa) chętnie przedstawiają się jako bardziej liberalni od lokalnych rządów; czyż nie daje do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z terrorem w Czechosłowacji?

*

Nie zgadzam się ze zdaniem, iż o stopniu demokracji decyduje nie ustrój, lecz praktyka polityczna; wydaje mi się, że decydują o tym gwarancje. Rzeczywiście, konstytucja ZSRR z 1936 roku była najbardziej demokratyczną, jaka kiedykolwiek powstała, a umożliwiła największy terror w dziejach. Pozbawiona była w sobie wszelkich gwarancji wiążących władzę do przestrzegania praw; jej artykuły nie miały przez to żadnej mocy prawnej, były po prostu

sloganami. To samo dotyczy demokracji polskiej i dlatego sądzę, że walka o nienaruszalność jej artykułów była przejawem głupoty politycznej; zasady, które znalazły wyraz w poprawkach zostały uprzednio wprowadzone do Kodeksu Karnego, i są tam nadal, i obowiązują, natomiast sama Konstytucja jest świstkiem papieru.

W obecnym stanie rzeczy społeczeństwo polskie jest pozbawione wszelkich gwarancji; gwarancję ma tylko aparat władzy - w postaci radzieckiej siły zbrojnej gotowej do czynnego poparcia go w razie zachwiania jego równowagi.

*

Praca Turbacza, jest doskonała w części krytycznej; słabością jej jest nadmiar postulatów - nadmiar, z którego wykroić można dziesięć programów dla dziesięciu partii i organizacji politycznych. Postulatom tym brakuje natomiast atrakcyjnego, oczywiście sformułowanego celu.

Takim celem nie może być reforma systemu, ponieważ z góry znany jest ich zakres; nie może

być "uznośnienie" życia ani poprawa ekonomiczna ponieważ pokrywa się z celami oficjalnej propagandy.

Zgadzam się z tym, że Polacy mogą i powinni działać więcej na rzecz zmiany lub ograniczenia istniejących praw i stosunków jednakże do działań takich i do wyrwania się z marazmu skłonić ich mogą tylko maksymalne cele, oraz świadomość, że każdy rok takiej egzystencji na jaką ich skazano 32 lata temu, pozbawia ich szans podniesienia się kiedykolwiek i coraz bardziej pozbawia osobowości.

Nie wierzę w komunizm z ludzką twarzą w warunkach rosyjskiej dominacji, opieram moją opinię na dotychczasowym doświadczeniu oraz na analizie systemu.

Trwałe szanse miałaby reforma systemu wówczas, gdyby nastąpiła także w ZSRR, ale za tą możliwość pięknie z góry dziękuję. Polska w takim razie stałaby się członkiem rosyjskiego "Commonwealthu", w ciepłych promieniach moskiewskiego liberalizmu roztopiłyby się resztki naszego oporu i po 50 latach nie byłoby już żadnej różnicy między

nami, a Białorusami. Na myśl o tym jestem gotów modlić się o wieczne życie Susłowa.

7.III.

Nowa myśl w związku z powieścią. Ma to być historia duszy pod ciśnieniem wysokich pragnień i nikczemnej rzeczywistości. Pragnienia świętości, bohaterstwa i prawdy zniszczone i rozproszone, przemienione w obłęd, kabotyństwo i idiotyzm.

Czytania:

C.G.Jung: Psychologia i religia.

W. James: Doświadczenia religijne.

Freud: Człowiek, religia, kultura.

Fromm: Szkice z psychologii religii.

Stryjewski: Zakony, W-wa 1961.

Nietzsche: "Antychryst".

8.III.

Obudziłem się dzisiaj wcześnie z dość jasną świadomością klęski, jakiej uległem. Rozproszenie,

rozdrobnienie - czasu, sił, substancji duchowej. Jestem zupełnie niezdolny do kontynuacji własnych zamierzeń; każde z nich wydaje mi się ciekawe tylko na początku, a nudzi, gdy do niego wracam. Wniosek z tego taki, że powinienem się trzymać krótkich form wszystkiego co piszę: opowiadań, esejów, krytyk.

Ponadto powracam uporczywie do moich nerwicowych tematów - do tematów dojrzewania (historia, religia, krąg tematów związanych z matką). Wydaje się to błędem. Są to tematy tak obciążone dla mnie nerwicowym ładunkiem, iż nie nadają się do obiektywizacji. Leżą zresztą poza zakresem moich zainteresowań i emocji dojrzałych, które są związane z życiem politycznym. Moja "twórczość" to szukanie nor: przed problemami, wobec których codzień staję, uciekam w dzieciństwo, przed dzieciństwem, które jest dla mnie wciąż koszmarem, uciekam w głupstwo codzienności.

*

Nie mogę sobie poradzić z tym pisaniem. Nie bawi mnie, nie

podoba mi się!

*

Trafić w dziesiątkę. Nikt trafić nie może. Gdzie jest dzisiaj ta "dziesiątka"?

*

Być może, największą zagadką dzisiaj byłby komunista, który wszystkie etapy przetrzymał w aparacie władzy, nie wypadł z niego i nie stał się opozycjonistą.

*

Nonsens. Byłaby to zwykła historia oportunisty, znajdź mi temat, w którym działoby się coś na kształt dramatu intelektualno-moralnego, zdarzenie, w którym ważyłby się duchowy los człowieka.

*

Napisać historię intelektualisty, który przeżywa całą PRL. Nie "baba" jak zamierzałem, ale ktoś jak ja.

Tego nie można napisać bezpośrednio. Po pierwsze

cenzura nie puści, po drugie będzie to nieznośne. To musi być napisane pod figurę romansu, powieści miłosnej.

Tego nie było!

Nie było dawno powieści miłosnej.

Rodzaj "Adolfo" - błahostki napisanej jedynie w myśli, aby przekonać kilku przyjaciół bawiących ze mną na wsi o możliwości zainteresowania opowieścią, w której jest tylko dwoje aktorów, sytuacja pozostaje ciągle jednakową.

Posłuchaj:

"Mamy złudzenie, iż więzy

zadzierzgnięte bez zastanowienia dadzą się zerwać bez trudu. Ale, kiedy widzimy mękę wynikłą ze skruszenia tych więzów; bolesne zdumienie oszukanej duszy i nieufności, jaka następuje po tak zupełnej ufności, nieufność, która zmuszona zwrócić się przeciw istocie będącej poza resztą świata rozciąga się na cały świat; kiedy widzimy wiarę podciętą w swej zasadzie i nie wiedzącą już gdzie w co wierzyć: czujemy wówczas, że jest coś świętego w sercu, które cierpi przez to, że kocha".

... "jeżeli zwyciężamy to, co nazywa się słabością, odbywa się

to kosztem zniweczenia w nas samych wszystkiego uczciwego, poświęcenia wszystkiego, co szlachetne".

*

A więc oprócz nowego tematu także nowa metoda - która mi się zresztą dawno już rysowała: praca nad własną książką z cudzą pod ręką - pisanie równoczesne z czytaniem.

9.III.

To mnie zaciekawia: pisanie i

czytanie, pisanie replik! Może to jest to właśnie, czego mi brakowało w pisaniu.

*

Sama sprawa: jest historia miłości kłamliwej, fenomenologia miłości i kłamstwa, mit prawdy. Przypomnij sobie coś sam zawsze mówił o Hłasce, że dla niego miłość jest surogatem prawdy.

*

Ale za to nie mam tematu do felietonu.

I w dalszym ciągu felietony nie wynikają z mojego życia umysłowego, lecz owo życie naciągam do felietonów; chciałem napisać o psie, który cwałował Nowym Światem.

Znowu opowiem o psie. Raz już opowiedziałem parę lat temu o psie, który wszedł na estradę i dziatwę zgromadzoną na imprezie kulturalnej uratował od nudy. Niedawno widziałem zdarzenie, które mi uprzytomniło, że psy mają jeszcze inne możliwości.

Pogoda była okropna.

Ruch wielki. A Nowym Światem biegł pies. Nie chodnikiem, nie bokiem, ani też nie, jak się w takich razach mówi "samym środkiem", ale prawą stroną, jak autobus.

A był malutki, mniejszy niż koła najmniejszego z samochodów, które zwartym tłumem poruszały się za nim, jak kolumna za wodzem. Od Świętokrzyskiej po al. Jerozlimskie, na parę kilometrów utworzył się potężny korek. Kierowcy Berlietów, Fiatów, Warszaw, Japończów, Rolls-Royce'ów, Mercedesów, Peugeotów i wszelkich pojazdów, które w południowej godzinie

suną Nowym Światem nie wiedzieli co właściwie wstrzymuje ich w szalonym wyścigu. Czy wypadek jaki zdarzył się na skrzyżowaniu? Czy w stronę Krakowskiego Przedmieścia jedzie jakiś orszak oficjalny złożony ze zdobnych jak kapele półpogrzebowe Czajek? Może z kościoła św. Krzyża wynoszą trumnę jakiejś znakomitej osoby i ciekawski tłum, jak zwykle w takich wypadkach blokuje przejazd? Może na Krakowskim Przedmieściu znowu kręcą film, jak niedawno - w samo południe -

pogrzeb prezydenta Narutowicza? - kiedy to strzelcy kaniowscy obstawili Krakowskie Przedmieście, a szwoleżerowie (dość szmatławi) kłusowali ulicami ... O tym, że powodem całego zamieszania był pies, wiedziało tylko, no może trzech kierowców posuwających się za nim powolutku. Gdyby się któremu z nich rzucił pod koła na szosie, żaden nogi nawet nie skierowałby do hamulca, i słusznie, bo trudno z powodu psa ryzykować życie własne i pasażerów. Pies z przetrąconym kręgosłupem lub rozwaloną

czaszką stoczył by się do rowu albo by został na szosie i następne samochody zrobiłyby z niego placek, następny masło, następny plamę ...

A ten był bezkarny. Pędził z wywieszonym ozorem, z chytrym uśmieszkiem, na grzbiecie jest biały, a od łap, po brzuch czarny jak bruk, po którym przebierał łapkami. Przechodnie na chodniku zamarli. - Sk...syn - powiedział ten i ów tonem najwyższego uznania, oraz troski.

- Zginie jak Boga kocham.

- Rop... go.

- O k... - leciały w jego stronę

najpieprzliwsze słowa jakie lud polski wymyśli.

Na skrzyżowaniu za Świętokrzyską akurat było zielone światło. Przebiegł nawet nie zwracając głowy, a milicjant, jak to milicjant, patrzył tylko komu wlepić mandat, więc co go pies obchodzi.

Najgorsze nastąpiło w wąskim gardle Nowego Światu, przy Pałacu Staszica, tam gdzie Nowy Świat wpada w Krakowskie Przedmieście. Tam mianowicie pies postanowił zejść na chodnik i to przeciwległy; czyli musiał w tym celu zabiec drogę

nadjeżdżającemu z Krakowskiego Przedmieścia Berlietowi, jadącemu Rolls-Roysom, Syrenkom, koniom etc. Rzucił się pod ich koła raz - nie dał rady - wrócił na prawy pas - tam już powstało zamieszanie, już piszczało, już ktoś kogoś ochrzaniał za takie hamowanie. I w zamieszaniu pies spróbował po raz drugi. Udało mu się! Wszystko stanęło! Kundel był już na chodniku, cwałował w stronę kościoła św. Krzyża, i ani ogonem nie kiwnął tym co mu życie ratowali z narażeniem swych tylnych i przednich reflektorów,

swych błotników, zderzaków itp. nie osiągalnych w handlu części zamiennych.

Rozejrzałem się z ulgą.

I co powiecie? Wszyscy wokół śmiali się wesoło: przechodnie, kierowcy jadący od Krakowskiego przedmieścia, i ku Krakowskiemu Przedmieściu ... Wszyscy byli szczęśliwi, że mu się udało s. synowi.

Widzicie więc, drodzy najmilsi, ile radości sprawia nam ktoś, kto wie czego chce. Tego się trzymajcie, a nic wam nikt nie zrobi, amen.

10.III.

W sprawie memoriału Z.X.:
1. Ojczyzna - naród - państwo.

Ojczyzna - to nie tylko ziemia, jej bogactwa naturalne i dzieła rąk ludzkich, ale także historia. Propaganda ogranicza historię Polski do walk klasowych i walki z hitleryzmem. Historia Polski to walka o niepodległość, to demokracja szlachecka, to dążenia reformatorów, to idea skupiska państwowego i kulturalnego.

etc. etc.

Napisałem to później na maszynie i dałem Z.N. Rozmowa

z nim nie jest zbytnio ciekawa, ale rzeczowa. Interesuje mnie pozatem rola w której występuje.

12.III.

Dzisiaj miałem sen o tym, żem zabłądził w Krakowie. Nie umiałem znaleźć właściwego autobusu, aby dotrzeć na Warszawską, a ulica była skąpo oświetlona i doskonale mi znana. W autobusie nie potrafiłem powiedzieć dokąd naprawdę chcę jechać. Powiedziałem: - pobliże dworca i Barbakanu, i wywołałem śmiech.

Stojąc na przystanku (gdzieś jakgdyby na rogu Prądnickiej i Kamiennej) zobaczyłem przejeżdżający samochód z więźniami siedzącymi na ławach. Wszyscy trzymali na kolanach jednakowe tranzystory. W pokrowcach. Ktoś powiedział, że kupują sobie za dolary w konsumie więziennym.

Pomysł, żeby w pierdlu był Pewex wydaje mi się godzien opatentownia.

*

Podpisałem umowę na nowelę

pt. "Dysydent".

Co zrobić:

1. Próby rozpoczęły się w poniedziałek. Wprowadzenie dyrygenta, mała uroczystość, dyrektor przedstawia orkiestrę, dyrygent w ogóle nie słucha. Jest zajęty sobą i partyturą. Zupełnie nieobecny. Zaczyna coś mamrotać, i oni nagle rozumieją, że to, co on im mówi, jest w ogóle najważniejsze, co usłyszeli w życiu.

Zaczynają grać.

Eksplozja w pobliżu czy gdzieś w ogóle - wysadzają w powietrze domy. Pokazujemy

piekło prowincjonalnego miasteczka, które nadyma się, pęka, aby stać się metropolią.

2. Zacząć zupełnie inny wątek, który zaświadczy, że ten koncert, który się przygotowuje w ogóle nie jest wydarzeniem.

Np. rozkopali grunt - mała grupka ludzi - coś tajemniczego - nie dopuszczają nowych - coś kryją.

Dokopali się do średniowiecznych fundamentów z kościotrupami i chcą to ukryć, żeby nie było ceregieli z archeologami.

Krótka awantura w tv.

3. Krzesła skrzypią na sali, trzeba je wymienić. Zmartwienie intendenta. Ściąga ludzi do zabrania tych krzeseł. Próba się przedłuża. Powinna skończyć się o drugiej, o czwartej, dziś jeszcze zamknięte. Robotnicy się niecierpliwią. Intendent zagląda: tam wciąż to samo, jak w tej celi u Kafki, gdzie stale podniesione bicze zawisają nad skazańcem, który wrzeszczy.

3. Duszno, zbiera się na burzę.

4. W mieście przygotowania do centralnych dożynek. Hotel nabity jakimiś artystami ludowymi. Uganiają, trzaskają drzwiami. W

tym wszystkim, dwaj urzędnicy, rozstrzygają tajemniczą sprawę - jeden błaga drugiego o pomoc. Sprawa życia i śmierci ... Obietnica, zaklęcia.

Jakaś gromada żujących gumę pieśniarzy, dla których nie ma noclegu.

Dyrygent przesuwa się jak duch.

5. Wtorek. Próba zaczyna się punktualnie. Ktoś się spóźnia. Perkusista. Spojrzenia dyrygenta na niego. "Zaczynamy" ... Sala pusta, nie ma krzeseł.

14.III.

Ups and downs - raz za razem z wyżyn duchowego napięcia i ożywienia spadam do rynsztoka, a tam sam siebie nie rozpoznaję. Nie jestem w stanie utrzymać się w rytmie pracy. Znowu przypada na mnie depresja, w której nie mogę myśli pozbierać i zmusić się do jakiegokolwiek, duchowego, czy fizycznego wysiłku.

15.III.

Z "Traktatu poetyckiego" Miłosza:

"... połączyć w jedno

Kosmatość bobra i zapach sitowia
I zmarszczki dłoni leżącej na dzbanie,
Z którego ścieka wino. Czemuż wołać,
Że historyczność niszczy nam substancję,
Jeżeli ona właśnie jest nam dana,
Muza Siwego Ojca, Herodota,
Jako broń i instrument? Choć niełatwo
Użyć jej wreszcie i tak spotęgować,
Że niby ołów z czystym centrum złota

Posłuży znowu na ratunek ludzi".

*

Temat do następnego felietonu: lenistwo.

Lenistwo nie jest bezczynnością, lecz czynnością zastępczą, bezproduktywną, przynoszącą cierpienia i powodującą nerwice.

Lenistwo jako nerwica.

Lenistwo jako instytucja społeczna.

21.III.

Po powrocie z Krakowa - zdarzenie na szosie, którego nie było, i które przez to pouczyło mnie najwięcej - otóż po powrocie z Krakowa upomnienie: z reguły dla każdej pracy przeznaczam za mało czasu i skracam go jeszcze, jakby w obawie, abym nie miał go zbyt dużo i aby mnie jego nadmiar nie zmusił do wykonania jej lepszego, do zgłębienia myśli i jej rozwinięcia, do rozmiarów większych, krótko mówiąc: do ciężkiego wysiłku.

24.III.

Do Tygodnika:

O lenistwie.

Lenistwo jest jednym z siedmiu grzechów głównych, które od pozostałych różni się tym, że nie sprawia przyjemności. Obżarstwo? Tak. Pijaństwo? Owszem. Rozpusta? Ba! Obmowa? Jeszcze jaką? Natomiast lenistwo męczy.

Lenistwo jeszcze tym się różni od swoich siostrzyc, że nie tak łatwo daje się rozpoznać. Dokładnie wiadomo, kiedy która z pozostałych sfrunęła na nasze podwórko; uprawianiu każdego z

sześciu grzechów głównych towarzyszy jasna świadomość. "Teraz"! - myślimy sobie ze zgrozą, gdy potem, obżeram się itd. i gdy ci kto w twarz rzuci, żeś pijak, łgarz etc. - odpowiesz ze łzami, cynicznym śmiechem, z pogardą, dla siebie, lub dla etyki (zależnie od stanu twojego przewinienia): - Owszem.

Z lenistwem nigdy nie jest tak łatwo. Na ogół do lenistwa przyznają się najpracowitsi, natomiast lenie notoryczne zapewniają siebie i drugich, że są szalenie zapracowani.

Skąd się to bierze?

[Tu przydałaby się anegdota].

*

Encyklopedia Kościelna T. Michała Nowodworskiego (Warszawa 1879) podaje następującą definicję lenistwa:

Lenistwo (acedia) jest niechęcią duszy względem dobra, wymagającego jakiegoś wysiłku; trudu, jest tedy przeciwieństwem życia cnotliwego, a utwierdzeniem panowania nad duszą każdego grzechu. Jest grzechem śmiertelnym, jeżeli wolna wola tak dalece zapada w stan,

niedbalstwa, że nie chce używać nawet tych środków zbawienia, bez których stan grzechu śmiertelnego jest niechybny. Następstwami (filiae tego stanu są: 1) wyrzeczenie się dobra ostatecznego (desperatio), 2) zaniedbanie środków, ku niemu prowadzących, co objawia się jako a) małoduszność (pusillanimitas), brak odwagi do pełnienia cnoty, b) obojętność względem przykazań Bożych (torpor cirea praecepta); 2) niechęć (rancor) do osób skłaniających do cnoty; złośliwe przeciwdziałanie cnocie i łasce bożej (melitia) i wreszcie, wyszukiwanie zakazanych rozkoszy, celem zagłuszenia w sobie wewnętrznego rozdwojenia duszy (evagatio mentis illicita).

*

Grzechy główne (peccata capitalia) - należące do stanu "poczynającej się grzeszności", będące źródłem grzechów pochodnych (filiac penatorum) i polegające bądź na nieponętnej miłości siebie, bądź na nierozsądnym pożądaniu dóbr znikomych; objawia się ono jako pycha żywota, pożądliwość ciała i

pożądliwość oczu. "Szczegółowo objawia się ta pożądliwość w siedmiu formach: pycha, chciwość, obżarstwo i pijaństwo, nieczystość, zazdrość, gniew, lenistwo.

*

Bp. Grochowski: "O światku, światku, kiedyby to nigdy nie umierać! "

25.III.

Zawsze warto zadać sobie pytanie: kim był naprawdę? Jaki był prawdziwy.

Porównaj dawne agresywne, "bezczelne" napaści, humoreski, i próby odnowienia tego stylu, z tak lirycznymi, jak "Epitafium". Wracał do Prousta? Nie wracał, tylko podobno czytał go po raz pierwszy w życiu. I jakież musiał na nim zrobić wrażenie. Epitafium jest całe z Prousta, i to ostatnie "Oczarowanie".

26.III.

Antoni Słonimski:

Wycieczki osobiste, 1920 (Sowizdrzał prawdopodobnie

Czy chcesz być dowcipny.

Straszliwe opowieści na wesoło.

(Antoni Bączek, współautor M. Samozwaniec)

O dzieciach, wariatach i grafomanach, 1927.

Król Amenulach, czarny władca. 1928. Ciekawa Biblioteczka.

Powieści:

Teatr w więzieniu, 1922.

Torpeda czasu.

M. Twain - Opowiadania, 1923.

3.4.

List od Dedeciusa w związku z "Psem".

Ile mam takich opowiadań:

1. Towarzysz dialektyk - 6.
2. (Młodzi idą). - 4.
3. Fanfara na cześć komandora. - 5.
4. Siódme niebo. - 3.
5. Czysto. - 3.
6. Na skraju lasów. - 3.
7. Mgła nad Europą. - 3.
8. Idi Amin u ojca Świętego. - 6.

== 33

9. Ciocia Pela. - 4.
10. Kto kogo. - 6.
11. Apokryf. - 3 + 1.

== 47.

*

Ile tego jest, tyle jest, ale zainteresowanie jakie wzbudził "pies", a przedtem "ciocia", wskazują, że jest to rodzaj, który powinienem w tej chwili kontynuować ponieważ zwróciłem na siebie uwagę. Wszystkie felietony w Tygodniku powinny być takie, a będę miał szybki sukces!

*

Twain, Sterne, Dickens, Czechow, Laskow, Sołtykow-Szczedrin, Voltaire, Diderot, Prus.

*

Fredro: Trzy po trzy!

*

5.IV.

Śniła mi się tajna, karciana spelunka, w której szydzono ze mnie jako najmłodszego, i jako z pobożnisia, ja zaś podsłuchiwałem dramatyczne rozmowy, błagania o

kredyt i pożyczkę, i sam brałem udział w schlebianiu szefowi. Ale zniecierpliwiłem się, kiedy szef, gbur i idiota, usiłował opowiedzieć dowcip, który nie miał sensu. I powiedziałem zimno, że słów, z których on próbuje ułożyć kalambur, w ogóle nie ma w języku. Towarzystwo przyjęło to gromkim śmiechem. Wygrałem! Co prawda, działo się to już jakby w obliczu ruiny, czy likwidacji, kiedyśmy już tylko wspominali dawne nasze, komiczne wyczyny, a szef zarzekał się, że z tym interesem skończył.

W całym tym układzie towarzyskim było coś co mi przypominało dom Kosieradzkiego i Bardacha, aranżującego zabawę.

*

"Z rozbiorem ojczyzny zamknęły się narodowi polskiemu właściwe mu, rodzinne szkoły. Powstały obcym językiem uczące obczyzny. ".

5.IV.

Coraz beznadziejniejsza

propaganda radziecka. Jak to wypowiedzieć?

Coś się rozrasta, coś udaje, że go nie ma, a jest, coś nas opanowuje mimo naszej wiedzy, coś, co wydaje się drugorzędne, okazuje się główne ...

7.IV.

Coś rozrasta się, udaje ... Co? Woda. Choroba. Plaga.

*

A może wszystko w historii było na odwrót/

Nasz obraz Kazimierza Wielkiego, a oto co pisze o nim Długosz:

"A ja nie mogę wystarczająco wyrazić mojej niechęci do króla polskiego Kazimierza, który zaniechał obowiązków wojennych, by z nakładem większych kosztów ucztować, by się chwalić, że posiada w skarbcu złożoną większą ilość złota, by hołdować znów uciechom żołądka i Wenery, by prowadzić życie bez trudów, osławione z powodu rozkoszy. Lekceważąc rozkazy ojca, okazał się bardziej małoduszny i gnuśny w obronie

ojczyzny od biskupów i kapłanów, człowiekiem o gorszym charakterze, spragnionym pokoju i obcej mu rzeźkości ... ".

"Niekiedy człowiekowi, który skarżył się na swego pana o pobieranie nadmiernych opłat, doradzał, aby zdobywszy krzesiwo i znalazłszy krzemień, mścił się podpaleniem, jeżeli nie ma innej rady. I tak poskromił samowolę wielu rycerzy ... "

*

Do Tygodnika:

Podobno dzieci i młodzież nie

znają historii.

Nie tylko historii Polski, w ogóle historii, Nie wiem jak to jest, bo nie uczę w szkole, ani w uniwersytecie; i spotkań z młodzieżą unikam. Tyle wiem, co mi na ten temat opowiadają ludzie świadomi rzeczy.

Wcale się temu nie dziwię. Podręczniki historii pisane są nudno i sucho, często mętnie; powieści historyczne dawno przeżyły się, a nowe są marne. Filmy historyczne są straszne. Historia została zamazana, zaciemniona etc. Nade wszystko zniknęły z niej indywidualności.

Motywacja ekonomiczna, społeczna etc. - tak, ale gdzie są bohaterowie? Gdzie zdrajcy? Gdzie filary historii? Gdzie jej sensaci?

Jak nas uczył prof. Szpunar.

Kazał mi kuć na pamięć. Ale było co. Piękna proza Kazimierza Lewickiego. [...] , kto uczy się kawałka prof. Samsonowicza, albo nawet Kieniewicza.

Nieumiejętność historii w naszym wypadku, to utrata łączności z całą tradycją, z naszą literaturą, która jest na historii ufundowana. To jest ponadto zabicie jakby naturalnego

eksperymentu Literackiego Polaków. To tak jakby Francuzi zapomnieli o co chodzi w miłości i przestali nagle rozumieć Moliera, Mariveau, Stendhala.

Naturalnym tematem polem myślenia, jest amor Patrie i mnożenie utraconych lub uzyskanych szans. Dlaczego Polacy są z urodzenia historyczni? Nie wiem!

Jak opowiedzieć historię?

Tak:

to cytaty z Długosza.

O sądach polskich:

"Treść przysięgi dawano powodowi i pozwanemu na

piśmie, a on miał ją powiedzieć po polsku. Jeżeli przy jej wypowiadaniu pomylił się, a zmienił jedno słowo, nawet gdyby miało ono to samo znaczenie, zawahał się, przekręcił słowo, lub je skrócił, natychmiast jego sprawa, choćby najkorzystniejsza i pod każdym innym względem słuszna i sprawiedliwa, była zagrożona lub upadała na zawsze. Jeżeli mówił źle, niewłaściwie, półgłosem lub nie tymi słowami, w jakich rozstrzygająca spór przysięga została sformułowana, nawet gdy jego słowa oznaczały dokładnie to samo, był narażony

na wyrok potępiający jak winowajca i postępujący wbrew prawu."

Długosz. Roczniki czyli kroniki. (ciąg dalszy na str. ...)

Ciągle Wilga, 25/IV.

Spisuję notatki do powieści, która może będzie miała tytuł "Syn nieznanego żołnierza".

Przyszło mi teraz do głowy, aby z historii owych dwóch par, i z owego kłamstwa miłosnego zmontować sztukę.

I.

1. Przyjazd czterech pań. Ich

konflikty o Andrzeja.
2. Zjawia się ów Andrzej, który przyjechał już wcześniej.
3. Kłótnie sióstr.
4. Wejście Zyzia (?), który zakochuje się z miejsca w Wisi, i w Andrzeju. Opowiada im swoje życie, oddaje im się w ręce, jest zachwycony.
5. Obiad. Podział sił.

II.

1. Wisława i Andrzej na spacerze. Co zrobić z Zyziem? Staje się coraz uciążliwszy. Trzeba mu dać do zrozumienia, że mają go dość. Andrzej i Wisia postanawiają zatem pozbyć się Zyzia. Wmówić mu Bożenę.
2. Zyzio jest gotów do wyznania miłości Wisi. Ta wmawia mu Bożenę. Opowiada mu o swojej miłości do Andrzeja.
3. Odrzucony Zyzio zwraca się rzeczywiście do Bożeny. Traktuje to jako podstęp. No choćby tylko.
4. Coś się wreszcie dzieje - wybucha wojna? - coś takiego, że Zyzio z tym swoim kłamstwem zostanie na całe życie.

III.

1. Przyjeżdża prezes samochodem zabrać swoje kobiety zagranicę.
2. Andrzej musiał zostać, ponieważ jest żołnierzem.

3. Wisia decyduje się wyjechać.
4. O Zyzia nikt nawet nie pyta.
5. A wtedy Bożena powiada, że zostanie z nim, ponieważ go kocha
6. Wisia do Zyzia: powiedz jej, że jej nie kochasz, powiedz jej, że kochasz mnie, że to błąd, kłamstwo, podstęp, mistyfikacja.
7. Zyzio: Nie. Nie powiem. I zapada na to wszystko ciemność pokłamanych uczuć, połamanych dusz etc. ...

(cd. z 7.IV - Kij.).IX.

Starego Królestwa Polskiego, przekł. na jęz. pol. Julia

Mrukówna, W-wa 1975, str. 309.

Król Kazimierz zwołuje zjazd do Wiślicy "ustanawia prawa polskie oraz spisuje, porządkuje, ogłasza i zapowiada prawa ziemskie Królestwa ... " i po długim wnikliwym badaniu, żeby ich ktoś nie mógł znieść, zmienić lub odrzucić, każe je na wieczną i trwałą pamiątkę spisać w prostych i jasnych słowach, żeby znaczenia tych słów przy pomocy sprytnych wybiegów nie można było naciągnąć i nagiąć do jakiegoś oszczerstwa ...

"Według powszechnego mniemania wyraźne znaki

wskazywały, że od tego czasu Bóg bardziej błogosławił i z dnia na dzień coraz więcej błogosławi narodowi polskiemu mającemu sprawiedliwe prawa i przestrzegającemu je. Zapewne poprzednie barbarzyńskie sądy, które dopuszczały się sprzeniewierzenia prawom Boskim i ludzkim i ucisku ubogich nie bardzo się podobały Majestatowi Bożemu".

1176

Książę Mieczysław (Mieszko Stary?) sprawował sądy w asyście duchowieństwa i urzędników. Wtem stanęła przed nim biednie

ubrana kobieta, która poczęła głośno płakać, aby zwrócić na siebie uwagę. Król zniecierpliwiony jej narzekaniami nakazał przybliżyć się jej i powiedzieć co ją gnębi. Ta opowiedziała mu zawiłą historię:

Źródłem jej utrzymania wraz z jedynym synem było stado owiec. Syn jednakże wynajął ludzi, którzy mieli sprowadzić owce z gór do zagród. Wilki napadły owce i zagryzły stado. Kobieta oskarża najemników. A oto oni powiadają, że nie oni są winni, lecz syn owej kobiety, który po pierwsze nie jest jej synem, lecz

pasierbem, a po drugie, będąc zawodowym myśliwym, zjawił się w pobliżu trzody ze sforą psów, te zaś rzuciły się na trzodę, i zagryzły ją. Na to młodzieniec: psy spuścił przeciw wilkom. wilki uciekły, najemnicy puścili się za nimi w pogoń, opuszczając owce. Tymczasem wilki powróciły inną drogą i zagryzły stado.

Któż winien? Syn (pasierb), czy najemnicy?

Książę był bardzo zakłopotany, ale w końcu wydał wyrok skazujący młodzieńca za to, że "złe psy spuścił ze smyczy w pobliżu stada" ... dając tym

okazję do wyrządzenia krzywdy" ...

"Bo nawet wedle prawa jeżeli wół, który bodzie, lub koń, który lubi wierzgać, wyrządziły szkody, ich właściciel winien dać odszkodowanie".

Wyrok Książęcy został przez otoczenie przyjęty z zadowoleniem i podziwem przez całe otoczenie. W jego imieniu przemówił biskup Gedeon. W miarę jednak jak mówił, zmieniło się oblicze władcy, i bledli dworacy:

- Najjaśniejszy panie - mówił biskup Krakowski - wydałeś

sprawiedliwy wyrok, zgodny z prawem boskim i ludzkim. Słusznym i prawidłowym wyrokiem rozwiązałeś prawny problem. Ale wtedy dopiero twój wyrok stanie się prawomocny, jeżeli poddasz mu się najpierw ty, jako sprawiedliwy prawodawca. Bo on przez swe skutki i przez swe znaczenie zdaje się dawać świadectwo twojej osobie. Jeżeli usuniesz pozór, łatwo będziesz mógł pojąć, że wymyśliłem to sprytnie, żeby tobie jedynie dowieść winę i skłonić cię do poprawy. Bo nocą i dniem spotyka się z twojej strony z brakiem

czujności i ospałością państwo polskie, o którego świetność, wolność i rozwój powinieneś zabiegać, a dopuściłeś do tego, że jest biedną wdową nędzną służebnicą i prawie niewolnicą. Bo ta niewiasta, to państwo polskie powierzone twoim rządom. Ty - nie możesz temu zaprzeczyć - jesteś jej synem; trzoda owiec, to naród polski, nad którym nadzór powierzyłeś wrogom i najemnikom, a nie troskliwym i łagodnym pasterzom. Stąd słusznie odmawiają ci miana syna i nazywają cię niegodziwym pasierbem tej niewiasty ... A złe

psy, to urzędnicy twoi starostowie i poborcy, którym bez żadnych ograniczeń, z całą swobodą pozwalasz bez zachowania pozorów, łamać twoje rozkazy i wymierzać w okrutny sposób wszelkiego rodzaju uciążliwe kary. Od ich okropnych, niegodziwych ukąszeń wyginęła niewinna trzoda, błagając napróżno twojej obrony.

Co na to książę? Uniósł się gniewem, twierdził, że biskup "wymyślił ją nie z miłości do prawdy, lecz z zawiści, nie dla nawrócenia go, lecz znieważenia a opuściwszy "z hałasem" naradę,

groził, że zemści się na biskupie i panach, którzy go popierali. Biskupa - mówił - skaże "na utratę mienia i wygnanie, innych na śmierć lub obicie członków, konfiskaty dóbr i nakaże najcięższe kary. "

Ale nie skazał. Co gorsza, nic się nie zmienił.

Jan Długosz, ks. V.

Przeł. na jęz. polski Julia Mrukówna. W-wa 1973.

Str. 134-136.

Działo się w RP. 1176 w Krakowie.

8.4.

W roku 1176 zdarzyło się, że gdy książę Mieczysław, zwany później Starym odprawiał sąd w asyście duchowieństwa i świeckich urzędników, zjawiła się w tłumie ubogo odziana niewiasta i wszczęła głośny lament. Zniecierpliwiony jej krzykami Książę rozkazał ją przyprowadzić bliżej i spytał o co jej chodzi. Przedstawiła mu wówczas swoją sprawę. Była to wdowa utrzymująca siebie i dorosłego syna z hodowli owiec. Syn wynajął ludzi do sprowadzenia owiec z górskich pastwisk do

zagrody. Najemnicy nie upilnowali stada przed wilkami, które wpadłszy, zagryzły większość owiec. Wdowa domagała się odszkodowania od najemników.

Wówczas wystąpili przed księciem najemnicy i powiedzieli, że zostawieniu stada winien jest syn wdowy, który zresztą nie jest jej rodzonym synem, lecz pasierbem, i nie owce mu w głowie, lecz polowanie i psy myśliwskie, które z sobą wozi. Usłyszawszy o wilkach w pobliżu stada, spuścił swoje psy, które rzuciwszy się na bezbronne owce,

zagryzły je.

Zjawił się i syn. Psy, powiadał, spuścił rzeczywiście, które pogoniły za wilkami, a za psami pobiegli najemnicy, zostawiając stado bez dozoru. Wilki umknąszy pogoni, powróciły inną drogą i zagryzły owce.

Do księcia należała sprawiedliwość. Książę milczał długo, rozważając to niejasne zdarzenie. Razem z nim milczał jego dwór, jego doradcy i milczało duchowieństwo, które stawiło się licznie z biskupem krakowskim Gedeonem na czele.

Między księciem a biskupem nie było zgody. Biskup sprzeciwiał się często Mieszkowi, oskarżając go o to, że otacza się niegodnymi ludźmi, schlebiając im, przekupując ich darami i przywilejami, i dozwalając gnębić lud. Gdy lud wzburzony szemrał, książę występował w roli arbitra; wydawał wyroki, które zadowalały lud, ale nie karał winnych nadużyciom urzędników, a przeciwnie rozszerzał jeszcze swe przywileje. Prawo zastąpił swoją łaską, wierność dla siebie uczynił cnotą najwyższą w miejsce miłości ojczyzny, i władał

judząc przeciw sobie stany, zamiast je godzić. Rządził tak, jakby miał żyć wiecznie, nie myśląc o tym, że po sobie pozostawi prawną i moralną pustkę.

Czekali więc wszyscy na wyrok, jaki wyda. Ogłosił w końcu winnym szkody syna wdowy za to, że złe psy spuścił w pobliże stada, "dając tym okazję do wyrządzenia krzywdy". Albowiem stare prawo mówi, iż "jeżeli wół, który bodzie, lub koń, który lubi wierzgać, wyrządziły szkodę, ich właściciel winien dać odszkodowanie".

Wyrok został przez otoczenie przyjęty z zadowoleniem i podziwem dla sprawidliwości książęcej. Głośno chwalono Mieczysława, który słuchał, dając znać ruchami głowy, że pochlebstw sobie nie życzy. Na koniec wystąpił biskup Gedeon. W miarę jak mówił, oblicze władcy nabiegło purpurą jak słońce, gdy chyli się ku zachodowi.

- Najjaśniejszy panie - przemawiał duchowny - wydałeś sprawiedliwy wyrok, zgodny z prawem boskim i ludzkim. Słusznym i prawidłowym wyrokiem

rozwiązałeś trudny problem. Ale wtedy dopiero twój wyrok stanie się prawomocny, jeżeli poddasz mu się najpierw ty sam. Bo on przez swe skutki i przez swe znaczenie zdaje się dawać świadectwo twojej osobie. Tę całą historię ja wymyśliłem i ułożyłem, żeby tobie jedynie dowieść winę i skłonić cię do poprawy. Bo nocą i dniem spotyka się z brakiem twej czujności i twą ospałością państwo polskie, o którego świetność, wolność i rozwój powinieneś zabiegać, a dopuściłeś do tego, że jest biedną wdową, nędzną służebnicą i prawie niewolnicą.

Bo ta niewiasta to państwo polskie powierzone twym rządom. Ty jesteś jej synem; trzoda owiec, to naród polski, nad którym dozór powierzyłeś wrogom i najemnikom, zamiast troskliwym i łagodnym pasterzom. Stąd słusznie odmawiają ci miana syna i nazywają cię niegodnym pasierbem tej niewiasty ... A złe psy, to urzędnicy twoi, starostowie i poborcy, którym bez żadnych ograniczeń, z całą swobodą, pozwalasz bez zachowania pozorów, łamać twoje rozkazy i wymierzać im w okrutny sposób wszelkiego rodzaju uciążliwe

kary. Od ich okropnych, niegodziwych ukąszeń wyginęła niewinna trzoda, błagając napróżno twojej obrony."

Ledwie biskup skończył mówić, książę uniósł się gniewem, wołając, że biskup wymyślił tę historię dla znieważenia go, poczem opuścił zgromadzenie, "z hałasem" - jak pisze kronikarz - grożąc, że biskupa skaże na utratę mienia i wygnanie, a tych, którzy go popierali, "na śmierć, lub obcięcie członków", konfiskatę dóbr i wszelkie najcięższe kary".

Ale nie skazał. Co gorsza, nic się nie zmienił.

Podobno dzieci i młodzież nie chce się uczyć historii. Dlaczego? Jest przecież ciekawa. Ale tylko o tyle, o ile opowiada o ludzkich charakterach i o ile pokazuje walkę dobra ze złem, to jest porządku z chaosem, prawa z tyrańskwem, dzielności z tchórzostwem, wolności z despotyzmem i przemocą. Jeśli nie chcecie się uczyć historii, drogie dzieci, widać nie znajdujecie w niej tego, co w niej piękne i ciekawe.

Tę opowieść znajdziecie u Jana Długosza, w księdze V, na str. 134-136 (wyd. PWN; W-wa

1973). Mowę biskupa przytoczyłem dosłownie, w pięknym przekładzie Julii Mrukówny.

W przyszłości jeszcze wam coś opowiem.

Wielkanoc 77.

Instynkt życia i nieśmiertelność.

*

Suma pontyf. w katedrze.
Spojrzenie kardynała.
Jego kazanie na końcu: pole

pobitych u proroka Ezechiela. Wszystkie kości ożyją. Wszyscy zmartwychwstaną i spotkają się. Będzie radość. Ale jaki smutek, gdy spotka się winowajca ze swoją ofiarą. Żyjemy tak, aby zmartwychwstanie było stylem i metodą naszego postępowania. Żyjemy w duchu zmartwychwstania.

*

Carllois: O duchu sekt. W-wa, 1973.

*

Comprendre sa passion. Trouver sa werité.

Ma passion: la Dieu. Mon amour: le Dieu. La seule verité que je puisse comprendre est divine. Jestem zarażony wiecznością.

*

Tego muszę się trzymać, wszystko inne jest fałszem.

*

To jest to, co Platon nazywał

telos (gr. - telos? - tau-epsilon-lambda-omega-sigma).

*

Stoicy nie znali grzechu, tylko "szaleństwo".

Freudyzm powrócił jakby do tego samego. Wedle psychoanalizy, nie ma grzechu, tylko "nerwica".

*

Im bardziej Bóg staje się abstrakcyjny, tym większa potrzeba pośredników między nim

a człowiekiem.

Ciekawe jak ci pośrednicy (syn, duch) wpływają z kolei na ukształtowanie owego Boga najwyższego. "Syn" musi mieć "Ojca"; gołębica gołębiarza.

14.IV.

Stefan Czarnowski: Kult bohaterów i jego społeczne podłoże. Św. Patryk, bohater narodowy Irlandii. (Dzieła w opracowaniu Niny Assorodobrej i Stan. Ossowskiego; t. IV). W-wa, 1956, PWN.

Wyraz "bohater":

"Używa się go w różnych religiach - a szczególnie w pogaństwie klasycznym - dla oznaczenia zmarłych podniesionych do godności boskiej. Jakkolwiek jednak znaczenie to przeważa w tradycji naukowej, próżno by tam szukać ścisłej definicji samego pojęcia bohatera zastępowanej genetycznym wyjaśnieniem kultów bohaterskich, w których upatruje się czasami dalszą fazę rozwoju kultów żałobnych lub takich, których źródło leży w chęci posiadania bogów o istocie ludzkiej, bardziej przystępnych niż

pozostali bogowie i grających rolę pośredników między światem bogów a wiernymi. "

Drugie znaczenie: "prawowita tradycja języka potocznego chrzci mianem bohaterów wszystkich tych, którzy przez jakiś czyn o wielkim rozgłosie zdobyli prawo do powszechnego podziwu. (W tym także fikcyjne postaci!)

Czarnowski uważa, że oba znaczenia wyrazu "bohater" wyrosły ze wspólnego podłoża i można je sprowadzić do jednego pojęcia ogólnego".

Ernst Lucius (Levecius?): Die Aufänge des Heiligen Kultur in

der Kristlichen Kirche Thübingen 1904.: postacie bohaterów "skupiają w sobie wszystkie te właściwości, które były uważane za szczególnie cenne w epoce tworzenia się ich legend".

[Kult Kościuszki-Poniatowskiego ... porównaj z kultem Garibaldiego we Włoszech.]

*

Bohater wywołuje wyobrażenie doskonałości.

Nie musi to być ideał wszechstronny.

"Doskonałość bohatera polega na reprezentowaniu jakiejś wartości ściśle określonej" - a) przez cywilizację, b) przez sektę religijną, tajne stowarzyszenie czy bractwo, c) odpowiadającej jakiejś specjalności, d) jakiejś innej okoliczności, np. narodowej. (*) Ani K. (Kościuszko), ani P. (Poniatowski) nie wypełniają tego warunku. Ani jeden, ani drugi nie byli doskonałymi wojownikami, czy politykami; o ile jeszcze K. uchodzi za człowieka dobrego (co zresztą jest jakby ubocznym produktem legendy), P. jest znany jako birban i "debael".)

Bohater jest świadkiem "bojownikiem" - wartości - "wciela wartość i jednocześnie daje dowód jej istnienia: (*) Ani jeden, ani drugi nie ponieśli "bohaterskiej", czy "męczeńskiej śmierci". De facto - bo w praktyce "skok do Elstery" bywa przedstawiany jako bohaterstwo, a K., chociaż umarł w spokoju, na emigracji, w wyobrażeniu ludowym "ginie" pod Maciejowicami.)

Adler

Wilhelm Reich: Massen psych. des Fascismus.

Freud: Psychologie was

Todten i tabu.

Plechanov: Rola jednostki w hist.

Maritain: Trois Reformatoure.

J.J. Rousseau: "Discours sur la question". Quelle est la verth la plus necessaire on Héros et quels sont les Héros et quels ů qui celte vertu a mangné. "

Przen. Hamleta.

W. James: The Principles of psychology. t. II. 548.

Nietzsche: Menschliches Allzumenschliches.

Emerson: Nadludzie. ([...])

Fichte.

Nietzsche: Taka [...]

Wilga, 20/4.

Czytanie "Przybysza z Narbony" Stryjkowskiego.

Szukam odpowiedzi na pytanie w jakim świecie, wśród jakich ludzi żyję. Nigdy się nad tym poważnie nie zastanowiłem. Całą uwagę pochłonęła mi chęć podobania się, a wysiłki w tym celu podejmowane pochłaniały mi całą energię.

Kto to jest Stryjkowski, kto to są tak podziwiający go ludzie, którzy i mnie nie szczędzą komplementów, jakie są wartości,

jakie są ich reakcje, co w tym wszystkim jest naprawdę cenne, co jest ważne?

21.4.

Przeczytałem więc trzy odcinki "Przybysza z Narbony" Stryjkowskiego oraz kilka opowiadań Artura Międzyrzeckiego ze "Śmierci Robinsona".

Proza Artura jest pełna najlepszych intencji zarówno moralnych (za rzetelnością, umiarem, lojalnością), jak stylistycznych (za porządkiem i względną jasnością wypowiedzi), ale opowiada o niczym. Unikając ryzyka, jakie się ponosi przy wypowiadaniu sądów o rzeczywistości, Artur tworzy pseudo-rzeczywistości popisuje się ich żartobliwą znajomością.

Są to: ptaszkarstwo, zegarmistrzostwo, hodowla kwiatów, pirotechnika, wojsko etc. Jest to bricolour oczytania w mało znanych działach encyklopedii oraz w kuriozach tego samego rodzaju, który lubił Twain pozwala mu wierzyć, że jest interesujący i zachować zalotny ton, którym obezwładnia

czytelnika. Artur przypomina chłopca, który co dzień ma coś nowego do pokazania kolegom w szkole zapewniając sobie popularność, to sztucznym chrabąszczem, to niezwykłego kształtu gumką do wycierania. "Zgadnij co mam" - woła taki, potrząsając kieszenią. Głupi zaciekawi się z głupoty, a mądry z grzeczności. I sukces pewny.

Smutne tylko, że w ciągu 15 lat, które upłynęły od napisania tych opowiadań, nie zmienił się wcale. W wierszach przybyły mu nowe tony. Ale błąd w jego osobie jest niezmienny: we wszystkich

porachunkach jakie toczy ze światem, nie rusza siebie.

Lęk przed ryzykiem posuwa do tego, że nawet swoich nienawiści nie nazywa po imieniu, aby nie ujawnić, że są to jego rzeczywiste nienawiści. Poprzestaje na ogólnikach i proponuje innym, aby wzięli je na swój rachunek.

Co do Stryjkowskiego (nie żałuję czasu poświęconego na te lektury, po prostu muszę ustalić w jakim świecie, wśród jakich ludzi żyję, i w opiniach, jakie u nich mam, rozpoznać siebie), otóż co do Stryjkowskiego, powiem

najpierw, że jest mi równie daleki w swoim pisaniu, jak Artur, jak Kazik, jak Wiktor, czy Jarek, czy Marek. (Wyliczając ich wszystkich, zdałem sobie nagle sprawę z tego jak okropnie jestem samotny, jak zupełnie nikogo nie mam w literackim otoczeniu, kogo mógłbym uznać bodaj za krewnego; a przede wszystkim kogo chciałbym naśladować, czy prześcignąć. Nikogo!) Toż Stryjkowski powinien być mi najbliższy, ponieważ porusza się w sferze religii i historii, którą mam za własną, w której czuję się jako tako zadomowiony; a jednak

nie jest bliski, co więcej, drażni mnie swą rzekomą bliskością, jak intruz, który wszedł w moje obrazy, a nie umie się w nich zachować.

O czym jest ta powieść? Najprościej: o prześladowaniu Żydów. Tło historyczne ma tu znaczenie drugorzędne. Przynamniej dla Stryjkowskiego. Dlaczego nas prześladują - pyta - i odpowiedź znajduje prostą: bo jesteśmy lepsi od innych. Jest to powiedziane expressis verbis, i jest to pokazane, opowiedziane. Służy temu porównanie dwóch światów - żydowskiego i

chrześcijańskiego - porównanie, które dowodzi wyższej kultury, większej, pracowitości, rzetelności, zacności, mądrości po stronie żydowskiej. Dotyczy to zarówno kultury materialnej, jak duchowej. Żydzi deklamują poetów i proroków, chrześcijanie natomiast umieją tylko klepać pacierze i "wyć", "zawodzić" etc. W dysputach oczywiście Żydzi zawsze mają wyższość nad chrześcijańskimi teologami. Żydzi nie są bez winy, oczywiście. Podejmują się brudnych zawodów, wysługują się wrogowi, bogacą się niecnymi sposobami, ale są do tego zmuszeni.

Ponieważ cała powieść oparta jest na porównaniu (wynika to stąd, że akcja toczy się raz w chrześcijańskim, raz w żydowskim mieście), jej teza - nie ma takiej religii, która warta byłaby życia ludzi - wypada dwuznacznie; skoro tak, to obie religie powinny być poddane krytyce, względnie cała kultura na religii oparta. Są tego elementy - owszem: rabini są przedstawieni dość krytycznie, rada starszych jest groteskowa. Eli powiada, że nie wierzy w Boga, tylko w naród. Wiara w naród jest też religią; wiara w naród

żydowski jest innym wypełnieniem wiary w religię żydowską. Wiara w wyższość narodu żydowskiego i w jego posłannictwo, oraz w jego, niewinność oznacza przyjęcie dla sprawy żydowskiej innego punktu widzenia, niż dla wszystkich innych spraw - oznacza stronniczość. Niech sobie będzie - o tyle ta powieść jest innego rodzaju (taka katolicka stronniczość jest słabością "Quo vadis" - i Kaz. Brandys był bliski prawdy gdy z "Przybysza z Narbony" żartował, że to takie "żydowskie quo vadis"; taka polska stronniczość jest słabością polskiej literatury), ale poza tym jeszcze jest to stronniczość ukryta pod pozorami "humanistycznego obiektywizmu", a pozatem o tyle zdumiewająca, że zwrócona "do wroga". "Quo vadis" jest napisana dla katolików, dla zbudowania, "Potop" dla Polaków "ku pokrzepieniu serc". Dla kogo natomiast jest napisany "Przybysz z Narbony"? Gdyby był napisany w jidisch, czy po hebrajsku dla Żydów w Izraelu, lub w diasporze, stanowiłby przejaw kultury narodowej, czy religijnej - w każdym razie przeznaczonej dla

obiegu w ramach tej samej kultury, z której powstał. Trzeba może odróżnić w naturze dzieła o charakterze "Intra-kulturowym" i "inter-kulturowym". Powieść Stryjkowskiego jest dziełem intra-kulturowym, które udaje inter-kulturowe. Ponieważ jest napisana po polsku i wydana w Polsce, czytelnik polski ("chrześcijański") otrzymuje coś, co nie potwierdza jego wiedzy o świecie, ani też jej nie podważa. Nie potwierdza, oczywiście, skoro powiada, że to, co Polak (katolik) uważał i uważa za niższe i materialne, jest w istocie wyższe i słowne; nie

podważa też, bo nie zawiera krytyki kultury chrześcijańskiej w jej punktach zasadniczych, a tylko jej oskarżenie z żydowskiego punktu widzenia, oraz żydowską samochwałę ...

Czytając tę powieść chrześcijanin czuje się równie nieswojo, jak czułby się Niemiec czytający "Krzyżaków". Niemiec taki chętnie zgodzi się z tym, że Krzyżacy posługiwali się ogniem i mieczem w kolonizacji wschodu, ale cicho, lub głośno zaprotestuje gdy się z powieści Sienkiewicza dowie iż zakon N.M. Panny był gniazdem rozbójników, a Kraków

szczytem kultury. Podobnie ja: przyznam, że palenie Żydów to zbrodnia, ale nie zgodzę się, że spalenie Żydów i złupienie ich, było jedynym zajęciem chrześcijan. Palono nie tylko Żydów i palili nie tylko chrześcijanie. Spalenie człowieka na stosie w XV wieku, to było tyle, co dzisiaj wsadzić go na 5 lat do więzienia.

Porównywanie w historii jest zawsze ryzykowne; nie tylko dwóch kultur, ale dwóch epok z sobą porównywać nie można. Cena życia rośnie z roku na rok! Jeszcze ćwierć wieku temu, wyrok

śmierci był banalny, dziś jest skandalem.

Krótko mówiąc: jako powieść "dla pokrzepienia serc żydowskich", "Przybysz z Narbony" może być odczytany tylko przez Żydów; poza obrębem kultury żydowskiej może liczyć tylko na hipokryzję. Sumienie nie-Żydów jest tak obciążone poczuciem winy za niedawną masakrę, że chętnie przytaknie Stryjkowskiemu i uda, że nie widać ukrytych w jego powieści zniewag i upokorzeń.

Nie ma w tej powieści ani religii, ani historii. Jest tylko

sztafaż rytualny i "tło" oraz "realia", dość zabawnie odpisywane z popularnych książek. Pełno więc hymnów i czynności, oraz pełno informacji o strojach, meblach i sposobach sprzedawania owoców. Nie ma religii, i nie ma historii, tylko narodowy resentyment wyrażany dość prostodusznie.

Nie ma też fabuły - Eli zabiera się do swojego "zamiaru" (jak) sójka do odlotu za morze - i nie ma psychologii: zwłaszcza to, co dzieje się w sferze "miłości", jest wprost niewiarygodne. Np. "wyznanie Mariany".

Najlepsze są rzeczy rodzajowe: monolog rzemieślników, narada starszych. W tym zakresie to bardzo zdolny pisarz.

Ależ go wydęto!

*

Zbigniew Brzeziński: System międzynarodowy.

Uważa, iż ZSRR zasadniczo zmienił cele swej strategii. Odstąpił od myśli, którą dawniej (za czasów Chruszczowa) dzielił z Chinami, iż zmiany w globalnym układzie sił przygotowują się w

krajach rozwijających się, i że to one zarzewiem "światowej rewolucji". Zetknięcie się z konserwatyzmem tych krajów, straty tam poniesione (np. w Egipcie), oraz - co najważniejsze - przejawy kryzysu w USA i w Zachodniej Europie, podsunęły radzieckim ideologom starą myśl o "nieuchronnym" kryzysie kapitalizmu. I na ten kryzys zdaje się teraz liczyć Breżniew. Dlatego zamiast uzbrajać Arabów, zbroi się sam i otacza zachód pasmem baz morskich.

Co do Polski, Brzeziński wylicza 4 warianty: 1) Polska będzie wolna jak przed 1939, 2) Polska będzie nieco wolniejsza niż jest dzisiaj i bardziej związana z zachodem, 3) Polska będzie tak samo zależna, jak dzisiaj, 4) Polska zostanie wcielona do ZSRR.

Wariant 1) wymagałby wg. Brzezińskiego rozpadnięcia się ZSRR i utrzymania podziału Niemiec, wariant 2) przemian wewnętrznych w ZSRR, wariant 3) nie wymaga niczego tylko trwania, wariant 4) dojścia w ZSRR do władzy czynników wielkomocarstwowych i szowinistycznych - oraz

wycofania się USA z Europy. Wszystko wskazuje na to, że najrealniejszy jest wariant 3), a niewykluczony 4). Pierwszy jest mało prawdopodobny, a nawet wręcz niemożliwy, a 2) najbardziej pożądany.

Co z tego wynika?

Że trzeba działać przeciw status quo, starając się zmieniać istniejący stan rzeczy w duchu realizacji wariantu 2), a bronić się ile sił przeciw wariantowi 4).

22.4.

Wczoraj wieczorem ociepliło

się nagle i zaczął padać wiosenny deszcz. W domku było duszno, spać nie mogłem. kali też kręcił się przez całą noc, budząc mnie co chwila. Sąsiad, Świtkiewicz wołał do mnie z boku; zobaczył światło, a widząc, że nie ma samochodu, pomyślał, że ktoś włamał się do domku. Śniło mi się, że słyszę jakiś okropny chrobot na dachu. Chciałem krzyknąć na Kazię, ale nie mogłem wydobyć głosu z gardła. Śniło mi się jeszcze, jakieś przyjęcie u Scanlana, na które poszedłem z Jędrkiem, który spóźniał się, gubił mi się ciągle i za dużo jadł. Wyszedłem

wcześniej obchodząc stół, i patrząc jakie masy jedzenia nakładają sobie nasi rodacy na talerze. Jakiś znany profesor grzebał się w olbrzymiej kupie szynki i pasztetu. Za późno wczoraj zjadłem kolację. Przez te późne kolacje, które sobie robię (oczywiście, na ciepło) mam tu w ogóle bardzo dziwne sny, które podziwiam za inwencję fabularną i trafność. Niezapisane, zacierają się w pamięci, zwłaszcza ich szczegóły, które są najciekawsze.

26.10.

Scenariusz dla Wajdy.

Upały. Wczesne, majowe.

Miasto.

Plagi: rozbudowa, szosa, pośpiech przed świętem lipcowym, cmentarzysko, które przeszkadza, wyścig pokoju, zjazd kombatantów, koniec roku szkolnego i popis na stadionie, najazd Amerykanów etc. etc.

I na to wszystko obłąkany dyrygent, który dręczy orkiestrę.

Jak gdyby nigdy nic.

Wszystko jakby się działo w mózgu sekretarza KW.

27.IV.

Osoby, które mi się tu śniły:

Gierek, Jaroszewicz, Joasia Guze, Halina Mikołajska, Maśka, Jędrek, Scanlan.

29.IV.

Czytanie Plutarcha.

Odwaga Aleksandra Wielkiego.

Jakże dobrze rozumiem dlaczego tę książkę tak lubiano niegdyś! Kopalnia tematów dramatycznych. Historia lekarza Filipa z Akarnanis oskarżonego przez Parmaniona o zamach na

życie Aleksandra: król pokazał mu list Parmaniona wpierw łyknąwszy lekarstwa. "Był to dramatyczny i osłupiający widok, gdy ten czytał, a tamten pił".

Aleksander Wielki "mówił, że śmiertelność swą poznaje najlepiej ze snu i namiętności cielesnych; z tej samej bowiem słabości występuje w naturze zarówno uczucie zmęczenia, jak i przyjemności. "

Aleksander "okazywał swe uznanie, za każdy dowód męstwa, jakby jakiś strażnik; osobisty przyjaciel pięknych czynów".

Plutarch: wzory męstwa,

szlachetności, inteligencji, dowcipu. A przy tym wielkie temperamenty, wielkie dramaty, wielkie konflikty. Wielcy ludzie z ich słabościami.

Cała cywilizacja uformowana na tych i innych wzorach.

Na czym właściwie opiera się nasze dzisiejsze wychowanie?

"Bohaterowie", których przedstawiamy, mają charakter zupełnie inny, sakralny, zbiorowy. Mają wszystkie te cechy, które wymienia Czarnowski. Są to bohaterowie - hasła wywoławcze, patronowie raczej, "świadkowie" wartości nie zaś żywe przykłady postępowania.

Wilga, 26.5.

Nowe rekolekcje w naszej chałupie.

Nowości: aresztowanie całego aktywu KOR-u.

Nowy list. Nowe głupstwa Artura.

Odkrycie na nowo Kazi. Jest niezawodna.

Doznanie tej ufności sprawiło mi ból, jaki daje wielka i nagła miłość.

Małżeństwo Jędrka. Lezie w niewolę.

Niezmienny gniew na samego siebie, na stratę czasu, na zagapienie się, na brak decyzji w wyborze i prowadzeniu pracy.

"Cokolwiek życia mamy poza sobą, należy to do śmierci". Seneka.

5.VII.1977.

Wczoraj zdjęto mi z ręki gips po zapaleniu pochewki ścięgna, ale ręka boli nadal i ścięgno jak skrzypiało tak skrzypi. Jędrek zgubił dokumenty i klucze do

mieszkania. Nie dostałem pożyczki ze związku na mieszkanie dla Jędrka, a Centkiewicz z mojego powodu dostał wylewu. Tak mi powiedziała wczoraj Centkiewiczowa. Kazię pozbawiono wszystkich dotychczasowych funkcji, odsunięto od kontaktów z czytelnikami gazety i cofnięto od awansu. Koszyk, w którym sikorki uwiły sobie gniazdo w Wildze, nad naszym oknem, spadł; znaleźliśmy na ścieżce cztery martwe pisklęta.

*

7.VII.

Napisałem wczoraj list do Centkiewiczowej, powiadamiający, że o wylewie, którego Centkiewicz dostał jakoby z mojego powodu, wiedzą inni. Oczywiście, mówiła mi o tym Kamińska, która to wie od Żuławskiego. Centkiewiczowa zaklinała mnie, abym nikomu nie mówił. "Jeżeli pan to powtórzy, ja i tak się dowiem" - powiedziała dosłownie, co zabrzmiało jak jakaś pogróżka.

Głupstwa, a mnie trzeba zaraz stu tysięcy.

*

Przeczytałem Korzona książkę o Kościuszce. Znalazłem w niej niewiarygodną masę zmyśleń i upiększeń, świadczących o zupełnym zaćmieniu umysłów na punkcie naszych bohaterów.

Kościuszko był napewno bardzo uczciwym i miłym człowiekiem, ale rolę odegrał opłakaną we wszystkich zdarzeniach, w których brał udział; najpiękniejszą jego cechą

było rzeczywiście współczucie dla uciśnionych - czy to murzynów amerykańskich, czy to chłopów polskich i białoruskich.

Zresztą poczytajmy jeszcze dalej nie bądźmy pochopni. W szczególności trzeba się zająć organizacją i duchem politycznym insurekcji, o której Korzon pisze miło, całą uwagę poświęcając głównym jej sitwom.

*

Z ordynansu Szczęsnego Potockiego w imieniu Konfederacji Targowickiej (2 lipca 1792):

"wpajać tę prawdę w podkomendnych, że ta potencja (Rosja) jest naturalną, przez pozycję i położenie państw swoich przyjaciółką Rzplitej, że tej potencji i całość i wolność Polski jest miła ... "

*

Herbst:

"Zadaniem Igëlströma było - jak się zdaje - sprowokowanie ruchawki łatwej do stłumienia". (Hist. Polski, t. II cz. 1. str. 313).

"Zmniejszenie stanu wojska do

połowy i przymusowy werbunek zredukowanych żołnierzy do wojsk zaborczych miał uniemożliwić powstanie, albo też sprowokować tylko ruchawkę wojskową - pretekst do ostatecznej likwidacji państwa". (tamże 314).

*

Terror Kilińskiego po 28 czerwca: aresztowanie 947 członków ruchu jakobińskiego, wcielenie do wojska "podejrzanych".

*

Franciszek Paszkowski: "Dzieje Tadeusza Kościuszki Pierwszego Naczelnika Polaków przer. ..., Kraków 1872.

"Obcy nieznajomy i bynajmniej niepolecony młodzian, oświadczywszy tam Waszyngtonowi, iż przybywa w chęci bronienia niepodległości pozostałych Stanów; na wątpliwe i surowe pytanie doświadczonego męża; jakie przynosi zdolności? odpowiada "doświadcz" i tem słowem dla siebie samego [...] zawodu." (str. 16).

*

Podoba mi się ten Paszkowski: o Kołłątaju i Ign. Potockim pisze, iż byli "bardziej uczonymi (...) niż na dzielnych polaków przystawało". (str. 42). Czyżby to były opinie jego znakomitego przyjaciela?

Do antologii:

Z Paszkowskiego:

"Rozmowy Pawła I z Tadeuszem Kościuszko Generałem polskim, w więzieniu w Petersburgu, przez obecnego onym Księcia Moftia Gagarina napisane po francusku.

Rozmowa pierwsza, str. 278-281.

Tamże:

Kościuszko i Napoleon, str 349-357.

Napoleon: - Zrzekłszy się uzasadnionego tronu Francji, nim się z twego sąsiedztwa oddalę, chciałem wiedzieć i pomówić z tym, który w młodości mojej był mi wielbionym wzorem".

Napoleon: "Kiedy wszyscy mnie uwielbiali i prawie u nóg mi leżeli, ubodło mnie, że ten, któregom ja wielbił nie tylko mnie nie wielbił, ale otwarcie ode mnie stronił".

Na zakończenie:

"Gdybym nie był Napoleonem, chciałbym być nim" (tj. Kościuszką).

9.VII.

Mądrość, inteligencja.

Inteligencja według Bergsona:

"Nieokreślona zdolność rozkładania wedle bądź jakiej zasady i składania napowrót w bądź jaki system".

Przeciwieństwo bądź to intuicji, bądź to instynktowi.

12.VII. - wykreślone.

14.VII.

Adam Michnik: Kościół, lewica, dialog.

O Henryku Dembińskim:

Droga H.D. ilustruje nie tylko jego własny dramat, ale także dramat polskiego katolicyzmu i polskiej lewicy. W środowiskach katolickich konsekwentny antyfaszysta i zwolennik strukturalnych reform społecznych, wróg endeckich rycerzy kastetu nie miał czego szukać. Z kolei lewica nie umiała i nie chciała zaakceptować w całym

bogactwie jego złożonej i oryginalnej osobowości. Dembiński mógł stać się lewicowym publicystą jedynie za cenę okaleczenia własnej myśli, za cenę odarcia jej z religijnej wrażliwości i religijnej żarliwości. Dopiero zubożony o tak ważny wymiar swojej osobowości jak wiara w Boga, mógł się stać człowiekiem lewicy. Mógł więc głosić prawdy i wartości Ewangelii, ale nie mógł ich nazywać ewangelicznymi; mógł domagać się sprawiedliwych reform społecznych, ale nie mógł posługiwać się specyficznie chrześcijańską argumentacją za sprawiedliwością w stosunkach międzyludzkich. W ten sposób obóz lewicy wzbogacał się o utalentowanego pisarza politycznego, ale zarazem utracił odrębny a doniosły wymiar myślenia o ludzkiej egzystencji".

*

Napisz felieton o instynktach!

O instynkcie prawdy, sprawiedliwości, wolności, szczęściu, porządku etc.

Za dużo mówimy o przekonaniach.

Za dużo przypisujemy przekonaniom.

W istocie ludzie różnią się od siebie na tyle przekonaniami powstałymi po namyśle, ile stopniem rozwoju instynktów, i naiwnością ocen.

"Bieg po równi pochyłej, który doprowadził ludzi szlachetnych i prawych do zgody na stalinowskie kłamstwo, na przemoc i zbrodnię ... Jednym z istotnych czynników, który wpływał na dokonywane wówczas wybory ideowe był lęk przed klerykalną prawicą ... warunkowany przez określoną wizję polskiego katolicyzmu ....

*

Ks. Stefan Wyszyński: "Świętość ... to umiłowanie prawdy i wolności".

Michnik: "Gdzie był główny wróg postępu i dobra w owym czasie? W kościołach katolickich, czy w komitetach partyjnych i urzędach bezpieczeństwa?" (str. 45)

O atakach rewizjonistów na kościół:

"Wczoraj jeszcze atakujący religię i biskupów, wczoraj jeszcze aktywiści frontu

ideologicznego partii, chwalcy reżimu, gdy był on szczególnie okrutny, a dziś - wciąż nie uznający swej osobistej winy, przerzucający odpowiedzialność na obiektywne warunki i innych ludzi, bijący się w cudze piersi, a jednocześnie - znów w todze moralistów - gromiący nietolerancję, u innych, tych wczoraj prześladowanych" (47).

O ich opozycyjności:

"Skąd ten rygoryzm moralny u ludzi, którzy pisali apologie polityki Bieruta? Czym wytłumaczyć ich niezłomność wobec względnie liberalnej

polityki Gomułki? ... "

To samo pytanie można zadać dzisiejszej opozycji, która koncesje uczynione przez Gierka - a raczej jego taktykę przeczekiwania - wykorzystuje właśnie przeciw niemu; powstaje więc zjawisko paradoksalne: im reżim łagodniejszy, tym opozycja ostrzejsza.

Ale to zjawisko jest paradoksalne tylko z punktu widzenia aparatu władzy. Nie jest takie ani z punktu widzenia społeczeństwa, ani z punktu widzenia historii. Wszystkie rewolucje wybuchały wtedy

dopiero, gdy stare reżimy słabły; pozatem nowość dzisiejszej opozycji polega na tym, że nie jest skierowana przeciwko praktyce politycznej, lecz przeciwko zasadzie. Nie przeciw ekipie, ale przeciw ustrojowi. Dzisiejsza opozycja już wie, że ustrój naprawić się nie da.

*

Z listu biskupów (196?):

"szkodliwy klimat kłamstwa upowszechnionego w naszej Ojczyźnie".

15.VII.

Rozum i instynkty.

Przekonania i instynkty.

[Demokryt] nie posługuje się terminem "rozum" dla oznaczania jakiejś władzy poznającej prawdę, lecz mówi, że dusza jest tym samym, co rozum" (Aryst.)

Empedokles:

Dusza składa się z wszystkich pierwiastków, a każdy z nich jest duszą ... I tak ziemią widzimy ziemię, wodą wodę, eterem boski eter, ogniem niszczycielski ogień, miłością miłość, smutną nienawiścią nienawiść".

Znaczyłoby to, że dusza jest całością bytu, rodzajem matrycy; i że sztuka postrzegania, poznawania i wnioskowania polega na uruchomieniu, ożywieniu odpowiednich władz duszy, i odczytania jej pierwotnego zapisu.

Oczywiście - podobnie Platon: "tylko nam podobnym poznaje się rzecz podobną".

Czy mamy jeszcze instynkty?

*

List do przyjaciela na wakacjach.

Mój drogi, wyjechałeś ma odpoczynek nie zostawiając mi adresu, ani ogólnikowych nawet wiadomości ...

Odpoczynek od czego?

Jeśli zmęczone są twoje nogi i ręce, nie odpoczną, a przeciwnie, teraz dopiero namacham się nimi, uganiając za ... Pod tym względem ja, tu w Warszawie mam nad tobą nieskończoną wyższość.

*

Przyjaciel napisał mi z wakacji, że jest niezadowolony z domu, w którym mieszka, z

sąsiedztwa, z miejscowości, z krajobrazu, z klimatu, z wyżywienia, z towarzystwa; list jest zdawkowy i utrzymany w tonacji stylu tak modnego obecnie czarnego humoru.

Napisałem mu, aby natychmiast stamtąd wyjechał.

Odpowiedział z oburzeniem: jak to "wyjechał"? Czyż nie wiem ile go to dotąd kosztowało i z jakim trudem połączony jest przyjazd i wyjazd? Dobrze mi mówić "wyjedź", kiedy sobie siedzę w Warszawie!

Odpisałem mu więc, aby poświęcił wszystko, sprzedał co

ma i wynajętą furmanką przedostał się do najbliższej stacji.

Napisałem mu jaką udręką przecież jest wspomnienie złych wakacji. A to dlatego, że jest zazwyczaj nieszczęściem, którą sami sobie zazwyczaj ściągamy na głowę, płacąc za nie.

Spowodowałem tym jeszcze większy jego gniew.

Poradziłem mu więc, aby starał się zmniejszyć, o ile możności, skalę otaczających go nieszczęść.

Niechaj zażąda, aby uporządkowano mu mieszkanie i najbliższe otoczenie, niechaj unika

towarzystwa; niechaj porzuci spacery.
- Jak ty sobie to wyobrażasz? - napisał mi. - Chcesz, aby mnie tu wzięto za gbura i odludka? I chcesz, abym mój odpoczynek poświęcił dla użerania się?
- A więc nie kłam, żeś jest nieszczęśliwy - napisałem mu - jeżeli wahasz się poświęcić tak mało dla tak wiela. Nie jesteś ani tak skąpy, ani tak zgodny, ani nawet tak leniwy, aby to wszystko znosić, i za to płacić. Odpowiada ci ten stan pół-udręki, i ten rodzaj nieszczęścia, z którego można drwić. Odpowiada ci to, bowiem stanowi łatwy do opanowania skrót twego losu człowieczego i twej ludzkiej problematyki. Odpowiada ci, jako teoria alegoria rzeczy ostatecznych, i jako przystępna forma roztrząsania swej wolności.

*

Seneka:

"'Aby udziałem twym była prawdziwa wolność, winieneś służyć filozofii." (Epikur). Kto jej się podporządkował i oddał, ten nie doznaje nawet jednodniowej zwłoki, jest wyzwalany

natychmiast. "Bo właśnie służba filozofii jest wolnością. ". Listy I, 8.

*

"Jesteśmy w błędzie oczekując śmierci w przyszłości: w znacznej mierze nastąpiła ona już w przeszłości. Cokolwiek życia mamy poza sobą należy to do śmierci. " (Listy I. 1).

*

Wilga, 18.VII.

Z listów Haliny Mikołajskiej (Zapis 2):

"Każdy ma coś do ocalenia, co go może skłaniać do obojętności i "nie brania udziału". Jeden ma talent, drugi zdolne i ukochane dzieci, jeszcze inny napoczęte dzieło, ale też każdy jest odpowiedzialny za życie prawdy". (Z listu do pewnego księdza).

19.VII.

Z książki Michnika:

" ... Władzy nie chodziło wcale o przywileje kościoła - te były już dawno zlikwidowane,

tylko o sterroryzowanie społeczeństwa, o nasycenie potocznej mentalności ksenofobią, o integrację narodu wokół haseł szowinistycznych". (chodzi o kampanię przeciw listowi biskupów polskich do niemieckich w 1966 r.).

Michnik umie czytać zdarzenia w kategoriach historii narodowej, a ta ostatnia nie jest dla niego grą polityczną tylko, lecz realizacją celów niewidzialnych: prawdy, sprawiedliwości, bogactwa duchowego. Michnik jest politykiem, ale i humanistą.

Krytyka postawy "laickiej lewicy" w 1966 roku wobec kampanii antykościelnej i "rehabilitacja" Kościoła za jego stanowisko wobec pogromu w 1968.

*

Co to jest "teologia polityczna" J.B. Metza?

*

Z kazania Prymasa (marzec 1968):

"W każdym społeczeństwie są

ludzie, który mają obowiązek mówić prawdę. Są do niej przygotowani przez wiedzę, studia, doświadczenie, znajomość życia. Oni muszą mówić prawdę! To jest obowiązek moralny i społeczny! Jeśli oni będą milczeć, do głosu dojdzie tania demagogia i będzie zatruwać społeczeństwo ... Ktoś musi mówić prawdę ...

Z listu Episkopatu (1.8.1969):

"Człowiek ma prawo do prawdy. Poszukiwanie i głoszenie prawdy jest środkiem obrony przed poddaniem człowieka w niewolę ... Musimy zdobyć się na odwagę i wystąpić w obronie

prawdy, jeśli chcemy zachować własną godnność. Pisarze, publicyści, ludzie pióra, apelujemy do was: piszcie prawdę, brońcie prawdy we wszystkich dziedzinach życia i nauki. Dajcie w ten sposób dowód miłości bliźniego".

*

Michnik:

"Wiara w boskość Chrystusa jest wynikiem Łaski i jako taka dana jest tylko niektórym, ale wiara w nienaruszalność Chrystusowych przykazań jest

powinnością każdego człowieka, bo jest jedynym światłem ocalającym ludzką wolność i godność przed przemocą i spodleniem, przed nihilizmem i piekłem samotności". (91).

*

O konieczności rewizji światopoglądu lewicy: musi ona (owa rewizja) dotknąć samych korzeni tego pełnego pychy przekonania, że - w istocie rzeczy - my znamy prawdziwą drogę postępu i rozumu ...

... Ani my, ani nikt w świecie

nie wie jakimi drogami potoczy się historia, natomiast my właśnie - bardziej niż ktokolwiek inny - powinniśmy rozumieć, iż taka pseudowiedza miewa zbrodnicze konsekwencje ... "

Jest to więc próba sprowadzenia myśli lewicowej z drogi ... wolnotematycznej (?) na krytyczną.

*

I dalej:

"Równie złowrogie konsekwencje kryje w sobie zadufane przekonanie o

nieistnieniu porządku nadprzyrodzonego ... Zachowajmy na tej drodze pełnej poszukiwań, upadków i wzlotów, szacunek dla tych, którzy wierzą, iż został im objawiony jakiś ład ponadludzki ... Szanując cudzą wiarę, będziemy mogli domagać się szacunku dla naszej niewiary. ".

*

Zasadnicza zmiana i co wobec tego zrobi Kościół:

"Powoli krystalizuje się opozycja, która wyznając tradycyjne wartości lewicy

odrzuca jednoznacznie ... polityczny ateizm".

... "W tej sytuacji ludzie Kościoła katolickiego będą musieli zadeklarować, czy - w porządku doczesnym - posłannictwem Kościoła ma być obrona Kościoła, czy obrona człowieka? ... Czy (kościół katolicki) pragnie pełnić swą misję apostolską w warunkach rozdziału Kościoła od państwa, czy też chce wespół z władzą państwową sprawować rządy nad narodem? ... Czy chce matkować politycznym partiom wyznaniowym czy też - rozdzielając "boskie od

cesarskiego" - ograniczy się w przedmiocie polityki do wskazań równie ogólnych, jak te zawarte np. w encyklice Pawła VI? (98).

*

Religia bez przymusu istnieć nie może. W krajach katolickich i prawosławnych istniał przymus państwowy wykonywany przez szkołę, urzędy, wojsko, cenzurą, i podkreślony państwowym rytuałem. W krajach protestanckich, istniał przymus obyczajowy, utrzymywany przez rodzinę i środowisko społeczne.

Ten pierwszy zniknął we wszystkich krajach katolickich, poza komunistycznymi, gdzie się utrzymał w formie oporu przeciw prymatowi ateistycznemu. W krajach protestanckich utrzymuje się nadal, choć nieco osłabiony. Co by się stało w krajach katolickich takich jak Polska Węgry, gdyby ustąpili z nich komuniści? Kościół wedle zapewnień nowej opozycji ostałby się jaka bardzo szanowna instytucja; nie wątpię w to. Ostałby się pod warunkiem apolityczności (tego domaga się Michnik): co stałoby się natomiast

z religią, której nie zagwarantuje ani władza państwowa, ani obyczaj?

Sądzę, że religia nie jest sprawą wyboru wolnego; jest dziedzictwem, dla którego przekazania muszą istnieć obyczajowe i ustrojowe warunki.

Indyferentna tolerancja, jaką Michnik proponuje nie jest może wyrokiem śmierci dla Kościoła, który nawet bez wyznawców, mocą tradycji, nawyku, w majestacie historii i liturgii trwać może wieki całe, jak trwa angielska monarchia, albo powaga Dalaj Lamy; jest natomiast

wyrokiem śmierci dla religii.

*

Stanowczo powinienem przestudiować sprawę religii w USA, które wydają mi się krajem wzorcowym dla przyszłości także i pod tym względem! I napisać o tym artykuł, lub nawet książkę!

*

Ciekawe, że kwestia religijna, zjawiła się nagle w centrum wszystkich rozumowań politycznych.

*

Przeczytaj ks. Żywczyńskiego?

Przecz. J.S. Milla "O wolności".

Michnik o "rozszczepieniu kultury narodowej: "osobliwymi drogami podążał Polak-radykał wyposażony w idee praw człowieka i etykę laicką, a innymi szedł Polak-katolik świadomy swych obowiązków wobec Boga i Ojczyzny.

... Dochodził do dramatycznych konfliktów ...

Laicką lewicę zbliżył do Kościoła i chrześcijaństwa dopiero komunistyczny totalitaryzm i świadomość zagrożenia wspólnych wartości. " (109).

*

... "Spotkanie lewicy laickiej z chrześcijaństwem, z Kościołem ... jest wielką szansą dla polskiej kultury. Stwarza nadzieje na stanowcze przełamanie gettowości naszego życia umysłowego, na likwidację sztywnego podziału na dwa obozy: katolicki i laicki oraz na zastąpienie go pluralistyczną

jednością naszej kultury ... Katolicy pozostaną katolikami, laicy laikami" ....

*

"Ludzie Kościoła muszą zdecydować się ... czy ich celem jest dążenie do zastąpienia oficjalnie głoszonej totalitarnej i integralnej koncepcji kultury "socjalistycznej" również integralną doktryną "kultury katolickiej", "czy też [...] po prostu warunków, w których byłby możliwy swobodny rozwój całej kultury narodowej".

Dalej pisze, że opóźnienie "kultury katolickiej" jest arbitralne. Kultura jest jednością ... Takiej właśnie kultury - pluralistycznej, lecz pojmowanej jako jedność - musimy bronić ... my, ludzie lewicy laickiej, zupełnie niezależnie od tego, jaką linię postępowania wybierze Kościół ... Każda konfiskata książki o treści np. religijnej powinna być traktowana jak konfiskata własnej książki; każdą represję polityczną musimy traktować jako represję godzącą w nas samych; każdego prześladowanego, musimy bronić

jak najbliższego towarzysza. Tylko wtedy dochowamy wierności własnym ideałom".

*

Sowietyzacja i dwa nurty oporu: nurt Kontynuacji i nurt kontestacji.

*

"Brak wolności sumienia i wyznania jest fragmentem i pochodną braku wolności obywatelskich. " (136).

"Dlatego jedyną drogą do

likwidacji konfliktów i napięć wyznaniowych jest walka o prawa człowieka; nie jest taką drogą natomiast dążenie do ugody Kościoła z antynarodowym i totalitarnym reżimem. " (126).

*

"W języku rządzących Komunistów nie istnieje pojęcie kompromisu. Każde ustępstwo partnera traktowane jest jako okazja do kolejnej eskalacji ucisków i coraz dalej idących żądań "... Jedyną skuteczną metodą postępowania z

rządzącymi Komunistami jest twardy opór i nieustępliwa obrona własnych zasad" ... (139).

*

Acha!:

"Z punktu widzenia humanistycznych wartości wyznawanych przez ludzi lewicy laickiej indyferentyzacja religijna jest zjawiskiem obojętnym.

Może sprzyjać upowszechnieniu postaw humanistycznych i tolerancyjnych, lecz równie dobrze może wyzwalać postawy totalitarne. A

przecież właśnie praktyczne postawy są istotne, nie zaś ich światopoglądowe inspiracje. Indyferentyzm religijny żadnej postawy praktycznej nie determinuje". Dlatego niewiara nie jest żadną wartością dla nikogo poza fanatycznym ateistą. Jest faktem egzystencjalnym, którego społeczne skutki mogą być rozmaite" ... Podobnie jest z religijnością ... Z punktu widzenia lewicy laickiej sam akt wiary w Boga osobowego jest równie obojętnym jak akt niewiary. Anty-wartością są jedynie określone formy religijności; te które wiodą

do fanatyzmu i nietolerancji"

Chociaż wiara niezawsze prowadzi do dobra, to prześladowanie wiary zawsze wiedzie ku złu. Kiedy przemocą niszczy się religię, wtedy z pewnością użyje się tej przemocy do tępienia wszystkich inaczej myślących. Swoboda wyznawania Boga jest najbardziej widzialnym znakiem rzeczywistego funkcjonowania praw obywatelskich. Zamach władzy państwowej na tę swobodę jest zawsze symptomem totalizacji życia umysłowego. Od tej reguły nie ma wyjątku, albowiem władza totalitarna nie może zaakceptować deklaracji Piotra i Apostołów o tym, że trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi.

W języku lewicy laickiej oznacza to, że człowiek posiada z tytułu swego człowieczeństwa prawa, których żadnej władzy nie wolno unieważniać. Oto powody, dla których ludziom lewicy laickiej winno zależeć na obronie praw religii". (140) ... "Rzeczywistym wrogiem lewicy laickiej nie jest Kościół, lecz totalitaryzm, zaś centralnym problemem jest konflikt pomiędzy totalitarną władzą, a całym

wyzutym z praw, polskim społeczeństwem. Kościół odgrywa w tej walce z totalitaryzmem rolę, której niepodobna przecenić. ".

*

Podziały na lewicę i prawicę. "Centralnym elementem myśli lewicowej w totalitarnym państwie musi być antytotalitaryzm. W tym sensie nieaktualne są stare podziały uformowane w warunkach demokracji mieszczańskiej. W odmiennej po 1945 roku sytuacji politycznej walka o idee lewicowe

jest przede wszystkim walką o wolność i prawa człowieka. " (145)

Jako socjalista jestem przeciwnikiem kapitalizmu. Ale jako socjalista uważam za największy koszmar naszych czasów, za największego wroga postępu, demokracji i socjalizmu nie system kapitalistyczny bynajmniej, lecz reżimy totalitarne. Wszystkie: kapitalistyczne i komunistyczne, Chile i ZSRR, Chiny i wszystkie kraje, gdzie deptane są elementarne ludzkie prawa ... Kiedy mówię "dialog" z

chrześcijaństwem to nie mam na myśli intelektualnej szermierki czy taktycznej rozgrywki o władzę - idzie mi o elementarz ludzkich wartości. " (144).

*

"Cień mausrasizmu unosi się nad polskim życiem umysłowym. " (155).

*

Wprowadza potem korektę swej idei rozdziału Kościoła od Państwa, przyznaje, że stanowiło

by to odcięcie Kościoła od świata, a w konsekwencji jego sowietyzację. "Obie strony muszą zaakceptować pluralizm jako trwały składnik polskiej rzeczywistości. " (156)

"Myśl lewicowa musi być otwarta na wszystkie idee niepodległościowe i antytotalitarne. " (164)

"W środowiskach polskiej inteligencji częsta jest narzekanina na ograniczenie swobód, na brak wolności, na cenzurę. Najdalszy jestem od lekceważenia tych składników naszej sytuacji, ale za kształt polskiego życia

umysłowego i moralnego, nie tylko władza ponosi odpowiedzialność. Ponosimy tę odpowiedzialność wszyscy. Władza może ramy wolnej wypowiedzi poszerzać lub zawężać, ale władza nie może nas uczynić ludźmi wolnymi. Nasza wolność zaczyna się od nas samych, a nie od władzy ... "

"Obawiam się, że jutro będzie za późno. Płonącego domu niepodobna będzie ugasić atramentem: pozostanie popiół czczych idei. " (167).

*

"Zazdroszczę wszystkim chrześcijanom tej ufności i tego spokoju. Moja ufność i mój spokój nie mają tak głębokiego zakorzenienia, nie mają sankcji nadprzyrodzonej. Mają jednak sankcję, którą skłonny jestem uznawać za absolutną ... podstawę kanon wartości kultury europejskiej w jej szczególnym, polskim wcieleniu. Jest to więc sankcja ludzka i ponadludzka zarazem. Ludzka, gdyż kanon stworzyli ludzie, ale ponadludzka, gdyż zniesienie tego kanonu będzie unicestwieniem tych

wszystkich treści człowieczej egzystencji dla których warto żyć i cierpieć. " (168).

*

Wilga, 21. VII.

Musset: Le confession d'un enfant d'un siecle.

Musset 17-letni napisał do przyjaciela:

"Je voudreis etre Shakespeare on Shiller; je ne fais done rien".

*

Przeczytaj i ew. przetłumacz "Obermanne Senancoura!

*

Musset: str. 25 - charakterystyka generacji romantycznej, jakże różna od pojęcia romantyzmu i obrazu tego samego pokolenia we wschodniej Europie oraz w Niemczech! Jest to różnica taka, jaka między radzieckimi czy polskimi dysydentami, a kontestatorami na zachodzie.

Warszawa, 28.VII.

Ślub Jędrka.

Pusto w domu.

To jest jednak inna nieobecność, niż np. wyjazd na wakacje.

*

Wizyta Adama.

Wciąż ten sam problem: działalność antyreżimowa, otwarta, połączona z wyczekiwaniem na łaskawość, quasi-tolerancję, czy po prostu inercję władz.

Adam nazywa to presją. Ja to

nazywam hipokryzją i twierdzę, że pomimo wszystko jest to działalność wpisana w reżim. Logiczniejsze wydaje mi się działanie konspiracyjne zmierzające do zbudowania paralelnego państwa.

To co robią Adam, Kuroń i inni, jest napewno bardziej efektowne, ale też niesłychanie kruche. Opiera się wyłącznie na ludziach, którzy nie mają już nic do stracenia, albo takich, którym straty, jakie im może zadać reżim, już w niczym nie grożą. Szeroka konspiracja może natomiast zaciekawić i wciągnąć naprawdę

rzesze ludzi z różnych środowisk.

*

Sytuacja ogólna:

Dlaczego ich wypuszczono?

Rumunia także wypuściła swoich więźniów politycznych.

Chwilami wszystko mi się to wydaje polską drogą do rumunizacji. Ideałem Gierka jest państwo politycznie zabezpieczone od rosyjskiej interwencji, a gospodarczo na tyle swobodne, aby mogło utrzymać dotychczasową strukturę - centralizmu państwowego

złagodzonego przez indywidualne rolnictwo, prywatne rzemiosło i handel.

29.VII.

As I know. (Na czerwono)

31.VII.

Kościół, lewica, dialog.

Transformations:

Clapton, Marx etc.

Czytaj więc: Jean Revel (?) Eutre [...] et Marx ... (?). Sprawdzić w czytelni amerykańskiej.

Wizje.
Nadzieje.
Światła.
Przekonania.
Wiara.
Co to jest wiara.
Przyszłość wiary.
Wierzyć w siebie.
Wierzyć w innych.

Wiara w przyszłość, to wiara w innych.

Wiara w siebie - w swoje siły czy w swoje szczęście.

Innymi słowy: wierzę w to, że świat będzie lepszy, czy w to, że ja sam będę szczęśliwy, czy w to, że potrafię przyczynić się do

szczęścia drugich, czy w to, że szczęście w ogóle jest możliwe.

Aspekty wiary: przyrodzony i nadprzyrodzony. Dwa konieczne wymiary wiary. To nieprawda, że można wierzyć np. w zbawienie wieczne, a nie wierzyć w ład doczesny. Zbawienie wieczne, zaczyna się już teraz. Wieczność jest żywiołem, który rozpościera się od progu chwili obecnej. Wieczność już trwa. Nie ma podziału na stan aktywności i nieaktywności, na życie i emeryturę (czy odsiadkę). Tyle, że [stanu] przyszłej aktywności nie znamy.

Jeśli jesteśmy stworzeni dla wieczności, zaczęła się ona dla nas z otwarciem oraz z poczęciem nas w łonie matki. I trwa. I wszystko, co się dzieje, wszystko co decyduje i robimy ma nieskończoną perspektywę i będzie nam się przypominać w nieskończoność, w jakimś niepojętym położeniu - podobnie jak nas dziś życie nasze ogranicza i naszą psychikę "wspominamy"naszą prywatną i gatunkową ewolucję.

31.VII.

Opowiadanie pt. "Wszystkie siedem barw tęczy".

- Słuchajcie, chłopcy - powiedział pan ... Ach, żebym tak mógł przypomnieć jego nazwisko! Było nie tylko zabawne, nie tylko charakterystyczne, nie tylko nadawało się świetnie do obscenicznych przekręceń, ale, przypominało ... przypomniałoby dziś kogoś, kto wsławił się nieporównanie bardziej od Profesora; i odegrał również, później, niemałą rolę w moim życiu.

- Słuchajcie, chłopcy ... jakże on to pięknie powiedział!

Profesor zakłada spółdzielnię.
Handlówka.
Ideologia handlówki.
Wierność.
Nostalgia.
Sukiennik.
Motyl.
Gawlik - my okupacyjne przeżytki.
Zembaty - gotów do życia.
Przyjaźń z Profesorem - spacery z nim.
Mój pomysł kółka literackiego.
Jak się o tym Profesor dowiedział?
Zebranie kółka. Zniechęcenie.

Zniechęcone sprawozdanie.
Profesor jakgdyby obrażony.
Postanawiam go przeprosić.
Dochodzenie.
Sąd.
Prześladowanie.
Fałszerstwo.
Fałszywe kroki.
Upokorzenie.
Nauka upokorzenia.
Wróg.
Nie zdziwiłbym się, gdybym go jeszcze kiedy spotkał ...
Nienawiść.

Wilga, 4.VIII.

Nowa sytuacja.

Jędrek już jest poza nami. Wyjechał teraz z żoną do Bułgarii.

Ale wróci już nie do nas.

Coś się skończyło, coś się zamknęło.

Dlatego wyrysowałem w notesie i w kalendarzu czerwoną kreską.

Jestem teraz "pod kreską". W buchalterii i planowaniu to coś znaczy; nie wiem dokładnie co, wiem jakie znaczenie ja owej kresce nadałem: otwiera ona dla mnie działalność jakgdyby w nowym wymiarze - w wymiarze ostatecznym, w wymiarze jakby natężonej uwagi.

Ta kreska oznacza dla mnie także bilans. A jest on dość mizerny - Ciągle wierzę w pana - powiedział mi podchmielony Kisiel, którego spotkałem przedwczoraj na rogu Wiejskiej i Prusa. Powiedział mi zatem zupełnie to samo, co mówię sam sobie, mając do tego akurat takie same podstawy, jakie mam ja sam.

Mam więc wciąż tzw. kredyt zaufania u innych i sporo własnej wiary w siebie - i nic pozatem. Z rzeczy napisanych przeze mnie dotychczas Adam M. obiecał mi złożyć książkę. Oznacza to, że

wszystko co napisałem dotąd wypełni mi tom ok. 300 stron. Reszta (powieści, "poematy", scenariusze) będzie miała tylko uboczne znaczenie. Moje 50-lecie uczczę taką właśnie książką. Pozostaje mi 10-15 jeszcze względnie dobrych lat w ciągu których rozstrzygnąć trzeba wszystko. Zarobić na status "wspaniałego starca", dobre zejście, przyzwoite miejsce w historii literatury, no i spokój w "pamięci wiecznej", jak określam życie pozagrobowe.

[Nb.: a co jeśli każda cząsteczka składająca się na mój organizm jest fragmentem programu, który wypełniałem i obarczona jest fragmentem mojej pamięci, i co jeśli ten program i tę pamięć ja, jako swoista całość, przekazuję, rozkładając się, innym całościom? Jest to jedyny sposób mego trwania w wieczności, czy też istnieć będę nadal jako pamięć o mojej, swoistej, osobowej całości i nadal będę wypełniał mój swoisty program, czy też celem moim ostatecznym jest właśnie uczestniczyć w programie całości wyższej niż ja? The sound seems to be truth!]

Tylko że "pod kreską" nie

wypada mi już snuć takich rozważań.

Powinienem być mądry.

Co to znaczy "mądry"?

Wiem kogo nazywano "głupim". Tego kto:

1) ma inne zdanie niż ja a nie potrafi mnie przekonać; jeszcze, że nie nazwę głupim tego, kto ma to samo zdanie co ja, choćby tego nie umiał uzasadnić, tego oczywiście nazwę człowiekiem nędznym ...

...

Oto przykład myśli nie autentycznej. Nie myślę "o mądrość", i do niczego mi niepotrzebna wiadomość kogo nazywam nędznym, a kogo głupim. Przyszło mi to do głowy w związku z projektowanym felietonem. Myślę o felietonach, dla felietonów, felietonami. Powinienem to rzucić, albo zrobić z nich trwałą polemikę - jak Kisiel - tyle, że o książkach, ludziach, sprawach.

Musiałbym wszakże na to czytać owe książki, interesować się i rozmawiać z ludźmi, interesować się sprawami.

Nie byłoby to złe. Zyskałbym na tych lekturach, a zarazem zdobyłbym czas i energię, i luz

stylistyczny do pisania innych rzeczy.

*

Artykuł Marca Oraisona w Le Monde.

Jeden z serii - fragment przedwyborczej dyskusji, która tam się zaczęła, a której głównym tematem będzie - jak się zdaje - redefinicja starych pojęć - lewica - prawica.

Oraison podjął próbę redefinicji chrześcijaństwa wobec zadań społecznych. Chrześcijaństwa jako ideologii

politycznej. Jak można być katolikiem i ...

Chodzi mu głównie o dwojakie zaangażowanie katolików: w ruch integrystów, tradycjonalistów w rodzaj Lefebre'a, oraz po stronie lewicy.

Daje przy tym taką oto definicję wiary:

"Wierzyć w Chrystusa, przyjąć Ewangelię jako zasadnicze źródło myśli i życia ... polega na uznaniu stan nas ... tzn. śmierci jako wartości centralnej, oraz tej oczywistości najwyższej maskowanej, albo nienazwanej, że w następstwie czasu nie da się

spełnić ludzkich aspiracji do sprawidliwości i miłości. "

Jest to nonsens. Żaden człowiek nie przyjmie szczerze za fakt oczywisty, że śmierć jest kwestią centralną jego życia i nie podejmie najmniejszego wysiłku moralnego czy fizycznego w przekonaniu, że jego aspiracje do sprawiedliwości i miłości, są mrzonką. Na takie dictum chrześcijańskie wszelki człowiek obdarzony autentycznym umysłem opuszcza szeregi chrześcijan i wstępuje pod inne sztandary. Zdawało mi się, że ten sposób myślenia, dość rozpowszechniony

w epoce ostrej konfrontacji doktryn chrześcijańskich z liberalizmem, progresizmem z pozytywizmem, zniknął już zupełnie. Pojawienie się takiej argumentacji dziś we Francji, gdy między chrześcijaństwem a lewicą demokratyczną wydaje się tworzyć nowy konsensus, napawa mnie prawdziwym zdumieniem.

To postawa jest dosłownie nie do pogodzenia z wszelkim systemem filozoficznym, albo politycznym, który uznaje się za wyczerpujący, uniwersalny, definitywny, zdolny wyjaśnić wszystko i rozwiązać w czasie

niepokój człowieczy".

Tak rozumiana wiara byłaby więc nie do pogodzenia z samym katolicyzmem, który uważa się za wyczerpujący, uniwersalny, definitywny, zdolny wyjaśnić wszystko i rozwiązać w czasie niepokój człowieczy dotyczący zbawienia własnego. Na to zbawienie katolik zarabia w czasie swoim czynem, swoim działaniem na rzecz urzeczywistnienia tu na ziemi ludzkich aspiracji do sprawiedliwości i miłości.

Ale Oraison zastrzega się.

Chodzi o ideologie, w aktualnym rozumieniu tego słowa,

które oddzielają jeden aspekt problematyki ludzkiej, czynią z niego jedyny punkt odniesienia, pomniejszając, albo usuwając inne aspekty i nie uznając zupełnie centralnej sprawy ludzkiej, która jest niezrozumiała i nierozwiązalna".

A więc np. wiara chrześcijańska byłaby nie do pogodzenia z ideologią, która np. walkę z głodem, albo z zatruciem środowiska, albo z dyskryminacją jakąkolwiek wysuwałaby na czoło problematyki ludzkiej pomniejszając centralny problem śmierci i tragicznego losu

ludzkiego na tym świecie?

Tragiczność ta streszcza się wg. M. Oraisona w tym, że "los ludzki może dokonać się tylko w sprawiedliwości i miłości, ale ... to dokonanie się jest niemożliwe w czasie" ... Niepojęte i nierozsądne są u podstawy myśli i wiary.

Nonsens!

Wiara, jak mi się zdaje, ma 2 aspekty: przyrodzony i nadprzyrodzony, a ani bez jednego, ani bez drugiego obyć się nie może. Są to dwa wymiary wszelkiej wiary. To nieprawda, że można wierzyć w ład nadprzyrodzony, a nie wierzyć w

przyrodzony, W nadprzyrodzoną miłość, a w przyrodzoną nie, w nadprzyrodzoną, ponadczasową sprawiedliwość, a w przyrodzoną nie. Zbawienie wieczne zaczyna się w każdej chwili. Wieczność jest żywiołem i potępieniem wiecznym, który ... przekraczając próg chwili obecnej. Wieczność już trwa. Jesteśmy dla niej stworzeni, dla niej poczęci. Wszystko co się dzieje, wszystko o czym decydujemy i co robimy, będzie trwać w nieskończoność, w nas, razem z nami, którzy istnieć będziemy jako fragmenty wielkiego programu nadziei i

fragmenty zbiorowej pamięci ... Wiara jest psychologicznym aspektem transcedencji. I jest niepodzielna. Wierzę w siebie, że istnieję. Wierzę w innych, że istnieją. Wierzę w mój związek z nimi. Wierzę w moją powinność wobec innych, Wierzę w przyszłość. Wierzę w trud, w zmiany, w dokonania, w powodzenie, w poprawę, w postęp, a że cała moja wiara odnosi się do nas niesprawdzonych, nie ma granic, i rozciąga się dalej, dalej poza moje istnienie, poza mój horyzont, poza glob ziemski. Powtarzam: wiara

nie jest poznaniem, ani zdolnością, ani darem, ani opinią, lecz psychologią transcedencji ... Jeśli mówimy, że moje istnienie ma sens dla chwili następnej wierzymy zawsze że ma sens dla wieczności; jeśli wierzę, że ma sens dla drugiego człowieka już wierzę, że ma sens dla Boga, gdyż takie imię daję owej całości, o której sądzą, że ma program i pamięć. Myślę więc, że nie można wierzyć w Boga, nie wierząc w spełnienie, miłość i sprawiedliwość tu, na ziemi, i na odwrót: nie można wierzyć w spełnienie miłości i w spełnienie

wieczności, tu na ziemi, i nie wierzyć w to, że spełnienie to ma perspektywę nieskończoną.

Pewien młody marksista powiedział mi niedawno:

"Zazdroszczę wszystkim chrześcijanom ufności i spokoju. Moja ufność i mój spokój nie mają tak głębokiego zakorzenienia, nie mają sankcji nadprzyrodzonej. Mają jednak sankcję, którą skłonny jestem za absolutną - dodał po namyśle - podstawowy kanon kultury europejskiej w jej - myślowym punkcie wcielenia. Jest to więc sankcja ludzka i ponadludzka zarówno - wyznał jakby sam zdziwiony tokiem swojego rozumowania - ludzka, gdyż ten kanon stworzyli ludzie, ale ponadludzka, gdyż zniknięcie tego kanonu będzie unicestwieniem tych wszystkich treści człowieczej egzystencji, dla których warto żyć i cierpieć".

Artykuł ks. Oraisona nosi tytuł "Le scandal de la foi" - "Zgorszenie z wiary". Rzeczywiście zgorszenie, bo to przyjmowanie wiary, które proponuje jest nie z tego świata.

Wilga, 5.VIII.

Czytając Conrada:

retoryka! Ale retoryka jest napędem wyobraźni. Jak opowiadać nie upajając się własnymi słowami?

Co do mnie, porzucam każdą opowieść znudzony szczerością, przeciętnością, potwornością jej stylu, w którego układaniu, wymyślaniu, nie znajduję po prostu żadnej przyjemności. Pisanie, jeśli ma być przyjemnością, musi być stylem. W dzisiejszej literaturze polskiej nikt nie ma stylu.. Gombrowicz był ostatni, który miał styl. Andrzejewski ma styl zmyślony. Iwaszkiewicz nie ma go zupełnie. Nie miała go Dąbrowska i tą swoją bezstylowością - jako rodzajem cnoty - zaraziła całą literaturę. Styl niewidoczny, czy przeźroczysty - nie pamiętam już kto to napisał o niej - jest w końcu tym, czym jest: rzeczą, której się nie doznaje.

Opowieść poczyna się ze stylu, nie styl z opowieści.

Styl został zabity narracją w pierwszej osobie; podejmując opowieść w pierwszej osobie, udajesz prostotę, bezpośredniość; udajesz prawdę, która z ozdobą stylu pogodzić się nie da; chyba że

będzie to styl liryczny.

Styl epicki rodzi się z systemu opowiadającego, z jego stopnia wiedzy o przedmiocie. Najczęściej maskuje luki w tej wiedzy, która musi być niezupełna, aby stała się sztuką.

Gdy opowiadam rzecz najdokładniej sobie znaną, nieuchronnie wpadam w szarzyznę. Opowiedz rzecz, o której nie masz zielonego pojęcia, a która cię fascynuje - czym? Tym właśnie, żeś jej - nie przeżył, nie zaznał i już nigdy nie zaznasz. Przeżyj w pisaniu to, czego nie przeżyjesz. A odnjdziesz styl i

upodobanie do snucia twej historii.

Przeżyj przygodę, szaloną miłość, władzę, wojnę, polowanie, podróż, bogactwo, opowiedz o tym - a okoliczności - tło, czas, realia, czyli to wszystko, czego opisywanie pochłania ci całą energię, wyczerpuje i nudzi, stanie się czymś drugorzędnym, pobocznym szczegółem, który zrodzi się sam, dla uzupełnienia, zdania; rzeczywistość rodzi się, gdy potrzebował będziesz dopełnień i przydawek dla upiększenia twych zdań. Dla stylu. Opowieść winna być dla stylu, nie

styl dla opowieści.

7.VIII.

Pod kreską:

jednak ręcznie! Powoli i starannie. Naucz się na pamięć przedmowy do "Murzyna".

Wilga, 8.VIII.

Zajrzałem do środka i nic nie znalazłem.

Kiszki, kości, krew.

Sny: wczoraj jakieś malownicze manifestacje w Krakowie w związku ze śmiercią

Pyjasa, dziś spiski z Adasiem Michnikiem, z którym miałem ważne spotkanie pod pomnikiem Jagiełły w Krakowie. Aby mu wyznaczyć miejsce tak, aby nikt nas nie podsłuchał, pokazałem mu mimicznie wszystkie figury pomnika.

Śnił mi się Jędrek, proszący o pożyczenie pieniędzy na sprawunki, które mu Ania wypisała na długiej, wąskiej karteczce.

*

Dla ZN:

rachunek naszych słabości.

Na co liczymy?

Na to, że pewnego dnia niewiadomego roku, zostaniemy sami, bez gwaranta naszych granic i naszego ustroju, i że wówczas będziemy musieli na nowo, w oparciu o własne siły, rozwiązać dyplomację, która nam zapewni trwałe i bezpieczne granice, zbudować ustrój, który nam zapewni rozwój i porządek, stworzyć gospodarkę, która zapewni nam potrzeby, zadowoli aspiracje. stworzy podwaliny przyszłości.

Czy to się stanie w wyniku wojny, przewrotu wewnętrznego, czy też w drodze ewolucji i rozkładu imperium, do którego należymy, czy to się stanie rychło, czy w dalekiej przyszłości nie wiemy. Jakie siły wtedy dojdą do głosu wewnątrz kraju, jakie siły zewnętrzne zechcą mu pomóc, a jakie sprzysięgną się przeciw niemu, również nie wiemy, Teraz chcemy odpowiedzieć tylko tym, tym z pośród naszych nieprzyjaciół, tym z pośród owych przyjaciół, i tym nawet z pośród nas samych, którzy na taką możliwość, na taką ewentualność, pytają sceptycznie: - A czyście wy

zdolni do tego, aby sami rządzić się, gospodarować, obronić się?

I przypominają:

Polska upadła w XVIII wieku na skutek zupełnej niezdolności do stwarzania jednolitego, zcentralizowanego państwa zapewniającego harmonijny rozwój wszystkich gałęzi gospodarki, dobrobyt wszystkim warstwom społecznym, równouprawnienie wszystkim narodowościom i wyznaniom jakie wchodziły w jego skład; upadły wszystkie kolejne powstania narodowe nie tylko dlatego, że sił dość nie miały, ani

że nie otrzymały z zewnątrz poparcia, ale dlatego także, iż brakło im dowódców, polityków, iż zapału wystarczyło na parę dni, a w ślad za pierwszym jego wybuchem nie następowała ogólna mobilizacja energii, sił i majątku. Polskie życie pod zaborami i na emigracji było pełne swarów i intryg; rzecznicy polskiej sprawy praw, obyczaju, opinii, zniechęceni jej szowinizmem, pychą, lub małostkowością, od której nie umieli się powstrzymać nawet w najbardziej kryzysowaych momentach. II Rzeczpospolita -

powiadają krytycy owych sił - była gorszącym widowiskiem, które - gdyby nie wybuch II wojny - skończyłoby się pewnie jakąś nędzną dyktaturą, jakąś parodią faszyzmu. Oczywiście, rządy komunistyczne i dominacja Sowiecka to na dłuższą metę nieszczęście, ale gdyby nie to, że władzę wtedy w kraju przyjął zorganizowany aparat posiadający silne oparcie w obcej sile zbrojnej i policyjnej, oraz głęboko zakorzenionej agenturze, nie byłażby Polska widownią krwawej lub bezkrwawej rozprawy politycznej, która potrwałaby może długie lata, przynosząc krajowi nowe straty i nieszczęścia? Krótko mówiąc: zasłużyliście na to, aby być satelitą ZSRR - powiadają nam wrogowie; niestety - dodają przyjaciele. I przyznaje to wielu z pośród nas, wątpiąc zarazem, abyśmy kiedykolwiek zdołali "wybić się na niepodległość", i aby to było pożądane.

Ale większość Polaków w kraju i na emigracji sądzi, że wystarczy aby nam odjęto kuratelę moskiewską, wystarczy aby mityczne czołgi z nad granicy wschodniej i zachodniej przestały

strzec "kierowniczej roli PZPR", aby fikcyjna władza rozleciała się jak produkt szybkościowej tandety, a "naród"podjął bieg swych świetnych dziejów, niczym zepchnięty z mielizny, a nienaruszony statek.

Jesteśmy po stronie tych, którzy uważają, że Polsce tak samo jak Czechosłowacji, Węgrom, Bułgarii, Litwie, Łotwie, Estonii, Ukrainie, Gruzji, Armenii należy się nieodległość, że Polska, jest tworem historycznie i geograficznie uzasadnionym, że ma pamięć wolności i wyobraźnię wolności, że tylko w warunkach

wolnego wyboru ustroju, sojuszy i wspólnot naród polski będzie pełnowartościowym uczestnikiem procesu dziejowego. Jesteśmy tego pewni i wszystko co robimy, myślimy, w tym kierunku zmierza. Dlatego też musimy zadać sobie pytanie: jakie przeszkody wewnętrzne, z naszych wad i błędnych przekonań wynikające, powstaną gdy przyjdzie ten dzień ... Przeszkód politycznych, wojskowych, gospodarczych, przewidzieć dziś nie zdołamy; jeszcze się nie odwróciła karta historyczna, na której wypisane jest nam wyzwolenie i nie wiemy

jakie jemu będą towarzyszyć zdarzenia. Wiemy wszakże, że ci, którzy tego momentu doczekają, czy to będą synowie nasi, czy wnukowie, będą Polakami, a co to znaczy w rachunku dobra i w rachunku zła, już dobrze wiemy.

Sporządźmy dziś rachunek naszych słabości.

*

Pierwsze co nam wtedy stanie się zawadą, będzie to, o czym już mówiłem: zakłócone poczucie własnej siły i własnego znaczenia.

Polska utraciła niepodległość

jako mocarstwo i przez cały czas niewoli Polacy myśleli o odzyskaniu wraz z niepodległością dawnej wielkości i dawnego znaczenia. Dopominali się zawsze o maksymalne granice, sojusznikom ukazywali przyszłą rolę Polaków jako mocarstwa na wschodzie. (Cytaty). To przeświadczenie o Polsce mocarstwowej przedostało się do oficjalnej propagandy sanacji w jakichś (jaki) sposób oddziaływało podczas wojny. Naprzeciw tego przeświadczenia powstało drugie z pewnością bardziej realistyczne: że Polska mianowicie nie jest, i

nie będzie nigdy mocarstwem. Ale wniosek z tego przeświadczenia był fałszywy: że w takim razie musi być satelitą, gdyż małe państwa muszą być satelitami.

Otóż nie. Polska może odzyskać niepodległość jako jedno z wielu średnich co do wielkości i potencjału krajów Europy, o podobnej strukturze i podobnych losach ...

Z tego przeświadczenia "mocarstwo, albo nic", płynęły porównania: zawsze z Anglią i Francją - porównanie paraliżujące, bo zestawiające poszarpany kraj z nietkniętymi niezwykle

jednolitymi organizmami państwowymi, które zawsze większość swych fortun zawdzięczały koloniom.

To samo dotyczy obronności, i owej słynnej filozofii geopolitycznej, która napełnia Polaków przekonaniem, iż w takim położeniu i z takimi granicami, Polska musi być albo niemieckim, albo rosyjskim wasalem, a wrodzona fobia antygermańska pcha ich w ramiona "braci Słowian".

Warunki geopolityczne stworzyły z Anglii czy Francji to czym są, jednakże Belgii, ani

Holandii, równie niepewne granice, i przykre położenie w kącie, gdzie stykały się wpływy aż trzech potężnych sąsiadów, nie przeszkodziły "wybić się na niepodległość" i pomimo przygód historycznych podobnie tragicznych, jak nasze i podobnie kosztownych w żywotach ludzkich i substancji, zapewnić sobie niezależną i ważną pozycję w Europie. Ba, nawet maleńki Luksemburg jakoś przetrzymał w suwerennym stanie tkwiąc jakby pośrodku drogi zmiennych historycznych prądów.

Nigdy nie będziemy krajem stabilnym i bezpiecznym. - Przy dzisiejszych środkach technicznych nie ma granic bezpiecznych i niebezpiecznych; przy dzisiejszych potencjałach, nie ma państw mocnych i słabych, są tylko bezpieczne i niebezpieczne układy międzynarodowe, są mocne i słabe gwarancje. Nie chcemy, ani granic rozległych, ani nie marzymy o potencjale zabezpieczającym nam istnienie zgodne z naszą tradycją i naszymi interesami.

W niespokojnej, swarliwej, szowinistycznej Europie nie będziemy ani stabilnym, ani

bezpiecznym krajem, bo też takich w niej nie będzie wcale; w Europie świadomej wspólnoty interesów i tradycji, będziemy równie bezpieczni jak maleńka Szwajcaria, choć nie mamy Alp chroniących nas przed inwazją. - ale możemy być wolni. Musimy wyzbyć się skrajności w myśleniu - fanfaronady, która nam tyle razy zaszkodziła, a zarazem pesymizmu, który jest ojcem zdrady i serwilizmu.

*

Czy jesteśmy zdolni do

jednolitego myślenia i działania. Optymiści, rozkochani w naszej narodowej urodzie, odpowiadają twierdząco, z entuzjazmem nawet, przytaczając przykłady wielkich klęsk, z których wydobywaliśmy się mocą zbiorowej woli i dyscypliny. Przypominają rok 1920, okupację hitlerowską, rok 1956, a z dawniejszych wypadków niezapomniany rok 1791, Insurekcję Kościuszkowską ... Pesymiści na to odpowiadają długą litanią zarzutów ...

Wilga, 10.VIII.

Śnił mi się mój ojciec. Zobaczyłem go na ulicy w jego starym, czarnym palcie, w którym, chodził w czasie okupacji, a na głowie miał mój brązowy kapelusz amerykański, mój Mallory Fifth Avenue za 16 dolarów. I to już zniszczony, i krzywo włożony. Zastanowiłem się: czy mu go dać, czy poprosić żeby go zostawił w spokoju.

Obaj kręciliśmy się w okolicy kina Luna, szukając chwili spokoju od domu, w którym było tłoczno i hałaśliwie.

Wilga, 13/VIII.

Jeszcze nigdy nie opłaciło mi się żadne roztargnienie; jeszcze nigdy nie przyniosło mi myśli, ani wzruszenia.

Roztargnienie jest złem w stanie najczystszym bo nawet przyjemności, ani korzyści żadnej nie przynosi, co się przecież nierzadko przydarza największym i najpaskudniejszym nawet występkom.

*

"L'Education sentimentale".

Zadziwiająca jest Fl. łatwość,

z jaką od opisu sytuacji, w której powieść się zaczyna, tła, krajobrazu, od charakterystyki zewnętrznej bohatera, przechodzi ad medias res jego istnienia. Mógłby coś więcej powiedzieć o powierzchowności, lub zaintrygować nas jego zachowaniem; mógłby jakimś zdarzeniem drobnym zacząć jego historię, a przeszłość przedstawić w formie rozmowy np. pan Arnoux; nie, Fl. pisze po prostu o czym Frideric myślał stojąc na pokładzie statku, i obserwując swych współpasażerów, oraz oglądając krajobraz: Frideric

peusait a la chambre quid occuperait la-bas, au plan d'un drame, a des sujets des tableux, a des passion futaus."

Stąd wiemy, że był rzeczywiście młody, ambitny, myślący, zupełnie niezdecydowany. Nieco śmieszny:

"Il trouvait que la bonheur merité par l'excellence de son ame tardait a venir". - Przekonywał się, że szczęście na które zasłużył doskonałością swej duszy, nie śpieszyło się z przyjściem. "

Podobnie z panem Arnoux, którego charakter określa tak, jakby nie do jednej z głównych,

ale jakiejś epizodycznej postaci należał: "Był republikaninem, podróżował, znał kulisy teatrów, restauracje, dzienniki i wszystkich sławnych artystów; Fryderyk zaraz mu zwieżył swoje projekty i ten udzielił mu zachęty.

Ale gdy przychodzi do ukazania pani Arnoux, Flaubert wie o niej tyle co Fryderyk, i jak on pyta: "Jakie było jej nazwisko, mieszkanie, życie, przeszłość? ". (23).

Fl. zawiązuje romans Frederika z p. Arnoux w płaszczyźnie metafizycznej; c'etait comme l'apperitine - pisze o

zjawieniu się p. A., a pierwszym aktem miłosnym jest jałmużna dla harfisty, która jest pobudzona "myślą o błogosławieństwie i odruchem serca niemal religijnym".

*

Zakochanie: 27.

*

Skróty, skróty! Mistrz:

"Później, gdy zostali sami w pokoju, matka rzekła znużonym głosem:

"No i?

Stary przyjął go bardzo serdecznie, ale nie ujawnił swoich zamiarów.

Pani Moresu westchnęła.

"Gdzie ona jest w tej chwili? - myślał. " (29).

Tak sprawy spadku i miłości sprzęgają się razem.

Wilga, 15.VIII.

"Minął czas brzydkiego pisma". (Baudelaire)

Albo o piątej codziennie, albo odrazu się powiesić.

Flaubert. Tylko Flaubert.

12.XII.1821. Też dobrze.

Naucz się od Flauberta: skrótu, precyzji, ironii, dystansu, konkretności. I pracowitości.

Warszawa, 16.VIII.

Dc. "rachunku słabości".

Jednym i drugim przypomnieć wypada, że od czasów ostatniej wielkiej próby historycznej, jaką dla Polaków była okupacja hitlerowska, upłynęło ponad 30 lat dziejów zupełnie różnych od wszystkiego, co dotąd Polacy kiedykolwiek przeżyli. Zapewne niektóre momenty - jak

październik 1956 roku, grudzień 1971 na wybrzeżu, lub marzec 1976, - przypominały wielkie chwile zrywów powstańczych, czy reformatorskich i stwarzały warunki, w których można było sprawdzić czy żyją jeszcze dawne walory Polaków - odwaga, zdolność do improwizacji, wyczucie chwili - oraz odzywają się dawne wady - szybkie rozprzęganie się zawiązanych w momencie kryzysu związków.

Ale to były rzadkie momenty. 33 lata życia w PRL upływały i upływają nadal w monotonii państwa zbiurokratyzowanego, będącego jak wszystkie biurokracje mieszaniną chaosu i pedanterii ... Te 33 lata, do których historia, której nie śpieszy się jak dotąd ze zmianą kursu, dopisze napewno jeszcze niejeden dziesiątek, przynoszą i przyniosą zmiany psychiczne w jednostkach i w całej zbiorowości, zmiany, którym każdy z nas już uległ i nadal ulega, zmiany, które sprawiają, iż myśląc o dniu odległym, gdy będziemy mieli szansę stanąć na własnych nogach, i wybierać, i decydować, i walczyć, i bronić, i - co najważniejsze - myśleć, nie

będziemy już tym samym narodem, o jakim przywykliśmy myśleć. Jak naród z 1918 roku nie był tym samym z 1791, tak my, czy nasi wnukowie z nieznanego roku wolności, nie będziemy ani tym narodem z 1939, ani tym z 1945, ani tym z 1956, ani nawet tym z 1976.

Upadek prestiżu działacza społecznego i politycznego.

Upadek prestiżu ideologii, Spadek wartości słowa.

Spadek wartości społecznych ...

Nowa wersja dawnego indywidualizmu: cwaniacki

egoizm.

Łączące się z.

*

Kultura

Wł. Pobóg Malinowski: Rozmowa z rodakiem.

J. Kornacki: Próba dialektyki.

Dzienniki Dąbrowskiej.

17.VIII.

Poranna jazda na Bielany. Pobłądziłem. Znalazłem się na Wawrzyszewie. Zajrzałem na cmentarz. Groby Księży

Marianów. Wstąpiłem do kościoła Marii Magdaleny. Ksiądz czytał przypowieść o drzewach z Księgi Przypowieści a potem Ewangelię o robotnikach, w winnicy.

Dlaczego wszyscy dostali jednakową zapłatę? Najpierw dlatego, że Pan tak chciał. Po drugie, dlatego, że tak się umówił. Jest to więc w pierwszym rzędzie wezwanie do posłannictwa i poszanowania prawa, oraz uznanie suwerennej władzy, jaką ma ten, który płaci, nad tym, który płacę przyjmuje. Wieki dodały do tego aspekt nadziei: ten mianowicie, że na każdego przyjdzie pora. Oraz

aspekt pocieszenia: że zawsze jest czas, aby zatrudnić się w winnicy pańskiej. Jest w tym też szczególna, biblijna interpretacja czasu: jest to coś, co się wiernie odnawia, zaczyna od początku, a nie coś, co upływa. Czas jest wymiarem łaski, a więc i nadziei, a nie stałym ubytkiem. Czas jest zawieszeniem wyroków boskich, a nie stałą, codzienną egzekucją.

(Do T.P. - Na czasie rozmyślania o czasie).

*

Rodzina schodzi się w nowym

mieszkanku przeznaczonym dla nowożeńców, czy też dla młodego małżeństwa. Oglądają je "malutkie, ale własne. Co za radość. "

Tak, co za radość - powiada syn do ojca. Teraz będziesz mógł się przeprowadzić.

Ale jak to uzyskać?

To bardzo trudne.

Rzecz polega na tym, że syn jest udały, a ojciec nieudały; syn jest poważny, a ojciec niepoważny.

Żona chce tego. Chce mieć męża tylko dla siebie. Nie chce żeby pracował, uganiał się za

zarobkiem. W tym maleńkim mieszkanku, z dala od ludzi będą mogli od nowa przeżyć swoją miłość, od nowa zaplanować sobie kariery. Ona chce, aby on spisał swoje wspomnienia.

18.VIII.

Wczoraj u Arturów: Kasia i Teresa Dzieduszyckie oraz jacyś pp. Carpenter z USA. Rozmowa o kotach i psach. Artur upija się byle czym i plecie byle co.

Ja też.

Sen: odprowadziłem Jędrka na lekcję gimnastyki, ale mi się

wyrwał i zamknął się w klozecie. Nauczycielem, który na niego czekał, był Tadeusz Konwicki.

*

Przywykliśmy mianowicie do myśli, że rządzą i decydują nami inni, "oni"; do tego także, iż zarządzenia i decyzje władz stanowią z reguły przeszkodę do obejścia; do tego wreszcie że osobista pomyślność każdego z nas jest wartością wyższą (bo sprawdzalną) od abstrakcyjnej pomyślności zbiorowej. Najogólniej można powiedzieć, że

w odpowiedzi na zbiurokratyzowanie życia, na ubezwłasnowolnienie polityczne, na wyobcowanie aparatu władzy, powstała pomiędzy sferą społecznych i prywatnych działań i aspiracji jakgdyby przepona, która jedną od drugiej chroni.

19.VIII.

Wczoraj i Brandysów. Wyjeżdżają do Paryża i Berlina conajmniej na rok.

Rozmowa beznadziejnie pusta. Nie mamy wspólnych zainteresowań.

*

Odczuwam przedziwną, przemożną potrzebę zmiany; czuję się nieustannie wołany, przyzywany. Skąd głos dochodzi? Czyj to głos? Wiem napewno, że mam coś niezmiernie ważnego do powiedzenia, ale brak mi słów. Czuję się, wpędzony w ślepą uliczkę. Chcę pracować. Wiem, że to już ostatnie moje lata aktywne, a brak mi spokoju; wewnętrznego oczywiście, spokoju. Przerzucam się od zajęcia do zajęcia, od myśli do myśli. Byłem kiedyś zdolny do

pracy pilnej, ciągłej; miałem zdolność szybkiego skupienia. Nie mam już tych zdolności. Mam na około głupich ludzi, którzy dostarczają mi wyłącznie złych przykładów i spieszą ze złymi radami. Znalazłem się w głupiej Koterii, która sobie na dobitek złego uzurpowała duchową i moralną reprezentację narodu.

*

Kazik wczoraj powiedział, że " wszystko się zachwiało" ... "niewiadomo dla kogo, bo to nigdy dobrze niewiadomo. Nie

sądzę zresztą, że zachwiało się coś w naszym stosunku do pisarstwa, prócz tego, żeśmy się wyzbyli odruchów oportunistycznych; zachwiał się naprawdę nasz status prawny. Jesteśmy na pograniczu legalności; jeszcze tolerowani, w każdej chwili możemy być postawieni poza prawem.

Wilga, 21.VIII.

Le travail - la micre.
Une seule force salvatrice.
Done je me send a elle eutiecemment.
Je me carcacre (?)

Non en vue dec resultat mais pour le salut c' est'a'dies (?) pour m'affirmaer dans leternite..

*

(Czerwonym długopisem - przyp. KK)
"- Chcę poznać Boga i duszę.
- I nic więcej?
- Nic, absolutnie nic! "

(*) - Przepisane, lub wykorzystane - (*)
Warszawa, 30.VIII.1977

Nie można przez całe lata paktować z głupstwem i złem, i pretendować do podporządkowania ich sobie wtedy, gdy nam się pakty znudzę. Głupstwo i zło są równie konsekwentne i logiczne; jest to specjalnie szokujące w odniesieniu do głupstwa. Mogło by się wydawać, że ponieważ jest głupia ex definitione, da się oszukać. Otóż nie! Gdy chodzi o swój stan posiadania głupstwo jest mądre, bardzo mądre.

*

Głównym czynnikiem wszystkich moich myśli, wszystkich moich uczuć, wszystkich moich roztargnień.

Strach przed bezsensem.

1.IX.

1.IX po raz 38!

Chciałbym mieć tylko 38 lat. Ale wtedy nie pamiętałbym 1.IX.1939. Pierwszy wybuch bomby usłyszałem przez sen i było to jakgdyby głębokie, westchnienie. Tak mi się to przynajmniej dziś wydaje.

Wczoraj pokaz filmu

Różewicza o Edwardzie Dembowskim, wedle scenariusza, któryśmy razem z Edwardem Żebrowskim dwa lata temu napisali. Chyba dobrze.

Potem w telewizji film, tegoż Różewicza "Zanim liście opadną".

Ma delikatną ręką. I zupełny brak geniuszu. Wajda robi potworne knoty, ale zostawia tu i ówdzie ślady wielkości. Widać to w scenach zbiorowych. Z rzezi, wiecu, przemarszu wojsk, czy górników, Wajda zrobiłby coś wielkiego. Wszystkie te sceny u Różewicza są sknocone.

*

(*)

Kościuszko.

Jan Dihm (?): Kościuszko nieznany.

Skatkowski - najbardziej Kościuszce niechętny.

Dihm: "Wyniesiony na wyżyny i wyidealizowany bohater miał i po śmierci dalej walczyć swoim przykładem o zachowanie narodu i jego godności i być zarazem natchnieniem ... " (13)

Niemcewicz w swojej "Pochwale" jest świadomym twórcą legendy.

(*)

Wilga, 4.IX.

Hałas. Niezadowolenie. Trudności w pamiętaniu. Roztargnienie. Długie chwile bezczynności. Dużo snu. Sny ciężkie, zamazane, nie do zapamiętania. Po deszczach i powodziach piękna, sucha pogoda.

Warszawa, 5.IX.

Adalbertus (Wojciech) Kijewski vel Kijowski był kanonikiem kapituły krakowskiej i

jej Prokuratorem oraz jej "nuncjuszem" na synod Piotrkowski w r. 1551.

Mathias ze Służewa Kijowski był kanonikiem gnieźnieńskim. (Podpisywał się też Sluszewski - 10.2.1492, potem Kyowski, Kiowski, Kiewski. Acta [...] Gnezn. poz 2348).

Wilga, 10.9.

(*)

Dzisiaj wstałem o 7. Sny miałem niewyraźne; zapamiętałem z nich Krysię, pierwszą "narzeczoną" Andrzeja, przyszła

do nas do domu, będąc jakgdyby żoną Andrzeja, czy też tylko miała u nas zamieszkać. Woda lała się do wanny. Naraz zatrzymała się. Krysia podeszła do Kazi i spytała nieśmiało jak będzie mogła się umyć, skoro wody nie ma. Dała Kazi do zrozumienia, że umyć się musi w związku z jakimiś kobiecymi sprawami, i pokazała jej szmatkę, którą sobie do tego przygotowała ...

Pfe.

Zimowy poranek, ale bez deszczu. Wczoraj lało rzęsiście przez cały dzień. Zresztą nie pamiętam.

W głowie huczały mi melodie i idiotyzmy z koncertu galowego dla telewizji francuskiej, który oglądaliśmy z Kazią poprzedniego wieczora. Dlaczego głupstwa czepiają się głowy bardziej niż rzeczy piękne i poważne? Widać pamięć jest urządzeniem mechanicznym, które samo z siebie nie zatrzyma tego, co nam się podoba, co nas interesuje, i co robi na nas wrażenie lecz przeciwnie, to właśnie, co nas nic nie obchodzi, jeżeli jest łatwe do zapamiętania. Nad pamięcią trzeba pracować tak, jak nad charakterem, czy talentem, i

zmuszać ją do właściwego wyboru i wysiłku.

Biegałem za mlekiem, poszedłem na pocztę, brałem pieniądze, płaciłem składkę ubezpieczeniową za samochód. Widziałem starą kobietę o kuli, którą inna, młoda, prowadziła na pocztę:

- To nic - mówiła młoda - każdemu zdarza się czasem przewalić ...

Stara kobieta usiadła na ławce na poczcie, zdjęła z głowy wiśniowy, fikuśny kapelusz, przeciągała ręką po twarzy, dotykała loka, i patrzyła przed siebie oczami, w których nie było nic oprócz okropnej troski o siebie, o to, co będzie z nią dalej.

Odwiozłem Kazię, brałem benzynę, sprawdzałem powietrze w oponach, żartowałem z chłopakiem na stacji benzynowej, który chwalił się przede mną nowym aparatem do pompowania kół. Pojechałem do Banku Pekao otworzyć rachunek "S" na jakieś forinty i korony czeskie, które przyszły dla mnie za "Wesele".

Ścisk, podenerwowanie, wysokie ciśnienie: tam chodzi o prawdziwą forsę. Złe, nieufne, zatroskane oczy, wbite w okienka

i w ręce urzędniczek wypisujące niezliczone asygnaty i zaświadczenia (niewiarygodnie skomplikowana manipulacja) oraz kasjerek liczących prawdziwe pieniądze. Głosy podniesione, namiętne, co chwila wybucha sprzeczka. Obok mnie jakiś facet o semickim wyglądzie próbował urzędniczkę onieśmielić tonem wyższości, uśmiechem i zapowiedziami:

- Ja to wyjaśnię ... Chciałbym z kierownikiem ...

Stojący za nim młody człowiek popierał urzędniczkę w sporze, a gdy semita odszedł

poszukać kierownika, młody raźno podszedł do okienka wołając:

- Dzień dobry panno Bożenko ...

Bywalec, lizus.

Potem w redakcji. Tam pusto. Renata sama. Paplanina. Zapowiedziała krach gospodarczy na grudzień. Dobrze. Jedną rzecz ciekawą opowiedziała: kiedy Michał Radgowski musiał wycofać się z ekipy dziennikarskiej towarzyszącej szachowi Iranu, a Polityka chciała na jego miejsce wstawić Turskiego, w KC (czy MSZ) odpowiedziano: już nie trzeba tow. Rokoszewski (wydz. Prasy

KC) zostawił na to miejsce tow. Ciełbińskiego ... Ten ostatni nie jest dziennikarzem, ale "lektorem" KC, wyznaczonym m. in. do kontrolowania "Twórczości".

Czyli KC bez żenady wstawia swoich ludzi do redakcji, wydawnictw i do ekip dziennikarskich; czyli są oni tam przekonani, że mają kadry odpowiednie do wszystkiego.

I pojechaliśmy do Wilgi. Tu zimno, mokro, lasek zasypany już żółtymi listkami brzozowymi i czerwonymi łuskami sosnowych szyszek.

Potem pojechaliśmy do

Zawadków. Opowiadali o wycieczce do Kodnia w zeszłą niedzielę; ile było ludu (ze sto tysięcy), ile aut i taksówek i milicji. - Jak ta wzniosła zapora - opowiadała jakaś sąsiadka - to mnie tak tu coś ... - i pokazała na krzyż - i nic nie mogła mówić. - Grali pięknie, bez fałszu. - Biskupi, straż, kolorami tu tacy, tu tacy. - Tam też są stopnie - powiedział Zawadka. - Piękna była dekoracja, ludowa i pielgrzymki całymi regionami ... Najpiękniejsze Łowiczanki ... Zachwycali się wszystkim: kościołem, stacjami Męki Pańskiej

rzeźbionymi w pniach starych drzew, historią obrazu, organizacją uroczystości, i tym, że się tak wszystko udało. Był to zachwyt dla dawnej i dzisiejszej sprawności ludzkiej. To, że orkiestra grała bez fałszu, i że żadnego wypadku nie było mimo takiego tłum "luda", było równie wspaniałe. Ciekaw jestem jakie znaczenie miało dla nich to, że to wszystko było nienakazane, niezwiązane z reżimem, natomiast związane z religią? Zawadka pokpiwał trochę z tych Matek Boskich, a kobiety mu w tym sekundowały! Ale jedzie jutro do Częstochowy ... Co prawda, powiedział, że to będzie ciekawe że ogląda na tym wszystkich "partyzantów", którzy się zjadą ... Będą różne kaleki ... -

Jednocześnie żałował, że nie pojechał z cechem do Jugosławii. Za 5.000,- ...

Opowiadali i opowiadali.

Wróciliśmy, zjedliśmy grzyby, które Kazia nazbierała.

Przedtem jeszcze wyciąłem dwie sosny, z których jedna upadła na siatkę i przygniotła ją. Ot, szkoda. Dopierośmy naprawiali.

Wilga, niedziela 11.IX.

Cicho, pies chrapie, K. szeleści jakąś torbę z plastiku, pociąga nosem, postękuje. Skończyliśmy głośną lekturę Prousta - podjęliśmy wielki plan, przeczytania na głos w całości - dziś czytaliśmy (tzn. ja czytałem, podczas gdy K. robiła na drutach narzutę na tapczan dla dzieci) o snobizmie pana Legrandin, potem o spacerach w stronę Meseglise la vinense, i w stronę Guermantes, skończyliśmy na opisie głogów kwitnących i na spotkaniu Gillesty.

Ile razy w życiu byłem naprawdę szczęśliwy, czyli świadomy, że mam to co czego pragnę, robię to, co mi przystoi, i jestem właściwie rozumiany. Ile razy? Wymuszałem na sobie to uczucie niezliczoną ilość razy, ale jeszcze chyba nigdy - może poza chwilami samotności, w ruchu, w górach, albo w jakimś starym, pięknym mieście - jeszcze chyba nigdy nie przeżyłem tego uczucia, nie płacąc za nie jakiejś ceny - Różne to były ceny ... w różnych walutach moralnych ...

Dzień upłynął nam w całości na pracy w ogrodzie - czy jak tam

nazwać tę naszą "działkę". Wykopałem kilka sosen i pociąłem je na kawałki; pracowało mi się lekko, szybko, z ochotą. Potem spulchniałem ziemię w tych miejscach, z których usunąłem sosny; chcemy za domem założyć mały ogród kwiatowy. Kazia grabiła liście, których dużo już spadło. Dzień był chmurny, tak ciemny, że zdawało się, lada chwila zacznie padać, ale nie: wytrzymało aż do wieczora, o samym zachodzie słońca, rozpogodziło się, rozjaśniło.

Przy obiedzie rozmawialiśmy trochę o Arturze i Julii; Kazia czuje się urażona ich krętactwami, kłamstwami, przemilczeniami, a Marysia Brandysowa jeszcze ją w tym podtrzymuje. Boję się, aby nie zrobiło się z tego jakieś zamieszanie - i abyśmy się z Arturami nie rozstali. Mam do Artura różne pretensje, w gruncie mam go za fircyka, ale potrzebuję go; po prostu nie mam już nikogo poza nim. Nieporozumienia powstały wokół przyjazdu Danieli, o której Halina (siostra Kazi) powiedziała nam, będąc tutaj, że wyszła była dwa lata temu za mąż, i że wzięła już rozwód; Arturowie to utrzymali w tajemnicy. Teraz

znów za Danielą przyjechał chłopak, z którym mieszka w Nowym Jorku, o którym Julia mówi, że to "kolega". Kazia i Marysia powiadają: albo - albo. Albo się przyjaźnimy i mówimy o sobie tyle, aby nasi przyjaciele nie mieli niespodzianek, albo - nie jesteśmy przyjaciółmi, tylko znajomymi. Jest w tym trochę racji. Co prawda, wcale nie wiadomo czy Arturowie o tym małżeństwie wiedzą, ani czy Halina mówiła prawdę.

Kopiąc, wspominałem też moją niedawną rozmowę z Andrzejem Wasilewskim. Chciał się właśnie dowiedzieć, czy można załatwić sprawy literackie trybem amnestyjnym, uzyskując w zamian zobowiązanie do niedrukowania zagranicą. Na co mu odpowiedziałem generalnym atakiem na reżim; powiedziałem mu, że jest przestarzały, że w pojęciu ogólnym nie daje się naprawić i nie ma żadnych uzasadnień, i że problem nie polega na przywróceniu tego, czy owego pisarza do łask, ale nadanie temu wszystkiemu sensu przez reformy polityczne. Powiedziałem: - Amnestia bez reform politycznych jest absurdem

... Takim samym absurdem byłoby przywrócenia do rozpowszechnienia pisarza, który podpisuje protesty i drukuje zagranicą. Oczywiście nikt żadnych zobowiązań nie złoży, bo każdy świadom jest tego elementu i nikt nie będzie go teraz żyrował. Zaś drukowanie zagranicą czy w "Zapisie" jest świadectwem pękania systemu. Przynosi mu więcej honoru i satysfakcji niż uczestniczenie w oficjalnym życiu literackim, które jest coraz bardziej fikcyjne.

Rozmawiał zresztą ze mną kaleka w fioletowych szkłach, który nie może czytać, i korzysta z usług lektorki, człowiek, który już nie ma nic do zrobienia. Zadzwonił do mnie, prosząc o tę rozmowę "po dawnej znajomości". Zastrzegł sobie dyskrecję, której dochowałem.

Przyznał w rozmowie, że o ile nie ma szczególnych sukcesów co do zawierania umów, polityka wznowień jest ściśle reglamentowana:

- Jest to rodzaj premii dla pisarza ...

Ruch był trochę większy dziś, niż w poprzednie niedziele, ale i tak była chwila, kiedy poczułem

zwykłe rozdrażnienie tym szumem przejeżdżających samochodzików. Zwłaszcza są irytujące ciężarówki wojskowe pędzące dokądś z piaskiem. Podobno jakiś pomnik wojsko buduje w pobliżu.

Warszawa, 12.9.

Dzień na szczęście zeszedł na niczym; na szczęście, bo już późno i niewiele mam czasu do zapisywania.

Zmarnowałem dzisiejszy dzień. Czas przeznaczony na pracę zużyłem na przepisywanie wczorajszej i przedwczorajszej notatki. Leniłem się przy tym; podrzemywałem.

Co prawda, zwykle tak jest, gdy wracamy ze wsi. Wstaliśmy dziś o siódmej i dziś spokojnie zbieraliśmy się do wyjazdu, gdy w ostatniej chwili nastąpiła niespodzianka - silnik znów zamilkł i nie mogłem go uruchomić. Znów wykręcanie świec, papranie rąk, irytacja i tak dalej. Toteż kiedy znalazłem się w domu, chciałem tylko jeść i spać.

Zatelefonowałem odrazu do Jerzego Turowicza, aby go poprosić o wycofanie mojego felietonu. Bardzo się ucieszył, bo

oni też postanowili go nie drukować. Była to historia o Kościuszce, niezabawna i niemądra, irytująca dla wszystkich. Gnębiła mnie ta sprawa od chwili wysłania felietonu.

Nikogo nie widziałem, z nikim nie rozmawiałem. Usiedliśmy do obiadu przy stole obok jakiegoś nieznajomego pana. Ponieważ leżał przy nim Expres, a ja dzisiejszej gazety nie czytałem, spytałem go czy mogę przejrzeć gazetę.

- Nie - odpowiedział potrząsając głową stanowczo - jestem cudzoziemcem.

Było to okropnie śmieszne, bo powiedział to najczystszą polszczyzną.

Przeprosiłem i siedzę cicho. Po chwili cudzoziemiec podniósł głowę i rzekł znów pięknie naszą mową:

- Pan chciał gazetę ... proszę bardzo.

Uśmiechnął się i dodał:

- Ja muszę ... tego ... - i pokazał na głowę, że musi pomyśleć.

Jakże mi się podobał! Okazało się, że to jakiś poeta rumuński.

Wieczorem znowu ta głupia telewizja, atrakcyjna dziś ze

względu na Gierka w Paryżu.

Nic ciekawego. Gierek wchodząc do Hotel Matigny szpalerem Gwardii Narodowej, wytarł nogi. Wydało mi się to bardzo sympatyczne. Giscarda traktuje pobłażliwie, jak kolegę z obozu. Nie dziwię się.

Te notatki będą miały jakiś sens, jeżeli wynikać z nich będą pomysły literackie, i to nie generalne, jak mój wczorajszy, aby napisać historię XX wieku - od 3 rozbioru do rewolucji 1905 roku - ale konkretne: fabuły, sceny, zdania.

Dzisiaj nic mi nie przyszło do głowy. Nic a nic.

(*)

13.9.

Stało się więc: podjąłem się i od dziś tym żyć będę.

Pałac Błękitny zamieniony na urząd; znudzone urzędniczki wyglądały przez okno na Ogród Saski i chichotały widząc mnie spacerującego tam i powrotem. Na parterze kawiarnia - chłopcy hałasują automatem do gry, nadmiar stolików zsunięty pod ścianę, mroczna, brudna podłoga. Przed kawiarnią przy kolejnych

stolikach jacyś starsi panowie grzali się tam do słońca. A dzień był zimny. Poszliśmy stamtąd na Wierzbową i tam, wysłuchawszy mętnych pytań, próśb o radę, rozważań pomocniczych itd., zapytałem wprost:

- A dlaczego mnie tego pani nie zaproponuje?

Krzyk, łzy w oczach, uścisk ręki.

Dobra więc: poważne, czy nie, będzie to poważne, kiedy zacznę.

1864-1939.

Św. Augustyn:

"Trzy są czasy: teraźniejszy z przeszłego, teraźniejszy z

teraźniejszego, teraźniejszy z przyszłego. Te trzy bowiem są w duszy i gdzie indziej ich nie widzę, teraźniejszy z przeszłego - to pamięć; teraźniejszy z teraźniejszego - to bezpośrednie widzenie; teraźniejszy z przyszłego - oczekiwanie". (Wyznania, r. XX).

Wilga, 17.IX.

Nie udawało mi się notować codziennie. Za późno kończyliśmy dni. Nie pracowite, tylko męczące; nieporządne, puste, nudne.

Był Adam M. Zaprosił mnie

do Komisji likwidacyjnej KOR-u. Razem z Władysławem Bieńkowskim i Stefanem Kisielewskim muszę przejrzeć rachunki KOR-u i wydać oświadczenie o właściwym zużyciu funduszów. KOR przestaje istnieć. Na jego miejsce powstać ma jakieś ciało przeznaczone do obrony ludzi przed represjami. Nie wiem jak się ma nazywać i z kogo składać. Adam szczegułów nie mówił, ja nie pytałem. On sam chce się, zdaje się, skoncentrować na redagowaniu pisma. Ma to być miesięcznik Polityczny, "Głos",

czy "Głosy"; proponuje mi robienie tu przeglądów prasy. Ale to chyba nonsens. Dlaczego mam robić przegląd prasy? Oprócz tego wyszedł pierwszy numer "Robotnika".

Adam wydał mi się tym razem ostrożniejszy i bardziej zabiegający o względy. Przyznał mi się do winy w związku ze swoim oświadczeniem w sprawie PPN. Mam osobiste zmartwienie - oświadczył z żałobną miną i opowiedział jak to w Upsali, wśród masy Żydów, dziś rzeczywiście wybitnych niepodległościowców, ktoś

powiedział mu, że KOR to jest nic - za to PPN ma program. Wtedy on, podrażniony, miał powiedzieć to nieszczęsne - Jest szalone postanowienie ... A teraz został zaatakowany w Kulturze. Czy chciał mnie wybadać, czy mam coś z tym wspólnego, czy chciał żebym "temu komuś" przekazał jego ubolewania - nie wiem. W każdym razie czuję, że zwąchał moje z tym kontakty.

Rozmawialiśmy pozatem o Wiktorze, twierdzi, że poglądy Wiktora są właściwie reakcyjne.

Dziwi mnie, że mówił o nim tak otwarcie źle. Podobnie zresztą

o Kuroniu, któremu wytykał brak zdolności pisarskich, przesadny optymizm, przykry charakter. O Janku Lipskim powiedział, że trzeba mu dać spokój - i mówił mi jakby w ...

Mnie zaś w prezencie złożył ZSRR - stwierdził, że oczywiście tu jest klucz, to przyznał mi ktoś z "ich" ... Krótko mówiąc powtórzył mi to, co sam mu poprzednim razem,mówiłem.

Ja zaś stwierdziłem, że mam nieprzemyślane problemy:

1) Jaka jest optymalna wersja socjalizmu istniejąca dziś w świadomości teoretycznej;

2) jaki jest optymalny ustrój dziś realizowany;
3) co należy życzyć Polsce, jakie optimum ustrojowe;
4) jakie komponenty ideologiczne składają się w moim przekonaniu na obraz doskonałego człowieka przyszłości;
5) jaką rolę wyznaczam ideologii w kształtowaniu przyszłego społeczeństwa;
6) jaka w tym rola literatury.

Widziałem się też z Czwartą skorką. Będę pisał o JP.

Pracowałem codziennie w Bibliotece. Posunąłem naprzód sprawę Kościuszki.

Nie posunąłem ani powieści, ani nic pozatem. Podobnie z lekturami.

Dzisiaj minęła 25 rocznica śmierci Matki. Co to dla mnie znaczy? Nie odczuwam właściwie żadnej tęsknoty, żal mi Matki, bo ją rozumiem dziś lepiej, niż wtedy - choć nie wiem, czy rozumiejąc ją lepiej wtedy mógłbym jej w czymkolwiek pomóc. Nawet nie wiem czy uniknąłbym win wobec niej. Wpędziła nas i siebie w sytuację naprawdę bez praktycznego, ani moralnego wyjścia. Tyle męki po nic. Żal mi jej, żal mi Ojca, żal mi Leszka, żal

mi siebie. Taka masa ofiar głupstwa.

Czuję zarazem, żem wciąż jeszcze nie pojąłem lekcji moralnej, która została mi dana; nie poszedłem za jakimś wtajemniczeniem, które stanęło przede mną otworem, a próby, których dokonałem (m.in. "Oskarżony") były poronione. Być może w tej właśnie sprawie nadal tkwi moja tajemnica; ale ja jej nie rozwijam, nie kultywuję.

To są moje "rojsty".

W Wildze zimno i nie ma ciepłej wody.

Sporo zamieszania z Danielą,

która dzisiaj chyba już wyjechała. Artur tym razem, zdaje się, pozrażał sobie wszystkich dokoła. Na koniec rozwalił samochód.

Warszawa, 21.9.

Towarzyski tydzień: przedwczoraj byli u nas Burkowie i Adolfo Rudnicki, wczoraj "Dzidzia", czyli Zofia Zielińska aus Wien oraz Ket Puzyna. Nic mi z tego. Kazia się zmęczyła i wczoraj nawet trochę zasłabła. Zgarniam pieniądze i czekam na jakieś rozstrzygnięcie w sprawie mieszkania dla Jędrka.

Zaciągnąłem razem w ZLP, w Zaiks i w Wydawnictwie Współczesnym 220.000,- długu.

Co mam robić:

1. Kościuszko - Poniatowski: kończyć porządkowanie zebranych dotychczas materiałów, zabrać się do X. Józefa, rozszerzać zakres lektury;
2. Gombrowicz. Skupić lektury literackie wokół G., czy zabrać się do czego innego - do szkiców, którymi uzupełniłbym tę książkę? Przeczytać to co jest w teczce. Być może jest tam już materiał na książkę.
3. Powieść. Kontynuować.
4. Nowela filmowa: - napisać jak najprędzej i wydać 3 nowele filmowe: Chopin, Modrzejewska, [...] - ze wspólnym wątkiem: sztuka - świat - ojczyzna.
5. J.P.! - zabrać się natychmiast do czytań, traktując to jako część książki omówionej z E.
6. Religia: Tillich, św. Augustyn.
7. Felieton TP.
8. Dedal.
9. Dziennik.
10. ?

Wynika z tego, że życie moje biegnie conajmniej dziesięcioma ścieżkami. Nic dziwnego, że nie posuwam się ani o krok.

Wczoraj spacerując z Kalim wzdłuż trasy, odczułem aż boleśnie niemożność skupienia i rozjaśnienia myśli. Zmęczenie? Wiek? Rdza duchowa? Brak żywej praktyki intelektualnej? Głupiejemy wszyscy w braku rozmów serio.

22.9.

Wczoraj przedpołudniem sprawy wekslowe. Wpadłem do Joasi po okulary, a tam zachorowała Justysia. Usłyszawszy mój głos, spytała kto to jest.

- Zgadnij - powiedziała Joasia. Ja zakaszlałem.
- Wekslarz - krzyknęła Justysia.

24.9.

KOR:
3.X.76: apel do ZG PCK, ZG TPD,
8.X. do Min. Zdr. i Op. Sp. - odpowiedź?
zakres działalności
zbieranie informacji.
represje: poszkodowani.
zbiórka pieniędzy
udzielanie zapomóg
organizowanie pomocy

prawnej

lekarskiej

udział w procesach

operacjach i ujawniania okoliczności; ujawniania nazwisk ludzi łamiących praworządność.

upowszechnianie informacji o represjach również np. opublikowanie tajnego zarządzenia Prez. M. Łodzi z dn. 22.VI.76.

interpretacja orzeczeń sądowych (Kom. nr 7)

Prostowanie fałszerstw i kłamstwa

mobilizacja opinii publicznej - w tym organów władzy -

Sprawy petycji

nakłanianie do składania skarg i apelacji.

Środowiska objęte pomocą

Kraków, Radom, Łódź, Płock, Grudziądz, Gdańsk.

-.-

Komisja Rewizyjna - powołana przez KOR:

1. KOR powstał dnia 23.9.1976. w Warszawie w składzie nast. (Kom. 1). W trakcie przystąpiły nast. osoby.

O Ziembickim nie wspominać.

Cele i zadania Komitetu.

Komisja zapoznała się z całą istniejącą dokumentacją, z

komunikatami i innymi materiałami, po wysłuchaniu sprawozdań uznała itd.

*

Na pomoc wydano ogółem:

pochodzące ze składek krajowych i zagranicznych.

B. Inst. - 110.710.

KOR - 3.062.090.

-.-

Przeznaczenie sum niezaplanowanych na Fundusz Samoobrony Społecznej (kom. 7 lub 9) - celowe.

Wilga, 25.9.

Zebranie u R. (Romaszewskiego - przyp. KK). Likwidacja KOR-u. Aktywizm. Pani R. (ładne włosy) dzieliła piernik i zadawała swobodne, troskliwe pytania o różnych podopiecznych KOR-u, jak gdyby chodziło o dalszą rodzinę. Aktywizm kobiecy: rozszerzenie uczuć osobistych na społeczeństwo. Kobiety nigdy nie zrozumieją, że sfera społeczne od rodzinnej, różni się nie tylko ilością, lecz także jakością, i wnoszą do działalności społecznej

co gorsze także do polityki, rodzinną miłość, rodzinne uprzedzenie, rodzinną nienawiść. Stwarzają wzór emocjonalny łatwy, a nawet niemal konieczny do naśladowania.

Miłość społeczna i miłość rodzinna: dwie różne miłości, z których tylko druga jest dosłowna.

Różnica wygląda na tym, że rodzina składa się z osób, a społeczeństwo ze zjawisk. Złodzieja w rodzinie nienawidzi się i potępia; nie chce się z nim mieć do czynienia. Złodziej w społeczeństwie jest takim samym zjawiskiem jak każde inne. Trzeba

ustalić ilu ich jest, jakie mają powody, zastanowić się nad środkami zaradczymi. W rodzinie wszystkie zjawiska mają wartość dodatnią, lub ujemną; w społeczeństwie wszystkie są naturalne. Społeczeństwo jest podobne do natury, jest częścią natury - a w każdym razie przyrośnięte jest do niej tą częścią właśnie, która jest przedmiotem rozważań i działań społecznika.

Zapewne nie tylko kobiety mylą te dwie sfery; jest to cecha ludzi niepewnych swoich uczuć rodzinnych, osobistych, ludzkich.

Im mniej mają ich naprawdę,

tym je szerzej manifestują; im więcej zawodu przynoszą im one w kręgu własnej rodziny, tym chętniej składają je na "ołtarzu" społecznych poświęceń.

Wizyta w pięciokątnym domu. Dobra wola, lekkomyślność, odruchy uczuciowe, niefrasobliwość co do społecznych skutków, brak skrupułów zbytecznych, energia w realizowaniu wytyczonych celów, odwaga fizyczna, przyjemne podziemie "smak wielkiej przygody", duch taternicko-żeglarski.

Rodzaj ludzi.

Pan domu krótko strzyżony, o twarzy skupionej, bardzo starannie ubrany - koszula jasna, krawat w poprzeczne prążki angielskiego typu, marynarka tweedowa angielskiego typu, ale na nogach kapcie. Z żółtej skórki, co prawda ale bez pięt. Pani też w kapciach. Urządzenie mieszkania z późnych lat pięćdziesiątych. mają ok. 40, a więc wtedy się pobierali i urządzali. Widzę ich jako młodzików w Krzywym Kole. Widzę ich jako dzieci w ZMP. Październikowe pokolenie. Październik zresztą miał tę właśnie "rodzinną" atmosferę z

wyraźnym podziałem na jasne i czarne charaktery z wizją bardziej moralną, niż polityczną; październik był dziełem bab i literatów.

Ów nadmiar uczuć "rodzinnych" charakteryzuje każdy ruch zbiorowy, któremu brak celu i racji politycznych. Taki był październik, który miał na celu "umoralnienie" systemu, a nie zastąpienie go innym. Przypuszczalnie taki też był ruch przed 1830 rokiem, który miał na celu wymuszenie na carze uczuć ojcowskich. Tak już napewno nie było ani w 1848, ani w 1863, ani w 1905.

*

W pięciokątnym domu simmlerowskie meble widocznie rodzinne: porysowane przez dzieci, zużyte przyrośnięte do ścian.

*

Opowiadania o kobiecie, która wszystkie swoje uczucia lokuje w sprawach zbiorowych:

Na pierwszą wiadomość o śmierci prezydenta pobiegła przed

jego dom. Wróciła we łzach:

- Tłumy, tłumy - opowiadała przerywanym głosem - policji też dużo, ale nikomu nic nie mówi. Jeden powiedział do mnie: zejdź pani z jezdni. A ja nic. I on poszedł dalej.

Seweryn ją skrzyczał.

- Jak wrona lecisz do trupa, pogapić się i pokrakać.

Rozpłakała się i uciekła do kuchni. Ojciec kazał mu iść za nią, a sam zajął się Stefkiem, który zaczynał chodzić, był nieznośny, raz po raz ściągał ze stołu serwetę.

W kuchni Marta już była inna; przeszedł jej płacz a ogarnęła ją

złość. Chłodno przyjęła przeprosiny nie przerywając obierania marchewki. Pociągała nosem, i bez słowa słuchała Seweryna, który siadłszy na zydlu koło pieca i zapaliwszy papierosa mówił jej o swoich basowych sprawach. A jednocześnie myślała o nim, o prezydencie, o umarłym, którego teraz napewno szybko balsamowano i ubierano do uroczystego pogrzebu.

Widziała to wszystko w najdrobniejszych szczegółach; taki był sposób widzenia wszystkiego.

Warszawa, 26.9.

Budzę się ciężko, z bólem głowy. Śpię bez snów, lub rzadko sny miewam. Z wczorajszej nocy w Wildze zapamiętałem, że zatrzymaliśmy się z Kazią przed Ministerstwem Kultury i Sztuki aby "po drodze" odebrać należący mi się order. Było to już po godzinach urzędowych. Zastaliśmy samego Kraśkę, który był kobietą i sprzątał, a nawet robił generalne porządki, ponieważ miał oddać urząd swojemu następcy. Order wyniósł w pudełku do przedpokoju. Przypominał panią Kracińską, moją nauczycielkę matematyki, którą lubiłem. Wracając do samochodu, gdzie Kazia na mnie czekała - był to duży, granatowy Fiat 1800 - zauważyłem z przestrachem, że go nie zarejestrowałem: z przodu i z tyłu miał wielkie, czarne tablice bez numerów.

Wczorajszy dzień zeszedł nam na pracy w ogrodzie. Było ładnie, chwilami nawet ciepło. W powrotnej drodze popsuły się światła mijania. Ilekroć musiałem zgasić światła długie, stawała przede mną ciemność, jak ściana. Jechałem wtedy po omacku,

korzystając ze świateł innych samochodów, sam widoczny tylko po ogarkach lamp pozycyjnych. Dojechaliśmy szczęśliwie.

*

Przypomniała sobie wszystkie znane sobie okoliczności, i obyczaje umierania. Kto go umyje, ogoli, ubierze? Nie mogła się opędzić od brzydkich i przykrych wyobrażeń. Wciąż miała przed oczyma jego trupie, umęczone chorobą i wiekiem ciało, poddane okropnym zabiegom sekcji, balsamowania, mycia, golenia; - zwłaszcza na myśl o tym goleniu biernego, zimnego trupa wzdrygnęła się tak samo, jak po śmierci tatusia, gdy usłyszała babkę wołającą głośno, że trzeba dać żyletkę, "bo ci oprawcy" kaleczą nieboszczyków tępymi żyletkami. Popłakała się na to wspomnienie i na myśl o prezydencie bezbronnym wobec oprawcy z tępą brzytwą, przed którym nie obroni go ani rodzina - jaką tu miał zresztą rodzinę? - ani rząd, z którym był zawsze skłócony, ani wszyscy anonimowi ludzie którzy mu wyglądali z za ramienia w czasie oficjalnych

uroczystości, a których gazety nazywały "świtą", "najbliższym otoczeniu", "gronem współpracowników".

Co ich, obchodzi martwy prezydent! Każdy teraz pewnie zabiega o miejsce przy następnym.

I człowiek, dla którego radio nadawało jedynie muzykę poważną, z powodu którego telewizja zaprzestała w ogóle nadawać program, a teatry i kina zostały zamknięte, człowiek, którego śmierć okryła - jak pisano - żałobą cały kraj oraz żywym echem odbiło się na całym świecie (to żywe echo śmierci wydało się Marcie nietaktem), człowiek, którego portrety widniały teraz na fasadach gmachów publicz., w witrynach sklepów i w oknach wielu mieszkań prywatnych i ku czci którego ze wszystkich strychów zwisały chorągwie czarne lub narodowe przybrane wstęgami czarnej krepy, ten człowiek opłakiwany powszechnie, wydał jej się ofiarą zabitą przez ogół, niewinnym skazańcem, samotnym, porzuconym trupem potrzebującym jej pomocy.

Wstydziłaby się komukolwiek przyznać do tej myśli, za nic na

świecie nie powiedziałaby o tym Sewerynowi.

- Sam by nie umarł - mówił Seweryn - napewno mu pomogli. Wszyscy go mieli dość. Podobno już nic nie słyszał.

- Napewno miał aparacik - wtrąciła cichutko.

- Ale, aparacik. Taki zarozumialec! Nie chciał się przyznać, że nie słyszy. No to nie słuchał. Siebie tylko słuchał i mamy skutki.

Inflacja osiągnęła 24,6% rocznie wedle nieoficjalnych statystyk, które na użytek propagandy oraz - jak mówiono - dla wiadomości samego prezydenta obniżano do połowy. Jemu i narodowi podawano 12,3%. I tak dużo. Bezrobocie też ukrywano. Pisano o milionie, a są 3 miliony. Co najmniej!

Milczała, ale oburzała się w duchu:

- Cóż prezydent winien, że go oszukiwano? Jego i nas. Jego i naród.

Pomyślawszy to, poczuła znów łzy napływające do oczu. Prezydent wydał jej się teraz uosobieniem uciemiężonego i oszukanego ogółu; poczuła z nim więź wspólnoty, solidarności,

pomyślała, potrzebuje pomocy, gdyż jego cierpienie, a nawet tajemnica jego śmierci pozostają żywe w trzydziestu milionach jak on bezbronnych, oszukiwanych i jak on martwych ludzi.

Naród wydał jej się nagim ciałem, czekającym na obrzydliwe i brutalne zabiegi, oraz uroczysty pogrzeb.

Prasowała prześcieradła. Po dotknięciu żelazka poczuła, że jest za gorące, ale nie zmieniła temperatury. Przyłożyła je ze złością do białej powierzchni płótna i spokojnie przesuwała brunatny ślad, który spod niego wykwitnął.

Seweryn siedział na swoim zydlu i opowiadał o swoich licznych sprawach. Nie zauważył nic.

Nieznacznie podkręciła jeszcze kontakt. Kiedy poszedł dym, Seweryn wykrzyknął:

- Pali się!

- Rzeczywiście - powiedziała, ale nie zdołała swojemu głosowi nadać odpowiednio obojętnego brzmienia. Jeszcze się zanadto tym przejęła.

Powiedziała nawet:

- Moja wina, zagapiłam się.

I pokiwała głową, gdy

Seweryn obliczył w pamięci przypuszczalną stratę.

Nazajutrz odbył się pogrzeb.

*

Nie pisz więcej na maszynie i wróć do twojego starego pióra.

Dziś, zamiast pracować, czytałem: nowelę Prusa (bardzo nudna i świetnie napisana - widać, że pisane dla pieniędzy, że płatne od wiersza, albo nawet zamierzone z góry na pewną objętość), wyjątki z Simon Weil, w szczególności z Cahiens [...] - i napowrót dałem się porwać jej

powadze, świętości i czystości.

Ale nic nie zrobiłem.

Źle jest ze mną. W Simon Weil szukałem jakiegoś nakazu pracy, jakiejś nadnaturalnej racji do tej nienaturalnej czynności jaką jest pisanie.

Nie znalazłem nic poza zdaniem o tym, że żadna praca trudna nie może odbyć się bez aktów gwałtu na sobie.

To jest ważna myśl, gdyż kiedyś (kiedy?) uwierzyłem w to, iż tworzenie jest właśnie naturalną czynnością, spontaniczną - i dlatego musi sprawiać przyjemność i odbywać się w

optymalnych warunkach. Wręcz przeciwnie! A ponadto nie znosi odpoczynku! Odpoczynek to śmierć pomysłu, natchnienia energii twórczej. Twórca nie odpoczywa nigdy! Ze wszystkich czynności twórczość najbliższa jest wszakże trwałemu samoudręczeniu.

Tego się trzymaj.

27.9.

24-rocznica śmierci mojego ojca.

Rozpocząłem dzień o 6-tej od odczytania w półmroku fragmentu

modlitwy św. Tomasza z Akwinu "Boże spraw, abym tego co się tobie podoba bez ustanku dociekał ... "

Wczoraj u Justysi na imieninach, Joasia, Jacek Sempoliński i chłopcy: Andrzej, Paweł, Sergiusz. Najzabawniejszy ten ostatni: kusooki, ironiczny, bezczelny, dużo wie.

Mówiliśmy o Prymasie, o którego chorobie krążą tylko pogłoski. Turowicz powiedział mi, że jest pełen najgorszych myśli, a wiadomości nie otrzymuje żadnych.

Zresztą dzień minął na

męczarniach. Wola nie działa.

Ale oświadczenie w sprawie KOR-u w końcu napisałem.

*

Telewizja i radio nadawały sprawozdanie z uroczystości na żywo od wczesnego ranka. Marta nie wyszła tego dnia na zakupy, sprzątając mieszkanie, słuchała żałobnych rozmów i żałobnych głosów zmieniających się wciąż spikerów i raz wraz zaglądała do telewizora, w którym zresztą długo nic się nie działo. Pokazywano fotografie i filmy z

życia prezydenta. Skoro rozpoczął się właściwy reportaż pogrzebowy, Marta z bielizną do naprawy zasiadła przed telewizorem.

Teraz była z prezydentem sam na sam.

Kamera telewizyjna pokazywała tłumy skupione na chodnikach i okna pełne głów, i długi, nieskończony orszak delegacji niosących wieńce; w tym tłumie były jej dzieci, którym na polecenie szkoły, sama dziś wpinała czarne kokardy u rękawów; był tam też Seweryn, któremu przygotowała termos z

gorącą kawą do teczki, aby nie przemarzł na dżdżystej zimnej pogodzie. Ale kochająca była ona jedyna.

Uzurpowała sobie tę miłość, jak on niegdyś władzę. Sprawowała ją bez niczyjej kontroli, jak on swoją władzę, i nie zamierzała, jak on, nikomu ze swojej miłości zdawać sprawy, jak on ze swojej władzy. Całe swoje życie skupiła teraz wokół trumny prezydenta, jak gdyby śmierć jego miała nadać sens i wartość jej przyszłym, pracowitym dniom i zawiedzionym uczuciom. Słuchała marszów, syren fabrycznych, chórów, przemówień i komentarzy mówionych tym samym uroczystym tonem co komentarze i wszystkie odnosiła do siebie - nie co do słów, bo nie miały i nie mogły mieć związku z jej życiem, w którym nie było ani wiernej służby poświęconej krajowi od najmniejszych lat, ani mroków konspiracji, ani długoletniego więzienia i wygnania, ani wojny domowej, ani zwycięstwa, ani walki z wrogimi frakcjami, ani długich potem lat nieoficjalnej władzy nad krajem sprawowanej przez długie lata, w ciągu których ona, Marta nie pamiętająca

mrocznych i burzliwych początków owego władania, przeżyła całe swoje młode i niemłode życie i urodziła troje dzieci, które dziś posłała na miasto, aby zajęły swoje miejsca w nieprzejrzanych tłumach, na pozór bezładnych, a w rzeczywistości ustawionych w kolumny i dobrze strzeżonych przez ludzi z opaskami na rękawach, z odznakami w klapach i pod klapami marynarek.

W ciągu owych lat wokół prezydenta rosła nienawiść. (*) "Zamyśliłem się ", czyli zagapiłem i zupełnie straciłem wątek. Nie wolno tego robić!). Przypisywano mu winę za wszystko, co się w minionych latach nie spełniło, nie udało, nie rozwinęło, nie zbiegło w całość, nie ułożyło w zwarty i logiczny porządek. Była w tym oczywiście, jego wina; za wiele wziął na siebie. Wziął na siebie odpowiedzialność za całe życie 30 milionów, którymi rządził. Szczęśliwi i zdrowi nie będą mu wdzięczni za to, czego odeń nie dostali, a chorzy i nieszczęśliwi jego obarczą winą, za cierpienia i kłopoty, których im nie wyrządził. Wszyscy złączyli się przeciw

niemu w nienawiści, która z polityczną nie miała nic wspólnego, gdyż nie uprawiała się ani w publicznych krytykach (na które nie zezwalała cenzura), ani w wiecach (których zakaz trwał od czasów wojny domowej), ani w tworzeniu opozycyjnych partii, czy organizacji, zakazanych zresztą przez obowiązującą wciąż ustawę wyjątkową, ani nawet w konspiracji, do których brakowało chętnych i zdecydowanych. Nienawiść do prezydenta nie miała żadnych form. Przenikała całe życie narodu, który wziął pod swoją surową lecz niezbyt okrutną kuratelą. Nienawiść polegała na tym, że imię jego wymawiano tylko z nienawiścią, że sobie tę nienawiść komunikowano. Za pomocą umownych znaków i łatwo rozpoznawanym brzmieniem głosu; nienawiść stała się powszechnym stylem bycia, stylem prawdziwie narodowym, rodzajem folkloru, cechą rasową, po której rozpoznawali się, w której łączyli się, w imię której okazywali sobie wzajemnie ufność, przyjaźń i miłość.

(*) Znów straciłem kompletnie wątek na skutek idiotycznego "odpoczynku", czyli zagapienia

się na mapę Paryża, którą ten kretyn (Jędrek) rozłożył pod szybą na biurku. W jego opuszczonym pokoju teraz piszę aby nie budzić Kazi).

*

Teraz muszę:

1. Iść z psem na zastrzyk.
2. Odwieźć Kazię (może sama pojedzie).
3. Przepisać i poprawić oświadczenie.
4. Porozumieć się z Bieńkowskim.
5. Wziąć z redakcji numer Polityki z artykułem Kowalczyka.

6. Przeczytać jeszcze raz książkę o inteligencji.
7. Przejrzeć Cywińskiego "Żywoty niepokornych".
8. Przeczytać Rotschilda co pisze o inteligencji i zajrzeć do jego bibliografii.
9. Zajrzeć do BUW (Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego? - przyp. KK) - do katalogu rzeczowego pod hasło "inteligencja".
10. Napisać felieton, lub artykuł o inteligencji, wydaje mi się to ważny temat. W latach, które nadchodzą, inteligencja odegra rolę kluczową.

- Następna rewolucja będzie "rewolucją inteligencji". Taka będzie nasza rewolucja, jaka będzie nasza inteligencja.

Inteligencja ma w rękach coraz więcej kluczy do współczesnej gospodarki i funkcjonowania współczesnego społeczeństwa (informatyka, socjologia, ekonometria, nie mówiąc o biologii, chemii i fizyce), a wciąż drugorzędne miejsce w hierarchii społecznej - po robotniku, chłopie i aparacie partyjnym. Wyraża się to również w płacach.

Pozatem to jest warstwa, która potrzebuje wolności i jest zdolna o nią walczyć. O inteligencji trzeba pisać dużo i ciągle!

Opowiadanie, które piszę jest o nienawiści, jako klimacie moralnym, [...] ; Marta próbuje się z niego wyzwolić, ponieważ jako kobieta jest predestynowana do miłości. Szuka zasady miłości. Potrzebna ci lektura Fromma i ... Św. Augustyn?

*

Felieton dla T.P. o inteligencji? O szkole wedle książki Wierzbickiego? O inteligencji.

Do przeczytania:
1. artykuł Kisiela,
2. artykuł

28.9.

Napisałem wczoraj oświadczenie w sprawie KOR-u. Zaniosłem Kisielowi. Kisielowa taka miła, serdeczna. Był Z. Przyniósł masę do czytania. Wszystko to źle napisane. Każdy, zaczyna od pieca i bardziej dla siebie pisze, aby swojej złości i tajemnej wiedzy dać upust, niż aby innych oświecić, powiedzieć, czy ułatwić im myślenie. Moja w

tym wina. Wieczory w domu są bez sensu. Kazia przeszkadza, telefony przeszkadzają, telewizja przeszkadza, sam sobie przeszkadzam. Jedyną sposobną porą do czytania są przedpołudnia. Od 11-15 prawie zawsze masz czas. Wtedy czytaj, bo pisać i tak nie możesz.

Dzisiaj przeczytam Konwickiego. Albo pójdę do Biblioteki przygotować się do felietonu.

*

Pogrzeb w telewizorze. Jej

wiedza o prezydencie i o uczuciach, które go otaczają. Zamieszanie przed domem. Dzielnica, w której mieszka, składa się z will wyższych funkcjonariuszy.

Albo nie: Marta chodzi sprzątać w willach wyższych funkcjonariuszy.

Jest zupełnie sama w willi "swojego", którego nie ma tam dziś, bo wszyscy poszli na pogrzeb.

Jest z nią tylko ubek pilnujący domu, jak zawsze, który z nudów próbuje ją zaczepiać. Marta zazwyczaj go odpędza, dziś mu ulega z miłości do prezydenta. Tak jakby Jemu samemu uległa, ponieważ ubek zwierzył się jej również z miłości do prezydenta, w którego obstawie chodził, gdy był młodszy.

Nie, nie zwierzył się z miłości, lecz obojętnie, jak hydraulik ze swojej pracy, mówił o tym, jak go chronił, i o tym jak się prezydent bał.

Potem ubek rozbierając ją opowiada o figlach i świństwach prezydenta; demaskuje przed nią system. Niszczy jej miłość. Marta oddaje mu się z nienawiści i rozpaczy.

W ostatniej chwili ubek powiedział jej o prezydencie coś tak strasznego - np. że był zboczeńcem, czy impotentem - że Marta swego kochanka zamordowała.

Proces odbył się w największej tajemnicy. Dla wymiaru sprawiedliwości był to ciężki orzech do zgryzienia: mord na zasłużonym pracowniku tow. R.? W willi I sekretarza? W dzień pogrzebu prezydenta? Obrona przed gwałtem? Marta niejasno potwierdzała, płacząc wciąż; ale wersji tej stanowczo sprzeciwił się Wydział Spraw Wewnętrznych.

Na szczęście runął tymczasem system.

Zaczęto ogłaszać rewelacje dotyczące życia prezydenta i tajemnic systemu, a zwłaszcza roli aparatu bezpieczeństwa.

Wille pozostały puste: Marta straciła pracę. Jej mąż - szofer - również.

Za to dzieci miały używanie na wiecach. Całymi dniami nie było ich w domu.

Życie zamarło w schludnym mieszkanka przy ulicy 17 maja. Seweryn i Marta prawie nie rozmawiali z sobą. I nawet w telewizji nie było co oglądać. Nic

tylko wiece i dyskusje.

*

Inteligencja.

Elita umysłowa, czy grupa zawodowa?

Osobliwość polska, czy powszechna?

Zjawisko w procesie zanikania czy wzrostu? O rosnących, czy malejących aspiracjach?

R. Czepalis-Restenis w przedmowie do książki "Klassa umysłowa Królewstwa Polskiego 1832-1862" (Warszawa 1973) cytuje takie określenie inteligencji

z roku 1861: "Jakiego rozumienia wymaga nasze społeczeństwo u członków swoich, aby ich nazwać mogło inteligencją? ... zapytuje autor podpisujący się G. Ch. - Jestem pewny, że gdybym przeszedł wszystkie ziemie dawnej Polski od końca do końca z tym zapytaniem na ustach, wszędzie by mi odpowiedziano: wymaga rozumienia sprawy narodowej, ukochania jej, pracowania i poświęcenia się dla niej. Słowem, wymaga miłości Ojczyzny [...], która rozgłos i cześć "zjednała" nam u wszystkich narodów."

Pojęcia tego używa się w odniesieniu do Polski i Rosji w szczególności; w literaturze zachodniej występuje termin "intelektualiści".

Uwaga: zdaje mi się, że obecnie w Polsce dokonało się rozwarstwienie inteligencji na grupę zawodową szeroko rozumianą w zacierających się coraz bardziej gremiach z powodu upowszechnienia wykształcenia średniego, oraz "intelektualistów", tj. grupę której życie umysłowe jest własnością publiczną. Każdy może przejść kryzys ideowy, ale inteligencja robi to podobnie i nadaje temu umyślnie rozgłos. Każdy może zachwycić się książką Martineza, czy "odkryć" Gombrowicza, ale intelektualista robi z tego modę. Każdego oburzają negatywne zjawiska społeczne, a cieszą dodatnie, ale intelektualista uważa, że musi dać temu wyraz.

Dlaczego?

Jest to związane z paroma zawodami. Tu już wchodzi tradycja.

Ale to nie tylko rosyjska tradycja. W polskiej i rosyjskiej tradycji leży utajone życie intelektualne. Emisariusze,

wykładowcy latających uniwersytetów, siłaczki i judymowie; Lewinowie - to jest owa polska i rosyjska inteligencja, warstwa tępiona, ścigana i masakrowana, bowiem będąca gwarantem życia narodowego i politycznego.

Jedyna różnica. Jedyna przyczyna, dla której - jak pisze Jacek Żarnowski ("Struktura społeczna inteligencji w Polsce w latach 1918-1931 - na zachód od Łaby nie wytworzyła się właściwie warstwa inteligencji w kształcie takim, jaki przybrała w krajach środkowej i wschodniej Europy.

Jak to jest dzisiaj?

Ponieważ amatorów na dyplom jest więcej niż miejsc na uczelniach, wykształcenie wyższe ma u nas charakter przywileju" - A. i A. Wróblewscy, Dyplom w herbie, W-wa 1972.

"Ponad połowa absolwentów studiów dziennych pochodzi ze środowisk inteligenckich, chociaż ta warstwa w całym społeczeństwie stanowi 20-30%. "

" ... Prestiż społeczny wyższego wykształcenia jest większy niż pozycja inteligencji w ogóle".

*

Andrzej Boruski: Kariery zawodowe i postawy społeczne inteligencji w PRL, 1967.

(*) Przenieść pod definicję z 1861. (*)

"Funkcje społeczne XIX-wiecznej inteligencji polegały w zasadzie na stworzeniu i utrzymaniu rodzimych wartości kulturalnych, łączących naród. ... Zadania zawodowe nie były przy tym czynnikiem najistotniejszym w kształtowaniu charakteru tej warstwy jako całości. Stąd też nie

lekarze, prawnicy i inżynierowie, wysoko kwalifikowani administratorzy i organizatorzy wysuwali się na czoło inteligencji, lecz pisarze, publicyści, pracownicy nauki i artyści. Oni stanowili trzon przodujący inteligencji, a inne kategorie, jak wolne zawody, nauczycielstwo, urzędnicy wszelkich stopni i rodzajów, stylizowały swoje życie według ich ideałów. "

Zginęło ok 35% " ludzi wykształconych".

Uwaga:

1. Inteligencji będzie przybywać.
2. Z pośród owej inteligencji coraz

więcej jednostek będzie chciało odgrywać rolę czynną i jawną intelektualistów.
3. Będzie się ujednolicać, standaryzować umysłowy status intelektualisty w duchu "humanizmu", demokracji, tolerancji etc.
4. Będzie się też spłycał.

Straty wojenne inteligencji były takie, że - jak pisze J. Szczepański - "nie mogła ona się już odrodzić i zająć dawne miejsce w strukturze społecznej narodu bez względu na to jakie byłyby warunki ustrojowe."
(*)

29.9.

Zmarnowany ranek. Za późno wstałem. Wczoraj "Twarzą w twarz" Bergmana - seans psychoanalityczny połączony z wykładem mistyczno-moralnym o miłości i śmierci. Potrafił wzbudzić we mnie lęk - a to dużo - lęk, który objawił się np. dziś rano prawdziwym paroksyzmem, gdy okazało się, że nie mam tego notesu. Nie przeraziłem się tym, że zgubiłem notes, lecz tym, że do tego dopuściłem, i że stwierdziwszy to, w pierwszej

chwili nie przejąłem się bardzo.

- Więc do tego doszło? - pomyślałem nagle. - Wyjęto mi i zarzucono gdzieś, lub zabrano część duszy, część mózgu, moje słowo, moje wzruszenia i natchnienia, a ja myślę o tym obojętnie, jakby chodziło o starą gazetę, o wiele obojętniej, niż gdyby to chodziło o 100 złotych!

I pomyślałem wtedy, żem jest już częściowo trupem, któremu obojętne, co mu wycinają, co zabierają.

*

Borucki:

wg Szczepańskiego inteligencja składa się z

a) twórców kultury,

b) ekspertów,

3) organizatorów życia społecznego.

Pierwszych w r. 1958 było 60.100

drugich 323.300

trzecich 324.700

Niewiadomo dlaczego inżynierów i techników zalicza do drugiej kategorii.

*

L.G. Chuschward: the Soviet Intelligentsia. London 1973.

Przewiduje wzrost inteligencji (do 80 milionów ok. 1980 r), a w jej łonie rozrastanie się jej naukowych "oddziałów" kosztem czysto technicznych; przybędzie socjologów, matematyków, cybernetyków, informatyków, fizyków, chemików. Ubędzie mechaników. Zwiększą się związki tej inteligencji z aparatem co zmusi aparat nie tyle do liberalizmu, ile do ostrożniejszej, bardziej wyszukanej polityki.

T.R. Fyvel: Intellectuals today London 1968.

Co to jest inteligencja.

Znowu uwaga, że pomimo różnych zaostrzeń i ironizowania na ten temat, jest to słowa zrozumiałe po dwu stronach Atlantyku i zarówno na wschodzie, jak na zachodzie.

[Są to ludzie - zwołują się jakimiś hasłami: gaullizm, Lenica, Siniawski-Daniel, Kennedy].

"In intellectual is a person who is fascinated by general ideas and wants them to be as interesting and influential as posible".

Zwracam uwagę na czynnik liczbowy; sukces Haralda Pintera i Johna Osborna, był o tyle większy

z punktu awangardy lat czterdziestych o ile większa była publiczność. Auoler (Auder?) opublikował pożegnalną odę na śmierć, Luisa-Mac-Neica w niedzielnym dodatku do gazety codziennej ...

The affluent society (prof. Galbraith).

Martin Malia: What is the Intelligens.

(w "the Russian Intelligentsia" ed. by Richard Pipes, Columbia Un. Press, 1961)

Termin wszedł w użycie w latach czterdziestych. Pre-inteligentami była zbuntowana

szlachta z czasów Katarzyny i Aleksandra (dekabryści); ale wszyscy oni służyli w wojsku, lub na dworze. Za Mikołaja znaleźli się na uniwersytetach, bo wojsko i rządy stały się kompromitujące. Tam zmieszali się z wychodźcami z klas niższych - z chłopstwa, kleru, kupiectwa. Złączyły ich idee, w które wierzyli, i które dyskutowali na poziomie moralnej wyższości.

Cyfry: w 40-tych - 3.000/40 mil.

60 - 4.500/

70 - 5.000/75 mil.

Dwa czy milion formalnej

inteligencji: uniwersytety i lektury a to styl i uznanie.

W końcu inteligencja stała się klasą wypędzonych studentów; ocenzurowanych dziennikarzy, którzy z desperacji zeszli do [...] konspiracji.

Problem inteligencji: niezadowalający ruch elit.

Nadprodukcja "indywidualności", filozofów jak na potrzeby biurokratycznego państwa.

30.9.

Wczoraj u prof. L.

Zobaczyłem "dawnych Polaków" w akcji. O, to groźne! Tępota, agresywność, zła wola, podejrzliwość, przemożna chęć wybijania się, zupełny brak umiejętności przemawiania, jasnego formułownia swoich myśli, chaos pokonywany pozorami porządku, tj. porządkiem formalnym. I zawsze to samo: pyskują najgorsi, a najlepsi siedzą cicho. Młodzi kryją się za plecami starszych, trzymając się kurczowo autorytetów, nazwisk - przede wszystkim nazwisk. Jest to tym przykrzejsze, że - jak wiadomo -

właśnie ci milczący młodzi robią wszystko skryci za fasadą tej parodii politycznej.

Wilga, 1.X.

"Głos w dyskusji o roli i znaczeniu inteligencji".

Opowiadanie:

1. idę sobie beztroski ... spotykam dziwnego człowieka ...

2. Był lipiec 1944 roku. Skończyłem właśnie handlówkę, gdzie panował raźny duch pozytywistyczny, gdzie pokpiwano z przedwojennych gimnazjów ogólnokształcących.

Miałem więc poczucie dobrze spełnionego obowiązku na teraz i na potem, gdy nagle ten człowiek zadał mi pytanie:

- A co ty właściwie, chłopcze, robisz?

Kto to był? Dziwak, pedał, czy Atene polska? Usłyszawszy moją odpowiedź, aż podskoczył z oburzenia.

- Jak to: za dużo? Teraz kiedy giną tak strasznie?

Pojawili się żołnierze niemieccy ciągnący armatkę ręczną. Byli to moi rówieśnicy.

Obcy pan przygnał do mnie i powiedział.

- Jak patrzą na ciebie ... Chcą się przed tobą pochwalić swoją armatką ... Ale ci zazdroszczą wolności.

Kto to był ten pan? W każdym razie inteligent. Miał pogląd, który chciał upowszechnić.

To wszystko.

Wilga, 3.X.

Napisałem Dedala i felieton do TP. - oba o inteligencji, oba za długie, oba bardzo niedobre.

Wczoraj byli tu Najderowie. Było sympatycznie, przyjaźnie, trochę nudno. Kazia podała barszcz i zimne mięso, piliśmy wino i wódkę. Siedzieli do zmroku. Dziś rano Kazia odjechała do Warszawy. Przed jej odjazdem myłem "exspresowo" samochód, który ktoś w Warszawie zasmarował twarożkiem, a gdy już odjechała, karczowałem drzewa. Wykopałem trzy dorodne sosny, jedną ściąłem siekierą. Zjadłem jajko, położyłem się, czytałem Konwickiego, zasnąłem. Teraz jest czwarta. Wypogodziło się trochę po deszczu. Siedzę na górze, będę czytał dalej Konwickiego.

*

Konwicki "Kompleks polski". (Zapis).

106-107 - narody z fartem i bez fartu.

107 - "A do diabła z tą niespełnioną kartą despotów i tyranów ... ".

*

Przeczytałem "Kompleks polski".

Moje uczucie: przykrość.

Tylko tyle da się wycisnąć z naszej wściekłości?

Gniew źle skierowany.

Opowieść złożona z samych fikcji: fikcja siebie, fikcja sytuacji, fikcja sytuacji generalnej.

Inaczej: nadwyżka fikcji nad realnością. Nadwyżka mistyfikacji.

Konkretnie: to nie jest Konwicki, ale ktoś inny; historia z pierścionkami i wszystko, co się zdarza jest nieprawdziwa; ustrój, jaki został odmalowany w liście Seweryna, jest nie ten, o który naprawdę chodzi.

Oczywiście, fikcja (mistyfikacja) jest zawsze wehikułem prawd o które

pisarzowi chodzi. Tu jest jakby nadmiar tej mistyfikacji. Nadmiar deformacji.

Jest jakaś granica poezji, która jest transformacją prawdy, a bujdą, która jest pseudo prawdą.

Wszystko to jest "bujdą": nawet ta obsesja umierania i starości, nawet rozważania historiozoficzne o narodach z fartem i bez fartu, nawet kłótnie z Bogiem.

Malowidło na niezagruntowanym płótnie: farba się rozlewa, tani kolor, zacierają się kontury.

Nadmiar zdań ogólnych - butady, hyperbole.

Wilga, 19.X.

Siedzę tu już od dwóch tygodni, albo nawet dłużej, i nic nie zrobiłem, nie licząc pewnej ilości wykopanych dołków i zrytych szpadlem metrów kwadratowych naszej jałowej gleby.

"Syn nieznanego żołnierza" jest bez sensu. Wszystko, co piszę, jest krypto-liryczne; próbuję pod rozmaitymi postaciami pokazać siebie w wieku dojrzewania, który to wiek wydaje mi się wciąż

niesłychanie tajemniczy i głęboki. Jest to, po pierwsze, bujda, a po drugie robią to wszyscy (e.g. Konwicki), i ja, wstępuję w ich ślady, powielam tylko stereotypy.

Nowy, a w każdym razie nowoczesny rodzaj powieści, polegać powinien na obiektywiźmie; winien połączyć metodę narracji powieściowej z metodą socjologicznego studium. Jak jednak poradzić sobie w takim wypadku z narratorem? Kto to powinien opowiadać?

Ten kto wie wszystko - tj. powieściopisarz.

*

Pisząc kiedyś w Oborach jakąś bardzo głupią, "gombrowiczowską" powieść, którą zresztą zarzuciłem, wynalazłem metodę, którą stosowałem potem skutecznie w pisaniu scenariuszy; piszę krótko całą powieść od początku do końca, z tym, że zrazu ma ona 5 stron, które następnie rozwijam do dowolnych rozmiarów. Nie wiem dlaczego nie stosuję jej przy pisaniu "prawdziwych" powieści; uważam ją pewnie za niepoważną, a pozatem kłóci się ona właśnie z

ich krypto-lirycznymi założeniami.

Tymczasem tylko ta metoda jest naprawdę podniecająca ponieważ pozwala mi odczuć całość; daje satysfakcję tworzenia owej całości. A przecież na tym polega właśnie przyjemność pisania powieści.

Artur powiedział mi kiedyś, że trzeba napisać pierwsze zdanie tak dobre, aby miało się ochotę napisać następne. Nieprawda; nie ma żadnej gwarancji, że następne będą dobre. Tak właśnie napisałem "Dziecko": Miasto nad rzeką Wisłą etc. ...

Trzeba powziąć plan na tyle atrakcyjny, aby warto go było zrealizować; nie rozstawać się z nim nigdy i wypełniać stopniowo. Postępować podobnie jak malarz, czy rzeźbiarz, który ma przed sobą zawsze całość i raz pracuje nad tym, raz nad owym szczegółem. Tylko tak można uniknąć nudy n i z a n i a zdań na sznureczek i tego, że owe zdania wodzą mnie na swoim sznureczku.

Wilga, 20.X.

Wczoraj: 9 stron pierwotnego planu (prapowieści), z czego

powstało 19 stron planu wtórnego.

Przystępujemy do podwajania.

Jeżeli zamiast "Przeprowadzka nastąpiła ... ", czy "odbyła się", lub zamiast "przeprowadzono się" ..., "bank przeprowadził się ", napiszę "Przeprowadziliśmy się we wrześniu ... "

W zasadzie implikuje to wprowadzenie następnie narratora osobnego, który musi mieć swoje miejsce w opisywanym świecie, i swoją rolę w grupie. Ale gdyby tak wymyślić właśnie nowość: narratora zbiorowego, opowiadającego dzieje gromady, zjawiska, struktury społeczne,

egzemplifikującego te dzieje, wskazującego palcem na tę lub ową osobę, narratora wszędobylskiego i wszechwiedzącego, ale wyposażonego w ruchliwość i wszechobecność taką, jaką może mieć miejscowy plotkarz, uważny świadek ... Rodzaj "on dit".

Podobnie można opowiedzieć historię Polski: "Rozebrano nas trzy razy ... " Powstaliśmy w styczniu ...

Wilga, 21.X.

Od rana przykre wspomnienia

obsiadły mnie - ale nie domowe, nie, raczej te gorsze, te "naprawdę" osobiste, by nie intymne.

Ilekroć się nad tymi sprawami zastanowię, uznaję siebie za zupełnego kalekę i niewolnika.

I uniewinniam się prawie całkowicie. Miałem w tym wszystkim zawsze rację. Mogłem wydawać się żałosny. Moja racja była i praktyczna, i moralna. W żadnym ze wspomnianych wypadków nie powinienem był, lub nie mogłem postąpić inaczej. Smoleńsk? Groble? Wielicka (czy Limanowskiego); czy może

Pędzichów? Jak miało być? Co się miało stać? Gdyby mnie to dziś spotkało, nie zachowałbym się inaczej.

Dominującym uczuciem był zawsze wstyd. Zawsze miałem wrażenie, że mam przy sobie krytycznego świadka. I ze względu na niego nie mogłem postąpić inaczej.

Mogę powiedzieć, że miałem pecha. Ale ów "pech" polega na przyciąganiu do siebie pewnego rodzaju wypadków.

*

Nb. wobec tak kalekiego życia osobistego nie wolno mi, pod żadnym pozorem, pod żadnym przebraniem, pisać o sobie. To, co mam o sobie do napisania, jest po dziś dzień dla mnie niewyrażalne. A zatem nie.

Tym ciekawszy, tym bardziej zbawienny jest rodzaj powieści, który wymyśliłem: powieść obiektywna.

"Opowiadać to tylko, co jest widoczne, to, co da się zarejestrować, spostrzec, stwierdzić. Dla każdej informacji mieć źródło.

Powieść jakby z cudzych

relacji, z powołaniem się na nie ...

Nie wiem jeszcze dokładnie, czuję to.

Gdybym taką powieść napisał - uzasadniłbym lata męki, poszukiwania, straconego czasu.

*

Ale niektórych ucieczek myśli usprawiedliwić się nie da. Dzisiaj, oprócz tych przykrych wspomnień, które w końcu uznałem za konstruktywne, miałem:

wspomnienie szkolne, które zaczęło się od pewnego

powiedzenia Lechunia Wawrzeckiego,

wspomnienie polityczne, które zaczęło się od jakiejś pindy z ambasady w Paryżu, a poprzez Ochęduszkę doprowadziło mnie do Gottesmanna i Hollanda.

Tego już za dużo.

Po drodze miałem jeszcze wizję straszliwego wypadku, któremu na moich oczach ulegnie Jaroszewicz; i albo umrze na moich rękach, albo będzie mi zawdzięczać życie.

Bardzo się przejąłem tym zdarzeniem.

Nie wiem jak się wyswobodzić

od brzemion otaczającego mnie idiotyzmu.

4.XI.77.

Felieton w TP o terrorystach został skonfiskowany. Poprzedni o inteligencji także. A jeszcze poprzedni ("Kościuszko i kot") sam sobie skonfiskowałem.

Teraz powinienem napisać coś śmiesznego.

*

(czerwonym długopisem - przyp. KK.)

"Duch wrażliwy, nie dość jeszcze trzymający się cnotliwości, powinien być odsunięty od tłumu: może łatwo przejść na stronę większości". (Seneka, listy moralne).

*

"Nikt prócz mędrca nie jest zadowolony z tego, co ma; każdy głupiec wysila się, aby obrzydzić sobie swój los". (Seneka, tamże).

*

"Unikaj wielkich gromad ludzkich, unikaj małych grupek, unikaj nawet jednego człowieka".

*

"Nawet ta jedyna zaleta samotności, że się nie obawia donosiciela, odpada, gdy idzie o głupca: ten sam się zdradza". (Seneka).

*

"Żyj z ludźmi tak, jakby widział to Bóg; rozmawiaj z Bogiem tak, jakby słuchali tego ludzie". (Seneka).

*

"Cóż obchodzą cię cudze poglądy? Co jest prawdziwe, jest też moje". (Seneka).

(*) koniec czerwonego (*)

*

Wilga, 5.XI.

Ks. Józef Sadzik leży w szpitalu Przemienienia na Pradze po zawale. Dano nam o tym znać z Paryża. Pojechaliśmy we troje -

Kazia, Adam M. i ja - odszukać go tam. W księdze przyjęć odnotowano, że "nie pozostał w szpitalu", na telefoniczne pytania poszczególne oddziały odpowiadały, że nie wiedzą co się z nim stało. Poszlibyśmy sobie spokojnie do domu, gdyby nie Kazia, która uparła się, aby sprawdzić osobiście na III wydziale wewnętrznym, gdzie - wedle owej księgi - miał się znaleźć po przywiezieniu go i stąd miano go wypisać. Tam znaleźliśmy go leżącego bez ruchu, w ostrym pozawałowym reżimie. Dostał zawału w noc

przed odlotem do Paryża; czując, że z nim źle wypadł na miasto szukać taksówki, aby odrazu, póki jeszcze dycha, dostać się na lotnisko. Pamięta, że owej taksówki nie znalazł, ale nie pamięta jak znalazł się na powrót w domu. Nie wie jak długo leżał z bólem rozsadzającym mu piersi, a był to chyba cały dzień następny i cała noc. Wreszcie o 5 rano następnego ranka zadzwonił do Elżbiety Osterwianki, która sprowadziła pogotowie, pallatynów etc.

Teraz już lepiej. Odwiedzamy go codziennie. Opowiada ciekawe,

smutne, a nawet straszne rzeczy o Ks. St. W. Boi się podobno krwawych wydarzeń w kraju i czuje się za nie z góry odpowiedzialny. Jest głęboko zawiedziony i urażony polityką Watykanu. - Musiałem dożyć starości, aby zwątpić w "słuszność polityki papieskiej". Teraz starają się o jego względy władze. Zanim doszło do jego spotkania z Gierkiem, wydano zezwolenie na budowę 30 kościołów w archidiecezji warszawskiej i na sprowadzenie 400 tysięcy katechizmów z Francji, które właśnie X. Sadzik wydał.

Sadzik dziwi się naszemu rozigraniu. Obawia się, że polska opozycja rozdrobniona straci na wyrazistości, którą wobec opinii zachodniej uzyskał np. KOR. Tłumaczyłem mu, że istotą antytotalitarnej opozycji musi być dążenie do pluralizmu.

Wczoraj zjawiła się Elżbieta Lederowa. Wygłosiła 6-godzinny monolog o życiu w kloace. W czasie procesu Jurka i towarzyszy na sali były 3 żony oraz policjanci w cywilu, a na wniosek adwokata, aby wpuścić syna Jurka, sąd odbył naradę, po naradzie zaś zwrócił się do prokuratora z zapytaniem czy można zezwolić. Rozprawa była otwarta! Sąd naradzał się również czy wolno oskarżonemu Lederowi przynieść szklankę wody. I został po coś posłany ... adwokat!

Oto Vonest nie miał nigdy nic wspólnego z ruchem opozycyjnym. Jego żona - aktorka - utrzymała w tajemnicy jego aresztowanie. Pogłoski o tym rozeszły się razem z pogłoskami o tym, że w śledztwie O. Vonest kompromituje wszystkich przyjaciół i znajomych. Przed sądem zeznawał gładko, wysłuchiwany przez sąd z wyraźną satysfakcją. Sypał

nazwiskami jak z rękawa. Nb. Havel również przyznał, że jakiś tekst przekazał na zachód za pośrednictwem Lederera. Ten nie sypnął nikogo, trzymał się twardo swojej linii obrony, tj. zaprzeczaniu swej winie. Twierdził, że nie działał na szkodę państwa, ani socjalizmu i usiłował opowiedzieć swój życiorys. Przerwano mu i nie dopuszczono więcej do głosu.

Elżbieta była przy aresztowaniu Jana Patoczki. Odwiedzała go w wieczór tego dnia, kiedy on właśnie widział się z holenderskim ministrem J.Z. Był bardzo rozradowany tą rozmową. Około 11 w nocy przyjechało bezpieczeństwo.

W czasie pogrzebu nad cmentarzem krążył helikopter, na pobliskim boisku włączono świdry pneumatyczne, a w czasie rzucania grudek ziemi funkcjonariusze bezpieczeństwa fotografowali i filmowali z bliska podchodzących do grobu.

Wracając jeszcze do Lederera. W lecie odbył on ze swoim śledczym kilka rozmów, które zdawały się zapowiadać zupełnie inną politykę. Śledczy stwierdził, że w kierownictwie są ludzie

szukający jakiegoś rozwiązania obecnej sytuacji i zapewniał go, że ci ludzie, których utwory przekazywał na zachód, będą wkrótce publikować. Odwlekanie procesu również zdawało się zapowiadać amnestię, podobną jak w Polsce.

Pytanie czy ten proces nie miał na celu utrudnienie sytuacji komunistom włoskim i francuskim i ostateczne udaremnienie ich szans w nadchodzących wyborach. Nie ma innego wytłumaczenia racjonalnego na odbycie go właśnie w czasie konferencji belgradzkiej; charakterystyczne,

że korespondent "L'Humanite" nie dostał wizy.

Dziś rozmowa z Z. A więc - idziemy na całego.

*

Co z tego wszystkiego wyniknie?

Przewidzieć się nie da.

A więc może wyniknąć to, co chcemy.

Czego chcemy? Żeby ciocia Mania zdechła, czyli:

1. upadku systemu,
2. rozpadu ZSRR,

3. uzyskania przez Polskę wolności stanowienia o swoim losie.

Jakie mamy przesłanki, aby wyczekiwać w ogóle takiego obrotu rzeczy?

Ad 1) System nie funkcjonuje,

Ad 2) ZSRR nie wywiązuje się ze swej roli supermocarstwa.

To, że system nie funkcjonuje wie już każde niemowlę w żłobku.

Pragmatyczny i rzekomo technokratyczny reżim Breżniewa, Gierka, Honeckera, Husaka etc. poniósł klęskę na ostatniej linii obrony: już nie było mowy ani o ideologii, ani o reformach

strukturalnych; postawiono na współpracę z zachodem oraz na fachowców z kraju. I nic z tego nie wyszło, ponieważ, rozbiło się o aparat partyjny i jego frakcje, kliki etc., a ponadto o pieniądze.

*

Wilga, 6.XI.

Przy wycinaniu drzew pomysł na felieton: wycinam - lubię wycinać - po co? - aby zmienić perspektywę i zasadzić na ich miejscu coś nowego.

Niektórzy uważają mnie za

szkodnika. Niszczę bowiem to, co jest, a niewiele mam do obiecania wzamian. Ziemia jest słaba, sypka, nic wspaniałego tam nie wyrośnie. Natura wiedziała co zasiać, a ja, jeśli mi się nie podobają chude sosny i brzozy, powinienem wynieść się gdzie indziej.

Inni uważają moje zajęcie za niebezpieczne. Skąd wiem, czy sosna podkopana nie zwali się na mnie?

Nie wiem - oczywiście. Staram się o tym nie myśleć ...

Najciekawszy moment: kiedy zaczyna trzeszczeć ... Wtedy niewiadomo co się stanie: albo

trzeba będzie jeszcze długo kopać i szukać ukrytych korzeni, albo jeden cios wystarczy i drzewo runie z trzaskiem ...

Jak je zmusić, żeby upadło we właściwą stronę ...

Opisać różne rodzaje korzeni ...

*

Tytuł: "Gdzie drwa rąbią ... "

Wilga, 7.XI. g. 21:45.

Bezsenna noc. Czytanie Askenazego o X. Józefie. Ach, ten

trymfalny rajd Księcia Pepi po Galicji pod eskortą rosyjską! Oto romantyczny "pattern" polskiej polityki.

Polska w swojej niepodległościowej mrzonce może liczyć tylko na skłócenie Rosji z zachodem, a ściślej z tym mocarstwem, które akurat ucieleśnia ideę zachodniej dominacji nad Europą. Wtedy to była Francja, dziś to są jeszcze USA. Kto jutro? Też USA - jako gwarant EWG.

Ale EWG nie ma sprzecznych interesów z Rosją i ustępstwami w Europie wschodniej zawsze

zapłaci za inne ustępstwa, np. w kwestii zbrojeń strategicznych. Dla Rosji Polska jest żywotna, dla zachodu nie. Rolę Polski w napięciach między wschodem a zachodem przyjęła Jugosławia, a częściowo Berlin Zachodni.

*

Piłsudski = Poniatowski. Próba oparcia polityki na demonstracji wojskowej;

próba demokracji para-militarnej skierowanej przeciw administracji cywilnej;

próba zbudowania Polski na

konflikcie Rosji z zachodem i odegrania roli wysuniętej forpoczty - awangardy zachodu.

Zakończona niepowodzeniem i ... niezakończona nigdy?

Dlaczego?

Dlatego, że tak głupi są Polacy - jak się chętnie mówi na zachodzie i na wschodzie - czy dlatego, że nie powiodły się wszelkie inne próby?

Przecież Polacy próbowali ułożyć swe stosunki z Rosją!

Próbował Stanisław August.

Próbował ks. Adam Czartoryski.

Próbował Wielopolski.

Próbował Dmowski.

Próbował Sikorski.

Spróbowali Komuniści.

*

(*)

Napiszę książkę pt. "Krypta św. Leonarda"; Sobieski, Kościuszko, Poniatowski, i ten, który tam gościł, przez rok i niedziel sześć.

(*)

Wilga, 8.XI.

La Chutte.

Trudno. Widocznie to było silne.

*

Poglądy na dziś i poglądy na wczoraj.

Nowa sytuacja w Polsce: zróżnicowanie, skomplikowanie życia ideowego. Nie wystarczy dziś być przeciw. Trzeba jeszcze wiedzieć, a chce się robić, jak z jakim celem. Do niedawna za cały światopogląd wystarczyło, albo podzielanie oficjalnego optymizmu i oficjalnego krytycyzmu - "Polityki" jako substytut światopoglądu - albo popularny pesymizm i popularny krytycyzm.

Może lepiej: oficjalny krytycyzm i popularny krytycyzm.

Krytycyzm "Polityki" i krytycyzm taksówkarza.

Jak wygląda jeden, jak wygląda drugi.

Co je łączy, czym się różnią.

Pierwszy jest kompetentny, drugi konsekwentny.

Ale to nie wystarcza.

Nie wystarcza pierwszy - nawet aparatowi partyjnemu; nie wystarczy też drugi.

Oficjalny światopogląd jest

dziś skrajnie pesymistyczny.

Opozycyjny - naraz stał się szalenie optymistyczny, tylko w odwrotną stronę.

Potrzeba określania się.

Są ludzie, którzy uważają się za socjalistów. Ale prawdziwych.

Są tacy, którzy określają się za katolików.

Za narodowców.

Za piłsudczyków.

Za bonapartystów.

Co te terminy dziś znaczą?

Niewiele.

Jakbym zachował się w sprawie granic? Pewnie jak piłsudczyk. A jak w sprawie

Narutowicza? pewnie jak socjalista?

A w czasie zamachu majowego?

Pewnie jak endek bo bym też wojskowo-lewicowej awantury nie poparł. A w sprawie brzeskiej?

Jak endek i socjalista, raczej.

A w 1939 roku stać się na powrót piłsudczykiem, tj. wołającym o jedność narodową - militarystę.

robi to wrażenie

zabawy w politykę

żonglowanie słówkami.

Są to przywiązania, a nie poglądy.

Manifestacje werbalne. [...]

Sprawianie sobie ulgi ...

Poglądy na wczoraj.

Światopogląd tworzy się w warunkach kryzysowych, w sytuacjach opozycyjnych.

Jakie są opcje w ruchu opozycyjnym?

Opcja zasadnicza: jak pogodzić bieg swego życia, które jest określone przez system, z decyzją sprzeciwiania się systemowi?

Innymi słowy: jak daleko się posunąć?

Jest to grząski grunt o zmiennym dnie, którego

głębokość wyznacza sam system zachowujący wciąż względną równowagę tolerancji i represji.

Ale nie tylko.

W każdym z nas mianowicie powstają opory w różnych momentach.

Np. przeciw poświęcaniu wartości kulturalnych.

Albo: przeciwko tworzeniu zbyt głębokich podziałów między tymi, którzy protestują a tymi, którzy tego nie robią (przeciwko arogancji.).

Albo: przeciwko migracji - zachodnich agencji ...

Albo: przeciwko

wypowiedzeniu się w kwestiach zasadniczych, które wymagają pewnego stanu informacji (przeciwko dyletantyzmowi politycznemu).

Przeciwko globalnemu tworzeniu koncepcji politycznych, które nie mają szans urzeczywistnienia, przeciwko organizowaniu się w grupy, których wewnętrzna socjologia przypomina skompromitowane struktury partyjne.

Za doraźnością działań przeciwko utopizmowi

przeciwko doraźności

za wizję optymalną.

Innymi słowy: za programem politycznym, za światopoglądem i przeciw niemu.

Taka jest opcja zawoalowana.

Partia świętych niewiniątek i partia ...

*

Wilga, 9.XI. 5 rano.

(alfa-GAMMA-KAPPA-SIGMA-delta-kappa?-ro).

Jeśli to nie tak się pisze, ja i tak będę wiedział co to znaczy.

Autorepresjonizm.

Autocenzura.

Autodyktatura.

Autototalizm.

Wielkość moralistyki chrześcijańskiej: własną osobę stawia w centrum i względami na jej czystość i wielkość uzasadnia całą gamę środków nie wyłączając najokrutniejszych, do których człowiek ma naturalną skłonność, i których wolno mu użyć wobec siebie pod warunkiem, że nigdy nie użyje ich wobec drugich.

Powinien być tyranem dla siebie; demokratą dla drugich.

Naturalna skłonność do wydawania zakazów i nakazów. Zrealizuj ją; daj jej upust - ale

wobec siebie.

Trzymaj się za mordę, innym pozwól żyć jak chcą, a swój wpływ na nich ogranicz do nauczania ich tego co praktykujesz wobec samego siebie.

*

Terror i cenzura dotyczy:

życia umysłowego - nie pozwalaj sobie na brednie,

sentymentalnego - wykorzeń byle jakie uczucia,

trybu życia - praca ze złymi, nazbyt wygodnymi przyzwyczajeniami,

pracy - biczuj się,

twórczości - skreślaj, wyrzucaj, zmieniaj, tyranizuj się, bądź dla siebie Torghemadą, Żdanowem, Goebbelsem, Łukaszewiczem.

*

Bardzo, okropnie, ponad wszystko chcę napisać dobrą powieść współczesną, a jeszcze bardziej dwie powieści współczesne, a jeszcze usilniej trzy, lub pięć, lub nawet dziesięć powieści współczesnych, niestety jednak pisanie dobrej powieści

współczesnej nudzi mnie jak nic na świecie.

Jak z tego wybrnąć?

*

I dlaczego spać w Wildze nie mogę?

*

Wilga, 19.XI.77.

Tydzień w Warszawie upłynął jak niespokojny sen.

W poniedziałek pożegnanie ze Zd. Jego pytanie i moja

odpowiedź.

We wtorek spotkanie zamiast we dwójkę - w trójkę. Zawinione przez Zd. Trochę przeze mnie. Niezręczność.

Za dużo mówię K.? Mówię minimum tego, co muszę, aby mieć swobodę poruszania się. Jeśli go utrzymam w zupełnej niewiedzy, wzbudzę jego niechęć i podejrzliwość. The order doses the same.

Istotne jest to, żem nie wykonał tego, co obiecałem.

We środę wieczór u Walendowskiego. Dawne mieszkanie Wańkowicza wydało

mi się mniejsze, niż za życia większego od Sienkiewicza. Pod takim tytułem Herling-Grudziński napisał o nim kiedyś artykuł reklamowy.

W dodatku za jego własne pieniądze.

Ludzi jakie 80 osób. Siedzieli na podłodze, na rozłożonych w koło poduszkach i materacach. Dużo brodatych. Na ogół krótko strzyżeni. Ładne dziewczyny.

Nie było dyskusji. Przypuszczam, że nie chciał jej gospodarz, obawiając się, że pociągnę to co czytałem do jakichś skrajnych konsekwencji.

Jak można było dyskutować? Moja diagnoza była bezsporna, należało tylko spytać co robić w takim razie, a z takiego pytania, gdyby je ktoś postawił, wyniknęłaby dyskusja nad sposobami obalenia reżimu.

Państwo Erdmanowie.

Nie było prawie Komandosów. Ani Kuronia, ani Michnika. Nie było Lipskiego.

W czwartek u Kow. To jakiś nonsens, to jakaś kombinacja Ad. potrzeba "Centrum"? Powiedziałem, że tym centrum jest aparat polityczny, który ma opozycję na lewicy a MSW na prawicy. W moim pojęciu przedsięwzięcie Ad. nie ma charakteru "krystalizującego ośrodki", ale rozbijackie. Jest to próba stworzenia anty-KOR-u i anty-PPN-u.

Błędy moje: nie zobaczyłem się z J.; nie oddałem materiału do p. ZG. Nie ułożyłem tekstu programowego. Nic nie zrobiłem.

Ułożyłem za to nowelę pt. "Krawat", która miała też nazywać się "Dyrygent", a która będzie się chyba nazywać "Muzyka".

Na to wszystko Jędrek ze swoją Anią, ze swoją sprawą, ze swoim prawdziwym, męskim

dramatem. Rozmowa z nim, dobrze zaczęta, źle zakończona, bo mi wyłożył swoje, a raczej Ani żale do Kazi. W połowie słuszne, w połowie głupie, oparte na sprzecznych interpretacjach Kazi słów i poczynań. To co Kazia mówi można tak tłumaczyć - np. jako chęć przewodzenia, wyłącznie jako przejaw wyższości, czy wreszcie jako wyraz egoistycznej miłości do Jędrka - ale tylko przy złej woli, tylko przy złym nastawieniu. Ona jest już źle nastawiona, i to się nie zmieni.

A co do dziecka - zachowała się tak samo, jak się zachowywała w sprawie ślubu: brutalnie, niedelikatnie, i w myśl jakiejś zasady życiowej, która mi jest tak obca i wstrętna, jak np. zamiłowanie do słodkiej wódki.

Tu, w Wildze deszcz, wiatr i zimno, nawet w domu.

Na dodatek wczoraj byliśmy na Fedrze i Kazia dzisiaj powiedziała Arturowi parę niezręcznych uwag na temat jego przekładu. I zdołała go wyprowadzić z równowagi! Powiedziała, że wolałaby przekład prozą. Na to on: - Nie mogłaś mi nic gorszego powiedzieć ... I

zaczął jej dowodzić, że on przetłumaczył dokładnie Racine'a, wiersz w wiersz.

Owszem, przetłumaczył, ale językiem, który jest średnią wypadkową między stylizacją klasyczną, a mową potoczną, a raczej nie potoczną, tylko konwencjonalnym żargonem kulturalnych nuworiszów: "To o czym napomykasz ... ".

*

Straciłem wiarę, a nie uzyskałem (nie wypracowałem) sobie poglądów. Próbuję odzyskać

wiarę, zamiast pracować nad poglądami. Wiara jest dziedzictwem; kto się go jak ja wyrzeknie, lub przestanie znajdywać w nim upodobanie oraz namiastkę poglądów, nie wróci do nich już nigdy. Błędem w dotychczasowej nauce Kościoła była mitologia nawrócenia na wiarę ojców", czy, powrotu do wiary dzieciństwa.

Myślę, że tego już nauka kościoła nie ma. Jeśli to jest, trzeba to zwalczać.

*

Rozważyć dialektykę pogląd - wiara.

I w ogóle: rozpocząć w Tygodniku serię felietonów na zasadnicze tematy filozoficzne:

prawda, godność etc.
wiara,
dobro,
wolność.

Wilga, 3.XII.77.

W śniegu nasz lasek i nasz domek wyglądają znacznie dostojniej niż normalnie. Niektóre sosny pochyliły się nawet pod

ciężarem śnieżnych poduch, które im dodały zarazem wymiarów, wypełniły je, ozdobiły, obsrały. Lasek wydaje się bardziej zacieniony, a zarazem nieskończenie barwniejszy. W dali było już ciemnawo gdyśmy po otworzeniu domku i zjedzeniu śniadania wyszli na spacer, a szczyty największych sosen jeszcze były w poświacie zachodniej - bieliły się jeszcze na tle zielonkawego, mroźnego nieba.

W domu zimno. Myśli zebrać trudno. Czas od ostatniego pobytu tutaj płynął zupełnie poza moją kontrolą. Najpierw wyjazd do

Krakowa - potem sprawa klubu Adama, potem pisanie dla *** (jeszcze nie skończyłem), przykra historia z Anką i Andrzejem, która nam zajęła parę dni, a ściślej parę wieczorów. Na koniec jeszcze wczorajsza historia ...

Wszystko, co mnie teraz otacza i dotyczy, wydaje mi się niejasne i jak gdyby za trudne dla mnie. Tracę to poczucie przewagi nad rzeczywistością, które mnie nigdy nie opuszczało. Zwaliło się na mnie dużo spraw i obowiązków wykluczających się wzajemnie. Jedno pisanie tajne wyklucza drugie, oba wykluczają pisanie jawne, a wszystko razem, wykluczone jest przez konieczność studiów (lektur), a wszystko wykluczone przez moje obowiązki domowe i towarzyskie. Na dodatek jestem leniwy, niesprawny, powolny i jak się okazuje, nie bardzo zdolny.

4.XII, świt.

Myślę z niepokojem o Jędrku. Jest jeszcze tak młody, tak słaby psychicznie, a w swoje małżeństwo wkłada nadmiernie dużo. Boję się o jego równowagę psychiczną. Ledwo przeszedł

przez kryzys związany z jej ciążą, teraz ma - z pozoru błahy - kryzys związany ze świętami.

9.XII.

Wilga zamknięta, zimno. Przeziębiony jestem. Napisałem felieton pt. "Cicho zwierzęta", który znowu zdejmą, piszę nowelę pt. "Dyrygent", która nie będzie miała żadnego sensu (przy mojej kulturze muzycznej) i teksty dla towarzystwa sportowego "Jasna przyszłość, które ... I tak dalej. I mam katar. Myśli poważnych żadnych. Nie pamiętam już kiedy

po raz ostatni użyłem mózgu.

*

A jednakże wszystko to powinno było stać się inaczej. Rok 1950 - grudzień - moja choroba, pobyt w szpitalu, wzruszenie, jakie tam przeżyłem z powodu sceny z wyśmiewanym chorym matołem - to był ostatni moment, kiedy mogłem był jeszcze zgłosić się do czerwonego domu pod Wawelem. Należało tam iść prosto ze szpitala. Do "Łojca". Zamiast do niego poszedłem do jakiegoś obcego, który mnie odtrącił.

Miał może rację. Pamiętam doskonale co mi wtedy powiedział i wszystko to pozostaje nadal dla mnie aktualne. Co więcej, wszystkie późniejsze momenty podobne - dwa! - były tej samej natury. Szczęście, które utraciłem wtedy jest do odzyskania, pod warunkiem, że teraz, prawie 50-letni, wykażę więcej dojrzałości, niż wtedy - 24-letni, i jeszcze potem 34, albo 35-letni, i jeszcze potem już jako 42 letni człowiek.

W każdym razie nie pora tu rozstrzygać w jednym, albo w drugim kierunku, i to w sposób uzasadniony, pełny. Jeżeli tego nie

zrobię, pozostanę wciąż tym samym niewypierzonym chłopcem od św. Floriana, który zeszedł na manowce.

Szansa roku 1948 i 1956 już nie wróci. I nie o moje szczęście tutaj chodzi, a o to aby nie zniszczyć prawdy, która w tym właśnie żywocie w tym właśnie charakterze ludzkim mogła była, i może nadal się objawić. Prawda, czyli coś pełnego, coś porządnego, coś poważnego. Dano mi w ręce naczynie pełne zbawczego lekarstwa. Sam go nie piję i drugim go nie daję, i postępuję z nim chwiejnym krokiem,

rozlewając po kropli. Nie można na to s pokojnie patrzeć. Szlag by mnie trafił, gdybym widział kogoś postępującego tak ze szklanką Johny Walkera, a cóż dopiero ...

16.XII.

Wydawnictwa, kluby, koła, organizacje ... Nowy nakład mojej "Książki". Coraz doskonalsza technika, coraz lepsze teksty i coraz szerszy zasięg. Do czego to zmierza? Do kolejnej fali represji, czy do kolejnej kontrolowanej odwilży? Może stać się i jedno, i drugie, i taki bieg rzeczy

przewiduję na najbliższy czas. Przypuszczam, że kampania poprzedzająca II Konferencję partyjną pójdzie w kierunku "wzmocnienia szeregów" (świadczą o tym już wiece młodzieżowe połączone z uroczystym wręczeniem legitymacji partyjnych - 800 legitymacji w Warszawie to nie bagatela?) i że towarzyszyć jej będzie mocne uderzenie w wichrzycieli, agentów etc. Pójdą do mamra ci, których wypuszczono na amnestię, i może jeszcze paru innych.

Co z tego? Oznaczać to będzie

zahamowanie roboty jawnej. Pozostanie tajna. Inny będzie musiał być jej ton, inne postulaty. Nie wystarczy gęganie o prawach człowieka, ani o "limitach", "kompromisach" etc., trzeba będzie podwoić ton protestów i bariery żądań.

18.XII.

Czas. Dzwonek na ostatnie okrążenie.

*

Dość felietonów. Masakra,

jaką cenzura mi wyrządziła w minionym roku świadczy wyraźnie o tym, że ten rodzaj skazany jest na zidiocenie. Nie będę pisał byle czego.

Wiem dobrze co mam pisać i co mam robić.

*

Ból głowy, szum w głowie, ból i szum w sercu, czuję się jak na dużej wysokości, Nie schodź z niej.

*

Dzisiejsza msza u św. Krzyża. Ewangelia o św. Józefie, która zawsze robiła na mnie tak wielkie wrażenie. Wulgarne zdarzenie, skandal w rodzinie - narzeczona zaszła w ciążę z kim innym - początkiem objawienia i zbawienia. Skromny, uczciwy mężczyzna postawiony w sytuacji niemożliwej: co ma zrobić? Zimne słowa Ewangelisty. Jak to było? Przecież to musiał być skandal w całym miasteczku! Przecież to musiało być zdarzenie znane! Nawiedzenie: Maria pobiegła do Elżbiety, aby poskarżyć się jej na niezwykłą biedę, jaka ją spotkała i dowiedziała się o nieszczęściu równym prawie jej nieszczęściu: staruszka zaszła też w ciążę. Brzemienna panna i brzemienna staruszka padły sobie w objęcia płacząc z przerażenia podobnego temu, jakiemu uległy kolejne ofiary Zeusa: Andromeda, Leda etc. Bóg na nie zstąpił. Skąd ten upór człowieka, aby którejś ze swych sióstr wmówić dziecko z samym Bogiem? Skąd to pragnienie, aby zjawił się wśród nas taki potomek bosko-ludzki, zrodzony z boskiego nawiedzenia, z boskiej miłości do kobiety. Pragnienie umocnienia w ten

sposób związku człowieka z Bogiem, potrzeba boskiej gwarancji podobnej tym, jakich w stosunkach politycznych dawały dynastyczne małżeństwa. Nie było lepszego przymierza, jak takie, które przeceniało małżeństwo - naiwny dynastyczny pomysł: wydać córkę człowieczą za Boga; dziecko, które narodzi się z tego związku będzie Bogiem-człowiekiem i ocali ród ludzki od boskiego gniewu.

Ale skąd Krzyż i skąd Eucharystia?

Bajka zaczyna się dobrze: Bóg rzeczywiście pojął za żonę piękną ziemiankę. Opowiadający ją nie ma jednakże złudzeń co do losów owej ziemianki oraz dziecka. Dziecko zostanie poczęte w nędzy. Jego posłannictwo zostanie odrzucone, osoba stanie się przedmiotem potwarzy, zginie jak ostatni niewolnik. W tę baśń utkaną z mitologii i monarchicznych wyobrażeń w boskiej polityce, wdziera się element realistyczny. Ukrzyżowanie jest dowodem na to, że Bóg nie ma nic do roboty pośród ludzi; swą misję realizuje przez zmartwychwstanie i powtórne przyjście w chwale, a

obecny tutaj może być tylko tak; w okruszynie chleba, w kropli wina - czyli wszędzie.

Albowiem wino i chleb - pokarmy codzienne - jako postać Boga, oznaczają tyle, co jego obecność w ludzkim środowisku, w ludzkich wnętrznościach, w ludzkim ciele, ludzkiej krwi. A zaś ich przemiana - Eucharystia, oznacza tyle, że umowa ludzka, czy raczej zmowa w imię Boga - zmowa liturgiczna środowisko naturalne przetwarza środowisko boskie, i ludność w lud boży.

Historia Jezusa od narodzenia do zmartwychwstania jest oparta

na dialektycznej sprzeczności: narodzenie jest dobrym początkiem historii, która kończy się źle, po to, żeby następnie zacząć się lepiej, właściwie. Zaczyna się w mroku mitologii; kończy się w świetle teologii.

*

Pisz wszystko w notesie, potem przepisuj i porządkuj wedle tematów.

*

Szkic Wł. Paźniewskiego.

Słonania(?). Dezynwoltura, te wzory stylistyczne (Schulz, Kuśniewicz), ale zna się na rzeczy. Nigdy mi nie przyszło do głowy ile rzeczy narodziło się w Austrii!

*

"Hades" Marka Nowakowskiego. Tak. Knajacki Dante. Dobre. Może bardzo dobre. Umie z taktem i umiarem trzymać się swojej materii, chociaż jest obrzydliwa.

19.XII.

A propos mojego wczorajszego wywodu na temat Narodzenia, p. książka O. Browna. Twierdzi on, że historia narodzenia, którą opowiadają tylko Mateusz i Łukasz, jest kompilacją krążących na ten temat opowieści i jest napisana na kanwie proroctw dotyczących Mesjasza, oraz stanowi przeniesienie na okoliczności narodzenia zdarzeń ukrzyżowania - Brown twierdzi, że Ewangelie rozwijały się do tyłu - od ukrzyżowania i zmartwychwstania aż do narodzenia, poczęcia i

genealogii. Równie dobrze można powiedzieć, że siła ewangeliczna historii jest zastosowaniem proroctw do życiorysu Mesjasza.

19.XII.

Odczuwam potrzebę napisania wyznania.

Chodzi mi o uporządkowania myśli na kilka tematów zasadniczych.

Przede wszystkim wiary.

Nie chcę nikogo o niczym pouczać. Przypuszczam, że to, co w tej dziedzinie przeżyłem i przemyślałem, może mieć wartość

porównawczą.

Nie jestem praktykującym katolikiem. Dlaczego?

Czy uważam ten stan rzeczy za właściwy? Nie. Uważam, że powinienem być albo przeciwnikiem katolicyzmu, albo jego wyznawcą.

Przeciwnikiem katolicyzmu mogę być:

jako ateista,

jako innowierca,

jako zwolennik religijnego eklektyzmu, czy synkretyzmu.

Jak próbowałem być ateistą.

Jak szukałem innych rozwiązań.

*

21.XII.

W Tygodniku Powszechnym W. Karpińskiego "Jeździec miedziany":

"Brak obywatelskich praw daje władzy wielką przewagę nad ludnością pozwala manipulować masami, wyjaławia jednak życie społeczne".

"Prawa są nie tylko jednostkowymi przywilejami, prowokują do współzawodnictwa, do roztrwonienia wszelkich

umiejętności na rzecz wspólnoty, stanowią formalne ramy dla regulacji konfliktów, umożliwiają rozwój, przenoszenie w przyszłość elementów sprawdzonych w życiu społecznym i odnowienie rozwiązań, które okazały się nieprzydatne".

*

25.XII.77.

Po pasterce w kościele św. Krzyża. Wzruszyłem się. Ks. Hennel ładnie mówił o pustym miejscu, o poszukiwaniu Boga i

miłości. Płaczące dziewczyny, które przyszły z dwoma ciężko wlanymi cudzoziemcami i potem miętosiły w dłoniach pliki stuzłotówek, aby je dać na tacę.

Wzruszyłem się. Ach ten obrzydliwy sentymentalizm.

Brakuje mi pełnego aktu religijnego, pełnego utożsamiania się ze wspólnotą religijną.

Kazia także wydaje się czekać na mnie.

*

A tu w grę wchodzą elementy następujące:

1. Sceptycyzm wobec dawnej wiary;
2. niedokładna znajomość reinterpretacji jej zasad (a zwłaszcza zasad kultu) dokonanej przez kościół;
3. wstydliwość, niechęć do ostentacji;
4. niechęć do postępowania za modą - a dzisiaj jest moda na katolicyzm.

Zwróć uwagę, że moda na kościół przyszła razem z odchodzeniem od ortodoksyjnych ideologii - jest to moda na magię, na wyznawstwo "automatyczne" solidarne, gromadne oraz na

czystą liturgię - zwłaszcza typu charyzmatycznego.

Sięgnąć do istoty chrześcijaństwa? To niemożliwe. Należy wziąć pod uwagę wszystkie elementy, od których uwolnić się nie można.

Podstawy sceptyczne:

wiara w naturę

wiara w historię.

Dwie wykładnie: ateistyczna i teistyczna.

Ateistyczna: wiara w naturę jako jedyny porządek ponadludzki i w historię jako jedyny porządek ludzki.

Teistyczna: Bóg jeśli jest

uniwersalny objawić się może i działać tylko w prawach natury i w prawach historii. Nie może gwałcić praw natury aktem wcielenia, zmartwychwstania transsubstancjacji, i nie może gwałcić praw historii zakłócając jej rytm i jej wielowątkową, wieloplanową akcją objawieniem się w jednym jej wybranym momencie w wybranym kraju, wobec wybranego ludu.

Tu otwiera się pole do naturalistycznej (z punktu widzenia natury) i historystycznej (z punktu widzenia historii) krytyki chrześcijaństwa - jako

swoistej uzurpacji.

I powstaje też pole do jego reinterpretacji w uniwersalistycznym duchu.

*

A propos: w tekście pt. "Co jest ważne" oświadczyłeś, że polska ideologia musi być uniwersalistyczna.

Pora zarysować jej podstawy.

Nb., to samo należy zrobić dla chrześcijaństwa.

*

Napisz szkic pt. "Polski uniwersalizm".

*

Reinterpretacja chrześcijaństwa: Chrystus - syn człowieczy - jeden ze znaków na ludzkiej drodze do Boga.

W takim razie: no reason to involve myself into particular form of the cult. No reason to absorbe [...] in the shape of the bread.

Poznawanie Boga w wolnej medytacji i w wolnym czynieniu dobra. Oraz w wolnej, [...]

modlitwie.

*

Ba! Lecz tu dochodzi rzecz nowa. Ślamazarność duszy. I pytanie, czy naprawdę jestem tak "naturaliter Deum gniescaut".

Moim zdaniem nie. Na to mam dowody subiektywne. Człowiek jest istotą ociężałą, tradycjonalną, posłuszną, gromadną etc. - a jego aspiracje są wpisane w systemy podporządkowania. Religia jest podporządkowaniem, formą posłuszeństwa i solidarności. (Zresztą solidarność jest

posłuszeństwem!).

*

10/1.

Należę do tych, którzy krążą wokół kościoła, nie mogąc zdecydować się, ani na wejście, ani na odstąpienie. Wejść do niego, ani od niego odstąpić.

Wejść do kościoła, to znaczy stać się jego pełnoprawnym, aktywnym członkiem; przyjąć dogmaty, podporządkowanie się nakazom i regułom, wziąć udział w życiu liturgicznym i

sakramentalnym.

Odstąpić to znaczy szukać innych dróg, innych związków, innych wiar. Nie musi to oznaczać zdrady Kościoła, czy walki z nim.

Należę więc do tych, którzy wciąż krążą. Ponieważ jest ich, jak sądzą, wielu, chcę przemówić od nich i w ich imieniu.

Chcę wypowiedzieć wszystko co mi na ten temat przychodzi do głowy i co w związku z tym przeżyłem i przeżywam.

1. Dlaczego krążę.

Przede wszystkim dlatego, że jestem do niego przyzwyczajony.

JA I RESZTA ŚWIATA.

JA (studium charakteru)
Polska (studium kultury)
Kościół (studium wiary)
Świat (studium historyczne).

*

Stadia przygotowawcze:

1. Montaigne: Próby - Plutarch, Seneca, Cycero, Marek Aureliusz, B. Constandt, św. Augustyn, Stendhal, Jung, Gombrowicz, Freud.

Kant: uzasadnienie metafizyczne moralności.

Wittgestein (?)

Sartre

Wypracować model charakteru i model filozofowania.

*

Nie potrafisz tego zrobić inaczej jak tylko pas a pas - drobnymi felietonami.

Nazwać to jakoś:

(próby - wykreślone)

(myśli - -.-)

(wycieczki - -.-)

(Rozmowy z Kalim - -.-)

(Życie rodzinne i umysłowe - -.-)

(Umysłowe życie codzienne - -.-)

Codzienne życie duszy.

Średnia duchowa.

Średnia umysłowa.

11.1.

Dlaczego nie?

Jeżeli odległości są tak niezmierzone ... ilość światów niewyobrażalna ... możliwość występowania w nich istot rozumnych niesprawdzalna ... Dlaczego nie mogą być od nas potężniejsze, inteligentniejsze, czystsze ... ale i one z kolei nie mogą przebyć ani zmierzyć owych odległości ... i od nich gdzieś żyją

lepsze i dlaczego, dlaczego gdzieś, w jakiejś przestrzeni nieskończonej nie ma kogoś, czyja zdolność twórcza zdolna była dokonać operacji, która tylko ilościowo przewyższa operacje jakich my (byle dureń ze średnim wykształceniem) dokonuje na cząsteczkach atomu)? Kto, kto pamięta lepiej od mózgu elektronowego jaki potrafi skonstruować dzisiaj byle inżynierek, ktoś kto programuje lepiej od aparatów programujących, i posiada zdolność przewidywania, a następnie przesyłania swojej woli spiralami, których domyślamy się i dopatrujemy nawet między sobą?

Jeżeli człowiek żyjący w płaskim, jednowymiarowym świecie zdolen był wyobrazić sobie siłę wszechmocną i nieskończoną, my, dla których pojęcie nieskończoności oraz nieskończonej energii są obliczalne i materialne, wyobrazić sobie tego nie możemy? My, którzy z pojęciem Kosmosu i mikrokosmosu, jesteśmy równie zżyci jak ów człowiek z wyznacznikiem Góry i Dołu, Raju i Podziemi, Światła i Ciemności?

11.1.1978 12:48. (Czerwonym długopisem - Przypis KK)

*

13.1.

Wielki dyrygent przybywa do swego rodzinnego miasta na jubileuszowy koncert z miejscową orkiestrą. Orkiestra jest słaba, on ma z niej zrobić świetną. Takie jest założenie reklamowej agencji, która ten koncert urządza. próby są filmowane. Materiały zdjęciowe mają stanowić pokaz umiejętności pedagogicznych

mistrza i zarazem pokaz tresury muzyków.

Rzecz się udaje, stary dyrygent rzeczywiście przelewa duszę w opieszałą amatorską orkiestrę. Ale w ostatniej chwili przed koncertem, kiedy zdjęcia filmowe są już zakończone, reklamowi menadżerowie w obawie o efekt muzyczny, o który również chodzi (koncert ma być nagrany - zjeżdża na niego elita muzyczna świata) wprowadzają nagle rutynowany kwartet pierwszych skrzypiec złożony z muzyków, którzy z wielkim mistrzem podróżują po całym świecie.

Koncert z wielkim dyrygentem jest wielkim przeżyciem dla młodej skrzypaczki, która męczy się w atmosferze małego miasta w zdemoralizowanej orkiestrze, wśród udręk nieszczęśliwego domowego życia. Po to, aby zagrać w tym koncercie dokonuje kilku posunięć rujnujących jej egzystencję moralną i materialną: starego, ślepego zdziwaczałego ojca zamyka w zakładzie, sama oddaje się człowiekowi, do którego czuje moralny i fizyczny wstręt, rezygnuje z dobrej pracy dającej jej niezależność i dobrą pozycję.

W ostatniej chwili przed koncertem zostaje "wymieniona".

A jednak z zadowoleniem słucha wspaniałego brzmienia orkiestry. Już z za drzwi sali, z której ją wyprowadzono ...

16.1.

Nieopuszczające mnie poczucie niepewności, tymczasowości, niepowagi.

Pochodzi ono, jak sądzę, stąd, że reżim ostatnimi czasy dokonał kilku poważnych wyłomów w swej metodzie postępowania politycznego, wyłomów, które

albo zmieniają jego naturę, świadcząc o rozpoczętej fazie przemiany, albo o tym, że właśnie faza ta jest przejściowa i będąc tylko chwilowym manewrem, zapowiada powrót do metody dawnej - co, oczywiście, będzie się wiązać z ostrymi represjami.

Owe wyłomy to: współdziałanie z kościołem, jako siłą polityczną główną po partii (Gierek na konferencji krajowej wymienił kościół przed "bratnimi stronnictwami" wchodzącymi w skład FJN), uznanie ludowego veta jako instytucji nadrzędnej, tolerancja dla grup opozycyjnych oraz ich jawnej działalności. Do tego dochodzą jeszcze pociągnięcia ekonomiczne - znaczne osłabienie, jak słyszałem, centralizmu w partii (żywiołowe, zrodzone na skutek inercji władz centralnych) ...

Jeżeli reżim będzie tolerował te zjawiska, będą rozrastać się i wytworzą siłę, reżimowi przeciwną, która z czasem będzie się liczyć; ma po temu środki, ludzi, doktrynę, metody i swobodę działania w tej dziedzinie. Dlaczego tego nie robi? Na dobitek u władzy nie jest ani liberalna frakcja, ani liberalny

szef. Dlaczego nie używają siły, którą mają i nie postępują z przekonaniem, którego nie zmienili?

13.1.

Och, uwolnić się od tych fabuł i zrobić to co potrzebne i to co mi przystoi! Robić w rzeczach mądrych i pożytecznych!

Mądrość jest w czystej filozofii, pożyteczność jest w historii, socjologii, antropologii.

Fabuły - na diabła fabuły!

*

Jeżeli ZSRR zagrozi Paktowi Atlantyckiemu we Francji i we Włoszech, oraz centrum zachodu przez bazy nad zat. Adenu, w Etiopii i w Angoli (przez które kontrolować będą dostawy ropy naftowej), NATO i USA będą szukać rewanżu; będą próbowały z kolei osłabiały Pakt warszawski. Jednym ze sposobów będzie dywersja w Polsce.

Oczywiście.

*

P. Modzelewska - listy

Czechowa z Sachalinu + Wstęp i przypisy WL 23-42-67.

*

PEN-Club -

Sprawa dzienników Kornackiego.

Pismo prokuratora: zabytkiem jest to co jest wpisane do rejestru zabytków - arbitralne stwierdzenie iż dzienniki nie zawierają treści wypełniając literę ustawy.

Kornacki skazany w 1966 za wysyłanie wierszy szyderczych.

Dzienniki znalezione podczas rewizji były (zbliżone) do wierszy.

Zabłudowski: powinien wystąpić w tej sprawie do prokuratora: teksty literackie nie mogą być za życia autorów zaliczone do zabytków.

Prorok - Prokuratura mówi o zabytkach, ustawa o dobrach kultury. Przypomina interpelację sejmową Hołuja o określenie dobra kultury.

Prorok uważa, że powołanie się na ustawę o ochronie dóbr kultury w stosunku do warsztatowego tekstu, ma charakter precedensowy.

Szczypiorski: trzej ludzie mają prawo interpretowania ustaw:

minister sprawiedliwości, prokurator generalny i prezes S.W. - oni nadają wykładnię ... PEN - nie ma możliwości działania.

Uwaga: Jak wygląda sprawa interpretacji ustaw sejmowych? Wydaje mi się, że interpretację stwarza praktyka sądowa.

Pogonowska - szersza sprawa - naruszenie własności.

Bystrzycki - wniosek do zarządu o zwrócenie się do ministra kultury aby ten z kolei zwrócił się do Prokuratury o wykładnię ustawy.

Moim zdaniem: naruszenie osobowości.

Szczypiorski - twierdzi, że wykładnia Prokuratora Generalnego jest obowiązująca? To chyba nieprawda.

19.1.

Na marginesie rozdziału z książki Drewnowskiego o Dąbrowskiej (nb. co za ulga: Drewnowski przypomina wypowiedzi Dąbrowskiej o PRL - były równie głupie jak moja) - otóż: Dąbrowska obawiała się, że razem z folklorem wyschnie źródło sztuki; to jest prawda - pewnego rodzaju sztuki,

zaczepionej o językową i obyczajową dawność. Źródłem nowej sztuki są stereotypy kultury masowej - POP ART, a językowego - stereotypy gazetowo-biurokratyczne, z których przezwyciężania (Białoszewski) można tworzyć nową, rzeczową, zimną, racjonalną mowę odbarwioną z dawnego sentymentalizmu.

Do wyjaśnienia!

*

A lire:

Jacobson: Dwa aspekty języka

...

(Jacobson - Halle: Podstawy języka, 1964).

*

Z listu Stempowskiego do D.:

"Osoby i przedmioty opisane są wręcz słowami przylegającymi do nich jak skóra lub oddającymi ich strukturę logiczną jak terminus technicus. Unikanie przenośni jest tu jednym z sekretów kompozycji. Metafora zahacza jeden przedmiot o drugi, kładzie odblask jednej barwy na drugą, z czego powstają lepiące się całości o niejasnym

rysunku w brudnych barwach jak często dziś widzi się na kiepskich obrazach. Lśnienie się i jarzenie przedmiotów wymaga procederów innych od przenośni".

13:30 Poniedziałek. Piórk.

20.I.

Skończyłem idiotyczną nowelę o dyrygencie. Jedyny zysk (poza pieniędzmi, co zresztą wątpliwe) osiągnięcie pewnej prostoty i lekkości.

Teraz iść za ciosem.

I co? Napisać, "Bank"?

Niebezpieczeństwa

autobiografizmu, retrospekcji, nostalgii krakowskich, opisowości, budowania charakterów na siłę.

Nie ma co rozdrabniać się. Najwyższy czas napisać coś rzeczywiście ważnego.

Nie bank jest ważny w tym czasie, ale wszystko inne: procesy polityczne, ujawnienie AK, rozwalanie PSL-u, cały ten proces zniewolenia i likwidacji.

Jeżeli zamknę się w banku stanie się to romansik środowiskowy, a ja znów zduszę w sobie to co we mnie najlepsze, aby udawać kogoś, kim nie

jestem.

Jeżeli uderzę w wielki ton, podejmę "studia nad epoką", rozwodnię powieść w politycznych dygresjach; obraz zostanie pożarty przez tło.

Ot, dylemat!

Pytanie, co jest najprawdziwszą i najczystszą materią powieści, i co jest najwłaściwszą materią moją.

Tego banku jest chyba za mało.

Trzeba by to wszystko wzbogacić, ożywić ...

Może najpierw spisać własne wspomnienia?

W najprostszy sposób.

Wspomnienia od 1945 roku. A na tle wspomnień skombinować powieść ...

Wspomnienia jednocześnie przerabiać, stylizować, zachowując dla siebie ich najbardziej prywatną materię.

*

1945 - wkroczenie Rosjan.

Dlaczego nie piszę o okupacji.

Dlaczego piszę w ogóle.

Aby wypróbować pamięć.

Aby wypróbować zamysł prawdy.

Aby znaleźć upodobanie do narracji.

*

A właściwie moje życie zaczyna się gdzieś latem 1944 roku.

Ale trzymać się rzeczywiście zasady wspomnień t.zn. pisać naprawdę wszystko i tylko to, co naprawdę pamiętam.

Wspomnienia - jakgdyby list do Jędrka.

Leniwe lato 1944 po "skończeniu" szkoły.

Łapanka 6 sierpnia. Okopy. Rozmowa z Maćkiem Morawskim.

Przysięga. Rozmowa z Jurkiem Kobyleckim.

Praca w Księgarni Gierzczykiewicza.

Nieudała misja.

Nowe zadanie: znaleźć faceta, który wymigiwał się od jakiejś roboty.

Komplety. Próba powrotu w dawny świat.

Jak przeżywałem deklasację.

Łapanka na Podgórzu. Szkoła na Senackiej - dno.

Szkoła na Dietla - pozory.

Przyjaźń z Januszem.

Warszawiacy.
Dyżury.
Ciemne miasto.
Ulica Ariańska.
Niemieckie Siły Zbrojne:
"Ostre pogotowie niemieckie - patrole z wymierzonymi do strzału karabinami.
1945.
1. Ofensywa nasza.
2. Pusta szkoła na Senackiej i rozmowa ze Słowakiem w służbie węgierskiej.
3. Ostatnia lekcja z Hebesem.
4. Bombardowanie, czy co to było ...
5. Dzień 18 stycznia.

*

29.I - Niem.;
Ośw.;
Młodzież -] W.
ok. 1.II. - alkoholizm.
[...] - niepodległość na codzień
Chochoł II.
[Wznowienie Programu]
Myśli o państwie.
Niepodległość - formalne prawa.
Tekst o bibliotekach.

*

Miłosz: potrzeba realnej ojczyzny.

Czy ty wiesz, żeśmy stracili ową realną ojczyznę, my wszyscy, którzy nie godzimy się z reżimem.

*

24.I.

Co to znaczy hasło niepodległości praktycznie na codzień?

Jakąś politykę?

Nie mamy możliwości uprawiania żadnej polityki.

Przewidywanie polityki? Spekulacje?

Są przecie niemożliwe, brakuje przesłanek, faktów, informacji. W jakich warunkach może nastąpić "uwolnienie" Polski od radzieckiej dominacji i wszystkich wynikających stąd skutków? Można wyobrazić sobie kilka wariantów, a każdy z nich oznacza inną sytuację wewnętrzną.

Przewidywania takie są nie tylko niemożliwe, z reguły nietrafne etc. ale także niebezpieczne ponieważ wytwarzają "wishful thinking" i wywołują niebezpieczne nawet

zachowania i odruchy.

Cóż więc znaczy hasło niepodległości w naszych warunkach?

Jest to pewien rodzaj politycznej wiary, bez której nie może się obyć żadna ideologia. Wolno komunistom wierzyć - mimo wszystko, w ich wiarę pracy - w realizację ich ambitnego planu, wolno i nam.

W co wierzą komuniści?

Stan tej wiary dzisiaj. Poszukać u współczesnych ideologów.

W co my wierzymy?

Poszukać u współczesnych

ideologów wolnego świata.

Raymond Alon?

Galbreith, Kennedy; sięgnąć do Abramowskiego!

*

Na codzień oznacza to wyzwolenie się prywatne i grupowe ...

*

Powieść urwałem na pytaniu "Czy mogło być inaczej".

*

Zrównałem więc bieg mojego politycznego myślenia z biegiem mojej literackiej inspiracji.

*

W TP artykuł Micewskiego o romantyzmie i realizmie, w którym mnie cytuje.

Odpowiedzieć na to esejem o ks. Poniatowskim - o jego [...] rozterce z 1813 roku; i o Kościuszce z roku 1815.

25.I.

Wczoraj koncert orkiestry Karola Teutscha.

Karol Teutsch zawsze ten sam - smukły, sprężysty, tak samo młody, tak samo sławny jak przed 30 laty. Tak przywykłem do niego, że jakąkolwiek orkiestrę oglądam, odruchowo patrzę czy pan Teutsch siedzi na pierwszym miejscu ...

*

Czy mogło być inaczej? Czy może być inaczej?

Sfera wolności w historii.

Sfera wolności w polityce.

Sfera wolności w życiu społecznym.

*

26.I.

Znowu się pogubiłem.

Uporządkuję myśli.

"Powieść o banku urwałem w miejscu, od którego między dwoma głównymi bohaterami powinna zacząć się dyskusja na temat determinizmu i indeterminizmu w historii wolności decyzji. Możliwości wyboru, a w związku z tym nad winą i niewinnością w historii. Czy przedwojenni przywódcy są winni klęski wrześniowej, czy Główna Komenda AK jest winna klęsce powstania warszawskiego (a jeśli tak, to jak tę winę sformułować), czy komuniści są winni temu, że wzięli władzę z rąk sowieckiego proletariatu i czy biorą na siebie odpowiedzialność za następstwa, które stąd jeszcze wynikną etc."

Do prowadzenia tej dyskusji dalej trzeba mi lektur:

gazety 1948 roku i wcześniejsze;

i co się da z pamiętników,

świadectw, korespondencji zagranicznych.

*

Jednocześnie spisywać wspomnienia począwszy od 1974 roku.

Wspomnienia r o z u m o w a n e, to znaczy przeplecione rozważaniami historycznymi i wynikającymi z nich "sensami".

W gruncie rzeczy nie potrafię myśleć inaczej, jak trybem autobiografii, jak tego dowiodłem już parę razy, pisząc takie teksty jak "Inteligent polski święty" albo

"Pomnik Grunwaldu".

A więc dręczącą mnie ciągle (zawsze) sprawę religii powinienem również wypowiedzieć poprzez wspomnienia z Kościoła.

Poprzez te wspomnienia, zanalizować np., magizm, i monarchizm ówczesnego kościoła.

*

Ale pytanie: czy rzeczywiście pisać takie wspomnienia, w których będę skrępowany autentyzmem faktów, miejsc, osób i z konieczności wdam się w jakiś

rodzaj kokieterii, czy też zastosować sposób jakiego próbuję w powieści pt. "Bank": ja, praktykant "Barski".

Podobnie tam: ja, ministrant Barski.

Potem: ja, literat Barski.

I tak kontynuować opowieść o człowieku inteligentnym, dociekliwym, biernym, ale ciekawym, o którym raz będę mówił "ja", raz "on".

*

Wynika z tego, że pisałbym równolegle kilka powieści

połączonych tą samą osobą bohatera:

Kościół

Bank

Uniwersytet

Literatura.

Powieści, której wspólnym tematem byłoby rozpadanie się, zanikanie form: rozpada się mój magiczny, monarchiczny kościół, rozpada się porządny hierarchiczny bank, rozpada się uniwersytet, rozpada się literatura, do której wchodzę jako do gmachu z mitów wzniesionego, a opuszczam w stanie rozkładu, chaosu ... Rozpada się moje

miasto, mój kraj, moja Europa, mój świat - świat, do którego zostałem przygotowany, przystosowany, stworzony.

Wielki cykl o zniszczeniu.

Wielki cykl o powszechnym wzruszeniu form.

I co z tego ma wyniknąć.

Bohater - rezoner.

Ciekawski, wypytujący wszystkich o wszystko, dyletant, to znaczy interesujący się wszystkim i znający się na wszystkim.

27.I.78.

"la concentration et la reporisation du moi - c'est tout".

Nie rozpraszaj się. Rób tylko jedną rzecz, bo dzielić się nie umiesz.

Teraz - Kościuszko-Poniatowski.

I nic więcej!

A moins que ...

*

"Abraham believed and hoped when there was no hope, and so became "the father" of many nations". Romeus 4.

28.I.

Przeczytałem dzisiaj mojego "Dyrygenta" po przepisaniu. Nie ma to wielkiego sensu, ale czuję, że tak można pisać, i że tak właśnie pisać potrafię. Ten sposób opowiadania sprawia mi przyjemność, jak słyszę za tym stylem mój głos, a czytając, bawię się. Może powinienem poświęcić się całkowicie opowiadaniu - skoro dobrze to robię ...

Pod jednym warunkiem: nie wymyślać historii, ale brać je skąd się da - z t.zw. życia, oraz z "autorów".

*

"Słup soli" - o żonie Lota.

*

Powyższy cytat z listu św. Pawła dotyczy ojcostwa Abrahama: uwierzył, że będzie miał syna, chociaż miał 100 lat, a Sara blisko tego.

*

Rozdział władzy wykonawczej od ustawodawczej.

30.I.

Il est temps de changer bout - méme l'ecriture.

*

Zajmujemy się wciąż tym romantyzmem - paplamy o tym, a to przecież była epoka zepsutego smaku, zmętniałej myśli, obłąkanej ideologii społecznej; racjonalne rzeczy polityczne nie pochodziły od literatury, ale na odwrót, były jej źródłem.

Przyjrzyj się od tej strony

romantyzmowi i wystąp przeciw mętniactwom Janionówny.

*

Michelet, że Saint-Alliance powstała bez bazy moralnej ponieważ nie miała daty, do której mogłaby się odwołać jako stanu normalnego

A dziś? Jaki stan Europy należałoby przyjąć jako prawnie uzasadniony, legitymistyczny?

1914?

*

Numer specjalny "Twórczości" na 60-lecie Niepodległości.

*

Co jest ważne?

Chyba odtworzyć dorobek II Rzeczpospolitej w różnych dziedzinach.

1. Oświata.
2. Kultura.
3. Procesy społeczne.

Zasada: pisać powinni ludzie młodzi.

Autorzy:

Łepkowski, Jedlicki, Grzybowski, Geremek, Łojek, Żarnowski.

Pisarze:

Terlecki Wł., Szczepański J.J., Koźniewski, Dziewanowski.

*

31.I.

Wczoraj wieczorem telefon Stryjkowskiego Hołd.

Umarł Stanisław Dygat.

2.2.

Awantura na kolegium.

Stryjkowski opuścił redakcję - No i bardzo dobrze - wrzasnął Iwaszkiewicz za nim - pismo stworzyło się dla ciebie, żebyś miał gdzie wydrukować Głosy w ciemności, cholero ... Przedtem wypomniał mu wydrukowanie "Przybysza z Narbonny" i podpisanie listu w sprawie Narbutta. O "Przybyszu z Narbonny" redakcja Stryjka prosiła, a listu nie podpisał ...

3.2.

Największa trudność: utrzymanie ciągłości prac, myśli,

lektur, wzruszeń. Wszystkie wątki rwą się wciąż i nawet wzruszenia mijają bezowocnie.

*

Jak daleko od krzaka na pustyni do opłatka w złotej monstrancji.

Znaki "pojednania", "pragnienia", "obecności".

Poszukiwanie tych znaków.

Nie opuszczające rodzaju ludzkiego, nie słabnące w nim i prawdziwie powszechne poczucie dwoistości naszej natury. Czym innym jest to co w nas z każdą

chwilą niszczeje i umiera, a czym innym to, co wciąż zmienia się i oczyszcza. Jak pogodzić to, że jestem coraz starszy, brzydszy, słabszy i to, że jestem zarazem coraz spokojniejszy, lepszy, mądrzejszy?

Wstępują i zstępują.

Czym innym jest to co podlega ewolucji, i to, co wydaje się zrodzone przed nią, poza nią z jakiegoś innego procesu.

Mamy przeczucie wspólnego początku całego istnienia co do jego cech niezniszczalnych.

Sądzimy, że w naszych niezniszczalnych cechach

jesteśmy podobni do naszego źródła - ba! - z nim tożsami.

Pochodzimy ze źródła, w którym jest miłość, wyobraźnia i moc twórcza wszechogarniająca (uniwersalna) i uogólniająca (wystarczająca inteligencja) oraz mowa, słowa!

Jesteśmy więc obrazem i podobieństwem naszego źródła.

Być może to co jest w nas niezniszczalne i to co wspólne całemu życiu da się wyrazić wzorem podobnym do einsteinowskiego, jest może liczbą, jest chemią; jest energią.

Patrz co na ten temat

wymyślili gnostycy.

*

"La conductaur" a eu un succes auprés deux perssonnes. K. et. J., Ceci a suffi pour que je m'arrure quent to les nature de [...] vocation. Fine done avec me Soufrances. (?) [...] tout.

*

Krypta św. Leonarda.

*

4.II.

Pomysły: świeca gromniczna przeniesiona z kościoła przez uparte, milczące dziecko, które nie chce jej zgasić. I co się wokół tego dzieje.

Jedno z mieszkań na Jaworzyńskiej, z którego słyszę ryki pijackie i łomot łamanych mebli, i pośród tego wszystkiego siedzi dziecko ze świecą w ręku.

*

Żona Lota.
Słup soli.

Dwaj panowie.

Tłum ciekawy - czego?

Oburzony - na co?

I na czym tak bardzo zależało Lotowi.

*

Stary przechowuje powstańców - emisariuszy.

Tłum rozjuszony klęskami, jakie spadają na miasto, chce ich zabić. Wówczas stary - a może być Sebastian Żeglikowski - oddaje w ręce tłumu wszystko co ma, aby tylko tych dwóch uratować.

A oni znają godzinę powstania (czy prowokacji) uchodzą.

Bomby spadają na Kraków - konsternacja Żeglikowskiego zmienia się w słup soli.

5.II.

Wczoraj na kolacji Jerzy Andrzejewski z Agnieszką i Arturowie. Awantura ze Stryjkowskim już jest szeroko znana. On sam ją rozpowiada. Na kolacji był halibut z ryżem, taki sobie, i doskonała galaretka. Rozmowa taka sobie, chwilami o niczym Jerzy zżymał się na

wiadomość o zgłoszeniu kard. Wyszyńskiego do pokojowej nagrody Nobla, powiedział, że jego działalność nie ma charakteru międzynarodowego, i że przynosi szkodę Kościołowi. Miał na myśli rozmowę z Gierkiem. Artur go oczywiście poparł. Wystąpiłem z ostrą obroną kardynała mówiąc, że w sytuacji w jakiej wszyscy jesteśmy, mając do czynienia z tym konfliktem rządzących osób obciążanie jakimiś winami akurat kardynała jest po prostu śmieszne. Powiedziałem, że działał pod podwójną presją - partii, t.zn. sytuacji wewnętrznej, i Watykanu. Artur, oczywiście, zgodził się ze mną.

Jerzy w ogóle uważa, że reżim nie cofnął się ani o krok, a ustępstwa wobec robotników, opozycji i kościoła są zaplanowane i pozorne.

Tolerancja, jaką reżim objawia jest przejawem zdrowego rozsądku. Nauczyli się nie przeceniać wagi słowa (ciekawe, bo to samo kiedyś zalecała reżimowi Dąbrowska - pisarze nie lubią, żeby przypisywano zbyt dużą, wagę temu co robią) doszli do przekonania, że działalność wydawnicza etc. rozładowuje

nastroje, zajmuje młodzież ...

Spytałem, czy jest to sposób podobny do tego z jakim Niemcy traktowali tajne nauczanie; potwierdził.

No i mają wszystkich ujawnionych.

Wszystkich mają w klatce - dodała z boku Agnieszka.

Nieźle jak na czołowego przedstawiciela KOR-u.

Pesymizm polityczny stał się u nas znakiem umysłowej jakości.

Dłuższy czas trwała rozmowa o Europie. Jerzy nie mógł sobie ani razu przypomnieć kto był podpisany pod deklaracją wstępną.

*

Sala Kolumn. 150.000. [...] starodruk.

Na Nowym Świecie - wypożyczalnia studencka.

BUW - z wnioskiem do Min. o rezygnacji z egzemplarzy obowiązkowych.

Bibl. Tor. przejęła ten obowiązek.

Ograniczenia w przyjmowaniu czasopism bo nie ma miejsca.

Nie przyjmują podwójnych egzemplarzy.

Przekazują część zbiorów do

Lublina, do Białegostoku, do Łodzi - kilkanaście tysięcy starodruków.

Budowa 1894 - za 86.000.

- [...]

Obliczają na 4 miliony.

Powinni planować na 10.000.

Mikrofilmy służą na 10-15 lat.

Bibl. Jagiell. 180 milionów.

BUW ma dotację resortu.

Inne biblioteki mają wsparcie władz lokalnych.

Władze warszawskiego Uniwersytetu nie interesują się tą biblioteką.

W 1922 był projekt budowy biblioteki.

Projekt na Skarpie - zakaz. teren

-.- MKiS - zabrano.

Teren na Niecałej.

Giną książki i dzienniki.

Nie zwiększono dotacji dewizowych pomimo podrożenia książek na zachodzie.

BUW opiekuje się bibliotekami zakładowymi - to samo dotyczy - wszyscy musieli rezygnować z prenumerat.

Okres starodruków przesunięto do 1850.

[...] - bo co jest w pojedynczym

[...] . S. - polityka wydawnicza

emigracji.

Udostępnia się:

II Wojna Światowa Zabiełły

Wydawnictwa wojskowe

Zbiory biblioteczne - 2 mln. 200 tys.

Planować na 10 milionów.

Od 1962 nie było zebrania ....

Rozproszone fundusze na budowę małych bibliotek.

Marnotrawstwo pieniędzy - Delegacje dla pracowników, którzy muszą jeździć do innych bibliotek.

Dublety wywieziono do koszar k/Pułtuska, gdzie butwieją.

Egzemplarze rozlokowane na różnych piętrach - powtarzają się sygnatury - dla wykorzystania miejsca - (formaty) - robi się odnośnik - magazynierzy nie wiedzą jak szukać.

Pensja ok. 3.000

- Kustosz po 25 latach 4300.

Ta sama siatka płac co dla bibliotek gromadzkich.

Zaniechano szkolenia.

Bibliotekarz dyplomowany - po kursie 2 tygodniowym.

Wyższe pensje mają pracownicy administracji uniwersyteckiej gdzie urzędniczki pomiatają profesorami.

*

(na czerwono)

E. Abramowski: Socjalizm a państwo. Pisma, t.2. 239-378.

"Z chwilą ... kiedy ludzie zaczynają grupować się w celu wypowiedzenia walki o jakiś nowy ideał, o jakąś nową potrzebę życia zbiorowego z chwilą tą do przyczynowości społecznej wchodzi facet, który zmienia jej dotychczasowy kierunek rozwoju, z którym historia przyszłości pomimo najściślejszych przewidywań teoretyków, liczyć się musi. Zatem nie polityka

obowiązana jest stosować się do polityki brać pod uwagę jej siłę i dążności rozwojowe, stosunek jej celu, świadomego do reszty warunków i podług tego określać jaka przyszłość gotuje się życiu społeczeństw. ... "

Ruch społeczny nowo powstający stawia sobie zwykle taki cel a także zadanie, które wobec nauki współczesnej jest absurdem".

*

"Walka klasowa jest to ognisko, z którego wychodzi

inspirowany szereg przekształceń społecznych. Pod jej wpływem giną powolną śmiercią dawne pojęcia i przyzwyczajenia moralne, upadają całe systemy myśli ludzkiej, znikają dotychczasowe instytucje życia zbiorowego, a natomiast rodzą się nowe instytucje i nowe ideologie. Gdzie walka klasowa jest silniej zaakcentowana, bogatsza, powszechniejsza, tam rozwój społeczeństwa odbywa się w przyspieszonym tempie, różniczkowanie w jego życiu ekonomicznym i umysłowym okazuje się większe, gdzie zaś jest

ona słabo rozwinięta, tam widzimy zarazem zastój społeczny i cywilizacyjny, leniwe poruszania się myśli i życia ... Rzuca ono do mózgów ludzkich zarzewie nowych potrzeb ... ".

(koniec na czerwono)

15.II.

Opowiadanie Adama o wydarzeniach w Krakowie.

Adam ma wyczucie sakry.

Opowiadał nam to wczoraj.

Wczoraj przyszły wiadomości, że to samo powtórzyło się w

Poznaniu.

Uniwersytet wrocławski, Wydział Historii, prof. Henryk Zieliński.

["Polska i jej sąsiedzi"]

Juzwenko

Jerzy Holzer

Jerzy Garlicki (?)

Andrzej Ajnenkiel - prawo.

Bohdan Cywiński.

*

Rozmowa z J. Jed. nieudała. Nie nadaję się do tej "roli".

*

Sytuacja.

Z wypowiedzi Łukaszewicza na zebraniu organizacji partyjnej w ZLP wynika, że zostanie podjęta represyjna akcja przeciwko uniwersytetowi latającemu i towarzystwu kursów naukowych. Prasę nielegalną i nawet KOR władze traktują z pobłażliwym lekceważeniem, a o tym ostatnim Sokorski wyraził się nawet, że jest to "półoficjalna" opozycja socjaldemokratyczna, z którą zawsze będzie można się dogadać. Tylko owe kursy stanowią rzeczywiste

niebezpieczeństwo, ponieważ wpływają na młodzież.

Na czym polega, zaleta owych kursów - jak przypuszczam na tym, że do obiegu wiadomości, informacji i do relacji wychowawczych całkowicie u nas zbiurokratyzowanych, został wprowadzony nowy czynnik - czynnik swobody - i nowa wartość wychowawcza - wolność - wolność słuchacza, i wolność wykładowcy. W tych kursach nie chodzi w gruncie rzeczy o to, czego się tam ludzie dowiedzą, czego się nauczą, i dlatego nie o ich stronę rzeczową, dydaktyczną,

merytoryczną martwić się trzeba; chodzi o to, aby student i wykładowca spotkali się z sobą na płaszczyźnie obopólnego, wzajemnego zaciekawienia - zaciekawienia osobowego, nie przedmiotowego. Płaszczyzna ta została zupełnie wyeliminowana z państwowych uniwersytetów, gdzie wykładowca stał się anonimem - nie ma go, reprezentują go zastępy zastępców, a społeczność studencka [...] twarzy [...] szybko od egzaminu do egzaminu. Wiadomości tkwią i tak gdzie indziej - poza uniwersytetem i

poza kursem - w książkach. Uniwersytet powinien być przede wszystkim miejscem formowania się zainteresowań i charakteru społecznego jednostki; ponieważ nie jest tym, powinny się stać nim kursy.

Oczywiście, nie staną się takim miejscem dla studenckich mas, i pozostaną prawdopodobnie zjawiskiem efemerycznym, z którym zetkną się tylko nieliczni. Powinny stać się wzorcem, przebłyskiem, objawieniem, przypomnieniem owej zapomnianej wolności, która jest tlenem nauki i myśli.

Gdańsk, 17.II.

Stefan Chwin.
Marian Terlecki.

*

Chwin.

U mnie ewolucja - od krytyki tekstów do krytyki instytucji literackich

to jest ewolucja od krytyki literackiej do krytyki społecznej.

Pytanie:

Czy ta ewolucja wynika ze znaczących zainteresowań czy z

sytuacji.

*

Wykonuję robotę socjologa.

Literatura jest amatorszczyzną w dziedzinie socjologii, polityki etc.

Możliwość pisania o literaturze w ramach uwikłania - to było ciekawe - zajmować się środowiskiem literackim - czy działalnością Terlecki - życie intelektualistów - czy można być intelektualistą bez zaplecza społecznego.

* nie staram się uzdrawiać

systemu

czy jest to metoda

czy jest to bezsilność intelektualna - mozaika czy system.

*

Moralność literatury.

*

Ograniczenie ideału krytyki do pewnego modelu.

*

Niepodległość na codzień.

Program PPN ktoś określił, że przedstawia on piękny kraj za rzeką, na której nie ma mostów.

Rzeczywiście, podstawowym założeniem programu PPN jest odzyskanie przez Polskę swobody w rządach wewnętrznych oraz w wyborze sojuszów i gwarancji. Czy ten zespół warunków, składający się na upragnioną niepodległość państwową, wydaje się nieosiągalny ani na dziś, ani na jutro. Wymaga wszakże załamania się całego układu międzynarodowego utworzonego po II wojnie światowej, a w szczególności wycofania się - dobrowolnego, czy przymusowego - ZSRR z roli mocarstwa światowego.

Jakże to osiągnąć zwłaszcza, że bynajmniej nie życzą sobie tego nawet antagoniści ZSRR na zachodzie w obawie przed próżnią, jaka otworzy się wtedy w Europie wschodniej i w Azji - gdzie wyrasta przeciwnik, może jeszcze od ZSRR groźniejszy - Chiny? Czy Japonia? W tym samym stanie rzeczy myśl o załamaniu się tego układu może wydać się szalona nawet zbrodnicza. (Jeśli uzależni się taki

bieg wydarzeń od światowej katastrofy), a wreszcie ryzykowna także z polskiego, narodowego punktu widzenia: jaka wreszcie rola, i jaka pozycja przypadnie wtedy Niemcom, jaki będzie wtedy los owych zachodnich i północnych terytoriów, które posiadamy tylko dzięki stanowi rzeczy?

Gdy dobrze pomyśleć hasło "niepodległości" może wydać się tylko chwytem retorycznym obliczonym na wywoływanie emocji, ale doprawdy trudno przyjąć je za podstawę realistycznego, politycznego

programu. Jedynym programem działania dla opozycji wydaje się w takim razie opór w ramach istniejącego systemu, działanie na ten system w celu zmiękczenia go i zliberalizowania, i rachuba na ewolucję wewnętrzną, czy też nawet przewrót wewnętrzny w ZSRR, który odmieni ustrój tego państwa w kierunku bardziej demokratycznym, federacyjnym, a jego politykę skieruje na drogi mniej agresywne, mniej zaborcze ...

Sądzę, że był i jest to pogląd, któremu niepodobna odmówić zmysłu rzeczywistości, ani sensu

praktycznego.

*

Kartę niepodległości wysuwamy na czoło naszego programu jako postulat moralny, który uważamy za konieczny warunek wszelkich naszych działań.

*

Uważamy, że limitowanie działań społecznych (opozycyjnych) okolicznościami, które dziś wydają się jedynie

realne, z góry pozbawia te działanie rzeczywistej atrakcyjności (?), nadaje im piętno tymczasowości i swoistego oportunizmu. Zresztą wątpliwy to "realizm" owe warunki mogą zmienić się z dnia na dzień - władza dziś quasi-tolerancyjna już jutro może uruchomić cały swój aparat ucisku aby zgnieść ruch opozycyjny, a wtedy liczenie na nieskończoną prolongację dzisiejszego "liberalizmu" może okazać się równą utopią jak marzenia o niepodległości.

*

Niepodległość jest postulatem moralnym.

Jest wyznacznikiem myślenia, jest hasłem emocjonalnym, znakiem pamięci sygnałem wrażliwości, zespołem odruchów. Jest wiele sposobów działania i zachowania w naszym kraju od bardzo czynnych do zupełnie biernych, od skrajnie "opozycyjnych", do skrajnie lojalnych. Społeczeństwo nasze nie dzieli się na tych, którzy "współpracują z systemem i tych, którzy poza doraźnymi celami, jakie mają do osiągnięcia - a są

one różne, równie dobra działalność w KOR, jak praca na uczelni, czy w fabryce - dostrzegają nakaz finalny, cel wspólny - niepodległość - i którzy go pragną, oraz tych, którzy wykreślili go z pamięci i wyobraźni.

23.II.

1) Skończyć rozprawę Kościuszko-Poniatowski, podkuwając się jednocześnie w problematyce "wielkich ludzi";
2) Piłsudski;
3) Historia od 1864 powinna

powstać na marginesie;
4) Twórczość beletrystyczną potraktować jako prywatną, odłożyć na miesiące letnie do Wilgi. Albo pisać to tylko rankami;
5) W perspektywie książka o ewolucji monarchia - demokracja - totalizm; w gruncie rzeczy o monarchii i jej przedłużeniach w totalizmie;
6) Książka o kościele katolickim jako monarchii uniwersalnej i kosmicznej;
7) Chrystus.

*

1) odroczenie,
2) niewylegitymowano,
3) łobuzy,
4) "zajęcie komendy", Kom. posterunk.
5) zginęła taśma z depozytu, która stała się przedmiotem.

*

dr. hab. Andrzej Paszkowski w Bibliotece Narodowej.

Czasopiśmiennictwo ul. Platynowa.

(Józef)? Chlebowczyk prof. w Katowicach.

Anna Radziwiłł - [...] sanacji

Liceum Lelewela na Żoliborzu.

Stefan Żółkiewski

- wychowanie oświata, nauka.

Przew. Ajnenkiel Bardach

p. Haber - prognozy.

*

Kronika Warszawy

prof. Zaorski - [...] Warszawy.

*

7.III.78.

Walne zebranie ZLP na Czackiego.

Bartelski - [...] zapowiedział budowę BN na polu Mokotowskim.

B. sarkastyczny narzeka na władze za złe traktowanie pisarzy, opieszałość etc.

Rok Korczakowski!

Rok niepodległości.

Cytat z A. Słonimskiego.

Rok 1918 znamienny dla literatury.

Literatura spełniła swój obowiązek.

Majewski - pieprzy.

Wasilewski -

wiele zależy od wyniku tego zebrania.

Jestem sojusznikiem ludzi pióra i robię co mogę, aby warunki pisarzy były lepsze ...

Niezbędnym warunkiem kultury jest ciągłość ... procesów ... kryteria wartościowania.

Z jakim trudem kultura odbudowała zniszczone tkanki.

Wyczerpaliśmy nasz podział w [...] ...

Wyczerpaliśmy rew. kulturalne polityczne ...

(nie do odczytania obydwa zdania w całości)

Czy nam jest potrzebna kultura. Trzeba domagać się partnerstwa odróżnić ruchy wyniszczające od uzdrawiających ...

Losy pisarzy - obserwuję z mojego miejsca - niejedna przydałoby się [...] od parafialnego przepychania się ... uchroniło się wartościowe dzieła tworzy coś, co [...] się od wibracji ... zachowali autonomię - niedobrze gdy o promocji decyduje fakt, że ktoś się załamał, czy ktoś coś podpisał ... Pisanie, a nie podpisywanie ...

Nie [...] ...

Rola frazesu ...

Na każdym obrazie frazes miał przeciwko - antyfrazes ...

Nieprzydatność antyfrazesu ...

Krytycyzm jednaki od frazesu niezależnie od źródła ...

Nie powinien to być frazes oportunistyczny

oraz może to być frazes awanturniczy

Obowiązki Związku nie mogą być wypełnione ani przez potakiewiczów, ani przez tych, którzy używają go za instrument awantur.

Posłuszeństwo ...

Lojalny partner.

Uzasadnione postulaty wykonane jesieni nie będzie ani protekcji, ani histerii.

Zadania:

udział środowiska - podejmowanie decyzji - wypracować kodeks praworządności w kulturze.

Konsultacyjne ciało dla konsult. "książek trudnych" ...

Więcej środków na rozwój kultury.

Mamy wiele spraw i jeden związek ....

*

Grześczak.

O młodych pisarzach ...

O studium tłumaczy ...

Prorok.

Będzie to szarpiące co powie ale są gorsze ...

Sesja we Włocławku - zapowiedziana o bohaterze literackim wypowiedzi działaczy: sesja pijacka. Aroganckie zachowanie. Brzydkie słowa.

Bankiety

Pozór opozycyjności: rozpijanie literaturtów.

Społeczeństwo potrzebuje naszego prestiżu - związkowego. Jako ZLP tworzymy jakość

moralną ... Ludzie potrzebują autorytetów i wartości ...

Apel o wstrzemięźliwość w szafowaniu autorytetem ZLP.

Szczypiorski.

Nie warto tracić czasu na oczywistości.

1) Nasz zw. jest jeden - jest jedyną organizacją zawodową pisarzy.

2) w ramach związku działają ludzie o różnych postawach i poglądach. Byłoby dziwne gdyby było inaczej. Pisarze są tacy - i działalność? jest taka.

Nie ma powodu wchodzić w numery owych kontrowersji.

Związek jeden i dla

wszystkich.

Wszyscy jesteśmy kolegami

Sprawy, które nas różnią są bardzo złożone

przyszłość - może odległa.

Byłoby źle gdyby się okazało, że niektórych poetów się nie dopuszcza.

Prawo życia są silniejsze i dlatego to wszystko, co w nim uzupełnia się w ramach związku i poza nim.

[...] głos [...]

Zarząd Oddziału sporządził listę 71 osób ...

Zarząd skorzystał z prawa ...

Formalnie wszystko jest w

porządku.

Ale przecież to nie wszystko.

Chodzi o konsultację. Została sporządzona bez konsultacji.

Aż 75! Zgłoszo aż 40 kandydatów - oznacza to, że 400 osób nie uznało listy.

Dojdzie, 200; którzy się nie udzielają i około 100, którzy są we władzach - [...] że Zarząd konsultował Jar. Zieliń.

nastroje są różne i gorące - trzeba wychodzić naprzód - nastroju i dramatom.

Wiele nastrojów gwałtowny jest [...]

W tej sytuacji nonszalancja

jest niewskazana. Co kto robi poza związkiem - to jego sprawa

Związek nie jest do sprawowania kurateli.

Obowiązuje nas statut.

Nie należy na teren ZLP przenosić spraw rozgrywających się poza ZLP.

Musimy skreślić ok. 70 nazwisk.

Są tacy, którzy mają legalne i prawomocne organizacje.

Są tacy, którzy takich organizacji nie mają. Dla nich jest związek.

Związek jest jeden dla wszystkich.

W jego organizacji powinna być swoboda różnych nawet skrajnych poglądów ...

Lepiej spierać się w ramach organizacji ... niż poza nią zasada odpowiedzialności.

Decyzja podpisów przez dyskusję niż administracyjnie.

Są sprawy co do których nie będziemy w znacznej jedności ale są takie, dla których można znaleźć ...

Natomiast nt. "kaprys siły" - Oto poprawa niedobrego klimatu/

Nasz jeden związek - [...] , gdyby nie wszyscy mogli się w nim pomieścić ...

Stanowi naszą platformę niż reszta organizacji, które w jego ramach działają

Normalka prowadzi do złych skutków.

Nie będzie identyczna - to śmierć dla literata i podzwonne dla związku.
Sadkowski.

On też podpisał taką listę. Ta lista była próbą odwołania się do wysokiego grona ...

[Czy przemawiać? Nie należy przebijać samego siebie - pisałem już i mówiłem. Musiałbym mówić tylko o sprawach poza związkowych. Szczypior ...

przeniósł dyskusję na przedmiot wygodny i bezpieczny i co do którego racje są wyraźnie po stronie op.]
Putrament.

Gdyby to zebranie odbyło się 5 marca - Stałby tu Załuski. Miał wygłosić programowe przemówienie.

Był odrzucony ...

Chciałbym pokazać sedno tego co Z. miał powiedzieć ...

Załuski był przew. komisji interwencyjnej.

Załatwiał sprawy bytowe.

Mieszkania, wyjazdy wydawnicze.

Wyprowadzał związek z kłopotów w jakie trafił ze swojej winy i nieswojej winy.
Nie był wprowadzony w specyfikę literatury, ale był wyczulony na zasługi. Jego obsesja: papier.

Z. zatrzymał spadek papieru.

Pewni koledzy mają kłopoty w publikowaniu książek. Z. dążył do załatwienia sprawy ... jego hasło - każdy pisarz ma prawo do publikacji i do paszportu - sprawa jest złożona. Łatwo wejść w konflikt, trudno wyjść.

Nie zaogniać spraw środowiska.

Recepta Szczypiorskiego - Szczypiorski nie docenił tego, że ZLP jest zależny od określonej władzy i działa w określonym społeczeństwie. Myśmy nie wyczerpali środków eskalacji drażniących czynniki zewnętrzne - a te czynniki zewnętrzne też nie wyczerpały swoich środków.

Eskalacje musi ustąpić. W tym kierunku działał Załuski - teraz to będzie trudniejsze.

21.III.1978.

Wielki Tydzień. Zimno, mokro, śnieg, Kazia chora, wszystko

znów zahamowane. Historyczna robota w ruinie (bohaterowie historyczni), polityczna robota w ruinie (Niemcy), zwaliła się robota społeczna (TKN), a tu czasu na nic nie mam.

Przeżywam znów irytacje towarzyskie, tzn. nowy atak nieufności w stosunku do Adama et consortes.

Ich system nacisków na ustrój (bo tak to nazywają) okazał się w praktyce rodzajem wirówki: "odciągnął mianowicie z kultury oficjalnej wszystko to co stanowi jej atrakcyjność - wszystkie jej elementy niepodporządkowane,

skłócone z oficjalnym modelem tworząc z nich ową kulturę paralelną, która jest skazana na drugorzędność i elitarność.

Nie dać się palić do końca; spalili Burka, Barańczaka, Cywińskiego. Starają się spalić mnie, Jedlickiego, Janisa, teraz Holzera. Zatrzymać dwoistość - występować tu i tu, ale przede wszystkim tu, t.j. w kulturze oficjalnej, na ile to się tylko da.

Nie kandydowałem na zjazd ZLP, aby nie zadrażniać do końca; kryterium mojego postępowania jest związek - tam nie chcę się aktywizować i występować z

"grupą".

Gromada

poczta

Twórczość - tel. do Micewskiego - Kamieńska pilne.

12:30 - Gottesman

Biernacki: 17, 18,

Stypendia

bieda..

*

B. rano do [...] i [...]

[...] Borowego.

Dr. Zdzisław Łapiński - Warszawa.

Jerzy Stadnicki - Warszawa.

Juliano Bruna 22/24.

22/III.

TKN.

[...]

Janionówka: z jej inicjatywą.

Spr. odróżnienia się od KOR-u.

"Nieważna inicjatywa KOR-owska" - zdanie partyjne.

Puścili 3 książki jej uczniów.

Akcje pozawykładowe.

Cykl dyskusji na temat sytuacji humanistyki w Polsce. Jaruz. zaprosił parę osób na rozmowy: czym powinna być

humanistyka.

Burek, Jowt.(?), Kijowski, Cywiński, Brandys, Woźniakowski, Jedlicki - repertuar problemów.

Do poruszenia:

Adam, Walc, Kuroń.

Zatrzymanie "spotkań".

Selektywność informacji KOR-u.

*

Adam - materiały do historii najnowszej PRL. (propozycja Mazowera)

1. Znaleźć jednego lub 2 zast. do

historii najnowszej PRL.

2. Materiały.

3. Wykłady aspektowe.

*

Odczyty.

Wykłady warszawskie idą normalnie.

Zastępstwo Adama w Krakowie i w Łodzi.

Gdańsk 4 wykłady: Burak, Welc., [...] , Cywiński.

*

Na następne zebranie sprawy

wydawnicze.

23/III.

Zimno, Kazia chora, nie możemy jechać do Wilgi. Święta. Ogólny chaos: z TKN-u nic nie rozumiem. Nie rozumiem stanu organizacyjnego i legalnego niedookreślenia. Niewiadomo za co TKN odpowiada i za co nie odpowiada; o czym decyduje i o czym nie decyduje; czym jest i czym nie jest; za co jest karalne, za co nie jest karalne.

Nie mogę sobie dać rady z naszym [...] . Nie umiem werbować współpracowników, nie ufam zdolności tych, których znam. Chcę zrobić wszystko sam, a czasem, ani sił, ani zdolności, ani wiedzy mi nie wystarcza. Nadmiar zobowiązań.

A jeszcze do tego normalne życie zawodowe. A jeszcze do tego umowy. A jeszcze do tego ambicje. Z nadmiaru tych wszystkich rzeczy powstaje immobilizm. Ponieważ nie wiem co mam robić najpierw, nie robię nic.

25.3.1978 Wielka Sobota.

1. Nie rozpocznę od początku.

Początkowi przypisuje się nadmierne znaczenie.

Tego nigdy nie było. Początek rzeczy nie był nigdy rzeczą samą; początek nie określa dalszego trwania. Dziecko było małym dorosłym. Im większy i cnotliwszy człowiek, tym dojrzalszy i poważniejszy był w dzieciństwie, tym mniej był dzieckiem. Przykłady z Plutarcha, z żywotów świętych, z dzieciństwa współczesnych wodzów i bohaterów.

Malarstwo. Ktoś pisał o tym -

czy nie Foucauld?

Bóg - dziecko.

Odkrycie świata dziecinnego przypada na koniec wieku XIX. Czy nie ma to związku z wejściem w krąg kultury biografii plebejskich? Mark Twain - mitologia urwisa. Mitologia, zdaje się, amerykańska. W każdym razie dzieciństwo jest kreowane przez wzorce.Moje dzieciństwo zostało przepołowione przez wojnę; przez to zdarzyły się w moim życiu różne stereotypy: arkadyjski i bohaterski. pański i plebejski. Inne jego wzorce w to się wdały: sentymentalny (rodem z Amicisa)

- upadłe paniątko, świątobliwy - św. Stanisław Kostka, czy nawet męczeńskie wzory Tarsycjusza etc. Oraz patriotyczny. Ten mi się niecałkiem wyjaśnił.

Mój późniejszy bunt młodzieńczy przeciw domowi, Kościołowi, tradycji patriotycznej miał wiele z buntu przeciw owym stereotypom.. Naturalnie buntując się przeciw jednym stereotypom, wpadałem w moc innych.

Sprawa stereotypu w ogóle: w życiu społecznym, w życiu osobowym. Podatność mojej matki na stereotypy uczuciowe. Łączy się z reakcją jej życia umysłowego.

Podatność Polaków na stereotypy: łączy się z reakcją ich zbiorowego życia!

Kto, co, kiedy napisał o stereotypach!

Być może jest to centralna sprawa mojego życia.

2. Miałem nie pisać o początkach. Samego mnie na tamtą stronę zaniosło.

Inna sprawa to początki literackie.

Niewyraźne ambicje, lektury, Tygodnik Powszechny. Uniwersytet. Wyka. Przyjaciele. Dylemat: kolaborować - nie

kolaborować. I na jakiej zasadzie: cynicznej, czy ideologicznej.

Szkoła K. Puzyny.

Szkoła L. Flaszena.

Szkoła J. Błońskiego.

Na czym polegały.

Literaci Krakowscy.

Życie literackie.

Wyjazd do ZSRR, zmiana mojej sytuacji.

Dojmujące uczucie niedoinformowania, niewiedzy. Nocna wycieczka na Łubiankę. Dziś wiem jak była absurdalna i czym mogła się skończyć i ilekroć o tym pomyślę, myśl moja biegnie tropem fantastycznej przygody,

której teraz pragnę - dlaczego pragnę?

Ile niejasnych, dwuznacznych sytuacji późniejszych bym uniknął! Ilu fałszów! Ilu złych chwil - w zamian za mękę, która nadałaby mojemu życiu jakiś jednolity sens.

Zarański: wiem, że byłem wtedy, w tych czasach, na właściwym miejscu.

*

Święta ciche, domowe, Kazia trochę chora. Ciągnę tekst o Niemcach dla Partii.

Wszystko, jak zwykle, spóźnione.

Czytam Montaigne'a - jak zwykle od początku z nowym zamiarem.

28.IV. (III?)

"Je m'em irai sans avois de'ballé ma marchendise".

*

30.IV. (III?)

Cieplej. Korekta Cabanisa. Zresztą "sralemate". Kazia nadal

chora, a ja kręcę się wokół własnego ogona. Sen: wybuch wojny, czołgi niemieckie, jakieś upokorzenia, potem Warszawa w lejach i gruzach, i ja nie mogący przejechać samochodem przez zrujnowaną, dzisiejszą Marszałkowską. Samochód, stara warszawa, pojechał beze mnie wzdłuż torów tramwajowych, biegłem za nim, tramwaj przejechał tuż obok niego, wydawało mi się, że go już rozbił - ale nie: samochód zmienił się w Kalego, który uskoczył w ostatniej chwili i wywiesił język z zadowoleniem. Bezmyślność.

*

Wczoraj jakieś bezładne rozmyślania o szczęściu i porządku. Człowiek jest szczęśliwy, gdy swoje otoczenie, swoje zdrowie, swoje stosunki, swoje działania, swoje myśli i swój czas doprowadza do porządku współgrającego z porządkiem natury, nie traci zarazem poczucia wolności. Przykład uporządkowanego działania w czasie, które nie daje szczęścia: praca przy taśmie fabrycznej, przykład

wykorzystywanego działania w czasie, które daje szczęście: gra w orkiestrze.

*

Zdarzenia: Aldo Moro nadal w niewoli, w TKN ferie, nowym ministrem kultury ma być Mietkowski - nieagresywne zero, za parę dni zjazd ZLP, gratuluję sobie, że nie brałem udziału w wyborach. Dowiedziałem się wczoraj od Joasi, że lista "opozycyjna" powstała z układów Wiktora z Sitą i Klub Dramaturgów oddał głosy na

"opozycję" pod warunkiem, że opozycja będzie głosować na Sitę, Krasińskiego i Abramowa, a w Katowicach na Krasińskiego do Zarządu Głównego. Tu jest przyczyna, dla której do mnie nikt się nie zwrócił przez 3 dni z propozycją kandydowania. Zwrócił się w końcu Wiktor półgębkiem i przyjąwszy odmowę, nie nalegał. Sito. Ha, ha, ha. Nic wspólnego z tą bandą - nigdy!

31.III.

Wczoraj rozmowa z Karolem Modzelewskim. Bystry, uważny,

ciepły. Ale gdy teraz chcę streścić jego poglądy jestem dosyć bezradny. Sprowadzają się do teorii rozgrywek między materiami, nacisków rosyjskich etc. Świadomość celów finalnych? Żadna. Świadomość historyczności? Minimalna. Dość duże zrozumienie wykazał dla mojej teorii "Strefy pośredniej" jako polskiej specyfiki, zagrożonej - moim zdaniem - jednocześnie z dwóch stron: ze strony władz, opanowanych przez manipulantów nie umiejących tą wartością tak gospodarować, jak umieli Sokorski, Żółkiewski, Borejsza, z

drugiej strony przez zawodowych dysydentów. Polaryzację na aparat i czystych oportunistów, oraz dysydentów, uważam za objaw najdalej posuniętej sowietyzacji. Dawniej między Putramentem a Grzędzińskim coś było - i to "coś" było właśnie najważniejsze. Dziś? Kto jeszcze w tym tkwi, jest gwałtownie wypychany, albo przez kaprysy władzy operującej w dowolny sposób "czarnymi listami", albo przez naciski dysydentów podsuwających swoje listy do podpisów.

Możesz w końcu w tej strefie zostać - jak Jastrun czy Terlecki - ale stracisz wszelkie znaczenie. Możesz drukować, ale druk straci znaczenie wobec powielacza. Druk wobec powielacza, uniwersytet wobec TKN-u, kariera naukowa wobec kariery dysydenta.

Wilga, 3.IV.

Ucieczka z Warszawy. Mieszkanie Jędrka. Konflikt meblowy. Malowanie u niego i u nas. Pakowanie jego drobiazgów. Smutek. Żal do siebie za jego niepełne dzieciństwo. Praca zupełnie zahamowana. Przez cały

tydzień gniotłem tekst dla PPN: sprawa niemiecka, na której się nie znam. "Nasi wysmażyli parę tematów, którymi chcą olśnić świat".

Wizyta Tadeusza Korzeniewskiego. Przeczytałem parę stron jego prozy w Zapisie - wydał mi się zdolny, owszem, ale już na granicy maniery, albo też do niczego innego, poza manierą, niezdolny. Niesympatyczny. Inteligentny, naturalny, niebezpieczny. Powiedział, że przyszedł do mnie jako mądrego człowieka, potem plótł, potem zaczął się uskarżać na ciężkie warunki, złe zdrowie, a gdy zniosłem to w milczeniu, czekając co z tego wyniknie, powiedział, że "jeszcze jakiś czas pociągnie", a potem - nie wiem - może do UB pójdę. Zniosłem i to. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że chłopczyna już jest w UB. Bródka. Szklane oczko pijaczka, filmowe maniery, swobodny sposób bycia ... Przez jakiś czas pętał się przy Moczulskim, teraz przeniósł się do KOR-u. Mieszka u ludzi. Teraz u Blumsteina.

5.IV.

Sidney Hook: The Hero in History.

Rozróżnienie na "event-ful men" i "event-making men".

Czytałem Chamberlaina oświadczenia w Izbie Gmin: Anyone who had been through that I have hed to go through ... "Przypuszczenia, iż Chamberlain grał na zwłokę i wygrał rok. Prawie same pakty! Chamberlain nic nie zrobił, ażeby Anglię lepiej do wojny przygotować i zrobił wszystko, aby nie prowokować Hitlera.

Nikt dotąd nie zwrócił uwagi,

że Pakt Ribbentrop-Mołotow jest przedłużeniem Monachium, że opiera się na tej samej logice, na tej samej zasadzie etycznej i miał te same rezultaty.

Był o tyle gorszy, że partnerzy paktu monahijskiego nie głosili przyjażni z Hitlerem i nie zawierali z nim dodatkowych, tajnych porozumień policyjnych.

*

Dlaczego nic mi nie idzie? Dlaczego myśl mi wciąż ucieka do głupstw i w nicość zupełną? Dlaczego jestem tak słaby

umysłowo czy fizycznie, że żadnego wysiłku nie umiem znieść i pozwalam na ciągłą ucieczkę energii? Jestem jak silnik, którego moc ucieka "na masę" - jak mówią kierowcy. karoseria jest naładowana prądem, a silnik nie pracuje. Samochód stoi w miejscu. Nic nowego. Ucieczki myśli prześladowały mnie jeszcze w szkolnych czasach, były moją plagą, moim nieszczęściem. Łajali mnie za to rodzice, ja zaś zaklinałem Boga, aby mi pomógł przezwyciężyć to, co po prostu źle nazwano: Matka mówiła, że jestem "dystrakt", a byłem po prostu, i jestem leniem.

Skupienie uwagi. Niczego więcej nie potrzebuję. Tylko skupienia. "Concentration et evaporisation du moi". "C'est tout" - jak napisał mój Baudelaire. Prześladuje mnie, zdaje się nadmiar obrazów. Zbyt dużo rzeczy naraz widzę. I tak było zawsze. Mam zbyt żywą wyobraźnię i pamięć wizualną. Moje zamyślenia są w istocie zagapieniami w obrazy przesuwające się przed moim wewnętrznym wzrokiem. Mam w sobie niezwykłą i zupełnie niewykorzystaną siłę: mogę w

każdej chwili ujrzeć to co chcę. I mogę to opisać. A jednocześnie przedmioty, którym się przyglądam, hypnotyzują mnie po prostu swoim wyglądem. Jakże mogę pisać na maszynie, kiedy ona sama zdumiewa mnie i ciekawi!

Co na to poradzić? Zużyć tę właśnie zdolność, zaprząc tę siłę do roboty!

6.IV.

Złudzenia spekulatywnej teologii i "mistycznej" poezji: utwierdzają przekonanie o

konieczności istnienia Boga wynajdując znaczenia dla jego figur. Absurd wiary trwa nieporuszony. Od zrozumienia co z n a c z y np. Duch Św. do uwierzenia, że on po prostu jest, jest równie daleko jak od wtajemniczenia w zasadę rozmnażania do uczucia i praktyki miłości.

Bóg widząc te wysiłki, mruczy gniewnie: nic mi z tego - i nadal woli swoje baby obcałowujące jego portrety.

*

Za często puszczam wodze myślom - prawie stale są puszczane i galopują wtedy jak dzikie konie po polach. Za głupie, puste i etc. Jakże źle myślą wtedy o ludziach! Jak niskie przypisują ich wtedy pobudki! Jakże zawistny wtedy jestem i małostkowy!

7.IV.

Problem jest m.in. techniczny. Co robić, kiedy nie wiem co pisać, lub to co piszę okropnie mi się nie podoba i nudzi mnie? Co robią w takich razach inni? Zdaje się, że

jedyną radą jest wtedy cofnąć się i np. przepisywać to, co się niedawno napisało i co wydaje się dobre. Chodzi o to, aby nie tracić kontaktu z papierem, bo gdy to nastąpi myśl ucieka "na masę", czyli do nikąd, powodując stan chorobowy, wywołując uczucie klęski i nieszczęścia.

A w moim, chodzi mi już tylko o to, aby być zdrowym i szczęśliwym. Należy więc skakać piórem bez przerwy. Nawet wciąż to samo przepisując. Tylko tak. Tak mi P. Boże dopomóż.

10/4.

TKN.

Kontakt z Towarzystwem Wolnej Wszechnicy.

Zrobić gest z naszej strony - ofertę współczesną

był Al. Kamiński Kościałkowski.

Prez. Uziembło.

Lokal przy ul. Waszyngtona.

Spotkania z SKS.

-.-

Strasznie piepszą:

Mówią, że się biją.

Mówią, że ich ciągają.

Mówią też, że chcą się uczyć. Że powinno im się coś

zorganizować. Ale nie bardzo wiedzą o co im naprawdę chodzi i co ich interesuje. Wszyscy zebrani, zarówno my, komisja Programowa, jak oni, delegaci SKS, czują się odpowiedzialni za innych, chcą uczyć innych, pomóc innym, innych zmusić do myślenia i dyskusji, sami natomiast od siebie nie wymagają niczego. Punktem wyjścia jest tu socjotechnika, a nie idea. Organizuje się "Komitety, kursy po to, aby wymyślić ideę, odkryć prawdę, etc., zamiast od idei zacząć i obmyślać do niej sposoby upowszechniania.

Jeden z badaczy mówi, że wykłady są za ogólne, za popularne.

Pytanie Mazowieckiego, czy zmieniły się wykłady oficjalne; na historii powstał klub, na psychologii zarganizowano cykl wykładów dowolnych ...

Organizowanie życia studenckiego jako akcja przeciwdziałania TKN-owi.

*

Problemem współczesnego człowieka jest nadmierny szum informacyjny. TKN go jeszcze zwiększa. Dlatego nie ma szans powodzenia. Ludzie nie mają czasu ani pojemności umysłowej na wchłonięcie tego wszystkiego, co im ofiaruje prasa, książki, uczelnia, TV. etc. My im jeszcze dodajemy balastu.

*

Polonistyka: bardzo mało aktywny. Brak wykładów o literaturze.

Wilga, 22.4.

Chyba się starzeję.

Starzeję się chyba. Nic mi nie smakuje. Ani jedzenie, ani papierosy, ani wódka, ani praca, ani spoczynek. Żyje mi się dobrze, wygodnie, nawet szczęśliwie, tyle, że radości z tego nie mam. Pijacy mówią; nie idzie mi wódka. Palacze znają ten niesmak przy paleniu. Skołczałe podniebienie (duchowe), zaciśnięte gardło (duchowe). Przyczyna? "Criso de foi" - jak mi mówił pewien smutny wenezuelski pisarz w Paryżu, a co ja zrozumiałem jako atak wątroby. U mnie też niewiadomo czy to wiara, czy wątroba.

Od lat niespełnione pragnienie, aby spojrzeć na wszystko takim "strasznym jasnym wzrokiem", odrzucając wszystkie stereotypy,; przecinając więc te pępowiny, zostać sam na sam z istnieniem.

Wszystkie moje myśli są ograniczone przez ich dzieje; przez to jak powstawały, skąd pochodzą, z formami. w jakich się uzewnętrzniają. Myślę słowami i obrazami, a słowa i obrazy mają byt podwójny: logiczny i zmysłowy, z wyraźną (przynajmniej u mnie) przewagę zmysłową i emocjonalną. Każda myśl ma swoją ikonografię,

liturgię i historię. Moje myślenia, to błądzenie po jakichś manowcach, korytarzach i teatralnych rekwizytorniach, po zakrystiach etc.

Dlatego to dobry pomysł opowiadania o panu, którego zmuszają do wyniesienia się z jego starego mieszkania, w którym się urodził, gdzie poznał swoją żonę, i gdzie przebiegło całe jego życie, a zarazem narodziły się wszystkie jego myśli, i który - przeniesiony gdzie indziej - jest po prostu pusty, traci absolutnie wszystko. Cała jego substancja, duchowa została w sprzętach, ścianach etc.

Tylko - jak to ułożyć.

Gdyby to był utwór sceniczny, musiałby zostać zamknięty w ramach tego mieszkania.

1. Przybycie do mieszkania. Jest późna noc. Gdzieś w pobliżu odbywają się hałaśliwe imieniny. Kto ich odwozi? Np. jego starszy brat, któremu się w życiu powiodło, i w którym Zofia kochała się skrycie. Pomaga im zawieźć rzeczy, zostawia ich samych, obiecuje wrócić, przywieźć im polowe łóżka, pościel, coś do jedzenia na rano. Pomiędzy jego wyjściem, a jego

powrotem coś się pomiędzy nimi dzieje. Coś się ujawnia, co ma także związek z jego Miecia, przeszłością. Np. kiedy siedział w więzieniu, był związek między Zofią a Bolkiem - innym starszym bratem i dlatego tak teraz jest mu oddana, i tak na wszystko zdecydowana - z poczucia winy. Myślała, że on nigdy z więzienia nie wyjdzie, dostał przecież 15 lat więzienia, czy dożywocie.

Wyszedł, ale ... wcale nie taki czysty: składał w więzieniu jakieś deklaracje, służył za świadka oskarżenia, o czym z kolei wie Bolek i dlatego jest spokojny. Stosunek Miecia do syna i jego kolegów - dysydentów - też zresztą na tym polega: denerwują go, bo realizują to, co on zaczął realizować, ale się załamał. Bolek jest przykładem oportunisty, "realisty". Zofia jest tą, która płaci za wszystko. Jej umysł zamiany mieszkań był podyktowany miłością do syna, któremu chciała zapewnić optymalne warunki, (Leszek jest rzeczywiście zdolny) - chciała, żeby był normalny; a pozatem sama chciała się wyrwać z kręgu wspomnień i wyrwać też stamtąd Miecia. Naprawdę chce zacząć od nowa.

Miecio nic nie umie. Zmienia posady i zawody. Powinien może pisać. Kiedyś chciał być aktorem. To jego aktorstwo go może zgubiło - zbyt łatwo, zbyt prędko wchodził w proponowane mu role - np. konspiratora, albo konfidenta.

*

Co ma się wydarzyć pomiędzy odejściem Bolka, a jego powrotem? Wtedy powinien wyjść na jaw związek Zofii z nim. Z tym, że przed samym jego powrotem Miecio powinien się z

tym pogodzić albo Zofia powinna go przekonać, że miała prawo.

Bolek powinien być młodszy!

*

Dochodzi do awantury - Zofia go opuszcza, on otwiera gaz na to wchodzi syn. Powstaje nowe ogniwo łańcucha win. To znaczy syn (Leszek) puka, dzwoni, nikt nie otwiera. Mówi do żony: zamknął się, chce wszystkich przekonać, że są mu coś winni.

Odchodzą. Jego żona przystaje na schodach: - czy nie czujesz gazu?

Wilga, 23/4.

Złe myśli od rana.

Mała aktywność umysłu i serca - przyczyna zniewolenia. Do pustego domu wchodzi byle kto z byle czym. Mielenie plew..

*

TKN - 2/5.

Sprawa oświadczenia - przedyskutować!

Jedlicki sprawozdanie z Krakowa.

Trudności z wykładowcami -

poza Łukawerem - nic. - Organizacja wykładowców przyjezdnych - różna.

Dyskusja: ukameralnić się - ciche zebrania.

czy jawna, spektakularna działalność jak dotąd.

Malewska i Gołubiew dwie formy.

[Dwa cele: 1) Prawa na wytworzenie Gołubiewowi - cicha, spokojna, metodyczna zademonstrowanie prawa do wolności nauki.]

Wszyscy byli zgodni co do dwu celów - sceptyczni co do możliwości organizowania formy

jawnej.

Kolportowanie skryptów - zeszytów naukowych.

Wydawanie jeden lub dwu rocznie.

Krakowskie środowisko bardziej zwarte od warszawskiego - informuje bezpośrednio.

*

Sprawozdanie.

W semestrze zimowym 6 cykli wykładów.

1. Michnik - 100- [...] ;
2. Kowalik - 30-45;
3. Jedlicki - ok. 30;

4. Burek - ok. 20;
5. Cywiński - ok. 30;
6. Strzelecki - ok. 15.

Informacja stała, narastająca.

Podniecenie wokół wykładów.

Widoczna inwigilacja.

W kwietniu:

12 cykli + semin.

1) Michnik - ok. 120;
2) Kowalik - 30-60 - [...] 25;
3) Jedlicki - 25-15;
4) Burek - 15-15.

1 - Cywiński - 20 - [...]
2 - Bartoszewski
3 - Kuroń - 45
4 - Woroszylski - 20-16
5 - Werner - nic

6 - Słonowski.
7 - Amsterdamski - ok. 10
8 - Nowakowa - ok 35 osób.

Przerwano wykłady Michnika, Strzeleckiego i Cywińskiego.

Ogólnie zmniejszenie zainteresowania.

Akcja przeciw właścicielom mieszkań, przełoż. 5 adresów

utracone 5 mieszkań.

utrzymało się 6 wykładów.

wykłady Wernera i Burka nie zawiodły oczekiwań.

5 wykładów wyraźnie bez powodzenia.

Zebrania partyjne - zaniechanie działalności TKN.

1. Kłopoty lokalowe.
2. Obliczenie tempa pracy Komisji.
3. Komisja nie zareagowała na represje.

Represje nasiliły się z powodu towarzystwa.

Na przyszłość:

wszystkie te elementy negatywne będą się nasilać.

Nie potrafiliśmy wyciągnąć korzyści z powstania towarzystwa.

Dobrodziejstwa towarzystwa.

4. Zmęczenie studentów.
5. Brak dotarcia do środowisk, które mogą być zainteresowane:

ci, którzy nie dostali się na

studia - ci są zainteresowani dostaniem się na studia;

zaraz po studiach - Tak, ale to wymaga kameralności.

proponowane zmiany:

baczniej wsłuchiwać się w postulaty innych środowisk;

część ich chciała wykładów improwizowanych - inni nie.

*

Nie udało się wytworzyć atmosfery sprzyjającej samokształceniu.

Sprawa propagandy. Warunkiem byłoby chodzenie na 2

przynajmniej wykłady.

Niewykorzystani ludzie - tacy, którzy godzą się na pojedyncze wykłady i odczyty.

Założenia: Wierzbicki - socj.; Cywiński - historię kościoła w Polsce; Barańczak - kultura masowa.

Generalna koncepcja TKN:

1) uzupełnienie oficjalnego uniwersytetu - przenoszenie podobnych struktur;

2) objęcie pewnej ilości studentów - kształtowanie postaw.

Propozycja:

cotygodniowe spotkania odczytowe. Za każdym razem

inny autor. Więź: tradycja - i (miejsce) - dyskusje panelowe, programowane głosy etc.

Na 200-300 osób.

To mi się podoba - mobilność (spektakularność łatwo o prelegentów), spektakularność (bez jej wad).

Lokal. Wydostać się z mieszkań prywatnych.

Mieszkanie kaucja.

2 cykle wykładów - żadnych środków ostrożności

1) Historia Polityczna Polski - 1918-1970. - Michnik, Kowalik, Bartoszewski - odpowiedzi.

Wykładowcy powinni

zapraszać innych - jak Kowalik.

2) Literatura jako wyraz świadomości społecznej - Burek, Woroszylski i inni.

Dubluje wieczory.

Inni powinni przechodzić na seminaria. Adresat: nie każdy kto chce, i nie na poziomie ogólnokształcącym.

Seminaria w mieszkaniach wykładowców.

Odczyty: 2 cykle są na straty. Ażeby wraz z akcją milicyjną nie przepadła idea samokształcenia. Dobry program. Sprzeczny z zasadą odpowiadania na represje.

Zredukować.

Autorzy zagraniczni.

Seminaria w mieszkaniach wykładowców.

Inne miasta będą organizować sobie same.

*

Jedlicki się zgadza.

Amsterdamski: odejście od pierwotnej koncepcji TKN.

Amst.

Brak różnicy między odczytem a cyklem. Prawda.

Spłycenie problematyki.

Zbliżenie do koncepcji Klubu duskusyjnego.

Istota TKN przenosi się na te seminaria

Pytania, czy te cykle spektakularne są w takim razie potrzebne.

Seminaria z wykładów: Wernera? Kuronia?

*

Nie zgadza się z oceną pracy w ubiegłym roku.

- przeniesienie ruchu opozycyjnego na inną płaszczyznę.

Amsterdamski: próby przebijania się, nie ustępowania.

Moja:

ruch umysłowy (jaki?), a nie organizacyjny [uniwersytet latający, a TKN - [...] zredukować (wszystkie elementy propagandy prowokacji) cały front konspiracji.

Przyjęcie [...] - zamienia nas w klub dyskusyjny.

A. zgadza się, że Komisja pracowała leniwie.

Zespoły?

Brak odczytów?

Działanie naukowe.

Przejść na formy kameralne jednocześnie utrzymać i rozszerzyć samo grono TKN z działalnością programując ...

sympozja, konferencji okolicznościowe (*) poradnik bibliograficzny).

Oczywiście, może każdy prowadzić seminarium bez TKN.
Mazowiecki.

Ocena sytuacji.

Co w rezultatach naszej działalności wynikiem błędów, a co wynikiem fałszywych oczekiwań.

Rozbudzanie zainteresowań?

Wątpliwości M.:

Za często - brak lokalnych tematów.

Cykle:

1) Cele: ruch umysłowy a nie

organizacyjny (różnice między Klubem a TKN.
2) Skrócić front konfrontacji;
3)
a) działalność naukowa TKN, między innymi odczyty również kameralne;
b) seminaria,
c) działalność wydawnicza popierająca wszelkie formy samokształcenia.
4) Głośność. To co zaś przeszkadza najbardziej. To nie może być opozycja!
Mazowiecki.

Nowe konfrontacje - poza TKN.

Znaki dla młodzieży - istnienie TKN.

Istota seminaria i wydawnictwa - Tak ja.

Mieszkania: np. kościelne
Celiński.

Represje i nie afiliacja do KOR-u lecz rodzaj działalności. - [...] coś nie do [...] .
Celiński.

KOR. - odmowa.

Represje. - Chodzi o instytuty, katedry.

Odpowiedzialność za młodzież. - jesteśmy odpowiedzialni na równi z wychowawcami.

3/5.

Zebranie walne. Bartelski.

Apel do nowego zarządu: wyrównać renty i emerytury starego portfela.

Sąd koleżeński - Szmaglewska. Czyta Jackiewicz.

2 sprawy.

Łemkowski vs. Szypowska. Pozew bezpodstawny. Sprawa umorzona.

Bahdaj vs. Szczypiorski. Nagana dla Szczypiorskiego, który orzekł, że Bahdaj dokonał plagiatu. Ponowna ekspertyza. Szczypiorski odwołał się do Sądu Z.G.

Małachowski - Kom. Rewizyjna stwierdza, że działalność zarządu zgodna ze statutem i zasługuje na uznanie.

*

Szczepański - dyrektor jakichś wydawnictw MKiSz.:

projekt umów na przekłady dotowane na szczeblu rządowym;

projekt "banku przekładów":

ministerstwo będzie zawierać umowy na nakład podstawowy z

funduszu autorskiego.

Projekt podwyżki honorariów: 7.000.- najwyższe za arkusz prozy, 28.- za linijkę wiersza.

*

Przypkowski.

Co się stało na zjeździe.

Zjazd zaczął się przed zjazdem, propozycja Was.(ilewskiego) "wyciągniętej ręki". Zjazd w nastroju dużej powagi.

Przemówienia ... - w przemówieniu Łukaszewicza konstruktywny program

Iwaszkiewicz postawił sprawę prawa do wykonywania zawodu i [...] . Zdaje się było to pominięte w prasie - tym bardziej postać prezesa wspiera się oklaskami ...

Dyskusja:

Szczypiorski - przedstawił listę ok. 30 książek zatrzymanych.

Spowodowało to replikę wydawców. Wasilewski uszczuplił listę do ok. 10 pozycji.

Sprawa literatury emigracyjnej. Dowiedzieliśmy się, że poezje Cz. Miłosza wyjdą ... - a jedyną przeszkodą niewydawania Gomb. już jest brak zgody wdowy ... Brak innych przeciwników -

wiele elementów konstruktywnych.

Dwa zdarzenia wstrząsnęły opinią: przemówienie Brauna i incyd. na przyjęciu. Wystąpienie Brauna unaoczniło kwestię odpowiedzialności za losy literatury i związku ... To przemówienie spowodowało komplikację na zjeździe. ... Dynam. znakomita przemówienie Sandauera ... Koźniewskiego, który przestrzegał przed awanturnictwem politycznym ... Sadkowski o nomenklatura i tak dalej ... Zostaliśmy zaproszeni na koktail ... b. sympatyczna uroczystość, kiedy nakłada się czapką ... rzeczywista chęć bytności prezesa ... - Nr 1., I tutaj b. przykry moment ... po dekoracji usiadł ... [...] powiedział, że [...] ... ten z ogromną [...] , który powiedział ... To spowodowało owację ...

Napięcie wewnętrzne doszło do zenitu ... Wiadomo było, że będzie reakcja ... to b. szybka prasowa nasi koledzy partyjni ... podziękowanie dla prezesa ... emocje opadły ... jakoś inne opowieści o przemówieniu pana Mietkowskiego, który ... przewijała się cenzura ...

niemożliwe jest funkcjonowanie [...] . bez [...] się
Dąbrowski.

Sprawa absolutorium.

Wątpliwości: cytat z Żeromskiego ... "nacisk niedoli zewnętrznej" ... jesień 1976 "Złożoność" - ominęła was niedola, zewnętrzna poprzez naszą własną instancję przez nas wybraną.

Trudno obciążać odpowiedzialnością cały zarząd ... ale nie natrafiliśmy pretensji ze strony wiceprezesów ... ostrzeżenie aby nie oddać głosu na żadnego z tych kolegów ...

Zna naciski Komunistów ... ale ...

Przed 10 laty nie taki był nacisk zewnętrznej niedoli"a nie usuwaliśmy P.S., J.G. i SK. ... ocaliliśmy coś więcej niż legitymacje związkowe ... Nie zdziwiłem się skardze Bartel.: coraz mniej widzimy chętnych do współpracy ...
Stoberski.

Federacja tłumaczy. (FIT).
Woźnicka: warsztat.
M.A. Wasilewski: Co to jest absolutorium. Nieudzielenie absolutorium oznacza, że zostało dokonana malwersacja ... Czy D.

chciałby oddać Bar. w ręce prokuratury.
Ficowski: odmienne okoliczności od poprzednich wyborów. Nowum: wyjątkowo bezwzględne i krwawe dyskryminowania zepchnęły wielu kolegów do katakumb literatury [...] .

Literaci żyją prawdą ("Dom Literatury"). Żyje w przekonaniu mowy pozornie niezależnej ... mowy ubezwłasnowolnionej ... Policja jawna i tajna ... Nie skarży się ... Skarży się na dyskryminację prawdy ... Związek zespala nas organizacyjnie ... Do nas należy przeciwdziałanie zagranicznym

kolegom, ... do obrony prawdy ...

Jedyna cena, jakiej zapłacić nie mógłbym: cena kultury narodowej ... tylko lit. dworu nie wolno reformować poza sytuacją.

Czy to wymusza posłuszeństwo ...

Rezultaty są odwrotne.

Święta Krowa cenzury. Co związek zrobił. List PEN-klubu. Nie wierzę w listy, nie wierzę w skuteczność milczenia ... Nie wolno nam rozgrzeszać władz oddziału ...

Dotychczasowy prezes dokonał takiej akceptacji skreślając osobiście naszych

kolegów ...

Zarząd Główny wyraził niechęć.

My będziemy głosować przeciw absolutorium.

"Braku papieru nie zlikwiduje się przez zmniejszenie liczby pisarzy".

Jakieś metody w młodej dramaturgii ...

A. Wasilewski.

Ostatnie miesiące były okresem inst. życia związkowego - ciężkie zebrania masowe, ciężki, choć [...] zjazd ... a w międzyczasie nastały ciężkie etc. ...

Poprzez wypowiedzi uzyskaliśmy potwierdzenie faktów, że władze uznają problem środowiska.

Zarysowała się perspektywa załatwienia wielu spraw ...

Organizacja partyjna nawiązując do intensywnej współpracy wobec środowisk i władz z pakietem spraw: prop. szerokiego koalicyjnego przedstawicielstwa władz związkowych ogranicza mu partnerstwo z władzami ...

2) Cenzura: Wystąpić z konstr. i realną propozycją utworzenia rady lit. wyd. przy Min. K. i S. - rada

będzie musiała opiniować książki kontrowersyjne. Forma dyskusji ... Nie ma żadnych wypracowanych form gwarancji pluralist.

3) Sprawy pop. - wyd. byt. mat.. Ten punkt jest całością: nie można wymuszać partnerstwo i oczekiwać, że inne elementy będą realizowane.

Partia czuje się odpowiedzialna - partia przedstawi swoje zobowiązanie - nie będą nieograniczone - będą ograniczeniem obywatelskim - władze partyjne są zakładnikami. Małachowski.

Poczuwa się do

odpowiedzialności za to co się działo przez 6 lat. Znał wydarzenia: sprawę jesieni i sprawę listy.

W sprawie list nie można było zaprzestać pertraktować i nie wypadało wszczynać sprawy.

Sprawa jesieni: głos to jedna z wielu spraw podobnych.

Czy koledzy z zarządu nie zapłacą za świadomy ... całego systemu. Tymczasem zarząd dokonał wiele dla swoich członków ... To potępienie byłoby rozładowaniem naszych frustracji. Byłoby to tanie rozliczanie.

*

36 kandydatów.

Założenie: 11 kandydatów do zarządu.

Lista kandydatów:

Jarosław Abramow, Kazimierz Dębnicki, Tadeusz Drewnowski, Józef Hen, Andrzej Jarecki, Krzysztof Karesek, Aleksander Małachowski, Kamila Mondral, Marian Piłat, Włodzimierz Sokorski, Wanda Żółkiewska.

Sąd.

Andrzej Kijowski, Jerzy Piórkowski, Seweryn Pollak, Krzysztof Zarzecki.

Komisja Rewizyjna.

W. Dąbrowski, Z. Najder, M. Sprusiński, M. Żuławski.

*

Zalewski przedstawiając listę mówi.

*

Awantura.

*

Dodatkowa kandydatura: Przeździecki, Zaniewski,

Roszewski, Gąsiorowski, Sadkowski.
Bratkowski.

Odpowiadając Burkowi: sytuacja w środowisku literackim, nie jest najbardziej dramatyczna.

Podziękowanie dla tych, co przyczynili się dla wyniku, będzie nie tylko dla tego środowiska.

W naszym kraju, który nie jest ekstremist. - (3/5. 1791).

Musimy dążyć do tego, aby sprawy były zgodne z prawdą. Prawda nikomu nie szkodzi.

Prawda jest doskonałym nośnikiem porozumienia.

Dzisiejsza rocznica pozwala

oceniać ten optymizm jako uzasadniony.

Otwiera się sytuacja, wszyscy którzy interesują się rozwiązaniami ekon.-społ. będą mogli zabrać głos.

Sytuacja nie jest też tak poważna jak 1791, ale musi być uważana za poważną.

Klub socjologów.

O sytuacji w kulturze polskiej.

3 perspektywy.

1) historyczna,
2) rynek kultury,
3) "strukturalność" - ze względu na jej uwikłania, pęknięcia.

*

Kultura planowana i kultura chciana - klasycy, rekonstrukcja bibliotek;

Aspiracja władzy propaganda, prestiż;

Aspiracja społeczna - awans, konsuma. antykons., prawda.

Podziemie: kultura czy subkultura.

Polaryzacja.

*

Toeplitz.

[...] akurat chce - wyboru:

wybór między kulturą rozrywki a kulturą trudu.

Czemu ma służyć to kulturalne plenum: prezent czy trud.

Kultura tv.

Książka.

Wszystko zdaje się [...] - a dyskusja na żywo?;

Kultura książki a kultura [...] - a będzie?;

Książka dowartościowuje wybór [...] - a manipuluje widownią;Wybór: kultury [...] - bezprzedmiotowy wobec prawdy.

Kultura - instrument - wartość;

Kultura podporządkowana celowi.

*

Kultura uczestnictwa - syt. odpowiedzialność

gest - osierocenie

Patrząc na dzisiejszy stan: wyjałowienie, ograniczenie do wąskiej grupy;

odbiorca tego nie odczuwa.

Obecność - ale z czym.

Niski poziom tęsknot masowego odbiorcy.

Uczestnictwo jest obowiązkiem - jakie: podporządkowanie.

Krążenie wartości zakłócone przez monopol.

(Planowanie gospodarki i kultury) - Bo nie jest to samo planowanie - nie równoległe, ale krzyżujące się.

Opozycja kulturalna masowa - oficjalna, elit - nieoficjalna.

Do czego służy człowiek kulturalny.

Sprzeczność rozwoju grup w kulturalnym kraju.

Sprzeczność między duchem a materią.

*

O jakim typie kultury

mówimy.

*

Sterowanie kultur a sprawa elit - nie tyle elity ile kręgi, chłonności;

Totalizacja z [...] kultur - jednoczesne programowanie wielowarstwowe - zakłócenia wyboru;

Rola w wielopiętrowym upowszechnianiu.

Jaka rola nasza - autentyczność, wybór;

Sprawa uczestnictwa za wszelką cenę.

Wybór TV-książki połączony

*

Cena książki.

*

Posługujemy się językiem omówień;

aktualny stan kultury.

Czy już musi być dzwonek alarmowy.

Problemy konkretne:

monopol na informację, rozpowszechnianie, mecenat; manipulowanie wartościami i

osobami; cenzura.

*

Konformizm na niekonformizm.

Groźba: polaryzacja.

Idealny model kierowania kulturą

Perspektywy (zarząd ZLP - podziemie)

Jak rozróżnić twórców.

*

brak:

rynek - selekcja [...]

regulowana czynnikami pozamaterialnymi.

Koncepcja partnerstwa bez treści.

To prawda, że jest zatarcie, chodzi między innymi o to, aby ujawnić poglądy

- powiedziałem: kultura jako system uporządkowania i kultura jako ryzyko ideowe, ekonomiczne.

Wilga, 8.5.

Wydarzyło się dużo drobnych rzeczy, które razem złożyły się na dość duże zmiany w moim wewnętrznym krajobrazie.

Jędrek z Anią zamieszkali wreszcie na Chłodnej, w jednej z cel olbrzymiej termitiery. Urządzili ją tak, jak im podyktował ich dziecinny gust, jak im na to pozwoliły skromne środki uzyskane z bankowego kredytu, i jak pozwala na to nader skromny rynek. Powstało mieszkanie, w którym czujemy się niezręcznie, jak na wizycie u przypadkowych znajomych. Brak telefonu ogranicza nasze kontakty, a ponieważ oni w dodatku mówią wciąż o swoich meblach i lampach, które nam się nie podobają - czego im z kolei powiedzieć nie możemy - my zaś myślimy o tym, jaki jest naprawdę stan ich wzajemnych uczuć - o co ich oczywiście spytać nie podobna - tworzą się między nami strefy milczenia, które omijamy manowcami plotki, żartu lub bezsensownej paplaniny. To boli. Nie jest to ból dolegający nieustannie - przeciwnie*, oddalanie się Jędrka wraz ze świadomością, że ma już swój świat i swój zakres obowiązków, sprawiło nam niemałą ulgę - nie jest to więc ból doskwierający jak po stracie kogoś najbliższego, ale świadomość tej straty mamy, i

odzywa się ona z rzadka bólem ukrytym, tępym, jak dolegliwość wymuszająca zabieg w nieokreślonej przyszłości, jak dobrze ułożony i nie wywołujący ataków kamień w wątrobie.

Zaszło też coś nowego w stosunkach przyjacielskich. Nie zgodziłem się kandydować na zjazd katowicki; moje racje były różne, jedna z nich natomiast ma znaczenie dla moich stosunków z Arturem i Wiktorem. Otóż zdecydowany raczej na to, aby nie kandydować, niż kandydować, (jak wielu innych, którzy potem kandydatury przyjęło)

stwierdziłem z niejakim zdumieniem, że nikt mnie do tego nie namawia. Artur np. z ożywieniem opowiedział mi o zbieraniu podpisów podczas poranku jednego wiersza w Zaiksie, nie wspominając mi słowem, czy mnie przy tym wzięto pod uwagę.

Akcja zbierania podpisów szła już pełnymi obrotami, otrzymywałem telefony, aby podpisywać listy innym, a mnie jakoś nikt nie prosił. Pomyślałem sobie: widać uważają mnie za osobę zanadto kontrowersyjną, zanadto polityczną przez to, żem

się zaangażował w TKN i żem wydał zbiór politycznych pamfletów, w nielegalnej oficynie ... Ba, ale zbierają - jak się dowiedziałem - na Wiktora Woroszylskiego, który też jest w TKN: redaguje nielegalny "Zapis". Wreszcie zwrócił się do mnie ausgerechnet Wiktor, któremu kiedyś ostro powiedziałem, że na gruncie związkowym nic wspólnego z nim mieć nie chcę. Zwrócił się do mnie zresztą z prośbą o ... podpis dla Artura, a potem dodał zapytanie, czy zgodziłbym się sam kandydować. Otrzymawszy odmowę, nie nalegał. I tyle.

W parę dni później dowiedziałem się, że o głosy na zebraniu układał się z Sitą. Ten obiecał mu głosy Klubu Dramaturgów, w zamian za poparcie kandydatury jego i Krasińskiego do zarządu głównego, i Jareckiego oraz Abramowa do zarządu warszawskiego. Powiedziała mi o tym Joasia, a Joasi sam Wiktor. Pytała Artura, obruszył się, nic nie wie, ale wygadał się, że owszem, były jakieś "nieobowiązujące spotkania" ..., na które mnie nie proszono, bo jak przypuszczam,

odbywały się u Sity pod jego dyktat.

Potem były wybory do zarządu sekcji twórczej Zaiks-u. Podano moją kandydaturę; przyjąłem, bo mnie o to wcześniej prosił Szczypiorski, kiedym oświadczył głośno moje "zgadzam się" (nie wiem zresztą czyj to kobiecy głosik mnie podał), poderwał się Artur ze swego miejsca, podszedł do mnie i wzburzonym głosem powiedział mi, że nie zrozumiałem sytuacji, nie porozumiałem się z kolegami, nie zorientowałem się, że moją kandydaturę podano, aby rozbić

dotychczasowy zarząd!. Ja na to: to nie głosuj na mnie, i ja też na siebie głosował nie będę ...

Było to już po formalnej akceptacji przeze mnie, więc po cóż mi to baran (*) baran) mówił? Po to, żeby ujawnić stan swojego uwikłania w konszachty z Sitą, który ze swoim sztabem zajmował ostatni rząd krzeseł, obserwując salę zmrużonymi, poleszuckimi oczkami? Zostałem wybrany, a z dawnego zarządu przepadł Niziurski. Cóżem więc rozbił? Plan Sity?

Przyszły w końcu wybory do zarządu warszawskiego. Artur

zaproponował mi wpierw udział w Sądzie Koleżeńskim. Zgodziłem się. Potem udział w Komisji Matce.. Odmówiłem, upierając się przy Sądzie. Powiedziałem mu, coś, pół żartem, o pokątności jego rozmów, na co się obraził. Przed samym zebraniem pokazał mi listę "uzgodnioną" z Sokorskim, (oraz Sitą). Były tam 22 nazwiska, które następnie, już po wyborze Komisji błyskawicznie zredukowano do 11, czyli tylu ilu członków liczy zarząd. Operacja nastąpiła tak szybko, członkowie Komisji (Wiktor, Artur, Szczypiorski, Bratkowski) mieli przemówienia tak przemyślane, że wszystko wskazuje na ustalenie "jedenastki", już uprzednio. Ostatnie spotkanie z Sitą, na które Artur tak się śpieszył, że zgodził się, abym poprowadził jego wóz, było zapewne dla poświęcenia jej "zatwierdzenia".

Ale to tylko domysły. W każdym razie owe "dramatyczne" obrady, o których Szczypiorski mówił, że kosztowały go spadek wagi, trwały, ok. pół godziny. Wszystko poszło jak z płatka; figla spłatał im tylko Wojciechowski, który wycofał się w ostatniej chwili. Przygotowany

przez kogoś? [...] ? Namówiony przez Bartelskiego - jak mówią? Czy też po prostu zorientował się, że go ten kompromis kompromituje. Ale myślę, że go raczej namówili ludzie w rodzaju Minkowskiego. Gdy on zgłosił swoją rezygnację, a komisja (ustami Zalewskiego) zażądała nowego czasu na naradę, zaczął się zamęt sejmikowy z wołaniem o ujawnienie innych kandydatur, o prawo do głosowania, etc., na co członkowie komisji wygłosili swoje - niby to improwizowane, a w rzeczywistości "uzgodnione" mowy. Wysunęli po naradzie

Pilota na miejsce Wojciechowskiego, inni zaś, których wysunięto z sali, (np. Sadkowski) wycofali się.

Zarząd oczywiście przeszedł, wraz z Sokorskim, który był głównym architektem tego porozumienia i jego beneficjantem, albowiem wszedł do zarządu na vice-prezesa; gdyby chociaż dwa nazwiska dodatkowe figurowały na liście Komisji Matki, przepadłby, bo zawsze przepada. Będzie to więc jego zarząd, i będzie realizował jego polityką. Jaką? Sokorski zapowiedział ją w swoim

przemówieniu w KMPiK, opublikowanym w Biuletynie Informacyjnym i w Wolnej Europie. Być może będzie to próba ułożenia sytuacji w związku na nowo wedle dawnej jego techniki kija i marchewki; być może stanie się to z korzyścią dla wielu ...

Celem jego polityki będzie niewątpliwie likwidacja otwartej opozycji. Uczestnictwo jej rzeczników w lepieniu tego zarządu i to przygotowanie Sokorskiego do akcji likwidacją, się rozpoczęło. Właściwie tę sytuację ocenili ci jej zwolennicy,

którzy opuścili zebranie przed głosowaniem, i ci, którzy nie oddali swoich głosów na jej kandydatów, do tych organów związku, gdzie lista była szersza: do Sądu Koleżeńskiego i do Komisji Rewizyjnej. Przepadłem ja, i przepadł Dąbrowski.

Zagórski ocenił rzecz właściwie, mówiąc mi potem: zapłaciłeś za pakt z diabłem.

Szczypiorski: skreślili cię koledzy za moje, Artura i Woroszylskiego układy z komunistami.

Woroszylski (z miną Kundla kopniętego i szczerzącego zęby

spod płota): Skreśliła cię partia i Klub Dramaturgów.

Wynikałoby z tego, że skreślili mnie wszyscy.

Wyjaśnień, ani jakichś wyrazów ubolewania, nie dostałem potem nawet od Artura. Ani też nie zaproponowano mi np. wspólnego przedyskutowania sprawy. Artur, po Wiktorze, jest następnym, którego skreślam jako partnera jakichkolwiek spraw społecznych.

Oczywiście przykro mi.

Pozatem było jeszcze 9 godzin zebrania TKN, na którym wyłożyłem do końca swój pogląd

na całość opozycji; zobaczymy jakie będą tego rezultaty.

Była też dyskusja w Klubie Socjologów z Toeplitzem. Ale to nic szczególnego, chociaż inwencji sporo.

Przyjechała Ela Ledererowa. Spędziliśmy z nią tutaj cały dzień, nocowała u nas. W Warszawie miała stałą inwigilację. Śledziły ją młode elegancko odziane, inteligentnie wyglądające pary złożone zawsze z chłopca i dziewczyny. Dziewczyna zagadnięta przez Elę w autobusie wprost: - Tak, co? Wszystko idzie dobrze? - odpowiedziała:

- U nas zawsze idzie dobrze.
- Ale psia służba? - powiedziała Ela.
- Bawimy się nieźle - odparła dziewczyna.

*

Dodatkową nieprzyjemnością całej tej sprawy jest zachowanie Artura, a raczej cechy jego osobiste, znane mi zresztą, które objawiły się wyjątkowo dobitnie. Wciąż z jednakowym uporem próbuje godzić przeciwieństwa i podejmuje się roli lepidła. W relacji z Katowic (bardzo tym

razem szczegółowej) zlekceważył porażkę Brauna nazywając sukcesem pięćdziesiąt parę głosów jakie ten zdołał zdobyć. Po swoim przemówieniu, jeśli zostało ono tak entuzjastycznie przyjęte, powinien był Braun wejść do zarządu; nie wszedł ponieważ ogół uległ szantażowi Iwaszkiewicza, który Artur w swojej opowieści w ogóle przemilczał. Iwaszkiewicz oświadczył kilku osobom, że jeśli Braun wejdzie do Zarządu, on wycofa swoją kandydaturę, a to doprowadzi do wycofania się partyjnych pisarzy ze związku i utworzenie nowego na wzór

czeski. Artur opowiedział mi następnie szczegółowo o przemówieniu Jarosława w Urzędzie Wojewódzkim, o owacji dla niego, o ściskaniu się jego z Braunem, natomiast nie powiedział nic o liście dziękczynnym dla władz katowickich, z wymienieniem nazwiska v-wojewody Gorczycy, jaki Jarosław zostawił do odczytania. Jest przy tym niezdrowo podniecony, reagując gniewnie za każdą krytykę, czy sceptyczną uwagę; podrywa się mianowicie z krzesła, wybiega do drugiego pokoju, zapala i gasi papierosy i ryczy, wyrażając się przy tym językiem jakby zaczerpniętym z parlamentarnych sprawozdań New Jork Timesa. Jula milczy, buzię trzyma w ciup i zadaje nagłe pytania np. o ogródek, meble dzieci, albo zdrowie. Ujawniła się przy tym powierzchowność naszej przyjaźni i to, jak bardzo, była ona uzależniona od okoliczności zewnętrznych. Zrodziła się w marcu, ze wspólnej, że tak powiem, doli, i nie przetrwa żadnej w naszych losach odmiany. Co do mnie - o ile nie mam jej wcale dość od strony ludzkiej, bo

ich lubię, czy kocham jak dawniej lubiłem, i kochałem - ale dość jej mam ze względu na jej chwiejność, ze względu na ogrom niedopowiedzeń, jakim jest otoczona. Do niedopowiedzeń politycznych, których nagromadziło mi się, aż nadto wiele, (sprawa Zapisu, kiedy głosu nie zabrał, mnie wypuściwszy do ataku i mnie pozostawiając do zapłacenia towarzyską ceną, sprawa podpisu pod listem na rzecz uwięzionych, kiedy nie przyjął mojego pośrednictwa, i jeszcze inne, dawniejsze, jak wciąż niezapomniane przeze mnie

sprawa przyjęcia Briestigerowej do ZLP), a więc do tych niedopowiedzeń, lista wzbogaci się teraz o sprawy zjazdu, i obu warszawskich wyborów - do Zaiksu i do ZLP - dochodzą przecież literackie: wzajemne lekceważenie. Tak, niestety gardzę jego pisarstwem i nie umiem tego ukryć. Niezły poeta, o rzadkich przebłyskach talentu swoją prozą i "esejami" dowodzi zupełnej niezborności. Jak powiedział Kazik Brandys. Każde zdanie następne unieważnia poprzednie, aby się nie dać przyłapać na żadnym błędzie.

Nb. Kazika proza w "Twórczości" też okropna, a jego lojalność ma też swoje granice. Miał mi przywieźć kwestionariusze na stypendium D.A.G. - i nie przywiózł. Radzi mi, ażebym o ich przywiezienie poprosił Zagajewskiego, który jedzie następny.

- Twoją kandydaturę, naturalnie podałem - powiedział spiesznie sznurując usta - ale będziesz musiał parę lat poczekać.

Zagajewski, jak widać, mniej czasu ma do czekania niż ja.

Z tego wszystkiego wynika dla mnie jedno, że od moich kolegów

muszę trzymać się jeszcze bardziej z dala niż się dotąd trzymałem, że muszę natomiast mój nadwyrężony prestiż w środowisku odbudować pisaniem, i to pisaniem znaczącym, oraz - a to jest najważniejsze - publikowaniem. Powinienem, o ile to się da, publikować wszędzie, lub prawie wszędzie, jak Zagajewski, a najogólniej w taktyce zawodowej (może l'example de Tad. Konwicki ...).

Angażować się w TKN i ... nie angażować się ani w ZLP, ani w literackie podziemie. Dotrwać w Komisji Programowej tylko do

następnych wyborów. Działalność w (TPN - przyp. KK) ograniczyć do pisania książki o JP (dobry pretekst), natomiast "wszystkie siły na front do walki z. -" ze spychaniem mnie do roli zawodowego, i to podrzędnego, dysydenta.

Raz na zawsze wyrzec się braterstw z przypadku. Jestem samotny i będę samotny. Dlaczego! Trudno mi na to teraz odpowiedzieć. Jest widać, we mnie albo jakaś słabość, albo inna właściwość, czy też brak mi po prostu cech, jakich ludzie szukają w przyjaźniach. Ci ludzie z jakichś powodów nie są pewni mojej lojalności. Może męczy ich i drażni destruktywny charakter mojego umysłu, który zresztą dręczy też i męczy mnie samego? W istocie, w stosunkach z ludźmi wydobywają się ze mnie ochronne jady wpływające destruktywnie na wspólne przedsięwzięcia; lepiej tedy, abym do nich nie przystępował, a pozostawił sobie rolę krytycznego świadka, która lepiej odpowiada charakterowi mojej inteligencji. Nie będę nikomu przeszkadzał, ani rozczarowywał nikogo, i sam uniknę rozczarowań. Będę miał

życie smutniejsze, ale bardziej jednoznaczne. Więc: gdy tylko skończę tę moją kadencję w Komisji Programowej, (i w Zaiksie) nikt mnie więcej nie ujrzy w żadnym ciele zbiorowym; a od dziś już odpowiadam konsekwentnym "nie" na wszelkie zaproszenia do publicznych wystąpień. Tylko pisanie ujawnia pozytywne cechy mojego umysłu.

Tyle o tym. Żałuję, że na temat mojej przyjaźni z Arturem nie mogę napisać nic pozatem; nic duchowego. Nic - jakby powiedziała Matka Szaniawskiego - "uczonego". Nic takiego w niej po prostu nie było.

A co znaczyła dedykacja Julii na egzemplarzu Apollinaire'a w Stony Brook? Tyle pewnie co jej wiersze stamtąd i nastroje, ech nastroje - "w pysk wam mówię litość moję".

Wilga, 9.5.

Opowiadania historyczne "dla starszej dziatwy". (*) Bajki i przypowieści.) Już napisane:

Kaźko Jąkała

Biskup Gedeon

Jak to było naprawdę (o św. Joannie)

Pyrrusowa śmierć.
Noe
Madej
Idi Amin
Kto kogo
Kongres Intelektualistów
Pies z charakterem
Gdybym był królem
Polska ma 3000 lat
Towarzysz Dialektyk
Ja, Aleksander
Łodź (św. Brendana)
Obraz św. Floriana
Kościuszko i kosynierzy
Hamlet wg ...
Konrad Wallenrod

*

Tematy: nie wiem

Źródła: Długosz, Janko z Czarnkowa, Wincenty Kadłubek - koniecznie, Łukasz Górnicki, Skargi Żywoty Świętych;

Pozatem:

Tacyt Hezjod Swetoniusz, Saint-Simon, kard. Mazarin.

Hagiografia, mitologia, historia, filozofia - Grecy w szczególności.

Stare encyklopedie, biografie sławnych mężów, historie miast, legendy etc. Wszelka brednia. Szukanie prawdy w wielkiej

bredni. Ludzkość opowiada o sobie brednie. Dokopać się prawdy. Opowiadać dalsze brednie.

Absurdalne hypotezy, fałszywe źródła. Stosować poetykę powieści i poetykę "eseju", czy "studium".

Sparodiować pisarstwo uczone. "Prosa docta".

Np. opowiadanie o św, Stanisławie. o tym jak walczył z królem, tzn. z królewskim terrorem. Jak mu król zarzucił zdradę - oczywiście! I o tym jak święty posłużył się genialnym - można powiedzieć -

chrystusowym trickiem: wskrzesił umarłego, jak to z tym wskrzeszeniem było ... I czy słusznie postąpił. Czy mianowicie w rzeczach ducha cel również uświęca środki?

1. Obraz terroru po powrocie Króla.
2. Wojna z biskupem na oficjalne i nie oficjalne oświadczenia.
3. Moralne zwycięstwo Króla w imię racji stanu.
4. Biskup przeważa szale wskrzeszeniem Piotrowina.
5. Dalsze dzieje Piotrowina - jego mianowicie samotność i ograniczona swoboda ruchów.

6. Jego tajemnicza śmierć. Jego milczenie. Opowiadano o jego zachwyceniach, które miały też cechy obłędu, ten zaś obłęd był nieco zagadkowy.

*

Inna historia: tryumfalny rajd Ks. Józefa w Galicji - paradygmat wyzwolenia. Wkroczenie polskich zuchów. Mit zwycięskich polskich ułanów ... Tak, ale czemuż ks. Józef ma tak stroskaną twarz? Jakiż to smutek towarzyszy temu wyzwoleniu? Oto ks. Józef zdobywa swój tryumf pod strażą

wojsk rosyjskich, i nie ma nawet prawa zawieszać polskich orłów w zajętych miastach. Nawet w Krakowie. Dziwne manewry wojsk, dziwne zachowanie księcia, dziwna sztuczka lokalnych władz z orłami i barwami, oraz zabiegi retoryczne ...

Oto paradygmat polskiego wyzwolenia!

Wilga, 14.5.

Umarł Witold Dąbrowski. Wylew. Ostatnie nasze spotkanie było takie: przyszedłem do

Związku nazajutrz po zebraniu, na obiad, a tam obskoczyli mnie zaraz Zagórski i Szczypiorski, aby mi powiedzieć, że i ja i Dąbrowski przepadliśmy w wyborach. Wyszła na to z kawiarni Irena, jego żona i powiedziała mi: Przegraliśmy, ani ty, ani Dąbrowski nie weszliście do ... Na to pojawił się też sam Dąbrowski z miną ukrzyżowanego, który spadł z krzyża i cierpi, i wstydzi się zarazem. Przeszedł obok mnie jak przez słup powietrza, nie widząc mnie wcale. Okropnie mi się to śmieszne wydało, a jeszcze bardziej śmieszny był na dole, w stołówce, gdzieśmy wszyscy zeszli, i gdzie szukał nerwowo miejsca jak najdalej ode mnie. Nie mogłem zrozumieć dlaczego. Nieraz siedzieliśmy razem, a teraz przegraliśmy razem. Usiadł blisko Sokorskiego i coś tam do niego zagadywał. Nie był więc taki całkiem nieprzytomny. Umarł w parę dni później. Dowiedziałem się później, że pobiły go jakieś łobuziaki, gdy wracał przez plac Dzierżyńskiego z zebrania z Zaiks-u. Na zebranie ZLP, na którym wygłosił swoją histeryczną mowę ("I oto przyszedł na nas nacisk zewnętrznej niedoli" -

wołał rozbitym, jakby szlochającym głosem, słowami Żeromskiego, skarżąc się na skreślenie parunastu kolegów z listy "warszawskiej jesieni poetyckiej"), otóż na tym zebraniu, na którym przepadł też w wyborach, miał podobno podbite oko, czego sam nie widziałem. A że dawno cierpiał na jakąś chorobę mózgu, oraz nadciśnienie, uraz, emocje, a także alkohol, który spijał w ukryciu, mogły razem przyczynić się do zabicia go. Pozostanie mi i tak w pamięci na zawsze, jako śliczny, kędzierzawy, rumiany, średnio poważny chłopiec w czerwonym krawacie ZMP na zjeździe, młodych literaturtów w Nieborowie, gdzie w czasie awantury ze mną i z Fleszenem, oświadczył komuś odważnie: ja jestem z Kijowskim. Przysłał mi potem do Krakowa swoje wiersze z listem. Pamiętam ten plik kartek zapisanych zielonym atramentem. Na list, oczywiście, nie odpowiedziałem, i nigdy nie podziękowałem mu za te wiersze. Może dlatego obok mnie nie usiadł w 27 lat później?

*

Aldo Moro zabity. Powszechne oburzenie i wstręt. Podzielam, oczywiście i przeżywam naprawdę. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego oburzenie z powodu zamordowania znanego polityka przez bandę łobuzów jest jednomyślne, podczas gdy zamordowanie znanego polityka przez jakiś rząd, przez jakąś juntę, czy partię polityczną u władzy, tak zgodnej reakcji nie budzi. Pojawienie się zakonspirowanej organizacji zdolnej do takich aktów jest zjawiskiem nowym, natomiast rytuał, jaki stosuje ona, oraz retoryka, jakiej używa są doskonale znane. Imre Nagy był porwany, sądzony i zamordowany w identyczny sposób; podobnie szesnastu przywódców polskiego podziemia. Różnica między jednym i drugim gwałtem polega wyłącznie na tym, że w pierwszym wypadku dokonała go organizacja, która nie ma władzy, a w drugim uznany aparat władzy - uznany, pomimo, że jego geneza jest identyczna jak geneza czerwonych brygad. Bolszewicy w 1917 roku byli taką samą bandą łobuzów bez poparcia i zaplecza,

jak Czerwone Brygady utrzymujących się ze zbrojnych napadów na banki i kasy rządowe, stosując terror i szantaż. Na rodzinie cara dokonali równie cynicznego morderstwa jak brygadziści na Aldo Moro. W trzy lata później byli już prawnie uznanymi sukcesorami państwa carów. W 20 lat później Stalin dokonawszy morderstw liczących się w dziesiątki milionów ludzi - porywanych, sądzonych i zabijanych na tej samej zasadzie "ludowej sprawiedliwości" zasiadł przy jednym stole z Churchillem i Roosveltem. Dlaczego to było

możliwe? Albowiem w polityce albo nie ma się żadnych praw, albo wszystkie. Dlatego także, iż w polityce do wszystkich praw dochodzi się siłą. Kariera Napoleona była taką samą drwiną z monarchii jaką dziś urządza Idi Amin. Ale był silniejszy. Koronacja Napoleona na cesarza była taką samą operetką jak koronacja Bokassy; a jednak dokonał jej porwany siłą papież.

Cała historia polityczna jest szyderstwem z prawa.

Cała historia polityczna jest zbrodnią, albo pojęcie zbrodni jest fikcją wymyśloną również dla

utrzymania władzy. Tylko zasada dziedzicznej władzy była konsekwentna, i w konsekwencji swej absurdalna. Nawet zbrodnia w jej imię popełniana (mordowanie niewłaściwych pretendentów) wydawały się uzasadnione. Natomiast na widok tego co się dzieje w konstytucyjnych demokracjach jak tu wierzyć w ich trwałość? Jedyną podstawą tej władzy jest fakt, że w Stanach Zjednoczonych nie było dotąd zamachu stanu. Ale gdy będzie, padnie ostatni argument.

A dlaczego terroryzm wzbudza większe oburzenie niż

wojna? I dlaczego strach przed terroryzmem wydaje się większy niż strach przed wojną? Dlaczego wstręt do terroryzmu nielegalnego jest większy niż do terroryzmu legalnego, i Polacy, od 33 lat zagrożeni gangsterstwem swojej policji i rządzącej partii robią wielkie oczy na wiadomości z Włoch?

*

Ciekawią mnie też jeszcze podobieństwa pomiędzy Czerwonymi Brygadami a KOR-em. Jest to przede wszystkim

wspólne im przeświadczenie, że państwo jest "nielegalne", i że oni - tj. brygadziści i KOR-owcy reprezentują inny, wyższy rodzaj prawa i sprawiedliwości.

Nie prawda, powie na to zwolennik KOR-u. KOR od samego początku stanął na gruncie egzekucji istniejących praw, a jego niekończące się zwady z aparatem ścigania i wymiarem sprawiedliwości mają właśnie legalistyczny, kauzyperdyczny charakter. W dodatku KOR ma do czynienia z prawem interpretowanym wedle zasad demokratycznych, legalistycznych

z prawem, którego wykładnię stwarza aparat polityczny i podporządkowany mu aparat ścigania. Podobieństwo KOR-u do Czerwonych Brygad istnieje nie w stosunku do państwa, lecz w stosunku do opinii, i do zwolenników. KOR stwarza własną wykładnię prawa, którą narzuca swoim zwolennikom, stosując wobec nich przewagę moralną w skutkach podobną do fizycznego przymusu. Czerwone Brygady obezwładniają Włochów aktami terroru: np. porywaniem zakładników, albo strzelaniem w nogi. KOR podsuwa im listy do

podpisu. Ten kto podpisze i ten kto podpisu odmówi jest jakby porwany, i jak gdyby ustrzelony w nogi - z tym, że egzekucję tego aktu terrorystycznego KOR powierza państwu. Do niego należy: odmówić paszportu, stworzyć zakaz druku, zamknąć wyższą uczelnię, estradę etc.

KOR wyznacza tylko cel narzędziom terroru, za narzędzie terroru, za cyngiel pociągnie ślepo swoim władzom posłuży funkcjonariusz. KOR i państwo sprzęgły się w system dwustronnie działającej prowokacji. Państwo prowokuje KOR, KOR prowokuje

państwo. Ofiarą pada najaktywniejsza, najlepsza, najwrażliwsza część społeczeństwa tj. inteligencja; rezultatem tej agresji jest "zneutralizowanie", czyli odsunięcie od wpływu na życie społeczne. Niespodziewanie skutki akcji Kuronia mogą być bardziej katastroficzne w skutkach, niż stalinizm i okupacja hitlerowska razem wzięte.

Warszawa, 15.5.

Plan działania pozostaje wciąż ten sam, i wciąż jednakowo

niewykonywany:
1. Kościuszko, Poniatowski - kreacja bohatera.
2. Piłsudski.
3 ...

Stwierdziłem, że wszystkie moje zainteresowania krążą wokół kreacji nad-ludzi: świętych, bohaterów i geniuszy.

W rzeczywistości są to kreacje instytucjonalne.

Opowieści o świętych, bohaterach i geniuszach bo historia kościołów, państw i kultur, które je stworzyły. Dochodzimy do sedna naszego zainteresowania: do instytucji, tj. organizacji świadomie planowo ustanowionej dla wyrazu i realizacji wyższych, ponadindywidualnych aspiracji człowieka. Kościół, państwo, kultura. Historia i socjologia takiej instytucji. Ze wszystkich najbardziej pasjonującą jest oczywiście Kościół, i to Kościół rzymsko-katolicki, który łączy cechy "świątyni", "państwa" (królestwa) i "akademii".

Więc studia nad tym!

Ale i polskie państwo konspiracyjne, czy insurekcyjne, państwo nadziei - państwo niespełnione z tą krótką

zrealizowaną, kolejną utopią dwudziestolecia międzywojennego ... Więc ...

Wystarczy na 20 lat?

Na marginesie tych moich "socjologii" pisać paradoksalne opowieści - apokryfy - jedne dłuższe, drugie krótsze, i raczej śmieszne.

*

17.5.

Zaiks - 4 zjazd.
204 delegatów na zjazd -
nasza (sekcja literacka) 34

nowy mechanizm: dotąd zjazd bezpośredni

Rada Zaiks - delegaci poszczególni.

*

siódemka wyb. z sekcji.

Rada Stowarzyszenia.

2 x do roku.

Sąd odwoł. od Sądu koleżeńskiego.

Uprawnienia "senackie": np. skład świadcz.

18 osób - po 2 z każdego związku.

30.5. wtorek godz. 11.

Zjazd 4 czerwca.

Do siódemki z sali: Niziurski.

18.5.

Wczoraj: Jan Józef Szczepański, wieczór u Walendowskiego; milicja. W domu czekali Zdziałowowie z Kazią. Straszne twarze milicjantów. Dialog z nimi:

- Można wejść?
- Panowie tu mieszkają?
- Nie.
- To po co?
- A do znajomych można?
- Proszę bardzo.

- A dlaczego są trudności?
- Jakie trudności?

Weszliśmy zresztą inną klatką schodową, która była pusta.

Dzisiaj pogrzeb Witka Dąbrowskiego.

Z przemówienia Józia Hena: "Zgłoszono go do Komisji Rewizyjnej ... "Będzie nam go brakowało ... W tej wielkiej komisji rewizyjnej, która etc. ... "

Wyobraźmy sobie pogrzeb rewidenta PKP: "Odszedł na wieczną służbę u wielkiego dyspozytora ... "

Błądziłem potem 2 godziny wśród grobów. Odnalazłem grób

Śmigłego-Rydza, i symboliczną mogiłę Grota-Roweckiego. Było ciepło, w nowszej części cmentarza, gdzie groby świeże i dużo kwiatów, pachniały mocno narcyze. Gdzie spojrzeć, napis: non omnis moriar. He, he. Cały cmentarz, cały.

Osobliwym okiem patrzyłem też na dzisiejszy pogrzeb. Ta sama publiczność przyjdzie na mój. Jak zrobić, żeby do tego nie doszło? Pochować się w Krakowie? Tam przyjdą Pieszczachowicz i Lohmann. W Wildze? Eu stricte infinité?

19.5.

Do lektury: Mac Dougall: Group Mind. (1920).

*

TKN.

1. odczyt. Program - Jedlicki; Przeczyt. i lista prelegentów. Odczyty. Uwagi do 2/VI.
2. Wykł. - Michnik, Bart.(oszewski - przyp. KK), Kowalik.
3. Seminaria - Dotychczasowi wykładowcy.
4. Odczyty okazjonalne i goście.

Do września każdy członek TKN przedstawi projekt odczytu.

Przyjazdy gości zagranicznych.

5. Mieszkania.

Brandys, Andrzejewski, Kamieńska, Zagórski?

*

Folder.

nadmiar programowości;

nadmiar polemiczności;

np. o polityczności czy o społecznym niebezpieczeństwie.

Wilga, 26.5.78.

Znowu Wilga. Tylko tu zasiadam do moich papierów, jak przed lustrem, i tylko tutaj mam czas namyślić się na tym, co ma się dalej stać.

Przeczytałem prozę napisaną chyba rok temu - początek jakiejś opowieści związanej z Warszawą. Dobre. Miała się rozgrywać wokół zdarzenia z Camillą II, które opisałem pokrótce w małym opowiadanku drukowanym w TP. Warto podjąć: kończy się wybuchem gniewu księdza Karusia, proboszcza, który zobaczył swego faworyta, Tosia,

zajętego rozmową z dziewczętami, wśród których pojawiła się nowa: córka żydowskiego kupca, któremu proboszcz oddał połowę plebanii.

Tę opowieść ciągnąć można tylko w sposób [...] , tj.: dalszy jej ciąg powierzyć innym postaciom.

Taką postacią powinien być filolog klasyczny, ktoś taki jak Brożek, człowiek, który ma już za sobą najgorsze. Siedzi nad tłumaczeniami Plutarcha, szuka dla nich właściwego stylu, uczy łaciny młodzież, kryje się, boi się.

Wiadomość o pomniku, i o tym, że organizacja postanowiła

nie dopuścić do jego postawienia. Rusza do akcji, stara się przekonać wszystkich do tego, że akcja taka nie ma sensu. Nawiązuje kontakt z "organizacją", która mieści się o piętro wyżej. Tu jednak czeka niespodzianka:

- O czym pan mówi?

Te przygotowania oznaczają mianowicie zupełnie co innego: ma to być szafot, na którym Niemcy wykonywać będą stałe egzekucje.

Co w takim razie?

Akcja terrorystyczna przeciwko temu mogłaby się skończyć masakrą dzielnicy.

Młodzież miejscowa, pali się do takiej akcji. Jak położyć temu kres? On jako ich profesor musi ich przekonać..

*

Nie.

Wszystko w głowie księdza Karusia.

Fazy jego rozterek:

jeżeli kościołowi wyrządzą materialną szkodę - klęska;

jeżeli wystawią pomnik Hitlerowi - pół biedy;

jeżeli będą rozstrzeliwać i wieszać ludzi - tragedia;

jeżeli to będą Żydzi - pół tragedii;

jeżeli to tylko cyrkowcy - fraszka.

Ale Toś, dziecię kościoła to właśnie weźmie za tragedię:

bo dla niego zniewaga narodu i śmierć ludzi to właśnie głupstwo wobec zniewagi kościoła i grzechu nieprzyzwoitości.

Wyśmiewany przez dziewczęta, lekceważony przez AK-owców, mamin synek i ministrant z kompleksem świętego Tarycjusza postanawia rudą Niemkę odciąć ze sznura.

A ponieważ proboszcz za radą

X. metropolity jemu właśnie każe cyrkowców wprowadzić na wieżę, uzyska wyjątkową szansę ...

Lecz ...

W czasie próby chłopiec zapatrzy się na rudą dziewczynę sfruwającą z wieży.

Idąc z nią schodami, poznaje ciepło jej ciała ... Dziewczyna jest malutka.

Nie wykona swego dzikiego zamiaru.

I zdejmie sutannę, którą proboszcz mu podarował, aby osłonić jego gołe nogi i wybić mu z głowy dziewczęta.

29.5.

Wniosek z historii węgierskiej rewolucji 1918-1919: nigdy nie polegać na socjalistach i nigdy na Francji.

Na socjalistach nie - bo są "gullty-ridden" party; partia kompromisu, partia półśrodków, partia podwójnej lojalności, partia arreré-peusée. Typowy socjalista: Strzelecki.

Na Francji nie - bo jest politycznie wszystkożerna; zeżre wszystko i zrobi wszystko, ażeby tylko utrzymać swą uprzywilejowaną pozycję w

Europie.

Ale jeśli nie socjaliści
nie ludowcy
nie demokraci liberalni
to kto jest zdolny stwarzać aparaty władzy:
komuniści
faszyści
eksperci bezideowi.

Dwie pierwsze możliwości - to dwie formy samobójstwa.

Pozostaje ostatnia.

Model: BBWR - rządy Bartla.

Gauliści i Gisend.

Oraz: anglo-amerykański system, w którym każda partia u władzy przyjmuje na siebie rolę partii rządowej, odmieniając tylko klientelę, rodzaj retoryki, sympatii, etc.

W końcu dwie partie: rządowa i opozycyjna z okresową zmianą ról.

Nazwy są tylko hasłami rozpoznawczymi. Troszkę na prawo, troszkę na lewo. W Polsce byłaby to formacja "wielkoprzemysłowa" i drobno-przemysłowa; inwestycyjna i konsumpcyjna, odzwierciedlająca podstawowe alternatywy gospodarcze.

Warszawa, 30.5.

Zaiks.

Mec. Wojtyszko - na st. członka - niech poczeka.

Jerzy Siewierski

Wł. Kostrowski

M. Groński

Z. Pędowska

T. Wilski - brak uzasadn.

Andrzej Sołtysiak (Berer)

Maria Dembowska

R. Jakubowicz.

*

Wyjazd do Warszawy, powrót. Widziałem dużo ludzi. Zabawnie

było. Ale najważniejszy ze wszystkich jest Jarosław. Jednak.

Wilga, 31.5.

Czytam Rotschilda historię Węgier. Po co? Mam napisać artykuł do 11 numeru "Twórczości".

1. W historii mamy do czynienia z kliszami, nie z paktami.

Klisze "niepodległości". Pierwsza - to ta romantyczna, i zarazem oficjalna, przedwojenna, dziś funkcjonuje nielegalnie. Odzyskanie niepodległości jako dziejowa, wyższa konieczność.

Otóż nie: było to dzieło przypadku, do którego Polacy byli doskonale przygotowani. Okoliczności całkowicie nieoczekiwane: klęska wszystkich trzech mocarstw zaborczych. Przewidział to tylko JP. jeżeli wierzyć jemu samemu i Miedzińskiemu. Jeszcze w 1918 nic nie wskazywało na taki obrót wypadków. Polacy byli przygotowani na wszelką ewentualność dzięki pluralizmowi swego życia politycznego - w warunkach nielegalnych. Porównajmy to z konwulsjami Węgier, którzy nie mieli dojrzałej alternatywy na bolszewizm i po upadku [...] nie potrafili zrobić nic poza zamknięciem się w opętanym rewizjonizmie i konserwatyzmie, który ich w końcu doprowadził do podporządkowania Niemcom Hitlerowskim.

2. Klisza przeciwna, to, że cała ta polska niepodległość była opętana i bezsensowna z powodu niekonsekwencji ustrojowych i mniejszości. Otóż nieprawda: nic bardziej opętanego jak te mocarstwa, które Polską i inne kraje trzymały w politycznym i ekonomicznym niedorozwoju.

Mit Austro-Węgier.

Mit ZSRR.Polska, jeśli nie miała być niepodległa mogła jedynie odrodzić się jako część rosyjskiej federacji, albo jako część jakiejś federacji dunajskiej. Let's imagine?

Wilga, 1.6.

Miałem kiedyś, dawno temu, w Paryżu, pomysł na własną literaturę. Wyobrażałem sobie jakieś książki analityczne, pisane metodą na wpół powieściową, na wpół naukową, a odnoszące się do całości społecznych i momentów historycznych. Np. miasto w czasie wojny. Albo: miasto w czasie zarazy. Miały to być zatem analizy "dynamiczne" - opisy struktur, zmieszane z opowiadaniem wypadków, osobliwa mieszanina socjologii i epiki, pozbawiona za to zupełnie elementu osobistego - zarówno rzeczywistego, w sensie ja - autorskiego, czy ja - lirycznego, wpompowanego jakiejś postaci, jak też fikcyjnego, w sensie bohatera, którego tajemne wnętrze autor odtwarza. Powieść naukowa - socjologiczno-psychologiczna. Jak sobie poradzić wtedy z narratorem, i jak sobie poradzić z

konstrukcją bohaterów. Przecież jacyś ludzie muszą się zjawić, coś mówić etc.

*

Z tą myślą rozpocząłem szkicować powieść pt. "Bank". Przeczytałem teraz wszystko co osobiste w tym podwójnym sensie, o którym wyż., jest niedobre. Bardziej to ubezosobowić. Opowieść o księdzu i parafii. Tak, interesujące, ale nie samo wydarzenie. Wydarzenie jest naciągnięte i czuje się w nim

nieprawdę. Nie rób fabuły - rób analizy. Nie można czytelnika nabierać obietnicami, że przeżyje coś niezwykłego, a potem poczęstować go wymyśloną aferką. Od takich emocji ma kino, i to kryminalne. Trzymaj się analizy socjologicznej nie uciekaj nawet przed terminologię. Twórz typy. Opisuj społeczeństwo (grupę społeczną) tak, jakbyś je tworzył. Opowiadaj o ludziach tak, jakbyś był ich Stwórcą w pełni świadomym tego, co tworzy.

Najbliżsi tobie: Flaubert, Dostojewski Conrad (z Nostromo "W oczach zachodu" i "Tajnego

agenta"), Stendhal, Balzac (?), Turgieniew i inni. Wszak te powieści i cykle opowiadań, to były właściwie ówczesne "Socjologie"!

Dzisiejsi najbliżsi: cały dramat, że nie mogę znaleźć swojego, współczesnego wzorca. Bo szukam źle, wśród pisarzy-epigonów. Tymczasem oni są wśród socjologów właśnie, tych, co nas uczą nowych analiz, Michel Fouiault: L'histoire de la folie. Erich Fromm: cofnąć się do socjologii klasycznej - do Durkheima, aby zobaczyć związki jej z ówczesną powieścią.

Parafia
Miasto
Szkoły

Środowisko literackie i dysydenckie - Polska współczesna.

Ideologia, ruchy polityczne, mity, maski, role etc. - Polska historyczna.

Kościół katolicki - rebus socjologiczno ... - apogeum.

*

Jak sobie dać radę z wiedzą narratora.

"Może mnie kto zapyta, skąd wiem o tak drobnym szczególe? A co powiecie, jeżeli sam bywałem tego świadkiem? " (Dostojewski - Biesy).

I dalej:

"A co, jeśli Stiepan Trofimowicz nieraz płakał na moim ramieniu w jaskrawych barwach malując wszystkie swe najtajniejsze przeżycia?

(I o czym on wtedy mi mówił!).

Wilga, 2.6.

Problem mój nie polega na tym co jeszcze pisać, co ogłosić i jaki rodzaj uznania zdobyć, ale na tym jak przeżyć tę resztę lat, jaka mi została. Chciałbym, aby to były ciekawe lata w przeciwieństwie do poprzednich, i aby praca nareszcie sprawiła mi radość. As a matter of fact, w gruncie rzeczy, w istocie, dotychczasowe pisanie nudziło mnie, męczyło i zużywało, nie dając żadnej radości, ani mnie, ani - wiem to dobrze! - moim czytelnikom.

6.6.

TKN.

Janion: tradycja jako sposób życia - dobrze.

Rozpatrzeć zakłócenia.

Dwa rodzaje zakłóceń: manipulowane i obiektywne.

1. Amsterda.: jaka jest różnica między tradycją a żywotnością.

Tradycja zakłada całość ideową.

Żywotność - pragmatyzm polityczny.

Cywiński:

tradycja jedna czy więcej

czy istnieje wybór tradycji

fakt jest [...] a stosowalność też

jest odpowiedź

Amsterdamskiemu.

Np. zainteresowanie Piłsudskim.

Nie chodzi o przejęcie tradycji piłsudczykowskiej, ale pewnych elementów piłsudczykowskiego myślenia.

Janion:

przeżywanie historii w XIX wieku: konkretna - też pod kątem widzenia celów.

Kersten:

tylko działalność edukacyjna i nic więcej - nie powstały zespoły.

TKN - stwarzanie kontrpropozycji w sem. edukacyjnym bezp. społecznym, i

naukowym. Część tej działalności powinna odbyć się w instancjach oficjalnych: np. tworzyć zespoły faktycznie rozszerzające TKN (bez afiliacji). Powołanie zespołu dla spraw dziesięciolatki.

Dotyczy realizacji programów uniwersyteckich - a w szczególności wychowania.

Przyjęcia na uniwersytet.

Zatrudnienie młodej inteligencji.

Badania planować w szerszym gronie poza TKN.
Mazowiecki.

nasza słabość: nie możemy powołać zespołów naukowych.

W takich inicjatywach udaje się to co rodzi się samo.

Problem nie tyle trdycji, a samego TKN: pojawiła się tu koncepcja wartości w poprzek nurtów?

Kontrprojekt:

Szukać wykładowców, a nie tematów.

13.6.1978.

Listy i porządki.

Listy: do Gołubiewa i B. Leśnodorskiego w sprawie n-ru listopadowego, do Estreichera podziękowanie za gratulacje z

powodu "Dyrygenta", do Błońskiego (delto), do Z. Flisa podziękowanie za tomik wierszy, do Bartoszewskiego odpowiedź na zaproszenie, do prof. Karaska z Kolonii w sprawie mojego wykładu.

Porządki: a przy okazji zaległe lektury walających się wszędzie książek i pism.

A. Micewski: o strategii N. Demokracji. P. jego trafna uwaga o tym, że każdy ruch polityczny niezależnie od osiągnięcia swych finalnych celów, osiąga jakieś cele szczególne, cząstkowe. N. Dem. zdobyła wieś dla sprawy

narodowej. Rzeczywiście porównaj świadomość narodową chłopstwa z r. 1833, z roku 1914 i z roku 1939. W tym sensie działalność prymasa Wyszyńskiego jest przedłużeniem pracy wiejskiej N. Demokreacji.

(Inna rzecz w jakim stopniu chłopski oraz robotniczy) adresat endeckiej propagandy wpłynął na jej treść, a przez to na poziom życia politycznego w Polsce w ogóle. W takim samym stopniu, w jakim walka o dumę chłopa wpłynęła na poziom i styl polskiego Katolicyzmu, oraz zadecydowało o osobliwościach

polskiego komunizmu.

Bronisław Lerocki o książce Wasiutyńskiego (Kultura, nr. 4). Ho, ho! I just couldn't imagine him so smart!

M. Broński (tamże) o "Nierzeczywistości" Nieocenionego Brandysa: "Nierzeczywistość" jest symptomem szerszej tendencji w literaturze wschodnio-europejskiej, a która to tendencja w ostatecznym rozrachunku również wywodzi się z zakapslowania komunizmem i w lekko paradoskalny sposób - ponieważ mam na myśli utwory antykomunistyczne - stanowi jego zwycięstwo. Można by to nazwać pożeraniem sztuki przez ustrój: coraz więcej pojawia się utworów, w których fabuła, konstrukcja, inność, pełnią tylko rolę do wyłożenia kawy na ławę. U podłoża tej twórczości leży nie tylko zrozumiały odruch publicystyczny, ale także - należy obawiać się - pewna fascynacja: przekonanie, że dziwność życia w komunizmie jest tak intensywna, iż wystarczy ją uchwycić, zamknąć w trafną formułę, a zastąpi to dziwność często artystycznego przeżycia. W

efekcie powstają książki aktualne, prawdziwe, takie z-którymi-nie-można-się -nie-zgodzić, ale z których siłą rzeczy zieje nuda i szarość komunizmu, zatruwa wszystko i utrupia od wewnątrz ich szanse na przetrwanie".

15.6.

Wczoraj: rano Zdzisław, porządki, po południu kawa u p. Steinsbergowej z Wacławem Zawadzkim, raczej nudno, i co gorsza myśmy ich nudzili. Wczoraj ta idiotyczna piłka nożna w tv. Dziś łeb mnie boli. Sam

siedzę, cicho.

16.6.

Wczorajszy dzień w bezruchu, w stanie umysłowej oziębłości. Dziś próby czytania, z których nic nie wynikało. Jak zwykle, gdy pragnę cudu przez książkę.

Wszystko co można zrobić to put the things in order.

J.

Zmiana sformu. stępiłaby krytykę J.J.L.

Co do konspektu:

ludzie tego typu co J.L.L. wykazują dużą drażliwość,

zwłaszcza gdy pochodzą z zewnątrz.

Ocenie podlega każdy - ale oni żyją w poczuciu zagrożenia. Atakuje się ich poczucie misji. Ale problemu wyminąć nie można.

Unikać formuł ostrzejszych.

Opozycja tworzy nowy model funkcjonowania (na surowym korzeniu); [...] wróci poczucie wagi także na przyszłość. Stąd imperatyw działania.

Wniosek J.O.: zapoznać J.J.L. z tematem.

Wilga, 18.6.

Wczoraj wieczór u Bartoszewskich. Opowiadałem trochę P. H. o mojej roli w TKN. - Wie pan jak się to skończy? Oplują pana, oczernią ...

Możliwe. Zresztą ta rola - sceptyka hamującego inicjatywę, krytykującego wiecznie, zrzędzącego, przewidującego najgorszy, lub najmniej poważny rozwój wypadków - wcale mi nie odpowiada.

Dziwna rzecz: w jakikolwiek zespół ludzki wejdę, staram się go natychmiast pozbyć, a nade wszystko manifestować na zewnątrz moją niezależność od

obowiązującej w nim ideologii, czy dyscypliny. Czyżbym był urodzonym zdrajcą? Jeszcze nikogo nie zdradziłem. Odstępcą? Odstąpiłem właściwie tylko od kościoła, alem przeciw niemu nigdy nie działał.

Był u Bartoszewskich Jan Józef L. Powiedziałem mu, że czytałem jego uwagi. Nie widzę powodu kryć to przed nim, skoro on uznał za stosowne podpisać je pełnym imieniem i nazwiskiem. Jeżeli tekst, jaki wysmaży N. będąc równie głupi i prymitywny jak jego konspekt, będę miał możność właśnie J.J.L.

powiedzieć, że byłem przeciw.

Jaki jest naprawdę N.? Ambitny. To napewno. Nic by w tym złego nie było, gdyby nie to, że chce mieć wiele rzeczy naraz: nazwisko literackie, nazwisko naukowe i odpowiednie do tego tytuły, renomę zagraniczną (Conrad-man), pieniądze, (w walutach), zarazem najwyższy standart życia (Peugeot 504, Bryńsk etc.), a jednocześnie odgrywać rolę w ruchu dysydenckim i mieć znaczenie na emigracji. Wszystkie te cele realizuje właściwie cudzymi siłami. Za pomocą Haliny,

Conrada, Zbyszka H., Jana Józefa Szczepańskiego, mnie. Jest to właściwie bardzo niebezpieczny człowiek, którego trzeba mieć pod baczną kontrolą.

Czy może być narzędziem SB? Owszem. To nie jest wykluczone. Miałby za zadanie rozbijać ruch dysydencki w podobny sposób jak to robi Moczulski. Przebija ich wszystkie karty asem niepodległości, starając się o zagłuszenie kuroniowców, czy też ewentualnej opozycji partyjnej. Sądzę bowiem, że prawdziwą troską władz PRL jest wszelka irredenta partyjna; czy to lewacka, czy to "demokratyczno-narodowa". Michnik i Kuroń stanowią właśnie jej forpocztę. Gdyby zostali rozgromieni, ich pomysły mogłyby odrodzić się w klasach partyjnych, a to byłoby prawdziwie niebezpieczne. Dopiero opozycja jest poza partią, można ją kontrolować, manipulować nią, ograniczać odpowiednio; gdy wejdzie do partii i aparatu zarządzającego, stanie się rzeczywistą siłą polityczną.

*

Odkąd ruch Kuronia i Michnika (nazwiemy to "aktywizmem") spenetrował środowisko intelektualne, ona samo przez się przestało odgrywać rolę opozycji. Z trzech sił stanowiących dawne trio polityczne w PRL - partii, kościoła i intelektualistów - pozostały tylko dwa pierwsze, a ostatnie zostały zastąpione przez aktywizm polityczny. List 34 niezależnie od udziału jaki w jego zmontowaniu miał udział Staszewski, i niezależnie od źródła inspiracji, które znajdowało się chyba wyżej, otóż List 34, dzięki naprawdę niezależnym ludziom jakimi byli Dąbrowska, Kotarbiński, Falski, stanowił właśnie tę siłę, którą długo jeszcze potem mógł Związek Literatów eksploatować. Odtąd wszystko co się potem działo, wychodziło od Antoniego Słonimskiego, a ten znalazł się pod kuratelą Adama Michnika, opozycja intelektualistów ze spraw kultury przeniosła się na tematy polityczne (Polonia w ZSRR, konstytucja, Ruch, KOR) i stała się tylko akompaniamentem działań zawodowej opozycji spenetrowanej, centrolewackiej, manipulowanej i prowokowanej

przez SB. Widzimy teraz jak ta opozycja - albo z natury rzeczy, albo z poduszczenia SB. - próbuje wciągnąć w swoje działania kościół i tym sposobem doprowadzić do dalszej redukcji tego ułamka.

Wczoraj u Bartoszewskiego była masa katolików: Turowicz, Stomma, Pszon, Kozłowski. Rozmawiałem tylko z tym ostatnim. Sposób, w jaki opowiadał o swoim konflikcie z milicją (zabrano mu pod błahym pretekstem prawo jazdy i obłożono grzywną), świadczy o narastającej atrakcyjności tego

rodzaju przygód; życie opozycjonisty nabiera uroków takich, jak życie "rewolucjonisty" w mieszczańskim społeczeństwie ostatnich lat XIX wieku.

Warto napisać jakiś utwór pod hasłem "jak to w opozycji ładnie". Przeczytajmy sobie "Dzieci Prusa. Koniecznie!

Napisać szkic: "L'Education sentimentale", "Dzieci:, ew. "Le Rouge et le'Noire", ew. "Pożegnanie jesieni".

Lub replikę. Na tle wypadków 1905 roku.

Jutro u mnie dyskusja: "Kultura o jaką nam chodzi".

Punkt wyjścia: krytyka stanu rzeczy.

Mamy do czynienia z trzema szeregami zjawisk:

1. indoktrynacja na modłę starą, stalinowską. Dotyczy to historii najnowszej;
2. synkretyzm i redukcja, na [...] nową, "pragmatyczną" modłę. Przykład stosunek do tradycji narodowej, częściowo do kościoła.
3. Zjawiska związane z nowym modelem społeczno-cywilizacyjnym: w kulturze zjawiska analogiczne do tych, które wytwarza społeczeństwo obfitości, bez obfitości: rola telewizji, turystyka, widowiska sportowe; rola pism ilustrowanych, komiksów, literatury sensacyjnej. Porno wisi w powietrzu. Ale zamiast porno mamy jeszcze wódkę.

Zjawiskami kulturalnymi nie można sterować.

Powstrzymywać można te, które są sterowane. A więc te wymienione w n. 1. Zjawisko nr. 2. powtórzy się przy każdej próbie sterowania. Tu pogłębia, tu spłyca. Zjawisko 3 jest nie do powstrzymania; przeciwnie, wzrośnie w miarę demokratyzacji. Przykład Hiszpania.

Na zjawiska kulturalne można wpływać tylko w sposób pośredni.

*

Kultura nie jest zjawiskiem jednolitym (jednowarstwowym). Kultur jest parę:
1. umysłowa (wykształcenie, rola światopoglądu, umiejętność prowadzenia sporów;
2. literacka (twórczość i odbiór, świadomość tradycji i współczesności);
3. polityczna;
4. społeczna;
5. gospodarcza.

Ich interferencja.

Ta interferencja musi być swobodna.

Musi być to zasadnicza, liberalne założenie: kultura będzie rezultatem działań w innej dziedzinie; naddatkiem, wartością dodatkową duchową.

Wyłączyć kulturę z prac reformatorskich: powstanie nam zaściankowa i sekciarska.

Reformować to, co się da zreformować, a reszta będzie [...] .

*

Przejść na pisanie wieczorne,

voice nocne.

Dzień wykorzystać na wszystko inne: czytanie, notatki - tylko w notesie, potem przepisywać na oddzielnych kartach i rozkładać po teczkach.

22.6.

Zaiks.

Skoro film - telewizja - radiofonia - literatura. Sprzeczność interesów autorów i biura 23 miliony wpływają z radia i TV. Podział. Za powtórzenia! Komu się nie należą. Tv przesyła wykazy niechlujne. [...] kontrola

jest trudna.

Przesyłają "ramówki" nierozbite na autorów. Z opóźnieniem.

Nie ma ludzi do oglądania tv.

Mogą być też ciche cynki, aby tych czy innych tekstów nie wykazać.

Proj. Toeplitza Kurendy do członków. Skontrowany.

Sprawa filmów: ampeksy też są filmami.

1955-7 - Ministerstwo odebrało Zaiks-owi uprawianie tantiemizacji!

Hanuszkiewicz 10% tantiem!

"Hanuszkiewicz oddał partii

wielkie zasługi".

10% maksimum autorskie.
5% za przekład
7% poetycki
3% adaptacja.

22.6.

Opóźniony poranek przez oglądanie w nocy transmisji z Argentyny. Zebranie w Zaiks-ie. Patrz wyżej. Dynamiczny Szczypiorski. Potęga organizacyjna, a gdyśmy wyszli razem i zaczął pleść o perypetiach jego książki, o której od J.J. Szczepańskiego wiem, że jest marna, zrobił się nudny i płaski. Inni nabierają siły dopiero gdy mówią o swojej twórczości. Podobną miałem przygodę z Władysławem Terleckim. Od wielu miesięcy zbieraliśmy się na to spotkanie, z którego nic nie wyszło. Opowiadał mi o swoich twórczych kłopotach, które mnie nic nie obchodzą.

Wczoraj w południe zebrało mi się nagle na rozmyślania moralistyczne i nawet przeprowadziłem sam z sobą lekko parodiowany "dialog filozoficzny" na temat - hm - czym jest mądrość - i tak mnie to

ubawiło, żem pomaszerował do B.U.W., aby sobie przeczytać jakiś fragment filozoficzny na ten temat. Czytałem rozprawę Plutarcha z "Moraliów" o sztuce wyuczania się cnót. Wszystko razem - całe to intermedium filozoficzne nie trwało nawet 1,5 godziny, ale bardzo mnie uszczęśliwiło, tym bardziej, że dzień biegł jałowo: musiałem czekać aż mi Kazik odwiezie okulary z Obór, gdzie je przez zapomnienie zostawiłem, potem miałem spotkania z Magnusem Kryńskim (mam pecha do niego, czy on do mnie - albo powie coś obrzydliwego, jak o tym "posiadaniu od tyłu" albo dzieje się z nim coś obrzydliwego - tym razem miał katar i nos umazany jakąś zielonkawą maścią), a popołudnie z góry stracone na te mecze, za których oglądanie będą się kiedyś smażył w piekle.

Tyle, że ta chwilka filozofii ... Ale już zapomniałem o co mi szło.

Co dzisiaj jeszcze było? Rozmowa z Julią przez telefon. Powiedziała mi, że jest jak ten sternik z Taifuna: "Na miłość boską, mogę sterować do końca życia, tylko niech pan do mnie nie mówi! ".

Obiad ze Szczypiorskim i Górzańskim - dość głupkowaty.

Po południu wziąłem się nareszcie do przepisywania notesów: trafiłem na mały niedokończony notes z (1972) roku - sprzed wyjazdu do USA.

Zobaczymy co z tego przepisywania wyniknie. Nie może przecież nic nie wyniknąć.

Jutro Kazia leci do Krakowa kupować Mamie telewizor, a ja zostanę dalej przepisywać, z tym, że muszę też przepisywać (i redagować) protokół z dyskusji, która odbyła się u mnie parę dni temu. Podjąłem się protokołowania, bo nikt nie przyniósł magnetofonu; zjawił się niby wypadkiem Celiński i na wiadomość, że magnetofonu nie ma natychmiast zatelefonował do ... Kuronia, a Amsterdamski już czekał z samochodem, gotów do jazdy na Żoliborz. Powiedziałem, że obejdziemy się doskonale.

23.6.

Imieniny mojej Matki. Nie jest to dla mnie miły dzień. Ani wspomnień nie mam dobrych z nim związanych, ani uczuć we mnie nie wzbudza żadnych - poza,

oczywiście, uczuciem winy za te wszystkie brutalności i zaniedbania, jakich dopuściłem się wobec Niej za życia, za niezrozumienie przede wszystkim (trudno ją było zrozumieć, co prawda, ale tylko ode mnie mogła tego oczekiwać), i za zaniedbania po śmierci. Wiem czego chciałaby ode mnie: mszy świętej w rocznicę śmierci, czy właśnie w imieniny, a tego nie robię - zostawiłem to Leszkowi, co do którego także mam wątpliwości, czy pamięta. W każdym razie powinienem był przynajmniej posłać pieniądze od czasu do czasu na ten właśnie cel, jak również na utrzymanie grobu Rodziców.

Jestem właściwie skąpy i mało uważający na potrzeby oraz oczekiwania innych.

Kazia odleciała do Krakowa.

Myślałem o dniu spokojnej pracy, ale już zadzwonił Adam, a ja sam musiałem zadzwonić do Zdzisława. W rezultacie obaj tu będą w krótkich odstępach czasu.

Czego Adam chce? Jego wizyta sprzed paru dni miała charakter ekspiacyjny, ale wyczuwałem, że jest wstępem do czegoś, a gdym się dowiedział

wczoraj od Julii, że był także u nich, nabrałem pewności, że coś kombinuje.

Czegokolwiek chce, nie powinienem żadnej decyzji podejmować "Sur le champs", ale zagrać na zwłokę. Chyba, że będzie okazja do natychmiastowej odmowy. Podobno powołano przy KOR-ze jakieś nowe ciało - mówił mi wczoraj Jerzy Zagórski - do którego wszedł m. in. Jerzy Ficowski. Nie wiem co to ma być. "Super-KOR? "Do żadnego ciała nie chcę wchodzić. Nie chcę być stałą pozycją na "K", tak jak stałą pozycją na A. jest Amsterdamski (to nawet nie Andrzejewski), a na "B" Barańczak. Wejście moje do TKN jest wystarczającym do tego powodem. Na dodatek w TKN reprezentuję określoną pozycję: przestrzegam ustawicznie przed łączeniem TKN-u z KOR-em i w ogóle z polityczną opozycją. Uważam, że w TKN-ie powinienem zachować tym większą ostrożność.

Mam zresztą mnóstwo powodów do odmowy współpracy z Michnikiem et consortes. Ich działania polegają na utrzymywaniu permanentnego napięcia i na ukonstytuowaniu

środowisk opozycyjnych w instytucje trwałe: KOR, Zapis, TKN, związki zawodowe, SKS. A więc: ruch studencki, zawodowy, akademia nauk i związek literatów. Co do mnie, uważam, że ważniejsze jest utrzymywanie oporu, czy opozycji, czy fermentu wewnątrz istniejących struktur ...

- Głupstwo - na to Adaś odpowie - albowiem struktury te są całkowicie, uzależnione od partii ...

- Nie wszystkie - odpowiem - np. literatura nie jest całkowicie uzależniona od partii; dopóty stanowi siłę społeczną, dopóki

funkcjonuje oficjalnie z pomocą druku. Zejście jej w podziemie lub wyjście na emigrację, będzie oznaczać jej koniec. Tak samo o instytutach Akademii Nauk, ani nawet o uniwerystetach nie można jeszcze z całą pewnością powiedzieć, że są [...] instrumentami. Czy pozatem studentów należy stawiać przed wyborem należenia do SKS, lub ZSP (to się jakoś inaczej nazywa), a robotników przed podobnym wyborem dotyczącym wolnych lub "niewolnych" związków zawodowych? Przed czym może ich obronić taki jawny ale

nielegalny, obstawiony przez policję związek czy komitet? Całą siłę tych organizacji stanowi ich połączenie z organizacjami zachodnimi, a poprzez nie z Wolną Europą. Stanowi to tyleż obronę, co zagrożenia. Obronę na czas dobrej koniunktury w stosunkach Wschód-Zachód, a w razie ich pogorszenia - duże obciążenie. Obrona to zresztą też tylko cząstkowa: może partia i MO liczy się z reakcjami "W.E." w tym sensie, na jakie liczą działacze opozycji; natomiast zakłady pracy rektoraty, a nawet środowiska społeczne reagują odwrotnie i starają się dyskretnie pozbyć ze swego grona ludzi będących na wokandzie W.E. Tworzenie przeto tych organizacji i wyciąganie nowych ludzi powiększa stale grupę osób skazanych (często już na zawsze) na pół-istnienie, które nie mają już w końcu wyboru i muszą przystać do permanentnej opozycji, czyli do Kuroniowego wojska. Dokonuje się w ten sposób stała eliminacja "inaczej myślących" - skuteczniejsza niżby to robili wykwalifikowani kierownicy kadr, obserwatorzy MSW i inni funkcjonariusze, którzy za czasów

stalinowskich musieli polegać na donosach, podsłuchach, i po nieostrożnych słowach, po sposobie zachowania ubierania się, wnioskować o nieprawomyślności swych podopiecznych. Pułkownik MSW, który rozmawiał ze mną w związku z moim wyjazdem do Hiszpanii, nazwał ten proceder "plażą nudystów". Powiedział mi: dziwię się panu, że pan się daje manewrować takiemu Michnikowi. Przecież on odgrywa podwójną rolę: ujawnia nam to co kto myśli.

Na co odpowiadam, oczywiście, że swoich poglądów w ogóle nie ukrywam, ale co dotyczy mnie, nie musi wcale dotyczyć tego lub owego studenta, profesora, czy wreszcie robotnika.

Mówi się że ta działalność "eliminacyjna" wybija ogół Polaków ze snu, doprowadza do próby charakterów, ujawnia słabość reżimu. Nie jest to takie proste. Ci, którzy muszą pozostać biernie, albo nawet ukrywać swe poglądy, zostają zepchnięci jeszcze głębiej w oporze swoim, jeszcze bardziej są uzależnieni od partii i bezpieki, które przy różnych okolicznościach

(egzaminy, wyjazdy zagranicę, awanse) domagać się będą subordynacji świadectwa lojalności, niż czyniły to dawniej. Większość, tę lojalność zachować musi. Igrać ich losem, to znaczy lekceważyć ich racje, a mogą to robić tylko ci, którzy mają osobliwy przywilej jawnego działania. Są to ludzie "z nazwiskami" wyrobionymi bądź to w jakiejś dziedzinie twórczości (a więc wykreowywani przez PRL) bądź to w działalności opozycyjnej (a więc wykreowywani wspólnie przez bezpiekę i WE). Społeczeństwo polskie zostaje w ten sposób dodatkowo podzielone i rozbite, a to - pośrednio i, jak wiem, mimowolnie, sprzyja reżimowi.

Wilga, 25.6.

Już po napisaniu tych słów przeczytałem opracowanie Z. na ten sam temat. Pomimo zasadniczych zgodności naszych poglądów co do działania jawnej opozycji i jej pośrednich skutków, zareagowałem na jego tekst krytycznie, a nawet agresywnie. To delikatna sprawa i wymaga delikatnej ręki, a on jest cham.

Pełno tam niezręczności, które trudno mu wyłapywać jedno po drugim; lepiej więc całość wyrzucić do kosza. Napisać zatem mu mniejwięcej tak:

"Nic nie wyjaśniamy, wszystko gmatwamy. Czy opozycja zmieniła co na lepsze w systemie, czy pogorszyła tylko? Czy zmieniła co w postawach ludzkich, czy utrwaliła zjawiska optymistyczne? W tekście są obie sugestie, czy ma zwinąć swoje sztandary i sklepiki, czy przeciwnie rozszerzyć swoją bazę społeczną? W tekście są obie sugestie. Występujemy tu w roli likwidatorów i demagogów równocześnie - Jest to zrzędzenie i poklepywanie po plecach ...?

Bardzo się zasmucił, a może nawet obraził.

Jak mam mu wytłumaczyć, że powinien do tego tematu przyjąć dystans socjologa, czy epika. Zjawiska, o których nieraz rozmawiamy, są może tematem dla nowych "Biesów" czy, w oczach zachodu, ale nie na kolejne "oświadczenie". Zresztą w ogóle produkcja "oświadczeń" mnie nie interesuje.

*

Zasnąłem podczas pisania i przyśnił mi się powrót na ulicę Krowoderską. Kto miał tam wrócić? My, to znaczy ja z rodzicami, czy ja z Kazią i Jędrkiem, nie było jasne. Czekałem na kogoś, kto miał tam wejść przede mną. Mieszkanie było jeszcze zamknięte, Poszedłem do innego domu, aby zajrzeć w okna.. Zobaczyłem okna od strony podwórza - ciemne jeszcze; dwa z nich były wyraźnie osłonięte od wewnątrz białymi okiennicami, widocznymi pomimo zmierzchu. Biała okiennica w

dziecinnym pokoju! Jakże ucieszyłem się, że przetrwały. I wyobraziłem sobie chwilę, gdy tam wejdę i wszystko odnajdą na swoim miejscu.

26.6.

Sprawa obrazu Czapskiego.

Adam M. przyszedł do mnie m. in. w sprawie obrazu, który Czapski rok temu dał Januszowi Krasińskiemu dla KOR-u. Obraz nie dotarł do KOR-u, ani w ogóle do nikogo i jak się okazało, wisi u Krasińskiego na ścianie. Michnik zadzwonił do tego pana, umówił

się z nim, ten natomiast na spotkanie nie przyszedł, a przysłał Jerzego Narbutta w swoim zastępstwie z wyjaśnieniem, że jako wiceprezes nie może ani widywać się z Michnikiem, ani przyjmować jego telefonów. Podjąłem się więc - ochotniczo, tak sobie, z poczucia przyzwoitości, i z przekonaniem, że sprawa jest zbyt prosta, aby ją przedłużać i komplikować - podjąłem się więc wyjaśnić Krasińskiemu po co Michnik chciał się z nim widzieć. Nastąpiło to w ZLP, w kawiarni przy okazji przygodnego spotkania. Krasiński przyznał, że obraz ma u siebie, że miał się zgłosić po niego ktoś z rodziny Słonimskich, ale że nikt się nie zgłosił. Z Michnikiem on widzieć się nie może - tłumaczył mi płaczliwie. Powiedziałem tedy, że przedstawicielem Piotra Słonimskiego jest Artur Międzyrzecki. Świetnie, w takim razie on do niego zadzwoni. Rozstaliśmy się przyjaźnie, a ja powiedziałem to Arturowi. Ten w pierwszej chwili osłupiał, a potem - tzn. po paru godzinach zadzwonił do mnie, dziś dzwonił znowu, a wreszcie przyszedł. Nie może tego obrazu przyjąć, bo nie

ma upoważnień, i mnie ostrzega. To jest sprawa "Coucha", to jest intryga, zażyli mnie znowu z mańki, dlaczego tego nie odebrała Halina Mikołajska, to grozi sprawą procesową, nie chodzi o obraz, ale o to, żeby wplątać w tę sprawę jak największą liczbę osób.

Każda sprawa z Arturem przybiera obrót intrygi, w każdej dopatruje się zgubnych dla siebie skutków.

28/29.6.

Przesunąłem sekretarzyk do dawnego pokoju Jędrka i zabrałem się do pisania nocami. Przyjemnie, ale najpierw musiałem spisać protokół z dyskusji, która się u mnie odbyła. Straszne brednie.

Adam znów siedział, ale go już wypuścili. Coraz mniej w tym powagi.

6.7.

Rozmowa ze Strzeleckim:

"Nie robić z Polski chorego człowieka w Europie. "

"Nie skreślać PRL ... "

Historia Polski kończy się dla nich w 1944, na Delegaturze.

Potem Kozacy nad Wisłą i KOR - jako odrodzone serce narodu.

Strzelecki wystąpił jako wątpiący rzecznik "światłej części aparatu".

Myślę, że przeze mnie chciał wpłynąć na opozycję, żeby się opamiętała. Czy go ktoś o tę rozmowę prosił? Możliwe. Kto jest tą "światłą częścią aparatu?"

Nieważne. Intencje jego zbiegają się o tyle z moimi, że chciałbym doprowadzić do odbudowy zniszczonej strefy pośredniej". Czy można do tego - paradoksalnie - użyć PPN? Tak - ukazują cele do spełnienia dalekie porządkuje się sprawy - dzisiejsze. "Niepodległość - pojutrze; na dziś dobra praca".

Jestem coraz bliższy takiego właśnie rozwiązania, albowiem to, które KOR proponuje przynosi ryzyko totalnej indoktrynacji - dwustronnej - przez KOR z jednej strony, przez SB z drugiej. W tej konfrontacji dwóch konspiracji w ogóle ani pracować, ani żyć nie można. To nie jest ruch na rzecz reformy, ale ruch na rzecz dezorganizacji, która pośrednio działa na rzecz pogłębienia zjawisk totalnych. Strzelecki: "Nie da się społeczeństwa nawrócić na

KOR".

To prawda.

Czego chce Zdzisław?

*

O poczuciu prawa. (J.J.L.).

O szkołach artystycznych.

Niepodległość.

Biblioteki.

Wilga, 9.7.

Czytanie Pobóg-Malinowskiego.

Z odezwy "Niepodległości" (1866):

"Praca, jako środek, niepodległość - jako cel".

*

W sprawie czeskiej: jedna z przyczyn polsko-czeskiego konfliktu - różny mianowicie ich i nasz stosunek do Rosji - zniknęła w 1968 roku.

Wł. Czartoryski o ludach słowiańskich:

z racji ich "antyniemieckiego niesmaku" nazwał ich "rozsadnikami azjackiego barbarzyństwa" ... "Z Czechami trzymać jest dla nas

niepodobieństwem". (3.5.1870).

Wilga, 10.7.

Deszcz, rano jazda do Garwolina, potem sen, teraz ospałość. Czytanie Pobóg-Malinowskiego. Bardzo to dobrze napisana, chociaż chaotyczna i nadmiernie rozepchana książka.

Napisać historię społeczeństwa. Historię ludzi zwykłych, dla których powódź, czy zaraza jest zdarzeniem znacznie donioślejszym niż wojna, czy rewolucja. Byłaby to kombinacja socjologii (czy istnieje

socjologia historyczna?), historii gospodarczej, historii wychowania, historii ruchów umysłowych, historii mitów.

Źródła: istniejące opracowania z powyższych dziedzin oraz: prasa, pamiętniki, listy, literatura piękna (także jako krzywe zwierciadło, a więc należy uchwycić zasadę skrzywienia), archiwa sądowe i miejskie.

Czyż nie tak postępowali kronikarze?

Na początek: opracować szkic takiej historii powojennej, czy PRL - a więc zacząć od rzeczy najistotniejszej: od migracji i ich

skutków.

Migracja lat 1939 - 1940 ucieczka wrześniowa i powroty.

Wysiedlenia z poznańskiego i ponowna "Repatriacja" - czyli wysiedlenia ze wschodu i wędrówka na zachód połączona z wysiedleniem Niemców.

Migracje ludności wiejskiej do miast.

11.7.

Śreniowska mówi, że były dwa wizerunki, dwa mity Kościuszki - pański i gminny. W rzeczywistości był to mit jeden -

puławski, "podany" w dwóch stylach charakterystycznych dla tego środowiska: w stylu heroicznym i w stylu sielankowym.

W istocie te dwa style składają się na sentymentalizm.

Styl heroiczny - historyzm.

Styl sielankowy - demokratyzm, wzgl. populizm.

Cała historia sentymentalizmu jest mieszaniną fascynacji historią, a w szczególności jej dekoracyjną stroną, oraz fascynacji ludem.

Podobny wystrój rewolucji francuskiej i amerykańskiej? Sprawdzić u Micheleta i in. ...

Na czym to polegało?

Faktem jest chyba, że był to najbardziej załgany styl, jaki kiedykolwiek powstał w kulturze. Dziedziczył retorykę po baroku, hierarchię wartości miał klasyczną, a już umizgał się do warstw ludowych; poniechanie klasycznej i barokowej retoryki z ludowością - oto mieszanka na mdłości.

Zresztą inne trudności: żadna to sztuka wykreować na bohaterze ks. Kondeusza albo - nawet ks. Józefa; ale Kościuszkę?

Wobec tego uruchomiono całą gamę środków: wieńczono liśćmi z dębu Sobieskiego, malowano w zbroi, a zarazem przedstawiano jako ogrodnika, "Cywymosta"; a na dodatek czarownika amerykańskiego.

Warszawa, 12/13.7.

Nic nigdy nie zrobię, jeżeli nadal będę tak jak dotychczas dzielił zainteresowania i wysiłki.

Na coś trzeba się zdecydować.

Jedyna sensowna zasada: wydać wszystko, co nadaje się do wydania, i dokończyć wszystkiego, com kiedykolwiek zaczął, a także przepisać i

uporządkować, a także rozwinąć "notesy".

Oczywiście, nie daje mi spokoju myśl, aby te wszystkie moje rozstrzelone zamiary złączyć w jedno dzieło, i nie przestaję szukać dla niego klucza.

Po raz setny powracam do wzoru "Prób" Montaigne'a; niech by to była księga będąca pamiętnikiem, kroniką, zbiorem refleksji, pomysłów, sylwetek, pamfletów, wybuchów etc. - ale uporządkowana wedle zasady bądź to chronologicznej, bądź problemowej, np.:

o historii - apokryfy, studia, szkice;

o sztuce pisarskiej;

o duszy;

o Bogu;

o społeczeństwie;

o Polsce etc.

Podzielić wszystko com napisał (poza nowelami) na: księgi:, uzupełnić, rozwinąć, wypełnić lekturami, poukładać w rozdziały ....

Dać temu tytuł ogólny:

Pamiętniki; Wariacje; Kroniki; Tematy; Mieszaniny; Zamiary; Pomysły; Wątpliwości.

Muszę przerzucać się z tematu na temat, i z formy na formę.

Muszę być zmienny, nieuchwytny, nieobliczalny. Nie wolno mi zastygnąć w żadną postać - muszę pozostać sobą, tj.:

13.VII.

Znalazłem klucz. Zawarty jest w jednym znaku, w jednej literze, w jednym przecinku: "o". Będę pisał eseje, notatki, opowiadania, opowieści, przypowieści, alegorie bajki, z których każda będzie miała tytuł opisany, zapowiadający wyraźnie o czym mowa: o tym, o tamtym, o owym, o niczym, o sobie, o dawnych kolegach, o nowych kolegach, o książce, o obrazie, o zdarzeniu, o kraju, o tej lub innej cnocie, o tej lub innej sprawie szczegółowej, czy ogólnej, i znowu będę za punkt wyjścia przyjmował ów temat, którego rozwiązanie będzie dla czytelnika niespodzianką myślową, lub formalną. Złożę z tego serię książek, które połączę wspólnym tytułem. Jakim? Tego jeszcze nie wiem. Może "Inwentarz żywy i martwy".

Albo tylko: "Inwentarz".

Albo: "Remanent".

Albo: "Plan".

*

Metoda: założyć tyle teczek, ile tematów i wkładać do nich wszystko, co się w związku z każdym z nich gromadzi: szkice, notatki, dyspozycje, inf. bibliograficzne, ew. wycinki. Opracowywać je w miarę zapełniania się teczek. Na początek uporządkować wedle tej zasady wszystko, co dotychczas zapisałem. Myślę, że jest tego sporo. Publikować wszędzie gdzie się da, jako odzielne szkice, ale zawsze pod tytułem "O ... ".

Z niczego, co zacząłem, nie

rezygnuję, a o kończeniu tych prac decydować będę w zależności, czy widzę dla niej miejsce w "Planie".

Wilga, 17.7.

Przez całą niedzielę nic.

Byli Arturowie z Danielą. Dość wesoło. Kali - źle. Pochmurno. Czyt. "Chroniques italiennes" Stendhala. A może: "Kroniki polskie"?

Kroniki polskie.

Albo tylko: Kroniki.

Poczytaj prawdziwe stare kroniki - jak oni to robili.

Warszawa, 19.VII.

Prawdziwą powagę osiąga się tylko przez spełnianie obowiązków.

Im zwyczajniejsze obowiązki, tym zwyczajniejsza powaga.

Im cięższe obowiązki, tym głębsza powaga.

Osiąga się ją przez uznanie podstaw na jakich opiera się obowiązek. Obowiązek jest instytucją, prawem, niewidzialnym ołtarzem Boga. W obowiązku streszcza się cały tragizm istnienia: bezcelowa praca, wysiłek nieopłacalny, wszystko bez chwały, spełnienie obowiązku to myśl nieustanna i modlitwa.

Sztuka: spełnienie obowiązku wobec siebie, tj. wobec uświadomionego talentu. Obowiązek wypowiedzenia.

Por. Kant "Uzasadnienie metafizyki moralności" i stoicy. Szczególnie (chyba) Cycero.

Sim. Weil: Człowiek nie ma praw, tylko obowiązki.

Zanik poczucia obowiązkowości w związku z odmianą w pojmowaniu duszy: dusza jako cel sam w sobie, a nie jako instrument woli i

świadomości wyższej.

Wszystkie drogi prowadzą do moralnej krytyki psychoanalizy.

*

Rozwiązanie opowiadania o księdzu: przymuszony przez terrorystę do udawania, że niesie N.S., rzeczywiście bierze N.S. Bandycie to zupełnie obojętne. Kościelny przyjmuje to z oburzeniem, ale ksiądz ma poczucie zwycięstwa. Wraca sobie potem ciemną ulicą sam z Chrystusem i jest szczęśliwy: wyszedł z nim na ulicę! Idzie z

nim przez świat! Co prawda, zupełnie inaczej, niż to sobie wyśnił w swoich teokratycznych, totalnych marzeniach. Zamiast Chrystusa-Króla, Chrystus-partyzant, konspirator ....

*

Tekst o Czechach.

Wierzyć się nie chce: to już trwa 10 lat! Od 10 lat w Czechach nie ma literatury, filmu prasy, życia umysłowego.

Reżim czechosłowacki nie różni się wiele od pozostałych poza tym, że nie ma tam całej tej

dekoracji artystycznej i umysłowej, z którą powstała [...] .

Eksperyment się udał: pozostaje żywą, realną groźbą dla pozostałych demo-ludów, w szczególności dla PRL i Węgier, gdzie - pomimo wszystko, coś jeszcze istnieje. Od 10 lat Czesi wstydzą się za swój kraj i niszczeją duchowo w atmosferze egoizmu, szyderstwa i apatii. Jest to prawdopodobnie cena, którą cały kraj płaci za to, że w 1968 roku ani nie później, nie poleciały głowy". Cena łagodnego wariantu. Ryzyko: kulturalna propozycja i duchowa degradacja na długie,

długie lata. Odbudowa zniszczonej tkanki będzie bardzo trudna. Już 10 roczników bez uniwersytetów, bez pism i książek. To bardzo dużo.

Eksperyment socjalizmu z ludzką twarzą nie udał się, bo się udać nie mógł. Czesi zagrozili całemu imperium i równowadze światowej. Okazało się wtedy na jakich postawach spoczywa to imperium, ta równowaga i ten pokój. Trwałymi podstawami imperium są obecność armii radzieckiej lub inne, odpowiednio silne gwarancje, rubel i cenzura. Trwałymi podstawami równowagi

i pokoju w jego obecnej edycji jest podział Europy na bloki i nieingerencja.

Zachód pogodził się z inwazją Czechosłowacji; system, który okazał się zawodny w 1938, zdał egzamin w 1968 i zdaje go do dziś. Aby Portugalia mogła mieć demokrację, Czechosłowacja, Polska, Węgry etc. muszą mieć to co mają. Jałta okazała się trwalsza nie tylko od Monachium, ale i od Wiednia. Nic się pod tym względem nie zmieniło i nie zmienia: retoryka Cartera brzmi na krótkich falach. Trudno ruszać na wojnę w obronie Czechosłowacji, gdy się zezwoliło przedtem ma Polskę, na NRD, na Węgry etc. Trudno wybronić Szczarańskiego, gdy się nie wybroniło ani szesnastu skazanych Polaków, ani Benesza. Los Czechosłowacji nie jest inny od losów Gruzji, Ukrainy, Litwy i samej Rosji. Zadziwia bardziej o tyle, o ile Praga, Brno i Pilzno są bliżej Wiednia, Monachium, Rzymu i Paryża niż Tyflis czy Kowno.

Oprócz układu światowego są jeszcze mikroklimaty. Wszystko wskazuje na to, że wkroczenie armii radzieckiej stworzyło koniunkturę dla najgorszych

elementów, które dokonały i dokonują nadal samosądu w granicach zakreślonych przez prawa wielkiej, czytaj radzieckiej polityki. W intencji ZSRR było tylko przywrócenie w CSR "porządku" oraz to, aby nie odbyła się tam krwawa masakra. W tym celu wkroczyli i w tym celu posadzili na krześle umiarkowane kierownictwo. Reszta jest dziełem miejscowej kołtunerii partyjnej. W Czechosłowacji okazało się, co ten system produkuje. Jakie nienawiści, jaki cynizm, jaką nikczemność. Nie [...] na opinię światową! Nie ma takiej. Ten system łagodzą tylko ludzie dobrej woli. Ich eliminacja wywołuje efekt podobny do zaniku białych ciał w organizmie. Wszystkie infekcje szaleją.

W Czechosłowacji tli się życie. Dochodzą głosy Vaculika i innych. Opowiadają o prześladowaniach, o szykanach etc. Świat słucha ich ze wzrastającym zniecierpliwieniem, tak samo jak słuchał skarg polskich emigrantów po roku 1863. Wreszcie słuchać przestał. Uratowała nas praca od podstaw. Uratowała nas literatura, "mała" publicystyka, akcje oświatowe,

walka o prawa etc. Uratował nas dom. Uratowali nas Apuchtin i Bismarck, wskazali nam linię obrony. Najtrudniej walczyć z upadkiem od środka. Z tymi śmiertelnymi wrogami mają dziś do czynienia Czesi i Słowacy w stopniu jeszcze dla nas niewyobrażalnym, choć nie tak nierealnym. Czesi dopuścili do zepchnięcia w podziemie duszy swego narodu. Do tego dopuścić nie wolno. Pozwolili zamknąć się w centrum Europy. Widziałem jak się to stało. Był któryś dzień sierpnia 1968 ... Płynąłem tratwą ... Przede mną inne tratwy ... Czesi

na brzegu. Wszystkie głowy z tamtego brzegu zwrócone ku nam, wszystkie głowy z tratw zwrócone ku tamtemu brzegowi. Naraz ktoś na tamtym brzegu podniósł rękę. Las rąk podniósł się na tratwie, jednej, drugiej ... Za chwilę [...] stali na brzegu ...

Noc - ryk samolotów.

W 1968 zamordowano nie tylko czeską demokrację, ale także szansę przesunięcia Europy ojczyzn na wschód. Francja, Szwecja, oni nadal wędrują sobie turystycznymi i handlowymi szlakami w tę i w tamtą stronę ... Nigdy Czesi, Polacy, Węgrzy i

NRD, między [...] a Rosją etc. [...] etc. Od Łaby do Pcyfiku rozciąga się stare żandarmerskie imperium, które nie drgnie przez wieki, z którego przez wieki dochodzić będą tylko zrozpaczone głosy.

Tutaj trwa XIX wiek. Miliony zniewolonych w najdoskonalszym systemie, jaki dotąd stworzono, reakcje na błąd w systemie rządzenia. Wydawało się, że takim błędem jest właśnie Czechosłowacja. Ale nie była? Wydawało się, że "nie pozwolą" na to partie zachodnie, ale "pozwoliły", że nie pozwolą na to rządy, ale pozwoliły, że nie wytrzymają tego Czesi, ale wytrzymali. A to jest najbardziej przerażające: stopni degradacji jest jeszcze dużo. I to jest najbardziej przerażające.

*

Już dawno zamyślam napisać opowieść o moich szkołach. Myślę, że jest o czym. Wystarczy opowiedzieć wszystko po kolei i po prostu, aby okazało się coś bardzo ważnego ... Co?

Właśnie, to się zobaczy, ale czuję to mocno. Najważniejsze są postacie - i może nie tyle o tych

szkołach powinienem opowiadać, ile o nauczycielach, jakich miałem.

Szkół miałem dziesięć.

Tytuł: Dziesięć szkół.

Szkolne wspomnienia, hm, zamiar banalny, ale, ostatecznie, wszystkie zamiary (pomysły) są banalne.

Wilga, 23/7.

Coś niedobrego z moim myśleniem: myślę tylko w związkach retorycznych i obrazowych, czyli tylko przy pisaniu i dla pisania; myślę więc

coraz bardziej profesjonalnie i stereotypowo. Moje życie umysłowe poza pisaniem staje się niepokojąco prymitywne: ogranicza się do powierzchownych spostrzeżeń oraz wspomnień i reminiscencji. Zaczynam cierpieć na nadmiar wspomnień i reminicsencji. Do tego dochodzą gniewy, uprzedzenia i podejrzenia. Najlepiej się bawię wymyślając innym ich podłości.

Może właśnie z takich elementów składa się życie duchowe rasowego powieściopisarza? Jeśli zidiocenie

jest częścią talentu, mam ją w kieszeni. Gdybym jeszcze miał tę drugą ....

*

Przemożna, nie odstępująca ani na chwilę dobra wola w kierunku uporządkowania myśli, stworzenia c z e g o ś trwałego oraz dobrego oddziaływania. I wszystko to rozpłaszcza się wciąż, ginie.

Siedzę teraz na górce, patrząc na Kalego, który chodzi po lesie, chodzi, przebiera łapkami, jak nakręcona zabawka, zgarbiony, ze

zwieszonym łebkiem, i, jak się zdaje, próbuje się załatwić - a nie może już - zbliża się koniec.

Dobra wola uporządkowania myśli może zmienić się w grafomanię; z takiej dobrej woli powstają traktaty o wszystkim, albo "memoriały", czy "oświadczenia".

27.VII.

W koncercie ludzkości nam przypadło w udziale grać na instrumencie historii wątek tragikomiczny. Wykonajmy dobrze naszą partię.

*

I nie próbujmy innej. Słowacki poddał ton.

*

28.VII.

Wciąż to samo. Kręcę się w kółko. Upał. Z Kalim źle. Sam jestem. Pusty jestem. Uczucia są funkcją woli. W bezczynności, w bezradności uczuć nie ma żadnych. Kochasz tylko tych, dla których możesz coś dobrego

zrobić, i gdy podejmiesz wysiłek w kierunku ich dobra. Kochasz tych, którzy ci dają okazję do spełnienia dobra.

*

Powinienem co dnia znaleźć bodaj jedną myśl, bodaj jedno zdanie do zapisania, a ten, który zakończy się bez myśli, swojej, czy cudzej, uznać za stracony, niebyły.Taki był pewien sens obowiązkowych rozmyślań w klasztorach.

Wiem już co mam pisać; wiem także jak traktować prozę

fabularną - zarobkowo. Tylko zarobkowo!

Wszystkie "wielkie ambicje", jakie się z pisaniem prozy łączą, zabijają i prozę, i myślenie.

*

Poczytaj pisma i książki i popróbuj recenzji, polemik ... Dla higieny umysłowej ...

Odezwij się z głupia frant, poślij artykuł do Polityki, Tygodnika, czy gdziekolwiek. Ale napisz coś! Bądź obecny, Zgłoś się. Pożera cię nie tylko cenzura i nienawiść do reżimu, ale także

wygórowane ambicje. Wydaje ci się, że możesz płodzić tylko rzadkie arcydzieła. Ryzykujesz sporo - staniesz się kimś w rodzaju Mariana Ruth-Buczkowskiego: zapoznanym geniuszem.

*

"Dyrygenta" zatwierdzono do realizacji. Dostałem pieniądze. Razem na tym gównie zarobiłem już ok. 80 tys. złotych.

*

A gdyby mojego K. i P.

(Kryptę św. Leonarda) przepisać w moim stylu, tzn. w stylu ironicznym, głupkowatym, gdyby porzucić ten ton uczony, w który ilekroć wpadam, naśladuję, "meandry" i fontiflurki Kazia Wyki? ...

Zacząć odrazu od pytania:

"Skąd się tam wzięli ci dwaj generałowie? "

Car najpierw odmówił. (Tu treść jego odpowiedzi).

Rzeczywiście: co takiego zrobił J.P. ...?

A potem: nagła zmiana, opis pogrzebu i ... początek nowej kariery. Zwłoki uświęcone

miejscem, kult pogrzebowy.

Inna historia z T.K. On już za życia był czczony. Co o nim opowiadano: ....

*

Odpowiedzieć na artykuł Jana Szczepańskiego:

1. Wiele było narodów, które odzyskiwały niepodległość - Polska nie była wyjątkiem. Podać przykład Czechów i Węgrów. Następnie powołać się na przykłady afrykańskie - jest to proces jednorodny, ciągły.

Przykład Izraela zupełnie

specyficzny: nowe państwo z ludności napływowej. "Narody romantyczne" - kto to napisał?

2. Czy szlachta "zgłosiła, jak gdyby nigdy nic swoje pretensje ...? Chyba nie. Czy można o niej powiedzieć, "że antyszambrowała w państwach europejskich na statusie żebraków politycznych? "

Czy Adam Czartoryski, albo Agenor Gołuchowski, byli "żebrakami politycznymi"?

Pozatem nie można tej szlachty tak traktować, jak gdyby jej istnienie było skandalem politycznym. Skandalem politycznym jest szlachecki

snobizm i szlacheckie maniery komunisty ... Pozatem, co do odpowiedzialności: ok. 1880 w samym tylko Królestwie ponad 60% majątków. Ziemskość była w rękach Niemców, Żydów i urzędników rosyjskich. Kto był więc naprawdę odpowiedzialny za stan rzeczy na wsi.

3. Wyobrażenia kształtowane będą przez [...] z 1772 - nonsens. Te wyobrażenia były kształtowane przede wszystkim przez wybuch i przebieg rewolucji w Rosji. Prawica pragnęła odgrodzić się od Rosji granicą możliwie krótką, lewica wystąpiła z projektem

konkurowania z ZSRR.

4. Jak na wyobrażenia o demokracji działały wzory "złotej wolności" ...?

Nijak. Państwo miało do czynienia z konspiracją, która stanowiła prawdziwą obsesję ówczesnych polityków. I trudno im się dziwić.

5. Szlacheckie wyobrażenia o polityce narodowościowej. Nonsens: wyobrażenia te kotłowała partia n.d., która miała jedyna program "nowoczesnego nacjonalizmu" - państwa homogenicznego. Co w tym szlacheckiego. Ideologia nacjonalistyczna jest drobnomieszczańska.

6. Państwo rewindykacji: por. Węgry - np. politykę Beli Kulina.

7. Rola intelektualistów. Tak, ale nie pisarzy. Byli to inżynierowie, lekarze etc. Rola ideologii mniejsza niż się wydaje. Przem. J. Bobrzyńskiego.

8. Stan narodu w przede dniu I wojny i w r. 1918. Wyobrażam sobie to jako sytuację lękową. Czego boi się zwyczajny człowiek? Lęk przed rewolucją. Lęk przed spiskiem sił zewnętrznych (rozbiory), wewnętrznych (rewolucja). Lęk

wywołuje zespół reakcji prawicowych: solidarność narodowa, autorytet religii i wodzów.

9. Sprawa "niepraktyczności" inteligencji i "szoku" chyba przesadzono. Mechanizm gospodarczy doznał zakłóceń na skutek odcięcia Polski od dawnych źródeł kredytu, surowców oraz rynków zbytu, ale funkcjonował. To nie był socjalizm. A dawny konspirator i bojowiec nie musiał zajmować się ściekami przemysłowymi.

*

Kali zbliża się krok po kroku do śmierci, którą w końcu sam będę musiał mu zadać. Leży na brzuchu, rzężąc cicho, od czasu do czasu dokonuje rozpaczliwych wysiłków, aby wstać - trzeba mu w tym pomóc, bo kończy się to na przebieraniu łapkami i zadyszce. Wyprowadzony na pole, krąży w kółko, zawsze w prawo, jak zepsuta zabawka, przewracając się raz za razem, albo trafi głową w jakąś przeszkodę i stoi, nie wiedząc co dalej począć. Dużo wody pije, a moczu oddaje coraz mniej, i robi to przykucając jak

suczka. Dostał wczoraj i przedwczoraj znów zastrzyki z witamin i glukozy, i to wzmogło nawet jego ruchliwość, ale sprawności mu nie przywróciło, ani sił. Tego mu już nikt nie wróci, i jeżeli dziś, lub jutro sam nie zaśnie na zawsze, będę musiał poprosić lekarzy, żeby mu w tym pomogli. Na tyle mogę mu się jeszcze przydać.

Warszawa, 3.VIII.

Sam.

Wilga, 8.VIII.

Przedwczoraj umarł papież Paweł VI.

*

1) Potrzebuję pieniędzy. Napisać coś na sprzedaż. Opowiadania kościelne, które sprzedam w Twórczości, i filmie, i z którego - razem z Dyrygentem, Mgłą i in. - mogę złożyć książkę.
2) J.P. - czytanie.
3) Krypta - wymaga przepisania, uporządkowania i uzupełnienia.

*

Po kolei: Opowiadania kościelne.

Wiem z czego ma ono być napisane (z mojego zafascynowania kościołem), ale nie wiem naprawdę o czym. Zdarzenia centralne: dotąd miałem 2 wersje: jedna z cyrkiem, druga z "terrorystą" - poczem obie zmieszałem. "Terrorysta" jest naciągany. Cyrk też naciągany.

Wilga, 11/VIII.

Podstawowa rzecz w polityce, a także w pisaniu historii:

pamiętać, że celem akcji politycznej nie jest pokonanie przeciwnika, lecz dobro kraju. Konflikty są jakby naddatkiem, jakby ruchem towarzyszącym. Jak te drobne falki, które rozbijają się nieustannie o brzeg, kłębią się w zatoczkach wirując, przez co nie ulega zakłóceniu rytm morza główny, jednolity, nieprzerwany.

*

Przyjemność pisania? Nie zaznałem. Przeczuwałem ją często, przeczuwam nadal, byłem jej bardzo blisko, ale jej nie

zaznałem. Jaka ona jest? Fizyczna, psychiczna, umysłowa? Samo wodzenie piórem po papierze i stawianie na nim ładnych (?) znaków, czy "wypisywanie się ", czy "kombinowanie"? Zdaje mi się, że dotychczas odczuwana przeze mnie przyjemność pisania polegała wyłącznie na antycypowaniu czekającej mnie sławy i niemal w szyku zdań słyszałem już pochwalne wrzaski różnych osób, dla których pisałem. Pisałem tak, jak bym oceniał sam siebie.

Stąd brak przyjemności przy czytaniu. Jakże miałem z czytania mieć jakąś przyjemność, skoro te zdania, te metafory, te puenty, te historie wymyślił kto inny i kto inny zebrał za nie pochwały?

Odnaleźć przyjemność pisania, to znaczy zarazem odnaleźć, pojąć, docenić przyjemność bezinteresownego czytania. Polubić lektury, to znaczy w nowy sposób, polubić własne pisanie, albo też zrozumieć nareszcie, że nie polubię go nigdy tak, jak polubić potrafię Flauberta, Conrada, Prousta (Tak! Wczoraj po raz pierwszy zaznałem przyjemności czytania Prousta!). Napisać coś, co przeczytałbym z

równą przyjemnością. Mój Boże.

*

Wilga, 13/VIII.

Śnił mi się Kali. Prowadziłem go przez miasto - jak gdyby przez Kraków. I naraz, w jakimś bardzo ruchliwym miejscu, jakgdyby u zbiegu Długiej i alei Słowackiego - w miejscu, którego nie lubiłem - wyrwał mi się i wybiegł na jezdnię. Wołałem do utraty tchu: Kali, Kaluniu - a on, straciwszy zupełnie orientację, jak mi się to zdawało pod koniec życia, i nie

słysząc mojego wołania, szukał mnie i szczekając, uciekał ode mnie. Ja zaś wołałem i biegłem co sił czując, że tracę siły. On wbiegał raz po raz na jezdnię, samochody nadjeżdżały, zatrzymywały się tuż przed nim, a mnie serce zamierało z przerażenia.

Mogiłka jego pod trzema sosnami powoli zarasta trawą, traci kształt, roztapia się w leśnym otoczeniu.

Wilga, 14.8.

Dzisiaj 25 rocznica ślubu.

Spokój.

I niepokój jednocześnie: nie zrealizowałem mojego planu, nie wypełniłem mojego obowiązku. Opowiadanie o księdzu idzie źle, nudno, piszę je bez przekonania i bez radości. Wszystko tak pisałem, ale też dlatego nie napisałem jeszcze nic ważnego.

Czy mam w ogóle coś ważnego do opowiedzenia? Przeżyłem już prawie 50 lat i co z tego wszystkiego zrozumiałem? Przeżyłem moje życie z przeświadczeniem, że wszystko co robię niecałkiem jest i niezupełnie ważne; żyłem i żyję w przeświadczeniu, że odkładam na później to co najważniejsze, że żyję niejako z odsetek, starając się nie naruszać kapitału.

Co jest tym kapitałem? W jakiej walucie został złożony? Ile wynosi? Na co zamierzam go zużyć?

Zdawało mi się kiedyś, że jestem mądry. Źródła tej mojej mądrości upatrywałem w doświadczeniu, że nie jestem jak inni; znaczyło to - z praktyki moralnej - że nie będę dążył do wypełnienia cudzych, powszechnie obowiązujących wzorów szczęścia. Na to moje

przeświadczenie wpłynęła moja szczególna sytuacja domowa - tajemnica rodzinna, do której ukrywania czułem więc zobowiązany i z tego czerpałem poczucie zarówno krzywdy, jak przewagi - z poczucia krzywdy zrobiłem sobie poczucie przewagi. Potem do tej mojej tajemnicy rodzinnej dodałem moją własną: zdawało mi się, że fizycznie i psychicznie nie nadaję się do miłości. Oba te moje tematy tajemnicze skończyły się, wyczerpały i nie pozostało zarazem nic z ich interpretacji religijno-egzystencjalnej, jaką stworzyłem. Życie moje stało się nadzwyczaj normalne.

Był jeszcze jeden temat: utajonej nienawiści do reżimu. Ten temat też stał się powszechny. Moje tematy dawne: i rodzinny (obłęd) i osobisty ("impotencja"), i społeczny (nienawiść) upowszechniły się. Zdaje mi się, że wszyscy mówią moim językiem sprzed lat. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Proust mówi, że artyści znają sytuacje i przedmioty, którym zawdzięczają swoje natchnienia. Ja tę wiedzę przenosiłem, zestarzała się we mnie - niezużyta

- i teraz jestem pusty, bezradny, bezczynny. Trudno mi ją nawet zrekonstruować. Już nie pamiętam wszystkich jej składników, motywów - jeszcze tylko pewne nastroje tłuką się we mnie, jak strzępy zapomnianych melodii. Teraz, od kilku, albo od nawet kilkunastu lat, żyję w lęku, że wszystko co miałem, odchodzi bezpowrotnie; lecz ten lęk jest całym moim wewnętrznym życiem.

Cierpiałem zawsze na brak pomysłów, na brak tematów do opowiadania. Teraz odczuwam wręcz brak swady, lekkości, łatwości pisania. Sprawia mi trud, który temu zajęciu odbiera w ogóle charakter sztuki. Coś co powstaje z przymusu, z nudy nie może być sztuką. Nie czuję w tym talentu, tzn. tej iskry, tego porywu ...

Nuda, tak, poczułem nudę; poczułem ją tak, jak ją odczuwałem w dzieciństwie: jako nadmiar możliwości zabawy, jako nadmiar możliwości w użyciu czasu. Tylko obowiązki ratowały mnie przed nudą. I ratują mnie nadal. Mam teraz za mało obowiązków lub te, które mam, traktuję zbyt lekko. I z reguły od

obowiązkowych zajęć uciekam do nieobowiązkowych. Jest to zapewne rekompensata, jakiej sobie udzielam za to, że w moim przekonaniu - nadmiar obowiązków w przeszłości (redakcyjne, recenzenckie, felietonowe, publicystyczne) nie pozwoliło zrealizować mojego rzeczywistego powołania literackiego, którym było - wedle mego przekonania - pisanie powieści.

Prawdopodobnie wszystko to jest znacznie prostsze, niż mi się wydaje. Pisarze "dawni", zasiadali do pracy literackiej, jak do urzędniczej: wyznaczali sobie dzienne "pensum" - tyle i tyle stron rękopisu - obojętne, czy był to tekst nowy, czy kopia dawniejszego. Umawiali się z wydawcami i redakcjami na dostarczanie powieści "współczesnej", lub "historycznej" takiej to a takiej objętości, i wykonywali to albo rzemieślniczo, byle jak, albo z talentem, albo genialnie, albo na użytek p[ubliczności, ku jej zabawie, albo musieli z tej swojej orki zrobić coś więcej. Podobne kontrakty zawierają wydawcy i dziś, z tym wszakże, iż publiczność w tym nie

odgrywa żadnej roli, a pisarz powinien przede wszystkim udowodnić, że się czymś różni od innych. Istotnie pisanie polega dziś na spełnianiu aktu twórczego, czym zapełni stronice, to przede wszystkim jego sprawa. Obowiązki pisarskie realizują się dziś w owych aktach, w "czymś", w jakimś pisaniu, a nie w treściach - rozrywkowych, wychowawczych, czy kształcących. Trzeba odbudować w sobie poczucie pisarskiego obowiązku wobec czytelników i spełniać tę rolę, do której pisarz jest powołany: ma bawić, ma kierować sumieniami, ma uczyć. Trzeba skończyć ze złym naciskiem, estetyzmu, jaki rzucił na nas modernizm i jego bękarty i awangardowe szkoły. Żyjemy wciąż pod tym urokiem - Jarosław, Jerzy, Gombrowicz - nasi święci, nasze mimowolne wzory pisarskie - są jego nosicielami. Trzeba powrócić do dawnej prostoty pisarskiej, do dawnej rzetelności w wypełnianiu tych prostych pisarskich, ludzkich obowiązków - zabawy, kształcenia i ulepszania ludzi. Zurick zum Prus, Orzeszkowa i Żeromski. Zurick zum Conrad, Dostojewski i

Flaubert. Zwłaszcza ten ostatni, który jeszcze swoje powołanie artysty złączył z aspiracją badacza. Uzbroić powieść w kategorie współczesnej socjologii i psychologii.

Wilga, 16.VIII.

No, wykonałem kolejne samobójstwo: wyrzuciłem wszystkie bruliony, prospekty, plany, pyszne przebłyski geniuszu, które od blisko trzech lat magazynowałem w czerwonej teczce z napisem [...] .

Zaczynamy od początku.

*

* Wybuchnęła słowem. Rozszlochała się. Zalała się łzami.

Był to płacz uroczysty, jak cytat z dawnej literatury. *

*

Wilga, 17.8.

Po pogrzebie moich rękopisów: zagrzebałem je w dole, przysypałem gliną i igliwiem, jak Kalego, i udeptałem.

Co dalej?

Nic, to samo.

*

Czytanie Prousta. Ta naiwność. Wszystko warte opisania. Ornamentyka: Puvis (?) de Chevahnes.

Proust = Montaigne + Saint Simon.

Traktat o duszy plus plotka o społeczeństwie. Nie ma to nic wspólnego z klasyczną powieścią, która powstała z przygód młodego arrywisty.

Powieść mieszczańska: opis podbojów społeczeństwa.

"Topos" (?) podboju - rzecz do rozwinięcia.

Podbój ew. wtajemniczenie.

Powieść eksploratorska (czy "konkwistadorska") i powieść "inicjacyjna".

Przyjąć inny punkt widzenia: jestem już w środku, jestem już rozjuszony, teraz pragnę zdać sprawozdanie: jak taką powieść nazwać? Analityczna.

Kto kiedy napisał powieść analityczną? Proust - w pewnym sensie. Orwell - tyle, że jest to analiza świata fikcyjnego.

Sołżenicyn?

*

Podstawowa sprawa: pisać o tym, co dziś dla mnie najważniejsze.

Opisać system zniewolenia. Ten system wielowarstwowy, wielopiętrowy.

Ale jak ten system opisać? Bezpośrednio? W kategoriach politycznych i socjologicznych? Wdać się w traktat. Znaleźć dla niego ekwiwalent? To już było robione (Orwell, Kafka).

Znaleźć moment historyczny, w którym system się ujawniał? Np. marzec 1968, albo któryś inny kryzys?

Ryzyko "przeinterpretowania".

Opowiedzieć wszystko od początku? Ba!

*

Inaczej: mówić o sobie, o duszy, o Bogu, o historii, na tle systemu - z systemem jako szczególną atmosferą.

Notesy. Wyjść od notesów - przepisywać notesy - gdzieś tam jest ukryty klucz.

18.8.

Mój nowy problem: identyfikacja. Nowa identyfikacja, albowiem utraciłem moją dawną identyczność określoną przez środowisko rodzinne.

Kim jestem w nowym środowisku społecznym?

Mój stosunek do kraju, do tradycji, do reżimu, do tradycji religijnej, do własnej duszy w świetle całego kryzysu, jaki ta tradycja przechodzi i jaki przechodzę ja sam u progu starości, w procesie przygotowawczym do śmierci.

*

Moja wada - a zarazem klucz do mojego dramatu: nadmierna skłonność wyrażająca się zmiennością gustów i przekonań, "wyrozumiałością" dla cudzych racji; ta wyrozumiałość wiedzie mnie nawet do oportunizmu, czy lojalizmu, czy wręcz lizusowstwa. Za wszelką cenę chcę dowieźć, żem jest przede wszystkim - "inteligentny". Dowód inteligencji widzę m.in. w braku uporu.

Cecha Polska?

*

Niezdecydowanie co do priorytetów. Wszystko naraz. Co jest naprawdę ważne. Poczucie ważności zachwiane przez zanik obowiązkowości.. Mgliste ambicje, niejasne zamiary.

Obsesja zniewolenia zewnętrznego, który prowadzi do anarchii wewnętrznej: mam do niej prawo.

*

X. który to pisze: kim był. Powinno to pozostać niejasne.

Powinien mówić o tym

niejasno i z niechęcią: "Szczególny rodzaj mojej postawy" ... "specyficzny charakter mojego prestiżu społecznego" itp.

Wilga, 19.VIII.

Urok Prousta jest pozytywny: jest to wielka pochwała epoki, Francji, cywilizaji, rodziny, środowiska.

My natomiast żyjemy negacją, złością, wstrętem. Mamy chorobę materialnych oraz duchowych ruin i pustkowi.

To opowiedzieć.

Czy jest jakieś środowisko?

Podobnie Stendhal patrzył na Francję jeszcze współczesną. Ale to bardzo dalekie podobieństwo.

Warszawa, 22.VIII.

Nic.

"Numer niepodległościowy": bardzo niedobry.

Warszawa, 24.8.1978.

Jutro konklawe. Kto będzie papieżem? Benelli - konserwatywny, chłodny,

nadzorca Pawła VI? Czy dobrotliwy, ale głupawy Pignedoli? Myślę, że będzie to papież tradycjonalista, który z konieczności doprowadzi do końca niektóre reformy. Tradycjonalista będzie mógł zezwolić na udzielanie kobietom niższych święceń i sprawy małżeństw księży np. pozostawić do uznania narodowym konferencjom biskupów.

I dopiero wtedy dojdzie do schizmy i tradycjonalistyczny, centralistyczny, łaciński "eurokatolicyzm" jest to mit!.

*

25.8.

Rzeczywistość:
ja;
środowisko (miasto);
rodzina;
szkoła;
atmosfera kulturalna (wartości, mity, ...);
rzeczywistość styczna;
rzeczywistość wiary (wiara w mity)
mit - wiara zbiorowa;
wiara - przekonanie osobiste, jednostkowe;

rzeczywistość historyczna;
rzeczywistość polityczna.

Inaczej mówiąc, zmierzasz do ujęcia całej rzeczywistości, w jej wielości; w jej jedyności; jej wielość: ze względu na jej komponenty (mity, środowisko, historia etc.), jej jedność - ze względu na punkt widzenia osobisty, jednostkowy.

*

Chiałbym napisać to, co chciałbym przeczytać.

Chcę czytać tylko to, co mi porządkuje świat, co mi świat

wyjaśnia, a nade wszystko co mnie przekona, że warto w nim aktywnie żyć; chcę czytać tylko to, co mnie utwierdzi w przekonaniu, że - pomimo wszystko - jestem wolny, że - pomimo wszystko - ja sam jestem twórcą mojego istnienia.

Właściwie, mógłbym tą moją księgę zacząć od autorytatywnego stwierdzenia.

Jestem wolny.

11. Byłem zawsze wolny.

będę zawsze wolny.

Nune et semper, et in saecula seculorum.

Pozory, przyznaję, przemawiają przeciw temu przekonaniu i wszystko wskazywało na to, żem żył w więzieniu, w systemach zniewolenia:

miasto - więzienie;

rodzina - więzienie;

więzienny reżim obyczajowy i etyczny;

więzienne systemy polityczne (hitlerowski, stalinowski, post-stalinowski);

więzienna wyobraźnia (mity narodowe).

Moją wolność realizuję w szukaniu miejsca dla siebie. W szukaniu właściwej formuły

mojego talentu - mojej miłości - mojego zainteresowania światem.

*

25.8.

Spr.:
Janek: za 2-3 mies.
zob. co będzie z "leg. op."
jawn. będą musieli skonkretyzować swoje propozycje
nie stwarzać poz. "sabot."
władze będą musiały odstąpić od inercji
poczekać co zrobią
nie wejść w doraźne syt. -

niebezpieczn. odczytania intencji
jeżeli po 2-3 mies. hasło to
zawiodło - my możemy wystąpić z naszym.
W sprawie apelu:
sformułować co to jest sowietyzacja w sferze intelektualnej, moralnej, psychologicznej, obyczajowej.
Doktryna Breżniewa.
Listopad.

Wilga, 26.VIII.78.

3 dni i 3 miesiące.
Take momentum.

*

Ani Benelli, ani Pignedoli, ani zimny Felici, ani "postępowy" Bagow, tylko Albino Luciano z Wenecji, duchowny, teolog, który teologię uważa za supernaukę, który połączył głosy umiarkowanych i konserwatystów, i przyjął dwa imiona: i Jana, i Pawła, aby nikt nie miał wątpliwości co do jego intencji, ani co do jego charakteru. Pomysł ten świadczy o braku intencji i o braku charakteru; na następne 15 lat. Kościół znika ze sceny historycznej. Pod nijaką władzą

Jana Pawła I, dojrzewać sobie będą schizmy, herezje, inkwizycje i zwyczajne głupstwa.

Ale może będzie całkiem inaczej. Daj Boże.

Wilga, 27.VIII.

Ecrire senlement eu merge de la lecture.

Nuda: jest to siła tak potężna, że należy ją wykorzystać jako siłę pociągową. Pisać wtedy, gdy mi się znudzi czytanie, które - z kolei - jest jedyną bronią przeciw nudzie, jaką jest pisanie.

Pisanie: zawsze było

przyjemnością czytających.

To może być piękne: budzić się z myślą czekających mnie książek, jakie mam przeczytać; natomiast ja dotychczas budziłem się i budzę z koszmarną myślą o książkach, jakie mam napisać.

*

Czytam Komarnickiego "the Relicth of the Polish Republic".

Świetna książka.

Czytania (i pisania) historii: dobre jako pretekst do rozważania innych ludzkich spraw - tych, które historia tak straszliwie

zakłamuje: np. wolność. Historia: opowieść o ludziach, którzy dysponują wolnością innych ludzi, i o środkach jakie do tego służą.

Bardzo pouczające Pytanie: czy ci "history-makers" są bodaj wolni bardziej od innych, od tych, których poglądy na śmierć, albo których losy tak lub inaczej określili?

W jakimś stopniu tak ... ale w jakim? Rzecz do rozważenia. Co konkretnie wygrał w życiu feld-marszałek w stosunku do faworyty? Albo dyktator w stosunku do najnędzniejszego ze swych skazańców?

Co? W jakiej, walucie da się ta różnica przeliczyć.

To "coś" jest w istocie tym, na czym nam naprawdę zależy. Ale co to jest?

*

Jakie jest uniwersalne znaczenie "kwestii polskiej"?

*

Do artykułu Socjusza (Kultura 4,78):

krytyka myśli opozycyjnej, czy metod opozycji, czy

powątpiewanie w samo istnienie opozycji?

Termin "opozycja": nie tylko "domaganie się zmian w sposobach rządzenia", ale program alternatywny i gotowość do przejęcia władzy i odpowiedzialności.

Pytanie generalne do opozycji: czy ktokolwiek czuje się na siłach i chce przejąć władzę, "w razie czego", i czy do tego dąży? Jeśli nie, to w całej tej działalnności chodzi o co innego niż opozycję: o "współrządzenie", "udział" lub bodaj "o uznanie", czy "zauważenie". Jest to wciąż "głos

poddanych", ew. "obywateli", czy - wedle modnego wyrażenia - "głos milczącej większości", ale nie głos przeciwnej reżimowi, antagonistycznej świadomej i aktywnej siły politycznej.

Siła taka może wyjść tylko z łona partii, wojska lub policji politycznej, ew. takiej lub innej emigracji (w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach). Prędzej Mijal obejmie w Polsce władzę, niż Kuroń - (Który gorszy? Obaj gorsi) ...

Niesprawiedliwość systemu:

co rozumiemy przez "system"? Jeżeli tylko sposób zarządzania,

selekcji kadr, informacji społeczeństwa i interpretacji ustawy zasadniczej, to w istocie, nie da się tu nic zmienić. Jeżeli natomiast przez "system" będziemy rozumieć przede wszystkim zabezpieczenie radzieckich interesów (w tym także pewność, że Polska w żaden sposób nie będzie przez żadną trzecią siłę wykorzystana jako teren "intryg" czy nawet agresji, i że nie będzie stanowić przeszkody w związkach ZSRR z NRD), to sposobów na to okaże się wiele: np. finlandyzacja, która w polskiej wersji oznaczałaby zastąpienie

dyktatury PZPR przez koalicję chrześcijańskich demokratów, agrarystów i (ewentualnie) "zreformowanych" komunistów.

Pytanie: czy nas zadowalałoby takie rozwiązanie? Odpowiedź: NIE! Mówiąc więc, że, systemu nie można naprawić, myślimy naprawdę, że go w tym duchu, w tych okolicznościach, pod tymi warunkami naprawiać nie chcemy.

*

Doskonała uwaga: "Zmiany w międzynarodowym rozkładzie sił ... zwielokrotnienie ośrodków decyzji politycznych, dotyczących, bezpośrednio jednego kraju, ale mających wpływ na kontynenty ... "Przykład: Wietnam, Portugalia, Anglia, Somalia ...

Co prawda, są to przykłady gry wielkich mocarstw prowadzonej w każdym zakątku globu.

Konflikty lokalne, w których nie dochodzi do takiej konfrontacji nie mają znaczenia i wloką się latami bez żadnych konsekwencji: Irlandia, Kurdowie, Tyrol.

*

Podróż Hua-Kuo-Fenga (Rumunia, Jugosławia, Iran) i traktat chińsko-japoński skłania ZSRR do złagodzenia polityki w Europie Wschodniej i zbliżania do Stanów Zjednoczonych. nastąpi to wszędzie po zmianie ekipy w Moskwie.

Nowa ekipa przyjdzie z hasłem stanowczego rozprawienia się z Chinami, z wojną prewencyjną włącznie, i zabezpieczenia sobie europejskich "bytów". Breżniewa oskarżą o niezdecydowanie i brak konsekwencji - oskarżą go o to, że "nie docenił"chińskiego niebezpieczeństwa, i próbował z nimi ugody, natomiast przez "dogmatyczne" stanowisko ideologiczne zepsuł obraz ZSRR w Europie wschodniej, na zachodzie i wobec partii komunistycznych, i w trzecim świecie.

Następcami Breżniewa będą "liberalni nacjonaliści" - "wielkomocarstwowi liberałowie: armia i KGB".

Por. stanowisko armii rosyjskiej w roku 1905 (nie wiem) i w 1916; w 1916 Brusiłow i Gurko domagali się uwolnienia

Polski.

Teraz będzie to samo. Te dywizje z Europy muszą być wycofane i przesunięte na Daleki Wschód dla wywarcia nacisku na Chiny i Japonię.

*

Kont. Socjusza:

"ryzyko wybuchu konfliktu zbrojnego ... wywołanego przez agresywną ekspansję Sow., będzie malało natomiast wzrastać będzie niebezpieczeństwo wojny wywołanej ... przez rosnący anachronizm ZSRR, przez

nieprzystosowanie tego państwa do reszty współczesnego świata, co może spowodować paniczne odruchy u kier. partyjnego".

Co to znaczy: "dążyć do podnoszenia kosztów utrzymania Polski w pozycji moskiewskiego satelity"?

Czy to jest Piłsudskiego "licytacja w górę"? Ale ze strony ZSRR nie ma ofert".

Z niczyjej zresztą. Toteż następne zdanie "skoro interesują się nami oba supermocarstwa etc." nie całkiem jest prawdziwe. Narazie oba supermocarstwa są zgodne co do tego, że trzeba

trzymać nas za pysk, nie tracąc samemu twarzy.

*

S. ma wyraźną obsesję podgryzania koniecznie, chce opozycję wychować w duchu jedności i zgody.

*

Bismarck: "Lepiej byłoby stworzyć Polskę pomiędzy nami a Rosją, niż mieć Rosjan w Berlinie ... "

Właśnie.

*

Warszawa, 28.8.

Wychodziłem z domu przed siódmą rano, wracałem po jedenastej w nocy, a nawet później; czasem nawet po północy.

Zaczynałem dzień od mszy świętej, kończyłem go nocną włóczęgą po mieście w towarzystwie. Czy raczej do towarzystwa jednego z Trzech, lub rzadziej wszystkich Trzech oraz ich panien. Jeżeli nie chciał mnie

przy sobie mieć żaden z Trzech, chodziłem po mieście sam, zachodząc czasem sam na plac i patrząc z daleka w nasze okna; jeżeli widziałem w nich światło, zawracałem z powrotem ku miastu, lub wchodziłem w Planty, aby jeszcze raz obejść miasto wkoło, bodaj do połowy. Gdy już światła pogasły, wspinałem się na mur otaczający Kościół, przesadzałem ostrożnie żelazne, ostrymi strzałami zakończone sztachety i cicho, nie po chodniku, lecz obok niego, po miękkiej ziemi, po trawie stąpałem w ciemnościach wzdłuż kamiennicy, wzdłuż wikarówki; nade mną drzewa, za drzewami zapadnięty nisko, cichy, czarny kościół, za mną światła ulicy, które prowadziły mnie aż do drewnianej furtki zamykającej małe podwórko oddzielające wikarówkę od plebanii.

Tu cicho, bardzo cicho. Kościelny Wojtek mieszkał na parterze, jedno okno miał od podwórka, klamka furtki skrzypiała, mógł się zbudzić, zezować, wyjrzeć, narobić hałasu, zamknąć mi furtkę na klucz, jak to już raz zrobił z niewiadomych przyczyn, zmuszając mnie do

powrotu tą samą drogą na ulicę, do dzwonienia do bramy, do dłuższego czekania na Jagłowa do płacenia jej 10 złotych. Dobrze, żem wtedy akurat miał; zazwyczaj nie miałem. Pozatem nie chciałem, aby Jagłowa wiedziała kiedy wracam. Na szczęście to zamknięcie zdarzyło się tylko raz, ale strach został pod każdym naciśnięciem chwiejnej, skrzypiącej klamki. Cicho więc. Podwórko ciemne, wąskie z prawej boczne okna wikarówki, otwarte wejście do sieni i smród wspólnych klozetów wionący stamtąd - z tym smrodem wspomnienie lata, składanej ławki, która przy klozetach stoi ukryta, wynoszenie jej na cmentarz pod drzewa, czekanie na któreś z dziewcząt, na Wisłę, na Dzidkę, na Irkę - ba, śpią już, każda przy swoim mężu, ławka próchniejąca, dawne lata. Cicho, na polach. Obchodziłem wikarówkę na palcach wkoło, zachodziłem na jej tyły, gdzie rosły pomidory Wojtka i wspinałem się na mur, który to podwórko i ten ogródek oddzielał od ogródka Jagłowej, i podwórka naszej kamienicy. Mur taki sam, jak wokół kościoła, na nim

żelazne sztachety, ale bez tych strzał ostrych, o które czasem, zwłaszcza zimą, zaczepiałem kurtką. Cicho wejść, cicho zeskoczyć. Okna Jegłowej były tuż - okno pierwsze, dobre, i okno drugie, grzeszne, w którym dzisiaj mieszka młody Maniek Jagło z żoną, a w którym w czasie wojny pokazała mi się złotowłosa sublokatorka w różowej kombinacji; i wokół okna unosi się na wieki złoto-różowy obłok puchu, albowiem zakradałem się pod nie, chcąc ją zobaczyć jeszcze raz; ołowiany, ponury obłok zdrady narodowej, albowiem przychodzili do niej niemieccy lotnicy w szaro-złotych mundurach. Ciemno na wszystkich piętrach, z wyjątkiem ostatniego, bo hrabina sypia przy lampce okrytej czerwoną chustą. Czerwonawy blask na trzecim piętrze, nad oknem zdrady o puchu - czerwonawe światło arystokracji, sławy i narodowej zasługi, albowiem, to jest matka Ks. P. - on zaś jest tym, czym ja mam być. Sama mi to powiedziała, ruszając ręką i podrzucając ramię!

Będę, nie będę, mam 20 lat, i muszę się wpierw wyszumieć.

Na polach skradam się przez kwadratowe podwórka zamknięte z trzech boków skrzydłami kamienicy, a z czwartego murek, który przesadziłem. Krótki króżganek o trzech łukach, prawa klatka schodowa, do mnie, ponieważ idę z prawej strony - lewa. Schodami na pierwsze piętro. Błyszczą mosiężne tabliczki generała dywizji Wacława Fary, który już nie wychodzi z domu, i wspaniałego pana Sulikowskiego, nad którego domem, tak jak nad naszym, zawisła groźba tragedii i śmieszności, a na pierwszym piętrze Kobyleckich, których rodzina uległą rozbiciu, i których mam się wstydzić gdybym postąpił wbrew przysiędze, i tabliczka nasza, dawna, stara, prastara, tak stara jak ja, i jeszcze starsza. Nie dla mnie te drzwi. Otwieram nawpół oszklone, nawpół dyktą zabite (część szyb wyleciało jeszcze w 1939 roku) drzwi na ganek kuchenny - cicho, bo brzęczy. Zamykam. Po lewej ręce brudny kredens kuchenny, który tam wystawili Kobyleccy, po prawej rdzą i sadzą pokryta kratka węglowej windy i żelazna furtka - furtka - dziś martwa,

furtka - kaprys matki zamykająca naszą część ganku. Dlaczego nie miałem nigdy klucza od niej? Nie pamiętam. Nie dano mi? Na złość? Nie chciałem prosić? Czy też przy otwieraniu zgrzytała? Czy miałem go, ale z pośpiechu wolałem robić to, com robił: siadałem na poręczy balkonu, przekładałem najpierw jedną, potem drugą nogę obok pułki i zeskakiwałem na naszą, zamkniętą część ganku, gdzie stała skrzynka z węglem przykryta starym dywanem, wiadro, i gdzie zawsze schły cuchnące szmaty. Drzwi do kuchni otwarte. Byłem w domu, który był dobry i bezpieczny tylko nocą, gdy już spoza drzwi młodych i spoza drzwi starych, dochodziły tylko chrapania. Gdy spali, nic ich nie budziło i mogłem świecić światło i w kuchni, i w łazience, i u siebie.

Wstawałem, zanim oni wstali. Oni wszyscy - z wyjątkiem ojca.

Budził się wcześnie, z roku na rok coraz wcześniej, na długo przed letnim świtem i leżał na wznak nieruchomo, obawiając się ją zbudzić. Umiał godzinami całymi patrzeć w ciemności w pustkę. Powracał wtedy do siebie, na Łobzów.

1.9.

Bazar na Polnej - żywość tego miejsca.

Detalista do hurtownika:

- Ech, ty w dupe-że kopany, coś kupił?

I natychmiast do klientki:

- Co, cipulka, co ci trzeba?

Gogusie, strojnisie, dyplomaci, zwyczajne jejmoście, high-life zajeżdżający samochodami i okoliczna biedota, i cała masa pośredników, tragarzy, naciągaczy żyjących z odpadków tego interesu - żadnego fatum w tym wszystkim. I to właśnie słychać w języku, to widać w zachowaniu. Są śmiali, barwni, oryginalni. I śpieszą się! Tam wyczuwa się tempo, nerw gospodarczy. Są "suwerenni".

*

Dzień dzisiaj prawie taki sam jak 39 lat temu, pogodny z rana, potem mglisty, chłodny, i znów pogodny (co prawda, wtedy więcej było pogody i cieplej), i też piątek.

Moje pisanie nie ma w ogóle intelektualnego charakteru i nie jest ani myśleniem, ani ekspresją,

ani opowieścią. Jest wyłącznie - za każdym razem - próbą odznaczenia się przez styl. Zazwyczaj ostatnią rzeczą, jaka przychodzi mi do głowy w razie trudności, jest ustalenie planu.

Tak jest i teraz z tą zasraną niepodległością. W ogóle nie wiem co chcę napisać i nie próbuję nawet ustalić co mam do napisania, a biorę się do roboty i potem rozpaczam, że mi nie idzie. Zależy mi wyłącznie na tym, aby zabrać głos w tak efektownej, tak "twarzowej" sprawie.

*

"Zasada narodowości".

2) Dojrzewała powoli, przez cały XIX wiek wśród narodów poddanych procesowi wynaradawiania w ramach wielonarodowych centralistycznych hierarchii Austro-Węgier, Rzeszy Niemieckiej, Rosji i Turcji.

1) W Europie zachodniej odegrała rolę interpretacyjną; powstały dzięki niej zjednoczone Włochy, Konfederacja Szwajcarska, Holandia, Belgia (?), Niemcy. Zapoczątkowały ten proces Stany Zjednoczone i Francja. W Europie

wschodniej ta sama zasada narodowości odegrała rolę dezintegracyjną - spowodowała rozpad wielkich organizmów państwowych: Austro-Węgier, Rosji, Turcji, uszczupliła stan posiadania Niemiec. Dążenia narodowe ujawniające się w tych państwach stały się przedmiotem rozgrywki pomiędzy niemi i pomiędzy mocarstwami w ogóle.

2. Wojna światowa rozpoczęła się od obrony integralności małych państw i z hasłem "wyzwalania" uciśnionych narodów ...

I tak dalej ... To są oczywistości. o co mi jednak

chodzi naprawdę? Co chcę powiedzieć od siebie? Chcę powiedzieć, że przyszłość należy do małych narodowych, względnie regionalnych państw. Nie naród, ale terytorium i właściwa mu kultura, rozstrzyga o samostanowieniu. (Przyszłość polityczna i gospodarcza należy do wielkich zespołów (unii, federacji etc.), w ramach których określać się będą wyraziście regiony o spoistym charakterze bądź to geograficznym, ew. gospodarczym. Tak np. myślę, że Śląsk czy Pomorze zachodnie, czy kraj Sudecki są to kraje o

specyficznych, mieszanych kulturach, określone przez ukształtowanie terenu i rodzaj gospodarki.

Zasada narodowa nie jest, konsekwentna i taka być nie może. Czy zwyciężyła po I Wojnie Światowej? Gdzie? Np. w Czechosłowacji? Czy w Jugosławii? Albo w Rumunii? Czy zwyciężyła w sprawie Macedonii? Albo w sprawie Ukrainy rozebranej pomiędzy ZSRR Polskę i - absurd! - Czechosłowację?

Więc jakaż to była zasada? Może historyczna? Co na to

powiedzą Węgrzy? Albo Litwa?

Otóż była to zasada narodowa użyta przez wielkie mocarstwa jako podrzędna, służebna w stosunku do zasady wyższej, jaką była przed wojną w czasie wojny i po wojnie, i jaką jest po dziś dzień równowaga sił. Zasadą narodową posłużyła się Rosja, aby dokonać rozbicia i Austro-Węgier, aby interweniować w Bałkanach. Jak wybuchła wojna? Intrygi narodowe prące do wojny - m.in. plany " odbudowy Polski".

Jednocześnie traktat japoński i dziwolągi traktatu wersalskiego, w których nie proponowano ani

zasady narodowej, ani historycznej.

Te niekonsekwencje między odtworzeniem państw historycznych i narodowych najbardziej ujawnia się sprawie polskiej. To nie tylko Polacy przystępowali z wizją mapy jagiellońskiej z 1772 roku - jak pisze prof. J. Szymański - taką granicę przypisywały Polsce te czynniki, które dążyły do osłabienia Rosji. Nikt z Polaków takiej granicy nie chciał. Grabski co prawda pisze o wygórowanych żądaniach Dmowskiego - czy nie była to chwilowa aberracja narodowego przywódcy? - narodowcy konsekwentnie uznali potem granicę na wschodzie albowiem ich celem było narodowe, etniczne, homogeniczne państwo polskie. Również niemożliwe do osiągnięcia! Co to jest etniczna Polska? To księstwo warszawskie plus Kraków z Podolem i wschodem. Myśli o przesiedleniach tłukły się już wówczas w głowach polityków, ale raczej niemieckich.

"Tłukły się też myśli o jakiejś szerszej [...] tych terytoriów: Piłsudskiego koncepcja

federacyjna i Mitteleuropa Neumanna.

Absurd jest nie do zachowania.

Nie narody się liczą, ale historia. Jednostki terytorium o zwartym charakterze geograficznym, o specyficznej kulturze gospodarczej. Jednostki [...] lub heterogeniczne pod etnicznym względem.

Pytanie: czy Polska jest zwartym obszarem geograficznym! Nie!

Zrobiono ją na siłę - i nie było innego wyjścia.

Czy jest narodem? Nie!

"Naród polski" to była szlachta i jej pochodne. Zrobiono go montując wytrwała agitację na plemiona Mazurów, Kaszubów, Ślązaków, górali, Kurpiów, Podhalańców etc. Zasługa partii politycznych. Zasługa szkoły. Zasługa literatury.

Robienie narodu okazało się jeszcze trudniejsze po 1918 - kiedy trzeba było pogodzić się ze stratami jakie przyniosła ta kapitalistyczna niepodległość. Na miejscu mojego własnego dziadka Franciszka Kijowskiego, który dosłużył się tytułu C.K. nadradcy robiłbym również dobrą minę do

złej gry na wiadomość za cała moja kariera leży w gruzach, i że nie będę już, jak on jeździł służbowo do Wiednia, i Budy, ale obracać się będę pomiędzy Krakowem, a Tarnowem. I jak mój dziadek kazałbym się z moim C.K. tytułem pochować ...

Mój św.p. wuj Józef Chudzikiewicz, który w 1970 r. skończył 100 lat, przysłał mi w swe urodziny fotografię, na której odwrocie było napisane słowo literkami: urodzony 10.III.1870 r we Lwowie (Austria). Wiele poza tem pięter wokół siebie ... I to samo było we wszystkich innych

zaborach. Co mieli na tę Polskę powiedzieć ludzie, którzy potracili posady, oszczędności, dostawców i odbiorców kredyty w dobrych bankach etc.

Robili dobrą minę do złej gry i rozrzewniali się na paradach, etc. ... 31 sierpnia 1939 r. wysłuchałem rozmowy dwóch pijanych rezerwistów. Siedzieli pod dworcem na starym cmentarzu,który przylegał do mego domu, i kłócili się o to gdzie było lepiej: w Austrii, czy w Rosji. Bo jeden był Galicji, a drugi z Kongresówki. Dopadłem do pokoju ojca i powiedziałem mu

o tym com usłyszał i zażądałem od niego ażeby sprowadził żandarmów, bo to są zdrajcy. - Iii - o czym to człowiek nie plecie w wojsku - rzekł melancholijnie ojciec, który sam jako "einjahriger freiwilligen [...] " z Krakowskiego 13 pułku przeżył pod Gorlicami, znalazł się z serbskimi jeńcami w Bośni, aż z nad [...] przysłał szybko czarno-żółtą depeszę ([...]) Gesund-gefangen - i powrócił z Hallerem.

Obie dzieliły skóry na żywym niedźwiedziu - na Rosji, która - pomimo rewolucji - nie podzieliła losu Austro-Węgier, ale wręcz

przeciwnie już w niespełna trzy lata po przejęciu władzy przez bolszewików odtworzyła zdezorganizowaną armię i uczyniła ją zdolną do działań zaczepnych na dużą skalę.

Politycy zachodni zakrzyknęli z triumfem: mamy z powrotem naszą Rosję na wschodzie. Co mówili politycy brytyjscy w okresie sowieckiej inwazji. O przyszłości wschodniej Europy miał zadecydować wielki tercet z Rosją jako wyłącznym hegemonem, tego obszaru. "Zasada narodowości zwyciężyła ... ".

*

Zwyciężyła na tyle, na ile nam było wtedy trzeba, aby zająć Pomorze i dokonać zaślubin Polski z morzem ... Do armii "szarej" jak nazywał potem Wojsko Polskie zachował stosunek ironiczny i nazywał ich szłapakami ...

Pełno takich figur. gen. Fara! Wszyscy moi nauczyciele byli wychowankami austriackich szkół i uniwersytetów, wszyscy, lub prawie wszyscy zaczynali uczyć w Galicji; nie tylko ci, którzy zaczęli

moją edukację przed wojną, ale także ci, którzy ją kończyli po wojnie, już w PRL!

Szkoła zrobiła pokolenie Polaków stanowiących jednolity naród od Cieszyna po Wilno.

Moje wspomnienia z 1939 roku - nasze rozmowy pod mapą. Ale szkoła to nie tylko nauczyciele. To programy, to ich przełożeni. A ich przełożeni to już świat prawie polityczny. To więc partie polityczne, literatura, gazety etc. Szkoły to soczewkowe odbicie państwa. Otóż tu u nas "zasada narodowa" - rzeczywiście zwyciężyła. Holzer pisze o

priorytecie politycznym jakim dla wszystkich partii była niepodległość. Była takim priorytetem dla literatury, dla szkoły, dla Kościoła - stała się bowiem programem wychowawczym w domach. Jakiekolwiek było nastawienie rodziców i dziadków do upadłych monarchii, musieli to zdusić w sobie wobec dzieci bodaj udawali Polaków ...

granice rozbiorowe - Piłs. V 217.

Zresztą nie potrzebowali udawać: potęga stereotypu matki-Polki i ojca-Polaka ... Stereotypu wypracowanego przez literaturę (malarstwo, gazety etc.). Potęga wzorca; przypomnijmy zbiórkę na FON, na pary małżeńskie składające obrączki na hasło "ojczyzna w niebezpieczeństwie"

Polaków skupiały i trzymały w kupie właśnie takie negatywne gwarancje: obcy ucisk, lub zagrożenie z zewnątrz. Polski charakter? Zapewne, ale wynikający nie z mistycznych przekonań ale z roli, jaką odgrywali na tym terytorium w przeszłości: stanowili żywioł płynny.

W miastach i na wsi siedzieli chłopi i Żydzi. "Polacy" czyli szlachta stanowiła element dynamiczny: wojskowo-kolonizatorski, intelektualny. Robienie narodów przez wojny; robienie narodu przez pracę organiczną. Polacy doskonale sobie dają radę we współzawodnictwie i potrzebują go: rezultat życia w multinarodowym i multikulturowym terenie.

Przyszłość nie należy do państw narodowych, ale do państw terytorialnych. Naród terytorialny. Ślązacy, Pomorzanie.

Brak zwartości polskiego terytorium.

*

Polska była najtrudniejszym problemem pokoju wersalskiego nie tylko dlatego, że ze wszystkich państw narodowych domagających się istnienia była największa, nie tylko ze względu na swe położenie kluczowe z politycznego i wojskowego punktu widzenia, ale dlatego, że wykreślenie jej granic i definicja były w ówczesnym stanie rzeczy prawie niemożliwe.

Co to był naród polski? Jeszcze w II połowie XIX wieku była to szlachta i pochodząca od niej i związana z nią elita polityczna, wojskowa i kulturalna. I jeszcze trochę mieszczaństwa. A reszta? W miastach Żydzi, a po wsiach rozproszona nieforemna masa Mazurów, Kujawian, Sieradzan, Krakowiaków, górali - plemiona wiejskie związane silnie z miejscem swego urodzenia i zamieszkania, z religią i obyczajem ojców, bez żadnego poczucia łączności lub z tym poczuciem niezmiernie szczątkowym. Okazywało się to tragiczne przy każdym zrywie powstańczym, okazało się jeszcze raz w czasie I wojny światowej, gdy te chłopki polskie szły umierać za jednego, lub drugiego cesarza, czy za cara, nawet bez poczucia tragiczności swego losu.

Naród polski został zrobiony wytrwałą agitacją partii politycznych, spisków powstańczych, pracy nauczycieli, księży, pisarzy.

Po roku 1918 to "robienie narodu" było bodaj jeszcze trudniejszym zadaniem niż przedtem, kiedy to ludzie musieli zważyć wątpliwe zyski z wybuchu

Polski z niewątpliwymi stratami, jakie ponieśli na skutek upadku starej Austrii, starej Rosji, czy nawet Niemiec. Walka o polskę a właściwie, katolicką szkołę, taka jak w Poznańskiem, czy nadaremna obrona chłopów Polesia przeciw ich prawosławiu, to były ostatecznie epizody; a lata płynęły, gromadziły się nawyki, oszczędności, stosunki, zależności - w sumie nienawistne, ale zastałe, znane. Z tym wszystkim trzeba było zerwać na rzecz zabiegów i zależności nowych, które dla "Galicjaków", czy Poznaniaków oznaczały podporządkowanie nienawistnym Królewiakom, a dla warszawiaków z kolei najazdy centusiów".

Piłsudski o granicach.

7.IX.

Bohaterowie narodowi.

1. Krypta św. Leonarda.

2. Rok 1817 - rok pogrzebów narodowych pod auspicjami cara; propaganda towarzysząca tym pogrzebom. (*) Wedle tej propagandy pochowano ostatniego prawego następcę tronu, który swoją śmiercią otworzył drogę Romanowym, oraz "wzorowego

obywatela", który zachował się "właściwie", bo raz przyrzekłszy, nie walczył więcej przeciw Rosji.)
3. Kult bohaterów nowością XIX wieku. Wcześniejsze jego elementy w Polsce: rola propagandowa wielkich postaci w czasie Sejmu Czteroletniego - kult Sobieskiego za S.A. (Stanislawa Augusta - przyp. KK); postać Zamoyskiego, jako paradygmat Polaka. Rola historii Narutowicza.

Późniejsza, romantyczna wersja hist. rewolucji francuskiej była właściwie kreacją bohaterów. Podobnie amerykańska. Nade wszystko jednak kreacja postaci Napoleona. W sumie kult bohaterów był narodowo-republikański; nie było tego zupełnie np. w Rosji w 1812, gdy armia szła w imieniu i świętych pańskich - po dawnemu; podobnie w Austrii, czy w Niemczech. Natomiast Niemcy pobite zaczęły tworzyć swoich bohaterów - np. Blüchera; por. Shillerowski "Wollanasbeier".

Stworzenie bohaterów narodowych było bardzo subtelnym posunięciem: car i jego politycy wychodzili naprzeciw popularnemu pragnieniu bohaterów (znaleźć ślady takiego

zapotrzebowania, wzgl. rozpowszechnionej już wtedy wiary w bohaterów _ Swedenborg? Czy też dziedzictwo już dawniejszej propagandy - np. kościuszkowskiej z okresu puławskiego? Czy po prostu cała Polska była pełna takich wiar historycznych z czasu insurekcji i wojen napoleońskich?) dokonując zarazem jego "monarchistycznej", "realistycznej" repryzacji.

4. Kolejna przemiana Kościuszki w "mściciela" (1830) oraz w romantyczny paradygmat wodza, żołnierza, obywatela - ostatniego Polaka (Chodźko, Michelet).

5. Synkretyczny kult Kościuszkowski i jego festiwal we dworach 1899. Odtąd Kościuszko służy już do wszystkiego.

6. Inaczej z X.J.P (Książe Józef Poniatowski - przyp. KK). Co oznacza ta mitologia honoru w interpretacji rządowej, a co w interpretacji późniejszej. To rząd i jego pismacy o tym honorze pieprzyli nieustannie, i do czego im ten honor był wtedy potrzebny? Czy szukano alibi wobec cara, przyjmując u niego służbę? W każdym razie wtedy - właśnie wokół postaw X.J.P. powstaje klasyczna opozycja

polskiej filozofii politycznej: honoru i realizmu, sc. romantyzmu i realizmu. Toteż, postać X.J.P. zanika ilekroć motywy "realistyczne" biorą górę w narodowym myśleniu, a wyłania się, ilekroć "romantyzm" z całym jego gwiazdozbiorem (honoru, brawury etc.) wypływa na narodowe niebo: 1913 w przeddzień wojny Askenazy i chyba jakieś powieści historyczne ..., w okresie międzywojennym (kiedy odbyło się przewiezienie pomnika na pl. Saski? Kiedy most nazwano jego imieniem?).

*

1933 defilada na Błoniach.

Hołd w krypcie św. Leonarda.

1935 w krypcie św. Leonarda legł nowy mieszkaniec królewskich podziemi.

11.9.

"W celu uspokojenia Polaków należy schlebiać ich narodowej miłości własnej. " (ces. Aleksander do posła austriackiego hr. Wallmodena - X, 1816).

I dalej:

"Traktując ich tak, jak

obecnie, uczynię z nich Rosjan, gdy tymczasem im zdawać się będzie, że są wciąż Polakami. "

Kraków, 13/IX.

Krypta św. Leonarda (rozkład grobów - przyp. KK.)
Ołtarz
1 - 2
3 - 4
5 - 6
Sobieski

1) Michał Kor. stoi [...] Fr.)
2) X.J.P.
3) bp. [...]

4)
5) Maria Kazim. [...]
6) Kościuszko

*

Wczoraj przyjechaliśmy do Krakowa. Pogoda taka jak wszystkie moje smutne i złe wrześnie; ten nie jest ani szczególnie smutny, ani szczególnie zły - mojego smutku po śmierci Kalego nawet w najbardziej prywatnym moim życiorysie nie mogę ujawnić, i nawet sam przed sobą nazwać smutkiem wielkim - jest to smutek

tak prywatny i ból tak osobisty, jak po stracie części ciała, jak po okaleczeniu - nie mniej, nie więcej - otóż ten wrzesień nie wyróżnia się, jak dotychczas niczym szczególnym, prócz tego, że za mną jest 25-lecie mojego małżeństwa, przede mną 25-lecie śmierci ojca, i moja własna pięćdziesiątka. Jest to więc wrzesień wigilijny, wrzesień rekolekcyjny, wrzesień złych myśli, a dla nich ta pogrzebowa pogoda (pogrzebowa, bo przypominająca mi pogrzeby matki i ojca) jest bardzo właściwym tłem. Chmury niskie, ołowiane, szybkie; wiatr; częste deszcze. Zimno.

Przyjechaliśmy tu przez Tarnów. Po raz pierwszy w życiu byłem w Tarnowie, w mieście, którego nazwa podniecała mnie w dzieciństwie, bo kojarzyła się z wyjazdami ojca; z podróżą; ze światem zewnętrznym. Tarnów to były antypody, strony Herkulesa New Jork mojego dzieciństwa - najdalszy kres znanego świata. Wokół rynku, którego martwota uderzyła mnie z miejsca - w powierzchownie zrekonstruowanych domach nie ma życia - plączą się uliczki

dawnej żydowskiej dzielnicy bardzo przypominające krakowski Kazimierz.

Miesza się tam orientalna egzotyka z nowobogacką pretensjonalnością - nb. egzotykę odnowiono trochę, tworząc z niej "malownicze" zakątki, natomiast XIX bombastyczne kamienice, obficie zdobione glazurą i kolorowymi szybkami - sypią się i zdają się starsze; właśnie one zachowały tragizm ruin.

Jest tam uliczka, która nazywa się "taras", i jest rzeczywiście tarasem, z którego otwiera się widok na ulice i na plac położone niżej, i na lesiste wzgórze nad domami. A na tym tarasie stoi kamienica z bardzo czerwonej, straszliwie już pokruszonej cegły, z wieżą, i małym balkonem umieszczonym w samym środku fasady, jak gdyby miał służyć uroczystym pojawieniom się jakiegoś dostojnika; jak balkonik w Castel Gandolfo. Zza mętnych i pozaklejanych przebrzydłymi zasłonkami okien i ze zrujnowanej, cuchnącej klatki schodowej, wydobywały się pijackie wrzaski. Ta "kamienica", której właściciel był może rabinem, albo czymś więcej, stała

się ruiną, i wypełniła się egzotyką całkiem nową - społecznym kruszywem nowych wędrówek ludów, nowych katastrof. Ta kamienica przypomniała mi - na śmiech - pałac Dioklecjana w Splicie, do którego rozsypujących się murów wlała się też kiedyś taka brudna, pijana i przerażona sobą, anonimowa masa.

Dziś na Wawelu. Poszedłem do krypty św. Leonarda sprawdzić moją koncepcję. Dziwne: oprócz sarkofagów X.J. Poniatowskiego i Kościuszki, i oczywiście Sobieskiego, które zapamiętałem, są tam jeszcze dwa: Michała Korybuta i Marysieńki (oba zresztą ufundowane przez kolejnych austriackich cesarzy w miejsce dawnych zniszczonych). Dawne wejście do krypty, prowadzące wprost z katedry, zostało zamurowane. Wchodziło się wąskim przesmykiem pomiędzy sarkofagiem Michała i Marysieńki; dziwne, żem tego nie zapamiętał.

Stałem chwilę, czekając, aż opuści kryptę gromada Węgrów, których ujadanie, i których, ordynarne chłopskie gęby dosyć mnie irytowały. Poszli dalej, i nagle - rozległ się ich śpiew z

głębi korytarza. Śpiewali jakąś pieśń o poważnej dostojnej i starej melodii, z uniesieniem, z przejęciem. W korytarzu tym jest sarkofag Stefana Batorego pokryty - jak się później przekonałem wieńcami i bukietami w narodowych barwach węgierskich. Węgry czczą chyba w jego osobie swoje związki z Siedmiogrodem!

Dotknąłem trumien. Kabotyństwo? Poszedłem dalej - na sarkofagu Jana Kazimierza w miejscu, gdzie u wszystkich innych Korona, leży trupia czaszka.

Dotknąłem trumny Piłsudskiego. Niechaj ci uparci, energiczni, ambitni i pełni uroku ludzie pomogą mi skupić się wokół jednego celu tak, abym z rozproszonej materii mojego pięćdziesięcioletniego życia zdołał uczynić rzecz trwałą.

Co mianowicie?

To, na com dotąd zbierał siły, spostrzeżenia, doświadczenia. Przecież nie żyłem ustawicznie zwalniałem tempo, usuwałem się na bok, chłodziłem uczucia, cedziłem wrażenia, zachowywałem rezerwę - na co? po co? Z myślą ukrytą o spożytkowaniu tego wszystkiego,

o ujawnieniu tego później - kiedyś etc. Jeżeli 50 lat ma mieć jakikolwiek sens, muszę wykonać to, com obiecał, a te moje intrygi z życiem prowadzone jakoś rozwiązać.

Zebrać razem: mój dom rodzinny, miasto, kraj; mnie i świat w opowieści-studium, pisanych bez udawania rozumu większego niż mam; ujawnić mój rodzaj rozumu i mój rodzaj ograniczenia. Całą namiętność obrócić na język, na wypowiedzenie wszystkiego, co się da wypowiedzieć. "Niewypowiedziane nie istnieje".

Nie istnieję, i istnieć nie będę, dopóki nie powiem wszystkiego. Inni mówią przez swoje uczynki, i przez swoje uczucia, i przez swoje namiętności. Ja unikałem w moim porządku życiowym, wstrzymywałem się od głosu, aby kiedyś przemówić w porządku mowy. Muszę to wszystko opisać, aby być.

*

W chwilę potem spotkanie ze Zbyszkiem Chudzikiewiczem. Szedłem Sławkowską, przepychając się przez tłum, z

głową zwieszoną, zniechęcony do oglądania ludzi i domów, snując swój wątek ze wzrokiem wbitym w bruk, gdy nagle wyłowiłem z hałasu niepewne, jak gdyby nieśmiałe zawołanie: - Jędrek ...

Posiwiały, chudy, z nastroszonymi starczymi brwiami, stał przede mną nasz waleczny student, nasz rodzinny wesołek dżentelment z linii a-B-Zbyszek.

Już na emeryturze, zajmuje się, jak powiedział, sporządzaniem dzieła genealogicznego rodziny.

Ale nic się nie dowiedział co dotyczy pochodzenia rodziny i nazwiska. Znalazł natomiast akt

kupna parceli na Karmelickiej - z końca XVIII wieku. Kupił ją Sebastian Żeglikowski. To przeczy wersji Bol. Skórczewskiego jakoby Żeglikowscy przybyli z poznańskiego.

O Seiglitzu Zbyszek słyszał. Ale - jako Żydzie, he, he. Był nawet jakiś album rodzinny, który rozpoczynał się od fotografii starego Żyda.

Coś się nie zgadza: jeżeli Żeglikowski zakupił pod tym nazwiskiem parcelę w XVIII wieku, nie może być w albumie fotografii jakiegoś przodka

Seiglitza.

Wszystko brednia.

Co to ma być, ta moja nowa książka - ta moja jedyna książka?

A tego niewiadomo.

Pisz, zobaczysz co z tego wyniknie.

Kraków, 14.IX.

Noc bez snów. Wyjeżdżamy. Nadal pochmurno.

Koszmarne życie byłych panien M. Słuchając ich kłótliwych bełkotów, zdaje mi się, że uczestniczę w jakiejś katastrofie mózgowej - jakgdybym oglądał mózg ludzki w stanie rozkładu, choć jeszcze funkcjonujący. Bezładne myśli, nieskładne słowa, brak kształtu, niezdolność do przyjęcia pytania i właściwej odpowiedzi. Wyglądają na osoby, którym nigdy nie narzucono żadnej dyscypliny umysłowej - bodaj takiej, jakiej uczono w elementarnych szkołach: - Odpowiedz na pytanie ... nie powtarzaj się etc.

Bardzo śmieszne byłoby wyobrazić sobie przesłuchanie ciotki Hanki na UB.

Warszawa, 15.IX.

Nie ten jest samotny kto nie ma ludzi przy sobie, ale ten, komu ich obecność nic nie przynosi. Jedni skarżą się na brak ludzi, drudzy na ich natręctwo; ci drudzy są prawdziwie samotni, albowiem nie łączy ich z ludźmi nawet chęć pozyskania ich sympatii.

O samotności ...

Samotność moja, - ucieczki - samotność mojego ojca: wołanie ku nim z balkonu ...

17.IX.

(pięć grubych krech) Rien.

19.IX. godz. 23:10.

O wielkich ludziach.

Pytanie: jaką rolę spełniali "wielcy ludzie" w historii Polski i jak się odbywała ich selekcja.

Precedens: X.J. Poniatowski i Kościuszko są bohaterami rzeczy niespełnionych, bohaterami klęsk i postaciami normowanymi przez propagandę bądź to obcą, bądź to partyjną. Polacy czczą ich, nie wiedząc co naprawdę czczą.

Czy jest inny przykład w historii podobnej bzdury?

Rosjanie wiedzą dlaczego

czczą Piotra Wielkiego, a nawet, Stalina. Ten ostatni przynajmniej wygrał wojnę dla Rosji.

Włosi wiedzą chyba dlaczego tak wielbią Garibaldiego ...

Inne postacie polskie: Dąbrowski, Wysocki, Łukasiński, Traugutt ... Ale żaden z nich nie odebrał, jak te dwie kreatury Czartoryskich i cara Aleksandra.

*

Do powieści.

Ordynatowa i jej syn.

Jego historia: młody arystokrata zrujnowany przez

rewolucję rosyjską szuka miejsca dla siebie w międzywojennej Polsce.

Co mi z tego, że jest arystokratą? Wciela w mojej wyobraźni sens polskiej historii, ma niejako prawo do niej z tej racji, że nikomu niczego nie zazdrości i nikomu nic nie jest winien. Ubogi arystokrata - czyż może być coś czystrzego? Może być czym zechce: konserwatystą, lub rewolucjonistą, i wszystko co zrobi, gdzie naturalne natomiast cokolwiek ja zrobię, będzie błazenadą.

A to czułem patrząc w te okna.

I ja i wszystko dokoła było błazenadą - poza nim, poza Ordynatem i poza światem "zza torów", wojsko, więzienie i domy robotnicze.

I Cervantes.

Cervantes prawdziwy nie historyczny. Pełny grobów - groby 1923.

Historia dzisiejsza, historia wczorajsza.

Woły Kaz. Sprawiedliwego i [...] z Filipa.

Moja rozmowa z Ordynatem na temat historycznych paradoksów naszego kościoła. Jego grzeczne zainteresowanie.

21.9.

Wyłonił się temat naśladownictwa i oryginalności. "Klasa bez dziejów i bez jutra, klasa sieroca, przeto smutna".

Szukając czegoś oryginalnego natrafiam w pierwszej kolejności na świętość, potem na arystokratyzm, w końcu na komunizm. Same klęski: w kościele czeka mnie dewocja, w postawie Pruszyńskiego zwyczajny oportunizm, a w postawie akceptującej komunizm, zupełna aberracja, których figurą

będzie Ludwik. (Pozostali dwaj są figurami dwóch poprzednich).

*

22.IX.

I teraz: "Syn jedyny", wywieziony z krwawej bolszewii, zjawi się razem z bolszewikami! Będzie agitował na ich rzecz - o ile, oczywiście, można agitacją nazwać jego szlachetną publicystykę, jego opowieści, mowy, i jego wspaniałą, dostojną obecność.

Rodzaj arystokratycznej kolaboracji: Kot (jak go nazwać: Kot, Pies)

Moja przyjaźń z panią Grochowską: na gruncie kościelnym, ale gdy doszło do wyznania, że zamierzam kościołowi oddać się na stałe - ordynatowa zdumiała się bardzo: bo w gruncie - pomimo całej swojej czułości dla księży, miała ich za coś niższego.

Mitologia pokrewieństwa z Grochowskimi i sprawa pierwszej litery nazwiska, i zupełna niezdolność do zbadania rzeczy bliżej.

25.IX.

"Jeżeli matka, to ktoś, do kogo biegnie się z każdą troską ... "

Ja ukrywałem wszystko. Dla mnie matka - to ktoś, przed kim kryje się każdą rzecz trudną i nieczystą.

29.IX.

"On se réfugia dans le médiocre, per disespoir du beau qu'on a réve". (Flaubert L'ed. seut.).

*

... "ily a situations ou l'homme le moins cruel est si dotache des autres qu'il verrait pasiz le geure humain sans au battement de coeur". (L'ed. seut.).

*

Oryginalność.
Zdrada.
Miłość.

30.IX.

Podczas mszy żałobnej za Parandowskiego w katedrze

chwila słabości i przerażenia: nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Wilga, 7.X.

Spróbować narracji na wielu planach czasowych naraz: opowiadając o Werze z roku 1949, powiedzieć odrazu co z nią będzie po 1956, co z nią będzie po 1968, i o tym jak umrze, i jak ją chować będą. I w ogóle przyjąć zasadę: mówić o losie wszystkich całkowitym od kolebki po hypotetyczny grób - wszystkich z wyjątkiem jednego. I ten jeden pozostawiony niejako przy życiu,

ten jeden pozbawiony wyobrażenia śmierci, będzie niewiadomą, czyli "bohaterem". Jego, albo - kto wie? - może ktoś zupełnie inny?

Formuła realistyczna: to musi być niespodziewane, różnorakie, trochę niesamowite, troszkę histeryczne: jest taka ... była taka ... umrze taka ... Wprowadzenie czasu przyszłego jako formy narracji - tego jeszcze nie było.

Nawet jakiś tytuł gramatyczny: np. Futurum I.

*

Całą kompozycję oprzeć na poszukiwaniu tej przyszłości. Nad całą tą powieścią powinno wisieć to pytanie: co będzie? To są ludzie żyjący bardzo mocno przeszłością obozową, więzienną, wojskową, konspiracyjną; przeszłymi przeżyciami i przeszłymi, niespełnionymi, lub wykoślawionymi nadziejami; rzeczywistość, której się uczepili jest niejasna, niepewna, niestała; nie jest rzeczywistością. O przyszłości wiedzą napewno, że będzie zupełnie inna od wszelkich oficjalnych i prywatnych przewidywań: wojna, przewrót prawicowy, dzień kary i zemsty - albo nowej czystki, w której przepadną. Łudzą się utopią, w którą nie wierzą, ani na trzeźwo, ani po pijanemu.

*

Do Joja po jego rozmowie z Werą i Reginą podchodzi Piskorski.

- Pan jest wierzący?

Oczywiście, chodzi mu o wiarę polityczną. Traktuje przynależność do obozu jako szczególną religię, tj. tylko w kategoriach ideologicznych i

mówi, ku zdumieniu Joja, same oczywistości.

Jojo często będzie się stykał z tego rodzaju "wyminięciem": myśli tak wielkimi słowami, że nawet nie zauważa pośrednictwa [...] i gdy mu je ktoś odkrywa, Jojo czuje się szalenie zaskoczony, ogłupiały; jak podróżny, który bezwiednie przespał parę stacji i dziwi się pasażerom zbierającym się już do wyjścia. Myślał, że pojadą dalej ... A tymczasem ...

8.X.

Jojo chce wyjść, bo się boi gniewu Wery na Wuja i Miniona, który może spaść też na niego. Reakcja Joja jest tchórzliwa, ale on ją przebiera w kostium powagi. Tak zawsze postępuje Jojo - aktor, prestidigitator, genialny szuler.

*

Rozmowa z Piskorskim: wobec tego naiwnego, prosto myślącego człowieka, Jojo sformułuje swoją mądrość, która polega na przypisywaniu wszystkim dokoła jakichś usprawiedliwiających motywów

postępowania, na wymyślaniu im alibi. Dlaczego to robi? Bo sam ma alibi: groźbę obłędu. Jojo żyje w obsesji choroby umysłowej dziedzicznej w jego rodzinie. Matka: wydaje się jej, że to już u niej nastąpiło; [...] chordę, wychodzi jej naprzeciw.

Rozmowa z Antosiem - który wrócił.

Antoś jest trochę grafoman i dlatego czepia się Joja.

Ale jest bardzo nieśmiały.

10.10.

Ruch, ale jakiś bezsensowny. Wczoraj rozmowa z Dawidem Nevsomem - podsekretarzem stanu. Przez godzinę męczyliśmy się, aby mu wytłumaczyć osobliwości polskiej sytuacji, w której współżyją z sobą totalna władza i quasi-otwarta opozycja, poczem nas zapytał: - Scho to znaczy, że w Polsce nie ma formalnej cenzury?

Ale oczywiście, jeżeli będą opierać się na opiniach Artura i Bronisława Zielińskiego ...

12.X.

Trudniej o bardziej

bezsensowny dzień: Zdzisław (Jałowo), warsztat, redakcja (monolog Piórkowskiego o [...] i Hollandzie), czytanie Dziewanowskiego w kawiarni, tam monolog Rysi G. o jej nieszczęściach, Związek, monolog Andrzeja o tragedii Ani, przyjęcie hiszpańskie w Jabłonnie; a tam dno: Rammowie, Irena Chędzyńska, Frybesowie, Ziemek - potem mgła, w domu telewizja - monolog Berlinga i spać.

Dziś łeb mnie boli, bo się po nim tłuką cudze i własne głupstwa. Byłem zaczepny i niezdarny, ożywiony i nudny.

Spotkałem Browna, któremu naplotłem ... Powiedziałem I. niepotrzebną rzecz dotyczącą druku. Ech! Powinno się mnie trzymać w klatce.

*

Większa niż kiedykolwiek potrzeba koncentracji i więcej przeszkód, niż kiedykolwiek.

*

Słubice, 24.X.

W drodze do Niemiec.

Głowa pęka od nadmiaru przeżyć: papież Jan Paweł II i jego inauguracja - cud historyczny, o którym ....

*

Mam niegotowy tekst do odczytu, jaki mam wygłosić w Kolonii.

Uwaga do odczytu:
(tekst pisany po angielsku - 7 stron)

Kolonia, 28.10.

Odczyt jak odczyt. Tekst

angielski był zupełnie niepotrzebny. Czytałem po niemiecku, chyba dobrze, a dyskusja (o ile to można dyskusją nazwać) odbywała się potem po angielsku, po francusku i oczywiście po polsku. Jak zwykle rytuał i forum znacznie przeważyły nad treścią. Zaciekawienie dla tego, co się mówi było tu równie małe jak na zebraniu partyjnym, albo w kościele; to skłania do zastanowienia nad prawdziwą, realną relacją jaka w stosunkach ludzkich istnieje między formy formą a treścią. Być może to, co

mają sobie ludzie do zakomunikowania jest już z góry zawarte w tym jak sobie to komunikują. Przeto okoliczności zewnętrznych ich kształtów, a mianowicie tło, styl, język, atmosfera, charakter osób biorących udział w akcie "komunikacji" przesądza o jego znaczeniu. Gdy nieznajomy człowiek do nieznajomego człowieka powie w tramwaju: ładna pogoda - zdanie to ma znaczenie nikłe. To samo zdanie wypowiedziane przez prezydenta USA do 100.000 ludzi zgromadzonych na wiecu, ma znaczenie polityczne. A gdy to powie Papież ze swego okna watykańskiego, zdanie nabiera wartości duchowej.

*

Papież.

Jeszcze nie mogę ochłonąć po tym co się stało w dniu 16.10.

Do dziewiątej wieczorem siedziałem z Olszewskim w kawiarni na Rozdrożu paplając o polityce. Ostatnie pół godziny spędziliśmy chodząc tam i z powrotem po placu, i rozważając szanse Benelliego, Koeniga i

Willbrandta. Od trzech godzin świat wiedział, że kardynał Wojtyła jest papieżem.

Nie mogłem uwierzyć w tą wiadomość, gdy ją w domu usłyszałem od Kazi. Powiedziałem odrazu: to będzie wielki papież - i jestem o tym nadal przekonany.

Chyba nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

To znaczy wiedziałem, że jestem szczęśliwy, a czułem się fatalnie.

Nie mogłem długo w nocy zasnąć, a gdy w końcu zasnąłem miałem sen, którego dotychczas nie miałem odwagi zapisać - opowiedziałem go tylko Kazi natychmiast po przebudzeniu.

Powierzono mi zamknąć wejścia do ogrodów. Wiedziałem, że były to ogrody watykańskie. Ale te "bramy" to były połamane, korkowe furtki za którymi gromadzili się ludzie, biedni, niechętni, szepczący coś wrogo między sobą. Zdołałem wreszcie zamknąć te "bramy" - to jest docisnąć jakoś do zmurszałych futryn wypaczone deski i zamknąć zardzewiałe kłódki.

Potem kazano mi obejść ogrody. Były to zarosłe chwastem pustkowia, pośrodku których

wznosiła się okrągła budowla z cegieł - zrujnowana - przypominająca kształtem zamek świętego Anioła, tyle że bardzo mała. Powiedziano mi, że w tym miejscu ludność okoliczna składała dawniej dary z oliwy i zboża, ale że już dzisiaj na to liczyć nie można.

Potem polecono mi wprowadzić go do bazyliki. Nie wiedziałem kim on jest - tzn. nie wiedziałem we śnie - sen mnie o tym nie poinformował - sen odniósł się do mojej wiedzy spoza snu - i dzięki temu wiedziałem, że jest to nowy papież.

Weszliśmy bocznym wejściem. Byliśmy ubrani w jednakowe ornaty, złotego koloru i bardzo fałdziste takie, jakie dzisiaj się nosi. Szliśmy jeden obok drugiego ze złożonymi rękawami zupełnie pustą, boczną, półkolistą nawą, wzdłuż kolumnady za którą było mnóstwo bardzo dostojnych starców w purpurze i fioletach.

Nawa, którą szliśmy była ciemna, za kolumnadą płonęły liczne światła. Wokół nas była cisza, tam panował gwar. Nikt na nas nie zwracał uwagi.

Przestraszyłem się. Zrozumiałem, że porwaliśmy się

na rzecz niedopuszczalną i wdzialiśmy na siebie ornaty kapłańskie, chociaż byliśmy dziećmi, powiedziałem:
- Nie widzą nas, bo jesteśmy mali.
- Idź powoli - szepnął mi - Idź bardzo powoli.

Zawróciliśmy - odmierzaliśmy starannie krok za krokiem, całą uwagę skupiliśmy na tym, na naszej postawie modlitewnej, - a ja wtedy doznałem spokoju i radości: jakbym coś niezmiernie ważnego pojął. I poczułem, że w tej naszej powolności rośniemy, że nabieramy powagi, że nas otacza majestat, że teraz my dwaj jesteśmy w centrum uwagi, że zbliżamy się do środka bazyliki, do środka tego kolumnowego kręgu, - do środka poznania i szczęścia.

*

Głowa pęka z bólu i od nadmiaru wrażeń, myśli, przypomnień, wspomnień.

Coś się zamknęło, coś się otwarło.

*

Minęliśmy się wtedy, na

Warszawskiej. Patrzył na mnie, zatrzymał się prawie, obejrzał, czekał na ukłon, na znak z mojej strony. Przeszedłem dalej, udając zupełną obojętność. Nigdy w życiu nie zrobiłem wobec nikogo nic bardziej niegrzecznego.

A był to z mojej strony akt buntu przeciwko zakrystii, przeciwko temu wszystkiemu co stanowiło treść mojego życia pomiędzy dwunastym a piętnastym rokiem życia.

Chciałem ten okres zamknąć i unieważnić i wejść w życie niezależny z prawem wyboru i skalą wyboru do dyspozycji. Wojtyła zjawił się przede mną jako nowe zagrożenie, bo mnie zafascynował możliwością odnowienia wiary i pobożności na innym poziomie, dokładnie odpowiadającym moim ówczesnym aspiracjom i mojej ówczesnej, literackiej formacji. Szukając go w kościele św. Floriana (Tym samym, co mnie "zatruł" swoją religią naiwną) miałem wrażenie, że mówię sam do siebie - tzn., że objawiła się we mnie samym inteligencja, której eksplozji mogłem się spodziewać - powinienem był się spodziewać, chociaż przewyższała o wiele tę,

jakiej dotąd dałem wyraz. On był ode mnie naprawdę mądrzejszy; naprawdę - tzn. ukazywał mi rzeczy nieznane, a oczekiwane, zaskakiwał a zarazem potwierdzał to, co chciałem wiedzieć, był daleko przede mną w zdolności kojarzenia, a zarazem identyczny w stylu.

*

Spotkałem na rozdrożu nieznajomego, który powiedział mi:
- Chodź ze mną.
A ja na to:
- Idę w przeciwną stronę.

Chodziłem długo w koło, aż powróciłem w to samo miejsce, gdzie spotkałem nieznajomego. Już go tam nie było.
- Hop, hop - usłyszałem wołanie.

Zadarłem głowę i zobaczyłem go na szczycie, na który ja też miałem i chcę wejść.

*

Ten szczyt. Co to jest ten szczyt? Jak to nazwać?

*

Szczyt moich pragnień. Poznać jakie to wszystko ma znaczenie i odpowiednio do tego znaczenia samemu zyskać znaczenie.

*

"Znaczenie": rzecz jest i rzecz znaczy. Jest jako byt i jako znak.

Rzecz jest znakiem.

W takim razie przyjmujemy system znaków - rodzaj [...] ; w którym rzeczy funkcjonują w związkach znaczeniowych.

Moguncja, 31.X.

To przyjęcie - przyjęcie u Wery w oczach Miniona, Wuja, Klacz, Joja i Reginy.

Rozmowa z Piskorskim.

Piskorski był nieznośny.

*

- Kto pan jest? - Przed Jojem stał sympatyczny skorupiak o płaskiej głowie i wyłupiastych oczach z rudym wąsikiem uczepionym nosa.

Jojo wysilił się bardzo, aby odpowiedzieć dowcipnie.

- Nikt - odpowiedział.

- Nikt nie mógł zeżreć tyle wołowiny - rzekł skorupiak. - wskazując na półmisek opróżniony do połowy.

Poczem skorupiak ponowił swoje pytanie, a gdy Jojo próbował wykręcić się znów żartem zawołał:

- Do cholery, czy pan nie umie się przedstawić? Nazwisko!

I Jojo powiedział nazwisko Wery Hemton:

- Iii, nie słyszałem.

Swojego przy tym nie powiedział.

- Co pan tu robi, z takim nazwiskiem?

Jojo nie wiedział co odpowiedzieć.

Czy jest partyjny? Katolik gotów do usług? Też nie? To może z UB? A może sypia z Werą?

Gdy Jojo wyjaśnił, skorupiak wykrzyknął z ulgą:

- Acha, grafoman! To napijmy się wódki.

Podeszli jacyś inni ludzie.

-Piskorz - zawołali do skorupiaka.

- Piskorz - nie demoralizuj młodzieży ... Piskorz ... Piskorz ...

Poczem go zabrali i Jojo znowu został sam.

Co robić? Kim być? Jakim

być? Jojo przeżywał kryzys. Jojo nie był pewien czy obrał właściwą drogę idąc na literaturę, która nie bardzo go interesowała, i w której nie widział dla siebie miejsca. Wuj będzie pewnie profesorem. Minion chce po studiach literackich studiować reżyserię teatralną, Klaczko będzie krytykiem literackim, Jojowi wszyscy trzej przeznaczają pisanie i Jojo próbował powieści, wierszy, dramatów bez powodzenia i bez przyjemności. Nikomu nie pokazywał swoich prób, niszczył je natychmiast po napisaniu, i cierpiał bardzo.

Chciał powiedzieć Piskorzowi, że nie jest grafomanem, bo pisać nie lubi, ale nie zdążył. Zresztą Piskorz nie był dla niego właściwym powiernikiem. Był szyderczy, Jojo zaś otaczał swoje pisanie sakralną powagę i tajemnicę, jak wszystkie swoje nieszczęścia.

Piskorz nie nadawał się do obcowania z jego tajemnicą.

Ale Piskorz pisywał w Katolickim "Głosie niedzielnym"! Było to jedyne pismo, tolerowane w domu przez prorokinię Masię, która felietony Piskorza kazała sobie czytywać na głos.

*

[Ambicja Joja]

Marzycielstwo Joja.

Nie ma rzeczy, której Jojo by nie chciał.

I to nie z pychy: miał w sobie wszystkie postaci swoich marzeń gotowe - ale tylko zewnętrznie.

Wnętrze Joja składało się z mnóstwa zewnętrznych form, i na tej wielości polegało jego bogactwo.

*

1.XI. Gdzieś koło Metzu.

Piskorz był Jojowi bliski, bo go znał i bo jego chciał naśladować, gdy myślał o literackiej karierze, a zarazem "wzbudzał" w Joju odruchy niechęci, buntu, jak wszystko, co nosiło znamię Masi.

Zjawił się Minion. Sam.

- Jak się bawisz, Jojo?

- Rozmawiałem z Piskorzem - pochwalił się Jojo, mimo wszystko, na co usłyszał długą listę rozmówców Miniona, w którym dokonała się ciekawa wymiana snobizmu

arystokratycznego i intelektualnego. Widać, że potrzeba snobizmu była w nim silniejsza od rozumowych racji.. Był za inteligentny na to, aby brać poważnie archaiczne więzi rodowe, pozbawione wszelkiego sensu społecznego, a podtrzymywać z taką powagą, z jaką robili to jego niezliczeni krewni i powinowaci, celebrujący rytuał towarzyski z tragiczną powagą wyrzutków i męczenników, do życia społecznego.

Jednakowoż odziedziczył widać instynkt hierarchii w hierarchii tylko musiał szukać źródeł społecznej dynamiki społeczeństwa i jego dynamikę drabiny - jedyną jaką umiał sobie zaplanować - wypełnił nową treścią, i ruch wykonywał w duchu nowego rytuału społecznego. Dziedziczny snobizm arystokratyczny przygotował go do życia w hierarchii, która powstawała z funkcjonowania, artystów, intelektualistów, a której zasadą tworzącą była tajna, zgoda na "nową rzeczywistość", czyli w praktyce - podporządkowanie zasadom ideologicznym i decyzjom praktycznym

wprowadzonym w życie przez nieznanych ludzi.

Minion, swoją zgodę i swój snobizm zaprawiał jadowitym humorkiem. Był zachwycony tym, że Foryś, chłopski partyzant, a teraz działacz partyjny, zwrócił się do niego przez towarzysza hrabio, i opowiedział jak osobiście wyrzucał z pałacu jego wuja, księcia P...go. Zachwycony!

- Ja mu na to: gnębiliśmy lud ile wlezie, działając obiektywnie na korzyść rewolucji.

- A co on na to? A co on na to? - dopytywał się Jojo, podniecając się do śmiechu, aby Minionowi nie wydać się tępym, i zrobić mu przyjemność. Za nić na świecie nie przyznałby się, że go ten żart nie śmieszy, że jest sprzeczny z jego poglądem na świat, który określiłby jako wertykalny gdyby musiał i którego broniłby przed horyzontalnym poglądem Miniona, gdyby również musiał go tak nazwać, gdyby umiał zdefiniować między nimi różnicę, i gdyby miał odwagę, oraz psychiczne zdrowie do obrony czegokolwiek, co by było jego duchową własnością. Gdyby mianowicie jego duchowa własność wolna była od piętna

Masi.
- Powiedział mi: m-macie rację.
- To on się jąka?
- Nie wiedziałeś?

Pytanie zabrzmiało jak: to nie wiesz, że Rysio Potocki ma Bürgera?

Co ważniejsze Foryś zaangażował Miniona do pisania recenzji teatralnych.
- Za ile? Od kiedy?

Głupi Jojo! Zadawał pytania jakby chodziło o awans w banku. Biedny Jojo wszakże nie umiał myśleć inaczej, a biedny Minion zbyt był jeszcze świeży i niepewny w swych ruchach, aby tolerować niezręczności biednego Joja. Powiedział mu, że zadaje idiotyczne pytania, i zakaszlał sklerotycznie, i wykrzywił się, i machnął ręką na znak, że posłuchanie skończone.

Zjawili się Wuj z Klaczką, którzy nie rozstawali się ani na chwilę. Klaczko był trochę pijany. Zachwycał się Werą.
-Bracie - wykrzykiwał - to jest najinteligentniejsza kobieta jaką spotkałem. A jaka baba!

I z uznaniem omówił szczegóły jej budowy. Klaczko lubił głośno i wyraziście manifestować erotomanię, ku

zgorszeniu Joja, który pomimo wielkich starań i prób nie umiał pozbyć się wstydliwości; Wuj i Minion twierdzili, że Klaczko jest erotycznym werbalistą - podnieca się tylko słowami. Teraz przechwalał się awansami Wery i zaklinał się, że ona już jest gotowa z nim na wszystko. Wuj śmiał się piskliwie z wielkiej uciechy i nieprzytomne przechwałki Klaczki przekrzykiwał opowieściami o jego bezmiernej głupocie towarzyskiej. Klaczko nie rozumiał kiedy go chcą, a kiedy go odpędzają, i wszystko tłumaczył sobie na swoją korzyść.

- Za łokieć, za łokieć! - wył Wuj, podczas gdy Klaczko z powagą alpinisty opisującego swe mistrzowskie wejście na trudny szczyt, opowiadał za co już trzymał wspaniałą mieszkankę willi.

- Gdzie jest Regina? - spytał Minion.

A! gdzie jest to biedne dziecko?

- Jojo, szukaj Reginy - zawołał Wuj jak na psa, a Klaczko natychmiast podchwycił i

- Szukaj, szukaj.

Jojo zadowolony, szczeknął, i umknął w tłumie; który zresztą

przerzedził się już bardzo. Wiele osób już wyszło, zwłaszcza osobistości, a inni porozkładali się na otomanach, nawet na podłodze, gdzie nie było zresztą dywanów. W ogóle całe to wielkie mieszkanie wydawało się teraz puste. Sprzętów było mało, były brzydkie, w złym stanie.

Nigdzie nie było Reginy. Drewniane schody z hallu na piętro i ponad salonem tworzyły galerię. Jojo wszedł tam na galerię, oparł się o balustradę i zadziwił się widokiem, w którym nie było nic osobliwego, lecz Jojo w tej chwili potrzebował takiego

spojrzenia z góry i takiego zadziwienia. Właśnie w tym objawił się jego wertykalny światopogląd.

- Serwus, Józku - usłyszał.

Józku? Wołając na niego "Józek", "Józeczek", w domu "Józik", "Józko" mówił do niego tylko Espaniolo. Jednakże Espaniolo nie mógłby znaleźć się w przedsionku piekła, którym było mieszkanie Wery.

Lecz oto on: Espaniolo.

- Co ty tu robisz? - zapytali się nawzajem równocześnie i roześmiali się: bo ich głosy zabrzmiały równie harmonijnie

jak dawniej, gdy na kolanach, zgięci w pół, z nosami tuż nad wytartym dywanem okrywającym stopnie ołtarza, recytowali Confiteor, a na słowa "et tibi pater " obracali się ku sobie, dotykając czołem sztywnych brzegów ornatu.

Teraz dopiero widać było przeraźliwą brzydotę Espaniola, który uchodził za śliczne dziecko dopóki nosił długie włosy, które ukrywały odstające uszy i spiczasty [...] czaszki. Zęby miał tak duże i sterczące, że ust nie mógł zamknąć, a gdy się śmiał, ukazywały się różowe, [...] dziąsła. Długowłosy Espaniolo nosił białe ubranie lub mundurek z marynarskim kołnierzem, a w zimie granatowy płaszczyk z białym futerkiem. Pończochy zawsze białe, i tak samo były ubrane jego siostrzyczki, znacznie ładniejsze od niego. Urok siostrzyczek i ubranka rozlała blask na brzydkiego chłopca.

Teraz krótko ostrzyżony i podgolony wspaniale, Espaniolo miał na sobie wojskowy mundur z granatowym kołnierzem.

Niewiele było do wyjaśniania.

Espaniolo przystąpił odrazu do rzeczy. Służy w jadnostce

Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego jako oficer polityczny, a ściślej mówiąc pracuje w redakcji pisma Za naszą i waszą wolność.

- Acha.

Praca redakcyjna jest bardzo ciekawa,

- Tak,

Wojsko też go pociąga i chciał przejść do służby liniowej, ale zwierzchnicy zdecydowali inaczej. Posłali go na front ideologiczny.

- Acha.

Może nawet opuści wojsko i przejdzie do cywilnej pracy na cywilnym froncie ideologicznym.

_ Acha, acha.

Zresztą: co to za różnica? Walka ideologiczna jest ta sama na cywilnym, czy na wojskowym froncie.

- No tak, no tak.

Pisze dużo.

- Ach tak?

No, bo jest o czym. Specjalizuje się w tematyce imperialistycznej. Dostając dużo bardzo ciekawych materiałów.

- A mamusia? - spytał nagle Jojo.

Espaniolo zamilkł, przyjżał się Jojowi, chcąc wybadać ile też złej woli tkwi w pytaniu Joja; po zastanowieniu uznał pytanie za

prowokację i odparł pytaniem:
- Dlaczego pytasz?

Jojo wzruszył ramionami.
- Z ciekawości.

Espaniolo pomyślał chwilę, poczem wyszczerzył zęby i odpowiedział:
- Dobrze, dziękuję, zdrowa.

I dodał:
- Nie wszystko rozumie, ale w zasadzie aprobuje moją postawę.

Matka Espaniola była jak on, i jak jego siostry, czarnowłosa, czarnooka, blada, jak wszystkie dzieci miała wystające przednie zęby, nosiła się biało i czarno, czerwono i żółto, w odzieniach ostrych i skontrastowanych.

Starała się też o to, aby jej suknie, płaszcze i peleryny zajmowały dużo miejsca i w górę i wszerz. Poza tymi barwnymi postaciami matki i dzieci plątał się jak mucha, niepozorny, łysawego człowieka o niskim czole z wąsikiem uczepionym u garbatego nosa - ojciec i mąż, łacinnik z zakonnego gimnazjum, autor zbioru religijnych liryków, ogłoszonych własnym nakładem.

Wit, bo tak miał w rzeczywistości na imię Espaniolo, został przez matkę doprowadzony do kościoła i oddany księdzu

doktorowi - jak powiedziała - na służbę bożą.

I miało to być przeznaczenie, albowiem - jak powiedziała - Wit otrzymał wyraźne powołanie kapłańskie. Od najwcześniejszego dzieciństwa bawi się tylko w księdza.

- To ślicznie, to ślicznie - powtarzał ksiądz doktór uśmiechając się słodko i przywołał zaraz Joja, który przysłuchiwał się z boku rozmowie, przedstawił go jako doświadczonego ministranta, i polecił opiekę nad nowym kolegą.

Kiedy wyszli, ksiądz doktór

pomilczał chwilę, patrząc w uchylone okno Zakrystii, za którym hałasowały wróble, potem rzekł:

- Ciekawi ludzie ... Tacy czarni ... Tacy ogniści ... Jak Hiszpanie ... Ten mały ... Skąd to wiadomo Kogo Bóg powołał? Ten kto to - dotknął ręką sutanny - ponosi na sobie tak z 10 lat może dopiero powiedzieć czy był tylko powołany, czy też wybrany ... a tu nagle już wie? Ten Mały Espaniolo ...

- Jak ci na imię? - Spytał Espaniolo nazajutrz rano, gdy wkroczył do zakrystii w białych

pończochach i granatowym mundurku z kołnierzem w ręku niósł sznurkową siatkę, w niej jakiś pakunek.

- Józek.

- Czy zechcesz ze mną służyć do mszy świętej, Józku?

- Acha.

- Bądźmy przyjaciółmi.

- Tak, oczywiście.

- Mam własną komżę - wyszczerzył zęby i wyjął z siatki pakunek. Komża była cała z tiulu.

- Powinno się ją nosić na sutannie, ale na granatowym mundurku też ładnie wygląda. W domu ma sutannę.

- Acha?

- I ołtarz na całą ścianę. Ty masz ołtarzyk?

Jojo nie miał.

- Ma 24 ornaty. Siostry mi haftują. I dużo rzeczy. Teraz mi szyją dalmatyki. Czy chciałbyś odprawić ze mną do asysty. Jeszcze kogoś takiego musimy znaleźć. Ty masz powołanie?

Jojo nie wiedział. Jojo nie wiedział jeszcze czym będzie, co lubi, w co wierzy, i do czego się nadaje. Jojo, którego jeszcze nikt wtedy nie nazywał Jojem, zachowywał się zawsze, od początku swego istnienia, jak

zabawka zwana jojem: kółko na sznurku, które wypuszczone z ręki wypadało z wielkim rozmachem, poczem jakby przestraszone własną śmiałością powracało do ręki.

Tak było dopiero [...] Miniona, aby ten sam mechanizm wykryć w Józku, chłopcu nieśmiałym a lękliwym, wyskakującym naprzeciw losowi i naprzeciw zagadkom życia za szaleńczą odwagę i powracającym do punktu wyjścia równie szybko.

W wyniku zwątpienia.

Na skutek zwątpienia.

Paryż, 6.XI.78.

Zły stosunek do ludzi. Nadmiar pretensji. Odruchy człowieka nieudanego. Podejrzliwość. Kołtuńskie kombinacje.

6.XI.

Języki gotowe i język własny.

Języki gotowe: retoryka, żartobliwy, kombinacja żartu i retoryki.

Język, który robi się z form poprawności i bystrości umysłu.

Język własny tworzą się z

wewnętrznego doświadczenia - jest to język przemilczeń.

6.XI.

- Musimy kiedyś pogadać, Józku - rzekł Espaniolo szczerząc zęby.
- Tak, oczywiście.

7.XI.

I rozstali się.

Gdzie jest Regina?

Tańczyła z Kwiatkowskim w kuchni przy radiu. Byli sami. Kwiatkowski okręcił się dokoła niej i głowę przewiesił przez jej ramię, bo był mniejszy. Wyglądało to tak, jakby Regina wyłowiła z wody topielca. Ale skolei to ona miała wyraz twarzy topielicy.

Przyszła tu w panice. Minion zgadł i Kryśka czekała na coś. Czekała na wiadomość od Gawlika i na Gawlika samego. W Gawliku była zakochana, jeśli można tak powiedzieć, jeżeli można tak nazwać tę niemądrą i nieczułą niewolę, jaką jej narzucił ten aktywny hazard oraz działacz Organizacji Młodzieży TUR, któremu nie dość było tych dwóch organizacji, lecz założył jeszcze

inną, nielegalną. Polegała na dochodzeniu prawdy historycznej wbrew twierdzeniom propagandy.

Było trzech członków rzeczywistych i dwóch kandydatów. Nosili rewolucyjne pseudonimy (Topór, Młot, Sierp, Gilotyna, Nagan), czytali reakcyjne dzieła, wysnuwając z nich program polityczny różny od oficjalnego w szczegółach i w zasadach. Regina nie była formalnie członkiem Organizacji (która nosiła nazwę, Orzeł i Gwiazda), niewiele rozumiała z jej doktryny (którą do wierzenia podawało ścisłe kierownictwo

złożone z Topora, czyli Gawlika i Młota, czyli Wujta - jąkały) była natomiast wtajemniczona w szczegóły organizacyjne i w plany, a zadanie jej polegało na pomocy technicznej. Przepisywała na maszynie odezwy i biuletyny, wkładała je do kopert, wypisywała na nich adresy, które zdobywali towarzysze (taka była oficjalna nazwa członków), następnie rozsyłała.

Lecz jeden z kandydatów - Nagan - załamał się, oświadczył, że zrywa z organizacją i wstępuje do ZWM. Ścisłe kierownictwo wydało na niego wyrok śmierci.

Właśnie wtedy, kiedy szczeniaki przyszły do Reginy w pokoju z Gawlika - Topora, toczyły się dwustronne narady i o wyniku Topór przyszedł zawiadomić Reginę.

Wtedy Regina postanowiła wynieść się z tego domu, zerwać z Gawlikiem, nie oglądać na oczy więcej ani jego, ani całej organizacji i Orła i Gwiazdy, zmienić wszystko, wszystko.

A przede wszystkim opowiedzieć.

Przez cały wieczór szukała kogoś, komu mogłaby to opowiedzieć. Aż zobaczyła Joja.

Odczepiła się od Kwiatkowskiego, który zresztą był pijany i podbiegła do Joja, zawieszając mu ręce na szyję:

- Jojo, wyprowadź mnie stąd.

*

Notować ucieczki myśli:

myśl uciekła mi do wczorajszej wizyty Drawicza, do Niemiec, do tego, co mówił o Niemcach, że wypierają się hitleryzmu, twierdząc, że wszystkiego narobili Prusacy i do mojego wspomnienia o Geigrze z Darmstadtu, który mieszkał u nas

w czasie okupacji i przedstawiał ojcu hitleryzm, jako wspaniałą słodką utopię - domki dla robotników, Kraft durch Freude etc. - a wojnę jako konieczność narzuconą im przez Anglię.

I przypomniałem sobie jeszcze raz nasze mieszkanie, łazienkę z wybitą szybą, nawet zapach gazu, który się z niej wydobywał, i parą, która wypełniało ciasny, korytarzyk, gdy się ktoś kąpał.

I jak Geiger uciekał przed matką.

Paryż, 9.XI. rue Surcouf.

Nie chcę być Twoim zawodowym oficerem. Chcę być Twoim szpiegiem, dywersantem.

Tak powiedziałem Ryśkowi Chrzanowskiemu: odchodzę od Niego, aby wrócić i przynieść Mu w darze moje doświadczenie.

Jakgdyby posag. Jak dotąd jest mizerny. Ale mam jeszcze szanse.

Warszawa, 10.XII.

Lenistwo to "Smutek z powodu tego, że dobro jest trudne". (Św. Tomasz z Akwinu).

Dobro jest tym trudniejsze, im mniej związane z obowiązkiem.

Dobro jest trudne, gdy jest dowolne.

Przeciwieństwem lenistwa jest gorliwość, tzn. dobra służba.

*

Technika: czytanie, wypisy, kompozycje z notatek.

Zrób sobie dyscyplinę z tego co dla Ciebie najtrudniejsze, tj. z czytania uważanego i systematycznego.

*

(Pisane we wkładce notesu)

Ojcze Święty,

przed laty, u świętego Floriana w Krakowie, okazałeś wiele serca mojej chorej Matce "Obyś tyle dobrego zdołał zrobić dla Kościoła Powszechnego i dla całej ludzkości, ile zrobiłeś kiedyś dla bardzo nieszczęśliwej kobiety, którą umocniłeś i pocieszyłeś.

Życzę Ci tego z głębi duszy.

Wilga, 27.6.1979.

Nic.

29.6.

"Idź, sprzedaj co masz".

To znaczy: wyrzeknij się swego i oddaj się na służbę. Bóg abdykował na rzecz człowieka wchodząc w jego los i w jego naturę; nawet jako Bóg rodząc się człowiekiem, i umarł jako człowiek, aby zmartwychwstać do pełni ludzkiej i boskiej chwały.

Żyć umierając; przechodzić w stan chwały przez wyrzeczenie - oto cała tajemnica chrześcijaństwa i cała jego względność. Wszystkie religie były i są związkiem człowieka z Bogiem przez ofiarę jaką człowiek Bogu składa. Bóg objawił nową prawdę przez Chrystusa: złożył się sam w ofierze. I to jest droga Chrystusowa.

*

Zacznij wszystko opowiadać od dnia 21.12.1950 roku.

*

Ks. X. zadał mi wtedy pytania, które dziś dopiero mogę potraktować jako zadanie do wykonania. Powiedział mi mianowicie, że na to, aby stać się

na powrót członkiem Kościoła Katolickiego, muszę zdać sobie sprawę z tego na czym polega oryginalność chrześcijaństwa.

Spróbujmy rzeczywiście odpowiedzieć na to pytanie.

Po pierwsze, czy chrześcijaństwo musi być oryginalne? Bardzo możliwe, że przy bliższym zbadaniu okaże się ono synkretyczną kompilacją, i że jego teologia - liturgia, etyka, [...] etc. to po prostu zlepek najróżniejszych elementów. I z tego wcale nie musi wynikać, że chrześcijaństwo nie jest religią objawioną; wszak przez ducha jest wszystko, co stanowi doświadczenia religijne ludzkości przed Chrystusem. Chrystus nadaje nowy sens wszystkiemu, co przed Nim ludzkość zrobiła w zakresie rozumienia Boga i uzyskania z Nim kontaktu. Nadaje też nowy sens wszystkiemu, co ludzkość zrobiła dla udoskonalenia samej siebie. Chrześcijaństwo nie jest (prawdopodobnie) oryginalne w swej intelektualnej, czy emocjonalnej warstwie, ani w środkach wyrazu, ani w formach organizacyjnych. Nie jest ani nową religią, ani nową filozofią.

Chrześcijaństwo jest nową wartością, nowym kierunkiem wiary i myśli.

Dlaczego? Ponieważ odwraca w ogóle relację Bóg-człowiek. Dotąd człowiek składał Bogu ofiary; teraz Bóg sam siebie ofiarował się za człowieka. Bóg niejako abdykował na rzecz człowieka. Tego dotąd nigdzie nie było. To jest "nowe", to jest "oryginalne", to jest punkt zwrotny w dziejach człowieka, w dziejach wszelkiej religii. Chrześcijaństwo nie jest nową religią, jest nowym duchem religii w ogóle.

Aby tak odpowiedzieć na to pytanie trzeba przestudiować ... Ba, ileż trzeba przestudiować!

Przede wszystkim trzeba zbadać stan świadomości religijnej w okresie, kształtowania się chrześcijaństwa, a następnie zbadać jednocześnie chrześcijaństwo od strony jego etycznego wkładu - wkładu w relację między człowiekiem a Bogiem i w konsekwencji w stosunki między ludźmi.

Zdaje mi się, że ta synkretyczna idea chrześcijaństwa z podkreśleniem jego roli krystalizacyjnej w całym

starożytnym świecie, odpowiada w jakiś sposób na pytanie co ma chrześcijaństwo robić dzisiaj ... Przecież nie podbijać, ale szukać; przecież nie nawracać, ale "nadawać sens" temu co jest. Być twórczym, uniwersalnym synkretyzmem.

Mój temat to odpowiedź na pytanie mojego spowiednika sprzed - ilu/? - 28 lat: czy chrześcijaństwo jest oryginalne.

Z tym, że sama anegdota o tej spowiedzi powinna się znaleźć wyłącznie w przedmowie.

*

Niedokończona spowiedź.

1. Moja spowiedź.
2. Gniew księdza.
3. Odpowiedź: chrześcijaństwo nie jest oryginalne, jest natomiast odnową wszystkiego co stare.
4. Na czym ta odnowa polega: on chcieć wyrzeczenia i miłości. Więc to ja miałem rację.
5. Ale dalsze dzieje moje dowiodły, że to on miał rację, ponieważ sam mojego odkrycia jeszcze wtedy nie rozumiałem, skoro trzeba było aż 30 lat, abym spowiedź dokończył.

Wilga, 30.6.

Jeżeli kościół ma szczerze, tj. z dobrą wiarą zabiegać o udział katolików w życiu publicznym, to musi dowieść, iż nie zamierza obalić ustroju, a więc wycofać się z akcji opozycyjnych; i może zabiegać o uprawnienia tych katolików, którzy w te akcje nie zaangażowali się dotychczas, innymi słowy, istnieje sprzeczność pomiędzy akcją opozycji, która zmierza do zmiany ustroju, a dążeniem Kościoła, który domaga się miejsca Kościoła i katolików w tym ustroju.

Czy jest to właśnie sprzeczność rzeczywista, czy tylko retoryczna, to inna sprawa.

Można uważać całą tę akcję Kościoła za retoryczną, bo wiadomo, że gdy się stanie to, czego się Kościół domaga, ten ustrój będzie już innym ustrojem.

Można też uważać, że Kościół domagając się swego miejsca w tym ustroju dąży do swego unicestwienia - do zmiany całego ruchu katolickiego w PAX i wszystkich kapłanów w księży-patriotów ...

Tu już dochodzimy właściwie do progu wiary: albo wierzymy, że

kościół jest silniejszy i wprowadzony do wewnątrz wrogiej struktury zmienia ją pozostając niezmienionym, albo jesteśmy przekonani, że kościół pogodzony z wrogą sobie strukturą traci na swej substancji.

Kwestia jest o tyle retoryczna, że - jak dobrze wiemy - żądania Kościoła nie zostaną nigdy spełnione, chyba, że PRL będzie zmuszona zrezygnować ze swej strukturalnej jedności, a wtedy rację będzie miał Kościół: struktura, w której wnętrzu się znajdzie, nie będzie już tą samą, a On ten sam.

Wilga, 1.7.

"Sprzedaj co masz i rozdaj ubogim".

To znaczy - w moim wypadku - poświęcić to, co dla mnie najcenniejsze, tj. aspiracje literackie dla tego, co uważam za obiektywnie najcenniejsze tzn. Dla dobra Kościoła.

Nie, źle to powiedziałem.

To znaczy w ogóle zmienić punkt widzenia na wszystko - na siebie i na innych. Tzn. przyjąć chrystusową drogę, a to jest droga unicestwienia, ale unicestwienia

tryumfalnego. Unicestwić siebie i uznać siebie za sprawę drugorzędną, wtórną, a za pierwszą mieć dobro Boga i bliźnich.

To znaczy (jeszcze nie to) przyjąć postawę służby, służby we wszystkim, co robię, także w literaturze. Jaka to ma być służba? Czego po mnie można oczekiwać? Jak pogodzić ostatecznie zasadę służby z rozwojem talentu, o który powinienem dbać?

Muszę koniecznie przeczytać "Naśladowanie".

Warszawa, 3.7.79.

Napisałem quasi-reportaż o mszach papieża w Warszawie i w Krakowie, ale nie jestem zadowolony. Minoderyjne. Zagraża mi nowy rodzaj minoderii - minoderia katolicka z dodatkiem kokieterii. Konwertyty? Trzeba uważać i trzymać się tonu możliwie obiektywnego, chłodnego.

Napisałem mnóstwo, a nie tknąłem tej sprawy, na której zależało mi najbardziej. Nie odpowiedziałem na pytanie jak możliwa jest msza na pl. Zwycięstwa albo na Błoniach, i

jak w ogóle jest możliwa. Jak możliwe jest sacrum. Jak to powstaje, jak się rodzi, gdy biorą w tym udział elementy tak różnorodne i tak sprzeczne.

4.VII.

Konkluzja:

Sacrum z nowych elementów, z rzeczy, z retoryki, z elementów społecznych i historycznych, sacrum ludowe (masowe) sacrum przemienionego tłumu, "zgromadzenia charyzmatyczne. Jego cechy: efemeryczność, okazjonalność. Rozchodzący się

tłum, to nie jest gromadka wierzących ... Ci, co odchodzą, są bardziej samotni ... Co odczuwają, co zachowują jakie są ich uczucia do weteranów świętej wojny. Jakiś smutek, a zarazem przemiana związku ... Sentyment dla miejsc uświęconych tym przelotnym związkiem. Treści: sprzysiężenie, religijne, Mesjaniczne! Treść mszy na Błoniach wybitnie mesjaniczna. Silny udział tych historycznych Charyzmatów. ...

*

Jestem człowiek"małej wiary".

Wziąłem kiedyś kościół i moje powołanie do służby poważniej niż wszyscy, którzy mnie do niej żartem zachęcali, ponieważ wziąłem poważnie, żartowali ze mnie jeszcze bardziej. Wtedy zawstydziłem się, wycofałem i zdegradowałem moje ambicje. Jak wszyscy byli ze mnie zadowoleni wtedy, gdy powiedziałem, że chcę zostać buchalterem. Oto poważny chłopiec - powiedzieli.

Potem wziąłem na serio małżeństwo ... Na serio. I teraz przypomnij sobie historię sześćdziesiątego roku.

Wziąłem na serio literaturturę i wyznaczyłem sobie wymagania i standardy, których nie umiałem spełnić.

*

Dopiero teraz mogę "bezkarnie" zająć się religioznawstwem, socjologią i psychologią religii, albowiem od tego, co przeczytam nie zależy już moja wiara. Po prostu badania te nie mają żadnego wpływu na fakt wiary, czy niewiary; wiara nie zależy zupełnie od stopnia wiedzy o religii i o Bogu. Jest zatem odpowiedzią na potrzebę serca.

Jest to akt przyjęcia religijnej dyspozycji wewnętrznej za oś centralnego życia.

Ale tej dyspozycji religijnej nie należy utożsamiać ze szczególną dyspozycją chrześcijańską, czy nawet - szczególną dyspozycją katolicką. Dyspozycja katolicka jest jakościowo inna, jest bardziej złożona od zwyczajnej dyspozycji religijnej. Zawiera w sobie zwyczajną dyspozycję religijną - jakkolwiek ją nazwać, poczuciem sacrum, misterium tremendum czy jak tam, i coś jeszcze: dyspozycją do reinterpretacji, do dowartościowania tej tendencji w specyficznie katolickim, tj. duchu uniwersalizmu etycznego; w duchu ekumenicznym.

*

Dobro jest trudne m.in. dlatego, że jego zapoczątkowanie nie cierpi zwłoki i w przeciwieństwie do celu, który jest szczytem wzniosłości, poczyna się prymitywnie. Jest nieodłączne od pewnego upokorzenia - bodaj przed sobą samym.

Nawet tu piorun pod Damaszkiem był trochę śmieszny,

bo Szaweł spadł z konia.

*

Co jest pierwotne w rozwoju postawy religijnej: pojęcie Boga, czy jej wzór zaobserwowany u innych, których naśladujemy z instynktu, przymusu, lub wyboru? Co jest pierwotne? Co jest rozstrzygające?

Mnie się zdaje, że pierwotne jest to naśladownictwo, które w dialektyce chrześcijańskiej oznaczałoby.

Wilga, 8/VII.

List do Kolossan.

Paweł przypomina im najpierw, że pierwszą rzeczą, jaką dowiedzieli się Kolossanie o "Dobrej Nowinie", było to, że przynosi nadzieję. Zanim dowiedzieli się czegokolwiek i uwierzyli w cokolwiek, zdobyli nadzieję. "I tak wasza wiara i miłość są oparte na tym, czego się spodziewacie" (1,5)

"Chrystus jest widzialnym podobieństwem niewidzialnego Boga". (1,18)

Dalej Paweł powiada, że dla Chrystusa (czy też przez

Chrystusa), który jest "pierworodnym synem Boga" (tzn. chyba to samo co "dziedzicem") Bóg stworzył wszystko "na niebie i na ziemi", "wszystkie rzeczy widzialne i niewidzialne", "w tym władze duchowe, panów, królów i władców", "cały wszechświat" - powiada - "przez niego i dla niego".

Jak rozumieć to "synostwo"? Na czym Paweł to swoje przeświadczenie opiera? Na świadectwie samego Chrystusa, który mówił o sobie, jako o Synu Bożym, - zapewne. Świadkowie zdarzeń ewangelicznych opowiadali zapewne to, co jest zawarte w Ewangeliach - sceny, w których Bóg sam zjawiał się i oznajmiał głosem: "Tu jest syn mój miły, jego słuchajcie (nad Jordanem i na górze Tabor). Sceny te wolno chyba uważać za konfabulację pewnego przeświadczenia - za afirmację rozpowszechnionej wśród wyznawców Chrystusa wiary, że jest on rzeczywiście Synem Bożym.

Czy Mesjasz, którego oczekiwali Żydzi i zapowiadali prorocy miał być Synem Bożym, czy też jest to idea późniejsza?

Zdaje mi się (*) sprawdzić!), że wedle pojęć judajskich, Bóg jedyny nie ma syna, i że idea Bożego Synowstwa była ta, która faryzeuszów oburzyła najgłębiej i którą uważali za bluźnierstwo.

Żydzi byli konsekwentnymi monoteistami. Ale nikt poza nimi!

Nikt: ani Egipt, ani Iran, ani Grecja. We wszystkich tych religiach, Bóg występował wplątany w jakiś dramat osobisty. Bóg Żydów też przeżywał dramat, ale jego partnerem tego dramatu był naród Żydowski. Można więc powiedzieć, że w religii Żydów synem Bożym jest sam Izrael - lud wybrany, którego tryumfy i upadki Bóg Jedyny, Jahwe, przeżywa jak swoje własne i któremu oddaje ziemię i narody, i dla którego stwarza wszystko na niebie, i na ziemi etc. Więc Chrystus odbiera Izraelowi jego rolę, jego miejsce, jego przywilej, i chociaż z Izraela pochodzi oświadcza wyraźnie, że nie jest z nim identyczny; "Królestwo moje nie jest z tego świata" ... "Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, a wreszcie przez to, przyjmuje do siebie nie-Żydów, i że jego zachowanie i jego cała retoryka nie mieści się w żydowskich

pojęciach.

Obiecuje synostwo każdemu, kto jest identyczny z Nim Samym - a jest to identyczność etyczna, nie zaś etniczna - mistyczna, nie historyczna. To jest tak jakby dziś stanął wśród rozszalałych Polaków Jan Paweł II i przemówił do nich jakimś innym, nieznanym językiem, namawiając ich, aby się go nauczyli, jeżeli chcą być jedno ze "swoim", papieżem".

Prawdopodobnie rozerwalibyśmy go na strzępy, albo po prostu ukrzyżowali.

Otóż Jezus Chrystus przedstawiając się Izraelowi jako

Syn Boży, oświadczył im mniejwięcej, że sam jest Izraelem, ale dla całego świata. Że jest - on sam - właśnie tym, za kogo oni się uważali, i że muszą w to uwierzyć, czyli wyrzec się swej natury, swej identyczności z Bogiem, a utożsamiać się z nim - z Chrystusem. I to jest przesłanie do całego świata, do każdego człowieka. Każdy człowiek uważa się w jakiś sposób za dziecko boże; każdy naród uważa się za bożego wybrańca i pupila. Każdy człowiek sądzi o sobie (a najsilniej mówią tak dzieci), że Bóg spełnia zasadniczo ich wolę; to jest zasada

religii magicznej (a także mistycznej, która jest sublimacją magii). W życiu każdego człowieka zjawia się Chrystus, aby go rozczarować: powiedzieć, że nie jest sam przez się dzieckiem Bożym, i przynieść nadzieję powiedzieć, że ma dopiero szansę stać się tym dzieckiem przez utożsamienie się z prawdziwym dzieckiem Bożym, z prawdziwym Synem Bożym, tj. z Chrystusem. Chrystus każdego człowieka leczy z magii i każdy naród z ... mesjanizmu, czyli "wypędza ducha ... obdarza słuchem, wzrokiem, zdolnością chodzenia

... życiem ... "

Chrystus jest Bogiem-Człowiekiem. Przez Chrystusa Bóg powiada człowiekowi: mnie nie zrozumiesz, nie pojmiesz nigdy, bo jestem Tajemnicą. Możesz mnie tylko kochać, tak jak kochasz samego siebie. Człowiek może dojść do swego Boga tylko przez człowieka, bo rzeczywistość ludzka jest jedyną, którą naprawdę rozumie. Do mnie możesz dojść przez samego siebie; kochać mnie możesz tylko przez miłość ludzką. Posyłam Ci, kogoś, kto jest mną i tobą jednocześnie. Kochaj go tak, jak kochasz siebie, jak kochasz

swego ojca, i swego brata, swego syna, a zrozumiesz moją miłość - i przyjmę tę twoją ludzką miłość, jako miłość dla mnie. "Oto Słowo Boże". Oto jest ta nadzieja, na której oparli swą wiarę Kolossowie.

*

Czy Bóg to wszystko nam oznajmił, czy myśmy to wymyślili?

Dwie są na to odpowiedzi: jedna brzmi tak: jest to pomysł, który powstał w dobrej szkole teologicznej korzystającej z

prorockiej, mesjanistycznej tradycji hebrajskiej, z mistycznych religii Iranu i Egiptu, z idei platońskich i neoplatońskich, z poetyckich spekulacji sekt greckich.

I druga odpowiedź, taka: jest to myśl, do której dotarł umysł ludzki zaprogramowany dla niej"przed wszystkimi wiekami". Skierowany do prawdy bożej od samego początku i przedtem, jest to myśl stara i złożona z wielorakich wątków, które wyjaśniła w pewnym miejscu, w pewnym czasie, za pośrednictwem człowieka, który oświadczył, że

jest jej wcieleniem i dał się za nią zabić i potwierdzona przez tych, którzy wierzyli w jego nieśmiertelność i dali się też za to zabić.

Pierwsza odpowiedź jest pozbawiona ryzyka i sensu; ma wartość archeologiczną, i możemy ją wpisać do naszych encyklopedii.

Druga odpowiedź jest odpowiedzią wiary i wedle niej możemy żyć.

Pierwsza odpowiedź jest oczywista.

Druga szalona.

Pierwsza nie przynosi nic.

Druga odpowiedź jest "tym, czego się spodziewamy". (Kol. 1,5).

*

Uczucie człowieka przyzwyczajonego do tego, że w sklepie jest tylko to, czego nie chce, i który znajdzie się nagle w sklepie, gdzie jest tylko to, czego pragnie: oto moje uczucie.

*

12.7.

Zapamiętaj raz na zawsze: opieszałość i wszystko co ją ukrywa, jest nieposłuszeństwem; jest zdradą.

14.7.

Lęk przed zapisaniem osobistego doświadczenia, i zarazem pokuta; miłość własna, czy obowiązek.

Ale przecież na to zostało mi dane, abym je zwrócił! Jestem je Bogu winien.

Wilga, 15,7.

Naprawdę, nie wiem jak pokonać ociężałość umysłową, jak skoncentrować się, jak pozbyć się roztargnień.

Może podzielić czas pracy na bardzo krótkie odcinki? 15 minut - ani chwili więcej, a potem 15 minut obowiązkowej przerwy na czytanie czegokolwiek. Pracę, w razie powodzenia, stopniowo przedłużać chwile pisania - 30 minut, 45 minut, pozostawiając niezmienione owe przerwy na czytanie.

Przygotowywać sobie coś atrakcyjnego. W ten sposób na 3 godziny pracy miałbym wpierw

równo 0,5-1,5 na pisanie i czytanie, później - 3 kwadranse na lekturę. Czysty zysk.

Ale musi być to też lektura "rozumowa", z notatnikiem, i nie wolno jej przesuwać!

Warszawa, 16.7. 4:30 rano.

Nie zabrałem wczoraj z Wilgi młodej pary; widziałem ich wszystkich na przystanku, widziałem jak autobus przyjechał nie zatrzymawszy się, widziałem jak odchodzili w stronę Wilgi, trzymając się w pół, a potem poznałem ich, mijając ich na

drodze. Spojrzeli na mnie wyczekując, a ja się nie zatrzymałem.

Dziękuję Ci Panie, że przez ten grzech dałeś mi poznać jak daleko jestem od Ciebie i dałeś mi zasmakować goryczy jaką grzech sprawia. Zanadto pyszniłem się bliskością Ciebie, zanadto się sobie podobałem.

Żałuję: popsułem Ci plan, popsułem Ci myśl. Zawiodłem Twoje zaufanie i zaufanie młodych. Nie sprawiłem dobrego, które mogłem był sprawić odwożąc do domu i świadcząc przed nimi o Tobie. Bądź miłości.

9:15.

Tak mnie to męczyło, żem się wyspowiadał. Tak, był to grzech, i było to zarazem odkrycie. Odkrycie prawa bożego, które od prawa ludzkiego (Każdy mógł tym młodym pomóc) tym się różni, że jest kategoryczne, niezależne od mej dobrej woli, dobrego usposobienia, od kaprysu, od sympatii. Wedle prawa bożego mamy dla drugich poświęcić nie tylko moją wygodę - co jest, ostatecznie, najłatwiejsze - ale, moją ambicję, mój interes, mój honor, moje bezpieczeństwo. Chodzi o to, aby banalna pomoc nie była jałmużną ofiarowaną zamiast pomocy rzeczywistej; i o to, aby odmowa banalnej pomocy nie była znakiem, że dusza moja zdrewniała!

17.7.

Wstałem o 4:35.
Czytanie listu do Tessalon I.

18.7.

Dziś o 3:50.
Poprawianie "Świętego

tłumu".

Nie wiem jakie to jest.

*

Co teraz?

1. Święty Augustyn.
2. Poprawić Kryptę.
3. Piłsudski.
4. Postanowić coś z "Gombrowiczem" (myślę o zbiorze pt. "Gombrowicz i inni"), albo napisać o Gombrowiczu z moralistycznego punktu widzenia, tzn. rozprawić się z "Gombrowicziadą".
5. Kontynuować "Moją sprawę".

6. Przepisywać i porządkować notesy.

*

Do świętego Augustyna trzeba przeczytać chyba Chestertona i w ogóle zajrzeć co w nim pisane.

Wilga, 22.7.79.

Okropne sny: byłem w szpitalu dla umysłowo chorych i przyprowadzono grupę młodych, umundurowanych debili dla wysłuchania wykładu wokół mojego łóżka (może nawet na mój

temat). Usiedli rzędem na moim łóżku.

Ale w jednym z nich poznałem sąsiada z Ariańskiej, który mi opowiedział o swoich nieszczęściach z czasów okupacji.

*

Czytanie Biuletynów Informacyjnych. Okropny poziom publicystyki (Walc i Wierzbicki), krzykliwie redagowane wiadomości, trochę podejrzana historia "bojówek".

I świetny artykuł Michnika o wizycie papieża. ...

*

Czyt. Cywińskiego: "Doświadczenia sześciu pokoleń". (Znak 10/11, 1978).

*

"Przekształcenie idei polskości w system nie ideologiczny, ale moralno-religijny ... nadało jej szczególną trwałość w świadomości społecznej uniezależniając jej sens od następujących porażek politycznych, w działaniom na

rzecz sprawy polskiej przydało określonego stylu.

Rewolucja moralna 1860-62:

"Istotą tej rewolucji była niespotykana uprzednio trwała integracja znacznej części opinii publicznej w obronie swobód narodowych i obywatelskich i gotowość do bezkompromisowego manifestowaiu zbiorowych przekonań."

Cyw. uważa powstanie 1863 za prowokację zmierzającą do zdławienia tej właśnie"rewolucji moralnej".

23/7.

Wczoraj bóle żołądka, głowy, dreszcze, 10 godzin okropnego snu, czyli jakaś "fybra".

Pisać, pisać. Spisać wszystko jak stałem się tym, czym nie chciałem. Co zrobiłem z moją wyobraźnią, z moim pragnieniem, z moją wolnością, z moją skłonnością do dobra.

*

P. czyli romantyzm.

Co to znaczy: na planie życia P. - kolejne zdrady; na planie historii Polski rozbijanie bloków

politycznych "myślą nadrzędną";

na planie aktualnym:

Problem myśli nadrzędnej zwalniającej od wyborów ideowych - dodatkowym czynnikiem jest papież - nowy Piłsudski; złudzenia i ryzyka: zdać sobie sprawę z klęsk Piłsudskiego i z kosztów moralnych piłsudczyzny: wyjałowienie polityczne, myślowe - sentymentalizm polityczny, awanturnictwo polityczne.

Gdyby P. żył ...

Czy byłby Petainem?

Czy byłby Ceaucescu? lub Titem?

Czy byłby ... Gomułką?

Czy byłby ... "podziemnym bohaterem"?

Próżne pytania: P. nie żyje.

Błędy są nie do powtórzenia, ani sukcesy nie są do powtórzenia.

Warte zapamiętania są myśli; te wyrażone, zapisane i te, które kryły się w czynach.

*

Z Cywińskiego:

"... Gdy w ramach walki z narodowością zaborca zaatakował wartości powszechnie przeżywane jako podstawowe: wiarę, język,

ziemię; na tym poziomie wystąpił powszechny opór, obrona niezbędnego minimum".

*

Jestem prawie pewien, że przed ukazaniem się książki Cywińskiego (Rodowody niepokornych) myślałem o napisaniu książki o tym pokoleniu. Okazuje się, że mam intuicję zatem, ale brak mi sił, stanowczości, woli i wytrwałości ich realizacji.

*

Co dziś zrobić!

Napewno książkę o religijności w Polsce.

Rzplita Krakowska - pokazać jak się broni rzeczy małej ...

Wilga, 24.7.

Wczoraj myśl taka: czy zobaczymy w owym udręczonym, bezwzględnym człowieku, z którego śmiali się inni, k r y t e r i u m, czyli chyba Chrystusa, zrozumiałem również, że takim k r y t e r i u m, czyli Chrystusem, jest moja matka, i czy zrozumiałem, że

było to objawienie mi drogi zbawienia przez przyjęcie mojego obowiązku mojego losu, Mojego Krzyża? Bo jeżeli tego nie zrozumiałem, to nie zrozumiałem nic, i ten ksiądz, który mnie wtedy skazał na 29 lat (28) męki i błądzenia miał rację; gdybym był wtedy poszedł za tą moją pierwszą myślą, stałbym się chrześcijaninem fałszywym; natomiast znacznie prawdziwszym byłem przyjmując K. .... Bo przecież wtedy powiedziałem sobie wyraźnie, że ona jest kryterium - wspomnij na drogę przez pole i widok gór - a szedłem

z listem w kieszeni i pewien byłem wtedy zupełnie, że jej naiwne wezwanie do miłości jest czymś, czego odpychać nie wolno.

Przypomnij sobie dobrze swoje własne założenia! Były dobre! Były mądre. Potem się to wszystko zaciemniło ... prawda ale z kolei w 1961 roku byłem konsekwentny w 1971 też byłem konsekwentny. I jestem w tej sprawie konsekwentny po dziś dzień, chociaż jest to konsekwencja, która niezupełnie mi odpowiada ...

Ale nie myśl, że konsekwencja inna tzn. rozpoczęcie wszystkiego

wedle objawienie grudniowego 1950 dałoby Ci radość każdego dnia!

I w ogóle: radość ... Nie ma radości każdego dnia, nie ma radości za darmo - prawdziwa jest tylko ta odświętna, a najprawdziwsza ta ostateczna, za którą płaci się smutkiem wiele dni.

*

Jak to wszystko opowiedzieć?

Przecież nie mogę opowiadać bezpośrednio.

*

Jedno jest chyba pewne: Bóg mnie nie chciał mieć wśród swoich sług. Gdyby chciał, to tam w konfesjonale u św. Anny, czekałby na mnie ktoś inny.

Ale - z kolei - możliwe jest rozumowanie inne: w konfesjonale mógł równie dobrze siedzieć diabeł, a ja powinienem był wykazać więcej wytrwałości, i wykonać to, co mi tamten wówczas kazał (czytać?) i wrócić do niego lub szukać innej drogi. Widocznie nie zależało mi wtedy tak bardzo. Widocznie motywy nie były tak poważne; jakże

prędko pochwaliłem się Jankowi ... Co prawda, jego "wybuch radości" zraził mnie natychmiast. Zanadto przypominał mi wtedy ... o. Bonawenturę ....

*

Ale jak to wszystko opowiedzieć? ... Tak jak zacząłem.

Czy w ogóle nie opowiadać, a przerobić na pewną teorię, - w tym wypadku na teorię znaków bożych, na próbę ułożenia jakiegoś alfabetu Bożego.

Wilga, 29.7.

Wczoraj pogrzeb Stachury, który powiesił się, uciąwszy sobie przedtem prawą rękę na znak, że nie będzie więcej pisał. Bereza powiedział w mowie nad grobem, że Stachura nie żył, nie rozumiał, nie wiedział, nie myślał - tylko pisał. Obok niego zawodziła po chłopsku matka, w czarnej chustce na głowie podtrzymywana przez - chyba - brata poety: tęgie indywiduum z lokiem na czole, z baczkami, z wąsikiem, w czarnym garniturze i w żółtych, spiczastych butach na bardzo wysokich obcasach.

Stachura był od roku w leczeniu psychiatrycznym. Samobójstwo popełnił po ucieczce ze szpitala, gdzie ukradł ok. 500 pigułek różnych leków psychotropowych. Zażył podobno ok. 300 - popełnił więc samobójstwo w stanie kompletnego oszołomienia z tym, że zamiar nosił w sobie od dawna. Był chorym człowiekiem, ale rodzaj tej choroby i klimat, który ją otaczał zasługuje na uwagę. Grób otoczyli jego wielbiciele - bo miał takich - ludzie, którzy czytali jego pisma ostatnie jako objawienie nowej prawdy, a jego samego uważali za człowieka walczącego o tę prawdę, szamoczącego się z tajemnicą jak Jakub z Aniołem. On sam siebie uważał za proroka i miał takich, którzy tę wiarę podzielali, nazywając go "Guru-Stachuru".

Pozatem otoczyli go koledzy, z których co drugi jest kandydatem do podobnej choroby i podobnej śmierci; ludzie, z których (Henio) Bereza, albo Sandauer, albo Rogoziński układają potem "szkołę", pokolenia i grupy - ludzie gotowi za to pisanie rzeczywiście oddać życie. Było paru z rozpaczy

pijanych - "z rozpaczy!" - których miny świadczyły o tym, że czują się w śmierć Stachury najdokładniej wtajemniczeni, że ją "rozumieją jak nikt". Jeden z nich - Himilsbach - złapał mnie niedawno za klapę marynarki i z wyrazem ostatecznej rozpaczy wykrzyknął:

- Słuchaj mnie: Babel pisał?

- Pisał - odpowiedziałem.

- Faulkner pisał?

- Pisał.

- Ale jak! - zawył Himilsbach i rozpłakał się.

Jest starym, podchodzącym pod sześćdziesiątkę, siwym człowiekiem, a ma takie tylko zmartwienie!

Powinienem był mu odpowiedzieć:

- I to jest twoje jedyne zmartwienie stary, siwy człowieku?

Wczoraj widziałem go jak w pewnej chwili wdarł się w tłum otaczający mogiłę i jak pruł "do Edka", aby wykonać ten jakiś kabotyński numer.

A obok niego stał również pijany i z absolutnym zrozumieniem uśmiechający się Śliwonik - drugi chłopiec siwiutki jak gołąbek.

Zwariowane pierdoły, sflaczeli old-boye epigońska awangarda wariaci, którzy dobrze wiedzą gdzie stoją konfitury, old-boye! A przy nich jakieś naśladujące ich dzieci, które za 20 lat - jeśli żyw będę - obejrzę znów na jakimś pogrzebie, w takim samym stanie upojenia młodością i liryką.

Wiele obłąkanych zjawisk współczesnego świata polega na rozpowszechnianiu, wśród nas obyczajów elity.

Pornografia była rozrywką i przywilejem arystokracji; gołe obrazy i rzeźby zdobiły salony pałaców i były tam na miejscu - oglądając je tam dzisiaj, nie dziwimy się im i uważamy za przejaw osobliwej kultury. Niezmiernie byśmy się zdziwili wykrywając gołe figurki z drewna, wydłubane kozikiem w góralskiej chacie, a garncarza, który wypalałby grupę gołych ciał kłębiących się jak na obrazie Rubensa nazwaliśmy albo maniakiem, albo zawodowym pornografem. Dziś lud ma Rubensa w ilustrowanej gazecie, i to jest pornografia.

Orgie, kombinacje małżeńskie, wolna miłość były również przywilejem bogaczów, i nawet

nikt się temu nie dziwił. Moraliści uważali sami, że pieniądz jest źródłem występku, a chrześcijaństwo właściwie utożsamia bogactwo z grzechem. Lud wyładowywuje swe orgiastyczne skłonności na odpustowych, czy innych, zbiorowych pijaństwach, albo jakichś sezonowych grach. Dzisiaj może sobie to zafundować każdy.

Podobnie - jakkolwiek to z innej beczki - każdy może dziś uczestniczyć w sztuce i każdy może być lirykiem. I to co było osobliwą kulturą grup artystycznych XIX wieku, kulturą cyganerii, rozwłóczyło się jak zaraza: treści liryczne zupełnie podobne do tych, jakie wyśpiewywali, prawdziwi poeci, chłonie dziś szmer ze swego radia: śmierć, miłość, los, nienawiść etc. Większości ludzi wystarcza byle chłoną, brzdęk, ale umysły wrażliwe i te treści i przejmują się, i "idą w drogę" - czy mają, po temu talent, czy nie. Los Stachury i jemu podobnych wydaje się taki sam jak na [...] czy Nervala; niebezpieczeństwo polega na tym, że te krążące w powietrzu zamienia liryczne trafiają na każdy podatny grunt, centrum to, co było

wartością kultury, którego się po prostu w niebezpieczną epidemię psychiczną. Szpitale i poradnie psychiatryczne zmieniają się w kawiarni literatury, a Związek Literatów w dom wariatów.

Od paru lat jem obiad w Związku, do którego gwałtownych ryków jakie wydaje z siebie pijany obłąkaniec i gruźlik - Ratoń. Siedzi w przedsionku kawiarni i lży przechodzącego, oraz siedzących przy stolikach, a ci udają, że go nie widzą, i nie słyszą. Nie można go wyśmiać, bo jest poetą. I gdyby to był taki sam wariat, który zamiast pisać

wiersze i lżyć "po literach", pokazywałby genitalia, a zwłaszcza gdyby nie był znany z nazwiska - wyrzucono by go dawno. Błagają o to lżone przez niego kucharki, ale broni go środowisko, jako "swego", kiedy go któraś z kelnerek wkurzyła zdrowo, jedna z pań wzięła go w obronę, mówiąc: ale to jest poeta!

to bardzo piękne. Powinna była powiedzieć ...

- On jest poetą jak my, a my jesteśmy wariaci jak on. Dlatego nie damy go ruszyć.

*

Dlaczego jesteśmy wariaci? Dlatego, żeśmy drugorzędnej rzeczy przypisali wartość najwyższą. Pisanie jest wspaniałą rzeczą, kiedy służy jakiejś większej rzeczy, ale samo w sobie - samo i dla siebie - jest niczym i poświęcenie mu żywota jest obłędem takim samym, jakim byłoby skupienie całej uwagi na liczeniu gwiazd na niebie. Szukanie w tym chwały osobistej jest pychą wariacką - tą samą z jaką po krakowskich podwórkach obnosił Cezar.

*

Nic nie chcę, tylko przydać się Chrystusowi.

*

30/VII.

Rewelacyjny, niesamowity i zbawczy pomysł: opowiedzieć to wszystko jako zakonnik-ksiądz.

Zakonnik, który jako dojrzały człowiek odbywa nowicjat, i który w trakcie tego, jako zadanie duchowe spisuje historię swego życia, historię swej drogi do Boga,

a kończy się jego ślubami zakonnymi!

1.VIII. godz. 17:00.

-

2.VIII.

Turowicz przywiózł mi tekst z prośbą o poprawki, a ja oczywiście wdałem się w jego (tekstu) gruntowną przeróbkę, która mnie napowrót zasmuciła. Co drugie zdanie wydaje mi się bez sensu i składu. Stanąłem na 3 stronie i - ani rusz! Nie wiem co

zrobić. Najchętniej wyrzuciłbym wszystko do kosza.

Widziałem wczoraj "Dyrygenta". jest okropny!

Polski artysta skoro opuści teren polityki i historii, okazuje się ordynarnym, źle wychowanym dzieckiem, nie ma nic do powiedzenia o najbardziej ludzkich sprawach o miłości, o sztuce, o ambicji. Wajda nie jest reżyserem, tylko organizatorem. Nie pracuje w ogóle z aktorami. Kiedy ma dobrych aktorów - jak Zapasiewicz, albo Cybulski - ma dobry film, a kiedy ma złych - jak Seweryn i Janda - ma złych.

Giełgut jest w tym wszystkim obcym ciałem i ogląda się go jak dewizowy towar na wystawie. Owszem, gatunek dobry i przyjemnie popatrzeć.

Wilga, 3/VIII.

Nie poprawiłem szkicu o Papieżu. Napisałem do Turowicza list, że straciłem dla tego tekstu serce i cierpliwość.

Napisałem też do Wajdy list w 10 punktach żądający poprawek w filmie.

Nie będę więcej pisał żadnych próz: ani powieściowych, ani

"wspomnieniowych". Będę pisał tylko artykuły i eseje.

Wilga, 4.8.

To co napisałem wczoraj - ostatnie zdanie - powinienem przyjąć jako najuroczystsze zobowiązanie. Ogólniej jeszcze sformułowałbym to tak: wyrzekam się zamiarów i ambicji twórczych, a przyjmuję rolę komentatora i krytyka.

Gdybym miał to postanowienie potraktować serio - byłaby to z pewnością najtrudniejsza i najpoważniejsza

decyzja, jaką w życiu podjąłem. Wymagałoby to ode mnie skupienia całej uwagi na odbiór i na rozumienie cudzej myśli, cudzego zamysłu, cudzego gniewu. Byłby to z mojej strony - w tej chwili, akt najgłębszej pokory, na jaki mógłbym się zdobyć.

Będzie to akt czysty tylko wówczas, gdy podejmę go bez żadnych ubocznych myśli i bez żadnych ubocznych zastrzeżeń ("kiedyś, może ... jeśli przyjdzie mi pomysł ...)

Nie - i koniec. Odrazu!

*

Co miałbym (Attention au conditionnel!) w takim razie do zrobienia:

1. Piłsudski dla Zdzisia;
2. Omówienie DiP-u; (Doświadczenie i Przyszłość - przyp. KK)
3. św. Augustyn;
4. Gombrowicz.

W dalszej perspektywie:

1. Skompletowanie szkiców literackich;
2. -"- -"- politycznych;
3. -"- -"- religijnych;
4. uporządkowanie notesów i

skomponowanie z nich książki refleksji, snów, pomysłów, wspomnień - Silva rerum;
5. A potem zobaczymy.

*

Czytanie Dodda ("Założenie? chrześcijaństwa").

Dodd traktuje Jezusa jak kogoś, kto sobie planuje akcję (por. str. 152) zmienia zamiary rozpoznaje sytuację etc. - podczas gdy Jezus - jako Syn Boży - wiedział z góry co Go czeka. Osobliwość ewangeliczna "akcji" polega ona właśnie na tym, że nikt

nie wie co się stanie dalej prócz Jezusa, który wie wszystko.

Dlatego "wszystkie wydarzenia ewangelii mają charakter "czynnej przypowieści, a Jezus występuje jak gdyby w charakterze reżysera wydarzeń, których przebieg i koniec zna doskonale, a tylko zabiega o to, aby spełniły jak największe wrażenie i aby miały dużo świadków.

Wydaje się w ogóle błędem traktowanie historii Chrystusa wedle normalnych kryteriów. Te wydarzenia są nie do zrekonstruowania. Jezus napewno

umarł i uczniowie napewno uwierzyli w jego Zmartwychwstanie. Bez tych dwóch wydarzeń nie przedostałby się do pamięci współczesnych. Reszta jest interpretacją. Natomiast osobowość Chrystusa jest obecna w apostołach, w ich nauczaniu, w całym stylu Kościoła, to znaczy w tym, co jest w Kościele dobre. W tym co Jezusowi przypisywano. Czy naprawdę jadł z celnikami i prostytutkami? Niewiadomo, ale napewno był miłosierny, solidarny z najbiedniejszymi etc. Czy napewno błogosławił dzieci -

niewiadomo, ale z jakich przyczyn poczuwali się do tego biskupi Kościoła etc. Ewangelie nie są świadectwem wydarzeń, ale świadectwem wiary, i jako takie są nieomylne i "natchnione".

*

Kim był Jezus? Inne to już pytanie dla historyka - a odpowiedź na nie brzmi: nikim - a inne - dla wierzącego, chrześcjanina - odpowiedź brzmi zgodnie z duchem naszej wiary: Synem Boga Żywego. A może "Syn Boży"znaczyło tyle, co

"pobożny Żyd"?

*

Wciąż czuję, że "rewolucja Chrystusowa"kryje się w czymś innym, i że jest ona uchwytna w jakiejś jednej zasadzie.

Ogólnie powiedziałbym tak, że Chrystus wymienia strukturę religii archaicznej na struktury nowe:
1) strukturę ofiary na strukturę współdziałania z Bogiem i współżycia we wspólnocie (wiernych ponieważ nie na rzecz wielkiej ofiary, która

przewyższałaby ofiarę samego Boga, to co dawaliśmy Bogu, oddajmy teraz biednym);
2) strukturę "wiernego powrotu" na strukturę nawrócenia (zmartwychwstania).

W związku z tym zmienia się duch modlitwy i liturgii - staje się rozmową z Bogiem - rozmową, której przedmiotem jest relacja - układ stosunków z Bogiem, które przybierają kształt rodzinny; uwaga poznawcza przenosi się z natury Boga na naturę człowieka - tajemnicą złącza się serca ludzkie - miłość, i jej perypetie. W czym się to zawiera? W listach

apostolskich przede wszystkim, i one stanowią świadectwo podstawowe, natomiast Ewangelie wydają się fabułami dostosowanymi do istniejącej już doktryny i utwierdzonej już wiary.

*

"Syn Człowieczy" zasiadający na prawicy mocy bożej znaczy tyle co "człowiek ostatecznie pojednany i zjednoczony z Bogiem" - nowy człowiek, którego prekursorem, zwiastunem jest Jezus Chrystus - Bóg-człowiek (w którym natura ludzka

i boska łączą się w jedno) - człowiek - powiedzmy ostrożnie - tajemniczy, człowiek-sakramentalny - noszący w sobie pełnię Boskiej świadomości i pełnię ludzkiej natury. Wszystko wskazuje na to, że Paweł dowiedział się o Zmartwychwstaniu od Piotra. Ten miał najwięcej powodów do tego aby spotkać Tego, którego się zaparł, aby uzyskać od Niego przebaczenie, a nawet misję utworzenia Kościoła.

Ujmując rzecz cynicznie: Zmartwychwstanie jest głównie mistyfikacją (lub przywidzeniem)

Piotra; ujmując rzecz teologicznie: Chrystus zmartwychwstał właściwie w ekspiacji Piotra, właśnie przez "nawrócenie" Piotra! Właśnie przez nawrócenie tych wszystkich, którzy go dość nikczemnie opóścili (o tym, że Jan stał pod krzyżem, wiemy tylko od samego Jana ..., który z kolei twierdzi, że pierwszy dobiegł do pustego grobu ...

I nie miejmy im tego wszystkiego za złe; nie bylibyśmy inni odważniejsi wśród wydarzeń, ani uczciwsi w pisaniu.

Tak czy tak ewangelie są świadectwem ich poczucia winy,

ich miłości i ich wiary - i z tego zrodził się kościół.

Zresztą podobnie pisze Dodd:

"Mieli absolutną pewność, że spotkali się z Jezusem ... Stanowiło to odzyskanie bezcennego związku osobistego ... Była to także ... ich rehabilitacja po klęsce w godzinie próby". Stali się nowymi ludźmi w nowym świecie, ufnymi, odważnymi, przedsiębiorczymi, przywódcami ruchu ..." (str. 179)

Ale, dla tej zmiany potrzebowali jeszcze czegoś: umocnienia w Duchu Bożym "Pocieszycieli". Zdaje się, że

Duch Św. był wynikiem takiego "rozumowania" po to, aby apostołowie mogli odzyskać niewinność, moc działania, Jezus musiał do nich wrócić; ale zostać nie mógł - więc odszedł do nieba; ale bez Niego - bez Boga na Ziemi - Apostołowie nie mogli wykonać swej misji. Otrzymali więc Ducha - Pocieszyciela, czyli - powiedzmy językiem psychologicznym - Świadomość misji. Zdolność jej wykonania.

Świadomość ta "zstąpiła" na nich, gdy byli razem, gdy się z sobą pogodzili, gdy się zdecydowali na wspólne działania.

Nagle poczuli się wtedy mocni, zdolni, sprawni, i nagle okazało się że wszyscy ich rozumieją. Mogło to być nawet połączone z euforią, której wspomnienie zachowali w zabawnym incydencie - wyszli na rynek w takim stanie, że ich posądzono o pijaństwo.

A może rzeczywiście pili wino "na pamiątkę Chrystusa" i uderzyło im trochę do głowy?

A uradowani podjętym wspólnie postanowieniem kontynuacji dzieła Chrystusowego, podnieceni zrozumieniem jego nauki może

rzeczywiście wrzeszczeli jak pijani?

Podobnie Dodd:

"Wydarzenia które stanowią historię nie polegają na tylko "magiach faktach". Zawierają w sobie nowe znaczenie, jakie fakty te miały dla ludzi, którym się zdarzyły; a realność ich rozpoznaje się poprzez podległe obserwacji konsekwencje ...

I o apostołach:

"Oni sami przeszli przez śmierć do nowego życia. Ciemność i osamotnienie Wielkiego Piątku, jak też nieszczęsny szabat, który po nim

nastąpił wyzuły dla nich życie z wszelkiego sensu. Na "trzeci dzień" jednak "powstali razem z Chrystusem", jak to wyraził Paweł, a to wyznanie nie jest mniej podstawowe od wiary niż orędzie, "Chrystus zmartwychwstał". (180).

7.8.

Ustalmy więc taki porządek:

1. Co wieczór notuję to, co się wydarzyło i w największym skrócie to, co o tym myślę.
2. Co rano tę notatkę przepisuję i myśl moją rozwijam.

3. Włączam do opowieści wszelkie wypowiedzi o charakterze moralno-politycznym, ewentualnie własne przeżycia, jeśli mają charakter publiczny.
4. Stopniowo uzupełniam "ten Pamiętnik", chronologią za lata 1928 - 1955, oraz notatkami (rozwiniętymi i opracowanymi) za lata 1955-1979.

Pamiętaj: poszczególne lata chronologii, poszczególne jej części, a potem poszczególne notatki zaraz na osobnych kartkach, aby można je było potem uzupełniać.

Albowiem ta książka powinna prezentować jakiś polimprest. (Chyba powinno być polimeryzm, wieloczłonowość - przyp. KK)

Całą tą historię inkrustować następnie esejami: o pamięci, o sile słów, o obrazach, o przemienianiu się zdarzeń, o niezręczności, o mitach, czy tematach rozwojowych osobowości (śmierć, obłęd, świętość, dzielność, wierność, udręka umysłowa etc.), o "dyslekcji", o grafomanii, w szczególności o grafomanii "wymuszonej" na sobie samym, o prawdziwym powołaniu, o towarzystwie i o samotności, o

snobiźmie, o gniewie politycznym, o nagonkach, o "przychodzeniu do rozumu".

Te eseje powinny być wyodrębnione i stanowić ciąg przypowieści rozbijających chronologiczny ciąg dzieła.

16.8.

Wszystko je, oczywiście, inaczej, bo zgłosił się Zanussi z zaproszeniem do współpracy nad filmem o Papieżu. Pozatem prof. Skowronek ogłosił w Kulturze polemikę z Kryptą, na co muszę już tym razem odpowiedzieć.

Jak napisać ten scenariusz? Nie wiem. Ma to być rzecz o Papieżu tak napisana, aby On sam w tym nie wystąpił; wymyśliłem coś w rodzaju "biografii równoległej", tzn, zamierzam opowiedzieć historię człowieka, który Papieża czyli Karola Wojtyły nie zna, i nigdy go właściwie nie spotkał, ale którego życie zawiera wszystkie te same składniki, składa się z tych samych wątków, przebiegło przez te same "katarakty"; jest to więc człowiek, który o Wojtyle wie wszystko nigdy z nim nie rozmawiając, i którego los raz po

raz przecinał los samego Wojtyły. Mój bohater jest inny, ale tak samo jak Wojtyła "uwarunkowany"; co więcej życie Wojtyły stało się, czy też było, zawsze osobliwym kryterium jego życia.

Jest to po prostu kryterium świętości.

To się powinno zacząć od rozmowy dwóch chłopców na temat kim chciałbyś być: bohaterem, świętym, zwyczajnym człowiekiem, poetą, aktorem.

Po rozmowie idą do teatru Słowa; tam trafiają na zamieszanie: Lolek oświadczył, że

wstępuje do seminarium. Zamieszanie we wspólnocie artystycznej.

Chłopcy wychodzą - Tadeusz chce zrobić to samo, wpadają w łapankę. Pod strażą idą oczyszczać ghetto.

Nowy kryzys na widok tych cierpień ludzkich.

I: widzimy naszego bohatera po wojnie zbuntowanego.

Awantura z ojcem o matkę.

Psychoza religijna - rozmowa z matką o małżeństwie i cierpieniu.

Idzie za matką do kościoła.

Kazanie ks. Wojtyły.

Zofia i ciąża.

Zofia odmawia skrobanki.

Małżeństwo. Spowiedź u ks. Wojtyły.

Nowa Huta.

Młody robotnik.

proces księży. Odmowa podania, ale za to podpis.

Spotkanie z przyjacielem.

Październik. Syn, który w nic nie wierzy.

Jego degrengolada, szukanie ideału - powrót do owej [...] z czasu okupacji.

Bierzmowanie i kazanie bpa. Wojtyły o Duchu Świętym.

Śmierć syna.

Rozpacz Tadeusza.

Jego samotność. Nie może nikogo znieść przy sobie. Nie może się zrealizować. Wyznanie uczuć. Wszystko dla imienia. Wspomina rozmowę z Wojtyłą, który zrezygnował z imienin. Spotkanie z Marianem, który jest reżyserem - który powrócił do wiary.

Wyprawa w góry - spotkanie z "oazą" - z młodością, która śpiewa i zbiera kamienie. Ofiara.

Same cierpienia. Wywiezienie ojca do domu chorych. Wizyta Kardynała.

Rozmowa z ojcem o cierpieniu

i o służbie.

Błonia.

*

Film, jak mi powiedział Zanussi, będzie zrobiony, czy my w tym weźmiemy udział, czy nie; jest producent, który chce na tym zarobić, Watykan zgodził się i dał na to pieniądze, a Papież nie protestuje. Tylko my możemy zrobić to z sensem i uratować Papieża od śmieszności.

Wilga, 26.8.

Od trzech dni rozmawiam z J.C. I wszystko odtąd wygląda inaczej!

Od dzisiaj nowa zasada: piszę tylko rano, a później pod żadnym pozorem do biurka nie wracam. W ciągu dnia wyrabiam w sobie głód pisania na następny dzień.

To samo dotyczy przepisywania, gdyż jest ono właściwie też pisaniem. Te rozmowy z J.C. muszę spisywać.

Warszawa, 27.8.

Nie wstałem rano, źle się czuję, pochmurno, głupie sny.

Zupełnie zgubiłem plan filmu. Już mi się wydaje bez sensu ten, który tydzień temu naszkicowałem.

*

Nie wiem zupełnie co zrobić z "Kryptą". Nie potrafię nie tylko odpowiedzieć na zarzuty, ale nawet przypomnieć sobie o co mi chodziło, gdym tę szkodliwą bzdurę pisał.

jedno jest pewne: ten szkic w całości obronić się nie da.

Można obronić jego tezę generalną, a inne bronić lub

oddawać - unikać natomiast obrony ostrości, bo bym w takim razie wpadł w dalsze, nowe nonsensy.

Wilga, 2.9.

Był ks. Boniecki. Przywiózł kalendarium Jana Pawła. Przeczytałem ile mogłem w ciągu 2 dni i w trakcie pracy nad odpowiedzią prof. Skowronkowi, i ręce mi opadły. Ten człowiek jest jeszcze bogatszy i jeszcze ciekawszy, niż myślałem, i wszystko wskazuje na to, że po prostu nie byłem godny spotkania

z nim, i nadal nie jestem. Kiedykolwiek i gdziekolwiek spotkałbym się z nim, czy u św. Floriana w 1950 roku, czy gdzieś jeszcze wcześniej, czy potem już jako pisarz z biskupem, czy dzisiaj jako zadyszany konwertyta z Papieżem, pędzący, aby go gdzieś doścignąć, aby go złapać za kraj sutanny, gdziekolwiek bym mu wszedł w drogę, zwaliłbym mu pod nogi moje nerwice, narobił zamieszania moimi zabiegami, i czyste powietrze, w którym on przebywa, i które wokół siebie stwarza, zatrułbym fałszem, którym jestem do cna przeniknięty. Nie byłem i nie jestem godny, i czuję jak nie mogę się z tego podźwignąć, jak nie mogę się wyzbyć tych duchowych bolestów. Dotychczas myślałem, że z moim wnętrzem mogę robić co mi się podoba, że wystarczy, abym powiedział "chcę", a będzie tak jak chcę. Ale ten nie jest. Mam do czynienia ze zwartą, stwardniałą, rządzącą się własnymi prawami naturą złożoną ze wszystkich rzeczy, które budzą mój wstręt - z ambicji przede wszystkim, z zawiści, z zawiedzionych oczekiwań, z pamięci o rzeczach złych, z

niespełnionych uczuć, z żalów - mam do czynienia z naturą, która jest moja, choć uformowana w całości przeciw mnie. Rozmaicie dotąd odczuwałem wewnętrzne podzielenie: jako niemożność czynienia dobra, lub walkę różnych motywów, jako pożądanie budzące jednocześnie wstyd, jako skłonność do ofiary z siebie i zarazem bunt w imię poniżonego ja, rozmaicie, ale zawsze jako układ dynamiczny. Teraz to podzielenie oglądam z prawdziwym przerażeniem, jako coś co jest mi już nadane, i to nadane na zawsze; jako coś co jest

mi nadane z moim własnym udziałem, z mojej winy. Oto mam co chciałem. Dokładnie to. Otrzymałem spełnienie moich pragnień i skrytych życzeń, i jestem głęboko nieszczęśliwy. Odczuwam to podzielenie wewnętrzne jako wieczny wyrok. I odczuwam dopiero teraz jego powagę, podczas gdy dotąd przyglądałem się moim walkom wewnętrznym, jak teatralnemu przedstawieniu.

O co mi teraz chodzi? Ach, o tak wiele! Wszystkie pragnienia całego życia kłębią mi się teraz pod czaszką i kłócą się między

sobą, jak spadkobiercy w domu zmarłego; wszystkie pragnienia mojego całego życia, kłócą się między sobą o to, które z nich będzie mnie reprezentować należycie, które spełni dokładnie moją ostatnią wolę. Bo ja mam tylko jedną rzecz do spełnienia, a nie wiem, która to ma być.

To znaczy wiem, ale wciąż nie mogę do owego mojego nowego przekonania zaadoptować mojego organizmu ...

W gruncie rzeczy, niechętnie to wszystko piszę, i wcale nie czuję, aby pisanie było moją organiczną potrzebą. Spełniam to

jak obowiązek. Świadomość życiowej pomyłki, jaką był wybór tego właśnie zawodu jest dla mnie całkowitą nowością. Ze zdumieniem widzę, przypominam sobie, żem się na to pisanie zdecydował pod naciskiem moich kolegów.

*

Dlaczego właśnie poszedłem na polonistykę? O studiach polonistycznych słyszałem od Hanki - podobały mi się jako nieustanne lekcje polskiego, które lubiłem najbardziej. Byłem

dobrym polonistą, tzn. dobrze pisałem, dobrze czytałem, rozumiałem, interpretowałem. Ciekawiło mnie życie literackie jako gra stylów, ambicji, indywidualności - jako swoisty teatr, w którym występują charaktery zapisane. Owszem miałem ochotę wziąć w tym udział. Zaczynałem, próbowałem pisać, ale były to próby dość rozpaczliwe. Wymyślałem skomplikowane fabuły, zawsze bardzo współczesne, zupełnie wyzbyte z poezji - tj. z fantazji z prób wypowiedzenia siebie, interpretacji świata w całości - ciężkie wypracowania, w których najwięcej uwagi poświęciłem opisowi krajobrazów, lub domów, czy mebli. Próbowałem pisać wiersze, w których nie osiągnąłem nawet swobody grafomana - owej lekkości, która rasowemu grafomanowi pozwala zapisywać całe zeszyty. Radość sprawiło mi opowiedzenie o tajemniczym gościu - przebudziłem się raz (było to przed maturą) z gotową historią o kimś, kto przychodzi do mnie przeegzaminować z życia i zdecydować o tym czy mam być dopuszczony do matury. Ja mówiłem, on zaś śmiał się tylko

"ha, ha, ha" ... Pamiętam, że wypisywanie tego "ha, ha, ha" sprawiło mi dużą przyjemność, niemal muzyczną. Moja spowiedź składała się z samych niespełnień. Było tam - pamiętam - niespełnienie poetyckie i niespełnienie erotyczne. Na końcu tajemniczy gość poważniał, wyciągał z torby strzykawkę i prosił o odwrócenie się do niego plecami, uspokajał mnie, wyjaśniał, że jest po prostu lekarzem - psychiatrą, i wbijał mi igłę w kark.

Myślę, że ten kilkuminutowy utworek - jedyny w moim życiu - jaki napisałem d'un seul trait, był wyrazem ostatecznej rozpaczy, i że po nim powinienem był zadać sobie pytanie "co dalej". To był właśnie znak pustki - znak, że na wszystkich wybranych przeze mnie wtedy drogach życia duchowego, zawodowego i osobistego czekało mnie niespełnienie. Tego ducha nie umiałem wtedy odczytać. Zrozumiałem, że jest to zachęta do pisania. Poczułem się utalentowany i napisanie tego utworu służyło mi za argument zawsze ilekroć wątpiłem w to, czy mam jakikolwiek Talent.

Wszystko więc interpretowałem na korzyść moich ambicji - jak głupiec - głupiec, którym wedle mego przekonania jest każdy, kto wszystko tłumaczy sobie na swą korzyść.

Z tej głupoty nie uwolniłem się po dziś dzień. Nadal wierzę w to, że się pewnego dnia we mnie duch rozbudzi, i że spod mojego pióra, z mojej maszyny, zaczną spływać arkusze pięknej prozy. A ja mam 51 lat i naprawdę już niewiele mogę w życiu planować.

Zresztą wszystkie plany są nierealne, bo raz po raz wchodzi do mego domu intruz, rozsiada

się, gada i wychodząc zostawia nowy balast.

Teraz wszedł intruz całkiem osobliwy: Zanussi ze swoim filmem o Papieżu.

Zgodziłem się na to zanim mnie zapytał o zgodę i zanim się zastanowiłem. Właściwie bez namysłu.

Motywy są proste.

1. Chcę brać udział w tej imprezie i gdyby Zanussi nie zwrócił się do mnie, czułbym się obrażony. Głupi motyw, ale silny i nie mogę udawać, że go nie ma.
2. Chcę poprzez ten film wejść w kontakt z Papieżem. Też głupi

motyw, bo jeżeli film będzie zły - a wszystko na to wskazuje - będzie to kontakt wykoszlawiony.
3. Chcę się tym zajmować, bo mnie to - tj. Papież i jego życie - rzeczywiście interesuje. Też głupi motyw, bo zajmuje się nim od najgorszej jak gdyby, tj. anegdotycznej strony.
4. Mam uczucie - niejasne - że nikt tego nie zrobi tak dobrze jak ja. To byłby pierwszy motyw jako tako zrozumiały i zbliżony jest do motywów twórczych, gdyby miał takie pokrycie w rzeczywistości.
5. Toteż głównym, lub powiedzmy decydującym motywem było to, że - jak mi się zdawało - miałem na ten film pomysł. Ale czy go mam nadal, wątpię wobec tego kalendarium, które zmieniło mi zupełnie obraz człowieka. Nie wystarczy pokazać cień przechodzący przez życie, bo jest on, przeciwnie, smugą światła, i nie wystarczy opowiedzieć o kimś, kto o nim wie z daleka, bo jego prawdziwa wartość realizuje się dopiero w bezpośrednim kontakcie niemal w dotknięciu ręki, w akcie przyjaźni, miłosierdzia, modlitwą, wyrzeczeniem, ascezą. To nie jest już tamto inne życie, inny los, to

nie jest wariant mego własnego losu (jak sądziłem), ale zupełnie inna jakość istnienia, wyższa od wszystkiego, co dotąd widziałem i co sobie dotychczas umiałem wyobrazić. To jest naprawdę ktoś podobny do Jezusa Chrystusa, i o Nim świadczący tak jak świadczyli święci. To jest święty.

6/9.

Szklanka wody - nie odmówię sobie szklanki wody.

Skaza.

"Cały jesteś w swojej skazie".

Zaspokojenie potrzeby serca -

rób to, czego pragnie twoje serce.

Rozmowa na pięterku.

"To umarło w całości, i może odżyć w całości. "

7/9.

Dziwne: jak gdybym wcale nie żył. Wszystko przebiega obok mnie; jak za oknami pociągu. Nie dotyczy mnie. Dochodzą do mnie [...] słów - słowa bez znaczenia.

*

Żyję do tyłu. kiedy byłem młody, żyłem do przodu. tamto

mnie zgubiło, to mnie gubi.

Wilga, 8.IX.

Gdybym rzeczywiście rozmawiał z J.C. tak jak postanowiłem i zacząłem, nie wypisywałbym takich bredni, których wstydzę się sam sobie powtarzać i za które, choć mnie przychodzą do głowy, nie biorę żadnej odpowiedzialności. To nie moje myśli!

Wiara w diabła jest oparta na strachu i głębokim doświadczeniu człowieka, i to nie na doświadczeniu ludowym, lecz (jak

wszystko co zostało włączone do kultury) na doświadczeniu intelektualnym: że mianowicie istnieje w człowieku sfera, za którą nie bierze odpowiedzialności. Są to myśli, które pajawiają się same przez się, i czyny, które również pojawiają się same przez się. Są to myślowe i fizyczne odruchy, i jest to część naszego życia, które dokonuje się poza wolą i poza inteligencją, część naturalna - nasza pępowina łącząca nas z ziemią. To jest dzieckiem diabła - duch tej ziemi.

*

Rozmowy z J.C.: nie wolno Go nudzić
powtarzać rzeczy znanych
kłamać (wie i tak)
udawać (nie ma po co)
wstydzić się (zna motywy).

*

Stosunek do Pisma i Tradycji: Pomimo wszystkich aberracji wiemy o co idzie, i to widać już w listach św. Pawła, który z całej Tradycji, już wybiera to co najistotniejsze.

W całej historii Kościoła, w

całej historii Objawienia i nauczania, widać tę nienaturalną pracę selekcyjną. Selekcjonuje, a przecież wiara nasza bynajmniej się nic nie zmniejsza, ani też Chrystus, nawet bez apokryfów, nie jest przez to uboższy.

*

Wilga, 9.IX.

Poza żalem i poza nadzieją, w czystej wiedzy, że On dobrze chce dla mnie i ja dobrze chcę dla niego ....

*

Powołanie oznacza jakiś główny kierunek miłości danego człowieka. Tam, gdzie się jest powołanym, tam się nie tylko kocha, ale tam się daje siebie z miłości." ...

... (Osoba) najbardziej realizuje siebie przez to właśnie, że najbardziej siebie daje". (Wojtyła Miłość i odpowiedzialność, str. 51.)

Warszawa, 10.IX.

Przeczytałem brulion, który

nazywam "Moją sprawą" - bo jest jak narazie czysto prywatne. Wydaje mi się to bardzo dobre i ważne. Jeżeli to uporządkuję i potrafię kontynuować ad infinitum aż do śmierci, będę miał zawsze co robić i będę miał po co żyć. Jest to pomysł napisania swego własnego życia w formie "nauki zbawiennej i pożytecznej". bardzo dobrze.

Ale trzeba to pisać całym sobą - całą energię, całą pamięcią i całym czasem. I trzeba to publikować; trzeba dać się poznać jako autor tej właśnie książki.

I trzeba odbyć lektury

przygotowawcze:

Montaigne

Seneca etc. ... aby ta książka nabrała myślowego ciężaru.

Proust - oczywiście

Jan Krzysztof

Wszystkie "żywoty" ...

Prawda i zmyślenie

Pozatem biografie!

Zająć się też teoretycznie sprawą biografii, jako pewnej struktury.

Biografia i biografistyka.

Hagiografia.

Legenda.

Mit osobowy.

Osoba i czas. Osoba

realizująca się w czasie.

Mit i osoba.

W ogóle: rusz się chłopcze.

11.9.

Wszystko wskazuje na to, że moich "bohaterów" trzeba opanować na nowo.

Ale jak?

1. Dobór bohaterów w tradycji polskiej. Pojawienie się bohaterów klęski. Czy to jest Polska specyfika?

Porównać z bohaterami innych narodów.

12.9.

Dziś od 4:15. Nowela.

Wytyczne co do "bohaterów".

Smoleński: Konfederacja Targowicka 434 - tam wiadomość o tworzeniu legendy Kościuszki przez frakcję puławską.

Rola Izabeli Czartoryskiej w tworzeniu legendy Kościuszki - Szukać!

Relacja K. z bitwy pod Dubienką: w broszurze "O ustanowieniu i upadku konstytucji 3 maja w zmyśleniu, [...] (38)

Nastroje społeczne insurekcji. (W. Tokarz, Bibl. Warsz. 1911,

IV).

Brosz. "Czy Polacy mogą wybić się na niepodległość" - autorswo, rola Kościuszki i doktryna tej broszury.

W. Hahn: Kościuszko w polskiej literaturze dramatycznej.

R. Arnold: Kościuszko in der deutchen Litteratur.

"Pamiętniki Rogozińskiego" - K. Gaszyński.

Opowiadanie Józefa Pawlikowskiego (w "Weteranie") o spotkaniu K. z Franklinem. Powtórzone przez Siemicińskiego.

Wilga, 17.IX.

27 rocznica śmierci Matki.

Jak gdybym ją po raz pierwszy przeżył naprawdę. Jak gdybym po raz pierwszy naprawdę żałował. jak gdybym teraz dopiero budziła się moja miłość do Niej. Zaczynam rozumieć czego jej odmówiłem i czym ją skrzywdziłem.

*

Pisanie noweli o Papieżu. Właściwie o sobie. Jestem w momencie newralgicznym. Czuję, że mi się ta opowieść z serca

wylewa, ale i tak jest niezdarna.

*

Myśl uciekła mi na chwilę, ale ją notuję, żeby nie była całkiem daremna: uważam, że Papież robi za dużo gestów symbolicznych, a za mało darami rządzi. Zanadto rozdaje swoją osobowość i swoją biografię, za mało formułuje, definiuje, dyktuje.

Gdybym miał Mu radzić, doradziłbym nawiązanie rzeczywistej rozmowy ze światem przez organizowanie środowiskowych synodów w

Watykanie. Już nic nie można zrobić bardziej symbolicznego od tego, co zrobił Paweł VI, gdy odprawił Pasterkę w tunelach metra, ubrany w kask robotniczy. I już każde dziecko na świecie wie, że Papież był robotnikiem. Niechby sobie i był. Nowością będzie, gdy robotnicy będą sami o swoich problemach przemawiać w bazylice św. Piotra. Urządzić Synod Robotniczy! Obrady nad ewangelizacją zakładów pracy i osiedli robotniczych w obecności Papieża i biskupów ordynariuszy włoskich - z udziałem delegatów związkowych i obserwatorów

socjalistycznych i komunistycznych - potem Synod międzynarodowy ... Potem Synod Młodzieży, potem Synod inteligencji etc. Kościół musi wyraźnie powiedzieć w jakim stopniu identyfikuje się z problematyką współczesnego świata, a nie tylko powiadamiać ów świat uroczyście, że wie o jego istnieniu.

*

Cała sztuka: nie łudzić się, ale mieć nadzieję.

Nie łudzić się w rzeczach, co

do których łudzić się nie należy i mieć nadzieję co do tych, które na nadzieję zasługują.

Ja zawsze się myliłem.

Na czym polegają te pomyłki - na tym chyba, że złudzenie jest uczuciem tańszym, a nadzieja droższym. Łudziłem się spodziewając się korzyści łatwych; odmawiałem nadziei, bo się trzymała z wysiłkiem. Np. łudziłem się co do socjalizmu w Polsce i co do pozytywnej ewolucji PRL, bo mi te złudzenia przynosiły korzyści bez wysiłku, a straciłem nadzieję, co do Kościoła, bo wymagał ode mnie wytrwałości i męstwa.

Ale czy to jest reguła?

Można powiedzieć, że czasem więcej męstwa wymaga brak nadziei, niż jej brak - takim męstwem wydawało mi się niegdyś zerwanie z Kościołem i tradycją patriotyczną. Wtedy się pomyliłem, ale kiedy indziej mogłem mieć rację. Ale uważajmy na to, czy wzamian za oddaną darmo nadzieję, nie kupujemy za wysoką cenę małych złudzeń - uważajmy: zdaje mi się, że to jest reguła.

Co dziś jest złudzeniem, co nadzieją? Ewolucja PRL?

Ewolucja opozycji? Wieczny pokój? Rychła wojna? Długie gnicie? Nagły przewrót? Cud?

Może reguła jest taka, złudzenia dotyczą rozwiązań ludzkich, a nadzieja tych boskich.

Kierować się nadzieją, to znaczy egzaminować rzeczywistość z prawa Bożego, które jest niezmienne.

Ale jak ono się wyjawia, kto je tłumaczy? Kościół czasem milczy. W czasie wojny milczał - czy należało milczeć także?

Wilga, 18.IX.

W mojej noweli doszedłem do punktu, który muszę wyjaśnić niezależnie od fabuły, poza fabułę. Jej bohater - Tadek - pisarz, "intelektualista" uległ anarchizmowi. Przede wszystkim trzeba powiedzieć jak uległ. To w mojej noweli nie zostało dotychczas powiedziane. Dlaczego Tadek po powrocie z wojny, wszystko wokół siebie niszczy?

Teraz musi to właśnie wyjaśnić Marianowi. Ten zaś, jeżeli reprezentuje oprócz siebie, także punkt widzenia Kościoła, punkt widzenia biskupa, musi tej

jego destrukcyjnej pasji przeciwstawić swe własne doświadczenie, czy też swą własną dobrą, konstruktywną wolę. Po prostu wiarę.

Nawiasem: uprzytomniłem sobie teraz, że nigdy, przez wszystkie lata mojego umysłowego dojrzewania, nie miałem partnera do ideowej rozmowy - do rozmowy o ideach w postawach. Nie było takich rozmów w naszym środowisku polonistycznym i literackim. Nie było zwyczaju wspólnego komentowania wypadków. Myśmy przeciw sobie intrygowali: wybierało się "ideologie", "światopoglądy" w całości (szczególne upodobanie Puzyny, który np. oznajmiał, że będzie marksistą), dla kogoś lub przeciw komuś. Janek był katolikiem, Ludwik marksistą, Puzyna chwiejnym oportunistą (jak sam siebie określał) - a Olgierd i ja dwa biedne głupki - oscylowaliśmy między dwoma biegunami. Nikt natomiast nie analizował rzeczywistości, nikt nie zajmował się jej badaniem od strony zdarzeń. I nikt nigdy nie postawił zagadnienia etyczności. Rozpatrywaliśmy rzeczywistość i

nasze o niej myślenie z punktu widzenia poprawności myślowej oraz - ja szczególnie - z punktu widzenia stylu. Dlatego w końcu Gombrowicz nas opanował. W stylu zastąpił myślenie. Warto napisać rozprawę pt. "Gombrowicz - czyli o stylu i etapie myślenia".

*

Dobrze, ale gdzie nasza myśl?

Co mianowicie ma Tadek powiedzieć Marianowi, kiedy go spotyka po tym wszystkim?

Wilga, 29.IX.

Ci, którzy całą swą siłą umysłową i moralną przeciwstawiali się marksistowskiemu reżimowi, stali się w swych umysłach (o ile nie byli tak swoiście ukształtowani jak katolicy, a zwłaszcza jak katolicy aktywni w kościele) negatywnym jego odbiciem i po dziś dzień żyją jego resztkami przetrawiając je w nieskończoność. Np. Najder. Ja zachowywałem się wobec systemu instynktownie jak pływak, który nie chcąc, aby go fala przeniosła, daje się jej trochę ponieść i

zawraca dopiero wtedy, gdy mu się przewali przez głowę; albo jak kierowca, który kiedy wpadnie w poślizg, pozwala jego samochodowi, razem się poślizgać, aż straci pierwotną siłą - wtedy spróbuje go wyprowadzić.

To ryzykowna taktyka, bo nigdy nie wiadomo jak daleko fala zaniesie i jak daleko wóz się ślizga, ale jedyna dla tych, którzy wobec siły systemu stają nieuzbrojeni przez inny, antagonistyczny system: właśnie jak katolicy, a zwłaszcza księża.

Wilga, 20.IX.

Trzeba jakoś zmienić "bieg" noweli.

Październik i konsekwencje to proste.

Trzeba uwagę przenieść na dziecko Tadka.

Scena bierzmowania, ale z jego punktu widzenia.

A może wszystko opowiedzieć z jego punktu widzenia?

Jak ojciec niszczy książki.

Bierzmowanie: policzek biskupa i policzek ojca.

Konflikt z ojcem, porozumienie z matką.

Ucieczka z domu.

Sprzysiężenie, jakaś granda, jakiś zawód.

Oaza.

Ojciec, który go szuka, mały, który ucieka.

Biskup go ściąga. Skądś ...

Rozmowa z nim - i chłopak postanawia zostać księdzem.

Dlaczego?

Święcenia.

Prymicje: Tadek przystępuje do niego i otrzymuje błogosławieństwo i przeprosiny.

Dlaczego Andrzej został księdzem, wzór osobowy.

Jest zafascynowany bardziej Wojtyłą niż własnym ojcem.

Porównuje: Wojtyła zawsze wiedział czego chciał, ojciec nie.

Był prawdziwym mężczyzną, prawdziwym ojcem!

[...] dopisek na lewej stronie AŚ [...]

1. Tadek niszczy książki, syn go podgląda.
2. Marian - nowa kłótnia?
3. Bierzmowania - policzek biskupa i policzek ojca.
4. Obóz harcerski - pamiętając o tym co ojciec powiedział i co biskup - Andrzej występuje odważnie z prośbą, że chce iść do kościoła, i porywa za sobą grupę.
5. Trafia na biskupa

odprawiającego mszę nad jeziorem. Kazanie biskupa.

Nocna rozmowa przy ognisku.

6. Jakiś konflikt z ojcem - może o wybór zawodu - dziewczyna, która go uwodzi i zawodzi.

Środowiska narkomanów i jakichś kultów.

Ucieczka do oazy. Ojciec go chce sprowadzić do domu siłą.

Andrzej ucieka w góry.

Spotyka się z kardynałem (*) Jakaś analogia do rozmowy z bogatym młodzieńcem.

Jakieś oznajmienie nieprzegłosowania.

Jakieś objawienie powołania.

Świadomość niepokochania.)

Jakieś spotkanie w górach, we mgle, na śniegu z nieznanym narciarzem:

- Co tu robisz?
- Idę w góry.
- Dlaczego sam?
- A ty?
- Ja znam drogę.
- A ja poznam.
- Ależ się zgubisz.
- Okaże się.
- Na kogo się pogniewałeś?.

*

1. Ojciec wyrzuca książki;

2. Bierzmowanie. Policzek biskupa.
3. Konflikt z ojcem - policzek ojca.
4. Ucieczka z domu.
5. Złe towarzystwo, klęska.
6. Dobre towarzystwo, Kardynał - przełom.
7. kapłaństwo, pogodzenie się z ojcem.
8. Ojciec w zakładzie u swego ojca. Występ Barbary. Kardynał.
9. Konklawe. Wywód: był taki jak my ... No, nie - lepszy.
10. Błonia.

Wilga, 21.IX.

Co z tym wszystkim zrobić?

Inaczej żyć, inaczej myśleć, inaczej pracować.

i skupić się bardziej na obowiązkach i wypełniać lepiej to, czego ode mnie ludzie oczekują.

Aby być konsekwentnym; powinienem ustąpić z Twórczości, gdzie nie spełniam żadnych funkcji i zająć się wyłącznie pisaniem. Ale tego nie zrobię. Więc - aby moja praca w Twórczości miała jakiś sens, muszę pisać. Wznowić więc Dedala - absolutnie!

Obserwować ruch

wydawniczy de plus pres i wyciągać z tego jakieś wnioski.

Pozatem pisać eseje i składać je w jakieś całości.

W Dedalu zająć się m.in. biografiami. Biografie i pochodne.

Z.

22.IX.

Nie mogę się uwolnić od uczucia, że jestem kompletnie zatrzymany w rozwoju, użyty do rzeczy, do których się nie nadaję i postawiony w sytuacji, której nie chcę i nigdy nie chciałem. Zastanawiam się nad przyczynami obiektywnymi tego stanu rzeczy i nad błędami, które popełniłem je sam i ci, którzy mieli na mnie wpływ, i nie mogę dość nadziwić się jak logicznie wszystko się składało, i jak nielogicznie postępowałem. Chciałbym odkryć jakiś jeden główny, podstawowy błąd, aby go wyeliminować. Nie mogę. Ale chyba ten: brak odpowiedniego namysłu. Brak uwagi dla osób i dla zdarzeń. osoby traktowałem jak intruzów, zdarzenia jak przeszkody. Nie przyszło mi do głowy, że każdy człowiek wnosi do mojego życia coś nowego, i że każdy oczekuje

ode mnie (lub ma prawo oczekiwać) czego nowego. Że każde zdarzenie o czymś mnie informuje, i że z kolei ja, odpowiadając na tę informację, przyczyniam się do wyjaśnienia całej rzeczywistości. Nie przyszło mi do głowy to, że waga rzeczywistości, tzn. znaczenia rzeczywistości, nie kryje się w jej bezwładzie, który mnie oddziela od rzeczywistości optymalnej, ale że polega na niepowtarzalności wszystkich jej elementów. Każdy jej element objawi mi się tylko raz; każde zdarzenie i każdy człowiek, każdy zbieg okoliczności, każda zła i dobra przygoda, spotykają mnie tylko raz.

To mi nie przyszło do głowy. Stąd apatia, z którą przyjmowałem wszystko co mi się wydarzało, czyniąc swój charakter i swój los wypadkową cudzych działań, oraz niezależnych ode mnie zbiegów okoliczności.

Obudziłem się bardzo późno. Niewiele mogę już zmienić; mogę najwyżej o tym opowiedzieć.

*

Było jakoś tak, że ludzie:

zdarzenia przepływali przeze mnie strumieniem nie pouczając mnie w niczym, a tylko żłobiły we mnie głębokie ślady.

Pamiętam je dzięki temu - bo dawały się zapamiętać, umiałem je zapamiętać, ale się nie zmieniłem. Moja wrażliwość moralna wyrażała się w tej zdolności napiętnowania ich, a nie w zdolności do natychmiastowej, moralnej właśnie reakcji. Zamiast mówić sobie: to nie dla mnie, nie chcę w tym, przy tym być, tkwiłem biernie, patrząc a nawet udając (niezdarnie), że mnie to bawi, i że - w gruncie rzeczy - jestem z tej samej gliny. Dlatego np. nigdy nie wyraziłem mojej dezaprobaty dla wyraźnego zła, które dokonywało się w mojej obecności - jakkolwiek byłem i jestem tak krytyczny wobec różnych ludzkich wad, ułomności, czy śmieszności. "Głupota"była dla mnie niewybaczalna - i nie miałem dość ostrych słów nawet dla bardzo szlachetnych ludzi, których uważałem za głupków, tzn. takich, co szlachetni są dlatego tylko, że nie ogarniają całej sytuacji (za głupka miałem Jana Wiktora, czy nawet Gołubiewa); nikczemnik, który jak

mi się wydawało, ogarniał, całość; zasługiwał w moich oczach na dyplom "inteligentnego" i wybaczałem mu wszystko. Do takich zaliczałem Kotta, albo Andrzejewskiego.

Skąd pochodziły te standarty, inteligencji? Por. Standart inteligencji w klanach towarzyskich opisanych przez Prousta.

Właściwie zdolność do zła była wtedy w moich oczach lepszym znakiem umysłowej jakości od skłonności, od przywiązania do dobra. Dobrych miałem za naiwnych (a więc za takich miałem katolików, bo przy każdej okazji mówili o tym samym, np. o wartości osoby ludzkiej), a złych za inteligentnych, lub conajmniej bystrych. Wolałem więc Machejka od Kisiela, bo pierwszy wiedział wszystko o systemie, któremu służył i odkrywał, ku mojej uciesze, coraz to nowe jego osobliwości, a drugi powtarzał w kółko to samo; pierwszy wiedział, że inaczej być nie może, a więc dobre jest to, co jest, drugi zaś traktował tę zdeterminowaną rzeczywistość tak lekko jakby była tylko czyjąś pomyłkę i jakby

nadawała się do naprawy:

-+-

godz. 16 - może teraz?

-+-

Nie mój to jest czas, i tracąc go nie swoje tracę.

-+-

Wilga, 25.IX.

Opowieść o bezzębnym człowieku w szpitalu, o księdzu ze św. Anny i o dalszych konsekwencjach, a także o pozytywnej i negatywnej roli ks. W. w tym wszystkim - nie uwolnię się od niej nigdy, jeżeli jej w końcu nie zapiszę. Ilekroć ją sobie przypomnę, zastygam na godzinę w bezładzie, i opowiadam ją sobie (a raczej jemu - K.W.). Z podziwem dla jej osobliwej logiki. Muszę to wszystko opowiedzieć, bo w przeciwnym razie wszystkie te opowieści zabiją mnie tak, jak zabiły moją matkę.

A lire: E. Mautoux: The Carthaginian Peace.

Warszawa, 3.X.79.

Zajrzałem znów do moich powieściowych teczek i

zadrżałem: wszystko nieudałe, wszystko to razem - w kółko te same tematy i sceny - i gdy pomyślałem, że znów mógłbym spędzić godzinę na ich nieskończonym przepisywaniu i porządkowaniu, zrozumiałem wreszcie, że mój diabeł jest właśnie w tych teczkach ukryty; jest to diabeł "krytyczny"! Czyż to, żem się kiedyś uznał za "artystę", za pisarza, nie zdecydowało o mojej umysłowej i moralnej aberracji? Cofnij się znów do r. 1950 albo 1946 kiedy mi to już po raz pierwszy przyszło do głowy!

Nigdy więcej! Raz złamałem (dosłownie) pióro i spaliłem, nie czytając, wszystkie moje poetyckie rękopisy. Powinienem teraz zrobić to samo, a zająć się wyłącznie myśleniem.

5.X.1979.

Zaproszenie do Lublina na Tydzień Eklezjologiczny. Mam coś wygłosić w cyklu "Świadectwa niepokornych".

Wydaje mi się, że to było by właściwe miejsce i właściwa okazja do opowiedzenia mojego

"nawrócenia" w roku 1950 i odpowiedzieć na pytanie czy chrześcijaństwo jest oryginalne.

W kościele św. Krzyża od wczoraj - czy przedwczoraj - głodówka w sprawie 10 uwięzionych Czechów i dwóch Polaków. Głodują m.in. Kuroń, Michnik, Mikołajska, Markuszewski. A także Czuma i Janusz z Ropcia. Czy posłać im list z wyrazami solidarności? Trochę mi "wypada", bo to znajomi, a pozatem zwracali się do mnie z prośbą, abym był ich mężem zaufania, ja zaś odmówiłem. Cel piękny - solidarność z Czechami, o których pisałem. Tyle, że sama "instytucja" strajku głodowego odpycha mnie swoją teatralnością; odpycha mnie też quasi-religijny styl manifestacji politycznej. Idea postu jest czysto religijna, i właściwym adresatem wszelkiego umartwienia jest Bóg. Przez udręczenie ciała Postem i biczowaniem człowiek wyzwala duszę i zbliża ją do Boga. Chrystus pochwala posty, ale prosi, aby ci, którzy je uprawiają nie trąbili o tym na ulicach, nie smarowali sobie twarzy popiołem, ale - przeciwnie - starali się

zachować zdrowy i rześki wygląd tak, aby nikt nie poznał, że poszczą. W strajku głodowym zmienia się idea, adresat i styl: ideę umartwiania zastępuje się ideą wywyższenia, albowiem strajkujący swym głodem upokarzają wszystkich, którzy w tym samym czasie odżywiają się normalnie, adresują swe umartwienie do wrogiej siły, jaką jest państwo w tym wypadku, przeto z aktu miłości Boga, robią akt agresji, a ciszę i dyskrecję, jaka z natury powinna towarzyszyć wszelkim aktom umartwienia, zastępują hałaśliwą reklamę. Oprócz religii i religijnych są też inne, które również w tym wypadku zostały pogwałcone: strajki głodowe bywały aktami rozpaczy - np. więźniów i w takich razach prowadzone były aż do śmierci. Ta złagodzona, na długo przedtem zapowiadana forma strajku głodowego jest w stosunku do swej pierwotnej, tj. desperackiej, samobójczej wersji tym co towarzyski, pojedynek "do pierwszej krwi", w stosunku do "sądu bożego".

Nie jestem więc na tyle przekonany, abym miał wyrażać

swą solidarność.

Wyrazić solidarność tzn. być razem ... Wcale nie jestem razem z nimi, ani być nie chcę.

Przeszkadza mi jeszcze świadomość, że głoduje znana mi dobrze "ferajna" kalkulująca na zimno swoje posunięcia. Przeszkadza mi to, że używają Kościoła do swoich demonstracji, i tylko do demonstracji, i obawa, że rozpoczynając tę głodówkę ausgerachnet w dzień rozpoczęcia roku akademickiego, en face uniwersytetu, liczą - jak się zdaje - na poruszenie studentów. A tego to już w ogóle, generalnie nie lubię: brzydzę się, każdą próbą manipulowania ludźmi, mniej świadomymi przez bardziej świadomych.

To ostatnie jest intencją. Gdyby wszakże nie chcieli poruszenia studentów, wzięliby bliskość uniwersytetu i początek roku pod uwagę jako okoliczności przemawiające przeciw temu miejscu i temu czasowi. Jeżeli tego nie zrobili, popełnili albo nieostrożność, albo świadomy akt prowokacji.

A może należy poruszyć uniwersytet?

Do czego? - pytam. Co ma się

stać? Czy ma uniwersytet "powstać" w obronie Czechów oraz Adama Wojciechowskiego? Jeżeli nie, to nie należy go poruszać niejasnymi wiadomościami (jakaś głodówka ... po co? ... wszystko jedno ...), a jeżeli tak ... Jeżeli tak, to nie ma sensu, bo front konfrontacji z władzami jest dostatecznie szeroki: autonomia uniwersytetu, wolność nauczania, cenzura, warunki rozwojowe etc. Kiedy się zamierza porwać masy, trzeba mieć dla nich program, z którym rzeczywiście będą się mogły utożsamiać i którego będą umiały bronić. W razie takiego poruszenia te masy zapłacą najwyższą cenę. Uwięzienie dla Kuronia nie jest ryzykiem - ma je wkalkulowane w swoją działalność, natomiast usunięcie z uniwersytetu chłopaka, którego złapią na tym tylko, że leci i krzyczy, jest klęską życiową. I nie będzie umiał nawet powiedzieć za co wyleciał - z powodu jakiejś głodówki ... o coś ... przeciw czemuś ... - podobnie jak młodzież muzeum przyciśnięta do muru przez swoich "wychowawców" również nie umiała odpowiedzi o co poszło (o jakiegoś Michnika, ... czy o

"Dziady"), a w końcu - domagała się podwyższenia stypendiów ... To się nazywa organizować wydarzenia, których jedynym celem jest to, aby się odbyły.

*

W Wildze.

Przed samym naszym wyjazdem z W-wy zjawił się ks. Seweryniak z KIK-u z bardzo dziwną dla mnie propozycją - wygłoszenia 3 konferencji, w trzy kolejne wieczory Tygodnia Eklezjologicznego na KUL-u.

6.X.

1. Godność i Kultura człowieka.

"Człowiek nie może siebie sam zrozumieć bez Chrystusa"

Tematy dyskusji: godność - obowiązek czy prawo?

Praca - a godność człowieka;

chrześcijańskie znaki sprzeciwu;

zagrożenia współczesnej Kultury;

homo academicus.

2. Kontynuatorzy chrześcijańskiej "tradycji:

"Nie sposób zrozumieć

dziejów narodu bez Chrystusa"

Polska szansa Kościoła, czy odwrotnie.

Słowianie.

Ethos chrześcijański na styku tradycji i współczesności.

Przekaz tradycji w rodzinie i w szkole.

3. Chrześcijanin to człowiek ryzyka.

"Każdy młody chrześcijanin w Polsce podejmuje pewne ryzyko, a dokładniej to samo, które Chrystus nałożył na uczniów.".

(*) "Kościół nie może podobać się wszystkim. "

Kościół jest dla każdego, ale

nie po to, żeby się każdemu podobać.

Kościół jest na całe nasze życie - od dzieciństwa, kiedy jest czczoną bajką, do późnej starości jest wsparciem w jej cierpieniach, - ale nie w każdym momencie życia podoba się i pociesza.

Dojrzewanie, młodość, wiek męski są okresami konfliktów z Kościołem.

Na tle moralności sakralnej, na tle moralności rodzinnej i na tle moralności zawodowej.).

*

Zatem:
człowiek
naród
Chrystus.
Zatem:
zagadka człowieka
zagadka narodu
zagadka Chrystusa.
Zatem:

1. dlaczego człowiek pragnąc tak gorąco wolności odbiera ją innym;

dlaczego tak czuły na punkcie swej godności upokarza innych;

dlaczego - innymi słowy - zabija?

I bajeczka na dobranoc: dlaczego Kain zabił Abla? Bo

Abel był antypatyczny: lizus, prymus, świętoszek, ministrant, harcerz w przedwojennym sensie tego słowa, wzorowy żołnierz, kleryk, kawaler wielu orderów, Budowniczy PRL. Pan Bóg podstawił go, aby wypróbować cierpliwość Kaina. I Kain, oczywiście, nie wytrzymał.

Mamy co prawda inne świadectwa, wskazujące, że Abel był świętym chłopcem, wrażliwym poetą, czułym kochankiem, prawdziwym światłem ziemi.

Ale trudno nam w to uwierzyć - właśnie w to, chociaż

uwierzyliśmy w tyle innych rzeczy, znacznie bardziej niewiarygodnych, jak w to, że Bóg - człowiek narodził się z dziewicy, po śmierci zmartwychwstał, i pozostał pod postacią chleba i wina.

Znacznie łatwiej uwierzyć nam w cud Boży, niż w świętość człowieka.

Dlaczego? Bo jesteśmy dziećmi Kaina!

1. Myślę, że prawdziwe przeświadczenie chrześcijańskie o godności człowieka, to wiara w jego świętość.

2. dlaczego naród?

Fenomen Żydów i fenomen Rzymu.

Fenomen Europy i fenomen USA.

Co stworzyło wielkość Rzymu, a co ją zabiło?

Stworzył ją uniwersalizm, zabiły ją mody.

Ale co stanowiło o wielkości Rzymu?

Patrzcie na USA: mówimy, że istnieje tam pęd do określenia narodowego gruntu? Może właśnie w gettach polskich i włoskich, irlandzko-murzyńskich i portorykańskich, bije Ameryce dzwon, i może tym dzwonnikiem

okaże się polski papież, albo czarny prezydent, a - bo ja wiem?

Wiecie co się stało z cywilizacją rzymską: odżyła w Kościele.

Dlaczego? Bo Kościół, ożywiając narody tchnął w każdy z nich ducha uniwersalnego.

Ale jakiego.

My, narody, powstajemy do życia po to, aby stworzyć ludzkość. To znaczy, wziąć na siebie, swoją część odpowiedzialności za ludzkość. Jeśli nie po to powstajemy, będziemy jej zabójcami.

Fenomen chrześcijaństwa i

fenomen islamu.

Kościół, jak się zdaje, już coś podobnego przeżył: herezję Ariusza. Arianizm był, jak się zdaje, czymś w rodzaju chrześcijańskiego islamu, i dlatego robił tak błyskawiczną karierę w Azji i na rozległych stepach wschodniej Europy. I Kościół katolicki, jaki znamy powstał przede wszystkim w konfrontacji z Ariuszem!

I dlatego nasze uczucia są podzielone: z jednej strony bronimy się przed wyzuciem nas z narodowego dziedzictwa - z drugiej musimy się bronić przed

wpędzeniem się w polski, irlandzki, czy niemiecki kompleks. Nasza obrona przed unicestwieniem jest w uniwersalizmie, a nie w nacjonalizmie.

Bajeczka: coś o traktacie wersalskim, o Lloyd Georgu?

3. Ryzyko.

Ryzyko pisarza: ryzyko małe i duże.

Małe: w ogóle zacząć pisać.

Duże: pisać wbrew literaturze jako instytucji.

Dla mnie w ogóle zacząć pisać to znaczyło pisać w języku marksistowskim.

*

Scenariusz jest w końcu puszczony; niepotrzebnie odstępowałem od pierwotnych pomysłów.

Rozpad jego spoistości zaczyna się od sceny bierzmowania:

1. bierzmowanie; A. mówi, że jest niewierzący - T. ostro reaguje.

2. Obóz - A. musi być pokazany jako aktywny instruktor i nawet może to on wymyśla "króla" - poczem tego "króla" widzi.

I zgłasza się z nim razem na

mszę.
3. Spotkanie na wyspie. Biskup - wioślarz - kazanie o charakterze.
4. Powrót do obozu. Obcość. Opuszcza obóz. Wraca do domu.
5. Dyskusja nad klerykalizmem - czy tak należy? Czym jest kościół w życiu narodu etc.. Próba użycia pisarzy - Postać tow. Nowaka - syn.
6. Rozmowa z synem - Moja przyszłość? Syn odpowiada: mnie to nie interesuje. Wyście walczyli o przetrwanie, a mnie chodzi o prawdę ... Jest łagodny, denerwujący.

Tadek do Wandy: on nade

mną góruje! Oni są od nas wyżsi. Oni ... Wanda: - Oni to my, to jest to samo.
7. Święcenia kapłańskie - kapłani leżą. Biskup: dawniej mówiono by o nas, żeście wybrali stan uprzywilejowany, dziś ... podejmujecie ryzyko najwyższe ...
8. Przyjmuje błogosławieństwo:

Tadek zbliża się do syna, i ten całuje mu ręce T. całuje ręce syna.

9.X.

Nie, nie angażuję się w werbalne poparcie głodówki, której dzieje są zresztą dla mnie

niejasne. Nie angażuję się, ponieważ oznaczałoby to oddanie się "im" do dyspozycji. "Oni" umieją ciągnąć za podany im palec ... Mogliby mi po prostu skrępować rękę do tego stopnia, że nie miałbym innego wyjścia, jak tylko robić "ich" politykę".

Której na dodatek nie mają. Polityka ustawicznego oczekiwania na ostateczne zawalenie się reżimu nie jest polityką.

10.X.

Wczoraj - przypowieść o

talentach klęski, nieszczęścia i choroby to też "talenty" - to jest to, co Bóg daje nam i czeka co z tym zrobimy.

Radość jest zewnętrzną oznaką chrześcijaństwa - jeżeli jesteś szmatą to znaczy, że jesteś chory, czyli, że chore jest twoje chrześcijaństwo..

*

Dał mi chorobę mojej matki i czekał co z tym zrobię. Zrobiłem z tego najpierw powód do buntu, potem temat artystyczny.

*

Co do głodówki - nie mam właściwie opinii.

Więc:

1. uważam tę głodówkę za błąd - ponieważ chwycono się bardzo spektakularnego i desperackiego środka, w sytuacji, która tego nie wymagała; opinia, źle poinformowana co do czeskich wypadków i co do aresztowań w Polsce, nie może na to reagować tak ostro, jakby tego wymuszała ostrość podjętego środka. Jest on więc błędem, bo nie wywołała i wywołać nie mogła żądanego efektu;
2. Jest ona błędem, bo nadużyła poważnego środka, który powinno się pozostawić na poważniejsze okoliczności.
3. Jest błędem, bo stworzyła pewien mechanizm: teraz będzie się głodować przy każdej okazji (albo nie będzie się głodować w ogóle).
4. Jest błędem, bo jak się wydaje, uczuliła Kościół na ten rodzaj działania - Kościół wyszedł z tego zwycięzcą absolutnym, bo nie utracił twarzy, a stworzył sobie możliwość odmowy zezwolenia na każdą działalność opozycyjną.

5. Pozatem jest generalnie przeciwny głodówkom, jak i wszelkim akcjom posiadającym cechy prowokacji. W gruncie rzeczy była to prowokacja dla władz i gdyby się na to władze złapały, skompromitowano by "entante cordiale" kościoła i państwa.

Uzyskali efekt wręcz odwrotny: władze nie interweniowały, natomiast interweniował biskup. Kościół - powtarzam - twarzy nie stracił, a PRL zyskała ochłodzenie stosunków w linii opozycja - Kościół, o co jej przede wszystkim chodziło.

*

Telefonował Zanussi. O.K.

*

13/10.

Wczoraj wypadek na Trasie Łazienkowskiej. Czy naprawdę ja zawiniłem? Możliwe, że kiedy jest się naprawdę winnym, najtrudniej to uznać, bo nasze zmysły same przez się produkują okoliczności łagodzące.

*

Był Zanussi. Skwarnicki nic nie zrobił, Szczepański niewiele - a to moje - jak powiedział Z. - jest to prezent w postaci scenariusza ... Można z tego wyciągnąć wniosek, że prawdziwy roboczy scenariusz, będzie i tak napisany czy to przez Falbiego, czy przez Zanussiego.

*

Godność i kultura człowieka

Zagrożenia współczesnej kultury.

"Człowiek nie może sam siebie zrozumieć bez Chrystusa".

Jakimi drogami, jakimi sposobami współczesny człowiek próbuje zrozumieć sam siebie?

1. Refleksja marksistowska.
2. Refleksja egzystencjalistyczna.
3.

20.X.

"Nie sposób zrozumieć dziejów Narodu bez Chrystusa ... "

Co Papież miał na myśli?

Co mieli na myśli ci, którzy te Jego słowa tak burzliwie oklaskiwali?

Nie trudno się domyślić? Papież miał na myśli owe wielorakie związki narodu polskiego, Polski po prostu, z Chrystusem, z Kościołem katolickim ...

Właśnie - z Kościołem, czy z Chrystusem?

Tu jest pewna różnica.

Żaden historyk państwa polskiego, nawet najbardziej anty-katolicko nastawiony nie zaprzeczy związkom politycznym, które raz sprzyjały polskiej racji stanu, a innym razem były z nią sprzeczne. Żaden historyk literatury nie wykreśla z jej obrazu ani Psałterza Kochanowskiego, ani sonetów Sępa-Szczycińskiego, ani Kazań Skargi, ani religijności romantyków i Norwida, etc.

Ale Papież mówi o Chrystusie - jako wielkim uczestniku naszych dziejów, i zarazem Wielkim Nieobecnym jakiegoś ich obrazu.

Co to znaczy?

Co to znaczy "Chrystus" na planie polityki i na planie kultury?

Rozumienie potoczne: pewna tradycja.

Ale jaka, z czego się składająca?

Obrazy? Budowle? Skojarzenia? Pewien system

obronny, tzn. negatywny.

System obronny przeciw totalitaryzmowi, wynarodowieniu, obcości, nihilizmowi etc.

To rozumiem.

Jnaczej mówiąc ten "Chrystus jako klucz do naszych dziejów" tłumaczy, wyjaśnia i zarazem wypełnia treścią duchową całą historię naszej walki o przetrwanie:

walką z ateizacją

walką z okupantem

walką z wynarodowieniem.

Oczywiście.

I jeszcze inne:

walką o zachowanie

autentyczności wobec grożących procesów urbanizacji, annihilacji etc.

Chodzi o duszę, o niezmienną, a wieczną duszę narodu wystawionego na liczne niebezpieczeństwa. Każdy naród ma swe własne niebezpieczeństwa, i różnią się one między sobą.

Każdy naród ma swój stary system obronny, i każdy z nich nadaje się do ochrzczenia w imię Chrystusa. Papież chrzci na nowo narody. Inaczej ochrzcił Polskę, inaczej Irlandię, inaczej Amerykę.

Chrzci wyznaczając zadania.

Irlandii nakazał miłość.

Ameryce hojność.

A co Polsce?

"Chrzest" jest operacją bolesną.

W idei chrztu jest pewien gwałt.

Chrystus dokonał gwałtu przede wszystkim na Izraelu.

Mamy ślady tego gwałtu: w krzyżu.

Nigdy nie dowiemy się jakim gwałtem był chrzest dla innych narodów.

Czy padały przy tym trupy, czy też stan indyferentyzmu był tak wielki, że przyjmowano naszą

wiarę z zaciekawieniem i nadzieją.

Fenomen arianizmu.

Co to właściwie było?

Czy nie był to rodzaj chrześcijańskiego islamu?

W formie arianizmu odżył jakby pierwotny konflikt Chrystusa z jej własnym podłożem działania - z Narodem, który uważa się za Syna Bożego, albo za narzędzia Boże.

Każdy człowiek uważa się za jedyne dziecko Boże, i każdy naród za jedyne jego narzędzie.

Każdego człowieka, Chrystus leczy z magii i każdy naród z mesjanizmu, z nacjonalizmu.

Osobliwa sytuacja Polaków, którzy dzisiaj w Kościele są narodem uprzywilejowanym.

Od ich zachowania, od naszego zachowania zależeć będzie to, czy Kościół opanuje gorączka nacjonalistyczna, czy nie.

Pierwszy chrzest był polityczny.

Byliśmy w sytuacji dziecka, które rodzice chrzestni (też niezawsze świadomi tego, co robią) przynoszą do kościoła. Zostają stworzone warunki do działania łaski.

Drugi chrzest to nie tylko ten akt odłożenia rąk i spoliczkowania ... ale cały rozwój edukacji, cały cykl życia katolickiego, w który wchodzą i dziecinne wzruszenie, i zwątpienia młodzieńcze i nawracania się.

Wydaje się, że podobny cykl jest w życiu narodu, w życiu wszystkich katolickich narodów, w życiu całego katolickiego Kościoła.

Dokonało się wszędzie, w skali światowej rozdzielenie Kościoła od państwa.

Już nigdzie religia nie jest przymusowa.

I to jest najważniejsze

zdarzenie pięćdziesięciolecia.

Religia stała się sprawą wolnego wyboru.

Nakłada to na każdego chrześcijanina szczególny ciężar. Religia przestała być sprawą stadną. Nowe narody barbarzyńskie nawracały się kiedyś jak barany, idąc za przewodnikiem stada, czyli za królem i księciem ... I trzymały się wiary stadem, jako systemu obronnego, odróżniającego je od obcych. Skupiali się wokół swych władców, albo wokół swych świętych, albo wokół swych Madonn.

Dzisiaj ten system obronny ma znaczenia drugorzędne - znaczenie tradycji.

Ale tradycja jest tylko podłożem życia duchowego, nie może, nie powinna stać się jego jedyną substancją.

Na podłożu tej tradycji musi po prostu kształtować się życie duchowe w duchu Chrystusowych wyzwań.

21.X.

"Człowiek nie może sam siebie zrozumieć bez Chrystusa ... ".

Najpierw: jaki jest stan wiedzy człowieka o sobie samym?

Jest to wiedza rozbita na wiele rzeczywistości, z których każda ma swą własną wiedzę o sobie i każda z kolej aspiracje na nawrócenie siebie jako tej, która wszystkim innym służy za klucz.

Przykład historii literatury, który można interpretować jako:

autonomiczną rzeczywistość językową

wędrówkę i przenikania form

świat czystych idei

wyraz życia narodowego

wytwór specyficznego środowiska

wyraz walki klas

przejaw walki pokoleń

wyraz chorobowych aberracji człowieka.

Pamiętam jakim zachwytem napełniła mnie ta wielorakość, kiedy jako pierwszego w ogóle wykładu w życiu słuchałem wyjaśnień wstępnych prof. Kleinera, który wyjaśniwszy nam kolejną teorię metodologiczną, zapewniał nas, że jest niezmiernie ciekawa i pożyteczna. Literatura stawała się czymś w rodzaju sceny obrotowej, by nie rzec karuzeli, z której każdym obrotem inne postacie, inne aspekty pokazywały

się naszym oczom.

I zarazem, zupełnie traciło znaczenie! Grzeczny eklektyzm prof. Kleinera budził gwałtowną reakcję uczepienia się jednego, choćby skrajnego, choćby absurdalnego punktu widzenia; chęć zatrzymania tej karuzeli w dowolnym układzie figur. Toteż modą naszego ówczesnego środowiska polonistycznego było zmienianie z dnia na dzień ideologii i metodologii: - od dziś jestem neo-pozytywistą, albo [...] - oznajmiało się melancholijnie, przychodząc na wykład, i czekało się na oklaski.

Coś podobnego jest z wiedzą o człowieku.

Corsiser str. 12.

*

Co wnosi Chrystus do rzeczywistości ludzkiej, a raczej do rzeczywistości ludzkich?

Czy jest nicią Ariadny, która nas wyprowadzi z labiryntu?

Nie, bo sam jest jego mieszkańcem, to znaczy jako człowiek i jako fakt ludzki - tj. tradycja, zespół znaków etc. - sam jest przedmiotem antropologii.

I teraz i patrzcie co może się

stać: możemy spojrzeć na Chrystusa z tylu punktów widzenia, z ilu spoglądamy na każdy fakt ludzki, np. na literaturę i na człowieka w ogóle. Możemy zastosować do niego tyle kluczy, ile stosujemy do człowieka. Możemy opowiedzieć Chrystusa w kategoriach historii religii - wówczas okaże się kompilacją wątków, w kategorii socjologii, w kategoriach psychologii wiary, w kategoriach politycznych, w kategoriach - czy ja wiem - ekonomicznych. możemy, i zapewne każde z tych spojrzeń wykazuje jakąś rzecz słuszną, ale

prawdą już nie będzie. ...

E, coś fałszywego, coś kłamliwego.

Co to naprawdę znaczy, że "Człowiek nie może siebie sam zrozumieć bez Chrystusa".

*

Co w ogóle chcę zrozumieć z mojego życia?

Po pierwsze chciałbym wiedzieć skąd jestem?

Po drugie, jaki jestem, inaczej kim jestem?

Po trzecie: po co jestem i co ze mną będzie?

Moje dociekanie dotyczące genealogii zaplecza, źródeł etc.

Moje dociekania dotyczące motywów mojego postępowania?

Moje zagadki eschatologiczne?

Pierwsza prowadzi mnie do hyper-kombinacji antropologicznych. Czepiam się ostatecznie każdego głupstwa, bo w każdym jest jakieś wyjaśnienie.

Drugie prowadzi mnie do uzależnienia od innych, albo do samotności i inercji. Nie wiem dlaczego postępuję tak, albo inaczej. Albo mi tak każe obyczaj, czy konwenans, czy interes grupy

więc go muszę uznać; albo to wszystko jest absurdalne, i pozostaje mi uciec, zamknąć się ...

Trzecie prowadzi mnie do mniej lub bardziej wyniosłego agnostycyzmu.

Nakreślić optymalny obraz człowieka, który godzi się ze swoim losem.Czy jest to obraz atrakcyjny? Tak.

Uznaje swą wiedzę za optymalną w każdym stadium, w każdym momencie jej rozwoju; uznaje świat za wyraz swej optymalnej wiedzy.

Czy można być szczęśliwym?

Można.

Czy można być zacnym?

Można.

Jednego tylko nie można tą drogą osiągnąć: zaufania do samego siebie.

Mogę mieć dla siebie szacunek i upodobanie, ale w każdej chwili z osobna. Dziś, bo tyle wiem, i tak sądzę, jutro, stosownie do jutrzejszego stanu mojej wiedzy i przekonania. Nb. przeszłości mojej dziwię się nieustannie, bo nie jest ani w moich, ani w niczyich innych rękach.

Ktoś ją musi wziąć w ręce.

Przeszłość, aby znalazła sens, i aby stała się kryterium dla przyszłości, musi być osądzona z punktu widzenia winy i zasługi. Z punktu widzenia mojego i nie-mojego jednocześnie!

Jeśli nie, poczucie winy wygnane, zabije mnie.

Musi być osądzona z miłością. Ktoś musi mnie kochać tak jak ja siebie sam kocham ...

Względnie: ktoś musi mnie kochać, abym sam siebie pokochał.

Jeśli nie, nie ma dla mnie wybaczenia, bo jestem pełen win.

I musi być to miłość doskonała, czyli boska, abym jej nie posądzał o żadną

interesowność.

To musi być miłość człowieka, bo w inną nie wierzę, i to musi być miłość Boga, bo inna mnie nie przekona.

Jest we mnie, w człowieku powołanie świętości, do boskości, do którego nie przyznam się póki ktoś głośno, i przed wszystkie nie potwierdzi Jego zasadności.

Chrystus jest powołaniem do świętości, i to co mam za wątpliwą, wewnętrzną skazę moją, głośno, uroczyście, przed całym światem ogłasza moim, człowieka, prawem. Leczy mnie z mojej choroby, mówiąc mi, że jest

właśnie moją siłą - powiada: weźmij łoże i chodź.

22.X.

Co chcę w ogóle zrozumieć?

Po pierwsze, chciałbym wiedzieć skąd jestem?

Po drugie, kto jestem?

Po trzecie, po co jestem i co ze mną dalej będzie?

Pierwsze pytanie prowadzi mnie w głąb historii i antropologii.

Drugie pytanie prowadzi mnie w głąb psychologii i socjologii.

Trzecie pytanie prowadzi mnie ku metafizyce i ku etyce.

Lublin, 23/X.

Tydzień Eklecjologiczny.

Dla mnie:

"Jeśli zamyślenie to zamyślenie ...

Proszono, bym się zamyślił, to się zamyślam i mówię o tym czego nie rozumiem i co próbuję zrozumieć i skoro mi pozwolono, zadaję pytania tym, którzy wiedzą lepiej, którzy uczą wiedzieć ... którzy, jak teolodzy, i jak kapłani, ...

Ks. Seweryniak - czas - zanurzeni

w czasie.

Godzina polskiego chrześcijaństwa - co znaczy dla nas, że Polska stała się "ziemią szczególnego świadectwa".

Wkorzenienie w tradycję chrześcijańską.

odwaga Chrześcijańska.

Czego Papież oczekuje.

"wieszano już wiele złotych rogów" ...

szukać będziemy rel. światów.

Ks. Krąpiec: Zanim rozpocznie się trud, niech się rodzi Słowo.

Refleksja idzie przed wszelką pracą.

Okazja w ukazaniu prawdy.

Koncepcje "prawdziwościowe" - wielkie -

Koncepcje rodzą się w wieku młodym.

Telegram.

Jacek Woźniakowski:

Punkt zerowy godzina człowieka - nie utożsamiać z godnościami.

Godność ludzka w świecie jest krucha - łupinka.

Dobrze jest spojrzeć na godność z dołu, z dna, z miejsca gdzie człowiek jest tej godności pozbawiony.

Głód, choroba, nieszczęścia śmierć. - widzi wtedy, jak bardzo

krucha jest to godność.

Torturowani, głodujący - świat odziera ich z tej godności.

Tam gdzie ciało jest wdeptane, duch rzadko jest silny.

Powstaje jedna godność - że Chrystus za nas umarł.

Ta jedna godność, która zostaje.

Proboszcz Szwajcarski: "mocarni pewnością"

Boski: Jezus cichy i pokorny [...] .

Nowa perspektywa: Jezus, który prowadzi nas do godności synów bożych.

Prowadzi nas przez kulturę. Człowieka bez kultury nie ma.

Kultura - to nie kulturalność.

Kultura to system, który ludzie budują z obcowania ze sobą.

Tak samo jak nie ma człowieka poza językiem - tak nie ma poza kulturą.

Znaki godności, to są elementy Kultury.

Kultury bez znaków i znaczeń nie ma.

Sprawdzian Kultury: stosunek do drugiego człowieka.

Więc nie instytucja, ani forma - ale stosunki między ludźmi - to jest sprawdzian kultury - reszta będzie jej przydana.

-.-

Co jest przeszkodą w rozwoju tak pomyślanej kultury: to jej powaga:

"Jonaszowa przeszkoda": strach i kłamstwo. Największe nieszczęście jest to jedno i to samo zjawisko.

Kłamstwo jest wielkim strachem.

Kłamstwo nie pozwala nam spojrzeć światu w oczy.

Świat nie oglądany, nie - patrzy, jest przerażający - świat za zasłoną kłamstw.

Przeciwieństwem: odwaga i prawda.

Czym jest odwaga bez

prawdy?

To jest zuchwalstwo, fanfaronada - jeśli nie jest podparta wysiłkiem widzieć rzeczywistości taką jaką jest.

A prawda bez odwagi - to jest sól, która wietrzeje i światło pod korcem.

Dzielenie się prawdą to jest tworzenie kultury.

Żaden chrześcijanin nie może mieć recepty na szukanie i dzielenie się prawdą. ...

Świat czeka na chrześcijan - liczy na nich - bo to sprzężenie odwagi z prawdą jest najważniejsze

Sprzężenie prawdy z odwagą to jest

Bp. Tokarczuk - Współczesny Kościół w Polsce w walce o godność i kulturę.

Kościół polski - Kościół powszechny

Te same zadania - różne warunki

Dysproporcja między dokonaniami a zadaniami.

Kościół = czy lud Boży.

Godność: Chrystus - przebóstwienie.

Powołanie do godności przyjaciół ... dzieci Bożych ... Gdyby tylko to ...

Ale wielkie zadania - typowe dla młodych.

Ta służba - to obawa prawdy i słowa prawdy ... Bardziej potrzeba niż czyste powietrze i woda ...

Brak prawdy poniża godność, uderza w godność.

Czy brak prawdy nie jest przyczyną konfliktów - prawda - warunek rozwoju.

Wolność. Posłannictwo Ew. - wolność.

Dzieci Bożych.

Różne style wolności ... 1) Wolność konsumpcyjna i wolność twórcza.

Ta pierwsza prowadzi do anarchii.

Ta druga (wolność) polega na realizowaniu w sobie planów ... pełni ...

Ta druga jest programem pracy Kościoła.

W niej mieszczą się wszystkie inne wolności.

Żądania od Papieża - zmienienie praw moralnych - to jest wolność pojmowana konsumpcyjnie.

Własność.

Zależność od zależności ekonomicznej i konformizmu.

Własność jest gwarancją wolności (?) -

a przypowieść o bogaczu.

[Czy to chodzi o własność, czy o sprawiedliwość?]

Męstwo:

Odpowiedź ankiety: konformizm największym zagrożeniem.

Wina Kościoła: wychowywaliśmy ludzi do czasów normalnych. Nie wychowywaliśmy do płacenia za wiarę i przekonania

To "czasy normalne!" ...

Człowiek zdobędzie się na męstwo, kiedy wie, że nie jest bankrutem.

Męstwo jest apostolstwem -

wobec tych, którzy mają "kilka oblicz".Głoszenie "prawdy o grzechu".

Paradoks chrześcijaństwa - mówi o rzeczach pesymistycznych, aby zasiać pojęcia dobra i prawdy.

Zło jest obiektywne.

Dla godności trzeba głosić naukę o grzechu.

Obrona godności w rodzinie.

Rodzina daje miłość i życie.

Miłość bezinteresowna.

Miłość jest dlatego tak dziś bezradna bo musi być bezinteresowna. Utraciła swą formę ekonomiczną - dziedzictwa!

Życie i obrona życia.

Alternatywa - egoizm.

A może męstwo?

Reakcje na przemówienie Papieża świadczą o tym, że świat nie stracił instynktu życia.

Na płaszczyźnie życia społecznego:

chodzi i europejskość naszego życia społecznego i religijnego.

Wartości europejskie:

I. prymat ducha nad materią.

* czyżby? A nie Wschód właśnie?

Na tej płaszczyźnie prymat jednostki nad społecznością?

1. Suwerenność osoby ludzkiej.

"To rozwiązano w Europie ... "

* Ale czy na płaszczyźnie chrześcijańskiej

2. sprawy duchowe górują nad materialnymi i dlatego Europa stworzyła cywilizację ...

* To chyba nonsens.

3. Struktura demokratyczna.

* Europa - [...]

Podmiotowość osoby ludzkiej.

Europa jest cmentarzyskiem idei.

Nie ma alternatywy prócz Ewangelii. ...

Służba Kulturze.

Kultura = wprowadza, podnosić wzwyż.

Kultura moralna.

"Wszyscy jesteśmy jakoś pobrudzeni i wszyscy czujemy się w tym źle ... "

Masa zła. ...

Co by było gdyby zamilkły wszystkie ambony ...

Praca - można o niej mówić w związku z wolnością ... i podmiotowością. Mówić o pracy bez tych aspektów, tzn. napędzać niewolników.

Szacunek dla własnej przeszłości ...

Prawda o historii wyglądałaby jak najgorzej, gdyby nie praca Kościoła ...

* A prawda o przeszłości Kościoła.

"Odcięcie Korzenia Prawdy ... ".

*

Znaki sprzeciwu.

Ew. Luc.

Jak rozumieć ten znak: któremu sprzeciwiać się będę, czy który jest znakiem sprzeciwu.

Słowa, które są definicją Kościoła.

Czy Kościół jest instytucją sprzeciwu, czy głoszący zbawienie.

Jeżeli jest instytucją sprzeciwu to przejmie sposoby walki od przeciwnika.

"Bycie ze skrzywdzonymi wywołuje sprzeciw zwłaszcza ze strony tych, którzy krzywdzą. "

Chr. ukazuje godność poprzez bycie z człowiekiem.

* - prorok kapłan

Król -

Król -

Odnowienie prawa do prawdy.

Każdy człowiek ma zwiększoną odpowiedzialność za prawdę.

* Prawda, prawda ... Ale jakie to straszne prawdy macie do

wyjaśnienia.

Jezus Chrystus - jest znakiem ukazującym człowieka Kim jest człowiek.

Dlaczego temu się właśnie sprzeciwiają?

*

A propos prawdy:

ryzyko - pojmuje się je tylko wobec cenzury, czyli wobec cudzej niechęci do prawdy.

Ale jest jeszcze własna niechęć do prawdy, i wierności jej wobec samego siebie, jest ryzykiem jeszcze większym, bo

grozi rozbiciem wnętrza. To znaczy, że gdy zaczyna myśleć, czy pisać - nie wiem i nie powinienem wiedzieć dokąd dojdę.

*

Dyskusja.

Młody człowiek, który chce budować socjalizm jako chrześcijanin.

I powiada: każdy kto pójdzie z hasłem chrześcijaństwa, zostanie sam. I to jest znak sprzeciwu.

Inicjatywy: krucjata walki z

młodymi, o obronę życia nienarodzonego.

Lublin, 24.X.

V-prezes koła.

"Nauczyć się żyć Chrystusem obecnym w dziejach"
ks. Wągej (?)

nie robić tego, czego się zrobić nie da, albo tego, czego robić nie powinniśmy.

Przypomina o założeniu religijnym r.e.

Wchodzenie na tereny dwuznaczne

zabiera nam czas ...

Cywiński.

Jest nas aż tyle ... tzn., że mamy wiele pytań.

Jest nam dane żyć w Kościele może w jego najważniejszych latach.

Zmienia się Polski sposób przeżywania Kościoła.

Polska świadomość eklezjalna przeżywa jakąś przemianę ...

Musimy odnaleźć się w tej perspektywie.

Polska jest imieniem wspólnej tradycji. Różne są tradycje narodów.

Polska: tradycja troski przekazywana z generacji na

generację ...

Cała historia - historia tworzenia.

Nasza kultura zdominowana troska.

Nasza świadomość narodowo-polityczna - to pojęcie uczestnictwa w trosce.

Naszą tradycją jest także to, że odbierano nam prawo do bycia podmiotem.

To nasz ład społeczny.

Ład społeczny wymaga dwóch podmiotów: władzy i społeczeństwa.

Ustrój: to zmienne napięcie między podmiotami.

Kiedy jeden z tych dwóch podmiotów jest niedostateczny - ład się wali.

Albo gdy nie ma władzy.

Albo gdy nie ma społeczeństwa.

Albo anarchia, albo tyrania.

Tradycja rewindykacji.

Jest w tradycji przekonanie, że musi być wola podmiotowości.

Wola podmiotowości: - poczucie tożsamości ideowej.

Fundamentem polskiej tożsamości był katolicyzm - wiara.

* Nieprawda!

Początek - druga chrystianizacja (XVI w.) - był

jedyną instytucją trwałą w czasach trudnych.

Był podmiotem, w którym gromadziła się i trwała polska podmiotowość.

W tradycji też odnoszenie się do Kościoła: czy uznaje walkę, czy uznaje spiski, powstania, programy oświatowe.

Różne odpowiedzi: uwikłane, piękne i gorzkie.

W naszej tradycji jest też ten okrzyk "Twa zguba w Rzymie ... "

Po 1918 - nie zdezaktualizowała się nasza tradycja troski, ani szukania podmiotowości.

Trwają do dziś ...

W różny sposób okaleczona jest nasza podmiotowość.

Ile podmiotowości jest w instytucjach, które jej miały służyć:

samorząd

sejm

wybory

związki zawodowe

oświata.

Nasza świadomość społeczna - jak jest monopolistycznie kształtowana - cenzura, [...] , oświata.

Proces od-obywatelnienia.

Prywatyzacja świadomości.

Oportunizm

lęku

kariery.

Wszędzie nasze pragnienie podmiotowości.

A gdy się przyjżeć tym próbom odzyskania podmiotowości - to długa droga.

W tej sytuacji widzimy - podmiotowość Kościoła i czujemy się z nim identyczny

* Uderzać bezpośrednio czy kształtować postawy warunków do przeżycia.

* Bo przecież zmiany nie następują krok po kroczku.

A propos narody:

Powiedz, że nie ma i nie będzie takiej władzy, która nam pomoże w wierze, i która nas przypilnuje w wierze.

Szacunek dla Kościoła za to, że jest autentyczny, że nie jest jeszcze jedną instytucją pozorną.

Jak w innych kościołach.

U nas nie stwarza się pozorów - powrót do szacunku i wdzięczności.

W tej sytuacji zostały nas wydarzenia sprzed roku.

Przemówienie Papieża.

zakończenie w tradycji

Jakie: powiedział, że Kultura nas bardziej wyodrębnia niż granice.

Narodowotwórcza kultura.

zakorzenienie w Kościele.

Dyrektywa - odbudowa ładu moralnego.

odbudowa podmiotowości.

Zawierzenie.

Co się stało:

"Papież postawił ponad sporem narodowym sprawę polską. "

* To chyba niemądre. Postawił paradygmat Ojczyzny przed całym Kościołem.

Tym razem to nie my pytamy, lecz nas pytają.

Co teraz: albo to, co jest, jest

kontynuacją tego, co było, a to jest nowość.

"Mamy nowe wino ... "

W wieczerniku powiał wiatr. Biskup Sysak:

Rozdział objawienia i kultury.

[...] proroka.

*

Warszawa, 26.X.

No więc wróciliśmy z Lublina. Jakby to teraz podsumować?

To było dobre. Napewno dobre.

Nikt tam nie kłamał. Napewno

nikt nie kłamał.

Nikt nie kręcił. Napewno nikt nie kręcił, wyjąwszy może władze uniwersyteckie, świadome limitów swojej swobody, które do tej dobrej gry musiały od czasu do czasu robić złą minę.

Uderzające było to, że wszyscy mówili to samo i tak samo. Był to śpiew u n i s o n o. Powtarzały się ujęcia tematów, słowa-klucze i nawet cytaty-klucze.

Cytaty, oczywiście, z Papieża.

O czym świadczy to u n i s o n o?

Czy o tym, że wszyscy wiedzą

to samo i chcą tego samego, czy o tym, że jest tylko jeden sposób myślenia i wypowiedzenia tego, co jest powszechnym brzmieniem, czy jeszcze o czymś?

Mnie się zdaje, że w tej chwili wszyscy ci ludzie chcą niewiele, czyli akurat tyle, ile można chcieć.

Oczywiście, wszyscy chcą zmiany Polski i zmiany świata. Zmiany Polski na lepszą, i zmiany świata na lepszy.

Ale czym się ta Polska lepsza ma różnić od tej. która jest, i czym się ten świat lepszy różnić od świata, który jest, nie wiedzą.

Ciekawe są przesłanki tych pragnień.

Skąd w ogóle ludzie wiedzą, że świat może być lepszy? Najczęściej polega to na przeświadczeniu, że kiedyś był lepszy, i że przeznaczeniem jego jest wrócić do stanu pierwotnego. Jest to przeświadczenie bardzo silnie ugruntowane w świadomości archaicznej, gdzie tkwi w mitycznych formach.

Mity przerzucają się na historię, jak mech, który wszędzie włazi, i raje przybliżają się niemal na odległość wczorajszego dnia. Już i Polska przedwojenna jest takim rajem, już i elementy życia

okupacyjnego, ba! życia powojennego stają się okruchami idealnej rzeczywistości. O ile Polska przedwojenna wydaje się dziś idealną realizacją polskich aspiracji politycznych - bo przecież była niepodległa - okupacja wydaje się idealnym stanem polskiego etosu, a znowu rozmaite "październiki", "maje" i "grudnie" urosły też do mitycznych przedstawień polskiej jedności albo polskiego rozsądku, albo polskiej nieugiętości.

Teraz na to wszystko nałożył się paradygmat papieża, który jednakowoż powoduje niejakie zamglenie, bo niewiadomo do jakiego czasu mitycznego go odnieść: przeszłego czy przyszłego - Czy jest on postacią, przybyłą z raju, wspomnień, czy z Utopii marzeń? Czy to jest coś, co się urzeczywistnia (sen, marzenia, proroctwa), czy coś, co się dopiero rysuje, marzy, śni ... Czy jest to satysfakcja, czy projekt?

Zadośćuczynienie, czy wyzwanie?

Ale to wiąże się z innym, szerszym zagadnieniem. Z zagadnieniem języka wiary.

Co on mianowicie znaczy. Jakie właściwie treści noszą

słowa-klucze, którymi młodzież katolicka posługuje się z takim upodobaniem i uporem, i - powiedziałbym - bezwstydem? Miłość, godność, wiara, i w końcu - last but not least - Chrystus, Duch Święty - co to wszystko dla nich znaczy: rzeczywistość nadprzyrodzona, w której realizuje się świętość osobista, czy jakieś hypostazy, jakieś metafory polityczne, którymi przesłaniają sobie ponurą rzeczywistość? Nie wiem, i nikt chyba nie wie.

29.X.

Św. Augustyn:

"Podjął się mówić o Bogu ten, który jest prostym człowiekiem; o rzeczach duchowych ten, który jest ciałem; o rzeczach wiecznych ten, który jest śmiertelny." ... Jan Paweł: "Język i myśl ludzka została nawiedzona przez przedwieczne słowo Boga znanego". To właśnie jest teologia! "Bóg rozpoczął z człowiekiem dialog zbawienia. Człowiek słucha i odpowiada". Wejście w dialog z Bogiem oznacza poddanie się zachwytowi osoby Chrystusa objawiającą swoją miłość. I na tym polega

wiara. Przez wiarę człowiek doświadcza Boga. "

"Pokora ... jest podstawą modlitwy. Bo jak może modlić się człowiek porywczy? "

4.XI.

Biada, którzy nazywacie złe dobrem, a dobre złem: pokładając ciekawość za światłość, a światłość za ciemność i pokładając gorzkie za słodkie, słodkie za gorzkie". (Izajasz, V.20)

7.XI.

Nudne tłumaczenie Bourniguela.

Na marginesie tego rozmaite rozmyślania.

Nowy przypływ ochoty, do napisania własnej historii niezmyślonej, z nazwiskami, datami, okolicznościami. Czy można tak to napisać? Można, pod warunkiem, że wszystko tam będzie czystą prawdą, że o nikim nie będzie nic tak złego, czego by nie mógł o sobie przeczytać. Było by to samo w sobie rewelacyjne. Wszyscy zobaczyliby siebie jak gdyby w powiększonym zwierciadle.

*

Ciekawy klucz dzisiaj znalazłem: poszukiwanie: człowiek - odpowiedniego człowieka, jakiemu się oddawałem; był to jeden z najważniejszych motywów mojego postępowania. Było to najpierw poszukiwanie przyjaciela, potem poszukiwanie miłości, potem poszukiwanie intelektualnego pasterstwa.

Np. jaką rolę odegrała Zosia Juszczykówna w tym, że na pierwszy sygnał od dyrektora

Juszczyka pobiegłem na Brzozową sprzątać szkołę z niemieckiego śmiecia.

Potem te kolejne fazy - chciałem zawsze robić to, co robił ten, kto był akurat moim ideałem. Czyż nie zacząłem służyć do mszy wtedy, gdy zaczął to robić Zygmunt Gocman? Czyż moje piłkarskie namiętności nie łączyły się z Januszem? A ukryte moje miłostki - np. Kalczyński? A potem moje zafascynowanie bandą z IIIa? A moje późniejsze snobizmy? Kwilecki, Wilczek? Miałem w tym konkurenta, chłopaka, który zdaje się, miał ten

sam problem: Labuda ... A potem na uniwersytecie - czujne oko na najlepszych, na najbardziej oznaczających się.

I oto szukając wciąż tych najlepszych, przeszedłem obok najlepszego z najlepszych, który czekał - dosłownie czekał na moją przyjaźń!

Co to znaczy? Kto mi to wytłumaczy? I czy nie jest to wystarczający powód, do napisania książki?

*

Do dyskusji u Dominikanów:

Notatka Kłoczowskiego przyjmuje w zasadzie naturalną ewolucję człowieka ku wierze;

Przyjmuje pewną płaszczyznę wstępnego porozumienia dla akceptacji wiary;

zdaje się nie brać pod uwagę konfliktowego charakteru wiary. Tego, że wiara, to jest zmiana punktu widzenia, to przeniesienie ośrodka istnienia z wnętrza egzystencji, na zewnątrz. To znaczy, że człowiek przestaje się w ogóle orientować na siebie a zaczyna się orientować na Chrystusa, czyli kogoś, kto jest poza układem rozum-świat.

Chrystus nie jest elementem kultury - nie należy do strefy pośredniej między człowiekiem a światem, ale między człowiekiem Bogiem. To znaczy, że człowiek, który dostaje obecność żywego Chrystusa w swoim życiu doznaje podwójnego wstrząsu: to, co ma, i to czym jest, traci wartość, i jednocześnie to co ma, i to, czym jest zyskuje wartość zupełnie nową. Jest to rodzaj konwersji, którą można porównać do bankowej, rewolucji. Pewnego dnia dowiaduje się, że cała waluta, którą mam w kieszeni i w banku, jest nic nie warta, ale jednocześnie okazuje się, że od jutra otrzymujemy zapłatę w nowej walucie, która ma pokrycie w złocie.

*

Co Chrystus zmienia w Kulturze?

Zmiany wątpliwe: pisarz zaczyna pisać pobożnie, czyli gorzej. Np. Peyny, Albo Cleudel.

Bo przejmuje się Chrystusem, jako elementem kultury "chrzci się kulturą tą, która jest. A to nie o to chodzi.

Chodzi o to, co w Chrystusie

jest z nieprzyjaciela tego świata.

I to jest u Augustyna. Augustyn powiada: nie będę sprzedawał słów, nie będę zajmował się głupstwami, nie będę uganiał za sławą.

Kultura chrześcijańska to jest kultura antagonistyczna. Kultura świętości, prawdy, konsekwencji, eschatologiczna, mistyczna.

Chodzi o katolicką kulturę, a nie kulturalny katolicyzm. To jest coś innego, to musi być coś innego.

Por. Jan Paweł II: Kościół nie może podobać się wszystkim.

Kultura laicka to jest system wyjaśniający człowieka.

Kultura Katolicka to jest system znaków, język uświęcający człowieka.

Więc zmieniłbym w ogóle założenie: nie badać stopień otwartości kultury na wiarę, tylko badać istotę konfliktu tej kultury, która jest z tego świata i tej, która jest nie z tego świata.

Gdzie jest konflikt; i gdzie jest rozbieżność.

*

problem polega na tym, że nie ma twórczości Katolickiej, i że

kościół, który jest drugorzędnym jej mecenasem, inspiruje kulturę drugorzędną, a sam zadowala się wszystkim. Bierze co mu dają.

Dlaczego nie ma twórczości katolickiej? Powodów jest wiele, ale m.in. dlatego, że się pomyliło i za katolicką przyjęło pewną dydaktykę - katolicką dydaktykę - albo [...] są wszystko co się robi: katolicki realizm, katolicki kryminał, może katolicki.

*

8.XI.

1. Wiara - wiara i jej alternatywy.
2. Drogi do wiary - irracjonalizm + racjonalizm.
3. Dwie kultury - wolność boża, determinizm - [...] - Czy istnieje chrześcijański model przeszłości: Augustyn

niespójne postawy.

Formy przedrozumienia.

Tradycja.

Arkuszewski.

Podstawowa sprawa chrz.: zmieniać się. Brak zaufania do spontanicznych odruchów.

Harcerstwo.

Kształcenie woli.

Być może jest to stosunek do

psychoanalizy.

Krytyka psychoanalizy.

Sens cierpienia.

Śmierć.

Mit literacki: przemienność.

Dzisiejszy mit: człowiek-ofiara.

Obraz człowieka: determinizm biologiczny i historyczny.

Niemożność porozumienia człowieka z człowiekiem.

Świadomość historyczna.

Chrześcijaństwo jest bardziej historyczne niż inne.

"Chrześcijańska świadomość historyczna"

Tak się zostaje

chrześcijaninem, jak się zostało Polakiem.

Sprawdzić co to znaczy, że się jest, a nie staje.

Kryzys świadomości historycznej na zachodzie - zainteresowanie religiami a-historycznymi.

Czy też nie-konfliktowymi?

Sprawy, bez których chrześcijaństwo staje się niezrozumiałe ...

[...]

śmierć

historia.

Kryzys Kultury:

Czy to jest kryzys wiary.

Czy to są skutki usunięcia chrześcijaństwa.
Śliwiński.
Zacheusz.
Radość - trzeba się uznać za grzesznika i trzeba się radować.
Pokolenie marcowe - nie ma grzechu, jest przyzwoitość:
Mechanika zła.
Chrześcijańskie doświadczenia grzechu, doświadczenia przypadku, doświadczenia realtywizmu. Pozbawienie chrześcijaństwa tajemnicy.
Infantylizowanie
zdrada Europy - kompleks winy.

P. Grzegorz.
Czy istnieje chrześcijańska odrębność kultury. ...
[...] kultury: [...] i ...
Wartości wybrane i zastane - reinterpretacja Chrystusa
Śpiewak.
1. oryginalność chrześcijaństwa nie jest oryginalna, jest synkretyczna i tak odczytywaną
Zagrożenia dla kultury: dla kultury chrześcijaństwo:
1. szantaż totalizmu - zepchnięcie religii w sferę prywatności;
2. szantaż wolności. - prowadzi do zniesienia możliwości porozumienia, utopia ja

spełnionego.

Rewindykacja wobec kultury.

W krytyce nauka, instytucji

poszukiwanie nowego ja

to co jest grzechem, to jest traktowane jako choroba, wolność, świętość.

Każdy człowiek tworzy własną formę.

niszczy możliwość [...]

[Czy chrześcijaństwo łączy? [...] Aspekt wspólnotowy. [...] . Gdyby wszystko można zrobić, nie można się było [...]

10.XI.

To nieprawda, że Kościół jest wiejski.

Wieś jest laicka i pogańska. W postawie religijnej chłopów dawna postawa mieszczańskiej "publiczności" na niedzielnych mszach.

Kościół jest organizacją miejską. Miejska, bezdomna ludność, ludność bezbronna wobec władzy świeckiej - jakakolwiek ona jest - znajduje schronienie, opiekę, wspólnotę i doktrynę w Kościele.

Przypomnienie: Kraków w czasie okupacji: obcy mundur,

sutanna i zszarzała ludzkość.

Kat, kapłan i lud.

I tak było zawsze: Kościół był zarazem twierdzą, schronieniem; ludność uciekała do miast, gdzie znajdywała (w kościołach) dach nad głową, opiekę, zajęcie i doktryny. Poza skupiskami miejskimi był kościół misyjny. I jest nadal misyjny.

10.XI.

Chodź powoli: mów powoli, ale myśl, czytaj i pisz szybko.

11.XI.

Czuję twoją rękę i widzę Twój rozum.

I jest mi dobrze.

Twoja ręka mnie ochrania.

Twój rozum mnie oświeca.

Jestem bezpieczny od nieszczęścia i głupstwa.

*

Opowiadanie sobie wciąż tych samych historii w chwili zakłopotania i zablokowania mechanizmów woli, i tym samym myślenia; jak płyta, która zatnie się i powtarza tę samą melodię.

Jest to grzech, bo wtedy Bóg się nudzi.

*

Ucieczka myśli przed trudnościami.

Każda trudność powoduje roztargnienie.

*

Sen dzisiejszy: przystępowałem do Komunii św. i ksiądz napomniał mnie, abym nie próbował ani zrozumieć nic, ani wypowiedzieć; ale nie pamiętam co mi nakazał. Zdaje się, że mi nakazał przyjąć odpowiednią postawę i być zupełnie posłusznym.

*

Przedwczoraj rozmowa z Zanussim i Szczepańskim na temat scenariusza. Szczepański oceniał go dość kwaśno. Przyznał, że jest dobrze zbudowany, jako dramat ("tam szpilki nie można wetknąć"), natomiast nie podobają mu się dialogi, jako nazbyt sentencjonalne i postacie komunistów, jako nazbyt

hamletyczne.

Pewnie ma rację. Ale przecież to jest dramat ideologiczny - to jest rzecz o ideach, a nie o dupie.

15.XI.

Napisać coś - fabułę - o rozkoszach i goryczach identyfikacji.

Chcę jednocześnie być w środku i nazewnątrz - inside and outside. Wśród wyznawców i wśród sceptyków. Dobrym tłem do tego była owa kaplica Engla.

Snuję przeciw niemu intrygi i staram się go zdemaskować!

Jeden gest łaski z jako strony wciąga mnie pomiędzy jego wyznawców.

Przekreślam całą moją krytykę i zaznaję rozkoszy współuczestnictwa. Poczem okazuje się, że miałem rację i w tym co on robi są rzeczywiście nieczyste machinacje. Mam teraz do wyboru: albo z hukiem zerwać z nim na nowo, albo wziąć go takim (jaki) jest, uznając moją własną niższość ...

Chodzi w gruncie rzeczy o stwierdzenie czy on jest agentem.

16.XI.

Rohner: O możliwości wiary dzisiaj.

*

Ciekawe: czy we wszystkich apologiach wiary kryje się przekonanie, że jest ona czymś naturalnym?

Co jest w ogóle naturalne?

A inercja naturalna?

Por. Wilkanowicz, str. 12.

*

Negatywna wiara:

Wilkanowicz, str. 12, 14.

*

- Co do mnie sądzę, że wiara jest całkowicie "nienaturalna" i "nieuzasadniona". Czy człowiek może być szczęśliwy bez wiary?

Może. Czy może być moralny?

Może. Czy może być wartościowy?

Może.

Czego nie może? Być świętym, tzn. ułożyć całego życia wbrew sobie.

*

Napisać tak:

najpierw odtworzyć schemat myślenia apologetycznego;

potem go obalić.

Dowieść, że wiara jest absurdem, a największym absurdem ze wszystkich jest wiara katolicka;

i dopiero odkryć; i to właśnie jest wspaniałe!

Bo dopiero wtedy widzę, że wiara jest w istocie nadprzyrodzona, nadana objawiona, i że Chrystus to nie przebrany za Boga " szlachetny

marzyciel, ale Bóg, który Żąda niemożliwości - tj. odrodzenia, narodzenia się na nowo etc. Bóg, który potrzebuje człowieka do uczestnictwa w swej boskości.

17.XI.

Co jest w człowieku naturalne:

1. inercja;
2. solidarność w dół.

- pozytywistyczny; nazewnątrz, determinizm.

- [...] życia bez Boga i to wcale nie musi być "grzech"!

Co jest kulturalne?

1. Kultywowanie tego co jest

naturalne.

- antropologia kulturalna;
- symbolizm, mitologie.

Co jest "chrześcijańskie":

1. adaptacja Ewangelii do natury i kultury.

- antropologia chrześcijańska;
- cała ta krzątanina jezuicka.

Co jest Chrystusowe?

zaprzeczenie naturalnego, kulturalnego i chrześcijańskiego.

-?

Piłsudski:

Życie Piłsudskiego można rozpatrywać poprzez rzeczy, jakie mu zadano.

Rany osobiste: śmierć matki,

pożar Zutowa.

Pozatem: wydany zdradą i cierpiący za nieswoje i trochę głupie winy.

Pozatem: straty konflikt z bratem.

Pozatem: dziwny ojciec.

I tym należy tłumaczyć jako niestabilne życie osobiste, gorącą miłość do córek ostatnią miłość, a wreszcie szczególny stosunek do ludzi, do narodu.

I do siebie: samo - uwielbienie i litość dla siebie.

Rany polityczne zadawał sobie sam, ponieważ się nie utożsamiał z grupą, lecz ponad nią wynosił, w

jakiejś mierze zdradzając ją dla wyższych celów:

PPS

Komisję Porozumiewawczą

Regiony

Rząd Tymczasowy.

I w ogóle państwa Centralne.

Wreszcie całą "swoją" lewicę.

Pozostał wierny tylko Polsce, zdradzając ją czasem, trochę - dla Litwy.

Jaki właściwie miał obraz Polski i jaką jej wizję ścigał, realizował.

A jaką stworzył i w jakiej mierze można uznać go za stwórcę tego, co powstało?

1. Granice.
2. Sojusze.
3. Obraz społeczny.
4. Obraz duchowy.

*

Piłsudski a Piłsudczycy:
starzy (Sławek, Rydz)
młodzi (Skwarzyńska i in.)
W czasie okupacji.
Po wojnie.
Ostatnio.

19.XI.

Wczoraj "Amator"

Kieślowskiego (słaby) i myśl na ten temat, film powstaje na styku dwóch ujęć - z montażu; "amator" pewien był odkryć, że gdy się z sobą zestawi dwa ujęcia, powstaje coś trzeciego.

To jest zresztą odkrycie sztuki i jeszcze czegoś.

To jest odkrycie punktu odniesienia, czy całego układu odniesień - układu znaczeń, jaki jest skryty w rzeczywistości.

To jest to coś z zewnątrz - epifania.

Łódź, 20.XI.

Przyjechałem na wyprawę.

Wczoraj Zanussi. Kazałem mu czytać "scenki" Jana Szczepańskiego. Są żałosne, a on sam zagubiony kompletnie.

Przeczytałem w pociągu scenariusz.

Co zrobić?

I część - dzieciństwo.

II część - Powołanie (tak jak u mnie).

III - Wypełnienie.

Jak to opowiedzieć?

Może scenami zbiorowymi?

A gdyby to opowiedzieć poprzez historię Mariana, który - dajmy na to wstępuje do

seminarium?

Wstępuje jako dorosły człowiek.

Rozmowa z ojcem duchownym.

Spotkanie z alumnami.

Kuszenie.

Problemy. Święcenia.

Pogrzeb Sapiechy.

Proces, aresztowanie.

Koniec epoki heroicznej.

Początki scholaryzacji.

Spotkanie z Tadkiem.

Jego ucieczka do klasztoru - i tam spotkanie z księdzem, który tkwi w samym oku cyklonu i też ucieka.

*

Dzieje Mariana.

Marian słucha kazania W.(ojtyły)

Widzi to środowisko.

Rozmowa z siostrą. Ona ma sztukę. On co innego: ... Odniesienie do W.

Widzi człowieka zintegrowanego.

Decyzja.

Rozmowa z rektorem, który mówi nam brutalnie wszystko co będzie.

[...] ...

Książe umiera, Kardynał aresztowany.

Święcenia. Smutny biskup, który potem się z nimi żegna.

Parafia. Marian [...] - zbuntowany, napalony.

Opawiadają mu o wikarym, który był przed nim.

Uczy się.

Katechizacja -

[...] -

[...]

Nie ma się do kogo odwołać.

Zaczyna się wrogość.

Budowa w pobliżu - nowa praca ...

Spotkanie z Tadkiem.

Rozmowa. - Sprawa Tadka - matka, Wanda.

Jak być jednolitym człowiekiem. Potrzeba jednolitości, [...]

Nowa Huta - wieczór autorski - Przyjazd do Krakowa - [...] -

Marian szuka drogi - Śmierć [...] - -

Kazania Wojtyły - [...] - -

[...] podobno do Oświęcimia - Przyjazd na parafię w Niegocicach - -.

*

W drodze powrotnej.

Rozprawa - zawstydzająca sprawa.

Nie chce mi się zapisywać.

Spać mi się chce.

Pogrzeb prawosławny w cerkwi przy dworcu. Chowali zdaje się swojego arcybiskupa. Było trzech, zdaje się, biskupów w Koronach. Śpiewy: mruczą, mruczą, aż nagle jak się zaniosą, załkają, zajęczą, potem długo stojąc cicho i znów zaczynają mruczeć. Śliczne szaty - bardzo rozmaite, i w różnych kolorach.

*

Cyt. La Rochefoucoulda - nudne, puste. Dusza niezaszokowana. Bez tego en méme temps; które jest kluczem psychologii analitycznej.

27.XI.

Wszystko dobrze, tylko mnie tłumaczenie tego Bourniquela tak nudzi, że po prostu nie mogę się zmusić do roboty. ... Nie mogę. Dałbym sobie chętnie po pysku. A nie mogę.

*

Dziś myśl o językach. O przekładalności każdego wartościowego pojęcia na język:

modlitwy

adoracji

teologii

filozofii.

Co to znaczy w czterech językach "Słodkie Serce Jezusa"?

29.XI.

Tyle lat musiało upłynąć, abym w dzień moich urodzin pomyślał z wdzięcznością, poczuciem winy i z miłością - o mojej Matce.

Ileż jej zawdzięczam.

Życie.

Wzory czułości, sprawiedliwości, wspaniałomyślności.

Wzór miłości.

Pewien zarys ludzkiego dramatu - jak gdyby wzorcowy.

Pouczyła mnie swoim życiem o istocie wszelkiego dramatyzmu.

Pouczyła mnie o tym, że człowiek nie spełnia tego co powinien, i że istnieje coś takiego jak powinność człowieka, coś takiego jak powołanie. Pouczyła mnie o tym przez to, że mi swoje

życie przedstawiła jako powołanie niespełnione, jako powołanie zdradzone. I przekonywała mnie - starała się przekazać mi jako główne przykazanie to, abym był wierny mojemu powołaniu. Czy ja trafnie odczytałem? Dzisiaj myślę, że tak, i że kiedy mi powiedziała kiedyś z całą powagą: nie żeń się, będziesz się czuł zawsze nieszczęśliwy, miała wtedy bardzo jasną intuicję psychologiczną - miała jasną oceną mojego charakteru. Po czym się orientowała? Może w moich ówczesnych skrupułach widziała swoje własne skrupuły, które ją tak męczyły?

*

Piszę chaotycznie. Straciłem zdolność syntezy psychologicznej. Czy ją miałem kiedykolwiek? Może dlatego brnąłem zawsze w manowce biografizmu. Nigdy nie miałem uchwycić charakteru osoby w wyczerpującą, zwięzłą definicję, ani go wypowiedzieć wyrazistą metaforą.

*

Moja matka ... Jak ją

zdefiniować? Która z jej cech określa ją najlepiej? Dewocja? Nie! Bo przecież ta dewocja łączyła się z buntami, z inwektywami, z pomówieniami, jakich nie szczędziła swoim księżom do tego stopnia, że przed nią uciekali.

Jakiś despotyzm? Przy takim braku pewności siebie ...

L'esprit burgeois - konwencjonalność - ale jednocześnie ileż szyderstw z mieszczaństwa?

Przede wszystkim, nade wszystko pragnęła dla siebie i dla wszystkich doskonałości - Doskonałości w każdej dziedzinie, a wyobrażała ją sobie - tą doskonałość - na różne sposoby. Przymierzała ją do różnych miejsc: do kościelnej i do mieszczańskiej.

Miała przy tym nadrzędny punkt odniesienia: był nim Chrystus, którego inkarnacją ziemską był jej ojciec, "Tatuś", czyli mój Dziadek.

Wilga, 2.XII.

Pierwszy dzień ciszy - otwarto nową drogę i nasz domek nagle zapadł się w ciszę. Wczoraj

wieczorem, po przyjeździe, kiedy poszedłem zamknąć bramę, nagle tę ciszę posłyszałem; usłyszałem ją w dalekim, zza lasu dochodzącym pomrukiem motorów, o którym już wiedziałem, że już się nie zbliży. Było to jak gdyby nowy wymiar rzeczywistości tutejszej.

*

Wczoraj czytanie Tischnera: o myśli heroicznej. Należy przeczytać Picoeura?

*

O czym należy mówić w Krakowie?

Tematem jest "bilans" po roku pontyfikatu.

Co nam z tego pontyfikatu dotychczas przyszło?

1. Straszna, historyczna frajda.
2. Zwrócenie uwagi na Polskę.
3.

*

3.XII.

G.

Wan Barbour: Mythi Models

and Paradignus.

A compustive Study on Science and Religion. Itorspec and Row Publ. 1976.

Wg. art. Michała Hellera (w TP. 18.XI.1979).

Język religii zawiera dużo metafor i mitów (T. jest "zmetaforyzowany i zmitologizowany").

*

"Istota metafory w języku religijnym polega na tym, że nie da się jej przetłumaczyć na wypowiedź jednoznaczną,

"skończoną": metafory, cechuje otwartość znaczeń ... [...] wypowiedzi to, co nie chce zmieścić się w języku".

Mit "jest opowiadaniem, które ma wyrażać pewien aspekt Kosmicznego przypadku" ... "Nie chodzi tu o racjonalną kontemplację, lecz "włączenie się w strukturę tego porządku.

Jeśli metafory i mity są używane częściej, dzięki nam z czasem nabierają "lepszego opracowania", stają się modelami".

Modele, podobnie jak metafory wyrażają własną

niemożność wyrażania.

Pojęcie paradygmatu wprowadził Thomasy Kula - sprawdzić.

paradygmaty są to "standartowe wzorce pracy naukowej obejmujące zbiór pojęciowych, metodologicznych i metafizycznych założeń".

Borbour: "Tak jak naukowe modele prowadzą do teorii, które porządkują dane obserwacyjne, podobnie modele religijne prowadzą do wierzeń, które porządkują doświadczenie"!

Borbour now. do metafizyki [...] - sprawdź!

*

Dar pobożności: "dar czci należnej Każdemu stworzeniu ze względu na Boga".

*

"Każdy kompromis rozczarowuje bliźnich".

4.XII.

O czym należy mówić w Krakowie?

1. szczęście jest oczywiste.

2. problemy pozostają.
3. Pozostaje problem kościół-państwo, który wszakże jest tylko fragmentem szerszego kryzysu: Kościół - cywilizacja współczesna.
4. Linie podziału w tym kryzysie. Jak przebiegają w skali uniwersalnej.
5. Jak przebiegają w samym kościele (chodzi o konsekwencje rozdziału kościoła od władzy świeckiej i o pytanie generalne: czy religia może obyć się bez przymusu? otóż cała nowoczesna tendencja jest na rzecz zniesienia tego przymusu.

6. Po której stronie jesteśmy my, Polacy? My, którzy wiemy, że religia nie może obyć się bez przymusu, i którzy mamy nawet inne zdania na temat dobrodziejstwa duchowego wyzwolenia, i inne nieco zdanie na temat nauczycielskiego autorytetu Kościoła!

Otóż jesteśmy po stronie " [...] ", konserwatywnej. I będziemy tak długo, jak długo nie potrafimy naszych doświadczeń wypowiedzieć. A jak mamy wypowiedzieć, skoro jesteśmy krępowani?

W jakim stopniu polski

kościół, polscy katolicy, mogą teraz mówić do świata głośniej przez to, że papieżem jest Polak?

A jeśli mogą, to co mają powiedzieć?

*

Alain Bessaqon: La confusion des Cangus. (La crise ideologique de l'Eglize). Calmann-Levy, 1978.

5.XII.

Dzisiaj w kościele rozważanie o Centrum i Obwodzie: wszyscy na obwodzie w jednakowej

odległości od centrum. Ale jedni mają połączenie z centrum (przez wiarę) drudzy nie. Na obwodzie: Kapłan i złodziej - i obu jednakowo daleko; obaj jednakowo pogrążeni w głupstwie (głupstwo religijne nie jest mniejsze od głupstwa nie religijnego, jeżeli, mu brak połączenia.

*

"Przeminął nie tylko rok pontyfikatu, ale czasu, w którym miało się spełnić wszystko, co z niego doraźnie dobrego dla nas,

Polaków, wynika.

Kto się miał Polską zainteresować, już się zainteresował. Kto miał tu przyjechać - łącznie z Papieżem - już przyjechał. Co się miało odetkać, już się ew. odetkało, a co, to już lepiej wiecie ode mnie.

Teraz zaczynają się kłopoty i ciężary.

Podobnie zresztą dla Kościoła i dla Papieża.

Padły już wszystkie słowa zachwytu i zdumienia.

Wykonano już wszystkie gesty symboliczne.

Pozostały sprawy.

Sprawa Kościoła.

Jaki udział mamy w nich my Polacy.

Sprawy Polski. Jaki udział ma w nich Kościół. Kościół szansą Polski, czy Polska szansą Kościoła, jak pałac w Lublinie.

To znaczy ten udział jaki ma Polska w historii powszechnej przez Kościół. Różne są udziały Polski w historii powszechnej. W jej nurcie rewolucyjnym, w jej nurcie wojskowym, w jej nurcie gospodarczym, w jej nurcie społecznym. Nie lekceważę żadnego. Ale cały ten udział nie byłby pełny, i w pełni zrozumiały,

gdyby nie udział przez Kościół.

Co to znaczy Kościół szansą Polski, co to znaczy udział Polski w historii powszechnej? Polska bierze w niej udział tylko przez Kościół, albowiem leży w osobliwym miejscu jego ziemskiej i duchowej mapy. Ziemskiej - będąc daleko wysuniętą forpocztą na północy. I duchowej - na osobliwym styku problematyki religijnej, społecznej i narodowej Polska wnosi coś nieznanego ciekawego, oryginalnego do chrześcijańskiej teologii historii

Właśnie, czy wnieść powinna.

W tym układzie mieści się też

odpowiedź na drugą część pytania: Polska szansą Kościoła.

7.XII.

Zdaje się, że teraz zrozumiałem z czym polegał błąd opowiadania Kamila II; cały dramat powinien był rozegrać się wokół sprawy: pomnik czy szubienica dla Żydów. Jak się ma zachować organizacja, jeżeli to jest pomnik, i jak się ma zachować Kościół, jeżeli to jest szafot dla Żydów i komunistów.

I kiedy zachowanie dochodzi do szczytu, okazuje się, że to cyrk

i że ruda Niemra będzie zjeżdżać z wieży.

Wszyscy oddychają z ulgą, tylko mały chłopiec wpada w rozpacz i traci wiarę.

1. Opisać całą enklawę.
2. Opisać najpierw środowisko polityczno-wojskowe.
3. Opisać środowisko Kościelne.
4. Opisać chłopca, ulubieńca wszystkich, który jest gońcem, ministrantem i marzy zarówno o tym, aby być bohaterem narodowym, jak o tym, aby być świętym.

Jedynym który bierze wszystko na serio. A przede

wszystkim Kościół.

5. Zamieszanie wokół budowy czegoś na placu "Matejki".

Sprzeczne wiadomości.

6. Wiadomość o pomniku i pomysł wielkiej akcji sabotażowej. Narady w kamienicy. Jastrzębie i gołębie. Jeżeli pozwolimy na to, to na co jeszcze? Albo: jeżeli będzie służyć za to, to ilu nas zostanie.
7. Pan Głogowiecki przynosi wiadomość, że będzie to szubienica dla Żydów i komunistów. I zadaje pytanie proboszczowi: co zrobi, gdy Żydzi i komuniści zawisną (w świetle

tego, co już zrobił).

8. Jastrzębie i gołębie w kamienicy uspokajają się dziwnie. Zostawiają księdza samego. Ksiądz: a co właściwie mam zrobić? Jeżeli będę protestował, czy wyjdę z niego, zamkną kościół ... (a wychodzi np. do p. Wirzykowskiego). Jeżeli nic nie zrobię co warto jest to moja wiara ...

Presja pana Głogowieckiego, żeby nic nie robił ... Presja młodego księdza, żeby wyszedł ... albo żeby wywiesił szarą chorągiew, albo żeby wstawił trumny do środka Kościoła, albo żeby wystawił na wieży obraz Chrystusa cierpiącego, albo żeby uderzył w dzwon ... Nie ma już dzwonów - powiedział głęboko proboszcz.

Albo żeby zamilkły organy.

Albo żeby zamknął kościół na znak protestu.

Albo niech ci, co chcieli robić demonstrację wojskową przeciw pomnikowi, zrobili ją teraz ...

Proszę, niech pokażą co umieją.

9. I mały biega z listami.

10. Zjawia się para. Ruda Niemra, która twierdzi, że jest katoliczką, z Niemcem, bardzo grzecznym i

powiadają, że chcą tylko zjechać z wieży. Proboszcz osłupiał i z wielkiego szczęścia zgodził się na wszystko. I kiedy się zgodził zobaczył przed sobą przerażone oczy Andrzejka.

11. Proboszcz wyjeżdża na wakacje, kościelny na wieś do narzeczonej (jak to już dawno było ustalone).

Pozostają "na gospodarstwie" młody wikary, który chciał zamknąć kościół, i mały Andrzejek.

Andrzejek wprowadza Niemców, którzy się całują etc. i śmieją do niego.

Schodzi w dół, zrzuca komżę i odchodzi na miejsce młodego wikarego, który pozostaje zdziwiony - sam.

Ten mały uciekł, proboszcz na wakacjach, ci młodzi w kamienicy konspirują, nie ma ministrantów, sam odprawia nabożeństwo ... (Albo właśnie odprawiają we dwóch - ale niewiadomo co się w ich sercach dzieje).

Zza murów Kościoła grzmot oklasków.

*

Sichulskiego - J. Piłs. [...]

Stańczykiew. Waryńska.
Duda Gracz
Jerzy Beres? (O. Kolbe)
Wróblewski
Portret Pigonia (K. Duckiego)
Pośród masek, pustka [...] etc.

*

Ten dramatyzm portretów prowadzi do Matejki (Szujski)
Z orłem w koronie
Albo Syndlera portret Norwida.
Malczewski: "Hamlet polski" z margarytką i pas myśliwski.
Stańczyk Wyczółkowskiego,

1898
Witkacy: portret Ewy Dunin-Borkowskiej (1952)
Portret K. Estreichera na prem.
Masek (Wyczół.)
"Melancholia" Malczewskiego
Oto, co wypełnia wyobraźnię szaloną
Jan Lewicki. Scena z 1846 - żołnierze austriaccy karmiący polskich chłopów głaszczą dzieci i rozdają srebra pańskie.
[Ciekawe, że od rozbiorów Polacy zaczynają myśleć: alegoria, alegoryczne postacie etc.
Np. Poprzez Chopina - Teofila Kwiatkowskiego (1855)

Właściwie wizja "Wesel"

Portrety Sochaczewskiego -

Anny Gudzińskiej z wywróconymi oczami i "Dwa pokolenia: message" -

Giczyńskiego sen z powstania

Ogłoszenie Konstytucji 3 Maja.

Tablice Rejtana!

Portret Rejtana.

[...] wrażenie z Matejki

portrety Czartoryskiego, lgn. Potockiego

Alegoria upadku Polski - siedzi i myśli.

Smuglewicz: Alegorie insurekcji nad otwartym grobem.

Kto niesie płyty, dokąd ciągną Polscy Kościuszkowcy?

Portret St. Krajewskiego z synem (Brodowski)

Poniatowski: rysunek [...]

Portrety Denisa Szełutkowa - Sybiracy

Ant. Muszyński: [...]

Lament opatowski

Portret Ks. Józefa

Portret bpa Tomickiego

Portret Mikołaja Wolskiego, który w Testamencie kazał nagości zakrywać

Portret Katarzyny [...] naszyjnik

Procesja gidelska -

Portret młodego Tomasza Zamoyskiego.

Od 2 połowy XVII wieku zaczyna się przebierańtwo: - portret Ostrogskich (J. "Dziedziny"), portret starosty oświęcimsk. w szwedzkim stroju.Krzysztof Opaliński na łożu paradnym

Portret Kittowicza - w tym tłumie - twarz - grymas!

21 XII 1979

[...]

Odpowiedź na drugą ankietę DiP-u: “Jak z tego wyjść?"[1] Z czego? Nie zgadzam się z opinią, jakoby system przeżywał jakiś nie oglądany dotąd kryzys. Jest to ten sam brak zaufania, co w 1945 roku, to samo chromanie gospodarki, to samo zakłamanie, to samo błędne koło zamknięte doktrynalnymi i politycznymi granicami. Wyjść z tego, to znaczy opuścić RWPG, Pakt Warszawski[2], zawrzeć sojusze i związki gospodarcze wolne od politycznych warunków i wojskowych obciążeń, uzdrowić stosunki walutowe, znieść cenzurę, rozwiązać Front Narodowy, samą partię zreformować w demokratycznym

duchu, aby umożliwić jej członkom występowanie lub tworzenie frakcji etc. Dałoby to w rezultacie (zakładając nie-interwencję radziecką) zjawisko podobne do Portugalii: ryzyko chaosu i szansę rozwoju. Bez tego możemy, oczywiście, żyć dalej — bez tego ryzyka i bez tej szansy z negatywnymi skutkami stagnacji.

[...]

1980

5 I 1980

Milknę i słucham Jego głosu.
I mówi do mnie kwiatem,
płomieniem,
bólem
i smutkiem tych,
którzy smucić się nie mogą.
Mówi porządkiem swoich planów,
nie wszystko mówi,
resztę zostawia mnie na wiarę.

6 I 1980

Moje ręce: jak bardzo postarzałe, jak mało doświadczyły. Jak bardzo je zniszczyłem, jak mało w nie

brałem. Jak mało dotknąłem nimi: rąk, ciał, owoców, kwiatów, zwierząt, klejnotów, rzeźb. Jak mało pamiętają! Od czego się zestarzały?

9 I 1980

Chrystus dzieciństwa: mit osobowy.

Chrystus ludzkości: mit kulturowy.

Chrystus boski: akt wiary, akt zbawienia.

Bo to sama wiara zbawia.

Wiara wynosi człowieka w wymiar boski, w wymiar wiedzy pełnej, w wymiar pokoju. Bo

wiara jest nadzieją podniesioną do stopnia pewności. Wiara chrześcijańska — ściślej katolicka — jest nadzieją optymalną podniesioną do stopnia maksymalnej pewności.

[...]

20 I 1980

Podziękowania.

Za mróz. Za pogodę. Za czerwone słońce. Za żart na bazarze. Za zgodę, za pracę, za ciszę, za spokój, za dobrą wolę, za to, że znów nadeszła noc.

Winy: bezmyślność. Ani jednej myśli w ciągu dnia. A ile

złośliwości?

[...]

25 I 1980

Dwóch rzeczy mi brakuje do umysłowego wesela: lektur i stałego notowania. Nie można osiągnąć uczucia pełni, trwania, rozwoju przez wykonywanie zamówień — dość jałowych w końcu; prześladuje mnie od pewnego czasu smutek, który nie ma żadnego uzasadnienia, a jest tylko po prostu tęsknotą do myśli. Muszę znaleźć czas na czytanie i gromadzenie notatek i to zupełnie bezinteresowne.

[...]

26 I 1980

Utrata wiary — odzyskanie wiary.

“Traci" ją ten, kto uważa, że “powinien" ją utracić, i “odzyskuje" ten, kto uważa, że ją odzyskać powinien. Jedno i drugie jest zaprogramowane. Człowiek jest zaprogramowany przez kulturę. Ja np. należałem do kultury, w której nie można było nie “utracić" wiary, podobnie jak nie można było żyć w dziewictwie.

Człowiek jest

zaprogramowany, ale nie cały. Jest jakaś reszta wolna. Jak silna? Jak duża? Jak istotna? Właśnie to rozstrzyga o jego wartości. Ważne jest to, w jakim stopniu bierze udział w swej kulturze, jak ją realizuje; ale jeszcze ważniejsze jest to, o ile jest od niej wolny. O tyle, o ile jest wolny, jest szczęśliwy (zbawiony) i tyle tylko do niej wnosi. Człowiek wnosi do kultury tylko swoją wolność. Tylko swoje zbawienie.

Jaka jest ta wolność? Ta wolność to jego “styk" z Bogiem. Ta wolność to Chrystus, czyli człowiek “zaprogramowany" przez Boga bez reszty.

— — —

Po co ta historia Chrystusa narodzonego z Dziewicy? To nam utrudnia zrozumienie Słowa.

To prawda, ale bez tej historii nie zrozumielibyśmy Go nigdy.

[...]

29 I 1980

“Znalezienie"

Nie pamiętałem, że piątą tajemnicą I części Różańca jest “Znalezienie". Ile razy Chrystus gubi się i odnajduje? Często jest

potem mowa, że Go szukają uczniowie i rzesze... Jest w tym pewien rys osobowy — szukanie samotności. Jest w tym zapewne także symbolika: świadczy, że Chrystus tkwi jakby jednocześnie w dwóch wymiarach. Że żyjąc zwyczajnie, jak wszyscy ludzie, zachowuje pewien przywilej Boga, którym jest ta chwilowa nieobecność — to chwilowe odejście, do którego przywykła ludzkość przeżywająca od zarania swych dziejów trwogi cykli kosmicznych — trwogę nocy, zimy, zaćmienia słońca.

Jest w tym "Znalezieniu" zawarta figura "Zmartwychwstania": przez trzy dni Go szukali, aż znaleźli.

30 I 1980

Wczoraj był Szczepański. Dlaczego czuję się z nim źle? Dlaczego jeszcze nazajutrz powtarzam sobie anegdoty, które chciałbym opowiedzieć. Zdaje się, że mi z nim po prostu okropnie nudno i że tę nudę odczuwam jako winę wobec niego. W ogóle mój stosunek do niego jest obciążony jakimś poczuciem winy. Czy to polega na tym, że go kiedyś

przyłapałem na braku zaufania do mnie?

[...]

1 II 1980

W nocy okropne myśli, że to wszystko nie ma sensu, że nurt herezji jest nurtem głównym, a nurt ortodoksji nurtem bocznym, który utrzymuje się siłą inercji jak wszystko w dziedzinie idei.

Od początku rozum ludzki próbuje obronić się przed absurdem “historyczności" Objawienia i Wcielenia i sprowadzić ich fakty do

hermeneutyki, podczas gdy ortodoksja broni ich realności ze wszystkimi konsekwencjami. Jeżeli np. Zwiastowanie było faktem historycznym, jest nim także przeniesienie domku NMP na skrzydłach anielskich do Loreto[1]. Jeżeli wszystkie cuda ewangeliczne są prawdziwymi zdarzeniami (a nie tylko figurami pierwotnej katechezy, którą są Ewangelie), cuda muszą powtarzać się nadal, a historyczny Jezus, historyczna Maryja pojawiać się nadal. I pojawiają się: w Lourdes[2], w Fatimie[3]. Jezus

pojawił się Piusowi XII... Z tej historyczności, z tego realizmu bierze się klimat katolicki — osobliwa mieszanina teologii i magii.

[...]

Więc co bym odpowiedział na pytanie: w jakim sensie wierzysz, że Jezus Chrystus za sprawą Ducha Świętego narodził się z Maryi Dziewicy i stał się człowiekiem, będąc jednocześnie współistotny Ojcu i przez Niego zrodzony przed wszystkimi wiekami? W jakim sensie zmartwychwstał? W jakim sensie wstąpił do nieba? W jakim sensie

Maryja została do nieba wzięta? W jakim sensie chleb i wino Eucharystii są ciałem i krwią Chrystusa, a wyznany grzech znika za błogosławieństwem kapłana?

[...]

— — —

Chciałbym powiedzieć tak:

Kiedy mówię, że wierzę, iż Chrystus, Syn Boga Żywego, narodził się w Betlejem, w ziemi judzkiej, w stajence, za panowania Tyberiusza, mam przez to na myśli, że mógł narodzić się w

każdej chwili, w każdym miejscu, że narodzić się musiał. Że rodzi się wciąż. Że Synem Bożym jest każde dziecko ludzkie przychodzące na świat.

Kiedy mówię, że narodził się z Maryi Dziewicy, z woli Ojca przedwiecznego, za sprawą Ducha Świętego, myślę, że prawdziwym Ojcem człowieka jest Bóg, a miłość jedynie prawdziwa, która to sprawia, jest z Ducha, nie z ciała.

Kiedy mówię, że Chrystus powstał z martwych, że wstąpił do nieba, że Maryja, matka Jego, została do nieba żywcem wzięta, myślę, że śmierć, której podlega człowiek, i zniszczenie ciała, jakie przechodzi, jest stanem rzeczy, którego Bóg widocznie nie chce, skoro tak brzydzi się nim człowiek, i że Bóg, dając mu możność rozumienia i wypowiedzenia swej własnej nieśmiertelności i niezniszczalności, ukazał pragnieniom jego kierunek i cel; ukazał mu nadzieję.

Kiedy mówię, że Jezus jest w chlebie i winie, myślę, że po prostu jest; kiedy mówię, że Go zjadam, myślę, że z Nim współżyję. Że współżyję z

Bogiem tak żywym, jak ja — z Bogiem, który — skoro Go jem i trawię — żyje razem ze mną. Jadam z Nim jak z rodziną. Karmię się Nim jak dziecko karmi się matką — etc.

Ale rozum na to:

mówiąc w formie częstotliwej masz na myśli mit, czy model; Kościół podaje ci do wierzenia fakt jednorazowy, “historyczny, udowodniony".

Odpowiadam: nie mogę zrozumieć mitu bez mitycznego zdarzenia; nie mogę odczytać modelu, nie wiedząc, z jakiej został odbity matrycy.

Ale rozum pyta:

dobrze, więc stało się “to wszystko" czy nie? Odpowiadam: nie wiem na ten temat ani więcej, ani mniej niż na temat jakiegokolwiek innego zdarzenia historycznego. Historia zbawienia ma nie tylko swe analogie pozytywne w języku i w strukturze rodziny, ma także analogie negatywne w całej historii ludzkiej, która ginie w mrokach równie gęstych, jak historia boska. Czy mitologia Aleksandra Wielkiego jest bardziej wiarygodna od mitologii Jezusa Chrystusa? Czy historia

dowolnej, nawet współczesnej organizacji, opowiadana dla celów propagandowych, nie zawiera bajek podobnych do tych, które czytamy w *Dziejach apostolskich*?

I tu wkraczamy w dziedzinę, która dotyczy nas od zupełnie innej strony — w dziedzinę “tworzenia historii", w tę osobliwą sferę pośrednią pomiędzy literaturą piękną, moralistyką, propagandą, a faktem, w ten osobliwy amalgamat nazywany historią...

[...]

4 II 1980

Moment historyczny[1]. Niezwykle dramatyczny, a składają się nań trzy fazy, trzy fakty: Konstytucja 3 maja, najazd rosyjski, zdrada króla[2]. Wszystkie te trzy wydarzenia poczynając od Konstytucji i poprzedzającej ją debaty, wzbudzają emocje patriotyczne, czyli...

Jakże to trudno nazwać! Chodzi mi o to, że w takich właśnie momentach ludzie żyją nie samą chwilą teraźniejszą, lecz skojarzeniami historycznymi. Wszystko, co się dzieje, wydaje się aktualizacją historii; ludzie

osiągają świadomość historycznej chwili, odnosząc jej zdarzenia i działające wśród nich postacie do zdarzeń i postaci znanych z historii, i sami sobie wydają się inni, jakby przeniesieni w inny wymiar, jakby ukostiumowani w historyczny strój. Jest to chwila wielka i niebezpieczna; wielka, bo społeczeństwo uskrzydlone historyczną reminiscencją w poczuciu historycznej roli, wzbogacone o tożsamość swych przodków, zdolne jest do ogromnych czynów; pragnie — nie bacząc na ofiary — realizować modele, jakie czci w tradycji i jakie chwile właśnie aktualizuje; jest to też chwila niebezpieczna, bo analogia historyczna przesłania zdolność oceny sytuacji, układa myśl w schematy, postępowanie sprowadza do odruchów. Społeczeństwa i jego przywódcy zachowują się jak w teatrze.

— — —

Zdarzenie i symbol.

1. Przysięga na Rynku.

Tadeusz Kościuszko, pod przybranym nazwiskiem, z biedą przedostaje się z emigracji do kraju, zjawia się w Krakowie,

który chyłkiem, nocą opuścili Moskale. Tu, na Rynku, pośród czworoboków wojska i gwardii narodowej, wśród rozentuzjazmowanych i wzruszonych tłumów, składa przysięgę[1]...

Rozbierzmy to zdarzenie: bohater pod przybranym nazwiskiem, a więc wszechobecny. Skoro mógł przybrać to nazwisko, może przybrać każde; skoro zdołał przyjść raz, zdoła przyjść tyle razy, ile mu się zechce. Przebranie i przybrane imię są zastępczym atrybutem nieśmiertelności.

Nieśmiertelność jest jednym z przywilejów bohatera. W tysiącu przebrań występował Hermes — bóg-człowiek. Przekradał się ze zleceniami od Zeusa, zjawiał się niespodzianie, był nieuchwytny. Nieśmiertelny i nieuchwytny był Aleksander Macedoński, Fryderyk Barbarossa. Podobnie niektórzy święci, których żywoty mają również cechy bohaterskie. Zdolność ukrywania się jest cechą nadprzyrodzoną, podstawową strukturą baśni. W przypadku Kościuszki rozwiniętą w ludowej formie aż do przypisywanej mu — podobno — zdolności

przemieniania się w dowolne stworzenie i także aż do wiary w jego nietykalność.

Ta baśniowa struktura należy do wszystkich mitologii konspiracji; realizuje się później w postaciach emisariuszy: Konarski, Dembowski (temu ostatniemu przypisywano zdolność zmieniania skóry, płci, losu i w końcu — nieśmiertelność). Austriacy mieli rozkopać grób w Podgórzu, aby trupa ukazać ludziom!

Bohater powraca do kraju, aby go wyzwolić. Historia Polski znała już takie powroty: Kazimierza

Odnowiciela, z czym związana jest pierwsza polska znana pieśń[1], Stanisława Leszczyńskiego(?)[2]. (Czy istniały jakieś legendy o Bolesławie Śmiałym?)

Bohater, który w momencie klęski uchodzi za granicę, uwalnia się niejako od nieubłaganej konieczności, jest ocalony; jest niejako poza historią, przebywa w czasie i miejscu bezpiecznym. Skoro wraca, to znaczy, że swego bezpieczeństwa udzieli rodakom — przynosi je rodakom — przynosi je jako ułaskawienie od wyroków i jako szansę

wyzwolenia. Zbawienie przychodzi z zewnątrz.

Baśniowy cykl dziejów Polski: klęska — emigracja — uroczysty powrót. Cykl *Pana Tadeusza*.

Mitologia emigracji: jej początki już za konfederacji barskiej. Jej kolejne wersje: emigracja po-targowicka, emigracja po-kościuszkowska, aż po emigrację 1939 roku. Jak się zdaje, jest to swoista cecha historii Polski. Cykl euforyczno-depresyjny: każdy powrót emigracji łączy się z euforią, po każdym z nich następuje konflikt kraj — emigracja, połączony z rozrachunkiem.

Jak “archetypiczny" charakter ma ten powrót z emigracji widać po tej zwrotce *Mazurka Dąbrowskiego*: “Jak Czarniecki do Poznania"... Wynika z niej po pierwsze, że Poznań leży nad morzem, że Czarniecki wjechał konno do morza wracając do Polski, gdy — w rzeczywistości — było odwrotnie.

Dla wyjaśnienia polskich mitów bohaterskich kapitalne znaczenie ma mitologia Czarnieckiego. Jedyny sprawiedliwy, niezwyciężony, nie uznany.

Legenda księcia Józefa to tylko legenda śmierci[1]; książę Józef ginie śmiercią, którą powinien był zginąć Kościuszko. Dlatego to są mity komplementarne, czego dowodem jest uporczywe plątanie obu postaci.

"Kościuszek, skacz do Elstery"[2].

Przysięga Kościuszki jest symbolem jedności narodowej.

Obraz tej jedności: czworobok wojska i ludności. Mit wodza jednoczącego sprzeczności. Mit momentu uroczystego, od którego

rozpoczyna się nowe dzieje. Mit pogodzonych sprzeczności — zbawczego oczyszczenia. [...]

2. "Chłopy, wziąć mi te armaty!"[3]

Jak to było naprawdę? Skąd pomysł? Oczywiście, istniała już w Polsce mitologia ludowej ruchawki, ocalenia ojczyzny przez lud. Ta właśnie mitologia łączy się ze szwedzkim potopem: Górale, którzy rzekomo ocalili Jana Kazimierza. O zasobach obronnych ukrytych w ludzie czytamy u Staszica[4]. Pomysły takie mogły powstać podczas

kampanii 1792 roku. Musiało też coś takiego przychodzić do głowy obserwatorom Konfederacji Barskiej, która upadła między innymi dlatego, że była czysto szlacheckim ruchem odbywającym się przy całkowitej obojętności ludu[5]. Musiało to przychodzić do głowy zwłaszcza na widok buntów kozackich, gdzie ujawniała się olbrzymia siła “czerni" zbrojnej w piki, kosy i końskie szczęki. Jak doszło do skrzyknięcia, do mobilizacji tych — iluś tam — kosynierów? Kto to wymyślił i przeprowadził?

A na koniec, co to znaczyło?

Otóż niewiele dla współczesnych — ambaras — wiele natomiast dla potomnych. Poza jednym bezładnym szturmem pod Racławicami[1], nieszczęśnicy nic nie zdziałali, a pod Szczekocinami po prostu wyginęli[2]. Natomiast mit chłopskiej siły, chłopskiej kosy, chłopskiego impetu legł u podstaw solidarystycznej doktryny niepodległościowej; następnie u podstaw ludowego, rewolucyjnego patriotyzmu, później u podstaw socjalistycznego patriotyzmu i w gruncie rzeczy — u podstaw

wszystkich polskich doktryn społecznych.

Ten właśnie Kościuszko stoi na Wawelu. Na skwerze pod Białym Domem.

3. Męczeństwo.

Cała reszta jest niejasna. Chociaż właśnie to dalsze dzieje Kościuszki są źródłem jego międzynarodowej legendy.

Paradoks kościuszkowski polega na tym, że jest on czymś zupełnie innym dla Zachodu, zupełnie czymś innym dla Polaków. Są to dwie różne postacie...

W opowieści o bohaterze

trzeba wyraźnie odróżnić dwa porządki: historyczny i mitologiczny — dwie struktury: strukturę historyczną postaci, która podlega ocenie, i strukturę bohatera, która podlega interpretacji.

6 II 1980

[...]

Bohaterski żywot Kościuszki kończy się właściwie na polu bitwy pod Maciejowicami. Przynajmniej w kraju. Bo poza granicami Polski właśnie się zaczyna. Zaczyna się wówczas, gdy schorowany Kościuszko

opuszcza Rosję i udaje się do Stanów Zjednoczonych. Jest wtedy żywą postacią rozprzestrzeniającej się “religii ludzkości", “religii wolności"... Zajmuje miejsce w rewolucyjnym panteonie, wśród romantycznych “legend północy".

Obrazowi temu doskonale odpowiada jego współczesny sposób życia: milczenie, tkliwość, dobroć dla otoczenia. Legenda amerykańska, legenda szwajcarska[1]. Natomiast zupełnie nie odpowiada mitowi krajowemu, zupełnie nie mieści się w mitologii krajowej, która potrzebuje niezwyciężonego rycerza — i znajduje go w osobie księcia Józefa.

Zdumiewająca kariera mitologiczna ks. Józefa![2] Po błyskotliwym debiucie wojskowym — niesławne zejście z historycznej sceny na 13 lat, w ciągu których zyskał opinię pozbawionego patriotycznych uczuć hulaki, bawiącego na gruzach Rzeczpospolitej. Kariera za Napoleona właściwie wątpliwa: zamiast Kościuszki lub zamiast Dąbrowskiego. Działalność oceniana różnie. Oczywiście, wojsko było popularne,

jakkolwiek musiały i na tym polu rysować się niesnaski, gdyż koszt jego utrzymania był olbrzymi, a samowola nieznośna. Na domiar wysyłano to wojsko na obce fronty. Jeśli tam oficerowie zdobywali szlify, to książę wciąż siedział w domu i nadal balował.

Wtedy przyszedł rok 1809. Nie można dojść do ładu z ówczesnymi wydarzeniami. Nie chcę zajmować się wojskową stroną bitwy pod Raszynem ani kampanii galicyjskiej. Chodzi mi natomiast o to, jaka była w odczuciu współczesnych. Jaką tajemnicą jest opinia w

przeszłości! Jaką enigmą jest społeczeństwo, które się nie wypowiedziało, za które mówili inni, w którego imieniu przemawiają instytucje!

Pomyślmy: mieszkańcy Warszawy mieli małe powody do entuzjazmu. Mieli szpitale pełne rannych, świeże wspomnienia wielkiej bitwy — i Austriaków, i Węgrów w mieście. Wyjście księcia z miasta odbyło się wśród tumultu[3].

Jak było w Galicji? To prawda, że całowano końskie chrapy i strzemiona, ale prawda też, że to kolorowe wojsko zwaliło

się na Galicję z ogromnym ciężarem rekwizycji i kontrybucji. Prawda, że obchodzono zaraz uroczystość przyłączenia na powrót do ojczyzny ziem oderwanych przed szesnastu laty i usuwano znienawidzone rządy austriackie, ale wraz z wojskami polskimi szły rosyjskie — “sojusznicze". I prawda, że suwerenność polska na tych terenach była nader ograniczona. I że ta sytuacja znalazła wyraz w ostrych politycznych konfliktach. Czy nie znalazła oporu w nastrojach? Ba, ale siła mitu działa do tyłu! Poniatowski nie zdobył

chwały ani w 1809, ani w 1812. Zdobył ją dla całego swego życia — wstecz — ginąc na polu chwały w 1813. Ta śmierć była potrzebna. Poniatowski dokończył żywota Kościuszki, dokończył żywota Polski — insurekcyjna historia Polski ułożyła się w cykl od ślubów Kazimierzowskich[1] do śmierci Poniatowskiego.

9 II 1980

Wymyśliłem raz dobrą powieść pod dobrym tytułem: *Wkroczenie wielkiej armii* i nigdy jej nie napisałem[2]. Kazimierz

Wierzyński miał rację, kiedy się tym tak entuzjazmował; dziś widzę, że był to pomysł na prawdziwie wielką powieść.

[...]

13 II 1980

[...]

Osobliwości nowoczesnych legend: proces mitologizacji odbywa się przy pełnej świadomości historycznej, której brakowało np. twórcom legendy Ryszarda Lwie Serce. Tam legenda była nieraz jedynym źródłem wiadomości, przeto ulegała dalszym transformacjom.

W kulturze pisanej, a zwłaszcza w kulturze drukowanej, trudno właściwie mówić o legendzie. Raczej o propagandzie, czy też o modelu wychowawczym.

A jednak zjawisko takie istnieje. Powstaje u nas jak opór przeciwko propagandzie niepopularnej, stanowiącej wyraz narzuconej władzy, lub przeciwko represyjnemu modelowi wychowawczemu. Legenda jest rodzajem kontrkultury. Taki charakter miał już kult Napoleona.

21 II 1980

Sen: zbudziłem się rano i nie

wstając z łóżka zacząłem pisać. Było to w Krakowie, na Warszawskiej, ale w sąsiednim pokoju, tak jakby w pokoju rodziców, po lewej stronie spała Kazia. Pomysły i zdania zalewały mnie, nie mogłem nadążyć z ich spisywaniem, umysł miałem bardzo jasny, chociaż zaczynała mnie boleć głowa. Pisałem bardzo szybko, aby zdążyć, zanim migrena rozwinie się na dobre. Kartki okrywały mnie już po szyję, aż wreszcie, przy jakimś nieostrożnym ruchu zapodziałem pióro w papierach i w pościeli. Pisałem wtedy właśnie jakąś

nowelę o ułanie intelektualiście...

2 III 1980

Umarł Jarosław[1].

4 III 1980

Wczoraj w Stawisku. W sypialni. Kotka w łóżku. Myśli raz po raz uciekają do Jarosława. Chciałoby się komuś to wszystko opowiedzieć.

Rzym, 9 III 1980[2]

Niedziela, chłodno, deszcz pada. Janka boli gardło.

Rzym, 12 III 1980

Dzisiaj audiencja generalna. Jutro rano spotkanie z Papieżem.

Rzym, 13 III 1980

Jazda przez pusty Rzym o świcie. Jednolity kolor. Pusty plac po raz drugi. Za pierwszym razem płaczący schizofrenik odprawiał nabożeństwo z różańcem; wchodząc po stopniach i po pochyłości bazyliki, kopał puszkę po Fanta. Dziś na stopniach schodów, przy balustradzie, jakiś samotny sportowiec czy trener odprawiał skomplikowaną gimnastykę.

Wejście przez bramę św. Anny. Ciemny dziedziniec, obskurne schody, nowy dziedziniec o parę kondygnacji wyżej. Ciasna winda obita laminatem. Winda, do której klucz ma tylko Dziwisz, Magee Angelo i siostra sercanka, która Papieża odcina od świata.

Na górze jasno, czysto, ślisko, cicho, goło, trochę bezosobowo, jak zwykle w duchownych pomieszczeniach.

Kaplica. Posadzka z pstrego marmuru, kremowe ściany, strop w witraże, okna po bokach i w absydzie. W ołtarzu krucyfiks

(ładny) i mała M.B. Częstochowska. Na środku klęcznik, obity szarym welwetem, i fotel z oparciem z patynowanej miedzi, z wyrytym na nim “Pater noster". Klęczniki po bokach i plastikowe krzesła. Czekał na nas Dziwisz. Wskazał nam miejsca pod ścianą. Trzy krzesła do dwóch klęczników. Papież wszedł nagle i skłoniwszy się nam ukląkł na posadzce wspierając się ręką o oparcie fotela. Klęczał tak bardzo długo. Tymczasem nadeszły czarniawe siostrzyczki w czarnych welonach, Portugalki, jak się okazało. Była długa cisza.

Klęczałem razem z nimi. Potem ukląkł na klęczniku i wyjąwszy brewiarz spod pulpitu, odmówił modlitwy.

Pojawili się Dziwisz, Magee o kulach i Bardecki, w albach i fioletowych stułach. Papież wstał, podszedł do ołtarza, gdzie leżały szaty, i Dziwisz pomógł mu się ubrać.

Odprawiał po włosku, bardzo przytłumionym głosem, często zanosił się kaszlem. Przed spowiedzią powszechną, zdaje się, po Ofiarowaniu, przed Komunią i po Komunii przerywał na długo. Milczał także po czytaniach.

Pierwsze czytanie miał Dziwisz, drugie Magee, trzecie Bardecki. (Bujda. Były tylko dwa czytania. Ewangelię czytał Bardecki). Na początku mszy, przy Ofiarowaniu i po Komunii świętej Portugalki śpiewały. Jedna z nich miała magnetofon i nagrywała wszystko. Ale raz nacisnęła zły klawisz i coś tam zagdakało. Kiedy mi podawał Komunię św., spojrzał mi głęboko w oczy. Rozebrali go przy ołtarzu. Dziwisz podawał szaty sercance, która wyszła zza ołtarza. Papież ukląkł w swoim klęczniku. Wtedy Dziwisz, który tymczasem znalazł się u wejścia do kaplicy, poprosił nas do salonu. Warto jeszcze dodać, że w czasie mszy, gdzieś za ołtarzem kilka razy dzwonił telefon, którego nikt nie odbierał. Potem znaleźliśmy się w brzydko urządzonym salonie, gdzie na okrągłym stole, na środku, i na stoliku w rogu leżały grube albumy, oprawne w białe płótno. Leżały także taśmy filmowe.

Podszedłem do okna zasłoniętego białą firanką. Zobaczyłem pod sobą, o ile pamiętam, dziedziniec Belwederu, dachy, boczną fasadę bazyliki. Kinaszewska coś plotła. Papież wszedł nagle, przywitał się

najpierw z Kinaszewską, mówiąc: jedna kobieta, nie wiadomo, co z tego wyniknie... potem z pozostałymi i od razu do Janka — nie spodziewaliśmy się, panie Janie, kiedyśmy się widywali na Helclów, że... i tu wykonał zawiły ruch rękami. Za nim wsunął się fotograf, który w tym momencie zrobił pierwsze zdjęcie. Następnie zrobił ich jeszcze kilka. Potem Papież zaprosił nas do jadalni, do której weszliśmy z korytarza.

Stół owalny, nakryty białym obrusem; serwetki cieniutkie, obficie haftowane. Serwis biały, obrzeżony złotem, fantazyjny. Filiżanki ogromne. Podobno nie jednakowe. Papież przeprosił na chwilę, zniknął w sąsiednim pokoju, ale zaraz wrócił (chyba brał lekarstwo).

Jak siadać? Papież: posadzimy w środek prałata, żeby był spokój. Tak więc Bardecki zasiadł na honorowym miejscu, naprzeciw Papieża. Po prawej jego stronie Kinaszewska, po lewej Zanussi. Po prawej ręce Kinaszewskiej, czyli na boku stołu, Szczepański, obok niego Magee. Ja na boku przeciwległym z Dziwiszem. Papież sam.

Były dwa rodzaje bułek:

zwyczajne i maślane, oraz ciemny chleb z Polski. Żółty ser ładnie pozwijany, cienko pokrojony, poukładany na półmisku z kawałkami masła. Dżem. Owoce: jabłka, mandarynki, pomarańcze.

Papież oczywiście zaczął od tego, że w tak artystycznym gronie jeszcze nie jadł. Potem zapytał, co w PRL. Dosłownie: a w PRL? Odpowiedziałem, że mamy nowy rząd i potoczyła się dość głupia rozmowa o tym, kto wszedł, a kto nie wszedł do KC, Sekretariatu i Biura Politycznego. Powiedziałem następnie o śmierci Jarosława.

— Wiem — czytałem w

“Tygodniku". On tu był.

Opowiedziałem, jakie to było dla niego przeżycie, o wrażeniu pani Hani, o religijnym pogrzebie bez mów. Spytał, kto będzie prezesem. Szczepański odpowiedział. Wspomniał zjazd katowicki[1]. Powiedział: — no, środowisko literackie nie dało się całkiem... [...]

Nie pamiętam, jak doszło do stosunków z ZSRR, do represji ekonomicznych. Breżniew poskarżył się komuś, iż Amerykanie odmawiają im “kawałka chleba"... ktoś mi opowiadał — dodał.

Wspomniałem o niepewnej sytuacji po śmierci Breżniewa, że załamanie się systemu — optymalność kompromisowych rozwiązań. Przytaknął. Potem ktoś powiedział o możliwości wojskowego zamachu stanu. Mówił o roli wojska w Ameryce Łacińskiej, wyliczał reżimy wojskowe w Ameryce Łacińskiej. A On po chwili, jakby tyle zrozumiał, rzekł patrząc w inną stronę: — właśnie nie wiadomo, z której to się strony... Potem szybko do Zanussiego: — a pan filmy robi. Zanussi, coś tam przytaknął, ja zaś zrobiłem błąd towarzyski, bo w tym momencie zacząłem rozmowę o filmie. — I to taki dziwny film... Tu [Zanussi] się nadął i zachichotał jakby z zażenowaniem. — No dziwny — powiedział. Zdaje się, że zapytałem wtedy, co Wasza Świątobliwość o tym myśli, bo pamiętam, że się roześmiał i powiedział: — Nie wiem, to wy się na tym znacie, a nie ja. Wtedy Janek: — Nie chcielibyśmy, aby cokolwiek Ojca Świętego uraziło. Powiedział, że tak jak jest, tzn., że postać Papieża zostanie ukryta, jest dobrze. Że nie zgodziłby się na film biograficzny za życia. —

Po śmierci — proszę. Po śmierci — powtórzył. [...]

Wtrąciłem coś na temat jego nieporozumienia ze światem. Zaprzeczył żywo. Nie, nieporozumienie jest chwilowe. I zaczął mówić o podróżach. “Nikt nie mógł przewidzieć i ja tego nie przewidziałem — że Amerykanie będą się zachowywać tak jak Polacy i Irlandczycy". Czy rozumiał, o czym mówię? Wrócił do tego po śniadaniu, gdyśmy już stali na korytarzu, żegnając się, i gdy powiedziałem coś — wciąż *ŕ propos* filmu — że Polacy przebijają się ze swoim tematem

— powiedział: wszyscy to robią. Oni tu też. Nie ma człowieka uniwersalnego.

Wracając do śniadania. Czekaliśmy, aż powie, czy się zgadza, czy nie. Wyczuł to, bo w pewnej chwili powiedział mniej więcej tak: — Kiedy papież ma mianować biskupem jezuitę, pyta go o zgodę, ten musi odmówić. Potem papież zwraca się do generała. Generał też odmawia. Ale wiadomo, że kiedy papież ostatecznie jezuitę mianuje, ten przyjmie.... Więc ja też tak się nie zgadzam, a wy i tak zrobicie.

Cała ta rozmowa trwała około

godziny. Z dochodzeniem dziewiątej wstał i zaczął się żegnać. Janek poprosił go wtedy o “obrazki" dla chrześniaków. Spytał, co to za chrześniaki; Janek wymienił Tomka Lema, wtedy spytał, czy Lem mieszka w Krakowie, i zdaje się, pytał o dzieci Janka. Ja wtedy poprosiłem o różaniec dla żony. Powiedział: straciłem pana z oczu. Pamiętam mamę, ojca, brata, no i pana, takiego studenta... A potem... — powiedziałem tylko: przeniosłem się do Warszawy... Potem — powiedział — czytywałem pana w “Tygodniku". Zawsze czytałem...

Zrobiło się zamieszanie z różańcami. Dziwisz poszedł po nie, a Papież z nami został i trwała jeszcze krótka rozmowa. — Wróciłem do filmu, wtedy powiedział jeszcze o tym człowieku uniwersalnym. Potem już nie wiem, jak Kinaszewska przebiła się ze swoją sprawą: chciała mu puścić góralską piosenkę o nim. No, i puściła. Po pierwszej zwrotce przymknął oczy i powiedział: — no i tak będzie teraz przez dwadzieścia zwrotek. Ale wysłuchał cierpliwie. I w końcu mruknął: — Witów... ten kościółek tam, w górze... Wreszcie

pożegnał się kolejno, już nie bardzo pozwalając całować się w rękę, tylko jakoś nas tak przycisnął do siebie. I jeszcze powiedział na pożegnanie, odchodząc do windy: — Niech Wam Bóg błogosławi...

— — —

Po śniadaniu wyszliśmy (czy wyjechali?) z Dziwiszem na taras. Pamiętam, że była pogoda. Pamiętam kopuły nad dachami, widok na Belvedere, ciasną przestrzeń tarasów, fotografie, któreśmy sobie robili, i

Bardeckiego, który mnie odciągał raz po raz na bok, aby szeptać konfidencjonalnie, na temat tego fotoreportera, którego Zanussi sprowadził; niepokoił go też fotograf, który przyszedł na górę. Przypomniał wreszcie to, co Ojciec św. powiedział w pewnej chwili: że mianowicie nikt nie może się dowiedzieć, iż taka dyskusja miała miejsce. Ktoś powiedział, że o spotkaniu wiedzą. Na to Dziwisz: nie może być nic gorszego. Posypały się jakieś zapewnienia, uspokojenia etc. A Bardecki naturalnie wpadł w panikę, że wszystko on nakręcił.

Warszawa, 28 III 1980

[...]

Kazia zarzuciła mi wczoraj nadmiar dyskrecji w sprawach religijnych; nie przestanę brzydzić się wszelkiej w tej dziedzinie ostentacji, która drugich uraża. Nie powinienem odczuwać żadnej satysfakcji stąd, że ja wierzę, podczas gdy inni nie wierzą, ponieważ wiarę przyjmuję na własną odpowiedzialność, na własne ryzyko, z własnych powodów. Nie mogę chlubić się miłością do Chrystusa, podobnie jak nie powinienem chlubić się

żadną inną moją miłością. Przechwałki takie brzmią jak wyzwanie błędnego rycerza, który chce potykać się z każdym, kto mu nie przyzna, że jego pani jest najpiękniejsza na świecie.

— — —

Wiara. Wiara polega — po ludzku mówiąc — na jej zadeklarowaniu.

Wierzy ten, kto mówi, że wierzy; kto mówi zewnętrznie i wewnętrznie to samo; to samo sobie i to samo innym.

A więc każdy może wierzyć?

Oczywiście, każdy, do kogo wiara jako możliwość dotrze.

Dotrze w sensie historycznym (to jest każdy, kto żyje w czasowym zasięgu wiary), geograficznym (każdy, kto żyje w jej zasięgu przestrzennym), kulturowym (każdy, do kogo przemówi zrozumiałym językiem, każdy, kto ją rzeczywiście rozumie).

Droga, jaką wiara przebywa do człowieka, jest drogą łaski. Jest to drugi aspekt wiary. Pierwszy — to pewność, że to, czego się dowiaduję tą zawiłą drogą, jest prawdą; drugi, że ta droga nie jest drogą przypadku.

Wierzę więc w Boga, jakiego mi Kościół podał, i wierzę, że wierzę w Niego dlatego, że On sam tego chce. Dochodzą do tego najróżniejsze okoliczności — które rozpatrywane w porządku wiary nabierają wartości znaków.

29 III 1980

Odwiedziny ojca, który jest wielkim człowiekiem, któremu wszystko zawdzięczam i którego zdradzałem; biorę udział w hołdach, które mu składają inni (jest wielkim, międzynarodowym sędzią), chcę mu coś specjalnego

powiedzieć i nie wiem nawet, czy mnie zauważył. Potem rozpamiętuję wszystkie znaki, jakimi mnie obdarzył. Jest naprawdę moim ojcem i zrobił wobec mnie wszystko. To ja działałem przeciw niemu.

[...]

4 IV 1980, Wielki Piątek

[...]

Jak rodzi się człowiek wewnętrzny? Z woli Boga? Z własnego wyboru? Kto to jest człowiek pobożny? Każdy nim może być, czy jest to szczególna duchowa rasa? Których Bóg woli:

pobożnych, którzy Mu się plączą pod nogami, czy niepobożnych, którzy stoją z dala? Kogo z nas dwóch: mnie, który jestem niezdarnym i nikczemnym pobożnisiem, czy Janka, który jest niepobożny, a zacny? Faryzeusza czy niedowiarka?

“Cóż będzie z nas u schyłku dni naszych, kiedy w zaraniu stygniemy?"

“Obyśmy chociaż jeden dzień przeżyli dobrze na tym świecie!"

“Strasznie jest umierać, ale jeszcze straszniej chyba żyć zbyt długo".

“Rano myśl, że nie dożyjesz

wieczora; a gdy nadejdzie wieczór, nie śmiej obiecywać sobie następnego poranka".

“Dopóki jesteś zdrów, możesz zdziałać wiele dobrego, lecz schorowany, nie wiem, co potrafisz".

“Choroba mało kogo poprawia, jak mało kogo uświęca"[1].

Dziwna myśl! Jakby sprzeczna z mistycznym doświadczeniem.

Kultura to język. Język jest darem. Kultura jest darem. Kultura jest obrazem spotkania z Bogiem. [...] Jest tym miejscem, w którym człowiek wybiera i powiada Bogu

albo: to ja Ciebie stworzyłem (Gombrowicz), albo: to Ty mnie stworzyłeś.

[...]

Wielkanoc, 1980, Niedziela

Zimno, brzydko i bardzo wesoło. Zmartwychwstał prawdziwie. “Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli"[2]. Stało się w ten “pierwszy dzień sabatu" coś ważniejszego od zdarzenia samego: uczniowie Chrystusa uwierzyli, że On nie umarł i że ich wiara zbawi świat, że zbawienie zależy od wiary i od tego, jak ją zdołają przekazać i jak

jej zaświadczyć. Uczniowie Chrystusa zrozumieli, że wiara w to, czego nie widzą, że wiara w słowa Chrystusa — jest treścią nowego przymierza z Bogiem. Dotąd treścią tą były widzialne czyny Boga: Bóg zwyciężał w bitwach, dawał im rady, przykazania, pokarm. Teraz Bóg zniknął spośród nich — “nie masz go tu", pozostawiając po sobie ciepły ślad ludzkiej obecności. Wszedł w nich, w ich ludzką egzystencję na zawsze w postaci nowego Słowa — Słowa wiary: “błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli".

Chrystus wstał z martwych: to znaczy bóstwo kosmiczne stało się Bogiem żywym — Bogiem człowiekiem mówiącym mową człowieczą, urzeczywistniającym się wiecznie, codziennie, przez czyny człowiecze, żywym wiecznie i obecnym zawsze przez wiarę człowieczą — stał się samym życiem, potrzebnym i dostępnym jak podstawowy pokarm, jak chleb i wino, czyli nie-wyczerpane źródło siły i radości.

Ale na to Kościół pyta mnie surowo: wierzysz, że zmartwychwstał prawdziwie i czy

jest to fakt wiary, czy fakt historyczny?

Odpowiadam na to: nie widzę różnicy. Wierząc przyłączam się do wiary apostołów. Nie wierzę po swojemu, ale tak jak wierzyli apostołowie i tak jak wierzy cały Kościół.

[...]

— — —

Poniedziałek Wielkanocny
Warszawa, 7 IV 1980

Czy człowiek “z natury" dąży, rozwija się ku wierze? Jest to przekonanie dominujące u

wszystkich prawie apologetów wiary i odpowiedź, którą prawie wszyscy wierzący dają na pytanie, dlaczego wierzą.

Rozumowanie to ma w sobie duży ładunek emocjonalny, bo to pięknie wracać czy to do domu rodzinnego, czy to do praojczyzny lub prakolebki i do wszelkich źródeł. Jest jednakże mało pochlebne dla myślącego człowieka i mało pochlebne dla wiary samej. Mało pochlebne dla człowieka zarówno indywidualnego, jak zbiorowego — ponieważ przedstawia go jako coś w rodzaju balona na uwięzi;

dokądkolwiek poleci, wróci do punktu wyjścia, i na wszystkie jego dramaty patrzy z pobłażaniem starego katechety: wyszum się, i tak wrócisz. Jest też mało pochlebne dla wiary, bo przedstawia ją jako coś, co jest z góry dane i zawsze czeka, a nie stanowi zdobyczy, osiągnięcia, dzieła życia.

Zresztą nie chodzi o to, czy jest to pochlebne czy nie, lecz o to, jak jest naprawdę.

Prawie wszystkim trzeba powiedzieć, że z wiarą jest i będzie zupełnie inaczej, niż dotychczas było. My, ludzie około

pięćdziesiątki, należymy do ostatniego pokolenia, które ją otrzymało wraz z całym wychowaniem i którą utrzymuje przez całe życie, jako legat rodzicielski, jako dziedzictwo tradycji domowej i ojczystej. Już następne pokolenie, pokolenie naszych dzieci powrotów takich nigdy nie przeżyje, ponieważ nie zaznało nigdy i nie zazna wiary jako monolitu, wiary stanowiącej nieodrodną, organiczną część składową dziedziczonej kultury. Przeciwnie, od zarania życia, od szkoły lub przedszkola, poznało wiarę jako przedmiot wyboru i

przyczynę konfliktu z otoczeniem. I tak będzie ją pojmować zawsze. I jeżeli dla nas powrót do wiary może oznaczać powrót do stanu pierwotnego, czy wręcz do stanu spoczynku, dla naszych dzieci, odwrotnie, spoczynkiem takim jest wyrzeczenie się, pozbycie wiary, ponieważ zapewnia ugodę z otoczeniem i inne doraźne korzyści. Jest między nami a pokoleniem naszych dzieci różnica w stosunku do wiary tak zasadnicza, że nie wolno o niej ani na chwilę zapomnieć. Rzuca ona światło na sam fenomen wiary. Inaczej bowiem odpowiem ja na pytanie, co w moim życiu zmienia wiara, a inaczej odpowie na nie mój syn.

Ja odpowiem tak: przez akt wiary, wypowiedziany po latach odstępstwa od niej, wiążę moje życie w całość; w całość z moim dzieciństwem, w całość z życiem moich wierzących rodziców, w całość z całym środowiskiem historycznym, jakie mnie wydało. To dążenie do całości, do zamykania wątków, do zrymowania z sobą wydarzeń, poglądów, uczuć jest tak powszechne, tak spontanicznie organiczne, że czynnik

konfliktowy aktu wiary schodzi na plan dalszy. Zresztą dzień ma się ku zachodowi.

Mój syn odpowie tak: akt wiary, który wypowiadam z woli własnej, a nie wymuszony żadną ani domową, ani szkolną dyscypliną, druzgocze moje życie społeczne i rodzinne, stawia mnie w konflikcie z całym moim otoczeniem, z którym będę się odtąd różnił w poglądach i w praktykach. Będę się różnił w moim stosunku do pracy, w moim sposobie zabawy, w traktowaniu seksu i rodziny, w spędzaniu niedzieli i wakacji, w doborze i interpretacji lektur i spektakli, w ideale i celu życiowym, w moim języku i sposobie bycia. Nie mówiąc o tym, że stanę się przez to obywatelem drugiej kategorii. [...]

Fenomen wiary ujęty w podwójnej perspektywie — w perspektywie dwóch różnych pokoleń — w dynamice wielkiego przełomu, jaki nastąpił w traktowaniu religii, wygląda po prostu inaczej i żadną miarą nie można powiedzieć, że jest czymś “naturalnym". I jest to także powrót do punktu wyjścia, ale w zupełnie innym sensie: powrót do

źródeł chrześcijaństwa, do przyjęcia Chrystusa, który nie przyniósł pokoju, ale miecz.

Do A. Bardeckiego

Kochany Andrzeju!

Korzystam ze Świąt, ażeby sobie poukładać w głowie wszystkie rzymskie przeżycia, a ponieważ to największe zawdzięczam Tobie, więc jeszcze raz Ci dziękuję za to, coś nam, Jasiowi i mnie, wyrządził: żeś zajął się tak serdecznie najpierw naszym scenariuszem, potem żeś go podsunął Papieżowi, a wreszcie żeś nas do Papieża doprowadził.

Prawdę mówiąc od tej pory scenariusz zszedł na drugi plan.

Dla nas obu spotkanie z Papieżem było znacznie ważniejsze od tego, cośmy napisali i od dalszych losów naszego utworku. Mówię tylko o Janku i o sobie, bośmy o tym rozmawiali; nie mówię o Zanussim, bo z nim nie rozmawiałem i właściwie mało go znam. Każdy z nas przeżył to po swojemu. Dla mnie było to jakby zamknięcie wątku, który zaczął się bardzo dawno, jeszcze w czasie wojny, w tym samym kościele św. Floriana, obok którego wtedy

mieszkałem, a w którym Papież był później wikarym. Trudno mi o tym mówić, a jednocześnie nie mogę nie mówić. — Piszę do Ciebie teraz bardziej jak do kapłana, niż jako do rzymskiego przyjaciela. Wiesz na pewno z własnego doświadczenia, co to jest Kościół dzieciństwa, Kościół wieku dojrzewania, Kościół pierwszego, własnego przeżycia wiary, Kościół dziecinnej żarliwości, i zarazem ten właśnie Kościół, który nagle pustoszeje, obumiera, staje się obojętny i obcy. Dla mnie właśnie tym był kościół św. Floriana, który miałem

nie tylko przed oczami, jakby część domu, lecz tak wypełniał moje życie, żem sobie innego życia poza nim — i poza Kościołem — w ogóle nie wyobrażał, a jego księża (zwłaszcza znany Ci pewnie później rektor seminarium Karol Kozłowski) byli moją rodziną.

Ten Kościół obumarł dla mnie właśnie wtedy, kiedy w nim zjawił się Karol Wojtyła. I byłby mi może zupełnie obojętny, tak jak byli mi obojętni wszyscy księża, którzy wtedy tu pracowali, gdyby nie to, że mnie z nim łączyło coś innego. Otóż ja miałem w głowie

wtedy tylko literaturę i żyłem tylko tym, ażeby w literaturze się odznaczyć. Wiedziałem o nim, że właśnie z literatury zrezygnował, czyli, że zrobił coś odwrotnego niż ja. Nie wiem, czy ja go interesowałem jako student polonistyki i potencjalny “literat" mieszkający w sąsiedztwie — podejrzewam, że tak, bo wiedział o mnie wszystko od mojej Matki. W każdym razie on mnie interesował, on mnie fascynował. Po pierwsze dlatego, że stał się tym, czym ja kiedyś chciałem być, a zrezygnował z tego, co teraz chciałem osiągnąć, a po drugie, że w swoich kazaniach, których z namowy Matki chodziłem słuchać, mówił nie znanym mi zupełnie, olśniewająco nowym językiem wiary — bliskim mi przez wyraźnie humanistyczną, literacką formację... Mówił tak, że mogłem uwierzyć, gdybym chciał, ale nie chciałem, bo miałem głowę czym innym zaprzątniętą — czym, jak, ach, to już wymagałoby osobnej opowieści.

Wtedy właśnie doszło do okropnej sceny, którą opisałem w “Więzi" w mojej wypowiedzi po elekcji[1], że On widząc mnie przystanął na ulicy i poczekał, aż

go pozdrowię, żeby mógł nawiązać rozmowę, a ja go minąłem jak obcego. Ile było z mojej strony pychy, a ile nieśmiałości, ile poczucia winy... Pomyślał pewnie, żem jest głupi gówniarz, że się go jako księdza boję czy wstydzę. Nie mógł wiedzieć, że w tym kościele, w którym pracował, tworzył swoje środowisko, ja zostawiłem najlepsze moje uczucia i aspiracje i że czułem do niego jakby za to złość i zawiść. Oczywiście, nie mógł wiedzieć i nie wie.

Nie wie także, że znam jego rozmowę na mój temat z moją

Matką, której był ostatnim spowiednikiem. Przyszła kiedyś od spowiedzi i spytała mnie, co to znaczy “dziecko wielu łez". Odpowiedziałem, że nie wiem, bo wtedy nie wiedziałem. Ksiądz Wojtyła powiedział jej przy spowiedzi: obserwowałem pani syna i pomyślałem sobie, że to jest dziecko wielu łez. Dopiero teraz niedawno, czytając *Wyznania św. Augustyna*, znalazłem to powiedzenie. To powiedział św. Ambroży Monice, kiedy ona się skarżyła na to, że syn zszedł na złe drogi...[1] Oczywiście, gdzie św. Ambroży, gdzie Monika, gdzie

Augustyn, gdzie ja... A jednak to powiedzenie pamiętałem zawsze i coś ono zawsze dla mnie znaczyło — zanim je rozszyfrowałem i zanim spowiednik mojej Matki został biskupem, kardynałem, papieżem. Przez lata całe myślałem o spotkaniu z Nim, o rozmowie, o opowiedzeniu Mu tego mojego tematu, tematu św. Floriana, który Ci opowiadam, który próbowałem ruszyć w znanym Ci szkicu o nas na Błoniach[2].

Do spotkania doszło — właściwie przypadkiem i dzięki Twojej inicjatywie — do takiej

rozmowy, oczywiście, o jakiej kiedyś myślałem, dojść nie mogło i nie może. Ale zrozumiesz teraz, co mi chodziło po głowie podczas tej porannej mszy w Watykanie. A ściślej mówiąc, głowę miałem zupełnie pustą, tylko przez cały czas widziałem przed sobą moją Matkę, którą Papież wspomniał na końcu. Ale już nie umiałem nic więcej powiedzieć.

8 IV 1980

"Krzyż zawsze jest gotów i wszędzie na ciebie czeka. Nie ujdziesz przed nim, gdziekolwiek byś poszedł, gdyż tam, dokąd się

udasz, siebie samego poniesiesz i znajdziesz"[3].

Krzyż — to jest to, czego na pewno nie chcę. W moim wypadku: praca literacka, której podjąłem się jakby wbrew sobie i której nie cierpię i od której wymiguję się na wszelkie sposoby.

Praca literacka — w tym także zabiegi o wydawanie książek, o uznanie. Ale to jest właśnie to, co muszę robić. To jest właśnie zaniedbanie, to jest wzgarda, która budzi zgorszenie.

9 IV 1980

Więc wiara — wiara w żywego Chrystusa jest to trwały konflikt ze światem, konflikt, którego dzieje mógłby opowiedzieć każdy wyznawca; mógłby, gdyby mu starczyło środków. Podsuwa mu je literatura, bo literatura — literatura piękna — poezja, dramat, powieść, dziennik, program, list — niezależnie od tego, co mówi o ideach, niezależnie od tego, czy jest religijna czy mistyczna, czy jest modlitwą czy bluźnierstwem — literatura przez to samo, że zdobywa się na wysiłek

nazywania, opowiadania i kojarzenia, ujawnia człowiekowi pełnię jego natury. Nie to jest ważne, co opowiada, ani jakie wypowiada poglądy, ani jakie wyraża uczucia, lecz to, że je nazywa. Fenomen literatury jest natury językowej. Pamięć literatury polega na językowej trafności.

10 IV 1980

Bóg jest ukrytym odniesieniem całej literatury, tak jak jest ukrytym odniesieniem całej kultury, całej historii, całego życia ludzkiego. Cokolwiek człowiek robi albo potwierdza swą samotność we wszechświecie, albo umacnia się w wierze, iż nie jest sam; potwierdza swą autonomię lub uznaje zależność; określa siebie za część natury, lub uznaje swój nadnaturalny związek ze Stworzycielem. Cała literatura, która wypowiada pełnię ludzkiego istnienia, oscyluje pomiędzy aktem wiary a aktem niewiary, pomiędzy wyzwaniem a wyznaniem, pomiędzy modlitwą a bluźnierstwem. Całą można podzielić z tego punktu widzenia na heroiczną (Homerycką) i kapłańską (Dawidową).

Homer opowiada o tym, jak człowiek oszukał bogów, psalmista o tym, jak zawarł z Bogiem przymierze; Homer przedstawia bogów jak pysznych, chciwych i namiętnych władców, zasługujących na wygnanie, psalmista mówi o Bogu Sprawiedliwym, Miłosiernym i Mądrym. Homer i psalmista współtworzą pełny cykl ludzkiego odniesienia do Boga, pełny cykl ludzkiego odczuwania. Wszystko, co w literaturze jest prawdziwie pełne, mieści w sobie ten cykl. Każde arcydzieło, każdy rozwinięty prąd literacki, każda indywidualność jest Homerycka i Dawidowa zarazem...

Redukcja literatury do roli edukacyjnej i propagandowej, jaka dokonała się w epoce Oświecenia, a co powtarzano, naśladowano później w okresie “scjentyzmu" (czyli naszego “pozytywizmu") i politycznych konfrontacji, doprowadza do karykaturalnego uproszczenia postaw skrajnych. Postawa “heroiczna" utożsamia się z materializmem i wojującym antyklerykalizmem, a postawa “kapłańska" z dewocją i programową propagandą wiary i Kościoła. Wielki cykl wyzwania i

wyznania wiary i niewiary, bluźnierstwa i modlitwy zmienia się wówczas w cykl “nawróceń" w jedną lub drugą stronę. Daje to w rezultacie mniej lub bardziej hałaśliwych konwertytów na materializm albo na katolicyzm: marne, programowe utwory, które lubią cytować oczytani duszpasterze. Nie bogaci się nimi ani literatura, ani wiara.

Literatura jest rzeczywistością językową. Człowiek nie opowiada w niej tego, co zdziałał, ani tego, co wymyślił. To pierwsze opowiada historia, to drugie filozofia. Literatura jest sztuką trafnego nazywania. Znajdziecie w niej trafne nazwanie wszystkiego, co stanowi wasze życie. Zadziwicie się waszym wspólnym dobrem, jakim jest język, którego tajemnica jest właśnie tą najgłębszą tajemnicą samotności lub tajemnicą synostwa.

Literatura — cała literatura, niezależnie od swych tendencji i intencji — jest obszarem spotkania człowieka z jego tajemnicą.

— — —

Literatura jest miejscem

objawienia. Bóg objawił się w literaturze. W opowieściach alegorycznych o stworzeniu, grzechu, przymierzu, wędrówce do ziemi obiecanej, o budowie świątyni, nadaniu praw; w muzycznych frazach psalmów, w aforyzmach Eklezjasty[1] i Księgi Mądrości; w opowieści o Synu Człowieczym i Jego Apostołach; w nauczaniu publicznym Pawła, Jakuba i Piotra. Podstawą chrześcijańskiej teologii jest literacka analiza tekstów. Wiara w Boga objawionego jest wiarą w rzetelność słowa, w natchnioną prawdę Ksiąg. Wiara w Boga wcielonego jest wiarą w Słowo jako dar. W to, że człowiek, nadając imiona naturze, sobie samemu, swoim uczuciom i nadziejom — spełnia świadomie lub nieświadomie plan nadprzyrodzony, który go wynosi ponad naturę, ponad stworzenie.

A czymże jest Kościół, jak nie słowem? Cała rzeczywistość Boska jest werbalna, językowa, i cała rzeczywistość werbalna, językowa jest Boska. W języku dokonuje się nasze spotkanie z Bogiem. Kultura jako kombinacja systemów językowych jest obszarem konfrontacji z Bogiem i

miejscem nieustannego wyboru. Cała wpisana jest w cykl wiary i zwątpienia.

[...]

11 IV 1980

[...]

Inaczej mówiąc: najgłębszy nurt kultury stanowi “teologia naturalna", w której możliwościach leży badanie natury Istoty Boskiej oraz stosunku między człowiekiem i wszechświatem a Bogiem. Nauki najwyższej ze wszystkich możliwych, a przecież ściśle naturalnej, posiadającej rangę

zapewniającą jej najwyższe znaczenie dla ludzkiej kultury... (Dawson, *Religia i kultura*, s. 5)[1]. Dawson łączy teologię naturalną z humanizmem, który stanowił w kulturze europejskiej główny czynnik wiążący, dostarczał bowiem podstawy porozumienia między jednostkami należącymi do różnych narodów i między różnymi Kościołami... Kultura humanistyczna zajęła miejsce wspólnej wiary i tego, co się określa jako *communio sacrorum*[2].

Czyż nie należy tej teologii

naturalnej uprawiać właśnie dziś? Czyż nas nie skłania do tego, nie zachęca wyjałowienie teologii systematycznej, wyjałowienie filozofii uniwersyteckiej, wyjałowienie profesjonalnej literatury i niezmierny głód myślowy czytającej publiczności? Tę właśnie sytuację ma na myśli Dawson, gdy pisze o oddaleniu się wzajem od siebie porządku rozumowego od porządku duchowego, o rozpadnięciu się tej humanistycznej więzi, która pod postacią “religii" naturalnej łączyła kulturę europejską w całość. “Świat rozumu stał się

bardziej czczy i wyzbył się duchowości, a świat ducha zszedł z utartych dróg przejawiania się w kulturze i uzależnił się od ciemnych, negatywnych i destruktywnych sił podświadomości. Innymi słowy współczesna cywilizacja rozpadła się na naukę, pozbawioną znaczenia, i na ducha, który może wyrażać się jedynie w samozniszczeniu... I nie jest to już los jakiejś jednej kultury, lecz po prostu groźba wisząca nad ludzkością" (s. 25, 26).

Jest to groźba zniechęcenia do własnej kultury, do własnych

zdolności, groźba powszechnego *désintéressement* prowadząca do autodestrukcji. Jeżeli przestaniemy wierzyć w nasze zdolności do nazywania rzeczy najwyższych, nie mamy czego bronić i po co żyć. Cel życia człowieka: wypowiedzieć się w pełni. Wierzymy, że ten cel człowieka zbiega się tak ściśle z celem Boga, że stanowi realizację Jego objawionej woli.

[...]

16 IV 1980

Wiecznie to samo: zabieram się do roboty nad siły i nad stan

umysłowy, w pośpiechu, nie mając czasu na należyte przygotowanie się i potem w męce i strachu łatam, kręcę, bujam, aby tylko wywiązać się z zobowiązania. Przy pewnej wprawie i zdolnościach do retoryki utrzymuję pozory. Ale ile mnie to kosztuje męki i straconego czasu! Więcej niż potrzebowałbym, niż zużyłbym na przygotowanie lektury i na stworzenie solidnej bazy dla swych rozważań. Tak dłużej nie można! Powinienem zacząć od nauk, od zera, natychmiast i przysiąc sobie, że już nigdy nie

napiszę nic więcej bez oparcia się o lektury, o literaturę przedmiotu, który biorę na warsztat.

Jakiej bezczelności trzeba, aby zabrać się do tematu tak rozległego, tak trudnego, jak “wiara i kultura" po amatorsku, licząc tylko na własną inteligencję i zdolność obracania słowami! Oczywiście pogubiłem się natychmiast i po napisaniu paru zdań wstępnych widzę, że nie mam nic więcej do powiedzenia. Ostatecznie cały rezultat mojej pracy to pytanie: czy religia należy do tradycji? I jaki jest mianowicie jej stosunek do

tradycji?

[...]

27 IV 1980

Nie podpisałem listu w sprawie Chojeckiego i oczywiście czuję się ostatnim łajdakiem[1]. Nie podpisałem, bo obawiam się, że mogłoby to zostać wykorzystane jako argument przeciwko naszemu scenariuszowi.

A jeszcze bardziej obawiam się zepsuć sytuację “Twórczości", zagrożonej po śmierci Jarosława.

List zresztą ma raczej charakter konspiracyjny; jest czymś w rodzaju świadectwa

moralności wystawionego Chojeckiemu w obliczu oskarżeń. [...]

Czy powinienem był podpisać ten list? Tak, jeżeli miało to w czymś pomóc Chojeckiemu. W takim wypadku wszystkie względy na film i “Twórczość" powinny pójść na bok. Nie, jeżeli miałoby to tylko utwierdzić dobrą opinię o mnie samym. W takim wypadku należy bronić swojego stanowiska. [...]

Gdzie jest odwaga? W podpisaniu czy niepodpisaniu? Podpisując, ryzykuję (najwyżej) włączenie mnie na nowo w grę

opozycyjną, z której chcę się wyłączyć, razem z konsekwencjami, które mogą być przykre dla filmu, dla “Twórczości". Nie podpisując ryzykuję osamotnienie, niechęć opinii środowiskowej. Które ryzyko jest większe? Nie wiadomo! Wynika z tego, że przez porównanie dwóch stopni ryzyka nie da się ocenić samej sprawy i że odwaga nie może stanowić kryterium. Kryterium to prawda — i tylko prawda. X jest prawdą. Jeżeli oskarżenie jest fałszywe, powinienem podpisać. Jeżeli oskarżenie jest prawdziwe, nie

powinienem podpisywać!

Ponieważ w tej chwili nie dowiem się, czy oskarżenie jest prawdziwe, powinienem poczekać na wynik sądu. Moja propozycja posłużenia jako rzecznik obrony jest słuszna.

28 IV 1980

Oziębienie.

Zdaje się główny problem mistyków. Wszyscy się na to skarżą. Główny problem poetów. Główny problem wszelkiego życia duchowego. Pustki, jałowe obroty mózgu. Jedyny ratunek: lektura. Brać od innych. Brać, co dają.

Brać, co Bóg daje przez innych. W życiu duchowym, w życiu umysłowym sztuka brania jest równie wielka, jak sztuka dawania. Odbiór informacji, uwaga, zrozumienie.

— — —

“Szukając w czymkolwiek siebie, upadasz tylko i ustajesz. Wszystko więc zwracaj do mnie..."1

Co to znaczy: zwracaj do mnie? To znaczy: “nie do siebie". Z całą pewnością nie do siebie.

[...]

Rzym, 6 V 1980

Męka. Muszę przecież — a przynajmniej wydaje mi się, że muszę — napisać Papieżowi życzenia z okazji 60 urodzin[2], a zupełnie nie wiem jak. Żałuję, że nie napisałem do Niego od razu po naszym spotkaniu. Miałem wtedy okazję wygadać to, co mam do wygadania. Albo też nie mam nic do wygadania; albo wreszcie to, co mam do wygadania, nie nadaje się ani do listu, ani do rozmowy, ani nawet do spowiedzi. Być może teraz dopiero odkryłem tajemnicę literatury, tajemnicę poezji: tajemniczy labirynt analogii,

“odpowiednich" pokrewieństw wśród zdarzeń i ludzi, labirynt dziwnych zgodności i zbliżeń, muzyki podobieństw, której brzmienia nie da się przełożyć na żaden dyskursywny język. Poezja: sztuka wypowiedzenia głębszych zgodności poprzez inne, które są bardziej uchwytne. Rytm i metafora to sieci, w które łapiemy motyle naszych skojarzeń. Kojarzymy, to znaczy przyswajamy sobie świat, odnajdując w nim powtórzenia. Stwarzamy systemy powtórzeń, aby utrwalić w nich samą zasadę powtarzalności.

[...]

Amalfi, 27 V 1980

Wstręt do pisania. Nawet do zapisania czegokolwiek. Impas. Podróż przyjemna, ale w niczym nie pouczająca poza chwilami ryzyka, np. na autostradzie w deszczu i we mgle. Świat wydaje mi się zgłupiały. Zabrać im samochody i aparaty fotograficzne, radia i płyty, i co im zostanie? Nie będą mieli sił do poruszania się, ani zdolności widzenia, słyszenia i pamiętania. Nie ma nic, co by stanowiło atrakcję podróży. Nie ma folkloru,

nie ma koloru lokalnego, nie ma gościnności. Wszystko jest jednakowe: kuchnia, strój, ceramika. Wszystko jest standardowe i oszukańcze: handel, usługi, uprzejmość. Świat jest nawet wesoły i miły. Ale bez wartości.

[...]

Warszawa, 17 VI 1980

"Ten jest dobry, kto czyni drugim dobrze; jeżeli cierpi z powodu dobra, które uczynił, jest bardzo dobry; jeżeli cierpi od tych, którym owo dobro uczynił, dobroć jego jest tak wielka, że

powiększona może być tylko w razie, gdyby wzrosły owe cierpienia; a jeśli z tego umrze, cnota jego nie może sięgnąć dalej: jest bohaterska, jest doskonała" (La Bruyčre)[1].

— — —

Wczoraj wieczór w klubie PEN[2] wręczenie nagrody im. Lepeckiego Marianowi Brandysowi. Prezes wyjąkał kilka nieskładnych zdań, profesor Janion odczytała zadanie szkolne na poziomie II licealnej, laureat

wygłosił pogadankę o sobie samym, przechwalając się i żartując, jak gdyby mówił do “czytelników" z Biblioteki Publicznej w Mławie. Oklaskom nie było końca, oczy pałały, wszyscy uśmiechali się słodko. Stawił się kwiat dysydencji: Chojecki i Michnik w koszulkach z napisem Nowa, a także seniorzy, tj. autorytety moralne: Mazowiecki, Cywiński. Wolna Polska, Dziecinna Polska, Polska żyjąca fałszywymi analogiami, Polska bawiąca się swoją własną historią, tak jak dzieci bawią się w sklep, w wojnę lub w doktora.

Każdy ma tu swoją rolę wypracowaną wedle jednostronnej umowy.

[...]

Warszawa, 24 VI 1980

Nuda i zniecierpliwienie. Wszystkie twarze dookoła postarzałe. Czas przyspieszył biegu. Czuję go w sobie, widzę go w innych i boję się go. Posłyszałem jakby dzwonek na ostatnie okrążenie. I wciąż jestem za słaby, by przyspieszyć biegu. Wszystkie plany i postanowienia biorą w łeb na skutek szybkich zniechęceń i wciąż innych

zachceń.

[...]

Wilga, 29 VI 1980

Zadałem dzisiaj Bogu pytanie, czy chce, ażebym dla niego zrezygnował raz na zawsze z pisania idiotycznych fabuł, z moich literackich, a poświęcił się całkowicie Jego sprawom, tj. wyjaśnianiu innym tego, co sam zrozumiałem. Powiedziałem Mu, że byłaby to z mojej strony prawdziwa ofiara i że widzę jakąś logikę w tym, ażebym dziś dla Niego zrezygnował z tego, co wybrałem kiedyś zamiast Niego.

Obliczyłem to nawet w latach; 30 lat straciłem na literaturę, niechże mi więc Bóg zechce teraz dać jeszcze 30, ażebym mógł Mu oddać to, co Mu sprzeniewierzyłem...

Odpowiedział: Owszem, ale najpierw skończ, coś zaczął, albowiem ofiara z dzieła ledwie zaczętego to tyle, co, za przeproszeniem, zdechły baran na ołtarzu, amen!

[....]

17 VII 1980

Pochmurny, zimny, ciężki dzień; bez szczególnych

zmartwień, ale ciężki; bez smutków, ale smutny. Jałowa nuda Gombrowiczowskiej metafizyki[1] (porządkuję to, co o nim napisałem), bo w niczym nie rozszerza wiedzy o człowieku i o świecie. W niczym! Jest to niezła szkoła psychologicznej interpretacji różnych gier — ale w gruncie rzeczy bardzo środowiskowa, bardzo umowna. Ten sposób interpretacji zakłada także pewien sposób bycia: Gombrowiczowski. Czytanie Gombrowicza jest zabawne tylko jako obcowanie z nim samym i jego fantazmatami. Ale w końcu

nudzi, tak jak w towarzystwie nudzi najoryginalniejszy nawet kabotyn. Obserwacje Gombrowicza — w gruncie rzeczy banalne — są tylko zabawnie pokazywane i usystematyzowane. W *Opętanych*, gdzie ze względów komercyjnych zrezygnował ze swego osobliwego języka, okazuje się, jakim naprawdę był pisarzem[2] — klasy Choromańskiego i ani grosza więcej!

— — —

Nie, nie mam racji. Znów degraduję przedmioty własnego zainteresowania.

[...]

18 VII 1980

Rano praca niezła. W szpitalu z panią Kosyk. Potem znowu niezła praca. Głupie dwie godziny w redakcji[1]. Zdzisław pogrąk004ża się coraz bardziej w dziecinnej mitomanii. Kiepskie popołudnie — spacer (po co?), ślamazarna praca, czytanie *Wspomnień polskich* Gombrowicza. Monotonne to pomimo popisywania się ekscentrycznością[2].

W Lublinie strajki[3]. Powódź

ustępuje. Niezręczna sytuacja z Zanussim i Pezzalim. Powinienem ich przyjąć, a Kazia nie chce, z kolei zaś Zanussi też nie zachowuje się poprawnie. No i Film Polski[4], który mnie w tym wszystkim zupełnie ignoruje... Słowem — niemiło. Najlepiej wyjechać do Wilgi.

Wilga, 20 VII 1980

Strajk w Lublinie już podobno ma się ku końcowi. Strajkują jeszcze tylko kolejarze i węzeł kolejowy jest zablokowany. Ale strajkowano, czy też strajkuje się nadal w Białymstoku, w Łomży,

w Łapach i jeszcze w kilku miejscowościach wschodnich. Rząd paktuje, co już jest zmianą ustroju; jeden fałszywy krok, aresztowanie czy zwolnienie z pacy któregoś z delegatów może doprowadzić do wybuchu.

Zabawne są reakcje ludzkie. Dotychczas prawie wszyscy odnosili się z sympatią do strajków, ponieważ nadwątlały znienawidzony reżim. Kiedy jednak stają się one instytucją, rozszerzają się, utrwalają, uporczywieją, a na domiar zaczynają dotykać wrażliwych unerwień życia codziennego,

takich jak transport, dystrybucja mleka, pieczywa, światła, wody, budzi się w “społeczeństwie" instynkt państwowy. I ten, i ów (nawet moja żona) powiada: jakże tak można, przecież państwo na tym traci! Do diabła z państwem! Państwo to wypadkowa klasowych i jednostkowych egoizmów! Wcale nie te państwa są silne, zdrowe, zamożne, których obywatele nie szczędzą ofiar z majątków i życia, lecz te właśnie, które muszą nieustannie liczyć się z egoizmem swych obywateli. To ten egoizm człowieka wobec państwa jest

najlepszą miarą jego praw, najlepszym prawem jego ekonomii, najwyraźniejszą granicą jego uroszczeń. Egoizm wobec państwa jest w istocie wolnością obywatela i jego przeświadczeniem, że to on, każdy w swym osobnym i społecznym istnieniu, jest dla państwa instancją nadrzędną, a jego dobro kryterium państwowej polityki.

Nie wolno być egoistą wobec drugiego człowieka, ale należy być “egoistą" wobec wszystkiego, co nie jest człowiekiem konkretnym, żywym człowiekiem.

[...]

Nawyk “państwowego" myślenia o sprawach gospodarczych i administracyjnych, tzn. przekonanie, że obywatele winni ustępować państwu ze swych żądań ekonomicznych oraz pomagać mu w wykonywaniu administracyjnych funkcji (np. budować drogi, fundować szkoły i szpitale) nie jest tylko rezultatem komunistycznej indoktrynacji i propagandy. Jest to pozostałość myślenia niepodległościowego, które wykorzystywała sanacja (przypomnijmy sobie zbiórki na FON i FOM) i którego nadużywa również władza komunistyczna, grożąca przy każdym strajku interwencją radziecką. Grożono w 1970 (Cyrankiewicz mówił wtedy o anarchii, która tylekroć gubiła Polskę), grożono w 1976, a teraz znów powtarza się powiedzenia w rodzaju “sytuacja, jaka powstała w Lublinie, może zaniepokoić przyjaciół Polski, a przysłuży się jej wrogom". Zresztą już wcześniej Babiuch i różni ministrowie przy różnych okazjach twierdzili, że obecna sytuacja przypomina przedrozbiorową. Wtedy również — mówił Babiuch do delegacji

filmowców — spadła produkcja!

[...]

22 VII 1980

Wczoraj podpisanie umowy z Włochami na film. Obiad w Wiktorii. Głupie dowcipy Pezzalego i uczucie spustoszenia.

Kraków, 25 VII 1980

Wawel, miejsce wiary, łaski, modlitwy. Związek wiary, łaski i modlitwy. Wierzę, więc jestem obdarzony; wierzę, iż jestem obdarzony; proszę, abym został obdarzony.

Wawel — miejsce tajemnicy. Tajemnica spełnia się w miejscu i

w czasie. Bóg przenika tę ziemię — przeszywa ją promieniem łaski. Przenika, przeszywa dzieje ludzkości — w Chrystusie, we Wcieleniu, w historii świętej, na Ziemi Świętej. Bóg przenika, przeszywa dzieje każdej ludzkiej wspólnoty, każdej ludzkiej jedności. Miejsca święte narodów. Bóg przenika, przeszywa swoją łaską życie każdego człowieka, każdej duszy z osobna. Spraw, aby miejsce osobistego spotkania z łaską było bliskie spotkania twego rodu, twego narodu, twego gatunku. Im bliższy jesteś ludzkości w tym osobistym

przedmiocie łaski — objawieniu — wcieleniu, odkupieniu — tym jesteś duchowo bogatszy, szerszy, szczęśliwszy.

Dlatego te miejsca wspólnej tajemnicy to są także miejsca wierności.

Dochować wiary ojców — to nie jest frazes retoryczny: to zasada osobistego i zbiorowego trwania. Nie ma szczęśliwego człowieka, który by zaparł się wiary swej matki. Może ją — i powinien — wyrazić na nowo, ale zachować wierność dla podstawy. Albowiem ludzkość posuwa się naprzód, trwając w miejscu.

Budować zawsze na tym, co zbudowali poprzednicy. Nie wyprzedzać, nie wracać dalej, niż poprzednicy. Posuwać się krok za krokiem nie tracąc łączności. Tak żyć, tak mówić, aby cię zrozumieć mogła twoja matka, gdyby żyła — nawet twoja matka analfabetka. Aby nie buntował się przeciw tobie twój syn. Aby nie narzekał, że go krępujesz, hamujesz czy więzisz w przestarzałych pojęciach...

[...]

Warszawa, 2 VIII 1980

u002Nadal deszcz i chaos.

Deszcz dokoła, chaos w głu016wie. Szkic o powstaniu listopadowym[1]. Czytanie książki Łojka[1]. Dobrze, choć ordynarnie pisane. Za dużo myśli ubocznych w każdej sprawie. Wczoraj tajemniczy list w drzwiach o pomniku katyńskim — dzwonek, otwieram, nikogo i ani szelestu na schodach, a list w progu. Godzina 8^{15} rano. Ale na cmentarz nie poszedłem, bo nie chcę być na każde zawołanie. Pomysł zresztą nierozsądny: to jakby myszy same na siebie zastawiły pułapkę. Utworzenie stałego miejsca

antyradzieckich manifestacji! Takie demonstracje można i trzeba robić, ale wciąż w innych miejscach, a nie tam, gdzie SB i KGB czekają.

5 VIII 1980

Zanim zabierzesz się do czegokolwiek, co wymaga przygotowań, napisz książkę pt. *Moje życie w PRL*.

Miałem 16 lat i 2 miesiące (niespełna), kiedy wybuchła Polska Ludowa, nazywana wtedy “demokratyczną i suwerenną". Dnia 19 stycznia 1945 zobaczyłem

dwie biało-czerwone chorągwie nad wejściem do Banku Polskiego przy ulicy Basztowej. Jedna była krótsza, druga dłuższa, obie wypłowiałe i zmięte. Zawołałem do mojego starszego brata, z którym szedłem: Ty... czapki zdjąć — i na wpół drwiącym, na wpół patetycznym ruchem ściągnąłem z głowy uczniowską czapkę z nausznikami. Brat uśmiechnął się kwaśno i do czapki ręką nie sięgnął, o co miałem do niego pretensje. Ulica była pusta, zamglona, na Plantach posypanych puszystym śniegiem sterczały lufy przeciwlotniczych armat i skupili się przy nich żołnierze w burych płaszczach. Minęliśmy Barbakan, przeszliśmy pod mury Floriańskiej Bramy. Ulica Floriańska była zupełnie pusta. Dopiero koło hotelu Pod Różą spotkaliśmy paru żołnierzyków. Szli pomalutku, jak na spacer, wlokąc za sobą druty telefoniczne, które leniwie zaczepiali o rynny i gzymsy. Za nimi, jak wrony za oraczem, postępowały smutne, biedne krakowskie kurewki. W Rynku, koło Sukiennic, stały też armaty wymierzone w niebo. Rozglądaliśmy się wkoło, czy nie

ma czasem chorągwi, albo innych śladów narodowego zmartwychpowstania. Nie było. Wróciliśmy za tory kolejowe, przechodząc koło martwego, zasypanego śniegiem domu, przy którym leżał trup kobiety z zakrzepłą masą w miejscu głowy, pod kolejowy most na Lubicz, obok niemieckiego trupa ułożonego na bok, jak do snu, obok ruin innego zawalonego domu, za most, mostek, pustą Lubicz, pustą Rakowicką. Dopiero w bocznych uliczkach na Topolowej, na Ariańskiej (gdzieśmy mieszkali) wrzało życie. Tu dzielono i konsumowano łupy z poprzedniego dnia — dnia grabieży.

7 VIII 1980

[...]

Żądanie rzeczy, które są do spełnienia niemożliwe, to albo dziecinada, albo prowokacja. Pełne wyzwolenie Polski spod kurateli sowieckiej i zmiana systemu politycznego to na dzisiaj mrzonki. Co więcej — mrzonki niebezpieczne. Co by się stało, gdyby ZSRR spełnił nasze żądania? Kraj zostałby wydany na

pastwę sporów i walk wewnętrznych oraz tajnych agentur. Można mówić o wyzwoleniu Polski tylko w ramach nowego systemu bezpieczeństwa europejskiego i pod ochroną nowych międzynarodowych gwarancji, w ramach nowych, partnerskich związków polityczno-gospodarczych. Nie wolno ani domagać się, ani dopuścić do jednostronnego aktu “zrzeczenia się" przez ZSRR roli gwaranta i protektora. ZSRR mógłby to zrobić bez szkody dla siebie, a nawet z zyskiem, gdyż utworzyłby

sobie tutaj głębokie bajoro polityczne, w którym mógłby łowić, co by tylko chciał, a dalsze dzieje Polski przypominałyby dzieje przedwojennej Litwy lub dawnej Syberii[1]. “Wyzwolenie" takie mogłoby być właśnie wstępem do pełnej aneksji.

— — —

[...]

Powinienem postawić sobie kilka zasadniczych pytań i po prostu na nie odpowiedzieć. Np. 1. Dlaczego reżim komunistyczny spotkał się w Polsce z tak słabym

oporem? 2. Co uzyskał? 3. Czego nie uzyskał? 4. Cośmy stracili, cośmy zyskali?

Nastał po okupacji hitlerowskiej, po rozczarowaniach do sanacji i do reżimu londyńskiego — a także do konspiracji. Udawał wszystko, czym nie jest: Polskę, demokrację, rewolucję (i w tej kolejności). Nie miał alternatywy (ubóstwo i konfuzje ideologiczne Zachodu). Utrafił w szczególną pustkę między pokoleniami.

Ale nie tylko to miałbym do opowiedzenia. Przecież moja droga do takiej czy innej zgody z PRL była bardzo przewrotna. Polegała też na rozczarowaniu do Kościoła i na buncie przeciw domowi. Czy tego opowiedzieć nie można? Czy nie warto? Pamiętam dobrze ulgę, jaką sprawiła mi marksistowska analiza zastosowana do rodziny Żeglikowskich, do choroby matki, do Kościoła, historii Polski, literatury. Miałem wrażenie, że przyłapałem cały świat na oszustwie. Zyskałem poczucie przewagi — małym kosztem. Nagle wszystko mi się wyjaśniło i poczułem się zwolniony z mnóstwa ciężarów i obowiązków.

Było mi bardzo lekko.

I wstrętnie.

8 VIII 1980

Przeczytałem wczoraj *Wielki strach* Stryjkowskiego[1]. Wielki wysiłek duchowy tego człowieczka.

[...]

11 VIII 1980

Ilekroć masz wątpliwości, co robić, jak się zasłużyć, popatrz na zegarek lub zajrzyj do kalendarza. Czeka na ciebie na pewno coś, co nie cierpi zwłoki. I nie nudź Boga wtedy więcej o światło; czas jest

Jego szczególnym darem i prawem.

— — —

Nie, co ja powinienem zrobić, co zrobić mi należy i co wypada, ale co jest naprawdę potrzebne i w czym mógłbym ludziom pomóc.

[...]

Wilga, 17 VIII 1980

Szósty tydzień strajków. Strajk w Gdańsku[1]. Prawie powszechny, podobnie jak miesiąc temu w Lublinie. Pojawiają się postulaty polityczne: rozwiązania związków

zawodowych i zniesienia cenzury. Błagalne przemówienie Babiucha[2]. O ile jest to rzeczywiście poważna sytuacja? Czy jest to naprawdę “gniew ludu" — tym razem autentyczny — czy kolejna rewolucja pałacowa lub taktyczny manewr? A może te strajki pomogły utrzymać się przy władzy Gierkowi, który przez cały czas był w Moskwie[3] i prowadził tam jakieś tajemnicze rozmowy? [...]

20 VIII 1980

Całe Wybrzeże objęte

strajkiem. Komisja rządowa nie chce rozmawiać z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym, który domaga się uznania go za jedyne przedstawicielstwo załóg strajkujących. Komitet ten wysuwa żądania polityczne (m.in. zniesienia cenzury) i sam przez się jest wyzwaniem politycznym, albowiem uznanie go stanowić będzie dopuszczenie do sprawowania władzy czynnika suwerennego, który sankcję swych działań ma na dole, w społeczeństwie, a nie w hierarchii politycznej. Przedmiotem

rozgrywki między partią a załogami fabryk i stoczni jest właśnie przedstawicielstwo; chodzi o nowe komitety samorządu i o nowe związki zawodowe; nikt w tej chwili nie wie, czym się ta konfrontacja skończy.

— — —

Nic nowego. Apel DiP-u, TKN-u i KiK-u, “Więzi" — podpisałem[4]. Nagranie w Muzeum Literatury. Dzielny Celiński czekał z listem pod drzwiami. Potem dzwonił

Amsterdamski z wiadomością, że Celiński razem z tą listą gdzieś przepadł. Rozmowa z Olszewskim. Według niego jest to konfrontacja dzieci z matołami.

22 VIII 1980

Nic nowego. Strajki trwają. Dziś miał zacząć się strajk komunikacyjny w Warszawie, ale nie zaczął się. Wczoraj: tekst dla Firmy[1], uzgadnianie, uganianie po mieście. Nagle huragan, drzewa powywracane, jezdnie zasłane konarami, porozbijane samochody, a przed stacjami benzynowymi kolejki, jakby

wojna miała wybuchnąć. Potem trzy godziny narady: jechać do Gdańska, czy nie jechać. Rewizja u Kowalika i Geremka. Obaj przyszli tu, bardzo z siebie zadowoleni. Naraz ogłuchł mój telefon. Wszystko zwariowało. Na końcu przyszedł Zanussi, uśmiechnięty, pachnący. Leci do Londynu i do Stanów. A my tu giniem.

Moje ślepe zaufanie do rozumu Mazowieckiego uległo wczoraj lekkiemu zachwianiu.

22 VIII 1980

Postanowiłem nie jechać i nie

pojechałem. Wyjaśniłem to w redakcji “Więzi" na piśmie (bo inaczej nie można było się porozumieć ze względu na podsłuch), twierdząc, że byłaby to ekspozycja polityczna, której nie chcę. Napisałem, że nie chcę być ani tak politycznym pisarzem, ani tak politycznym człowiekiem, a mój charakter, moje odruchy nie są takie, abym mógł z nimi zjawić się na pierwszej linii walki politycznej.

23 VIII 1980

Moje argumenty zostały oczywiście odrzucone, ale przyjęta

została i uszanowana decyzja. Oczywiście ją odchorowałem. Dziś rano zapytałem Go, czy należało jechać. Zapytał mnie: jak było pokorniej? Odpowiedziałem bez wahania: pokorniej było zostać na miejscu, robić swoje, nie wchodzić w nie swoje role i nie swoje sytuacje. Podziękowałem i zabrałem się do roboty. W sytuacji żadnych zmian. Strajki trwają, władza właściwie milczy, telewizja nie potępia w zasadzie strajków, ale stara się wyłapać “nurt antysocjalistyczny".

Do eskapady zraziły mnie projekty Mazowieckiego: ofiarowanie Komisji Jagielskiego oraz Komitetowi Strajkowemu usług mediacyjnych, które uznałem za czystą fantazję; oraz wizja Geremka spędzenia nocy z robotnikami w stoczni — nocy, po której, jak powiedział, staniemy się ludźmi stoczni.

Wszystko dobrze, ale w takim sosie sam sobie nie smakuję. Mazowiecki powiedział przy tym, że nasza obecność jest konieczna wobec aresztowania KOR-u, bez którego strajk znalazł się w impasie, bez kierownictwa[1]. Co do mnie — oświadczyłem — nie nadaję się na przywódcę strajku i

nikt mnie o odegranie takiej roli nie prosi. Śmieszność tego zauważył nawet Geremek. Za tym wszystkim czyha demoniczny Kowalik, który przyznał, że inicjatywę podjął wraz z prof. Kielanowskim. To znaczy, że podjął ją z Wolickim, Amsterdamskim, Kuczyńskim *et consortes*. Bohdan Cywiński *"made a point"*[2] mówiąc, żeby się nie łudzić: krok ten jest eskalacją w stosunku do apelu podpisanego przez 64 bardzo różne osoby (łącznie z Kieniewiczem, Gieysztorem, Żółkiewskim, Dziewanowskim, a nawet...

Bratnym). Kowalik oczekuje tylko chwili, w której o eskapadzie — bez względu na jej wynik — ma zawiadomić prasę. Zaprotestowałem przeciwko informowaniu prasy natychmiast po wyjeździe; zostało to przyjęte, ale Kowalikowi nie ufam. Zresztą namiętność M.[3] do słyszenia swego nazwiska w eterze jest tak wielka, że poda o sobie każdą wiadomość, nawet jeśli jego podróż zakończy się na Woli.

W tej chwili (jest 5^{30}) wysłuchałem wiadomości Głosu Ameryki: doszło do spotkania

Komisji Jagielskiego z Komitetem Strajkowym i Jagielski zgodził się odwiedzić strajkujących stoczniowców[4]. Ponadto w piątek wieczorem wypuszczono 5 osób spośród aresztowanych. Są to oznaki zmiękczenia stanowiska.

Jeżeli to prawda, to przyjazd tej delegacji może być akurat na czasie (albo zupełnie poniewczasie). Znów pozostaje mi tylko zastanowić się nad sobą, czy mianowicie — lepiej dla mnie być w tej delegacji, czy też nie. Pozostaje mi ta sama, zasadnicza odpowiedź, że pokorniej jest w niej nie być, niż być.

24 VIII 1980

Właściwie nic nowego. Jagielski po pierwszym spotkaniu z Komitetem Strajkowym w stoczni (gdzie wygłosił przemówienie) powrócił do Warszawy, aby powiadomić Biuro Polityczne o rezultacie swych rozmów. W tej chwili radio BBC (godz. 15) podało wiadomość, że do Warszawy zjeżdżają się członkowie KC. O losie Geremka i Mazowieckiego nic nie wiadomo. Artur oczywiście pogratulował mi wczoraj

przytomności umysłu.

To tak wygląda, ale mnie nie przestaje drążyć niepokój, że postąpiłem małodusznie, i żal do siebie, że pozbawiłem się w ten sposób jakiejś wartości, jakiegoś przeżycia. Wszystko, co tu teraz robię, wydaje mi się marne. Pojechaliśmy wczoraj do Wilgi, aby obejrzeć skutki huraganu. Widzieliśmy powalone drzewa na Mokotowie i przy drodze, ale u nas nic — wszystko w porządku, tylko światła brak. Za to u Grodzickich, w głębi lasu ruina taka, jak u nas w kwietniu. Wobec braku prądu powróciliśmy do Warszawy — pustej, przewianej wiatrem, który wciąż dmie, ponurej pod ołowianymi chmurami, gnającymi nisko, i siekącym od czasu do czasu ostrym deszczem.

Dziś pokazało się słońce, ale nadal bardzo zimno. Zaledwie 10 stopni — w połowie sierpnia!

Szkic o Powstaniu Listopadowym zupełnie mi nie idzie.

Nie mam nic do powiedzenia i nic nie wiem.

[...]

— — —

A więc dokonała się rewolta, zmiany, zapowiedzi reform, “Odnowa"! Jednocześnie wiadomość, że nasi dwaj emisariusze odnieśli w Gdańsku pełny sukces i wezwali dalszych pięciu[1]. Pojechali Cywiński, Kuczyński, Kowalik, Wielowieyski i Kubicki. Podobno na prośbę wojewody. Jest mi oczywiście przykro, że mnie tam nie ma, ale zarazem potwierdza to moje przeczucia, że nie jest to misja honorowa, ale polityczna, wymagająca pełnego zaangażowania. Dokonałem wyboru i teraz muszę się go trzymać: unikać polityki, skupić się w innym świecie, zstąpić głębiej, nie brać się do nie swoich rzeczy.

Dosyć mnie to wszystko dziwi: dlaczego wojewoda[1] zapragnął tak zmasowanego nalotu intelektualistów z Warszawy i jaką rolę mają oni do spełnienia? O co chodzi? Być może wojewoda przeżył chwilę słabości i czepiał się każdego pomysłu, jaki mu przyszedł do głowy. Być może uważa za konieczne uspokojenie, oświecenie ludzi, odbywanie z

nimi rozmów. Byłaby to ekipa ochotniczej straży pożarnej. Kowalik i Kuczyński będą tłumaczyć ludziom szkodliwość niekontrolowanych podwyżek płac, Wielowieyski i Mazowiecki politykę wyznaniową, a ja — musiałbym pewnie mówić o cenzurze... Słowem, odgrywają oni tam rolę owych październikowych intelektualistów wysyłanych na Żerań przez warszawski KW. Nie bardzo to wszystko rozumiem. Cała ta sytuacja jest ponadto pełnym sukcesem DiP-u, który stanie się nową elitą polityczną. Do tego, oczywiście, dołączy się “Więź" i lewica TKN.

A mnie to z góry mierzi. Będzie kolejna “łodnowa" pod dyrekcją Olszowskiego, nowe manewry, nowa krętanina, z tym, że wzmocni się oczywiście rola Kościoła, który raz jeszcze uratować może PRL.

Moja rola: dużo drukować. Prawdopodobnie będę mógł teraz drukować i wydawać. Ale na litość, nie angażować się w firmowanie tej “łodnowy".

Tak to jest: gdybym był pojechał do Gdańska, byłbym innym człowiekiem. Ponieważ nie

pojechałem — jestem innym człowiekiem. Ponieważ — jak mi się wydaje — podjąłem tę decyzję w duchu najgłębszej, osobistej prawdy. Jest to decyzja dobra i teraz kwestia posłuszeństwa, wiary — tak, wiary — jest tę prawdę przyjąć, tej prawdy się trzymać i za tę prawdę podziękować.

Wysłuchałem teraz w Wolnej Europie Tadeusza Nowakowskiego, który z pewnym zdziwieniem streszczał moją odpowiedź na ankietę DiP-u. Moje słowa, że odmawiam wszelkiego wysiłku nad reformowaniem systemu, który reform nie znosi i nie potrzebuje, brzmią bardzo zabawnie w chwili kolejnej “łodnowy".

Są więc przesłanki do dalszej mojej “gry". Odmawiam odpowiedzi na ankietę DiP-u, twierdząc, że jedynym moim obowiązkiem społecznym jest obrona przed niszczącymi skutkami systemu politycznego, w którym żyję, a nie reformowanie albo czynne zwalczanie. Jest to w gruncie rzeczy doktryna Chrystusowa i jest to — doktryna augustiańska. Odmawiam wyjazdu do Gdańska, twierdząc, że nie

chcę być politycznym pisarzem i człowiekiem.

25 VIII 1980

Godz. 6 rano: strajkujący w Gdańsku oświadczyli, że zmiany personalne ich nie zadowalają i że nie powrócą do pracy, dopóki wszystkie ich żądania nie zostaną spełnione.

Z WE dowiedziałem się, że strajkujący poprosili Mazowieckiego o sformowanie grupy ekspertów, którzy pomogliby im w negocjacjach i formułowaniu postulatów. I

wówczas to wezwał Kowalika, Kuczyńskiego, Cywińskiego i Wielowieyskiego... I ja miałbym być takim ekspertem, gdybym był na miejscu? ... To M. [Mazowiecki] nie miał dość wyobraźni na to, aby w tym momencie sformować zespół reprezentatywny dla sygnatariuszy apelu i stworzyć ciało niepodważalne, o prawdziwym autorytecie naukowym i politycznym? A zarazem stworzyć nową sytuację polityczną przez rozszerzenie platformy operacyjnej? Zamiast tego odwołał się do TKN-u, czyli do

KOR-u i do swoich ludzi, przygotowując w ten sposób grunt dla legalizacji KOR-u oraz założenia przyszłej partii chrześcijańsko-demokratycznej, o której marzy. Gdybym znalazł się na miejscu, nie mógłbym, oczywiście, takiego postępowania firmować i nalegałbym na rozszerzenie płaszczyzny działania; Mazowiecki działa zawsze w duchu partyjnym. To człowiek partii. Jeżeli tak jest, to wyczułem go trafnie.

— — —

Sprawa dla mnie jest szersza.

W całej mojej działalności *quasi*-politycznej, datującej się od 1968 roku, objawiałem instynktowną niechęć do wszelkich przejawów partyjniactwa. Wszystkie pomysły, z jakimi występowałem w zarządzie oddziału warszawskiego (np. składy komisji) i wszystkie moje późniejsze reakcje zarówno w opozycyjnej grupie ZLP, jak w TKN, były skierowane przeciw tworzącej się we wszystkich tych gronach dyscyplinie partyjnej, przeciw owemu szczególnemu duchowi partyjnemu, przeciw swoistej arogancji, która ludziom

zamkniętym w dobranym gronie pozwala dzielić całą ludzkość na lepszą — tj. zrzeszoną, i gorszą — tj. niezrzeszoną. Partia — każda partia — jest zespołem uzurpatorów. Nie ma pewnie innego sposobu działania w polityce poza uzurpacją, ale uzurpacja jest właśnie tym grzechem, który uważam za śmiertelny i którym prawdziwie się brzydzę, albowiem jest kumulacją pychy, zawiści i rodzicielką kłamstwa, okrucieństwa, niesprawiedliwości, potwarzy, czego najlepszym, bo groteskowym przykładem może

być [cała linia wykreślona] na który reaguję równie źle, jak na wszystkie inne literowe skróty.

— — —

Ale nie należy sobie teraz gratulować i siebie podziwiać, ani też nad sobą biadać i swoich przyjemności żałować. Ważniejsze jest to, co się dzieje, a dzieje się źle, jeżeli oni tam, w stoczni, zamierzają rzeczywiście strajkować dalej. Albowiem teraz Gierek ma wszystkie atuty w ręce, może ogłosić stan wyjątkowy i wziąć stocznię szturmem — i nikt

na świecie nie weźmie mu tego za złe. [...]

— — —

Wieczorem: odmówili rozmów! Pierwsza pogróżka, że zostaną w TV i radiu obciążeni odpowiedzialnością za przedłużanie się kryzysu.

Więc dobrze: co ma się stać? Do czego to zmierza? Do drugiej rundy zmian, czyli obalenia Gierka? W tych warunkach jego następca musiałby wystąpić jako silna ręka, i to przy sowieckim poparciu.

26 VIII 1980

Łączność telefoniczna została przywrócona i strajkujący zgodzili się podjąć negocjacje, z których pierwsze dwadzieścia minut ma być transmitowane przez telewizję, a wynik ma być opublikowany.

Wczoraj dostałem pełną listę żądań robotniczych. Są chaotyczne, nieprecyzyjne, łatwe do obejścia. Pomimo wspaniałego przebiegu strajku wydaje mi się, że toczy się on przed siebie, ślepo, jak wagon silnie popchnięty, a pozbawiony hamulców. Strajkujący, zdaje się, nie wiedzą

sami, jaki cel naprawdę chcą osiągnąć.

— — —

Zamieszanie w motywacji. Najtrudniej jest poznać motywy swych decyzji. Nie mogą one stanowić ocenę samej decyzji, bo są sprzeczne i zmienne. Nie można oceniać decyzji wedle motywów. Nawet trudno wydobyć motyw najsilniejszy. Mój motyw: brak entuzjazmu dla strajku i — przez to — brak wewnętrznej pewności, że zdecydowałbym się wraz ze strajkiem pójść do końca.

Nie mam tej pewności także dzisiaj. Jeśli poszedłbym, to wbrew przekonaniu.

— — —

“Ileż przynosi dobra i pokoju o innych milczeć, wszystkiemu bez różnicy nie wierzyć i lekkomyślnie nie rozgłaszać rzeczy posłyszanych"[1].

Mało komu się zwierzać, zwracać się zawsze do Ciebie, który patrzysz na serce.

Nie unosić się za lada powiewem słów, lecz pragnąć, by wszystko w nas i poza nami

spełniało się według upodobania Twej woli.

Jakże bezpiecznie jest dla zachowania łaski niebieskiej unikać popisywania się przed ludźmi, nie ubiegać się o to, co zdaje się budzić podziw, lecz usilnie starać się o to, co się przyczynia do poprawy życia i wznieca zapał.

— — —

A jeśli to był strach?

Jeśli był to strach, co należało zrobić: przełamać go, czy ustąpić przed nim, tzn. nie wymagać od siebie wystawiania swej odwagi na cięższe próby? Co lepiej: zrobić to właśnie, czego się boję, czy to, czego się boję nie zrobić?

— — —

Jeżeli chodzi o postępowanie zgodne z charakterem: postąpiłem właśnie niezgodnie z charakterem, bom się skazał na bierność i czekanie, bo się odizolowałem od ludzi, bo się wyłączyłem z wydarzeń, bo przybrałem maskę, która nie może się podobać — ja, kokiet!

27 VIII 1980

Rozmowy zostały przerwane. Jagielski został odwołany do Warszawy na jakieś posiedzenie — być może związane z nowymi strajkami. Wczoraj nieszczęsne kazanie Prymasa w telewizji[1]. Staruszek przemówił tak, jak do strajkujących przed wojną mógłby przemówić kardynał Hlond: trzeba pracować, żeby móc żądać, i trzeba wykonać obowiązki, aby domagać się praw. Wspomniał również o zagrożeniu ze Wschodu, robiąc wyraźną aluzję do 1920 roku, podobnie jak Ryszard Wojna w TV, który

przypomniał wprost rozbiory.

Strajkujący w Gdańsku oświadczyli, że ani wolne wybory do związków zawodowych, ani zagwarantowanie prawa do strajku w nowej ustawie ich nie zadowolą, bowiem chcą związków całkowicie od partii niezależnych.

Dramat polega — jak się zdaje — na tym, że PRL już więcej dać nie może, a to, co daje, nie wystarcza. Ten ustrój już przestał istnieć, trwa natomiast jego sowiecka i międzynarodowa gwarancja. Najmniejszy objaw słabości ze strony ZSRR doprowadzi do jednoczesnego

załamania w NRD, Czechosłowacji i [na] Węgrzech. Najmniejszy odruch siły może go znów okrzepić.

Co ja myślę? Uważam, że z tego konfliktu obie strony powinny jeszcze wyjść z jakąś satysfakcją: robotnicy, że coś niewątpliwie osiągnęli, PRL, że niewątpliwie ocaliła wewnętrzne podstawy swej egzystencji.

— — —

Umarł Józek Sadzik[1].

— — —

Relacja Zdzisława ze stoczni: spokój, pewność siebie i pewność wygranej, a z drugiej histeria i głupota. Co do mnie myślę inaczej: że władze umyślnie odwlekają i opóźniają pertraktacje i powodują dalsze strajki; że przyciskają Gierka do muru, aby go doprowadzić do ostateczności i ubabrać krwią po to, aby potem (po rozbiciu strajków i spacyfikowaniu kraju) wyłonić nową ekipę, która stanowczo i pryncypialnie zabierze się do porządkowania gospodarki, przywracania autorytetu partii etc.

Cena społeczna ich nic nie obchodzi. [...]

— — —

Okropna jest praca mózgu nad uzasadnieniem decyzji, której się żałuje.

Tylko, że żałując tego, czego nie przeżyłem i już nie przeżyję, nie żałuję samej decyzji. Bo tak: w komisji ekspertów nie miałbym nic do roboty, wrócić bym nie chciał, czyli że plątałbym się po stoczni zamknięty w niej “na ochotnika". Niby solidarny, a właściwie wolny... Niby

“wydelegowany", a właściwie zgarnięty z ulicy.

28 VIII 1980

Ach, być masonem! Należeć do spisku ludzi, którzy dobrze życzą ludzkości, ale nie wysuwają się na pierwszy plan, manipulując z daleka tymi, którzy mają ambicje i namiętności. Nigdy nie posługują się do swych celów masami. Wierzą w pracę cichą i tajną i starają się rozstrzygać o biegu wypadków w przejrzystym, rozrzedzonym powietrzu, na szczytach władzy i wpływów, z dala od tłumów i ich przywódców,

gdzie rządzą sentymenty, nastroje, i gdzie byle plotka, albo jedno słowo, albo najbanalniejszy przypadek może zadecydować o biegu wypadków.

29 VIII 1980, w pociągu

Jadę do Szczecina[1].

[...]

Kraków, 5 IX 1980

Po pogrzebie Józka Sadzika, na Kanoniczej. Kazanie kard. Macharskiego o półświatłach i półmrokach wiary...

[...]

Warszawa, 7 IX 1980

Kania został pierwszym sekretarzem, Barcikowski i Żabiński weszli do Biura Politycznego[2].

— — —

Znalazłem się w Szczecinie, bo nie znalazłem się w Gdańsku. Nie znalazłem się w Gdańsku, bo uznałem siebie za człowieka nie aż tak politycznego. Ale potem znalazłem się w Szczecinie, bo — pomijając to, że mnie o to poproszono — nie miałem żadnej innej drogi uczestnictwa.

Chwyciłem się tej, jaką mi ofiarowano — wbrew sobie.

Jest to myśl do rozwagi dla wszystkich. Czy to, co robię, pochodzi z wolnego wyboru, czy jest zbiegiem okoliczności?

Chciałbym zaznaczyć, że skutecznie, rozumnie i konsekwentnie można działać w polityce tylko wtedy, gdy się działa zgodnie ze swym charakterem, znajomością rzeczy, intencją etc. Nie ulegać fatalnym siłom. Nie stawiać się w sytuacjach fałszywych. Odmawiając wyjazdu do Gdańska postąpiłem konsekwentnie, bom

uznał w sobie zespół cech, które kwalifikują mnie do innych ról, lecz nie do tej właśnie. Godząc się na wyjazd do Szczecina, popełniłem błąd, którego nie popełnić nie mogłem — jest to więc już nie mój błąd, lecz systemu.

Dlaczego wybuchły strajki? Bo nie było innego sposobu zakomunikowania władzom, całemu społeczeństwu, a nawet samym sobie tego, czego chcą robotnicy. Te strajki są działaniem zastępczym, podobnie jak działania intelektualistów. [...] Co było w tych strajkach

nieobliczalnego? Przede wszystkim zasięg. Po drugie [...] ich mieszany gospodarczo-polityczny charakter, wynikający właśnie stąd, że były one zastępczą formą wypowiedzi politycznej — nie “woli ludowej", lecz ludowym pragnieniem reform: pęczniały więc pakiety żądań — od 21 — gdańskich, do 36 — szczecińskich; od popartych realną znajomością rzeczy do najzupełniej dyletanckich[1]. Chaotyczny charakter tych żądań zrodził potrzebę ekspertyzy... [...] Można sobie wyobrazić, jakie tu było pole do popisu dla

demagogów, oszustów politycznych, a także prowokatorów.

Czego sam się nauczyłem? Stocznia przypominała mi PRL: wejść trudno, wyjść jeszcze trudniej, po wszystko kolejki, nikt nic nie robi, tylko rząd psioczy na nas i wszystko jest w tajemnicy, ale wszyscy wszystko wiedzą i wszyscy mówią o jednym: “kiedy «k024oni» pójdą". Co to jest? PRL, ale bez wódki i bez narzekania na rząd. PRL, która funkcjonuje. PRL katolicka. Czy byłaby to PRL przyszłości? PRL pokochana? PRL pluralizmu partii

i katolickich związków zawodowych? PRL dwuwładzy — krzyża wpisanego w gwiazdę? Analiza jej zalet i wad przekracza ramy niniejszego *exposé* oraz mojej wyobraźni. Kończę wzdrygając się ze strachu.

— — —

Zmieniono rząd. Dokonano korektur budżetu i planu. Kosztowało to 30 miliardów złotych, masę społecznej energii i emocji. Za drogo. Czy nie tańszy byłby wniosek o wotum nieufności dla rządu w

demokratycznym sejmie i jawna debata?

[...]

13 IX 1980

[...]

Co radzić? Postępowanie powolne, bardzo ostrożne, stopniowe, bez utraty kontaktu z PRL. Nie wolno dopuścić, aby powstały “dwie Polski": oficjalna, uznana przez ZSRR, i nieoficjalna, uznana czy wykreowana przez zachodnią prasę i nasze pobożne życzenia. Tak jest teraz: istnieją teraz takie dwie Polski, z których obie są jednakowo realne i które

muszą pozostać realne, ale na to muszą nawzajem siebie wspierać. Polska Wałęsy, Polska mitu w kraju i za granicą, musi podtrzymać w istnieniu tę Polskę niemiłą, Polskę Kani, po to, aby ta ostatnia nie musiała udać się do Moskwy po wsparcie.

Dlatego związki zawodowe powinny odciąć się od opozycji politycznej, a postępować w duchu negocjacji z Jagielskim i Barcikowskim. Utrzymać tego ducha, nie dopuścić do zepchnięcia się do sytuacji twierdzy.

[...]

18 IX 1980

Nie można zbudować świata bez strachu, ale można ten strach usunąć poza siebie. I można ten strach związać z systemem wartości...

[...]

19 IX 1980

Strach

Wielki temat. Co to jest strach? Co czuję, kiedy się boję? Rzadko się zdarza wiedzieć, że to, co czuję, jest właśnie strachem. Strach objawia się pod postacią innych stanów świadomości.

Kiedy czuję zagrożenie, staram się dociec jego źródeł, chcę wiedzieć, co mi zagraża. I tę formę strachu przeżywam jako stan niewiedzy, ignorancji, niepoinformowania. Ale może strach — to w każdym wypadku reakcja ustroju na brak informacji. [...]

— — —

Pełno plotek o nieporozumieniach między Mazowieckim i jego ekspertami a KOR-em. Nieporozumienia pojawiły się już w czasie gdańskich rozmów, szczególnie w ostatniej fazie, kiedy wypłynęła

sprawa aresztowanych w Warszawie i Krakowie działaczy KOR-u. (Mazowiecki rzekomo miał się sprzeciwiać włączeniu tej sprawy do listy żądań). Ale zaostrzeniu uległy teraz, kiedy w Gdańsku zjawił się Kuroń i utworzył własny Komitet Ekspertów. Komitet jest fikcyjny, ponieważ wchodzi w jego skład prof. Lipiński (92 lata), jakiś mało znany facet z Gdańska i — Kuroń. Ten ostatni w wywiadzie dla “Spiegla" uznał się podobno za ojca gdańskich strajków, idei samorządnych związków i w ogóle całej rewolty, a

Mazowieckiemu zarzucił nazbyt ugodowy kierunek[1]. Wałęsa, jak się zdaje, jest zupełnie skołowany. [...]

Niestety, z żalem i wściekłością muszę sobie jeszcze raz pogratulować, żem się w to nie wdał.

Wilga, 21 IX 1980

A może, to najgorsze, co miało się stać, już się stało, tzn. obalono Gierka, który wiązał Polskę z Zachodem i zastąpiono go ekipą, nastawioną na podporządkowanie ZSRR, w zamian za wykup z rąk wierzycieli? Może Gierek to

jeszcze był Stanisław August, a Kania, Olszowski i Jagielski, to już Targowica?

Warszawa, 23 IX 1980

Wszystko powoli wraca do normy, tj. do stanu poprzedniego. Dotyczy to w każdym razie propagandy. Co do związków zawodowych — odbywa się operacja “demontażu" CRZZ pod hasłem samorządność, a ruch ten, kierowany oczywiście, i odbywający się pod auspicjami dotychczasowych związków branżowych, rozgłaszany przez propagandę, zagłusza ruch

tworzenia związków nowych.

— — —

Czy istnieje jakiś obowiązek publicznego działania? Może na tym właśnie polega społeczny ethos polskiej literatury?

— — —

24 IX 1980

[...]

Jezu, co mam robić? Nie mogę się na nic zdecydować. Bo kieruję się pychą — myślę tylko o sposobie odznaczenia się, wybicia, zabłyśnięcia, a także o tym, aby

nie zużyć się, nie oddać zbyt tanio, zamiast myśleć o tym, jak się przydać, i zamiast myśleć naprawdę o sprawach ogólnych, to znaczy ogół obchodzących i ogółu dotyczących. Zamiast myśleć o obowiązkach, ja wyliczam sobie zasługi.

25 IX 1980

Polska miła i Polska niemiła. Która jest prawdziwa? Odpowiedź: obie. I obie muszą to uznać. Nie wolno dopuścić, aby stanowiły wzajem dla siebie kompensację, aby Polska niemiła stwarzała sobie Polskę miłą jako

swą fikcję i aby Polska miła krzepiła się w swych działaniach tym, że poza nią istnieje jakaś Polska gorsza. Obie są realne. I obie muszą z sobą koegzystować (współistnieć), jak w każdym ustroju współistnieją z sobą elementy pożądane z narzuconymi przez otoczenie.

— — —

Kto przekroczył bramę stoczni, czuł przede wszystkim, że pozbywa się strachu. Dlaczego? Przecież niebezpieczeństwo było za bramą, a nie pod bramą. Bo

strach widocznie nie jest związany z niebezpieczeństwem. Nie boi się ten człowiek, który wystawił się na niebezpieczeństwo, ale ten, który ma jeszcze możliwość uniknięcia go. Nie boi się ten, kto wie, co mu grozi, ale ten, kto nie wie. Strach to reakcja ustroju niepoinformowanego.

[...]

27 IX 1980

27. rocznica śmierci mojego Ojca.

— — —

Wałęsa zjawił się wraz z

delegacją MKZ gdańskiego w Warszawie; odbył rozmowę z Jagielskim, konferencję prasową, złożył wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza, był noszony na rękach, śpiewano mu hymny. Myślę, że miał nie mniej owacji i nie mniej doznał publicznej czci niż Piłsudski 11 listopada 1918 roku. Razem z nim występowali też nasz skromny Jurczyk ze Szczecina i... Świtoń z Katowic, który z bitego, ściganego, dręczonego lumpa stał się pełnoprawnym delegatem, ba! przewodniczącym założycielskiego komitetu katowickich związków. Jego nazwisko padło w sprawozdaniu prasowym z konferencji, którą zorganizował — a jakże! — Interpress.

Oczywiście, zarówno ta konferencja, jak i sprawozdanie w gazetach i w TV (odczytane zgryźliwie przez tego samego prezentera, Willmana, który komentował początek strajków) zostały wymuszone groźbą nowych strajków. Wszystko wskazuje na to, że stan, z jakim teraz mamy do czynienia, jest tymczasowy. To rozejm potrzebny władzy na zorganizowanie się, na

nowy rozdział funkcji, na ustalenie z grubsza — nie tyle może linii, która jest gotowa, bo zawsze ta sama — co priorytetów. A mianowicie chodzi o to, w jakiej kolejności i skali wykończyć politycznych przeciwników. Na ten czas potrzebny jest spokój w załogach robotniczych, który teraz kupują za każdą cenę. A potem...

Czuję już w powietrzu wielkie świństwo. Słyszę już rezolucje załóg, “samorządnych związków zawodowych", a także oświadczenia “uczciwych ludzi pracy", odcinające się od awanturniczej działalności Wałęsy i Świtonia oraz ich ukrytych “doradców", tj. Kuronia, Michnika etc. Stanie się to na pewno i prawdopodobnie się uda, bo tymczasem Wałęsa i Świtoń, obaj — jak się zdaje — ze skłonnościami do gwiazdorstwa politycznego, prowokowani, popędzani, podrażniani zarówno powodzeniem, jak oporem, będą popełniać błędy, będą drażnić swoich wyborców i słuchaczy. I na to władza tylko czeka, znając Polaków, którzy podrzucając w górę swych ulubieńców, już, już schylają się po kamienie, którymi

ich obrzucą po pierwszym niepowodzeniu lub gdy tylko uznają, że ich zanadto uczcili.

Obym się mylił. Zdaje mi się jednak, że Wałęsa posuwa się za daleko w tym osobistym sukcesie, że ten osobisty sukces właśnie w tej chwili jest niepotrzebny, że siła tego ruchu powinna polegać na jego bezimiennej liczebności i na osobowym charakterze masy. Władza powinna być pewna, że na miejsce jednego przywódcy skompromitowanego i ośmieszonego stanie stu innych, że to jest masa samorządna, a więc społeczność, a nie tłum porwany

charyzmą przywódcy, o której nikt lepiej od komunistów nie wie, jak jest przejściowa i łatwa do zniszczenia.

[...]

1 X 1980

Rozmowa z Anią. I nieszczęśliwa, i histeryczka. Po raz drugi była u nas sama bez Jędrka i po raz drugi skończyło się niespodziewanie awanturą.

Przemówienie telewizyjne Barcikowskiego[1]. Niedobrze: widać, jak pole manewru zwęża się dla obu stron.

Artykuł “Newsweeka" o

sowieckiej interwencji w Polsce. Jest to nonsens. Wejdą — i co? W 1968 roku w CSR weszli po to, aby aresztować kierownictwo, nad którym stracili kontrolę. Tutaj jest inaczej. Sowieci mają pełną kontrolę nad kierownictwem, natomiast kierownictwo straciło kontrolę nad społeczeństwem. Wkroczenie obcej armii tej kontroli ustanowić nie pomoże, przeciwnie, przywróci Polsce znany jej dobrze, wypróbowany tutaj model okupacyjny, czyli życie w anarchii i sabotażu.

[...]

2 X 1980

Powtarzam w kółko frazes “o ruchach tektonicznych" — co to znaczy?

To znaczy, że poruszyły się do społecznego działania warstwy dotąd nieaktywne i przemówiły milczące. Strajki są środkiem ekspresji. Nie ma wielkiego znaczenia to, czy strajki stanowiły element w grze politycznej, ani to, czy je ktoś organizował, ani — kto je organizował. Sam fakt, że partia, która z zasady ustroju powinna czerpać swą siłę ze zmowy przeciwko społeczeństwu, zwraca się ku niemu i korzysta z

jego elementarnych potencji dla dokonania zmian — bodajby tylko personalnych. Sam ten fakt wydobywa na światło dzienne prawdę o fikcji politycznej. Paweł Hertz powiada: przecież to się dzieje tylko dlatego, że “oni" są zdezorganizowani... Prawda. I prawda też, że każde ich zachwianie się u władzy ujawnia, z jak energicznym mają do czynienia narodem. I każdy kolejny kryzys narusza spójność stalinowskiego imperium. [...]

— — —

Punkt widzenia Pawła Hertza: wszystko w dziedzinie faktów politycznych rozgrywa się wedle odwiecznych, niezmiennych reguł. Z takich jak on pochodzili ludzie popełniający “genialne pomyłki", to znaczy takie, których przesłanki były racjonalne, a efekty absurdalne. Taką pomyłką był pomysł Wielopolskiego, aby branką do wojska uspokoić kraj, który już był w stanie wrzenia. Taką pomyłką w skali dziejowej był pomysł Churchilla, aby z Rosją — wieczną Rosją — podzielić się dominacją nad Europą. Nie rozumiał, stary

bałwan, że nie ma już wielkiej Anglii, w imieniu której przemawia, a Rosja nie jest stara, lecz nowa i sto razy groźniejsza od Niemiec, których pobicie miał w głowie, oraz Francji, którą chciał do końca upokorzyć, jak gdyby mu w czymś zagrażała, i Ameryki, którą chciał odsunąć z kontynentu.

4 X 1980

Dzisiaj w południe godzinny strajk ostrzegawczy[1]. Ciekawe, czy się uda. W TV i gazetach coraz więcej paternalistycznej, łagodnej perswazji.

Krasula ryczy żałośnie, że ją Wałęsa krzywdzi.

[...]

9 X 1980

Czesław Miłosz dostał Nagrodę Nobla![2]

10 X 1980

Po Nagrodzie Nobla dla Miłosza: idiotyczna wypowiedź Jerzego Andrzejewskiego w "Życiu"[1]. Był widocznie zupełnie pijany. Wczoraj, kiedy do niego zadzwoniłem, zachował się wielkodusznie.

Wczoraj wieczorem ku czci Jasienicy miałem referat[2].

Żuławski i Hertz wzbraniali się powiedzieć cokolwiek o nagrodzie. W końcu Żuławski powiedział, że “za — za — za — wiadamia..."

11 X 1980

Deszcz pada. Telegram do Miłosza! — “Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy". Zmieniłem temat wykładu na Tydzień Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu[3].

14 X 1980

Właściwie całe życie upływa mi w żalu z powodu nie

napisanych w porę listów.

15 X 1980

[...]

Moment naprawdę ważny: widzę kilka, kiedy oczy przymknę i zmuszę się do natychmiastowej odpowiedzi: Zjazd polonistów w grudniu 1949[4] i Jagoda; szpital w 1950 roku; ulica Poselska w 1951 — przed sądem, a potem — długo, długo nic, aż dopiero teraz — ten rok ostatni.

I właściwie pamiętnik mojego życia mógłbym zawrzeć w pamiętniku roku 80-ego, licząc od śmierci Jarosława, od wizyty u

Papieża, do stoczni i Nobla dla Miłosza.

[...]

— — —

Miłosz: muszę spojrzeć na tego dziwotwora okiem naprawdę rdzennego Polaka. Nie mówię o składnikach mojej krwi, bo co mogę wiedzieć, jakie tam domieszki do niej się przyplątały — po jednej babce de domo Knofloch, wiem na pewno, i po prababce Ormiance też. A poza tym kim byli ci Kijowscy? Czy Kijewscy, o których wprawdzie pisze Niesiecki[1], ale którzy (poza

dwoma prałatami i jednym kaznodzieją odnotowanym przez Estreichera[2]) nie odznaczyli się niczym... I skąd cała ich kolonia odkrywana — czy nie jacyś osadnicy? Czy nie z handlowaniem kijankami mają coś wspólnego? A może z Węgrami, skoro “kijos" znaczy po węgiersku “kosa"? Rdzenność moja polega na miejscu urodzenia... Rdzenność i prowincjonalność.

16 X 1980

Co zrobić? Co zrobić?

21 X 1980

Myślałem tylko, co mogę mieć, nie pomyślałem nigdy, co mogę mu dać.

To się odnosi do wszystkiego. Do świata. Miłość i wolność warunkują się wzajemnie. Uwaga dla drugiego człowieka łączy się z podniesieniem wartości własnej, jako dawcy. Pytanie “co zrobić" łączyło się dla mnie z pytaniem, co uzyskam w zamian; powinno się zaś łączyć z pytaniem: w czym pomogę. Są ludzie miłujący drugich z instynktu; kto tego nie ma, jak ja, musi do miłości i wolności przejść długą drogę.

22 X 1980

Każdy dzień może być ostatni. Każdy list może być pożegnaniem. Trzeba ich pisać jak najwięcej, aby odejść przynajmniej w opinii grzeczności. Każda twarz ludzka widziana może pozostać ze mną na wieki, jako ostatnie wspomnienie z tej ziemi. Należy zmuszać do uśmiechu twarze ku mnie zwrócone.

Chcę być zbawiony, to znaczy — chcę dowiedzieć się, co Bóg myśli o mnie. Osiągam to już teraz, na ziemi, starając się w myśli i postępowaniu o zmianę

punktu widzenia, czyli o spojrzenie na siebie z punktu widzenia tego, kto mną nie jest. [...]

Wrocław, 23 X 1980

Wczoraj odczyt o Miłoszu u franciszkanów. [...]

Wilga, 26 X 1980

Miłosz w *Ziemi Ulro*[1] bardzo precyzyjnie określa fazy swojego rozwoju i “nić", która je łączy.

[...]

— — —

Czy mam jakąś własną wizję Boga i zbawienia?

— — —

Trzymaj się twardo zasady: rano tylko pisz, potem czytaj. Pisz codziennie albo tłumacz, jeżeli nie masz co pisać. Potem przez cały dzień czytaj, w różnych sytuacjach, kiedy tylko możesz. I notuj. A rano zobacz, coś zapisał z lektury, i spisz, co się da.

— — —

Czego naprawdę nie mogę

zrozumieć, z czym nie mogę się pogodzić, to z przypadkowością mojego istnienia i wszelkiego istnienia. [...] Jestem zdolny przyjąć relatywizm, lecz żyć z nim nie potrafię. Natomiast nie potrafię nawet zrozumieć myśli, że układ genów oraz zewnętrznych okoliczności tworzących moją osobę jest przypadkowy i że nie ma co się upierać przy swym “ja", bo na jego miejscu mogłaby być zupełnie inna osoba. A ponieważ tego właśnie zrozumieć nie potrafię, nie pozostaje mi nic innego, jak wiara w Opatrzność ze

wszystkimi konsekwencjami.

Człowiek jest więc postanowiony nie tylko jako osoba, lecz także jako los (bo taki, jaki jestem, mogłem urodzić się tylko moim rodzicom), a zarazem jako pewien pogląd na siebie (skoro mam z góry określone ustawienie do prawdy) i na świat. I jest to — inaczej mówiąc — wiara zarazem w Opatrzność, jak i w Łaskę. [...]

29 X 1980

Wczoraj były imieniny mojego ojca, przez cały dzień nie pomyślałem o Nim, ani nie

pomodliłem się za Niego. Wstałem późno, zmęczony po “koncercie" w PWST, który skończył się po dziesiątej. Potem było zawracanie głowy z kartoflami, potem ledwo zdążyłem na zebranie do ZAIKS-u, które trwało do drugiej, potem po pensję do “Twórczości", obiad, krótki odpoczynek i przygotowywanie się do wieczoru w klubie prasy międzynarodowej — no i występ, z którego wróciliśmy około 9. Telefony, kolacja, telewizja. Taki głupi dzień. Dosyć tych występów, dosyć zachwycania się sobą i popisywania przed

publicznością.

[...]

1 XI 1980

Całodzienne — jak się zdaje — całonocne rozmowy “Solidarności" z Pińkowskim utknęły na martwym punkcie[1], a jest nim — oczywiście — sprawa kierowniczej roli partii. “Solidarność" grozi nowym strajkiem na dzień 12 XI. Ale w wielu istotnych punktach Pińkowski, zdaje się, ustąpił. Do tych ustępstw należy sprawa wydawania przez “Solidarność"

własnego pisma. Czyli Pińkowski uparł się w sprawie formalnej, w której ustąpić nie może z powodów prestiżowych, głównie dlatego, że znajdzie się pod naciskiem swoich partnerów z Paktu Warszawskiego, swoich nadzorców z Moskwy i własnego aparatu, z tym, że ani jego upór, ani to ustępstwo nic nie zmieniają i o niczym nie decydują. Rola partii w nowych związkach będzie i tak zależeć od praktyki, a nie od formuły; zaparłszy się jednak w tym jednym punkcie, oddaje inne, o wiele ważniejsze, np. kontrolę nad prasą, która staje się coraz śmielsza, a gdy część jej znajdzie się pod kontrolą “Solidarności", będzie rzeczywistym organem opozycji. I to jest dla reżimu naprawdę groźne, a nie formułka statutowa. Patrząc wczoraj na to, jak red. Bober z TV znęca się nad dyrektorami najróżniejszych central i nad zastępcą prokuratora generalnego, zrozumiałem, dlaczego wezwano wojska radzieckie do CSR, i nabrałem przekonania, że zostaną również wezwane do PRL. Wypuszczenie prasy na ten skorumpowany i prymitywny aparat jest w “obozie" socjalistycznym tym, czym

mordowanie szlachty i królów w czasach rewolucji monarchicznych. Wczoraj TV na naszych oczach “zamordowała" cztery osoby — ile “zadrżało w posadach"? Jak długo trzymało się prasę i TV za pysk, a wszystko toczyło się w półkonspiracji przed “sojusznikami", można było spodziewać się pokojowej ewolucji, ale skoro taka podwójna gra utrzymać się dłużej nie da, skoro aparat poczuje się zagrożony, musi przejść do obrony czynnej, ponieważ nie znajdzie oparcia w centralnym kierownictwie, zainteresowanym w podtrzymaniu dialogu ze związkami, a więc w ustępstwach. Będzie więc musiał odwołać się do sąsiadów. Czy sąsiedzi — a w szczególności ZSRR — posłuchają wezwania, to inna sprawa. Może nie? Rosjanie mogą liczyć na niesnaski w Polsce i zamiast narzucenia tutaj reżimu okupacyjnego, ograniczą się do izolacji. Co już częściowo się stało. Polskę łatwo odciąć od świata. Mogą nas zostawić samym sobie i przyglądać się przez jakiś czas, jak się tłamsimy.

— — —

Nie mam nic na *Dedala*. Trudno dziś, na początku listopada, wyobrazić sobie sytuację na początku stycznia i trafić tak, aby to, co dziś napiszę, było aktualne także wtedy.

2 XI 1980

Trudności w pisaniu na aktualne tematy[1]. Na czym to polega? Może dlatego, że sytuacja jest praktyczna. Jest to czas dla dziennikarzy. Może należałoby uprawiać dziennikarstwo. Dzieje się mnóstwo rzeczy — proces reorganizacji sił społecznych, ale

niewiele jest na ten temat do powiedzenia. Zresztą, może to ja na ten temat nie mam nic do powiedzenia.

5 XI 1980

[...]

Jestem, oczywiście, pisarzem, co łatwo sprawdzić w bibliografiach, a nawet w encyklopedii. Przy sprzyjających okolicznościach mogę liczyć na jubileuszowe wydanie moich “dzieł", które obejmą jakie trzy tomy: 1) proza razem z podróżami i reportażami, 2) krytyka literacka, teatralna i filmowa, 3) felietony,

publicystyka. Od czasu do czasu będą po to sięgać specjaliści. Ale tylko wtedy, jeżeli będą sprzyjające okoliczności i te trzy tomy rzeczywiście wyjdą. Jeżeli do zebrania tych moich “dzieł" nie dojdzie, przepadnę w piekle kartoteki.

Mnie już jest wszystko jedno. Literackie “nieistnienie" nauczyło mnie skromności; przekonałem się, jak łatwo unicestwić pisarza i jak łatwo go stworzyć. Nawet nie bardzo wierzę w sprawiedliwość historyczną. Pamięć zbiorowa jest w istocie pamięcią wymiarową, szkolną i oplata się wokół tego, co sterczy, a nie wokół tego, co leży. Sterczeć będzie to, co będzie wydane, wstawione na półki, odnotowane w podręcznikach, antologiach, wypisach etc. Zresztą kto wie, jaka będzie szkoła polska przez najbliższe sto lat. Kto wie, czy następne pokolenie nie okaże się o tyle od nas żywotniejsze, że nasze pisemka wydadzą mu się po prostu nieinteresujące, a już zupełnie nie będzie miało ochoty dochodzić, dlaczego były nieinteresujące, co nam mianowicie przeszkodziło wydać z siebie pełniejszy głos. [...]

— — —

Najsilniejsze przeżycie dzieciństwa, a zatem życia: strach. Przestraszyłem się naprawdę wojny, a to obaliło cały mój dotychczasowy świat. Bohaterski świat: Żywa postać Piłsudskiego. Pogrzeb Piłsudskiego. Mitologia armii. Najwyższa egzaltacja bohaterska. Gdybym był starszy, zginąłbym w jakiejś bezsensownej akcji. Gdyby nastąpiły wydarzenia doniosłe, równe np. wkroczeniu armii napoleońskiej na Litwę, a miałbym w sobie dość talentu, powinienem był być pisarzem

takim jak Mochnacki. Ale zdarzyło mi się zupełnie co innego: przeraziłem się. Wojna była gorsza, niż się spodziewałem. A w każdym razie inna. Przedziwna jesień i zima 1939/40. Zupełne przekręcenie wyobraźni.

I wtedy zjawił się w moim życiu Kościół. Osobno powiem o samym Kościele. Teraz chodzi mi tylko o dziecinną mitologię religijną. Zostałem porażony odgadnięciem wymiaru mojej egzystencji; postawiono mnie natychmiast, ledwo od ziemi odrosłem, wobec wieczności. Sprawiła to matka swoimi

zwyczajami, swoimi naukami, oraz ksiądz Litwin.

[...]

7 XI 1980

Moja poezja szesnastoletnia? Właśnie uwolniłem się od Kościoła i od ciążącego na mnie rygoru świętości. Zacząłem uganiać za szczęściem.

Szpiegowałem tych, którzy się śmieją. Sądziłem, że osiągnę to samo, naśladując ich we wszystkim, co robią. Chodziłem tam, gdzie oni chodzą — na spacery, na plaże, na mecze piłkarskie (osobliwość tych

rozrywek w czasie wojny pod okupacją niemiecką!), wszędzie, zapatrzony w nich, to znaczy w tych, którzy się śmieją, którzy są szczęśliwi. W tych, którzy w istocie, w głębi, budzili moją instynktowną odrazę: chciałem osiągnąć ich stan, albowiem wydawał mi się normalny. Tę "normę" rozpoznawałem po prostu jako negatyw moich własnych, wewnętrznych upodobań do czystości i skromności, których wstydziłem się przed ludźmi i przed samym sobą. A także jako negatyw ideałów mojej matki, które uznałem wtedy za

anormalne, i Kościoła, i całej tradycji krakowskiej. Nie wiem, nie pamiętam, jak, jakim słowem kwalifikowałem świat, w którym przeżyłem moje chłopięctwo. Czy miałem na to wszystko w ogóle jakąś terminologię? Nie pamiętam. Ani mi się śniło jeszcze o marksizmie. Mój bunt czy moja dezercja do obozu wroga — w “świeckość" — zaczęła się wszak ostatniego roku okupacji. Wchodził tu wszak w grę także kryzys zaufania do księży, kryzys miłości sprowokowany przez nich samych, a mianowicie ich własną “świeckością" — więc może warto

opowiedzieć to dla przestrogi i nauki? [...]

W 1946 matka, która nieźle poczuła się w nowej sytuacji, załamała się nagle. Istnieje jakaś osobliwa równoległość pomiędzy jej nastrojem i stanem zdrowia psychicznego, a nastrojem ogólnym. Matka, tak jak wszyscy, uwierzyła, że nastąpi powrót do dawnych czasów. Powróciliśmy wszak do naszego dawnego mieszkania — przypadkiem — wróciła do nas nasza dawna głupia Jagusia, która była u nas w naszych najlepszych czasach,

jeszcze u dziadka, a potem na Krowoderskiej. Jak to było — zupełnie nie pamiętam. Pamiętam ją bardzo dokładnie z dawnych czasów. A z tego krótkiego, powojennego okresu — zupełnie nie. Pamiętam tylko rozpacz matki, kiedy odeszła. Odeszła, kiedy stało się zupełnie oczywiste, że nas na nią nie stać i że warunki życia u nas — zimna kuchnia i ciemna “nyża" — nie są dla kobiety, która miała pewnie wtedy ze 60 lat, czego nikt nie zauważył. Załamanie matki było kompletne — nowa próba samobójcza. Skończyła się umieszczeniem jej w szpitalu dla umysłowo chorych. Była to z pewnością błędna decyzja.

Miarą mego osiemnastoletniego egocentryzmu było to, że rozpatrywałem ją tylko z własnego punktu widzenia, jako osobiste, jako moje nieszczęście, nie jako jej nieszczęście.

Pewnie, że waliło się na mnie wtedy trochę za dużo — miesiąc dozorowania wtedy, gdy cała moja klasa pojechała w góry na zimowisko. Ten miesiąc, a był to luty 1947 roku, zadecydował chyba o wszystkim. Zacząłem wtedy czytać i pisać. To już była

po prostu obrona, reakcja więźnia zamkniętego w celi, który broni się przed depresją.

Pisanie jako autoterapia. Jako samoocalenie, samookreślenie. Powinno było z tego wyniknąć pisarstwo bardzo egzotyczne. Nie miałem na to ani wyobraźni, ani środków. Czy może potrzebnego wzoru? Powinien był wtedy ze mnie wyrosnąć — ja wiem? — Kafka albo Kierkegaard. Gdyby to była inna faza. Można sobie wyobrazić, jaką bujną grafomanią wybuchnąłbym, gdyby to wszystko przydarzyło mi się pięćdziesiąt lat wcześniej! Jakim skarbem byłbym w sztabie Przybyszewskiego!

Tymczasem zjawił się przede mną model literatury “katolickiej" (za pośrednictwem “Tygodnika Powszechnego", który czytałem, bo był w domu). Mauriac wydał mi się najbliższym pisarzem (przez temat mieszczański, dewocyjny i przez postacie zagubionych, nieszczęśliwych kobiet). Potem, już na studiach, pojawił się model literatury realistycznej (ze Stendhalem jako wzorem), zwłaszcza — socrealistycznej.

Zamiast z mojej sytuacji

wyciągnąć profit moralny i metafizyczny, zamiast pojąć ją jako dar, jako najgłębsze wtajemniczenie w istotę miłości i cierpienia... zabrałem się do jej klasowej, dialektycznej analizy.

Wszystko było fałszywe. Bo w gruncie rzeczy myślałem o tym, ażeby przez literaturę zmienić swój status życiowy, nie o tym, aby się “wypowiedzieć", czy o tym, aby dojść do jakiejś tam prawdy. Literaturę potraktowałem jako rodzaj kariery.

— — —

Owszem, zacząłem pisać powieść, która w jakiś sposób odpowiadała na mój ówczesny nastrój i stan umysłu. Była to powieść — olśnienie, to znaczy, pochodziła z nagłego natchnienia — z poczucia, że “zrozumiałem". Coś zrozumiałem. Co to było? Przeżycie w szpitalu. Ale to przeżycie zostało zmarnowane.

Jaka tam była fabuła, mniejsza. Ważna była stylistyka. Otóż odkryłem Kafkę *malgré moi-meQme*[1], nie znając ani jednej jego książki, nawet nie wiedząc o jego istnieniu. Znałem już może Schulza, ale nie jestem pewien.

Powieść zmieniała często tytuły, zmieniła także temat z paraboli religijnej na parabolę polityczną. Pisałem codziennie — wieczorami, a rano przychodził Janek Błoński, któremu czytałem kolejny fragment.

Powieści nie dokończyłem. Czułem, że zupełnie inaczej trzeba opowiedzieć epokę stalinowską. Przeczytałem wtedy właśnie Koestlera[2]. Moja własna problematyka była zresztą gdzie indziej: w napięciu między moim nawiedzonym domem a resztą świata, napięciu, które unieszczęśliwiałoby mnie w każdym ustroju. Unieszczęśliwiałoby mnie może nawet bardziej, gdyby ludzie byli szczęśliwi, zamożni i wolni... Moja problematyka zawarta była w moim sprzeniewierzeniu, w moim rozstaniu z Kościołem, z niepewnością, czy uwalniając się od rygorów Kościoła i od “powołania" — wybawiłem się, czy zgubiłem.

Do tej pory nie jestem tego pewien. A w każdym razie literatura stała się dla mnie czynnością zastępczą. Nigdy nie znalazłem dla niej tego serca, które miałem kiedyś dla liturgii i

teologii. Nie miałem cierpliwości ani do jej pisania, ani do jej czytania. Ja, który umiałem tkwić nieruchomo na długich nabożeństwach, wsłuchiwać się w śpiew zakonników, dochodzący z chóru klasztornego — ja, zdolny do katatonicznej nieruchomości, nie potrafiłem się skupić nad powieścią, nad wierszem i odrzucałem wszystko niecierpliwie: nie to, nie to jest ważne.

[...]

9 XI 1980

“Strefowe" narady aktywu

partyjnego (grupami województw); “apel" Rady Państwa o położenie kresu dyskusjom i strajkom[1]; propaganda “normalnej" pracy — wszystko to wskazuje, że przystępujemy do pacyfikacji. Ale tym razem to nie pójdzie tak łatwo.

[...]

11 XII 1980

Ustinow potwierdził podniesienie gotowości bojowej Armii Radzieckiej do nowego poziomu i oskarżył Zachód o wykorzystywanie sytuacji w

Polsce dla poprawienia sytuacji militarnej na swoją korzyść. Wydaje mi się, że cały ten *“build up"*[2] jest wymierzony w Reagana; chodzi o to, aby nowa administracja amerykańska zaczynała w nowej sytuacji i ażeby przyszłe, ewentualne ustępstwa radzieckie zaczynały się od nowego poziomu. To mnie tak bardzo nie niepokoi. Bardziej sytuacja w Polsce, a zwłaszcza w “Solidarności".

12 XII 1980

[...]

W drodze powrotnej ze Śląska.

Spotkanie z młodzieżą w studium telewizyjnym uniwersytetu śląskiego. Nieprzyjemne spotkanie. Za dużo spodziewali się ode mnie, a ja nadrabiałem swadą i paradoksami. Poza tym męka. Pociąg w tamtą stronę spóźnił się o godzinę. Jestem śpiący, brudny i nudzę się.

Przerażający obraz z okien pociągu i samochodu. Brudne, zabłocone ulice, z których nikt nie sprząta topniejącego śniegu. Długie kolejki przed sklepami, niszczejące budynki, dymami zasnute powietrze, źli, rozgniewani ludzie.

Konstancin, 24 XII 1980

Zamieszanie. Zamieszanie w głowie. Kupa najrozmaitszych spraw i zadań, a w głowie chaos i ręka martwa. Teraz powinienem wyciągać z szuflad gotowe rzeczy i pokazywać — a szuflady mam puste. Okropny jest ten Konstancin. Ciasno, obco, zimno.

— — —

Nie to mnie boli, że mam spraw za dużo, ale to, że w żadną nie angażuję się w pełni, że z żadną nie potrafię się naprawdę

utożsamić, że jestem wciąż w rezerwie. Na jaką okazję, dla jakiej rzeczy zachowuję pełnię siebie? Może nie ma takiej pełni, może to wszystko, co mam?

— — —

[...]

Czas, zdolność i radość. Skąd mam wiedzieć, kiedy tę pełnię zrealizować? Kiedy warto i dlaczego warto? Większość ludzi robiło to instynktownie. Pomaga im w tym instynkt seksualny, społeczny czy artystyczny — pożądanie, ambicja, bo ja wiem.

Ja jestem człowiekiem kompletnie pozbawionym instynktów, albo też mam naprawdę tylko instynkt religijny, to znaczy świadomość, że pełnia mojego czasu, moich uzdolnień i moich radości nie jest z tego świata — czy też jest tu i teraz nie do zrealizowania. Mam może wygórowane przeczucie owej pełni; może właśnie przeczucie właściwe.

— — —

Skąd wiem?

Skąd wiadomo, co należy

kochać, jeżeli przedmiot miłości nie narzuca się sam, budząc pożądanie, upodobanie, ambicje, chciwość?

Skąd wiadomo?

To właśnie Chrystus zbiera te wszystkie miłości bezdomne. Chrystus jest miłością tych, dla których żadne upodobania, żadne pożądania, żadne chciwości, ani ambicje nie będą dość mocne, aby wyzwolić z nich pełnię czasu, zdolności, uczuć. To Chrystus dowartościowuje każdą miłość niepełną i niepewną.

[...]

1981

15 I 1981

Ruchliwe dni. Wczoraj walne zebranie “Solidarności" przy Wydawnictwie. Ustąpiłem z funkcji przewodniczącego. Dzisiaj rano rozmowy w sprawie Komisji Kwalifikacyjnej. Jutro prezydium. Jutro rano strajk autobusów i tramwajów[1]. W prasie i TV ataki na “Solidarność". A teraz wieczorem dzwoni jeszcze ta zwariowana pani Klechniowska i

pyta mnie, co ma robić z jakimś apelem w sprawie lokomotyw, który przypadkiem wpadł jej w ręce!

19 I 1981

[...]

Ech, te zebrania! “Solidarność", prezydium. Dobrotliwy Jaś, który nic nie rozumie. Rozszalałe baby, które... Ech. Nawet Jula.

[...]

24 I 1981

No, więc mamy tę wymuszoną wolną sobotę[2]. W środę strajk

generalny. Niezupełnie wiadomo o co. Czy o “Solidarność Wiejską", czy o wszystkie porozumienia, czy o soboty. Władza zdaje się z pewnym upodobaniem te strajki traktować? Czy dążą do stanu wyjątkowego? Nic by to nie rozwiązało, dałoby tylko atuty do ręki jakiejś grupie mocnego uderzenia, a taka jest na pewno.

[...]

26 I 1981

Są chwile, kiedy przestaję panować nad sobą i mam ochotę krzyczeć. Nie chcę tej formy życia, nie chcę nic z tego, co mi

się przydarza. I nie wiem, czego chcę naprawdę. Chcę być gdzie indziej, w innej skórze, mówić innym językiem, myśleć o czymś, żyć w innym czasie, mieć inne sprawy na głowie i głowę też inną. To boli. To jest najdosłowniej pojęty ból istnienia. I nawet wypowiedzieć się nie potrafię, bo przecież cała literatura, te wszystkie słowa, ta sztuka układania zdań — zawodzi mnie zupełnie.

Ja jestem retor. To znaczy umiem układać słowa na zadany temat, natomiast zupełnie nie umiem wypowiadać moich

prawdziwych uczuć i nazywać przelotnych stanów ducha.

Co teraz czuję? Zupełne pomieszanie. Podejmuję zobowiązania absurdalne. Przed chwilą był u mnie O. Kłoczowski i namówił mnie do tego, abym do duszpasterzy akademickich z całej Polski wygłosił kazanie o wierze. I ja się podjąłem! I ja się zgodziłem! To bezczelność! Wiara i niewiara w życiu Polaków. Jaka jest ta moja wiara? W co ja sam naprawdę wierzę, jak ja sam to wszystko rozumiem i jak ja sam to wszystko realizuję?

Jedynym polem obserwacji, które znam i dobrze zbadałem, jestem ja sam. Zdaje się, że wiem, co to jest wiara odziedziczona, wiem, co to jest wiara zaprzeczona, i wiem, co to jest wiara — jak to się mówi — odzyskana, czyli — naprawdę — wiara postanowiona. [...]

27 I 1981

"Póki żyjesz, nawet mimo woli podlegasz zmianom; raz jesteś wesoły, kiedy indziej smutny, raz spokojny, to znów zatrwożony, teraz pobożny i znów rozproszony, raz pilny, raz leniwy, poważny i lekkomyślny.

Człowiek mądry, duchowo zdyscyplinowany, umie się wznieść nad tę zmienność, nie zważa na to, co w sobie czuje i z której strony zerwał się podmuch niestałości; stara się o to, by każde poruszenie serca kierować ku wytyczonemu i pożądanemu celowi. Pozostanie zawsze jednako niewzruszony, ponieważ wśród rozmaitych wydarzeń będzie nieustannie ku mnie kierował wzrok czystej intencji". (*Naśladowanie*, III.33)[1].

31 I 1981

Nie mam zupełnie ochoty do

pisania na tematy aktualne. Nawet nie wiem dlaczego. Ten cały “kryzys" polski rozgrywa się w jakiejś dziwnej sferze. Jest tym ciekawszy, im dalej stoi się od niego. Najciekawiej i najdramatyczniej wygląda w zachodniej prasie, mniej ciekawie w prasie związków zawodowych, najmniej ciekawie, gdy mu się przyjrzeć z bliska. Może jest to reguła. [...]

— — —

Dziś nad ranem zawarto porozumienie w sprawie czasu

pracy i dostępu “Solidarności" do Radia i TV: od przyszłego tygodnia 5-dniowy, 40-godzinny tydzień, do tego czasu 43-godzinny tydzień i każda czwarta sobota wolna[2]. Z tego wynika, że 10 i 24 I zostały uznane za dni pracy i że mają być odpracowane.

1 II 1981

Lektury. Co kto czyta? Wszyscy jesteśmy pozbawieni tej emocji i tej przyjemności, jaką jest pójście do księgarni dla obejrzenia nowości. Nie ma tych nowości. Można się o nich dowiedzieć z drugiej ręki i potem o książkę

zabiegać już z tym podnieceniem zbiorowej psychozy. Zniknął więc z naszego życia moment spontanicznego, instynktownego wyboru i zniknęła szansa własnego odkrycia. Razem z tym księgarnianym rytuałem zniknęło bardzo dużo. Bardzo dużo straciliśmy i tracimy.

[...]

12 II 1981

Trzeba nareszcie napisać coś poważnego o Miłoszu[1]. Rozdrobniłem się, a tekst, który wygłaszam po kościołach, jest naiwny [...] Należy się w ogóle

uspokoić. Wejść w siebie. Wyrównać rytm. Dobrze na ogół postępuję na zewnątrz. Gorzej wewnętrznie. Nie wykonuję moich obowiązków.

Największa trudność: skupić się na jednym przedmiocie. Zainteresować się — prawdziwie zainteresować. To jest naprawdę trudne.

— — —

Exposé Jaruzelskiego[2]. W każdym razie stanu wyjątkowego nie ma i nie będzie. Generalski mundur na premierze jest zamiast

stanu wyjątkowego, a sam generał — zamiast frakcji pałkarzy (jeśli taka istnieje) u władzy, lub po prostu Sowietów w Warszawie.

[...]

8 III 1981

Znowu głupio. Na UW “sesja naukowa" dla uczczenia rocznicy marca, jednocześnie na Koszykowej pod dawnym UBP wiec potępiający “syjonistycznych pretendentów do władzy"[3]. Na Uniwersytecie mają wmurować tablicę upamiętniającą “wydarzenia marcowe", na Koszykowej tablicę ku czci ofiar

“syjonistycznego terroru"... Zupełna paranoja.

[...]

Łódź, 12 III 1981

Po “odczycie". Jeszcze jeden dowód, że to absolutnie wszystko jedno, co się mówi.

A może nie? Bo jednak wszyscy trafili w samo sedno.

Niedziela Palmowa, 12 IV 1981

Chrystus i Barabasz[1]. W mieście było zapewne wielkie święto, gdy Chrystus konał: Piłat uwolnił bohatera narodowego, a zabrał sobie tego, kogo Żydzi

chcieli oddać. Męka Chrystusa na tle festynu.

27 IV 1981

U Rakowskiego[2]. To, co się stało: Polska jest ogromnym wyłomem w systemie socjalizmu. Konsekwencja — w czym nie zawsze korzyść. Jeżeli uda się utrzymać ten kierunek rozwoju, czeka nas kilka lat przebudowy wszystkich struktur. Dlatego urzędnicy nie odpowiadają. Gwarancją tego, co się stało, jest dynamika pokoleniowa.

Wszystko inne jest albo awanturnictwem, albo fantazją.

Nasz cel ustrojowy: państwo powinno się opierać na samorządzie. Ogromne miejsce ZLP i innych stowarzyszeń. Będzie dochodzić do konfliktów — to nic — byle nie prowadziły do stosunków antagonistycznych.

Kwestionowanie decyzji — zamęt i walka polityczna w partii. Przemieszanie się pól kryzysowych — objęło partię, będzie trwało do zjazdu. [...]

27 IV 1981

Zbliża się 3 maja — mam pojechać do Pułtuska z odczytem. Cóż powiedzieć? Dlaczego

właśnie Polska upadła? Powszechna opinia: upadła na skutek anarchii. Ale skąd anarchia? Powszechna opinia sądzi, że ze skłonności Polaków do anarchii i stąd wnioski na wszystkie aktualne okoliczności, aż po dziś dzień. Ale anarchia, jeśli nie jest doktryną obalenia państwa, jest po prostu jego brakiem, jest tym stanem rzeczy, który wytwarza się na skutek jego braku. Najpierw musiało upaść państwo polskie, aby na jego miejsce powstała struktura zastępcza: anarchia, czyli niedowładza magnatów

sprzymierzonych z ościennymi i nie tylko ościennymi mocarstwami. Wydaje się, że państwo polskie upadło na skutek unii z Litwą i z chwilą ostatecznego jej zawarcia, względnie — inaczej — upadało w miarę jej realizowania i w miarę wchodzenia jej w życie. Państwo polskie stało się wówczas przybudówką olbrzymich terytoriów stanowiących domenę dzikiej eksploatacji i źródłem niewyobrażalnych bogactw — przestrzenią, na której tworzyły się prywatne armie, nowe prawa i nowe układy sił, nie mające nic wspólnego z systemem politycznym tzw. Rzeczpospolitej, która mogła sobie zdrowo funkcjonować gdzieś w krakowskim, leszczyńskim, czy nawet wileńskim województwie, ale której prawa i obyczaje kończyły się tam, gdzie zarazem zaczynała się terytorialna potęga. Bo źródła jej potęgi leżały tam, gdzie źródła jej zguby. [...]

Ceną było przesunięcie Wschodu do granic Śląska i Brandenburgii; gdyby natomiast wtedy w XIV wieku Polska związała się była z Habsburgami, Zachód przesunąłby się do

Niemna i Dniestru i powstałby solidny blok państwowy z oparciem o Wiedeń, Kraków i Budę, który nie dopuściłby do rozwoju ani Prus, ani Moskwy.

Ale jednocześnie Polacy nie byliby tacy, jacy są, lecz staliby się czymś w rodzaju Czechów, od czego Boże nas broń.

Inaczej mówiąc: nie ma czego żałować, chociaż wraz z unią Polska podpisała na siebie wyrok. Bo przecie to nie silna Polska przygarniała biedną Litwę, lecz odwrotnie: olbrzymia Litwa zagarniała małą Polskę.

— — —

Nie pisz głupstw. Notuj głupstwa w ciągu dnia, a rankami przepisuj je na maszynie i porządkuj wedle tematów.

4 V 1981

Zupełnie się zgubiłem. Nie chce mi się nic robić. Ani pisać, ani czytać, ani mówić, ani pytać, ani... Nic. [...]

Kazia namawia mnie do napisania książki o PRL. Co to właściwie miałoby znaczyć? Do czego to miałoby być podobne? Po prostu “historia i morfologia"?

Czy nie lepiej to zrobić w formie powieściowej, takiej jak *Education sentimentale*, gdzie wszystko jest powiedziane o Francji[1].

6 V 1981

Pomysł jest dobry — wedle wzoru *Życie Henryka Brulard*[1], które Stendhal zaczął pisać będąc dokładnie w moim wieku (52 lata), czyli pamiętnik, który byłby jednocześnie studium czasów, środowiska, formacji politycznej, atmosfery kulturalnej, słowem moją “summą".

[...]

Kraków, 21 V 1981

Po raz drugi w Krakowie z powodu sarkofagu Sikorskiego[2]. Tydzień temu był zamach na Jana Pawła[3]. Burza była wtedy w Krakowie.

— — —

Ranek — Henio Markiewicz, Planty, kościół Mariacki o świcie.

Modlitwa jest uporządkowaniem wartości. Modlę się o to, co dla mnie ważne i w kolejności takiej, jak ważność

rzeczy układam. Więc porządkuję.

Nadmiar troski o siebie. O żołądek, o sen, o spokój. A także o wrażenia. Wciąż sobie funduję przyjemności wrażeniowe. Choćby ten Kraków dzisiejszy. Poroniony pomysł.

Kawiarnia Europejska. Kolportaż gazetek i jego hałaśliwa klientela. Wszyscy wyglądają na prowokatorów.

29 V 1981

Umarł Prymas[4]. Kiedy został Prymasem Polacy byli z grubsza biorąc podzieleni na tych, którzy nie wyobrażali sobie życia pod

protektoratem sowieckim, z lewicą u władzy, i na tych, którzy nie umieli wyobrazić sobie kontynuacji polskiego życia.

Z jednej strony — przerażenie i odmowa, z drugiej — euforia zmiany, bezkrytyczne poparcie wszystkiego: intensywnego uprzemysłowienia, kolektywizacji, likwidacji demokracji lokalnej etc.

Jak przebiegała linia podziału?

Oczywiście nie wedle podziałów klasowych; opór chłopów przeciw kolektywizacji.

Częściowo wedle granicy pokoleń, ale też niezupełnie: szczególnie poranieni przez wojnę

i ci, których wojna prawie nie dotknęła (najmłodsi), stanowili właśnie janczarów systemu. Podziały nie przebiegały wcale wedle “światopoglądów". Skrajna prawica przechodziła na pozycje lewicowe, konserwatyści popierali już nowe władze, lewica, oczywiście, szukała dla siebie miejsca w państwie rządzonym przez lewicę, choćby tej ostatniej odmawiała po cichu praw do reprezentowania kogokolwiek.

Zresztą czego ten podział dotyczył? Program był sformułowany demagogicznie i ogólnikowo. Pamiętamy trzy

pytania referendum[1], z których każde dotyczyło innej sprawy, a wszystkie razem stanowiły wotum zaufania dla nowej władzy i akt wstępny wyborów.

Więc podział dokonał się nie wedle racji, lecz wedle instynktów, nie wedle problemów, lecz wedle charakterów. I znów nie należy sobie wyobrażać, że ludzie o gorszych charakterach popierali reżim, a ci o lepszych pozostali w opozycji.

Zresztą, o żadnej opozycji nie było mowy. Albo, że głupsi polecieli za propagandą, a mądrzejsi się jej oparli. Nie, wcale

nie. Przeciwnie, we wszystkich środowiskach ludzie wyróżniający się inteligencją, żywością, chłonnością wybierali reżim, bo z upodobania intelektualnego optowali za nowością, a z instynktu szukali pola do zapału. A było tylko jedno takie pole. Nie byli większością, nie. Stanowili mniejszość aktywną w takiej mniej więcej proporcji, w jakiej zwykle środowiska i grupy społeczne dzielą się na ludzi aktywnych i nieaktywnych. Dokonał się w całym społeczeństwie głęboki podział na mniejszość aktywną, która miała wyartykułowany światopogląd, reprezentację, pole do działania, szanse awansu etc., i bierną większość, która nie miała nic. Mniejszość pod opieką i większość samotna. Sieroca. Prymas Wyszyński stał się jej rzecznikiem, jej wyrazicielem. Wyrazicielem bezradnych, rzecznikiem opuszczonych. Jego kazania były ich jedyną ideologią. Jego procesje, pielgrzymki, peregrynacje, odpusty, ślubowania ich jedyną manifestacją.

Manifestacją czego?

Przecież tam też nie było żadnego programu, ani żadnej

myśli, ani nawet polemiki z ideologią oficjalną.

Cały program wychowawczy czy przywódczy Kardynała zawrzeć można chyba w dwóch słowach: godność i wierność lub “zawierzenie Maryi".

Jakże trudno to było nieraz zrozumieć. Przemawiał przez “Dzieci Boże" do tych samych ludzi, do których władza zwracała się przez “ludu pracujący", “awangardo" etc. Zdawało się, że Kardynał tworzy sobie w ten sposób trzodę ze społecznych maruderów, z tych, co nie nadążają i nadążyć nie mogą za tempem przemian.

Maryja! Po katolicku myśląc, budziło się pytanie, czy nie jest to jakieś przeorientowanie wiary z uniwersalnej na domową... jakieś pomniejszenie skali, postawienie Częstochowy w centrum Kościoła... przy czym Kardynał nie troszczył się o teologiczną artykulację. I zastępował ją (sentymentalnym frazesem) hasłem uczuciowym.

Iluż było ludzi pośród żarliwych katolików, którzy wątpili w sens tego kierunku. Ale Prymas nigdy nie troszczył się o intelektualistów i nie wdawał się z

nimi w polemiki.

Dla Kardynała była to po prostu formuła wierności. Wytrwania. Instynktowny wybór: stawić opór przemianom niszczącym. Przemianom w tkance społecznej, w strukturze środowiska naturalnego i kulturalnego, w świadomości, w formach kultury i obyczaju. Oprzeć się na czymś stałym.

Co jest stałego w człowieku?

Uczucia. Serce. Kardynał ustanowił w sercu polskim (a raczej wykrył i umiejscowił) stały punkt — mocny i niezmienny. I nadał mu imię Maryi. Nadał mu

postać i twarz czarnej Matki. Stworzył mu siedzibę: Częstochowę. Wywołał ruch wokół niego, ruch podwójny: pielgrzymek do obrazu i peregrynacji obrazu. Z wierności, która jest tym biernym trwaniem, wyczekiwaniem, uczynił ruch. I uzyskał efekt. Ten ruch zagarnął szerokie rzesze młodzieży i dał efekt w postaci ruchu społecznego! To jest tak, jak gdyby ktoś w tłumie, idącym naprzód, nagle zaczął kręcić się dokoła siebie i sprawił to, że masa zamienia się w wirujący taniec. Postąpił jak szaman: zaczarował. I

uzyskał nieprawdopodobny efekt: właśnie ten ruch, który wybrał, okazał się zbawienny. Nie wiem, jak tę operację nazwie socjolog. Jak ją wyrazić w języku psychologii? Jak w języku historycznym? Jak w języku teologicznym? Jak w języku mistycznym?

Polacy wejrzeli w siebie, w głąb historii i kultury, w głąb swych serc.

[...]

31 V 1981

Więcej nas przyszło pożegnać go, niż przychodziło witać[1].

Motywy zgody z Prymasem i motywy niezgody:

Zgadzaliśmy się, kiedy bronił naszej godności, kiedy coś utwierdzał w znanych formach świadomości, kiedy przemawiał wprost do naszych serc, odwołując się do najpełniejszych naszych umiłowań...

Ale kiedy nas wzywał do zmiany życia... do pracy, ofiary, wierności... kiedy stawiał przed nami wysoki próg moralności chrześcijańskiej w domu, w rodzinie, w pracy...

Łatwiej odpowiadaliśmy na Jego wezwania do gromadzenia

się, manifestowania, niż gdy nas wzywał do rzeczywistej solidarności.

[...]

21 VI 1981

Papież znowu w szpitalu.

— — —

Znowu to samo: paraliż ręki, woli, mózgu. Nic nie mogę z siebie wydobyć. Nie stać mnie na najprostsze zdanie. Na nic nie mogę się zdecydować. Najgorsze, że w takich stanach nawet czytać nie mogę. Nic mnie nie interesuje.

Zmęczony! Czym u diabła.

[...]

22 VI 1981

Ranek. Powiedzieli teraz w BBC, że Papież pozostanie w klinice najmniej 2 tygodnie.

Ciężka, zła noc. Co będzie dalej? Nie ma już nawet żywności na kartki. Nie ma papierosów, mydła, benzyny. Dolar kosztuje 200 złotych, czarny rynek kwitnie, na Ząbkowskiej czarno od tłumu, przecie ten kryzys w Polsce musi mieć jakieś reperkusje na światowym rynku pieniężnym i towarowym. Jakieś Malaje w środku Europy... Przecież to się

musi prędzej czy później przenieść na inne demoludy. Jak długo ludzie wytrzymają te męczarnie? Rozruchy mogą zacząć się w każdej chwili, a milicja w takim razie bałaby się nawet interweniować. Najniecierpliwsi są palacze.

W tej sytuacji wątpliwy wydaje mi się kolejny sukces Kościoła, o którym wczoraj oznajmiono — od ołtarza: że mianowicie w tym roku po raz pierwszy od 20 lat odbędzie się znów procesja do N. Serca Jezusowego... Teraz władze niczego tak nie pragną, jak

licznych mszy pod gołym niebem. A także licznych uroczystości narodowych. Godzą się na ryzykowny skądinąd obchód rocznicy wypadków poznańskich, połączony z erekcją pomnika na pl. Mickiewicza w Poznaniu[1].

Nie było jeszcze chyba w historii reżimu, który pozwoliłby sobie tak pluć w twarz, jak reżim wychowanej w Sowietach partii komunistycznej. Ilekroć to się przydarza, a oglądam to już po raz trzeci czy czwarty, słyszę radosny głos towarzysza Habera, który na miażdżącą krytykę PZPR, jaką usłyszał na otwartym zebraniu

partyjnym w PIW-ie, po odczytaniu raportu Chruszczowa[2], odpowiedział ochoczo: bijcie nas, towarzysze!

Wszystko to jest rozpaczliwe. Ostatecznie dyshonor władzy spada na rządzonych. Jakim właściwie prawem Kania czy Jaruzelski, Barcikowski czy Jagielski, czy Rakowski pozostają jeszcze u władzy? Tylko z sowiecką przemocą, jako ostatni gwaranci sowieckich interesów. I my musimy na słowo uwierzyć, że są lepsi od innych, od Grabskiego, Olszowskiego, czy od samych Sowietów. A może nie? Może

zdrowiej byłoby, gdyby Sowieci założyli tu otwartą, zwyczajną okupację i umożliwili nam założenie w odpowiedzi państwa podziemnego, w którego organizacji jesteśmy mistrzami? Może byłoby to zdrowsze dla narodu od blagi, w której żyjemy od 36 lat? [...]

Wilga, 4 VII 1981

"Die Suppe wird nicht so heiss gegessen wie gekocht"[1]. Przyjechał Gromyko na rozmowy[2]. Grabski, Olszowski, Żabiński zostali wybrani[3]; odbyło

się spotkanie w Katowicach. Sytuacja wciąż chyba nie dojrzała do ostatecznych, rzeczywistych rozstrzygnięć. Wciąż jakbyśmy na coś jeszcze czekali. Na pierwszy wystrzał? Na krew?

Warszawa, 14 VII 1981

Dzisiaj zjazd partii; czy to rzeczywista walka polityczna, czy dalszy ciąg politycznego teatru? Moje słabnące zainteresowania polityczne. Jakbym już z góry znał rezultat. Już się nic stać nie może. Sytuacja została wyraźnie “zalimitowana".

— — —

Jutro następna “pogadanka" w radio[4]. Mówiłem o podstawach optymizmu, o wierności, o modelu polskiej demokracji, o konserwatyzmie, o partii większości. Mówiłem jak człowiek polityczny. Dlaczego właściwie mówię jak człowiek polityczny, skoro wcale nie jestem człowiekiem politycznym. Bardzo długo nie byłem tego pewien: jestem czy nie jestem. Jako młody człowiek byłem zupełnie pewien, że nie jestem. Do tego stopnia, że całe, ogromne fragmenty

ówczesnej historii przepadły dla mnie zupełnie. Natomiast pisanie wciągnęło mnie niejako automatycznie do polityki. Co więcej, automatycznie znalazłem się wtedy po złej stronie. Ze zdumieniem patrzyłem na siebie jako na “czerwonego". Odczułem wtedy działanie jakiegoś sprzężonego mechanizmu: lęku i zaangażowania. Jak powstaje stan zaangażowania? Najpierw z lęku. Co to za lęk? Przed anonimowością? Tak, pamiętam dobrze ten lęk. Zaznałem go, kiedy byłem urzędnikiem bankowym i kiedy starałem się wyróżnić charakterem pisma. Inni też to robili. Czy wszyscy to mają? [...]

Lęk przed śmiercią, który dawniej rozstrzygałem inaczej: dramatycznym, a raczej prawdziwie mistycznym pragnieniem bohaterstwa i świętości, przełożyłem sobie na lęk przed śmiercią anonimową i stąd cała strategia zyskania sobie imienia. To było prawdziwe opętanie. W literaturę? Ależ literatura była wtedy rytuałem politycznym! Pamiętam lęk mojego ojca, gdy mu oznajmiłem, że napisałem coś do druku. To ten

strach zrobił ze mnie politycznego człowieka na tyle, na ile politycznym człowiekiem stawał się każdy, kiedy chciał zyskać imię w ustroju, który państwu przypisywał wyłączną władzę.

Więc polityk ze strachu, nie z miłości.

Większość polityków naszej generacji: byli więźniowie, odcięci od stryczka skazańcy, uwolnieni niewolnicy. Dekadenci. Aż po tzw. dysydentów: KOR to cyganeria, która uznała się za elitę polityczną.

Mój wybór ubiegłoroczny: chyba zrozumiałem, że nie wolno

być więcej politykiem ze strachu — tzn. ze strachu o siebie namawiać innych do odwagi.

Kraków, 26 VII 1981

Sprawa teatru:

1. Nikt mi uczciwie nie poradzi. Każdy powie, abym brał[1], bo wszystkim, którzy mnie otaczają, a nawet tym, których pytam o radę, pochlebia sama sprawa i chcą, aby przybrała ona realny kształt, a nie rozpłynęła się w nicości.

Co gorsze, pochlebia to również mnie.

Jak odłączyć element

ambicjonalny? To po prostu niemożliwe. Myślę, że zawsze w podobnych sytuacjach jest podobnie. Albo się postępuje zgodnie z odruchem ambicji, albo przeciw niemu.

Powiedziałem, że to mi jest do niczego niepotrzebne. Ale to nieprawda. Na ten odruch ambicji składają się te same upokorzenia dzieciństwa i młodości, które mnie na drogę literacką popchnęły. Składają się na ten odruch również wszystkie niedokonania mojego literackiego żywota.

Co z tym elementem zrobić, skoro nie można go wyeliminować? Wykorzystać? Postępować tak, jak postępuje człowiek ambitny? Czy mimo wszystko zadać sobie gwałt? Co lepiej sprzyja aktywności duchowej, umysłowej, twórczej: spełnienie czy niespełnienie? Wielorakość życia, jego bogactwo czy wyrzeczenie?

Pytanie jest właściwie podobne jak w sierpniu ubiegłego roku. Tam wszakże miałem przed sobą wybór pomiędzy żywotem politycznym a innym, to znaczy literackim, artystycznym. Tu — między dalszym ciągiem dotychczasowego żywota

kulturalnego, w najlepszym wypadku — działania intelektualnego.

Co robiłbym? Gadałbym, przede wszystkim gadałbym. Z jakich zasobów? Przecież nie mam żadnych. Musiałbym je bardzo wzbogacać na “bieżąco". Czy byłoby to z pożytkiem dla mnie samego i dla innych? Chyba tak.

[...]

Wilga, 10 VIII 1981

Utknąłem na martwym punkcie. Uparłem się zabłysnąć prozą narracyjną, pomimo że po tak wielu latach najróżniejszych w tym kierunku usiłowań, a nawet małych dokonań, nie dowiodłem wcale, że właśnie ten rodzaj twórczości odpowiada najbardziej moim zdolnościom, że najpełniej w tej formie się wypowiadam. Co więcej, nic nie wskazuje na to, że proza narracyjna wymagająca bardzo usilnej, systematycznej i obfitej pracy sprawia mi największą przyjemność. Wręcz przeciwnie. Sukcesy literackie — niewielkie zresztą — odnosiłem wyłącznie w eseju, ewentualnie w publicystyce, i to w krótkich formach. Braku wyobraźni narracyjnej dowodzi uporczywe

trzymanie się autobiograficznych wątków, które wszakże ani zbyt bogate, ani zbyt atrakcyjne nie są, a bez koloryzowania byłyby po prostu mizerne. Chyba że zapuściłbym się w różne zakamarki psychiczne, w ultraszczere wyznania, a także w brutalności wobec żywych i zmarłych bliskich mi osób. Ale ten rodzaj sztuki jest podszyty nikczemnością, którą tylko w bardzo rzadkich wypadkach można usprawiedliwić. [...]

Warszawa, 17 VIII 1981

Wczoraj rozmowa z Wajdami i

Puzyną na temat teatru. Ket rzeczywiście bardzo przeciwny całej sprawie. Powiedział mi, że kiedy pisać nie można było, to pisałem jak głupi, a teraz kiedy pisać można, to pcham się w teatr zły, biorąc na dodatek na siebie obciążenia gospodarcze. Andrzej Wajda natomiast powiedział, że widzi u mnie potrzebę ekspansji społecznej, a z drugiej strony wierzy w to, że jest to sposób na uratowanie teatru, który zginąć nie może i nie powinien. [...]

20 VIII 1981

Rozmowa z Dejmkiem. Nazwał mnie człowiekiem umysłowo, psychicznie i zawodowo niezrównoważonym, ale sam na mnie zrobił wrażenie. Oświadczył, że teatr jest śmierdzącą padliną.

Wilga, 22 VIII 1981

Szekspir umarł mając lat 53, to jest tyle samo, co ja teraz. Dawniej ludzie szybko żyli. Ja i tylu moich rówieśników, pięćdziesięciolatki XX wieku, zastanawiamy się, na czym zbiegło nam życie. Ani szczęścia, ani przygód, ani nawet

wielkich zagrożeń nie przeżyliśmy, i o iluż z nas można powiedzieć, jak mnie powiedział mój własny syn: nie znasz życia.

[...]

Warszawa, 9 XI 1981

Dlaczego w okresach życia najintensywniejszego przestaję prowadzić notatki, właśnie wtedy, gdy one mogą być ciekawe i pożyteczne w przyszłości. Trzeba do tego wrócić. Dzisiaj jest poniedziałek. Dość zimno. Śnieg prószy. Przedwczoraj zamknęliśmy Wilgę. Wczoraj

daliśmy nagrodę Struga[1] Herbertowi, odwiedziliśmy Stryjkowskiego w lecznicy, potem udaliśmy się z awanturą o to, że na spotkaniu z Jaruzelskim była nie taka delegacja literacka, jak należy, a dziś po południu lecimy do Krakowa dyrektorować. Wieziemy w teczce maszynopis trzech jednoaktówek Hawla w tłumaczeniu Jagodzińskiego[1], tej brodatej, bladej, długowłosej dziewicy, która w mrocznych latach Gierkowskiego terroru służyła za łącznika między KOR-em a czeską Pragą; wieziemy,

względnie powinniśmy wieźć (jeśli się znajdzie u Puzyny w biurku) egzemplarz *Ambasadora* Mrożka[2] z niejasnym zezwoleniem autora na granie go w mojej budzie; wieziemy ponadto ustną umowę z Jerzym Hutkiem na realizację *Hadesu* Marka Nowakowskiego[3] w “Miniaturze"[4].

DZIENNIK INTERNOWANIA

Jaworz, 17 XII 1981

Dziś pierwszy spacer. Wszyscy razem, z paniami, dookoła pustego bloku, który stoi naprzeciw naszego pawilonu i jak nam się zdaje, czeka na przybycie nowego transportu. Wczoraj wieczorem, już po kolacji, przywieziono Kornhausera. Wzięty w Krakowie, w niedzielę o 9 rano, siedział w Wiśniczu, a stamtąd, pod strażą dwóch milicjantów, został wołgą przewieziony tutaj. Jechali kilkanaście godzin, zatrzymali się na dwie godziny, o świcie, w Łodzi, gdzie siedział w areszcie z chłopcami wziętymi już za rozrzucanie ulotek w poniedziałek. Widział po drodze czołgi na drogach i posterunki na mostach. Z radia w samochodzie dowiedział się o rozwiązaniu PAX-u[1].

Oto nasze ostatnie nowiny. Zresztą nic. Nie mamy ani radia, ani telewizji. Dziś, na nasze żądania, dostarczono nam parę egzemplarzy "Żołnierza Wolności" z wiadomościami, które czytaliśmy już w "Trybunie Ludu"[2] w Białołęce[3], przed wyjazdem stamtąd. Nic nie

wiemy. Czekamy na ten nowy transport z poczuciem winy, że nam tu jest za dobrze, i z niecierpliwością, aby dowiedzieć się czegoś.

Piąty dzień od wzięcia mnie z domu. Powiedzieli, że mają dla mnie pilne materiały z Kongresu Kultury[1]. Próbowałem się bronić przed obcym mężczyzną, który wcisnął się w szczelinę drzwi, gdy je otworzyłem. Odepchnął mnie i wtargnął do środka, za nim drugi, a na końcu milicjant. Dlaczego nie powiedzieli przez drzwi, że to milicja?

— A boby się państwo

przestraszyli — wyjaśnił z dobrodusznym uśmieszkiem ten, który wtargnął pierwszy.

Potem oznajmił mi, że mam się ubrać i wyjść z nimi. Poprosiłem o nakaz. Pokazali: “natychmiastowego zatrzymania i doprowadzenia". No, cóż — narzuciłem kurtkę, ucałowałem żonę i wyszedłem. Samochód zostawili daleko, po drugiej stronie Waryńskiego. Szli tuż przy mnie, napierając na mnie ramionami. Pojechaliśmy Polną, Lwowską, Piękną, Kruczą do Wilczej. Tam odetchnąłem. Bo przez chwilę ogarnęła mnie

prawdziwa trwoga, że jest to jakaś gangsterska mistyfikacja. Samochód zwyczajny, bez milicyjnych akcesoriów, milicjant wyglądał na przebierańca, bo mu czapka ledwie trzymała się na czubku głowy, ci dwaj w szykownych czapach, kożuszkach i śniegowych butach, jak inżynierowie na wczasach zimowych, zachowanie wszystkich dziwnie ugrzecznione. — Przepraszamy za nietypowe wejście — powiedzieli wychodząc...

Na komendzie tłum funkcjonariuszy umundurowanych i cywilnych, ruch, bieganina, warkot samochodów na podworcu i ani jednej znajomej twarzy. Wzięto mnie na 3 piętro. Tam urzędniczka w stanie histerii. — O, Jezus, moje serce... O, Jezus, dziś trzynasty. — Nie mogła sobie dać rady z jakimiś nowymi, nie znanymi widocznie jeszcze formularzami, co chwilę wybiegała i zostawiała mnie samego z człowiekiem, który mnie przywiózł. Gawędził ze mną uprzejmie, a nawet obiecał zadzwonić do żony i uprzedzić ją, że nieprędko wrócę. Wreszcie zjawił się kwadratowy, rumiany i

uszaty facet w wytartym garniturze, który mi dał do podpisu nakaz o internowaniu w zakładzie odosobnienia w Białołęce na podstawie jakichś dekretów, z powodu “uzasadnionego podejrzenia" o coś tam... a ponadto za “uprawianie propagandy szkodzącej interesom państwa i lżenie jego instytucji"... Gdzie ta Białołęka? — Gdzieś koło Nieporętu. — Czy mogę zadzwonić do domu? — Nie. — Czy pan może zadzwonić? — Nie. Kazał wyłożyć wszystkie przedmioty na stół, oddać zegarek, potem zrewidował mnie starannie i z pomocą pobożnej histeryczki spisał moje walory, które następnie wsypał do nowiutkiego worka z brezentu. Z obfitego pęku tych worków, które przy mnie przyniesiono do pokoju, poznałem, że zanosi się na większą operację; zaś z zamieszania wokół mojej osoby, że byłem pierwszy. Blisko mieszkam. Ale na korytarzu, gdy mnie wyprowadzono, zobaczyłem Mariana Brandysa z Haliną Mikołajską, a w samochodzie — klatce, w którym mnie umieszczono, zastałem już dwie osoby. Od nich dowiedziałem się

o wprowadzeniu o północy stanu wojennego[1].

Napakowano nas do tej klatki do pełna, około dwudziestu osób. Milicjanci, którzy mieli nas konwojować, kłócili się z tymi, co nas przyprowadzali, o źle załatwioną sprawę depozytów. W ciemnościach, na mrozie wysypywali i przeliczali jeszcze raz zawartość worków. Trwało to w nieskończoność. W końcu ruszyliśmy. Szyby zamarzły. Nie było widać, którędy nas wiozą, ani co się dzieje na ulicach. Jazda trwała z pół godziny. — Panowie — rzekł jeden z milicjantów — teraz, kto ma kielicha, niech wypije, bo mu tam odbiorą.

Przy wysiadaniu otoczyli nas strażnicy więzienni w szarych mundurach. Wprowadzono nas do ciasnej, bardzo brudnej izby z dwoma okienkami, przez które widać było taki sam pokój jak nasz, tylko zastawiony biurkami, i taki sam tłum jak nasz, tylko najróżniej umundurowany — wojsko, milicja, straż więzienna, lekarze, pielęgniarki. Oni patrzyli na nas, my na nich, i wyglądało na to, że po obu stronach okien panuje taka sama konsternacja.

I wszczęło się nowe

zamieszanie z owymi depozytami, które nam zwracano za pokwitowaniem po to, byśmy je mogli znów za nowym pokwitowaniem oddać. Wreszcie wywołano nas wszystkich po nazwisku, ustawiono w pary i ruszyliśmy przed siebie długimi korytarzami, podziwiając po drodze grubość murów i solidność krat. Trzaskały za nami te kraty zamykane przez strażników, głośno stukały nasze kroki. Wspinaliśmy się w górę po betonowych schodach osłoniętych drucianymi siatkami, mijaliśmy drzwi cel i rzędy zydli, na których leżała więzienna odzież poskładana w kostki, a na tych kostkach wywrócone dnem do góry miski z białej blachy.

Wyszliśmy na czwarte piętro. Ustawiono nas w szeregu przed drzwiami cel, na których widniały napisy: tymczasowo aresztowani. Podoficer straży więziennej oświadczył nam, że jesteśmy internowani, ale że nie ma tu innych pomieszczeń, jak te cele, więc musimy przystosować się do więziennego regulaminu. Uprzedził, że pościel wydadzą nam dopiero nazajutrz. I znów począł czytać nazwiska. Po sześć,

z podziałem na cele. Mnie przypadła cela nr 17.

18 XII 1981

Bez zmian. Wczoraj wieczorem rozmowa z Aleksandrem Małachowskim z “Solidarności". Był członkiem Komisji Rewizyjnej KK i przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Regionu. Wałęsa nie chciał podporządkować się uchwałom Komisji Rewizyjnej i nie rozumiał, zdaje się, o co jej idzie. Walka o etaty. Nienawiść dawnych działaczy wolnych związków zawodowych do

Wałęsy i jego aparatu. Bałagan organizacyjny. Beztroska prawno-finansowa. A.M. twierdzi, że dałoby się to wszystko uporządkować, ale wymagałoby czasu.

Zapewne. Nie tylko czasu, ale także swobody działania. “Solidarność" uległa demoralizacji i degrengoladzie głównie dlatego, że nie miała pola rzeczywistego, konstruktywnego działania. W części sama je sobie odebrała, przyjmując pionową, centralistyczną strukturę organizacyjną, przez co odcięła się od swych organizacji bazowych,

to znaczy zakładowych, których komisje stały się jakby delegaturami regionów. W części zaś odebrał jej pole działania rząd, blokując wszelki ruch reformatorski, który od “Solidarności" wychodził. “Solidarność" została więc skazana na szukanie konfrontacyj, bo tylko w nich się określała i potwierdzała swą siłę. Musiała też tego potwierdzenia szukać w rozgłosie światowym, w odświętności, symbolice, retoryce i wszelkich sposobach propagandowych. Wzbudzało to coraz większą niechęć społeczną,

a nawet odrazę, którą wszakże społeczeństwo ukrywało przed władzami i przed sobą. Oczywiście, władze, a nade wszystko Bezpieczeństwo, nie zaniedbywały niczego, aby tę katastrofę pogłębić i przyśpieszyć.

W nocy przykre bóle w okolicy nerek i inne sensacje. Zgłosiłem się do lekarza, który dał mi jakieś proszki. Poszło nas pięciu — Jacek Bocheński z nerwicą żołądka, Małachowski z nadciśnieniem, Werner też z nerwicą żołądka, Bierezin dla rozrywki. [...]

Po przyjeździe Bierezina,

Wiesiołowskiego i Kornhausera nasze towarzystwo liczy 21 osób. Składa się przeważnie z osób znajomych, które mogłyby się spotkać na jednych imieninach i obsiąść jedną kanapę. Pilnuje nas 120 potężnych milicjantów oraz osiem szykownych milicjantek. Ta liczba strażników, stanowczo wygórowana jak na nasze potrzeby, wskazuje również na to, że mają tu przybyć inni. Jednakowoż nie przybywają, co nas niezmiernie niepokoi. Dlaczego nas jest tak mało i dlaczego akurat my tu jesteśmy, a inni, nie mniej od nas delikatni, i też “z nazwiskami", siedzą w Białołęce i w innych więzieniach?

— Żeby oni nie chcieli z nas zrobić pekawuenu[1] — powiedział wczoraj Bartoszewski, którego wybraliśmy starostą.

Ktoś już nazwał nasz obóz “szaraszką"[2]. Mnie przypomniała się słynna willa w Kozielsku, w której NKWD przy koniakach i szampanie urabiało przyszłych dowódców Odrodzonego Wojska Polskiego... Koniaków ani szampana wprawdzie nie mamy, ale za to przyzwoity, wojskowy (chyba oficerski) wikt z

grochówką, kartoflanką, albo nawet z gulaszem na śniadanie, tęgim siekanym zrazem codziennie na obiad i z kiełbasą, leberą[1], czy jakąś rybą na kolację. Jadamy w schludnej, “wczasowej" jadalni, usługują nam blade żołnierzyki w białych kitlach, mieszkamy w ciasnych wprawdzie, ale przyzwoicie urządzonych pokojach, po trzech — korzystamy z ubikacji i pryszniców — tyle, że musimy je sobie sami wysprzątać. Możemy się odwiedzać, przechadzać po korytarzu, a w czasie 40-minutowego spaceru łączyć się w dowolne grupki i pary, albo maszerować samotnie, a nawet w odwrotnym kierunku, jak to robi doc. Tyszka, który pruje z zawziętą miną pod prąd odprowadzany niespokojnymi spojrzeniami pilnujących nas strzelców. Dziś kapitan zrobił nam po spacerze dwie uwagi: po pierwsze, abyśmy nie “przemieszczali się zbyt szybko", czyli nie biegali, bo straż traci orientację. A po drugie, abyśmy nie wychodzili bez czapek, bo lekarz niepokoi się o nasze uszy i zatoki.

A w Białołęce... Podwójne

kraty tak rozbudowane, że nie pozwalały na dostęp do okna, które z zewnątrz osłonięte było na dodatek blindą z grubego, matowego, zbrojonego szkła. Trzy prycze piętrowe, szare od brudu materace, sześć zydli, pocięty nożem stół, kulawa szafka, w niej kawały skamieniałego chleba. W kącie kibel pokryty grubą warstwą gówna i rdzy, bez wody do spłukiwania, umywalka niewiele od kibla czyściejsza i również bez wody, zardzewiałe wiadro... Pod sufitem mocna żarówka, która w tę pierwszą noc nie zgasła ani na chwilę. Nad drzwiami głośnik świeżo wmurowany, który punktualnie o siódmej rano w niedzielę odezwał się głosem nieznanego spikera i oznajmił nam, śpiącym z głowami owiniętymi w koce, że oto mamy dzień 13 grudnia, dzień szczególny. Potem zabrzmiał nasz hymn grany w szczególnie dostojnym tempie, następnie zaś przemówił nasz generał, który sfukał naród zgorszonym tonem, niczym przełożona żeńskiej pensji swe wychowanice wracające nad ranem z hulanki w portowej spelunce. Samopoczucie moje, gdym tak dosypiał z głową mętną i

pełną obrazów wczorajszej nocy, bardzo podobne było do zwyczajnego kaca, a dalekie od historycznego patosu. Miałem więc przez chwilę miłe złudzenie, że to mnie osobiście ktoś opieprza za jakieś zabawne bezeceństwa. Koledzy wygrzebywali się powoli z koszmarów i sukiennych zawojów, aby wczuć się w powagę chwili. Zwrócił mą uwagę szczególnie dr Zimand, śpiący przy drzwiach w koszulce gimnastycznej oraz w olbrzymiej futrzanej czapie, spod której ostro sterczał czerwony, zakatarzony nos.

Mowy i hymnu wysłuchaliśmy jeszcze tego dnia osiem razy, bowiem głośnika nie można było ani wyłączyć, ani ściszyć. Posyłaliśmy tylko w jego stronę różne zniewagi i żądania. Domagaliśmy się, żeby przestał nudzić, tylko powiedział wyraźnie, czego nie wolno, kto siedzi i kto siedzieć będzie. Ale radio nie chciało nam odpowiedzieć na pytania. W przerwach między mowami generała i hymnem rozbrzmiewała z niego muzyka Chopina lub Vivaldiego, co nas też gniewało. Czy tym puczem dyrygują jacyś

esteci?

Było bardzo zimno i nie dano nam jedzenia. Dolnej części okna nie można było zamknąć, bo nie miała wcale zawiasów, tylko śruby, które odkręcili pewnie więźniowie przebywający tu ostatnio latem. Byli oni wtedy spragnieni świeżego powietrza, przed którym myśmy szukali ochrony. Chudy kaloryfer ledwo ćmił. Biegaliśmy więc po celi, skakali i przysiadali i coraz bardziej dokuczał nam głód. Szczelina w drzwiach zamykana na zasuwę z zewnątrz otwierała się co chwilę z głośnym zgrzytem. Podawano nam coraz to nowe elementy naszego wyposażenia: poduszki, prześcieradła, obłóczki, miski z łyżkami — a śniadania nie było, choć minęło już południe. Przez szczelinę wsuwały się do nas ciekawe twarze więźniów pracujących w obsłudze.

— Trzymajcie się — szeptał jeden po drugim — jesteśmy z wami, uważajcie na tego w okularach... podstawiony przez komendanta.

Zaglądał rzeczywiście jakiś więzień w okularach, ale czym mogło nam grozić wejście z nim w konfidencję?

Wspinaliśmy się na stół, skąd można było przez szczelinę między murem a blindą obejrzeć świat. Pogoda była piękna, mroźna — szyby pokryły się lodowymi kwiatami. W prawej szczelinie widać było tylko budynki więzienne, w lewej natomiast ogródki działkowe przyprószone śniegiem.

Właziliśmy na prycze, aby odespać bezsenną noc, ten i ów zachrapał, inni zaś gadali, gadali, aby zagadać głód i zimno. Około pierwszej otwarto drzwi i wezwano nas z miskami do kotła. Dostaliśmy wodnistą zupę mleczną, sporo chleba i parę łyżek smalcu.

Obsiedliśmy stół i raźno zastukały nasze łyżki o dna misek. Parsknąłem śmiechem. Koledzy spojrzeli pytająco.

— No bo wczoraj Kongres Kultury — wyjaśniłem, krztusząc się wesoło — światła... wywiady... mowy, a dzisiaj stuk — stuk...

O dziewiątej zgasło światło i zamilkło radio. Jedno i drugie włączyło się o szóstej. Zabrzmiały wojskowe marsze, posypały się dekrety, zakazy i nakazy, śniadanie przyniesiono punktualnie, życie ruszyło z

kopyta.

19 XII 1981

W Jaworzu nowości. Przybyło nowych siedem osób — oboje Kęcikowie, Ryszard Bugaj, Stefan Amsterdamski, beznogi prof. Wyrzykowski z Rzeszowa, młody prof. Kozłowski z Lublina, prof. Gawroński z Kielc i prof. Pańko z Katowic. Wywieziono zaś naszych pięciu: Jacka Bocheńskiego, prof. Goldfinger-Kunickiego, Jerzego Markuszewskiego i Michała Komara. Operacją kierował znany nam dobrze pułkownik R., przebrany już w polowy strój,

tryskający prawdziwie frontową energią i jowialnym humorem. Przywiózł nam paczki i listy z domu, mnie też, więc przynajmniej niektórzy, i ja w ich liczbie, uspokoili się, roztkliwili i odziali. Tylko docent Tyszka stał na korytarzu zapatrzony w ciemne okno, bo mu pułkownik powiedział, że w jego domu nikogo nie zastano.

Do późnej nocy nowo przybyli opowiadali swoje przeżycia i losy różnych znanych osób, a także zdarzenia z Białołęki. Reżim tam złagodniał, chodzą do łaźni i na spacery. Na wiadomość o śmierci

górników w kopalni “Wujek" wszystkie cele odmówiły chórem modlitwę za umarłych[1]. Ubywają “stamtąd" ludzie wywożeni do innych ośrodków — z tym, że teraz już pytają o zgodę na przeniesienie; przybywają nowi, zwożeni z prowincjonalnych więzień. Trudno nadal zorientować się w ilości internowanych, w sposobie ich dobierania, czyli w “kluczu", oraz w zasadach rozlokowania; a także w sensie nieustannego przewożenia internowanych z miejsca na miejsce, czyli “przebazowania", jak powiada

pułkownik R. Dlaczego my jesteśmy tu, a np. Woroszylski czy Holzer w Białołęce? Dlaczego tu są Kęcikowie i Bugaj, a Geremek w Białołęce, dokąd go przewieziono z Iławy, natomiast Mazowiecki wciąż jeszcze chyba w Iławie? Zastanawiamy się nad tym tu, w Jaworzu, zastanawialiśmy się też w Białołęce, zwłaszcza gdy wyspawszy się należycie i najadłszy, spróbowaliśmy ustalić, kto kogo gdzie widział w nocy z soboty na niedzielę. Z sąsiednimi celami nie umieliśmy nawiązać kontaktu. Zza ścian odzywały się

jakieś chaotyczne stukania, na które i myśmy chaotycznie odpowiadali. Wewnętrzna krata broniła przystępu do okna, przez które można by dowołać się do sąsiadów. Słyszeliśmy nawoływania więźniów z niższych pięter, a nawet głośne rozmowy, ale z ich treści wynikało, że są to przestępcy, którzy komunikują sobie przebieg procesów, udzielają wskazówek i wiadomości z życia.

Wkrótce i u nas coś zaczęło się dziać. Walenie w drzwi, skandowane krzyki “lekarza". Wszystkie cele przejęły hasło i łomotać poczęły w drzwi wspólnym rytmem. Po chwili wszystko ucichło. Po jakiejś godzinie strażnik otworzył drzwi i rzekł:

— Jeden z panów proszony na korytarz.

Stałem akurat najbliżej drzwi, wyszedłem. Na korytarzu zobaczyłem grupę oficerów Straży Więziennej z pułkownikiem pośrodku, a naprzeciw — grupę internowanych. Byli to, tak jak ja, delegaci cel. Między oficerami a internowanymi toczyła się zaczęta już od chwili dyskusja, w której prym wodził zażywny pan w pomidorowym garniturze, z

odznaką “Solidarności" w klapie — prawnik, sądząc z prezencji i wysłowienia. Chodziło o status internowanych. Skoro jesteśmy internowani, dowodził, wspierany potakiwaniami towarzyszy, stosuje się do nas konwencja genewska, w myśl której mamy prawo do otwartych cel, swobodnych kontaktów, do spacerów, książek i wizyt rodzinnych.

Na to pułkownik, niski człowieczek o chłopskich rysach, bezzębny, ćmiąc nerwowo papierosa, przemówił mniej więcej tak: rozumie naszą sytuację, ale prosi, abyśmy zrozumieli jego sytuację. Właściwie jesteśmy w tej samej sytuacji. Myśmy zostali wyrwani z domów i on został wyrwany z domu. My nic nie wiemy i on nic nie wie. To jest więzienie, a my jesteśmy internowani. Ale on nie wie, co to znaczy internowany, bo nie ma odpowiedniego regulaminu. Nikt mu nie dał żadnych instrukcji, więc stosuje do nas regulamin tymczasowo aresztowanych z pewnymi złagodzeniami. Nie każe nam mianowicie wykładać ubrań na noc, pozwala wylegiwać się na pryczach, a funkcjonariusze

mówią nam przez “pan". Reszta będzie później. Spacery, książki, wizyty, wszystko. On też przeczytał konwencję genewską i ma prawnika, którego logiki uczył prof. Szaniawski. Tu wskazał na jednego ze swych wąsatych poruczników, uśmiechnął się skromnie, a prawnik dodał, że profesor Szaniawski już został zwolniony. Stąd dowiedzieliśmy się, że siedział.

Delegaci, których przybywało, bo coraz nowych wypuszczano z cel, w krzyk. Internowanych uprzedza się, przygotowuje, pozwala im zabrać

najpotrzebniejsze rzeczy. Nas porwano, rodziny nie wiedzą, gdzie się znajdujemy. Zjawił się Stefan Amsterdamski, który powiedział, że zabrano go wraz z żoną od dwuletniego dziecka, które zostało w domu ze służącą dopiero co przyjętą.

Pułkownik na to, że porozumie się z władzami i pójdzie nam na rękę, ale potrzebuje czasu i spokoju z naszej strony. Nie będzie nam robił trudności, jeżeli my trudności robić mu nie będziemy. A robimy... W jednej z cel próbowano rozkręcić kraty i kontaktować się ze skazanymi.

No, i te sztukania w drzwi... To działa na skazanych, bo myślą, że ktoś umarł.

Stanęło na tym, że zrobi, co będzie mógł, przystał półgębkiem na odwiedzanie się w celach, obiecał przysłać pielęgniarkę z proszkami od bólu głowy i nazajutrz zwołać nowe zebranie delegatów.

Ale po jakichś dwóch godzinach znów się wszystko zmieniło. Klawisz[1] otworzył drzwi celi i kazał wychodzić z rzeczami. Brać koce, pościel, miski, wszystko. Na korytarzu zobaczyliśmy wszystkich klawiszy wyciągniętych w szereg, a przy zejściu na schody dwóch rycerzy w hełmach, z tarczami i pałami w rękach, oraz psa w kagańcu, z oberwanym uchem, który patrzył na nas ciekawie, przekrzywiwszy łeb. Przemaszerowaliśmy tą samą drogą, którą w nocy z soboty na niedzielę wchodziliśmy; wszędzie stali uzbrojeni w pały funkcjonariusze, którzy na podworcu utworzyli podwójny szpaler, błyszczący w słońcu od hełmów, przyłbic i tarcz. Szliśmy między nimi gęsiego, i było nas tylko sześciu, bo widocznie wyprowadza się ludzi celami.

Mogliśmy z bliska przyjrzeć się ludziom wyuczonym bicia i stwierdziliśmy ze zdumieniem, że są bardzo młodzi, niektórzy ledwo wyrośli z dziecinnego wieku, niektórzy też drobni i wcale nie wyglądający na siłaczy. Przestępowali z nogi na nogę, poruszali długimi, białymi pałami, uderzając się nimi lekko po cholewach, patrzyli nam w oczy z uwagą, a co sobie myśleli, Bóg jeden wie.

20 XII 1981, niedziela

Znów niedziela, minął tydzień. Panie, którym milicjantki przekazują wiadomości radiowe, doniosły nam na spacerze, że godzina milicyjna została na terenie całego kraju skrócona do piątej rano, za wyjątkiem Gdańska, gdzie została przedłużona do ósmej wieczór[1]. Z lektury “Żołnierza Wolności", którego nam rozdają przy obiedzie, wynika, że stocznie i kopalnie strajkują.

Co z tego? Mamy się tym cieszyć czy martwić? Mówimy o tym z takim podnieceniem, z jakim w jesieni 1939 roku mówiło się, że “nasi jeszcze się biją". Wiemy, że to tylko honorowe

bitwy i że nie zamienią się w powstanie narodowe, o jakim w Białołęce śnili chłopcy z “Solidarności" i NZS-u. Wiemy, że takie powstanie spowodowałoby tylko wkroczenie “Ruskich", okupację, wywózkę internowanych, a następnie rządy zupełnie nikczemnych marionetek.

Więc co należy robić? Poddać się? Podpisywać deklaracje lojalności, skorzystać z abolicji, przycupnąć i patrzeć, jak armia rządzi i jak ten cały “polski sierpień" grzebie, tworząc w jego miejsce system nakazowo-koszarowy? Każdy ma na to odpowiedź, mam i ja swoją. Nie byłem i nie będę działaczem — ale prócz odpowiedzi indywidualnej trzeba dać zbiorową. Odpowiedź polityczną, narodową. Do jej formułowania ja też jestem potrzebny, bo moją działalnością jest szukanie właściwych słów na właściwą chwilę.

Aby taką odpowiedź dać, trzeba wpierw zastanowić się nad polityczną treścią i efektem całego okresu, który tak czy owak skończył się 13 grudnia. Jaki to okres? Kiedy się zaczął? Od czego?

Mnie się zdaje, że od odwołania podwyżki cen w czerwcu 1976 roku. Wtedy rząd po raz pierwszy cofnął się pod presją strajku. Cofnął się, ale pozostał u władzy. Strajki były już przedtem — w 1956 i w 1970 roku — ale kończyły się zmianą ekipy rządzącej, która poprzednią oskarżała o błędy i wypaczenia. Teraz ekipa pozostała, ujawniając coś gorszego od błędów i wypaczeń: bezsiłę.

Tak zaczęła się ta dziwna, partyzancka wojna z PRL-em. Cechował ją brak kontaktu z nieprzyjacielem. Powstawały organizacje, pisma, uczelnie, wydawnictwa, związki zawodowe, wszystko w maleńkiej skali, łatwe do zlikwidowania za jednym zamachem. Wszystko prawie jawne, na oczach władzy, która reagowała nie tak, jakby całej tej działalności chciała położyć kres, lecz ją jeszcze podsycić. W sierpniu i po sierpniu było to samo, tylko na ogromną skalę. Wyglądało na to, że PRL stopniowo zanika, że ustają jej różne żywotne funkcje — funkcja ścigania, funkcja propagandy, funkcja kierownicza. Wydawało się, że wystarczy zakrzątnąć się

dobrze, a zniknie całkiem, pozostawiając władzę nad krajem każdemu, kto ją wziąć zechce.

I rzeczywiście zniknęła, ale na jej miejsce nie pojawiła się Rzeczpospolita wyśniona w opozycyjnych kółkach i gazetkach, lecz dyktatura wojskowa.

W 1980 roku rząd stanął wobec katastrofy gospodarczej, której nie umiał już nawet zakomunikować społeczeństwu, i wobec decyzji, dla których narzucenia nie miał już żadnych skutecznych transmisji. Liczył się ze strajkami, bo miał już za sobą doświadczenia 1970 i 1980 roku. Doszedł, zdaje się, do przekonania, że warto je uznać i zalegalizować, aby w komitetach strajkowych uzyskać partnera do negocjacji, czy “konsultacji" w sprawie nieuniknionej, olbrzymiej podwyżki cen oraz redukcji pracowników w przemyśle i w administracji. Tym należy chyba tłumaczyć skwapliwość, z jaką w lipcu 1980 roku dyrekcje nawiązywały rozmowy z komitetami strajkowymi, pomijając zupełnie ówczesne związki zawodowe.

Dziś rząd stoi przed tymi

samymi problemami z tym, że odrzucił możliwość negocjowania. Odrzucił, ponieważ “Solidarność", która do negocjacji miała służyć, ujawniła aspiracje do podziału władzy. Nie pozostaje nic innego, jak ogłosić te decyzje w warunkach stanu wojennego. Dekrety WRON-y, znoszące wszystkie umowy o pracę i wolności osobiste, stanowią w istocie przygotowanie do redukcji i przesunięć. I to jest najgroźniejsze, to grozi prawdziwą wojną społeczną.

Mnóstwo pytań: co się dzieje? Dokąd pojechała nasza piątka?

Dlaczego jedni siedzą, drudzy nie? Dlaczego niektórzy z internowanych (np. Bartoszewski i Bugaj) znaleźli się na liście ogłoszonej przez “Trybunę Ludu"[1], a inni nie? Po co nas właściwie trzymają? Jak stosuje się do nas dekret o abolicji[2]? Poza tym — a raczej nade wszystko — pytanie generalne: jakie są stosunki WRON-y z partią i z Kościołem? Nie było dotychczas żadnej uchwały Biura Politycznego w sprawie stanu wojennego. Jest to już *de facto* zmiana ustroju, gdyż WRON-a

spełnia w stosunku do rządu dokładnie tę samą rolę, co dawniej Biuro Polityczne. Nie wiadomo też nic o kontaktach WRON-y z prymasem. Na koniec: co z Wałęsą, o którym powiedziano w radio, że “przebywa w Warszawie... traktowany z całym szacunkiem należnym przewodniczącemu «k020Solidarności»".
Jednocześnie w gazetach, tzn. w “Żołnierzu Wolności", pojawiają się wypowiedzi niektórych terenowych działaczy “Solidarności" deklarujących lojalność wobec WRON-y i prawa

wojennego...

21 XII 1981

Dziś dostaliśmy radia do pokojów. Żegnaj, ciszo — chociaż względna i zakłócana gadulstwem kolegów. Wszystkie pokoje zabrzęczały, zapiszczały, zadudniły. Dowiedzieliśmy się, że w kopalni “Ziemowit" zamknęło się 1300 górników[3], którzy grożą wysadzeniem kopalni w powietrze, że do Warszawy przyjechał arcybiskup Poggi[4], że ambasador Spasowski poprosił o azyl[5]. Usłyszeliśmy też

komentarze, z których wynika, że poruszenie w świecie jest duże i że odpowiedzialnością za wojskowy zamach stanu w Polsce obarcza się ZSRR. Ktoś usłyszał wiadomość o śmierci Tadeusza Mazowieckiego w więzieniu i o samobójstwie Krzysztofa Śliwińskiego w Białołęce. Miejmy nadzieję, że obie są nieprawdziwe. Tu, do Jaworza, przybyła wraz z nami paczka adresowana do Mazowieckiego, a pułkownik R. zapytany przez Władka Bartoszewskiego, co z tą paczką zrobić, odpowiedział, że Mazowiecki przyjedzie, “jak drogi będą lepsze". Śliwińskiego widziałem w Białołęce na spotkaniu delegatów z naczelnikiem więzienia. Był przeziębiony, bo w celi szyba była wybita, i przyduszony gazem, który mu wstrzelono do mieszkania, gdy zabarykadował się myśląc, że ma do czynienia z napadem bandyckim. Poza tym był w doskonałym usposobieniu. Po przejściu do baraku zjawił się nawet na chwilę w naszej celi, wykorzystując udzielone — na krótko — zezwolenie na odwiedziny w celach.

W baraku życie biegło tym

samym trybem, co w budynku więziennym. Z tą różnicą, że mieliśmy wodę bieżącą w kiblu i w umywalni, radio można było wyciszać, jedzenie podawano przez otwarte drzwi. [...] Barak rozgadał się. Przekazywano przede wszystkim nazwiska zatrzymanych. Tą drogą dowiedziałem się, że w sąsiedniej celi nr 22 siedzi Andrzej Szczypiorski. Wywołałem go na krótką rozmowę. Z drugiej strony, w celi 24, Tomasz Łubieński, a gdzieś dalej Bartoszewski, Bocheński, Woroszylski, Michnik, Drawicz, Holzer...

Po południu przyniesiono książki. Były nowiutkie, widocznie zgarnięte z pierwszej lepszej księgarni, takie właśnie, które leżą na ladach i od których robi się mdło. Wyobraziłem sobie specjalny patrol gnający do miasta po zabawki dla nas i z wdzięczności zasiadłem z Zimandem do partii młynka. Ale też nam nie szło. Za to zaciekawił nas najstarszy mieszkaniec naszej celi, Marek Skuza, gdy zaczął opowiadać o pobycie we Wronkach za władzy ludowej i w Oświęcimiu za Niemca.

Tylko jeden mieszkaniec celi

nie brał udziału w tych pogawędkach. Zabrał pierwszą książkę z brzegu, zręcznie wdrapał się na najwyższe, trzecie piętro, pod sam sufit, i leżał sobie tak cicho, żeśmy o nim w ogóle zapomnieli.

— O, kolega ma też za sobą parę latek — zauważył Skuza.

Kolega wyjrzał, uśmiechnął się i czytał dalej.

We wtorek wywołano mnie i zaprowadzono do budynku administracyjnego. Tam spotkałem paru znajomych czekających przed kancelarią naczelnika. Miał z nami

rozmawiać przedstawiciel ministra Spraw Wewnętrznych. Był nim pułkownik R.... nasz późniejszy jowialny opiekun z Jaworza. Stuknął obcasami, przedstawił się i zapytał, czy chcę z nim rozmawiać? Czemu nie?

Pułkownik powiedział, że minister polecił mu wyrazić ubolewanie z powodu tego, co się stało, i spytał, czy mam jakieś zażalenia. Nie, nie mam, odpowiedziałem, służba więzienna zachowuje się wobec nas wzorowo, wyjąwszy obstawiania nas przez ZOMO.

— Ma pan swoje lata, to pan

już niejedno widział — odrzekł uprzejmie pułkownik. I dodał, że minister na interwencję profesora Gieysztora i profesora Szczepańskiego (miał na myśli Jana Józefa) polecił nas przenieść w lepsze warunki.

— Wszystkich? — spytałem myśląc o internowanych w Białołęce, których obliczaliśmy na jakich czterystu.

— Wszystkich — odpowiedział, nie wiedząc, zdaje się, co przez to rozumiem.

Spytałem go, czy potrafi powiedzieć, jak to długo ma potrwać.

— Do ustabilizowania sytuacji w kraju. Z tym, że ona już rzeczywiście zmierza do stabilizacji.

Powiedział następnie, że nie zna mojej sprawy, bo jest wojskowym, z pionem MSW nie miał dotychczas nic wspólnego. Nie wie, kim jestem, ani co robiłem. Powiedziałem mu więc, że jestem pisarzem i dyrektorem teatru.

— Czy działał pan politycznie?

— Moja działalność polega na głoszeniu poglądów.

— Nie czuje się działaczem

politycznym — powiedział do siebie, zapisując te słowa. A co do poglądów — chciałby je poznać. Oczywiście, nie chodzi mu o żadną pisemną deklarację.

— Nie kryłem moich poglądów i nadal krył ich nie będę.

Pochylił głowę z szacunkiem i słuchał nadal.

Powiedziałem, że obawiam się zniszczenia wszystkiego, co zostało zrobione w ciągu półtora roku, a w szczególności pokolenia młodzieży, która swój idealizm wyraziła w “Solidarności" i w Niezależnym Związku Studenckim. [...]

— Zemsta nie leży w intencjach generała Jaruzelskiego — oświadczył stanowczo pułkownik.

Powiedziałem, że dobre intencje nie mają tu nic do rzeczy.

I tyle. Rozmowa trwała jakie dziesięć minut, pułkownik śpieszył się, prosił następnego.

Byłem tak pewien, że wszystkich nas mają gdzieś przewieźć, że wracając do baraku, powiedziałem to Wiktorowi Woroszylskiemu, który zawołał z okna celi. Powtórzyłem to w naszej celi, gdzie wiadomość

przyjęto nieufnie. Wyjeżdżamy? A dokąd? W lepsze warunki czy na białe niedźwiedzie? Jeden z rozmówców pułkownika wypatrzył na kartce nazwę Jaworz, Jaworzno lub Jaworzyna. Jaworz to gdzieś na Śląsku, Jaworzno to obóz pracy, Jaworzyna to w Czechosłowacji...

Na obiad był groch z kapustą, a po obiedzie wszedł oficer w niepokalanie białej koszuli i kazał mi się spakować. Koledzy, pewni, że pójdę do domu, sporządzili dla mnie spis celi, abym mógł po wyjściu odwiedzić rodziny. Złożyłem koce i prześcieradła,

czekałem, ale zamiast mnie wywołano Zimanda. Odchodząc, ukłonił się współtowarzyszom głęboko w pas.

— Piękny ukłon — rzekł naczelnik, który akurat stanął w drzwiach celi. — Wedle jakiej to tradycji?

— Ogólnoludzkiej — odpowiedział Zimand, który w tej chwili nie pamiętał może, skąd wziął ten gest: ze *Wspomnień z domu umarłych* Dostojewskiego, który opowiada, że tak właśnie żegnali się wychodzący na wolność lub przenoszeni gdzie indziej katorżnicy[1].

I usłyszeliśmy, jak naczelnik życzy Zimandowi przyjemnego lotu.

Wywołano wreszcie i mnie. Pożegnałem się ze wszystkimi i po raz pierwszy doznałem bólu, jaki sprawia rozstanie z więzienną wspólnotą. [...]

W świetlicy czekali prof. Goldfinger-Kunicki, Aleksander Małachowski, Andrzej Szczypiorski, prof. Bogusławski, którego dotychczas nie znałem, i Andrzej Werner. Wszyscy zarośnięci, rozczochrani i brudni, na ogół pogodni, poza Małachowskim, którego małe oczy skryte w siwo-rudej gęstwinie bujnego uwłosienia lśniły szaleństwem. Był pułkownik R.... zjawiła się urzędniczka z depozytami, z boku stał lekarz gotów służyć pigułkami. Wszedł rosły porucznik milicji w polowym mundurze, w drzwiach pokazała się spora gromada drabów. Pułkownik R. oświadczył, że polecimy helikopterem, pod konwojem milicyjnym, do miejsca, które zna pilot. Mamy stosować się do poleceń porucznika. Ten przemówił:

— Panowie faktycznie

jesteście elita, to zachowujcie się jak elita, żebym was nie musiał skuć albo coś.

Znaleźliśmy się znów w opancerzonej i odrutowanej klatce, jaka nas do Białołęki przywiozła. Sześciu siwych i łysych oraz dziesięciu wąsatych osiłków w pręgowanych waciakach i rogatywkach, z pałami u boku. Klatka wytoczyła się za bramę i tam utknęła na godzinę prawie. Nawet milicjanci dygotali z zimna, nie mówiąc o nas, byle jak odzianych. Tuliliśmy się do siebie jak kury na grzędzie, tupaliśmy i ruszali ramionami. Gdy jednak któryś chciał wstać, kazano mu usiąść, gdyśmy poczęli wymieniać między sobą uwagi, uciszono nas, gdy ktoś odwrócił się do okna, aby odchuchać skrawek szyby i wyjrzeć na świat, kazano mu siedzieć prosto i nie odwracać się. Podenerwowało to zwłaszcza Małachowskiego, który z głębi swej brody wygłosił parę uwag, za które — gdyby dowódca konwoju miał taką władzę, do jakiej pretendował — mógłby go rzeczywiście skuć lub zdzielić pałą. Ale widocznie takiej władzy nie miał, bo zadowolił się westchnieniem:

— Ależ pan złośliwy!

W końcu ruszyliśmy i jechali przeszło godzinę, kołując po nie znanych mi drogach. W oknach świeciły choinki. W jednym z osiedli czekano widocznie na przybycie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, gdyż nad drogą, pustą zupełnie, którą posuwała się nasza żelazna buda, zwisały girlandy z oszroniałych chorągiewek oraz transparenty z napisami “Witaj Maryjo!"

Przejechaliśmy przez Wisłę mostem Grota-Roweckiego, który niedawno uroczyście święcono, i wjechaliśmy w miasto. Widzieliśmy gromady zmarzniętych ludzi na przystankach; stali osłonięci obłoczkami oddechów, nie zwracając uwagi na jedną z licznych bud milicyjnych, jaka przetaczała się mimo. Przejechawszy Żoliborz i Wolę, znaleźliśmy się na Bemowie, przy helikopterach. Tam komendant zachęcił nas do odsiusiania się w śnieg (odsiusiajmy się jak Polak z Polakiem — rzekł Małachowski, widząc, że milicjanci stają w jednym rzędzie z nami), po czym zaprosił do wsiadania.

— Pan... funkcjonariusz...

pan... funkcjonariusz — komenderował, pilnując, abyśmy do aparatu wchodzili przedzieleni milicjantami. Wewnątrz jednak pozwolono nam usiąść razem — trzech po jednej stronie, trzech po drugiej — podczas gdy milicjanci zbili się w kupę przy kabinie. Nadal nie wolno było wstać z ławki, unieść ceratowej zasłonki i spojrzeć przez okienko na pogrążony w ciemnościach świat.

Lecieliśmy dwie godziny, drzemiąc i ciesząc się ciepłem, którym natychmiast po starcie wypełniło się blaszane pudło, zastanawiając się, gdzie to nasze Jaworze czy Jaworzno leży, i zerkając na paczki leżące na tyle helikoptera. Były tam wielkie, plastikowe wory. Pod stosem paczek wypatrzyłem znajomą torbę podróżną i byłem prawie pewien, że należy do mojej żony i jest dla mnie przeznaczona. — A więc wiedzą, co się z nami dzieje...

— Gdzie jesteśmy? — zapytał któryś z nas, gdy helikopter usiadł miękko na ziemi i otwarto drzwiczki.

— W każdym razie w Polsce — zabrzmiała odpowiedź z ciemności.

Wyprowadzono nas i zaproszono do autobusu, w którym siedzieli już wymieszani z milicjantami Władysław Bartoszewski, Jacek Bocheński, Anka Kowalska, Halina Mikołajska, Teresa Bogucka, Jerzy Markuszewski, Michał Komar, docent Tyszka, Jerzy Jedlicki, Stefan Kurowski, Ryszard Herczyński i mój Zimand, z którym znów znaleźliśmy się pod jednym dachem.

Za lotniskiem las ogarnął z obu stron wąską szosę, która wiła się, wznosiła i opadała. Mijaliśmy ciemne wioski, aż w jakimś miasteczku Anka Kowalska dostrzegła na drogowskazie nazwę “Kalisz Pomorski". Więc nie jesteśmy na Śląsku.

22 XII 1981

Radio zmieniło nasze obyczaje i nastrój. Coraz mniej spokojnych chwil. Skończyła się bezmyślna pogoda, w jakiej pogrążyliśmy się w Jaworzu. Ciepła odzież, którą rozdzieliliśmy między siebie, wszystkim przyniosła ulgę, pawilon był wyziębiony, wszystkimi szczelinami ciągnął dotkliwy ziąb. Odetchnęliśmy

powietrzem na spacerach, umyliśmy się pod gorącym prysznicem, odespaliśmy złe noce z Białołęki. ... Owszem, było spokojnie i pogodnie. Z radia spadły na nas wiadomości, w które i wierzyć było trudno, i nie wierzyć: nie tylko o Mazowieckim, że nie żyje, ale także o tysiącach ludzi, trzymanych pod gołym niebem na stadionach, o obozach internowanych w “krajach sąsiednich", o strzelaniu do tłumu z czołgów w Gdańsku. ... Brzmiało to nieprawdopodobnie. Ale jak można nie wierzyć, że

innym dzieje się wielka krzywda, skoro nam działa się niewielka? Paru kolegów napisało odwołanie do ministra, paru żądało ponownego przeniesienia do Białołęki. Jeden z kolegów groził głodówką, jeżeli w ciągu 24 godzin nie otrzyma wiadomości od rodziny. Major skarżył się Bartoszewskiemu (którego wybraliśmy starostą), że sam nie dostaje odpowiedzi szybko, gdy posyła iskrówkę. — Tu do Boga i do ludzi daleko — powiedział jednej z pań, gdy dopominała się o księdza na niedzielę. Mamy wykłady, ale trudno słuchać, bo za

ciasno. Ze wszystkimi przybyszami jest nas teraz prawie 30 osób. Ubyło wprawdzie pięć, ale przybyło prawie 10. Jak to wszystko wejdzie do pokoju, w którym nawet przy trzech osobach ciasno, robi się duchota, którą źle znoszę. Dlatego wymykam się na korytarz i daję nura do siebie jak student na wagary.

Dziś mają przywieźć dalszych 35 osób. Wygadał się o tym dyżurny milicjant. W bloku naprzeciwko, który dotychczas stał pustką, ruch. Milicjanci latają po korytarzach, sprawdzają kontakty, krany, żołnierze noszą

pościel...

DZIENNIK

1982

Warszawa, 20 I 1982

Szósty tydzień stanu wojennego — i co dalej. Nie ma ani oznak złagodzenia, ani oznak zaostrzenia reżimu; nic, jak dotychczas nie wyniknęło ani ze spotkania Jaruzelskiego z Glempem[1], ani z posiedzenia

mieszanej komisji Episkopatu i Rządu. Obawiam się, że Kościół najbardziej martwi się o jubileusz Jasnej Góry[2] i o to, czy Papież przyjedzie[3]. A rząd? Nie wykonano nadal nawet tych rzeczy, które można było przeprowadzić tylko w warunkach stanu wojennego, pod wpływem pierwszego szoku, to znaczy nie podwyższono cen i nie zamknięto nieproduktywnych fabryk, nie zwolniono nadmiaru pracowników. Czyżby mieli niegotowe plany? To po co ogłaszali stan wojenny? Czyżby nadal bali się reakcji społeczeństwa? Czyżby byli sparaliżowani od wewnątrz? W takim razie musi nastąpić jeszcze jeden przewrót, ale czy tym następnym razem obędzie się bez interwencji sowieckiej?

Nieaktywność to nie jedyna cecha tej wojny "polsko-jaruzelskiej". Inną jest rezerwa partii. Nie było do tej pory ani plenum KC, które powinno zaaprobować i poprzeć działania — WRON-y, ani nawet uchwały Biura Politycznego, określającej rolę partii w tej operacji. Członkowie Biura Politycznego

prawie nie pokazują się publicznie; widoczni są tylko dwaj “cywilni" politycy, tj. Rakowski i Czyrek.

Nie ma też, co już naprawdę zdumiewa, żadnych aprobujących oświadczeń radzieckich — poza zdawkowymi wyrazami zadowolenia, że w Polsce panuje spokój. Nie było w Warszawie wizyty radzieckiej. W Moskwie z misją wyjaśniającą był Czyrek, który spotkał się (poza Gromyką) tylko z Susłowem, o czym zresztą nie ogłoszono żadnego komunikatu. To znaczy, że po raz pierwszy od roku 1917 podjęto w systemie sowieckim decyzję polityczną bez publicznej aprobaty partii? Co to jest: zmiana systemu czy błąd? Nie byłoby to moje zmartwienie, gdyby nie łączyło się z pytaniem: co dalej. Bo, jeśli to zmiana systemu, to znaczy, że będzie on odtąd inaczej funkcjonował. A jeśli błąd, to zostanie naprawiony, to znaczy, że Jaruzelski zostanie oskarżony o awanturnictwo i odstawiony. Jego miejsce zajmie kto inny; ten podporządkuje się partii i poprowadzi operację dalej wedle prawideł, jakie dobrze znamy. Dopiero ruszy prawdziwy aparat

politycznej represji, wciąż na razie na uwięzi trzymany, wyjaśni się wreszcie, kto w tym kraju rządzi, zaryczą prawdziwe trąby propagandy, statystyka zacznie na powrót produkować fałszywe dane...

A może to już niemożliwe? Może już PRL w jej dawnej krasie nigdy nie będzie?

Otóż musi być, bo nie ma nic w zamian — jak dowiódł cały ubiegły rok. Cała Europa wschodnia została przekształcona w sowiecką kolonię i tylko w całości może zostać zreorganizowana. Wszelkie próby "wyłuskania" któregoś z jej członków — czy to Węgier, czy Czechosłowacji, czy to Polski, czy NRD — kończą się blokadą i wojskową interwencją. Nie może być inaczej i nie będzie inaczej dopóty, dopóki ZSRR będzie chciał i mógł utrzymywać nad tym rejonem pełną kontrolę wojskową, polityczną i gospodarczą. Nic nie wskazuje na to, by mu tej siły lub ochoty brakowało. Nic też nie wskazuje, by ktokolwiek chciał i mógł z nim w tej mierze rywalizować. Nie pretenduje do tego żadne mocarstwo europejskie ani Europa w całości; nie

pretenduje też USA. “Sprawa polska" jest nadal tylko przetargowa w rozmowach rozbrojeniowych lub w polityce naftowej. Jest ona też przetargowa dla Chin.

Ale to nie znaczy, że nie ma dla Europy, dla USA, dla Chin innej wartości. Otóż ma. Ma jako nabrzmiały czyrak sowieckiego systemu. I jest to wartość wymierna dzięki długom polskim na Zachodzie. Oba mocarstwa bardzo dbają o tworzenie takich abscesów w organizmie przeciwnika, których nabrzmiewanie, pękanie i

krwawienie krępuje ruchy, pomaga w odpowiednim czasie wywoływać napięcia, stanowi świetny materiał propagandowy. Taką funkcję w strategii radzieckiej spełniają republiki środkowoamerykańskie. Taką rolę spełniał Wietnam, spełnia częściowo Tajwan[1]. Dla USA — kiedyś Jugosławia, a potem kolejne demoludy — przy czym Polska wykazuje tu największą stałość. Tu kryzys polityczno-gospodarczy stał się permanentny i będzie permanentny.

W tym względzie USA i ich zachodnioeuropejscy sojusznicy

przyjęli zasady francuskiej i angielskiej polityki antyrosyjskiej z XIX wieku, dla której wzniecenie polskiej irredenty stało się stałym elementem gry — na zmianę z okresami zbratania z Rosją. Pośrednimi rezultatami tej polityki były polskie powstania. Gdyby mapę Europy w 1919 roku kształtowały te same mocarstwa, bez USA, Polska niepodległa nie powstałaby nigdy; tak dalece liczyły one na powrót Rosji do rodziny narodów. Nie zamierzały też przyczynić się do jej osłabienia, ze względu na jej rolę w europejskiej równowadze sił.

Wtedy Rosja traktowana była przez Francję i Anglię jako przeciwwaga Niemiec. Dziś, gdy polityka europejskiej równowagi sił traktowana jest tylko jako czynnik światowej równowagi, istnienie Rosji ze wszystkimi jej dziwactwami i z całym imperium nikomu nie przeszkadza. Byle nie siała zamętu nad Zatoką Perską, w Afryce, Ameryce Łacińskiej, a zwłaszcza w Europie! Do powstrzymania tych rosyjskich zapędów doskonale służy Polska. W zasadzie jednak “wyzwolenie" tej ostatniej albo “wyzwolenie" innych narodów

wschodnioeuropejskich czy sowieckich nie leży w niczyim interesie, podobnie jak w niczyim interesie nie leży reformowanie sowieckiej gospodarki.

Do zmiany równowagi światowej może dążyć tylko ZSRR, jeżeli go do ekspansji pchnie kryzys wewnętrzny lub walka o władzę w kierownictwie. To jest możliwe, ponieważ ustrój radziecki jest w naturze swojej ustrojem wojennym, z wojny zrodzonym, do wojny przystosowanym i przez wojnę tylko sprawdzonym. W braku wojen prawdziwych potrzebuje

wojen sztucznych, aby w ogóle mógł funkcjonować. Wszelkie próby przestawienia go na pokojową gospodarkę i na pokojowe współżycie z partnerami spełzły na niczym i kończyły się rozkładem. [...]

Więc ZSRR będzie atakował, prowokował, a Polska stanie się terenem permanentnej riposty. Czy to dobrze?

— — —

Na to pytanie już za późno. Ustrój PRL wyleciał z szyn i już go żadna siła nie wstawi na nie z

powrotem. Odtąd wszystko, co się tu będzie działo, będzie pracować na rzecz dalszej destabilizacji: czy się reforma gospodarcza powiedzie, czy nie, czy będzie nędza, czy dobrobyt, czy będzie terror, czy spokój — wszystko będzie działało przeciw sowieckiemu porządkowi i pokojowi. [...]

22 I 1982

Prus twierdzi, że teatry powinny pozostać zamknięte, bo wtedy ludzie zrozumieliby, że coś się stało. A tak... On wie, że to niemożliwe, i ja wiem, że to niemożliwe. A jednocześnie, gdym wczoraj otworzył telewizor, obejrzał scenę ukłonów i oklasków w Filharmonii, gdzie się odbył inauguracyjny koncert Roku Szymanowskiego, poczułem się niemal obrażony[1].

Co prawda podobnie reaguję w kościele, gdy mówi się o czym innym niż o stanie wojennym, “Solidarności", internowaniach i o tym wszystkim, co stanowi główny nurt naszego życia emocjonalnego. To znaczy, że jesteśmy chorzy na stan wojenny, że nam się życie nadmiernie uprościło. [...]

Już dziś wiadomo, że niektóre osoby z internowania wcale wyjść nie chcą, i ja wiem, że mi tego internowania żal, bo miałem z niego wiele honorów, a zwalniało mnie z wszelkiej odpowiedzialności oraz z sytuacji niejasnych, zmuszających do wyboru.

Rozmawiałem wczoraj z Hübnerem. Powiedział mi, że jeśli wygra wariant partyjny, lansowany podobno przez większość KC, nie mamy o czym rozmawiać i wszyscy pójdziemy na wewnętrzną czy zewnętrzną emigrację; jeżeli natomiast wygra wariant Jaruzelskiego, a więc liberalniejszy, zostaniemy zachowani, moralnie zmuszeni do pracy. I ten drugi wariant — powiedział Hübner — jest dla nas znacznie gorszy, znacznie niebezpieczniejszy, choć obiektywnie lepszy.

[...]

8 II 1982

Przede wszystkim nie chce mi się pisać o tym wszystkim. Będąc w Jaworzu spisywałem sobie na gorąco wrażenia, które teraz odczytuję bez zaciekawienia. Nic takiego strasznego w tym nie

widzę, nic godnego uwagi. Co jest naprawdę ciekawe, to przyszłość. Bo nawet wydarzenia, które prowadziły do owego puczu wojskowego 13 grudnia... Owszem, ciekawe było chyba to, co się działo w aparacie władzy, i nadal jest to ciekawe. Tylko to. Dzieje “Solidarności" niezbyt mnie pociągają. Jak to było?

[...]

13 II 1982

Minął drugi miesiąc od ogłoszenia stanu wojennego. W Gdyni skazano jakąś kobietę na 10 lat więzienia za organizowanie

strajku w stoczni, a jej towarzysza na 9 lat[1]. Wczoraj w TV nadano reportaż z procesu człowieka oskarżonego o szpiegostwo na rzecz USA[2] — prokurator wojskowy zażądał kary śmierci. Wczoraj i przedwczoraj MO urządziła ostentacyjny przejazd opancerzonych wozów i najróżniejszych bud głównymi ulicami miasta.

Jednocześnie wszystkie procedury związane z weryfikacją ideologiczną obróciły się w groteskę — przynajmniej w tych środowiskach, które znam.

Oczywiście wszelka kanalia ma teraz szansę mścić się; tam, gdzie do zemsty dochodzi, podłość nie ma granic, jak np. w “Gromadzie-Rolniku Polskim", gdzie redaktor naczelny rozlicza się ze swymi wrogami[1]. Nie ma tego, jak dotychczas, na uniwersytetach i w kulturze. Nie ma ani masowych zwolnień pracowników naukowych, ani masowych relegacji studentów. Nie ma też zwolnień z wydawnictw, z pism literackich, z zespołów filmowych, z teatrów. Dlaczego? Za wcześnie na to pytanie odpowiadać, bo wszystko jeszcze przed nami.

14 II 1982

[...]

Kwestia pokory: zająć się tematami, które ze mną nie mają nic wspólnego. Myśleć — nie opowiadać. A jeżeli opowiadać, to dla lepszego myślenia, nie dla zadowolenia próżności i dopełnienia sobie życiorysu fikcją.

Czytanie Mlynarza: *Mróz od Wschodu*[2]. Dokładna analiza. Umiejętność połączenia refleksji politycznej, ideologicznej z osobistą; obiektywizm, a jednocześnie wartość świadectwa.

Brak takiej książki u nas. Mógł ją był napisać Władysław Bieńkowski — jedyny! Poza nim już tylko zawodowi intelektualiści, którzy nie potrafią utożsamić się z aparatem rządzącym i przemawiać z takim poczuciem odpowiedzialności za kraj, jak to robi Mlynarz.

[...]

Warszawa, 21 II 1982

Męka: co z tym wszystkim zrobić?

Sytuacja coraz gorsza. Operacja “Spokój", czyli gigantyczna, ogólnopolska

obława, w trakcie której zatrzymano 145 tysięcy ludzi. Tajemniczy zamach na milicjanta w Warszawie[1]. Wkrótce plenum KC, pierwsze i “wojenne", a potem sejm[2]. Wszystko wskazuje na to, że Jaruzelski ze swoją ideą terroru w rękawiczkach traci grunt pod nogami, a przewagę zyskują najczarniejsze elementy partyjne i bezpieczniackie. Ludzie siedzą nadal. Wypuszczono tylko Kuczyńskiego, na czyjąś potężną interwencję, natomiast Bogusławskiego, Kurowskiego zawrócono, gdy odmówili

podpisania deklaracji[3]. Co zrobić? A tymczasem tam, w Krakowie, wszyscy udają, że nic się nie stało. Idzie sobie krok za krokiem “normalizacja" w czeskim sposobie, a nawet jeszcze przemyślniejsza, bo ze staraniem o to, aby nie stwarzać męczenników. Nikogo więc jeszcze nie wyrzucono na bruk. Dziennikarze zwalniani z pracy nie otrzymują wymówień, lecz pozostają do dyspozycji RSW “Prasa", która zobowiązuje się znaleźć im zastępczą pracę. Nie wiem, jak to wygląda w zakładach przemysłowych, ale też, jak dotychczas, nie słyszałem o masowych zwolnieniach.

Niemniej około 4000 ludzi jest internowanych, około 2000 uwięzionych. Pewnie, że to niewiele jak na pacyfikację zrewoltowanego kraju. Ale dość, aby zachwiać równowagą psychiczną.

Od dwóch dni nie mogę znaleźć właściwego słowa na określenie stanu psychicznego, w którym znalazło się teraz społeczeństwo polskie. To nie jest przerażenie ani gniew, ani rozpacz, ani przygnębienie nawet. Ale też nic pozytywnego [...]

Czekamy na gorsze.

22 II 1982

Do prezydenta Gajewicza: Panie Prezydencie, proszę uprzejmie o zwolnienie mnie z powierzonej mi w październiku ub. roku funkcji dyrektora i kierownika artystycznego Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.

[...]

W pociągu, 26 II 1982

Złożyłem zatem rezygnację umotywowaną czysto politycznie. Oświadczyłem, że z powodów moralnych nie mogę kierować instytucją państwową wtedy, gdy

— i tu wyliczyłem nieprawości stanu wojennego. Rzecz w tym, że niektóre z tych nieprawości mogą być rychło usunięte. Może być przywrócony do życia ZLP, bo była taka zapowiedź; może być przywrócona “Twórczość", bo i to zapowiedziano. Mogą też puścić trochę ludzi, zgodnie z tym, co Jaruzelski powiedział na wczorajszym plenum. [...]

Złapałem się na tym, że zaczynam interpretować rzeczywistość tak, aby zgodna była z faktem zajmowania przeze mnie stanowiska. A więc — że nie jest tak źle, inni też przyzwoici

ludzie, też stanowiska zajmują! Np. Dejmek... Oczywiście, i on musiał się zgodzić na to, aby w jego teatrze odbył się koncert ku czci Armii Radzieckiej[1]. Gdyby mnie kazano, też musiałbym się zgodzić, bo budynek nie jest moją własnością, lecz miasta. A jednak...

[...]

Warszawa, 27 II 1982

Kazia zgodnie z moją sugestią rozpowiedziała o mojej decyzji i wielu osobom pokazała kopię mojego pisma, które podobno już krąży w odpisach. Stawia to w

tym trudniejszej sytuacji władze miasta, a dla mnie staje się trochę niebezpieczne. Reakcje są na ogół pozytywne. Kazia twierdzi, że ludzie jakby na to czekali.

[...]

28 II 1982

Temat: Mimowolne zło. Kłamstwo mimowolne pochodzi stąd, że czysta prawda jest nieosiągalna. Mimowolne zafałszowanie intencji pochodzi stąd, że niepodobna osiągnąć ich jednoznaczności, czyli oddzielić męstwa od pychy, dobroci świadczonej od chęci popisu,

cnoty od wygody.

Mężczyzna, który porzuca kochankę i wraca na “łono rodziny", musi odczuwać to, co ja teraz; jest to może moralne i wszyscy mu przyklaskują, a jednocześnie jest to wygodne, obrzydliwe i też przynosi krzywdę.

W pociągu, 1 III 1982

Dziś mi Jurek [Lisowski] oznajmił, że dyrekcja Wydawnictwa domaga się usunięcia mnie z redakcji “Twórczości". Reakcje na moją dymisję są bardzo rozmaite. Najbardziej miarodajny jest dla mnie Jędrek, który powiedział, że wprawdzie można mi zarzucić pośpiech, brak poczucia odpowiedzialności za teatr, ale on odczuł ulgę i łatwiej mu odpowiadać na pytania o mnie, żem złożył rezygnację, niż że pracuję w teatrze nadal. W ZLP reakcja żadna. Natomiast był Wiktor Woroszylski zwolniony z Jaworza na 5 dni, list mój przeczytał i wiadomość o nim zawiezie internowanym.

Kraków, 16 III 1982

Trzy miesiące stanu wojennego, który łagodnieje w

zewnętrznych przejawach, utrwalając zarazem niektóre swoje cechy, obyczaje i instytucje jako trwałe elementy systemu politycznego. Najważniejszą jego instytucją są obozy internowanych. Ich stan jest płynny; jednych się zwalnia, innych zamyka. Powstała hierarchia: są lepsze i gorsze, przeniesienie do lepszego jest już sukcesem i aktem łaski. Powstało środowisko społeczne związane z obozami, zdeterminowane przez obozy, uzależnione od obozów. Są to rodziny internowanych, przyjaciele i współpracownicy, a następnie ci, którzy działają na rzecz uwolnienia internowanych lub ulżenia ich losowi. Stanowią już świat wyłączony, który łatwo może obserwować policja, łatwo może nim manipulować i do niego przenikać. To środowisko jest przekaźnikiem wieści o zaostrzeniu lub złagodzeniu kurateli, o intencjach władz; poprzez to środowisko WRON sprawuje władzę “psychologicznie". [...] Innym osiągnięciem stanu wojennego jest redukcja całego życia społecznego do zera. Skoro można było w ciągu jednej nocy zlikwidować

wszystko, to znaczy związki, stowarzyszenia, pisma, zamknąć kina, teatry, uniwersytety, szkoły; skoro ta przemoc jest nadal w mocy, to wszystko, co dziś istnieje — stowarzyszenia, szkoły — jest niepewne, zależne wyłącznie od dobrej woli władz. A więc całym życiem społecznym rządzi dziś zasada łaski i represji.

[...]

Kraków, 21 III 1982

Rozmowa z Danutą Michałowską — ona również z pewnym zażenowaniem mówiła o kolportażu mojego listu, a także o rzekomej uchwale ZG ZASP-u, że w tej sytuacji po mnie nikt nie powinien tego teatru objąć. Kto to wymyślił? Nowak również mi wspominał o takich głosach, co gorsza pijanych, które odzywały się w zalkoholizowanym na powrót Spatifie.

Argument: w tej sytuacji muszę swobodnie dysponować nazwiskiem bez obawy narażania teatru, którym kieruję. Sytuacja będzie stwarzać po temu liczne okazje. Np. sprawa rozwiązanego wczoraj Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i powołanie zupełnie bezprawnie

stowarzyszenia nowego[1]. Nasze środowisko powinno już przeciw temu protestować. [...]

W Krakowie, 8 IV 1982, Wielki Piątek

Burzliwa pogoda. Porywisty, zimny wiatr, zadymki. Trudna jazda. Po raz pierwszy samochodem od grudnia. W Krakowie przeraźliwe poczucie obcości, nieprzystosowania, ruiny, zepsucia. Pijackie bandy na pustych ulicach, w pięknym, ostrym świetle zachodu. Gromada pijanych głuchoniemych. Wiadomości z teatru: średnia

premiera, zimne przyjęcie, w teatrze wyczekiwanie i niepokój. Nic mnie to już nie obchodzi. Nawet mnie nie złości. Kręcenie się w kółko. Pracować. Tylko pracować.

[...]

21 IV 1982

Mętny artykuł "Żołnierza Wolności" z atakiem na PPN[2]. Cytowany ja, Kisiel, Szczypior, Janek Szczepański i Lipski. Liczne na ten temat spekulacje, a mianowicie, że jest to atak bądź na Kiszczaka, który kombinował z JJS i uwolnił Szczypiora (oraz

mnie), bądź na Kubiaka czy Rakowskiego, którzy zamierzają odwiesić ZLP, bądź na samego Jaruzelskiego i jego nową linię porozumienia z narodem i otwarcia na Zachód.

Warszawa, 22 V 1982

Skoro do świadomości najmłodszego pokolenia doszło, że żyje w Sowietach, co ma robić intelektualista PRL, którego cała filozofia życiowa polegała na utrzymywaniu tutaj fikcji niezależności, odrębności. Co ma robić dyrektor teatru, dyrektor wydawnictwa, profesor literatury,

pisarz, co ma odpowiedzieć młodzieży, która mu powiada, że wszystko to, co robił dotychczas, było kamuflażem niepowstrzymanej, pełzającej sowietyzacji. Rozsypał się w gruzy cały gmach PRL-owskiej kultury...

Ach, rozpieprzyć to wszystko!

23 V 1982

Warto resztę życia, jaka mi została, poświęcić na rozwalanie sowieckiego panowania w Polsce. Mogę to zrobić słowem, tylko słowem, i może tylko po to został mi dany jego dar. Sowiety to

nasza historyczna postać diabła. Walczyć z diabłem i tylko o tym myśleć, jak mu dołożyć.

[...]

Boże Ciało, 10 VI 1982

Zobaczyć tę krew rozlaną: na ziemi, na bruku, na ścianie więzienia. Przymierze krwi: miłość, która nie ma tutaj żadnej ceny, żadnej wartości wymiennej, skoro utożsamia się z życiem i wymienia za życie. Bo krew to jest esencja życia — ciało to jego forma. Oddać ciało i krew to znaczy oddać życie w jego optymalnej pełni. Zjeść ciało i

krew, to posiąść w całej pełni tego, który się dał. Pojąć optyczną pełnię tego aktu i zarazem zobaczyć to ciało zbite i zabite, i tę krew rozbryzganą tak lepką i gorącą, jak krew każdego zbitego i zabitego człowieka. [...]

Kto uwierzył naprawdę w to, że Bóg raz wszedł w dzieje człowieka, czyż Go nie wypatruje — tak jak pierwsi chrześcijanie — wkraczającego w nieznane?

[...]

Warszawa, 21 VI 1982

Kończy się epoka. Co się mianowicie “kończy"? Jaka to

epoka? Jakie są symptomy końca? Co jeszcze może stać się przed końcem? Co ma być potem? Co mamy do przekazania następcom?

[...]

7 VII 1982

A jednak szatan!

Jeżeli pomyślę świat bez szatana, odbiorę złu postać, a walce z nim dynamikę. Szatan jest równie realny jak Bóg; działa tak samo na swoją rzecz, chce mojej zguby, chce i dlatego osiąga swoje cele, gdy tylko ja nie dość mocno chcę dobra i zbawienia. I jeżeli np. stronię od pracy, jeżeli trawię

godziny na niczym, to nie dlatego, że nie mogę, bo mogę, nie dlatego nawet, że nie chcę, bo chcę, i nie dlatego, że wieje wiatr niedobry, albo nie odpowiada mi temperatura czy ciśnienie powietrza, ale dlatego, że on, szatan, mocniej chce, abym nie pracował, niż ja chcę pracować.

Kim jest diabeł?

Jest działaniem na rzecz zła, wykorzystującym każdą chwilę słabości człowieka i umiejącym przeciw niemu obrócić wszystko, co Bóg stworzył i dał człowiekowi. Jest mistrzem przechwytywania i

korumpowania. Jest czystą postacią zła, jak Bóg jest czystą postacią dobra; czystą postacią kłamstwa, jak Bóg czystą postacią prawdy. Jest wartością najniższą, jak Bóg jest wartością najwyższą. Jest substancją zła — substancją nieobecności Boga.

Zresztą czuję go przy sobie, gdy pogrążam się w bezczynności i bezmyślności.

Dopiero z wiary w diabła wiara w Boga uzyskuje właściwy wymiar i walka o zbawienie właściwą dynamikę.

[...]

Warszawa, 17 VII 1982

Mój dzienniczek przypomina mi listy pewnej mojej znajomej histeryczki, która mieszka stale w Ameryce, z dala od rodziny. Pisze listy tylko wtedy, gdy traci równowagę psychiczną i ochotę do życia. Zdarza jej się to nie częściej niż raz na kwartał. W takich to odstępach nasza rodzina otrzymuje od niej wyznania przepełnione smutkiem i rozpaczą. Stąd przekonanie, że ona tam jest nieszczęśliwa. Stale nieszczęśliwa. Tymczasem jej, po napisaniu listu, przechodzi rozpaczliwy nastrój; zabiera się ostro do swojego życia,

o którego zwyczajnych głupstwach i przyjemnościach nikomu nie donosi, bo i po co. Dopiero gdy ją ból istnienia znów przyciśnie, zawiadamia o tym rodzinę i znajomych, wzbudzając znów — z dwutygodniowym opóźnieniem spowodowanym przez pocztę — jotę współczucia dla siebie właśnie wtedy, gdy sama w złotym humorze zajada swój ulubiony koktajl z krewetek.

Tak jest z moim dziennikiem, który spisuję tylko wtedy, gdy już nie wiem, co zrobić ze sobą, i gdy muszę komuś zwierzyć, że nie wiem, jak dalej żyć i po co. Bo

gdy wiem lub żyję, nie zastanawiając się nad tym, nikomu o tym nie melduję. Tak też jest może z całą literaturą. Ludzkość nikomu nie opowiada o tym, jak żyje, tylko o tym, jak ochota do życia w niej maleje, o tym, jak przenośnie lub dosłownie umiera.

Jest w tym pewnie jakiś głębszy sens. Otóż żyjąc jesteśmy zgodni z rytmem natury; umierając my wiemy o tym, że umieramy, i tylko my w całym świecie uważamy, że nam się to nie należy. Bo odczuwamy, rozumiemy i liczymy czas w długościach przekraczających

własny cykl życia. Żyjąc wiemy, że przed nami żyli inni — umierając wiemy, że inni będą żyć po nas. Tę zdolność pojmowania cudzego czasu i zdolność przyswajania go sobie, tę zdolność rozszerzania swego własnego cyklu o cykl innych ludzi, o cykl wszystkich ludzi, o cykl całej ludzkości, zwiemy zmysłem historycznym. Prowadzi on nas daleko: do pytania o granice czasu i do pytania o to, co jest poza jego granicami.

Słowem, cała ciekawość metafizyczna człowieka pochodzi z myśli o śmierci, cała metafizyka

jest wzniesiona na śmierci, cały człowiek jest w poznaniu śmierci.

I myślenie człowieka o sobie samym odradza się, odnawia, bogaci w nowej myśli o śmierci. Chrześcijaństwo zdobyło świat nie nową teologią ani nową etyką, lecz nowym sposobem myślenia i przeżywania śmierci. Było kultem zmarłych skoncentrowanym wokół wiary w zmartwychwstanie. Teologia była znana; znana była też etyka. Nowa była wiara w zmartwychwstanie każdego człowieka z duszą i ciałem, oparta na wierze w dokonane i zaświadczone zmartwychwstanie

jednego człowieka: Jezusa Chrystusa.

[...]

Warszawa, 2 VIII 1982

Głos Bujaka na cmentarzu wojskowym w czasie uroczystości rocznicowej[1]. Brawo! Bujak staje się legendarnym bohaterem. Jego wykrycie i aresztowanie mogłoby wywołać bardzo poważne rozruchy. Władze pewnie chcą go pochwycić, aby dowieść swej przewagi, ale z drugiej strony muszą się tego bardzo obawiać. Dla społeczeństwa jest to oczywiście źródło pociechy i satysfakcji, jak wiadomości dochodzące z różnych stron kraju w jesieni 1939 roku, że "podobno nasi biją się jeszcze", albo podobne wiadomości w latach 1945–1947 o błąkających się tu i ówdzie oddziałach. Zawsze jakiś Zaliwski, jakiś Hubal albo jakiś Ogień stają się depozytariuszami honoru narodowego.

[...]

3 VIII 1982

Demokracja będzie w przyszłości modelem powszechnie obowiązującym. Już dziś widać, że z Europy ulatniają się wszelkie

skrajne pomysły państwa — maszyny napędzanej narodowym czy klasowym fanatyzmem. Nie przypuszczam, aby na całej przestrzeni od Gibraltaru po Ural można było wymyślić coś nowego. ZSRR jest anachronizmem, który prędzej czy później ulegnie tej samej erozji co Rzesza Niemiecka i — ufajmy — bez klęsk wojennych przekształci się w mniej lub bardziej luźny alians państw, ugrupowanych wedle gospodarczych pokrewieństw i potrzeb. “Demokracja" będzie tam również, jak wszystko w Europie, ideą regulacyjną.

O politycznym obliczu Polski będą decydować: drobni posiadacze ziemi, którzy w obronie cen za swe płody będą grupować się w stowarzyszenia producentów i hodowców; menedżerowie wielkiego przemysłu, powiązani z korporacjami na szczeblu wspólnoty i na szczeblu kontynentalnym; ruchliwa siła robocza (robotnicy i inteligencja techniczna) zależna od ruchu cen, płac, a więc zorganizowana w związki zawodowe; drobni posiadacze przedsiębiorstw,

mieszkań, usług, rzemiosła, handlu. Większość tego biznesu będzie zorganizowana również w wielkie spółki czy spółdzielnie, również międzynarodowe. Będzie też sporo własności indywidualnej, zwłaszcza w obrębie starych miast, które odrodzić się mogą tylko dzięki kapitałowi prywatnemu.

Te grupy społeczne będą zainteresowane 1) ustrojem parlamentarnym, bo tylko w jego ramach będą mogły wyrazić swe żądania i uzgodnić swe interesy; 2) w regionalnej organizacji kraju, która stanowić będzie antidotum na wielkoprzemysłową tendencję do operowania wielką liczbą i wielkim terytorium. Mikroskali prywatnej powinna odpowiadać mikroskala administracyjna.

Znikną natomiast — jako siły decydujące o kształcie politycznym kraju, dwie grupy zainteresowane dotąd rozwojem ideologicznym: zawodowi politycy (aparat) i intelektualiści.

Kiedy to się stanie? Wtedy, kiedy znajdą się w ZSRR i do głosu dojdą ludzie, którzy zrozumieją, że skończył się nie tylko wiek XVIII, wiek państwa-maszyny, nie tylko wiek XIX —

wiek państwa-narodu, lecz także wiek XX — wiek państwa-przedsiębiorstwa. Zaczął się wiek XXI, który będzie wielkim demontażem państwowej i politycznej organizacji ludzkości, a przejściem do organizacji gospodarczej. Będzie to wiek przedsiębiorstwa-państwa, wiek, w którym ważniejsza będzie rywalizacja firmy Audi z firmą Citröen o cenę i technologię niż Niemiec z Francją o Ren; ważniejsza walka Nadreńskiej Wspólnoty Węgla i Stali z Bałtyckim Związkiem Węgla i Pszenicy, niż zmaganie "zachodnich" i "wschodnich" koalicji dyrygowanych przez supermocarstwa.

Dlatego my, Polacy, razem ze wszystkimi mieszkańcami tej w przyszłości szczęśliwej europejskiej ziemi powinniśmy sobie już dzisiaj wybić z głowy następujące rzeczy;

l) państwo-naród jako model suwerenności; był to anachronizm już w roku 1919 — idea spóźniona o 150 lat, które nam wyrwały z historii rozbiory;

2) demokrację ideologiczną. Nie będzie państwa Bożego. Nie było i nie będzie państwa

powstałego z idei. Nic tu nie ma do zreformowania. Jest to do wyrzucenia jako resztka po starym europejskim imperializmie.

[...]

Warszawa, 7 VIII 1982

Czytanie historii pociesza, wyprowadza z fatalistycznego przeświadczenia, że kiedy się coś zacznie źle dziać, już się nigdy źle dziać nie przestanie, i że wszystko idzie ku zepsuciu i zagładzie. W historii widać, że wszystko się odnawia, naprawia, prostuje. Historia jest nauką nadziei. Ale

także pokory, uczy mianowicie, że nasze sprawy nie są tak ważne, wielkie i dramatyczne, jak nam się wydaje.

[...]

Wszystko to nie do zniesienia, nie do zniesienia. Wszyscy w fałszywych rolach: Kościół jako opiekun związków zawodowych, związki zawodowe jako reprezentant narodu, wojsko w roli administracji, partia jako przybudówka policji politycznej. Tylko ZOMO robi to, do czego je powołano: bije i polewa wodą.

8 VIII 1982

Z tej całej męki wyłonił się temat taki: trudność myślenia politycznego w Polsce polega m.in. na tym, że w dążeniach Polaków doszło do spiętrzenia motywów — wszystkie postulaty wolnościowe, jakie są dziś w świadomości, zaktualizowały się w Polsce, nawet takie, które wykluczają się nawzajem.

Ale trzeba to wszystko razem rozplątać.

Warszawa, 9 VIII 1982

Bardzo gorąco. Chyba trzy tygodnie bez kropli deszczu. Kazia w Krakowie... Rozmowy

niekontrolowane[1]. Z internowanych siedzą jeszcze Wiktor Woroszylski, Andrzej Drawicz i Jacek Berezin. Nie licząc oczywiście Komisji Krajowej, ekspertów, aktywu “Solidarności", KPN etc. Ponad 2000 skazanych w procesach. Wiadomość o ciężkim pobiciu więźniów w Gdańsku. Nadal brak wszelkich perspektyw na to, co ogół nazywa “umową" czy “ugodą" społeczną, a co w rzeczywistości jest nadzieją na zmianę ustroju. Gdyby nagle władze ogłosiły amnestię, złagodzenie przepisów

paszportowych, popuściły cenzurę, przywróciły kluby i stowarzyszenia, zdecentralizowały gospodarkę, skróciły służbę wojskową, nikt nie dopominałby się o “ugodę".

Władze mają tylko jedno wyjście: oktrojowane reformy[2].

11 VIII 1982

Pisanie, wszelkie pisanie, staje się dla mnie zadaniem wręcz niemożliwym. [...]

Jest to chyba utrata wiary w instytucję literatury. W to, że literatura może coś dobrego zrobić. Coś ważnego. W to, że ma

jakiekolwiek znaczenie. A więc utrata wiary w czytelnika. [...]

Nie ja jeden skarżę się na to, że “nic nie można wymyślić". Że cokolwiek się napisze czy powie, to wydaje się głupie i niewczesne. Może poza kazaniami.

Więc dlatego kazań słuchamy chętnie, a literatury — żadnej — nie słuchamy i nie czytamy? Może dlatego, że kazania odnoszą się do generaliów, a literatura, zwłaszcza polityczna, do konkretów. A te konkrety są bardzo mętne. Każdy aforyzm ogólny np. o nadziei albo o zwycięstwie dobra nad złem, budzi szczere wzruszenie. W

Jaworzu np. przeżyłem chwilę prawdziwego wzruszenia nad psalmami, bo była w nich mowa o opiece Pana nad ludem dobrym i o tym, że prześladowca ludu poniesie klęskę. Ale jak mi kto powie, że tym prześladowcą jest Jaruzel lub Rakowski i że mu Wałęsa dołoży, budzi we mnie tylko litość i trwogę. Podobnie zresztą litość budzą wszelkie plany porozumienia narodowego. Wszystkie wydają się palcem na wodzie pisane.

Dlaczego? Zdaje się dlatego, że skala wydarzeń jest inna. Że większe rzeczy są w grze.

Jakie? Cała Europa pojałtańska.

17 VIII 1982

"W drodze" zamówiła(o) artykuł o O. Kolbe, który ma być teraz kanonizowany[1].

Dlaczego się zgodziłem? Z poczucia winy: bom im nie zrobił innych rzeczy, poza tym z ciekawości, co zrobię z tym niemożliwym tematem.

Temat jest niemożliwy z kilku powodów. O samym zdarzeniu, które stało się powodem wyniesienia O. Kolbe na ołtarze niewiele można powiedzieć,

ponieważ brak wiarygodnych świadków. Ci, którzy świadczą, są nie bardzo wiarygodni, zwłaszcza świadek główny, jakim jest sam Gajowniczek.

Jacyż tu mogą być świadkowie? Najwiarygodniejszy byłby sam Fritzsch — czy jak on tam się nazywał — ale nie wiem, co się z nim stało. Inni słyszeli piąte przez dziesiąte. W to, żeby cały obóz — jak pisze Jan Józef Szczepański[1] — wiedział o czynie O. Kolbe, żeby cały obóz uczestniczył w śmierci, w konaniu O. Kolbe i towarzyszy, też nie wierzę. Jedno jest pewne:

Gajowniczek, który został wybrany na śmierć, żyje, a O. Kolbe, który wybrany nie został, nie żyje. I pewne jest, że skonał w mękach głodu i pragnienia, bo taka była śmierć więźnia. Reszta jest tajemnicą O. Kolbe. Tę tajemnicę czcimy, nie fakty, które zawsze są zawodne.

Ten temat jest niemożliwy także ze względu na postać O. Kolbe, który, zanim stał się męczennikiem, był chyba najbardziej antypatycznym typem duchownego katolickiego, jakiego sobie można wyobrazić w latach międzywojennych.

Inaczej mówiąc, jest to osoba, z którą ze wszystkich powodów najtrudniej się utożsamić. Jest obcy i z powodu swojej umysłowości, i z powodu swego nadludzkiego męstwa.

Ale z którym świętym można się utożsamić? Czyż każdy nie denerwuje nas w jakiś sposób? Komuż z nas podobał się św. Stanisław Kostka? Albo św. Franciszek z Asyżu? Któryż z nich był “sympatyczny" jak bohater powieści czy filmu, jak ideał z narodowego czy uniwersalnego panteonu? Przeciwnie, święci pańscy zdają się po to zjawiać,

aby denerwować współczesnych jakąś nieludzką wiarą.

Ale jednocześnie każdy wciela pewien historyczny typ świętości. O. Kolbe przypomina mi wielu duchownych kościoła międzywojennego, który wziął wiele cech potrydenckiego, porewolucyjnego i ponapoleońskiego tryumfalizmu, a jednocześnie zarażony był duchem totalizmu i zaniepokojony szybkością postępu.

Ale jest w nim jednocześnie coś tak znajomego... Czyż nie taki był ks. Litwin? I większość naszych przedwojennych

katechetów? Ale przecież wszyscy się sprawdzili!

I to samo z O. Kolbe: należy on do tej dziwacznej i nie bardzo chyba mądrej epoki, jaką było dwudziestolecie — epoka krzyżowania się najróżniejszych utopijnych pomysłów, które się wywodziły z XIX wieku, z jego “ideologii". O. Kolbe był jednym z wielu utopistów tego czasu. Ale losy ich były rozmaite: jedni oddali się na służbę ideologicznych imperiów, a on... On uratował od śmierci jednego idiotę, który nawet nie potrafi porządnie opowiedzieć, co przeżył.

Tym jednym gestem skomentował swoją przedwojenną działalność, przedwojenny, a raczej przedsoborowy kierunek rozwoju Kościoła i całą naszą epokę. Przeprowadził nas w istocie przez próg wieku ideologii w epokę, która — jak się zdaje — jest szukaniem zagubionego gdzieś człowieczeństwa. To on jest ojcem Kościoła otwartego, ojcem Soboru Watykańskiego II i czterech pontyfikatów, które tak bardzo zmieniły związki Kościoła ze światem: Jana XXIII, Pawła VI, Jana Pawła I i Jana Pawła II.

Uratował od śmierci jednego człowieka... Nie było jeszcze takiego świętego. Byli święci, którzy uzdrawiali chorych, wskrzeszali umarłych; byli inni, którzy słynęli ze szczodrobliwości i ofiarności dla biednych. Byli tacy jak św. Franciszek Ksawery, szczycący się setkami tysięcy ochrzczonych pogan. Byli wreszcie męczennicy, którzy znieśli śmierć i wymyślne tortury dla Chrystusa i Ewangelii albo tylko dla zaświadczenia wierności rzymskiemu Kościołowi.

Kościół jest zbudowany na świętych. Rozwija się i odradza w

swoich świętych. Jest Kościołem świętych. To przez nich różni się od reszty świata. Nie swą organizacją, nie hierarchią, nie liturgią, lecz tymi szalonymi cnotami swoich świętych, ludzi, którzy dali się zabić lub wyniszczyć, lub zużyć do cna na świadectwo, że Chrystus jest prawdą.

[...]

20 VIII 1982

Czytanie Micewskiego książki o kardynale Wyszyńskim; książka marna[1], ale cóż za postać. Mąż stanu — dziecko, który wygrał z

bandytami.

[...]

Wilga, 23 VIII 1982

Z pragnienia odnowy przyszedł Jezus Chrystus, aby chrzcić z Ducha św. To po ludzku mówiąc. A mówiąc językiem Ewangelii: tę potrzebę odnowy, oczyszczenia, obmycia w chrzcie dał nam Bóg, abyśmy wyglądali przyjścia Zbawiciela.

Ta potrzeba odkreślenia, odnowy, oczyszczenia, obmycia w wodzie chrztu, zauroczenia pokutą, Eucharystią — jest treścią Kościoła i treścią życia każdego

chrześcijanina z osobna. Ale gdy się straci świadomość sakralnej łączności tego uczucia z oczekiwaniami całego Kościoła, staje się ono zwyczajnym ludzkim bólem. Zmienia się w nostalgię bezpańską, sierocą, w zwyczajny ludzki, a może nie tylko ludzki, lecz właściwy całej egzystencji żywej ból istnienia. Może ten sam ból czytamy w psich oczach.

[...]

Wilga, 28 VIII 1982

Dzisiaj dzień św. Augustyna. Chciałbym go mieć za patrona. Od św. Andrzeja, mego Patrona

pierwszego, chciałbym zaczerpnąć męstwo, od św. Augustyna pracowitość myśli, którą posługiwał się tak, jak posługuje się bronią żołnierz pewny swej sprawności, pewny sprawy, której służy, nieskończenie posłuszny rozkazowi i z tych powodów nieustraszony.

Mężny rybak i męczennik oraz mężny pisarz i myśliciel, niechaj mnie razem mają w swej opiece. Amen.

[...]

Wilga, 31 VIII 1982

Około 12-tej. Boję się. Boję

się. Kto kogo prowokuje? Od paru dni rząd zapowiada krwawą łaźnię i z góry zrzuca z siebie odpowiedzialność. Głos “Solidarności" jest ledwo słyszalny, bo “akcja ulotkowa" w ogóle się nie rozwinęła, radiostacja jest legendą i jako jedyny przekaz pozostają radiostacje zagraniczne, które nie wiadomo, czyją są tubą.

[...]

1 IX 1982

Dwóch zabitych i 1k0081 (lub 12) rannych w Lubinie w woj. legnickim[1]. Tylko tam milicja

użyła broni palnej; albo też było to wojsko. Wszędzie indziej rozruchy były — jak się zdaje — gwałtowne, ale dość ograniczone[1]. Zakłady pracy się nie przyłączyły — poza Gdańskiem, gdzie stoczniowcy szli za bramę przed pomnik i wzięli udział w walkach, i poza Nową Hutą, gdzie spora ilość robotników (PAP podaje 1000, zagranica 5000) wyruszyła do kościoła, a zatrzymana przez ZOMO wdała się w bitwę na kamienie i petardy. W sumie agencje zachodnie oceniają te rozruchy w tej samej skali co majowe.

Wszyscy mają po punkcie. Władza, bo nie było strajku, którego obawiała się najbardziej; “Solidarność", bo dowiodła, że dysponuje sporą siłą czynnego poparcia i panuje nad nastrojami; Kościół, bo sobie przypisać może ograniczenie rozruchów i sam się w nie wdał, jak w maju; USA, bo mają nowy dowód, że warto nadal naciskać na ZSRR; ZSRR, bo ma nowy dowód, że stan wojenny, który mu daje faktyczne zwierzchnictwo nad Polską, trzeba utrzymać.

Tylko “sprawa polska" nie

posunęła się przez to ani o krok naprzód, a “większość milcząca" staje się jeszcze bardziej milcząca. I coraz niechętniej wychodzi z domu.

— — —

Dziś rano umarł Gomułka[2]. Zamiast pisać historię PRL, czy też historię Polski ostatnich lat 50, wystarczy może napisać jego życiorys, opisać jego przemiany: z fanatyka komunizmu ożywionego prawdziwym doznaniem robotniczej i chłopskiej nędzy oraz gniewem na widok polskiej

ślepoty państwowej na Kresach Wschodnich... na funkcjonariusza komunistycznego, którym stał się zapewne w więzieniu, gdzie się z takimi zetknął, a potem w szkole kominternowskiej w Moskwie[3]. I to ten funkcjonariusz wrócił do Polski, aby tu organizować dalej pracę partyjną. Ale dlaczego nie wyjechał do ZSRR w 1941 roku ze Lwowa, tylko pozostał w GG? Dlaczego, jak się zdaje, nie odegrał żadnej roli w czasie okupacji sowieckiej na “Ukrainie Zachodniej"? Czy już Sowietom nie ufał, czy też był przez nich chowany na inną okoliczność?

Raczej to drugie, skoro po zlikwidowaniu Nowotki został sekretarzem generalnym PPR i nie zlikwidowano go ani w czasie okupacji, ani potem, a nawet został na stanowisku szefa utwierdzony przez superagenta Kominternu, jakim był Bierut.

Inna rzecz, że dążył on do jego likwidacji, ale potrzebował na to całej intrygi — z czego wynika, że Stalin Gomułkę jakoś tam chronił.

Gomułka, konspirator, świadom gangsterskich metod w partii, rozbijający planowo jedność narodową państwa podziemnego, oddany całkowicie planowi sowietyzacji Polski, nie zgadza się z Gomułką realizującym po wojnie linię Rządu Jedności Narodowej[1]. Oczywiście, bo była to wtedy linia znów wyznaczona przez Stalina, linia poczdamska, linia porozumienia z zachodnimi aliantami co do “suwerenności Polski", co do udziału Rządu londyńskiego we władzy, co do respektowania własności prywatnej, religii, odrębności kulturalnej, etc. To jasne strony tej fazy polityki sowieckiej w Polsce stworzyły taki obraz Gomułki, który pozwolił partii zwrócić się

do niego o ratowanie partii w obliczu katastrofy ideologicznej spowodowanej walką o sukcesję po Stalinie. Wówczas Gomułka miał szansę z własnej woli odbudować tę samą jedność narodową, której wtedy z sowieckiej woli służył. Wówczas wydawała się Polakom podejrzana, a teraz — po okrucieństwach stalinowskiego terroru — zdawała się wybawieniem. Miał więc szansę stać się prawdziwym przywódcą narodu i partię z narodem raz na zawsze zgodzić.

Z tej szansy nie skorzystał.

Zrobił rzeczy elementarne, te, których potrzebował, aby wygrać wybory: zahamował kolektywizację, uzyskał powrót repatriantów, zwolnił więźniów politycznych, w tym Prymasa Wyszyńskiego, i uzyskał pewne ulgi gospodarcze od ZSRR. Umocniwszy się u władzy, wrócił do zasad politycznych wyuczonych w szkole Kominternu i w komunistycznych jaczejkach[2]: wdał się w zaciętą, nikczemną walkę z Kościołem, zadusił indywidualne rolnictwo, zniszczył rzemiosło, zablokował współpracę gospodarczą z Zachodem, wydał

wojnę inteligencji — przede wszystkim inteligencji partyjnej, jednym słowem, zdradził wszystkich swoich sojuszników z 1956, złamał wszystkie zobowiązania, pozbył się jak niepotrzebnego balastu ufności, jaką go wtedy otaczano: wszystko to w myśl komunistycznej zasady, że jeśli wróg cię chwali, to znaczy, że z twoją ideologią jest źle. Trzynaście lat rządów Gomułki to proces nieustannego ubożenia ludzi, pogrążania kraju w stagnacji, wzrastającej niewiary w przyszłość i niezadowolenia tak powszechnego, iż nie było w Polsce ani jednego człowieka, który by się z reżimem Gomułki utożsamiał. Nawet aparat, któremu jedynie jako tako ufał, miał go dosyć, bo mu się nie dał bogacić. W żadnym człowieku negatywna logika komunizmu nie znalazła tak pełnego wyrazu, jak w tym ograniczonym polskim chłopku, który pojmował dosłownie wszystko, czego go nauczono. Może tę prostotę brano za jego uczciwość.

[...]

3 IX 1982

Wczoraj przesłuchanie w

sprawie Zdzisława [Najdera][1]. Nic poważnego ani nawet trudnego; najgorsze jest wejście do tego gmachu i przebywanie tam. Najgorsza jest świadomość, że taka masa ludzi pracuje przeciw nam, ryje pod nami, wytwarza nicość lub zło.

W nieskończonej perspektywie szerokiego, ciemnego korytarza, oświetlonego trupim światłem jarzeniówek, w tłumie ludzi, o których wiedziałem na pewno, że są źli lub nieszczęśliwi, zobaczyłem nagle dziecko. Przystojny funkcjonariusz prowadził za rękę chłopczyka,

który w ręce niósł właśnie otrzymany deputat: jakieś słodycze w plastikowej torebce.

Za chwilę, po wyjściu na ulicę, zobaczyłem, jak wsiadają do zaparkowanego przed budynkiem samochodu. Ojciec w *blue-jeansach*, synek w *blue-jeansach*, wyglądali na najszczęśliwszych i najlepszych spośród nas.

Idąc potem do domu i jadąc tramwajem, patrzyłem po nas podejrzliwie. Każdy nosił już na sobie skazę, którą tam widziałem na twarzach, skazę nicości, której się oddali.

Tę skazę miałem już sam —

na oczach, na duszy.

[...]

13 X 1982

[...]

Wiara i kultura.

Jak zwykle, kończąc coś — gubię myśl zasadniczą. O co mi chodziło? O to, że wiara jest w istocie wiarą w kulturę, i o to, że kultura właśnie dlatego jest boska, to znaczy cała nasza w tej dziedzinie twórczość i zdolność jest naśladownictwem twórczości i zdolności Boga.

Wiara, jak rozumiem, nie oznacza specyficznego

światopoglądu — nie jest ortodoksją doktrynalną — lecz postawą ufną wobec przekazu przeszłości i przyrzeczeń na przyszłość. Jest więc rdzeniem kultury. Jest jej przyczyną sprawczą i zarazem jej spoiwem, bo ufając przekazowi przeszłości, ufam właśnie kulturze.

[...]

Wilga, 23 X 1982

Znów pogodne, ciepłe dni. Woroszylski i Drawicz zostali zwolnieni, rzekomo na prośbę nowego ministra kultury i sztuki — Żygulskiego, który o swej

interwencji w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zakomunikował narodowi przez telewizję. I minister spraw wewnętrznych przychylił się do jego prośby... Są też inne oznaki “otwarcia". W “Życiu Warszawy" był artykuł o trudnościach, na jakie natrafia tworzenie nowych związków zawodowych[1] (w Nowej Hucie zapisało się do nich 12 osób), i że nie należy się tym przechwalać, bo wywołuje to tylko złość w ludziach. Pogrzeb młodego robotnika zabitego w Nowej Hucie przez cywilnego funkcjonariusza MO (podczas demonstracji po rozwiązaniu “Solidarności")[1] odbył się spokojnie, a prasa i TV zamieściły nawet fotografie. W “Polityce" jest podobno artykuł Passenta oskarżający Urbana o rozbicie środowiska dziennikarskiego i rozwiązanie SDP[2]. Co do mnie, otrzymałem czuły telegram od Renaty Zdanowskiej, zawiadamiający mnie o rozmowie, jaką dyrektor Wydawnictwa ma odbyć w poniedziałek w mojej sprawie.

A jednocześnie mnożą się dziwne ekscesy skierowane

przeciwko ambasadom obcym — głównie amerykańskiej i francuskiej — oblewanie samochodów i fasad budynków żółtą farbą, malowanie swastyk. Są dowody, że robią to bojówkarze partyjni. W prasie radzieckiej niezwykle agresywny artykuł przeciwko Kościołowi i inteligencji... Może to być ostrzał propagandowy — rodzaj ognia zaporowego, który ma ułatwić Jaruzelskiemu zadanie: jeśli w tym momencie wystąpi z jakimś otwarciem wobec Kościoła, inteligencji i Zachodu, może wydać się bardziej wiarygodny, że

niby postępuje w niezgodzie z Moskwą i wbrew jakimś ciemnym siłom, próbującym siać zamęt. Wisi też w powietrzu rozprawa z Bezpieczeństwem i temu może służyć ów artykuł Wojciecha Markiewicza o zabójstwach w Lubiniu, o którym nagle zrobiło się głośno w kraju i na świecie, a także to bezsensowne zabójstwo w Nowej Hucie. Są to zwyczajnie już łajdackie sposoby zyskiwania kredytu społecznego. Wciąż ten sam repertuar i ta sama zasada piętrowych prowokacji.

[...]

Śmierć i życie pozagrobowe:

nasza postawa wobec śmierci nie jest taka, jak była, i niezależnie od stopnia naszej wiary pragniemy śmierci bezbolesnej, czyli nagłej; modlitwa o zachowanie od śmierci nagłej jest dziś prawie niezrozumiała. A to oznacza nie tylko zmieniony stosunek do bólu i zwiększoną “higienę" śmierci, lecz także — lecz przede wszystkim — zmieniony stosunek do wieczności. Jeśli bowiem nie chcemy już oczyszczenia przed śmiercią i przez śmierć bolesną i przytomną, to znaczy, że już nie chcemy i nie spodziewamy się niczego potem, to czego dotyczy nasza wiara?

Otóż chcemy i spodziewamy się “sensu". Nie tak chodzi nam o to, aby sobie pofruwać i posłuchać anielskiej muzyki, jak o to, aby się to wszystko, cośmy tu przeżyli, przecierpieli i czegośmy się tu nauczyli, nie okazało się epizodem bez znaczenia w dziejach świata. Ale jeśli tak myślimy, to nie mamy już wiary, lecz ideologię i nie jesteśmy chrześcijanami, lecz idealistycznymi poganami. Bo cała tajemnica chrześcijaństwa i jego nowość polega właśnie na odkryciu etycznej natury Kosmosu i na zmartwychwstaniu w duszy i

w ciele, czyli zbawieniu i życiu wiecznym w nienaruszonym wymiarze osobowym.

28 X 1982

Myśl o Objawieniu.

Co daje Objawienie człowiekowi, który w nie nie wierzy? Drażniącą świadomość czegoś, co nie istnieje, więc nie ma sensu, ale zarazem czegoś, co gdyby było prawdą, zmieniłoby sens wszystkiego: myślenia i egzystencji. Więc myśliciel nie może tego czegoś ignorować.

29 X 1982

Żyję teraz w przekonaniu, że nic nie mam do powiedzenia i nic do napisania “od siebie".

Co się tak bardzo zmieniło w moim czy naszym położeniu? Otóż nic, poza tym, że “nikt", tj. instytucje literackie — wydawnictwa, redakcje, wytwórnie, a raczej “zespoły filmowe" — niczego się od nas, pisarzy, nie domagają. O nic nie proszą. Niczego od nas nie oczekują instytucje oficjalne, które raczej boją się mieć z nami do czynienia, wiedząc, że możemy im przynieść tylko kłopot. My zaś niezbyt serio traktujemy te

“instytucje", które proszą nas, abyśmy dla nich pracowali, tzn. redakcje i wydawnictwa nieoficjalne, “podziemne".

Ze strachu? Nie ze strachu. Wiemy po prostu, jak źle te teksty są później przepisywane i odbijane, że wychodzą poprzekręcane i pokaleczone. Że się je potem nosi po mieście pod koszulami i w damskich czapkach nie dla ważności lub piękności słów, jakie zawierają, a które my w pocie czoła wyrabiamy, ale dla pochwalenia się techniką konspiracyjną. I że to nie nasza odwaga jest w grze, bo wszyscy wiedzą, że nikomu z nas nic za te druki nie będzie, lecz odwaga maszynistek, odbijaczy, składaczy, kolporterów i wreszcie czytelników. Dla jej udowodnienia wystarczy słowo byle jakie. I najczęściej byle jakie słowo przepisuje się, odbija i przenosi: gromkie pokrzykiwania, rejestry okropności, sentymentalne lamenty. Konspiracyjna mentalność jest w pełni rozwoju.

I jest to nieszczęście. Konspiracja to nie tylko życie w ukryciu, lecz także w fikcji; konspirator bądź to przecenia grożące mu niebezpieczeństwo i

ukrywa się, choć go nikt nie szuka, bądź to — zaufawszy systemowi ochrony, własnej przemyślności, i uwierzywszy w konspirację jako w świat lepiej zorganizowany od jawnego, lekceważy przeciwnika, wychodzi mu naprzeciw, judzi go — i wpada. Tak było z Frasyniukiem we Wrocławiu[1], który przychodził na jawne zebrania do fabryki po to, by po rozpoznaniu go i wzruszającym powitaniu znikać. Pokazywał się też podobno na ulicy, w tramwajach. Pewnie, że to piękne i bardzo dla ludzi krzepiące, ale rezultat jest taki, że

po jego aresztowaniu miasto jest prawdziwie pogrążone w żałobie, że...

Zresztą, mylę się: przypadek Frasyniuka jest trochę inny. On się jak gdyby zdecydował na spełnienie ofiary. Żył dla innych, przyjął na siebie rolę pocieszyciela, rozumiał, że rola jego polega właśnie na tym, aby pozwolić się widzieć, aby mówić, aby dowodzić innym, że nie ma się czego bać. Aby manifestować wobec nich swoje zaufanie do nich: jestem wśród was i wierzę, że mnie nie wydacie. A ta żałoba po nim jest na pewno wartościowa

dla miasta, jest jego dobrym wzruszeniem i wezwaniem do wierności. Frasyniuk postępował rzeczywiście jak sługa idei, a nie jak funkcjonariusz organizacji. Toteż, jak mi powiedział ks. Drzewiecki — “stał się domownikiem wszystkich" i wszyscy go opłakują.

Wartość konspiracji sprawdza się w jej bohaterach. Konspiracja utwierdza się wtedy, gdy wynurza się z mroków i daje znać o sobie. Im więcej w tym brawury, tym silniejsze przekonanie o jej sile i tym większa jej siła atrakcyjna. Musi tę siłę atrakcyjną mieć, to znaczy musi rosnąć i przywabiać do siebie. Na ogół dostarczają jej bojowników reżimy, przeciw którym powstaje. “Wilcze bilety" rosyjskich władz szkolnych przyczyniły się do pokrycia całego imperium siecią tajnych organizacji, w których wyrastali przyszli jego grabarze. Niemieckie obławy i branki zapełniły lasy ludźmi, którzy nie mieli nic do stracenia, kryjąc się w podziemiu. Konspiracja lat siedemdziesiątych u nas była fanfaronadą niewielkiej grupki ludzi, których dotknęły represje roku 1968 i którzy wtedy właśnie stracili prawo do nauki i

pracy. Dziś natomiast, gdy każdy, kto ujawnił się jako czynny członek “Solidarności" po 13 grudnia 1981, ryzykuje sąd i wyrok, gdzie masowo zwalniani z pracy po demonstracjach majowych, sierpniowych i innych, mają faktyczny zakaz pracy lub nauki, konspiracja ma warunki rozwoju analogiczne do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku w Rosji. A więc i dalszych wydarzeń można oczekiwać wedle napisanych wówczas scenariuszy.

Zwłaszcza, że reżim nie ma nawet tych atutów w rękach, jakie miała Rosja: nie zapewnia ani dobrobytu warstwie średniej, ani porządku i bezpieczeństwa warstwie posiadającej. Nie daje po prostu nic, bo nic nie ma. Jest bankrutem na skalę, na jaką jeszcze nie był chyba żaden rząd na świecie. Już wstyd nawet wygadywać na niego. I to może jego zawstydzające bankructwo jest przyczyną pustki w nas. Przeciw niemu już nic nie można powiedzieć, za nim — choćby się bardzo chciało — też nic, a zajmować się zupełnie czym innym, gdy ziemia spod nóg się obsuwa...

Wilga, 31 X 1982

Listy z Białołęki Adama Michnika[1] — dzielny, mądry, piękny chłopak. I bardzo utalentowany. [...]

Pewnie, że jest w tej działalności coś z uzurpacji i coś z prowokacji, cała działalność “komandosów" i KOR-u ocierała się o prowokację i była swoistą uzurpacją. Ale taka jest chyba natura działacza. Czy to nazwać uzurpacją czy poczuciem misji, czy wreszcie poczuciem obowiązku — w końcu na jedno wychodzi.

Z tym, że “uzurpacja" odnosi

się do władzy i związanych z nią korzyści, przywilejów, rozkoszy. Działacze tacy jak Adam czy Kuroń nie mogli o tym nawet myśleć i wiedzieli zawsze bardzo dobrze, że prędzej znajdą się na pryczy więziennej niż na fotelu prezydenckim. Co powodowało nimi?

Być autorem zdarzeń... Może to taka sama namiętność, jak być autorem fabuły powieściowej, kompozycji muzycznej albo nawet taka jak być autorem, czyli twórcą, czyli ojcem dziecka. To jest pewnie taka sama namiętność i chyba całą sztukę rozumienia

ludzkich charakterów i motywów trzeba zacząć od wyjaśnienia sobie tej tajemnicy, jaką jest namiętność. [...]

— — —

Nie, ja nie znam namiętności. Jak to jest: czy rodzą się ludzie z natury do niej niezdolni, jak rodzą się pozbawieni słuchu czy gustu, czy też rozwój lub niedorozwój namiętności zależy od wychowania i można je w człowieku zabić, jak zabija się godność albo instynkt wolności.

I czy można, i czy powinno się

je rozwijać w ludziach, w społeczeństwie... Filozofowie i moraliści przestrzegają przed namiętnościami. Ale patrzcie, jak wygląda społeczeństwo, które ich nie odczuwa i nie kultywuje: ma seks, ale nie ma miłości, szuka zbytku powierzchownego, ale nie walczy o majątki, rodzi dzieci, ale je porzuca łatwo, innym oddając na wychowanie, “angażuje się" politycznie, ale na chwilę, wzrusza się przy byle okazji, ale z przedmiotu swego wzruszenia potem szydzi i daje sobą powodować byle komu. [...]

— — —

Nie, ja nie znam namiętności. Ktoś ją we mnie zamordował. Byłem do niej zdolny, skoro miewałem w dzieciństwie manie, wobec których znikał świat. Taką manią był Kościół i pozostał we mnie jedynym wspomnieniem podobnym do wspomnienia namiętności, jedynym testem kwalifikacji uczuciowych. Co się potem stało? Czy uczucia zaznane w dzieciństwie w Kościele i z powodu Kościoła były zbyt silne i gdy same obumarły, nic ich już nie mogło zastąpić?

Jakie to były uczucia? To był najpierw lęk. I to była chęć przezwyciężenia go. Nawet pewien przymus zewnętrzny, aby go przezwyciężyć. Potem radość z powodu przezwyciężenia i tryumfalny związek z dziedziną “zdobytą", opanowaną.

Więc rodzaj namiętności zależał od rodzaju lęku? Od tego lęku, który jest pierwszy, który zostanie przezwyciężony? Czy np. Don Juan jest człowiekiem wyrosłym w lęku przed kobietą i jej posiadaniem? Czy jego tryumfy są ustawicznym tryumfem nad swą słabością? A

czy Adam, który wyrósł w komunistycznym domu, czyli w lęku politycznym, tryumfuje, gdy przezwycięża lęk przed więzieniem, sądem, szpiclem, etc. ... czy bogacz to człowiek, który wyrasta z lęku przed nędzą? Czy lęk jest źródłem wszelkiej namiętności? W takim razie mądrzy filozofowie i moraliści mają rację, bo nie ma ona nic wspólnego z miłością.

Miłość — namiętność. Moralna filozofia mówi, że miłość jest rozumna, a namiętność ślepa. Co do mnie, myślałem zawsze, że miłość to jest coś, co się na sobie wymusza, że stanowi ona rodzaj prawa, że jest właściwie przykra, a owoce przynosi późno lub wcale. Myślałem bowiem, że miłość to jest coś, co człowieka przerasta, że jest wyższym poziomem życia, na który trzeba wstępować z największym wysiłkiem, że jest świętością. I to jest może prawda; w każdym razie jestem o tym przekonany. Ale prawdą jest także to, że rozumiana i tak praktykowana miłość pochłania całego człowieka i zużywa go w wysiłku, którego nikt nie widzi, a już najmniej ten, komu jest poświęcony... podczas gdy

namiętność wyzwala jakąś dziką energię uboczną i nakręca organizmy namiętnych ludzi na szybsze obroty. Padają szybko z wyczerpania, ale co zrobią, to zrobią. Herbert opowiadał mi, że nigdy nie pracował tyle, co wtedy, gdy pił na umór, bo się spieszył ze wszystkim, byle dorwać się swojej butelki. Dzisiaj jest ruiną człowieka i poety, ale co zrobił, to zrobił.

A ja jestem zdrowiutki, ale nic nie zrobiłem, bom się zestarzał na komponowaniu cnót, których nie miałem z przyrodzenia.

[...]

Każde powstanie kończyło się na rozpamiętywaniu błędów. Tak jest także z “Solidarnością". Myślę, że zamiast rachunku błędów lepiej sobie powiedzieć, że jej nie ma i nie będzie, bo te jej resztki, które działają w podziemiu czy na emigracji, i ta jej idea, i ta jej pamięć, która żyje w naszej pamięci, już są czymś śmiesznym.

Nie będzie więc nowej organizacji *quasi*-politycznej, która będzie się wyrzekać swych aspiracji. Następnym razem te aspiracje będą jawne: następna polska wojna wewnętrzna będzie

wojną o władzę. Bezkrwawą czy krwawą. I wybuchnie wtedy dopiero, gdy powstaną po temu warunki. Lub nie wybuchnie, jeśli komuniści sami władzę oddadzą. Czy to jest możliwe? To jest możliwe, ponieważ, jak powiedzieliśmy, ich formy sprawowania władzy, czyli formy PRL — też już nie ma.

To już nie jest ta PRL, którą znamy. Bo istotą tamtej była nadzieja na przemianę. Nadzieja na kolejną odwilż czy odnowę, co wiązano z “koegzystencją", z “odprężeniem", z Helsinkami[1], ze starzeniem się Breżniewa, z

postępem technicznym. Te wszystkie nadzieje wzięły w łeb. Dlaczego? Bo obie strony wyłożyły karty na stół. Bo społeczeństwo okazało, jak ma dość wszystkiego — wszystkiego! Że już nie chce ani zmiany ekipy, ani nowych umywalek w łaźniach, ani zupy regeneracyjnej, ani nowej trasy, ani rogatywki na żołnierskiej głowie. Nic już nie chce. Chce, żeby sobie “komuna" poszła do wszystkich diabłów.

Wilga, 1 XI 1982

[...]

Zadałem sobie dzisiaj pytanie,

cośmy właściwie zyskali po sierpniu — poza 15 miesiącami politycznego karnawału — i ręka mi opadła. Nic! Nic, ponieważ wszystkie zdobycze strajkowe skumulowała “Solidarność". Razem z jej likwidacją nic nie zostało. Nawet Kościół nic nie uzyskał poza mszą w radio.

A jednak w odczuciu społecznym ten okres posierpniowy był zwycięstwem. Widocznie jest to jakieś zwycięstwo niewymierne, widocznie te zdobycze są niewidzialne, w sferze duchowej.

[...]

17 XI 1982

Jak to jest naprawdę z polską religijnością i z polskim Kościołem. Jak to jest z polską jednomyślnością i solidarnością dzisiejszą?

Dobrze byłoby posłużyć się analogią — a tej poszukałbym właśnie w czasach saskich, kiedy to katolicyzm tryumfujący zgarnął w jeden gruby kożuch całe polskie życie umysłowe i kulturalne. Co wtedy znaczyło “polskie życie"? Co znaczy “polskie życie" dzisiaj?

Dzisiaj oczywiście Kościół nie jest wszystkim, ale moralnie nad

wszystkim. To Kościół, nie “Solidarność", stał się paralelnym państwem, a ponieważ z PRL nie zamierza zrywać — stał się jej układem wspomagającym. To wszystko zmierza do dwuwładzy, czyli do spełnienia wizji Piaseckiego.

[...]

25 XI 1982

Bezradność, bezmyślność, senność.

26 XI 1982

Podobnie, choć trochę lepiej. Umarła Grażyna Kuroniowa[1]. Janek Lipski w szpitalu. Frasyniuk skazany na 6 lat (prokurator żądał 10). PRON “zwrócił się" do WRON z “apelem" o zniesienie stanu wojennego i amnestię. Aby się nie nazywało, że WRON ustępuje pod naciskiem “opinii".

[...]

28 XI 1982

Śnią mi się krajobrazy. Wczoraj to były góry, skaliste i czerwone, jak w Hiszpanii, i kamienista ścieżka, którą zbiegałem ślizgając się na głazach, skacząc, odbijając się od nich jak na nartach — słyszałem przy tym i

czułem jak podeszwy moich butów trą o powierzchnię głazów. Dzisiaj to był las — gęsty i wilgotny, i błotnista droga, która szła nad wąwozami. Przechodziłem nad nimi po mostach z pni zupełnie oblepionych błotem.

Budzę się teraz codziennie przed świtem. I boję się. Od pierwszej chwili po przebudzeniu. Wiem teraz, co to znaczy “strach nieopisany", tzn. którego nie można określić. Boję się jak gdyby dnia, że znów nic nie potrafię zrobić, że minie bezowocnie. Ale to nie wszystko. Jeszcze jest w tym strachu jakiś inny strach ukryty, tak jak w tych krajobrazach sennych są jakieś inne krajobrazy. Chociaż widzę bardzo dokładnie lśniącą w słońcu, gładką krawędź kamienia albo koleinę wyżłobioną w burym błocie, wiem, że to nie są góry, ani to nie jest las. Wiem, że nie idę, nie skaczę, tylko to wszystko jest jakieś pismo, które mam odczytać. Ten strach tak samo: wiem, czego się boję, ale wiem także, że muszę ten strach odczytać.

“Ukrzyżowanie": Ziemia krzyżów. Setki, tysiące krzyżów. Krzyże przy drogach, krzyże na

pustkowiach, na dziedzińcach domów, na placach publicznych. Ciała wysuszone, wykrwawione, sczerniałe, skręcone w mękach agonii. Jeden krzyż pusty. Na ulicach nieliczni przechodnie i dużo żołnierzy w grupach. Wszyscy patrzą w ziemię. Tylko w pobliżu pustego krzyża przystanęło kilka osób i podniosło ku niemu wzrok.

Dróżką przez puste pole, za miastem, dwaj ludzie pchają wózek, na którym leżą zawinięte całunem zwłoki. Kierują się w stronę pobliskich skał.

29 XI 1982

Miłość to nie jest uczucie dla osoby, dla sprawy. Miłość to jest wewnętrzna zdolność całkowitego oddania: tę zdolność ofiaruje się komuś, czemuś — z powodów, które mogą być racjonalne lub zupełnie nieracjonalne. O racjonalności trudno w ogóle tu mówić — raczej jakimś uzasadnieniu, na przykład, upodobaniu, pociągu etc. Może to upodobanie być, ale może go nie być. Wówczas nasza miłość przypada komuś, kto — racjonalnie rzecz biorąc — na nią nie “zasłużył". Na tym polega jej

tragiczność. Wartości przez to nie traci, tylko boli, a w bólu zyskuje nowy wymiar.

30 XI 1982

Wczoraj konferencja z Prymasem w sprawie osiedla — wotum za [ocalenie] Papieża; Prymas wydał mi się rozumny, prosty, rzeczowy, bezpośredni.

Wieczorem koncert poezji w kościele NM Panny na Nowym Mieście. Prymas wygłosił homilię, a na końcu “słowo pasterskie". Homilia była prymitywna i nieskładna, a to źle, bo mówił do inteligencji. Słowo pasterskie

najpierw bez sensu, a potem — niestety — do sensu: wezwał aktorów, aby powrócili do telewizji. Spotkamy się przy telewizorach. Zrobił to grubiańsko, nie oddając ani słowem czci ich poświęceniu, determinacji, odwadze. Stanął po stronie władzy. Zrobił to niemal nazajutrz po kampanii oszczerstw przeciw aktorom w telewizji, zrobił to w dniu, w którym Hanuszkiewicza usunięto z dyrekcji Teatru Narodowego i oznajmiono o likwidacji Teatru Dramatycznego (to ostatnie nie jest pewne)[1]. O tych decyzjach nie

został zawiadomiony, choć Łapicki, który wiedział o apelu, jaki Prymas miał wygłosić, poszedł specjalnie na Miodową, aby tę wiadomość przekazać. Tak przynajmniej twierdzi.

Bojkot oczywiście trzeba zakończyć i jedynym człowiekiem, który mógł to zrobić, był Prymas, a koncert dobrą do tego okazją. Niedługo zakończy się stan wojenny, wyjdą internowani (wczoraj zwolniono znów około 300 osób), będzie jakaś amnestia, znikną więc bezpośrednie przyczyny bojkotu. Lepiej, żeby jego zakończenie

zostało poprzedzone apelem Prymasa, niżby miał się on po prostu rozpłynąć. Było to więc dość dobrze wymyślone. Pozostaje sprawa argumentacji i stylu. Trudno było zrobić to gorzej. Czy to od Prymasa powinno było paść zdanie: “nie będziemy robić teatrów z kościołów", a z teatrów kościoły? I to w toku rozumowania, w którym ubolewał nad zeświecczeniem kultury i nad opłakanymi skutkami rozdzielenia kultury od religii? Jego myśl biegnie utartymi szlakami, które nie schodzą się razem: utartymi szlakami staroświeckiego

klerykalizmu i utartymi szlakami państwowego prymatyzmu. Sprzeczności nie dostrzega i wikła się w nie, podobnie jak wikła się w zawiłości polskiej gramatyki i szarpie beztrosko wszystkie ogniwa logiki, uczuć i języka. Oznacza to, że będziemy mieli konflikty — i to poważne — z błahych powodów, tak jak miewaliśmy je tyle razy z władzami.

I w końcu ten konflikt będzie miał też błahy powód: w doborze słów. A jednak jest to takie ważne! [...]

3 XII 1982

O rozwiązaniu Teatru Dramatycznego i przejęciu przez MKiS bezpośredniej kontroli nad Teatrem Narodowym (i dymisji Hanuszkiewicza) podano w TV tego samego wieczora, kiedy Prymas wygłaszał swój apel o powrót do TV i radia. Nazajutrz ogłoszono rozwiązanie ZASP-u[1]. Głos Glempa zabrzmiał więc jak wystrzał na koncercie: brutalnie i bezsilnie.

— — —

Na co cierpi człowiek we

współczesnej Polsce? Przede wszystkim na brak nadziei. Czy cierpi na brak nadziei bardziej teraz, niż cierpiał w całym powojennym okresie? Bardziej, bo uwierzył najpierw Gierkowi, a potem “Solidarności". Uwierzył w możliwość zrealizowania gospodarki i osiągnięcia odczuwalnych korzyści bez reform politycznych, a więc bez kosztów; a następnie uwierzył w możliwości częściowej reformy politycznej. Utrata nadziei politycznych przyszła natychmiast po utracie nadziei ekonomicznych. Polacy nagle znaleźli się w stanie zarówno gospodarczej, jak i politycznej pauperyzacji.

Wraz z kryzysem nadziei przyszedł więc kryzys zaufania. Polak stracił zaufanie do kierownictwa politycznego, tzn. do legalnej struktury władzy, a sztucznie motywami sentymentalnymi podtrzymuje w sobie zaufanie do kierownictwa “Solidarności".

Kryzys zaufania jest tak totalny, tak katastrofalny, że lada chwila obejmie Kościół. Zresztą zaufanie do Kościoła jest tak cząstkowe, jak cząstkowa jest odpowiedzialność Kościoła. Może

on przyjąć tę odpowiedzialność tylko na gruncie udzielonym mu przez państwo — więc na gruncie akcji charytatywnej i akcji moralnej; może opiekować się więźniami i nawoływać do spokoju. Nic więcej. [...]

Z całego nieba Polaków, tj. ze wszystkich ich złudzeń, jeszcze tylko Papież pozostał nienaruszony. Ale nie wiadomo, co ma sprawić. I komu? Przecież, przyjeżdżając tutaj, społeczeństwu nie da nic poza dobrym słowem, natomiast utwierdzi u władzy Jaruzelskiego. Więc czyim argumentem jest Papież: Kościoła,

narodu czy WRON-y? [...]

— — —

“Polsce zaświta nadzieja zbawienia dopiero wtedy, gdy jak najwięcej Polaków zaprzestanie mierzyć, co mogą, aby rozważać jedynie, co powinni" (Biskup Kajetan Sołtyk).

Co powinien Jaruzelski? Co powinien Glemp? Co powinien Wałęsa? Co powinien robotnik, nauczyciel, administrator?

Co powinienem ja?

Cóż ja mogę? Pytanie odruchowo źle sformułowane: “co

mogę", a nie “co powinienem"?

Pytanie o powinność — co to jest? Kto mi na to da odpowiedź? To jest zupełnie inne pytanie niż o wolność. I to jest inne pytanie niż o obowiązek. Wolność to jest to, co mogę. Obowiązek to jest to, co muszę. Powinność to jest więcej, niż mogę, i więcej, niż muszę.

[...]

9 XII 1982

Konfuzja wokół “Twórczości": jestem czy nie jestem “zawieszony". W redakcji powiedziano mi, że jestem z powrotem na liście redakcyjnej, a w rachubie, że pobieram znów 100% pensji. Poszedłem więc spytać o to w dziale kadr. Tam zrobiono wielkie oczy: nic się nie zmieniło. I pokazano mi książkę “Twórczości", z której jestem wykreślony z adnotacją: “oddany do dyspozycji działu kadr". A co z tego ma wyniknąć? Nikt nie wie.

[...]

13 XII 1982

Punktualnie o północy zadzwonił Andrzej Wierusz, fizyk z Instytutu Badań Jądrowych, pierwszy człowiek, którego poznałem jako

współinternowanego w budzie na Wilczej.

— W pierwszą rocznicę naszego poznania chciałem pana pozdrowić — powiedział. Pozdrowił, zbudził i teraz zasnąć nie mogę, bo mnie opadły wspomnienia.

A generał zapowiedział bardzo mętnie zawieszenie stanu wojennego. Mają to być bardzo ograniczone posunięcia. “Nie po tośmy wprowadzali stan wojenny — powiedział — żeby pozwolić teraz na zaprzepaszczenie"... czegoś tam. Powiedział, że “internowanie nie będzie więcej

stosowane". Ale nie wynika z tego, że wszyscy internowani rok temu będą wypuszczeni, a dotychczas to około 300 osób, w tym cała Komisja Krajowa poza Wałęsą i niektórzy eksperci jak Mazowiecki i Geremek.

— — —

A jednak powieść?

Inspiracja: *Biesy*: znalazłem tam rozwiązanie problemu narratora. Jest to milczący przeważnie, a wszędobylski świadek, którego rozum i

charakter uczestniczy wszakże w wypadkach. Jego etyczne zaciekawienie wprowadza ład; jego wszechstronna inteligencja przenika wypadki i charaktery ludzkie. Jego obecność nie wymaga uzasadnień, jest konwencją, która tłumaczy się sama przez się, ale jest także uznana przez charaktery powieściowe, przez bohaterów, którzy przy różnych okazjach jednomyślnie oświadczają mu swoje zaufanie i szacunek. To jest dla mnie bardzo ważne odkrycie, bo nie umiałem dotychczas wybrnąć z dylematu narracji.

Narrator osobowy wymagał przyjęcia konwencji wyznania czy pamiętnika; narrator bezosobowy narzucał wielopłaszczyznowość akcji i wiedzy, ale pozbawiał mój styl tego, co jest jego najmocniejszą stroną, tj. barw osobistego sądu. To rozwiązanie jest idealne.

“Może mnie kto zapyta, skąd wiem o tak drobnym szczególe? A co powiecie, jeżeli sam bywałem tego świadkiem? A co, jeśli Stiepan Trofimowicz nieraz płakał na moim ramieniu...?" (*Biesy*)[1].

[...]

15 XII 1982

Napisać taką książkę, którą sam chętnie bym przeczytał? Jaką książkę o wierze i religii sam chętnie bym przeczytał? Taką, która by mnie jeszcze raz przekonała, że to wszystko prawda i że nie mylimy się, tkwiąc przy Kościele, wracając do Kościoła, namawiając innych do Kościoła, utrzymując, że Kościół jest “siłą" czy “wartością", czy wreszcie “prawdą".

Bo przecież łatwo, nader łatwo dowieść, że to wszystko nieprawda. Że siła Kościoła jest w istocie inną siłą, że to nie on

trzyma rodziny, ale odwrotnie, rodzina go stwarza. Że to nie on umacnia życie narodowe, lecz sam jest emanacją życia narodowego. Że to nie on jest wartością, tylko wręcz przeciwnie: wszystkie wartości ogólnoludzkie — miłość, sprawiedliwość, wolność — właśnie on zaciemnia, przekręca, poddaje różnym doczesnym służbom. Że jest więc archaicznym przeżytkiem, szacownym zabytkiem Europy i jej kolonii, którym można posłużyć się politycznie, którego można używać dla celów wychowawczych, który jest też

sprężyną turystycznego biznesu (jak wszystkie zabytki), jednym słowem, jest cenny, tak jak cenne są inne instytucje i dzieła kultury europejskiej, np. literatury narodowe, których nauczanie, rozpowszechnianie (wraz z osobliwym kultem ich twórców) jest jakby równoległym do kościelnego cyklem wtajemniczenia i równoległym do kościelnego rytuałem; albo historie narodowe, albo różne mity, kulty i rytuały domowe. Więc ważny, cenny, wartościowy, ba! piękny, ale czy prawdziwy? Czy prawdziwy w inny sposób,

niż prawdziwe są owe mity narodowe i domowe, i cenny w inny jakiś sposób, niż cenne i piękne są rytuały domowe i rodzinne? Czy prawdziwy i cenny absolutnie i nieskończenie? Czy wiara w Kościół, jako znak obecności Bożej na ziemi i związków człowieka z Bogiem żywym, i wiara w Boga żywego jest jedną z wiar naszego życia, czy jest wiarą ponad wiary — i źródłem wiary wszelakiej?

— — —

Co do powieści: nie było mnie

w mieście 25 lat, przyjechałem tam już po wojnie, na emeryturę. Zastałem miasto w ruinie, ludzi w rozsypce i próbuję się dowiedzieć, co tu się działo. Spotykam przyjaciół: Janka — prof. B., który wytułał się po zagranicznych uniwersytetach, Ludwika, który ma za sobą prawdziwą karierę międzynarodowego guru, cynicznego Keta, który spławiwszy pewną ilość żon, znów zamieszkał w sublokatorskim pokoiku i snuje opowieści... Ja jeden dojeżdżam z Warszawy, gdzie mam mniej więcej normalne życie (jestem redaktorem wielkiego magazynu, członkiem wielu stowarzyszeń i organizacji, dyrektorem teatru muzycznego — dwoję się i troję, co mi wielu ma za złe), ale raz po raz wymykam się z miasta, niby ruchliwy biznesman, który ma jakieś hobby — polowanie na motyle albo archeologię... Uprawiam archeologię wspomnień.

Miasto ginie. Ginie na wiele sposobów. Ginie jego materialna sfera. Giną jego instytucje i obyczaje... Rozkłada się tkanka społeczna. A teraz jeszcze zginęło coś więcej. To, co zginęło teraz,

skupia się w postaci i w losach Isi.

Każdy z moich przyjaciół był chyba w niej zakochany. Każdy ma własną wersję jej żywota. Każdy ma swoje żale do niej i swój wyrzut sumienia.

Ta Isia to “Solidarność".

[...]

27 XII 1982

Newman napisał, że największą mądrością jest zrozumieć, że nie wolno pisać i mówić o sobie. Otóż, ja się na to zdobyć nie umiem. I wciąż powracam do tego samego w upartym przekonaniu, że w mojej

biografii i moim charakterze tkwią jakieś niezwykłe skarby, których odkrycie wszystkich olśni. A tymczasem tak nie jest. Dobry jestem tylko wtedy, gdy opowiadam o cudzych, obiektywnych rzeczach. Kto ma prawo mówić o sobie? Baudelaire mówi, że każdy, byle nie nudził[1]. Ale to nieprawda. On sam jest dowodem, bo swojej wielkiej powieści o sobie i o świecie nigdy nie napisał. Nikt nie ma prawa mówić o sobie!

[...]

— — —

Nie ma chyba ani jednego pisarza, który nie poniósłby klęski na autobiografii. Kto jest w stanie przeczytać dzisiaj *Zmyślenie i prawdę*? Czytano to, póki istniało zainteresowanie dla Goethego i powszechne przeświadczenie, że jest geniuszem. Książka jest spełnieniem konwencji i sam Goethe jest geniuszem konwencji[1]. Więc można wracać do niego jako do pewnej konwencji i znajdować upodobanie w tym, co pomimo niej zdołał utrwalić z naturalnych barw życia i swego charakteru, ale

nie do tej książki, w której swe życie, charakter poświęcił konwencji bez reszty. Czyjaż to autobiografia zachowała się — prócz awanturniczych opowieści awanturników, jak Celliniego.

Współczesny autobiografizm — z inspiracji psychoanalitycznej — jest blagą wierutną. Jego powodzenie było oparte wyłącznie na śmiałościach erotycznych, zwłaszcza autoerotycznych (Leiris, Gombrowicz), i na przyjemności, jaką ogółowi sprawiało wyznawanie zła. Wszystko to potomstwo Stawrogina[2]. Czytasz, wypatrując

tylko, kiedy dojdzie do zgwałcenia dziewczynki lub znęcania się nad własnym członkiem. W opisy religijnych czy politycznych ekstaz nikt nie wierzy. Może twoi krewni i znajomi będą mieli łzy w oczach, ale nie wierz im: będą się co najwyżej cieszyć Tobą, żeś się wypowiedział i żeś im powierzył swoje wynurzenia. Będą się cieszyć sobą, jako twoimi powiernikami, ale ogół wzruszy ramionami: jeszcze jeden Stawrogin — pomyślą. Pisz powieści.

1983

[...]

5 I 1983, Zakopane

[...]

Myśl, która mi przyszła ostatnio podczas mszy św. w kościele Zbawiciela: że słowa “wiara" używamy w ogóle w fałszywym sensie. Wiara kojarzy się we współczesnej polszczyźnie z pewnym szczególnym rodzajem

przekonania; z przekonaniem, które w przeciwieństwie do wiedzy empirycznej opiera się na zaufaniu i — ewentualnie — posłuszeństwie. Ten rodzaj przekonania jest wszakże tylko częścią wiary i dotyczy raczej jej wyrazu zewnętrznego. Ta część wiary jest kulturą.

Natomiast w swej głębokiej, najgłębszej istocie wiara jest zdolnością rozumienia i odczuwania rzeczy bliskich lub — jeśli kto woli — wyobraźnią transcendentalną. Może to ktoś również nazwać właśnie niezdolnością — lub niezdolnością do myślenia kategoriami skończonego czasu i skończonej przestrzeni, a także do myślenia kategoriami osobowymi.

Taka niezdolność rodzi ów szczególny rodzaj świadomości: świadomość nieskończonego czasu, czyli wieczności, świadomość nieskończonej przestrzeni, czyli kosmosu ponaddoświadczalnego (nieba), i świadomość bytu superosobowego, czyli Boga, i złączonych z nim wszystkich zmarłych i nie narodzonych ludzi.

Pytanie: czy ta świadomość (wyobraźnia transcedentalna) jest

wrodzona czy wmówiona. Jest darem czy dziełem kultury; jest wzbogaceniem czy zubożeniem człowieka; jego potęgą czy klęską, swoistą mądrością czy swoistą ignorancją.

Jak ona się u mnie rodziła — czy też ja się razem z nią urodziłem?

Zakopane, 8 I 1983

Przywrócono mi etat w “Twórczości". Odbyłem rozmowę z dyr. Woźniakiem i komisarzem wojskowym. Zrobiłem wszystko, żeby mnie zwolniono, ale oni mieli wyraźną instrukcję (podobnie jak kiedyś płk Romanowski) i gdybym im nawet w gębę napluł, oświadczyliby mi z radością, że to właśnie jest potrzebne dla porozumienia narodowego. Aby tylko nie atakować partii. Podczas, gdy to jest właśnie to, co atakować należy nieprzerwanie i wszelkimi środkami.

[...]

Zakopane, ? I 1983

Z *Dzieci* Prusa: “Niedojrzałe społeczeństwo! Chłop nie czuje wspólności ze szlachcicem, ani mieszczanin z chłopem... Syn

odrywa się od ojca, a wnuk od dziada... Jesteśmy pocięci na kawałki, wzdłuż i wszerz, jak biedna glista ziemna, którą łobuzy przygotowują do osadzenia na haczyku wędki"[1]...

Zakopane, 16 I 1983

Wielki śnieg. Ładnie. Przyjemnie. Niechęć do pisania i myślenia. Niechęć do siebie. Poczucie winy. Bezradność. Kiedyś z rozpaczy zacząłem pisać list do samego siebie. Drogi X... I niepotrzebnie zacząłem traktować siebie jako kogoś drugiego, kto dawno temu opuścił kraj, nie wie,

co się tu dzieje, ale chciałby wiedzieć, ja zaś chciałbym z kolei zasięgnąć jego opinii, więc opowiadam mu wszystko: jak to żyjemy, co myślimy, cośmy przeżyli, czego się spodziewamy... Może byłby to pomysł na pisanie, ale mi się nie chce. Gdzie to wydam, komu sprzedam?

Zakopane, 20 I 1983

“Gdy będziemy myśleli, że winy są wspólne i grzech zbiorowy — rozprószymy się. Ale gdy każdy będzie czuł, że on jest może głupi, zły — ale Polska jest dobra, nikt nam nic nie zrobi". (St.

Brzozowski: *Sam wśród ludzi*).

[...]

Warszawa, 6 II 1983

Powiedział mi wyraźnie: tego nie napiszesz. Potrafisz, ale nie napiszesz. Podziękowałem Mu.

8 II 1983

Wiem! Wiem, co mam robić: pisać eseje na zadane czy wybrane tematy historyczne, społeczne, moralne, literackie, bo to robię dobrze — pisać eseje, to znaczy czytać, notować i dywagować. A poza tym — nie siląc się na oryginalność, robić to, co robiłem

dotąd, i to, co robią inni: “snuć powieść swego życia", w której teraźniejszość mieszałaby się z przeszłością, tak jak to było w moim jaworzańskim dzienniku, tak jak to robi Brandys w *Miesiącach*[2]. Tak jak to robił Gombrowicz, tak jak to w gruncie rzeczy robi Konwicki. To jest dobra forma, i to jest forma jedyna, i choćby nawet uprawiali ją wszyscy pisarze jednocześnie, nie znudzi się, bo każdy ma coś do dodania, nawet gdyby wszyscy na jeden temat pisali. To jest tak powszechna forma wypowiadania się, jak powszechną formą była

kiedyś powieść fabularna.

[...]

15 II 1983

Inkwizycja domaga się ode mnie, abym w ciągu sześciu tygodni, tj. w okresie Wielkiego Postu, napisał “książkę".

Co to ma być za książka? Inkwizycja w chytrości swojej mnie pozostawiła wybór, chcąc, abym dokonując go, zbawił się lub potępił sam. Sąd czeka, termin już wyznaczony, drwa na stos narąbane. Co mam napisać? Co w tak krótkim...

[...]

10 III 1983[1]

Wczoraj wizyta w klinice okulistycznej. Decyzja, powiedział doc. Kęcik, należy do mnie, bo oko jest moje.

Moje, rzeczywiście. Mrugam nim, przymykam, odmykam i staram się wyobrazić sobie, jak to będzie, kiedy go nie będzie.

Gdyby nie choroby, nie umielibyśmy umrzeć. Są stanowcze jak śmierć i nie można umknąć przed nimi, tak jak się umyka przed wszelkimi sprawami życia. Rozumiem teraz, skąd ludzie chorzy mają tyle siły i

energii. Bóg przedłużył mi dzieciństwo aż do 54 roku życia, utrzymując mnie w doskonałym zdrowiu i nie wymagając ode mnie żadnych stanowczych decyzji. Teraz próbuje mojego charakteru.

Na razie nie mówię nikomu, jak się naprawdę rzeczy mają. Powiedziałem o tym tylko Zbyszkowi Kubikowskiemu, który mi zaproponował odstąpienie swojego miejsca na wyjazd do Szwecji.

Ale przedtem muszę jeszcze odbyć dodatkowe konsultacje: może to nie guz, tylko skrzep, może da się to usunąć i oko zostanie? Jest jeszcze cień nadziei, ale wolę się do niej nie przywiązywać.

15 III 1983

Pani Trzcińska-Dąbrowska w szpitalu praskim, która zajmuje się tylko guzami na oku, powiedziała, że jest to na pewno guz, i to złośliwy czerniak. Jedynym sposobem na niego jest usunięcie oka. Ale miała jeszcze niejakie wątpliwości, bo guz powinien być całkiem czarny, a nie jest całkiem czarny. Więc żeby wypróbować jego wewnętrzną strukturę,

sprawdzić, czy się w nim coś nie przelewa, nie rusza, położyła mnie w szpitalu z zasłoniętymi oczami, na lewym boku. Przeleżałem sześćdziesiąt kilka godzin z głową przylepioną lewym policzkiem do poduszki, karmiony przez Kazię i pielęgniarki, ale nic z tego nie wyniknęło. Guz tkwi, jak tkwił, w miejscu, tyle że nie taki czarny, jak powinien być. Mam jeszcze jechać do Krakowa na konsultacje do prof. Machowej. Kazia stara się jeszcze o wyjazd do centrum okulistycznego w Essen, aby tam zrobić zdjęcia w podczerwieni. Pani Trzcińska na pożegnanie poddała mi jeszcze myśl, że ten guz może być już przerzutem z innego jakiegoś organu, i wypytała mnie z troską np. o moje czynności gastryczne. Wyszedłem od niej z poczuciem zupełnego zaraczenia i już nie o moim oku lewym myślę, aby je zachować, ale o życiu.

Leżąc tak sobie na lewym boku, doszedłem do wniosku, że jedyne racjonalne wytłumaczenie — racjonalne — powtarzam — tego dziwnego przypadku, który mnie spotkał, jest takie, że to nie moje oko i nie moja choroba. To Pan Bóg zachorował na moje oko,

tzn. moje chore oko jest Mu potrzebne do zachowania jakiegoś bilansu w Jego organizmie, którego jestem macierzystą komórką. Pan Bóg różni się ode mnie (który też władam niezliczoną masą komórek, wiele z nich skazując nieświadomie na śmierć), otóż tym różni się ode mnie, że o każdej z nich wie, o każdej z nich pamięta, czyli kocha. W to przynajmniej wierzę i modlę się do Boga tak:

Dobry, biedny Boże, nie płacz z powodu mojego oka, na które zachorowałeś, nie płacz z powodu mojej śmierci; gdy będę już martwą komórką Twojego organizmu, nie będę Ci sprawiał bólu i pozostanę tylko w Twojej pamięci, a to mi sprawi nieskończoną radość. Mam tylko wątpliwości, czy jako komórka Pana Boga wypełniłem należycie zlecone mi funkcje. Otóż nie — np. nie napisałem przedmowy do Mochnackiego — i bardzo nad tym boleję. Przebacz mi dobry, biedny, chory Panie Boże, przestań u mnie chorować, przebacz mi, dopuść do swej pamięci, do swojej wyobraźni, do swojej miłości...

Tak mniej więcej się modlę.

Ale czasem znacznie prościej: Boże — mówię — Jezu, Matko Jezusowa, wszyscy, do których moja matka modliła się, aby mnie zachować przy życiu, zachowajcie mnie jeszcze przy życiu. Chcę żyć.

I nie myślę, że się narzucam: to nawet obowiązek wobec siebie i wszystkich, którzy mnie kochają.

Powinienem coś zamknąć, uporządkować, ale — nie potrafię. I w takiej bezczynności pokutuję za moje lenistwo, za moją gnuśność, za moją bezczynność przez tyle lat.

16 III 1983

Uspokojenie. W najgorszym razie nicość, która nie boli. W najlepszym Bóg, który kocha — żyć Jego życiem, Jego świadomością, Jego miłością.

Rozstanie — nic nas nie rozerwie. To niemożliwe. Przez miłość Kazi doszedłem do miłości Boga. Bóg nas złączył nie po to, aby nas rozłączać. Wymaga tylko trochę męstwa. I jakże można uchylić się od tego.

Kraków, 19 III 1983

Mam tu leżeć przez 10 dni w izolatce, z płytką kobaltu wszytą

w oko. Ma to być pierwszym zabezpieczeniem przed przerzutami w wypadku usunięcia oka, a ponadto daje mi pewną szansę jego ocalenia. Odwołujemy więc wyjazd do Essen.

Wczoraj wizyta u Janka Szczepańskiego. Dziś spacer i kawa z Jankiem Błońskim.

Ciepło.

Kraków, 20 III 1983

Nie należy ufać swym siłom umysłowym, tzn. wyobraźni, pamięci, inteligencji; mogą z równą sprawnością produkować głupstwa, z jaką produkują rzeczy wartościowe. Głowa to młynek i obojętne jej, co miele. Głowie trzeba dostarczyć treści do mielenia. Trzeba ją rzeczywiście “zająć"! Nie wierzyć temu, co ze środka idzie. Z głębi organizmu wydobywają się widma, strachy, złudzenia. Kiedy leżałem w szpitalu “Przemienienia" z zalepionymi oczyma, w jednej pozycji, nachodziły mnie wizje koszmarne, śmieszne, tajemnicze, bardzo malarskie i bardzo literackie bez żadnego w tym mojego udziału. Zwykle w chwilach takiej bierności, lub przed zaśnięciem, przychodzą na

myśl i pojawiają się w polu wewnętrznego widzenia jakieś błahostki, które służą nie do usypiania się. Dlaczego wtedy, jak na zawołanie zjawiło się coś, co było wewnętrzną, ezoteryczną “lekturą"? Mury o przebogatych pokładach, barokowe portale o motywach zwierzęcych i roślinnych, prawdziwe płyty nagrobne, a także czyste — białe i żółte ekrany z przewijającymi się śmiesznymi owadami, podobnymi do tych, jakie widziałem w stallach katedry w Toledo, i inne dziwactwa, które mnie i straszyły, i zachwycały, i męczyły, i zajmowały. Wydawało się, że to rzeczy niegdyś widziane spadły mi na pomoc, abym w ciemnej pustce nie oszalał.

Warszawa, 21 III 1983

...Ale od tych widm właśnie bliski byłem szaleństwa.

— — —

Litość nad samym sobą. *Self-pity*[1]. To dopiero obrzydliwość! Ta ochota do myślenia i mówienia o swojej chorobie, to upodobanie do najgorszego, ta hipokryzja, z jaką miłość własna stroi się w

kostium litości nad innymi, którzy z mego powodu będą cierpieć... Wszystko to prowadzi do wewnętrznego wyniszczenia; sztuka chorowania jest zresztą sztuką życia w stopniu zawrotnym. Chorzy umiejętnie mogą nas pouczyć o wewnętrznej dyscyplinie, o pokonywaniu siebie, o nowym traktowaniu swego “ego", o właściwym przygotowaniu do śmierci; o pożytecznym wykorzystaniu czasu pozostawionego nam do dyspozycji.

26 III 1983

Czas znowu zmiękł, spospoliciał. Nic mnie nie boli, widzę lepiej, bo oko odpoczęło od atropiny. Nic nowego. Jak się leniłem, tak się lenię. Mam tylko trochę więcej czasu dla siebie, bo mało wychodzę z domu i wymawiam się od wszelkich zobowiązań.

[...]

28 III 1983

Walka z roztargnieniem bardzo podobna do walki z pokusami diabła, jakie opisują święci asceci. Niesamowite obrazy próżności, samouwielbienia, litości nad samym sobą, pomst

nad wrogami, tryumfów nad rywalami, przygód, przyjemności, podróży, a w ostateczności nawet cielesnych szaleństw, najeżdżają z siłą hord diabelskich i męczą mnie do siódmego potu.

29 III 1983

[...]

Spotkałem T. i opowiedziałem mu o mojej chorobie, tak jakbym się nią przechwalał. Kiedy mnie próbował bronić przede mną samym, dokładałem mu jeszcze różnych upiorności, aby się do końca przeraził. Dopiąłem swego!

Pożegnał się czym prędzej, uciekł prawie, a ja wróciłem do domu pełen wstrętu do siebie.

I pomyśleć, że zacząłem od tego, że nikomu nie chciałem powiedzieć.

30 III 1983

Na wszystkich niedelikatnościach i zaniedbaniach, które mnie teraz spotykają, robię rachunek sumienia za własne niedelikatności i zaniedbania wobec wszystkich chorych, starych, opuszczonych, zaniedbanych, upadłych. I uczę się

na przyszłość, jeśli będzie jakaś przyszłość, uwagi dla wszystkich potrzebujących.

4 IV 1983

Dzisiaj wyjeżdżamy do Krakowa. Wczoraj rozmowa z Kazią, jakby pożegnanie. O ileż przewyższa mnie w samoświadomości i w energii moralnej. Cały ciężar wzięła na siebie.

Kraków, 5 IV 1983

W szpitalu. Pokój długi,

wąski, wysoki, trzy łóżka, jedno dziecinne, trzy blaszane szafki, trzy zydle, wieszak, krzyżyk na ścianie. Sam. Za oknem [...] białej chirurgii, żółta, pleksiglasowa klatka prof. Popieli i kawałek starego kamienno-ceglanego muru klasztornego, a nad nim łamany dach kościoła Karmelitanek. Na białej chirurgii Kazia była operowana na pierś, naprzeciwko — na czerwonej, umarł ojciec i sam leżałem w grudniu 1950 roku; za nią na neurologii umarła mama. A w lewo, zasłonięty kościołem, stoi szpital położniczy, gdzie Kazia urodziła Jędrka. Mógłbym

całe moje życie opowiedzieć nie wychodząc poza krąg pięciu szpitali, znajdujących się w promieniu trzystu, może pięciuset metrów[1].

Okno otwarte, bardzo ciepło, szare synogarlice wchodzą na parapet łypiąc na mnie przerażonymi oczkami.

Był dr Maciejewski na snobistycznej pogawędce; dał do zrozumienia, że zadaniem lekarzy jest ocalić mi życie, a nie oko, i na to mam 80% szans, a może więcej.

[...]

— — —

Dzień minął w półdrzemce, na jałowych rozmyślaniach. Jeszcze nie wiem, jak mam postępować. Była Kazia. Spytała dziś rano prof. Machową, czy jest to guz pierwotny czy przerzutowy. Profesor powiedziała, że na pewno pierwotny. A mnie prof. Trzcińska podsunęła myśl, że jest to już przerzut. Pewnie nikt dobrze nie wie. To jest także niewiadoma.

[...]

6 IV 1983

Noc jakoś przeszła. Głowa mnie bolała. Jakieś sny, też

bolesne, duszne. Teraz też boli, ale mniej. Oko właściwie boli i bardzo migocze. Okno ogromne, bez zasłony, po której tylko karnisz został. Brunatny zaciek na ścianie. Gołębie nachalne, odpędziły synogarlice i same zjadły sucharka, którego dla nich pokruszyłem.

Całe to pisanie moje: po co? Żeby się wyżalić? A cóż to za niedole takie? Żeby się pochwalić, jak ja to dobrze opisałem?

Wciąż nie rozstrzygnięty dla mnie problem: co wolno napisać, co wolno zużyć jako tworzywo — a czego nie wolno. Jest to problem

“tabu". Była jakaś głęboka mądrość w przekonaniu, że są tematy, których poruszanie powoduje nieszczęście.

— — —

[...]

Czekam na Kazię, z chwili na chwilę bardziej niespokojny. Jakiż jestem zależny. A co to będzie jutro, kiedy już tutaj nie będzie mogła wejść, ani ja nie będę mógł wyjść do niej?

[...]

7 IV 1983

Po założeniu kobaltu. Bolało i

boli. Bolały tępe ukłucia tuż przy gałce ocznej, potem bolało rozciąganie pęsetami mięśni ocznych. Potem bolało coś ostrego, co tkwiło w oku. Ale to powoli mija. Dostałem teraz jakieś krople przeciwbólowe i jest lepiej. Dwanaście dni mam leżeć z tą drzazgą kobaltową w oku. [...]

— — —

Starsza pielęgniarka, która przyniosła nam kolację, obiecała nam zmienić gazę, która zawilgła od krwi, łez, czy jakichś kropel. Nie przyszła więcej. Kiedyśmy

wreszcie zadzwonili, żeby się upomnieć, zjawiła się inna, młoda, zajrzała tylko przez próg i powiedziała, że nie może do nas wejść, a tamta — “po co się pisała".

Młode kobiety boją się kobaltu, bo powoduje bezpłodność i jakieś tam inne schorzenia organów kobiecych.

Jesteśmy więc właściwie zdani tylko na siebie. Nikt teraz nie poda basenu, szklanki wody, nie opró...

Nie dokończyłem zdania, bo ta siostra, która nas tak ofuknęła, przyjechała z całym wózkiem przyrządów, przemyła nam oczy i

zmieniła opatrunki.

8 IV 1983

Jest tu dziewczynka, może 4-letnia, pod opieką ojca, która już jednego oczka nie ma, a do drugiego mają jej założyć kobalt. Zdaje się, że ją położą razem z nami w przyszłym tygodniu. Ojciec, młody, prosty człowiek, wozi ją na wózku; dziewczynka rozgląda się ciekawie jedynym oczkiem — och, Boże!

[...]

9 IV 1983, 6[35]

Bóg, który mnie stworzył i ożywia, który złożył we mnie cząstkę swego życia, chce wiedzieć, czy ja chcę żyć i czeka na znak ode mnie. Ten znak to moja modlitwa. Bóg chce wiedzieć, czy jestem i chcę nadal być żywą komórką Jego organizmu, w którym wyznaczył mi swoistą funkcję. Bóg [...] czeka na znak ode mnie, a ten znak to moja — modlitwa o życie, o zdrowie, o siły, o miłość, o zdrowie i życie moich bliskich. Ten znak, to moja chęć do pracy i to, że ją z góry Bogu oddaję.

Proszę, Ojcze.

[...]

11 IV 1983

Dzisiaj przyszedł inny ksiądz. Wtargnął bez pukania, ogromny, barczysty, huknął od progu: kto tu do Komunii świętej? — tak głośno, że pan Soczawa, który spał głęboko, zerwał się na równe nogi.

— Pan? — wymierzył we mnie paluchem. Przytaknąłem lękliwie. — A pan? — też może? — krzyknął na pana Soczawę, który w krótkich gatkach i w koszulce gimnastycznej stał już na

baczność przy łóżku. Pan Soczawa zaczął się mętnie tłumaczyć, że właściwie też może, więc bez dłuższego gadania obdarzył go też Chlebem Anielskim i bez słowa opuścił pokój. Widocznie tak być musi i Chrystus, który jadał z celnikami, zjawia się też czasem w towarzystwie policjantów.

— — —

Przyniesiono nam dziecko, i to roczne, bez jednego oka, z kobaltem założonym do oczodołu. Pan Soczawa jej nie odstępuje. Trzyma za palec, cmoka do niej,

przewija ją, a nawet powiedział jej wierszyk o raczku-nieboraczku. Trafił — można powiedzieć.

Dziecko jest milutkie, natomiast potworne są baby, które się nim za pieniądze zajmują — jakieś sprzątaczki ordynarne, głupie i brudne. Rodzice młodzi. Postali trochę pod oknem, potem poszli do miasta i wrócili — z nowym żyrandolem.

— — —

Dziecko śpi. Matka odjeżdża, odbywszy z nami konwersację przez okno. Była Teresa Błońska, ładnie, że posiedziała ze mną, ale do naszej sytuacji odniosła się z prawdziwie lekarskim humorkiem. A jest ona — ta sytuacja — mało zabawna, zważywszy, że siostry nie reagują w ogóle na nasze dzwonki, w nocy śpią, a rodzice nie pomyśleli o opłaceniu pielęgniarki do dziecka.

Nowa wiadomość, tym razem podana nam przez matkę Joasi przez okno: przez całą noc nie będzie żadnej siostry kobaltowej, a więc nie tylko nikt nam nie zmieni opatrunków, lecz i Joasia pozostała na naszej wyłącznej opiece.

Na szczęście pan Soczawa

znalazł w sobie matczyne powołanie i przewija dziecinę z prawdziwym zachwytem, pogadując do niej: — z gołą dupką dziecko leży, co? Zadowolona teraz, co? Wytrzemy pupkę, ubierzemy majty... Asia też zadowolona.

12 IV 1983

Noc już minęła. Były momenty okropne, zwłaszcza późnym wieczorem przed przyjściem nocnej pielęgniarki. Kiedy zostaliśmy z panem Soczawą właściwie sami, zdani tylko na grubą, ordynarną babę,

która nawet na dojarkę się nie nadaje, bo krowy doprowadziłaby do nerwicy, dziecko bardzo płakało, zrywało opatrunki; zupełnie nie wiadomo było, co z nim zrobić. Oczywiście cierpiało i należało dać mu środek uśmierzający, ale nie było nikogo, kto by zechciał do nas wejść: pielęgniarki młode, bojące się kobaltu, a lekarz dyżurny — gdzieś daleko, zupełnie dla nas nieosiągalny. Na domiar złego nas też swędziały oczy pod nie zmienionymi opatrunkami. Ale około 10^{30} zjawiła się pielęgniarka, która wszystko jakoś

opanowała. Dziecku dała czopek, nam przemyła oczy, wypuściła nas na kupkę i potem w nocy zachodziła, ilekroć dziecko zapłakało. Około trzeciej przebudziło się i bardzo krzyczało z godzinę. Potem znów zasnęło i my razem z nim i spaliśmy aż do nowego wtargnięcia żandarma w komży. Na dzień przyszła poczciwa Helenka.

[...]

13 IV 1983

Noc minęła jako tako, natomiast wieczór był ciężki. Mała płakała ze dwie godziny, może dłużej, od siódmej do dziesiątej prawie. Zgasiliśmy światło i po ciemku, próbując ją jakoś uspokoić, kimaliśmy na łóżkach. Na korytarzu był gwar jak w imieniny, telewizor ryczał dramatycznym jakimś dialogiem, dziecko krzyczało wniebogłosy, pielęgniarka raz po raz wpadała, potrząsała dzieckiem, coś mu wtykała do buzi, wylatywała trzaskając drzwiami. Wreszcie namówiliśmy ją, żeby zamiast do buzi wetknęła jej czopek do tyłeczka, bo było oczywiste, że dziecko ma jakieś bóle. No i rzeczywiście. Poza tym był ostry

dyżur, więc ruch na korytarzu nie ustał nawet po zgaszeniu telewizora. Ale myśmy jakoś zasnęli. O czwartej Joasia zapłakała znowu, a ja podniosłem się do niej jak z łoża tortur, z obolałą głową. I tak już potem ten ranek pociągnął się swoją koleją. Teraz czekamy na śniadanie, Joasia śpi, głowa mnie nadal pobolewa — mimo pyralginy i — co najgorsze — bardzo źle widzę zdrowym okiem. Obraz mam zmętniały, rozmigotany, czytać prawie nie mogę. Wczoraj była znów Teresa, naznosiła wiktuałów i 3 tomy Rahnera[1]. Chętnie bym

poczytał, ale utykam po paru stronach.

Dzień zimny, pochmurny. Wczoraj minął tydzień.

Przed chwilką zapukano do nas: rozległ się głos salowej, która nas powiadomiła, że śniadanie zostawia dla nas na ławie przed drzwiami. Pan Soczawa otworzył więc drzwi i przekroczył próg pokoju. Na to krzyk: — Panoczku, panoczku, nie wychodźcie, bo my jeszcze chcemy być w ciąży!

Przyszła Teresa i przyniosła lampkę.

14 IV 1983

Pan Soczawa martwi się, bo śni mu się dom, podwórko, ale nie pokazują się ani żona, ani synowie. Dzisiaj mu się śniło nawet, że sprzedawał swój samochód, a żony przy tym nie było. Dziecko krzyczało umiarkowanie, z godzinę przed zaśnięciem, a potem już spało spokojnie, do rana i nadal śpi. Wczoraj był Leszek, mój brat, przyniósł bułeczki z polędwicą, kompot z truskawek i ciasto. I zawiadomił mnie, że umarł pan Bator. Zabrzmiało to dla mnie całkiem jak wiadomość nadana panu Jenialkiewiczowi[2] przez jego korespondenta z Krakowa: “wczoraj umarł tu pan Szuster" — bo ja też nie wiedziałem, kto to był. Właściciel sklepu z nasionami, jak się okazało. — Wszyscy nasiennicy zeszli się na pogrzeb — powiedział Leszek. Zrozumiałem: nasiennictwo, to jego młode, najlepsze lata, to jego branża, fach, wojsko i uniwersytet. “Nasiennicy" zabrzmiało to jak “chyrowiacy"[1] albo “arkończycy"[2], albo zgoła “czwartacy"[3] czy “leguny"[4].

Czytam Rahnera, którego mi Teresa przyniosła, na przemian z

Zinowiewem[5]. Źle widzę na prawe oko — coraz to pojawiają się świetliste plamy, drgania i muszę przerywać czytanie. Łatwiej pisać. Ale i tak największą dolegliwością jest niemożność wypróżnienia się o swojej porze. Po wczorajszym bigosie, którym nas uczęstowano na obiad, była to prawdziwie cicha — a chwilami nawet głośna tragedia.

Dwa tematy, dwa doświadczenia: polityczne i religijne. Są to też dwa środowiska i dwie inspiracje. W Polsce zresztą zawsze występowały: temat polityczny zjawiał się, gdy była

nadzieja lub gdy nienawiść stanowiła główny napęd psychiczny. Ale tuż za bezsilną nienawiścią stało natchnienie religijne: przeniesienie historii człowieka na inny plan.

Wyzwolić się z tego mechanicznego niemal następstwa; zrobić jeden stop z nadziei, nienawiści i miłości.

— — —

Na marginesie Zinowiewa: wywody autora o marksizmie, przed którym nie można uciec. Myśmy tu w Polsce położyli lachę

na całej ideologii; od dawna wiemy — a może nawet zawsze wiedzieliśmy — że komunizm jest oszukańczą zasłoną rosyjskiego imperializmu. Mieliśmy tylko przez pewien czas wątpliwości co do tego, czy na dłuższą metę imperializm rosyjski nieco ucywilizowany, uczłowieczony przez marksizm, nie stanowi właściwego podłoża dla rozwoju małych narodów międzymorza. Było to wtedy, gdyśmy łapali oddech po ciosach, jakie nam w dwóch wojnach zadał imperializm niemiecki, i gdyśmy z antypatią spoglądali na inwazję amerykanizmu. Teraz wiemy, że rewolucja Rosji nie unowocześniła, że jej już nigdy nie unowocześni, że więc dominacja Rosji oznacza dla nas zacofanie i degradację i na tym polega nasz kryzys. Nie jest to w istocie kryzys ideologiczny, tylko geopolityczny — nowy kryzys filozofii narodowej, dla którego analogie mamy w historii XIX wieku — na przykład w odwróceniu się od Rosji elity Królestwa Kongresowego. Myśląc tak, chodzimy po ziemi, myślimy politycznie i pragmatyczniej od nieszczęsnych dysydentów

rosyjskich, a nawet czeskich, którzy obnoszą po świecie swoje rozczarowanie ideologiczne. Więc my mamy rację, ale ta racja jest myślowo nieciekawa, lokalna i nazbyt historyczna. Analogie, które nas tak frapują, nie ciekawią świata, który wciąż jest zagrożony przez marksizm (albo wciąż jeszcze od marksizmu czegoś się spodziewa) i chce wiedzieć, nie jak Polacy walczą z rosyjskim jarzmem, lecz jak wygląda marksizm w praktyce.

[...]

15 IV 1983

Nie ma innej śmierci, jak śmierć krzyżowa — w poniżeniu ciała, w męce i osamotnieniu. O pozorach, które wokół umierającego stwarzają bliscy lub podwładni, on sam nic nie wie, mimo wszelkich ulg i tak cierpi, mimo wszelkich honorów i tak jest poniżony on sam.

Tajemnica Ogrojca: wiedzieć o tym i zgodzić się na to. Być posłusznym i chcieć.

Ale to absurd: chcieć cierpienia, poniżenia i samotności. To absurd bez miłości Chrystusa i miłości człowieczeństwa. Miłość Chrystusa i człowieczeństwa to

świadectwo posłuszeństwa i dobrowolna zarazem solidarność z każdym cierpiącym człowiekiem i wiara w to, że w cierpieniu właśnie dokonuje się jego przebóstwienie, że przez zgodę na cierpienie i na śmierć, człowiek wchodzi w sferę Boskiej duchowości.

[...]

16 IV 1983

Chcę żyć. Cokolwiek na ten temat mogę powiedzieć, cokolwiek mi na ten temat podpowiedzą moje nerwy, zmęczone walką o życie —

życiem samym, to przecież chcę żyć, będę chciał żyć do ostatka, będę się życia kurczowo czepiał, będę o to życie błagał, skamlał z mniejszym lub większym poczuciem godności. Wolą życia napełniony jest wszechświat, kto się jej sprzeciwi, wyłamie się ze wspólnoty z całym stworzeniem i sprzeciwi się Stworzycielowi. Stworzyciel i stworzenie to jedno. Bóg jest bytem. Byt jest Bogiem. Miłość Boga i miłość życia to jest to samo.

— — —

Już druga noc bardzo spokojna, dziecko doskonale sypia. Dr Maciejewski wczoraj był u niej, zrobił jedną ze swoich niemądrych scen, po czym odezwał się do nas zupełnie mądrze, w tym sensie, że bez tego dziecka nie poznalibyśmy, co to jest szpital i co to jest cierpienie. — Cierpienie większe — dodałem. — Doskonale pan to ujął — wykrzyknął i dodał: — powiedziałbym nawet — zrobił pauzę i dokończył: — dziękuję.

Pan Soczawa jest niezrównany. Wczoraj o piątej zbudziła nas pani Władzia, pielęgniarka, mówiąca bardzo czystą krakowską gwarą: Idźciez do klozetu... Gdy ja wstałem, pan Soczawa zerwał się także. Ja wyszedłem, wróciłem i zastałem pana Soczawę siedzącego na skraju łóżka bardzo zamyślonego. Po dłuższej chwili zapytał:

— Ksiądz już był?

— Nie — odpowiedziałem.

— To kto nas zbudził? — zdziwił się pan Soczawa, przekonany, jak widać, że w półśnie przystąpił był do Stołu Pańskiego.

Ale ksiądz za karę nie przyszedł wczoraj w ogóle.

Niedziela, 17 IV 1983

[...]

Nie ma dla mnie innego wyjścia jak forma dziennika, którą od tylu lat uprawiam. Przepisać, uporządkować, wypełnić biografią, notatkami z lektur, i w ten sposób “zintegrować" siebie i swe “dzieło". A potem, jeśli Bóg pozwoli, ciągnąć dalej.

19 IV 1983

Po zdjęciu kobaltu: bardzo bolało. Leżę w malutkim przedpokoiku przejściowym, przez który chodzą tam i z

powrotem pacjenci z sali XI. Tam panuje jakiś mały panek, który podniesionym głosem wygłasza nieustanne perory. Przed chwilą usłyszałem: jak mnie przywrócą na urząd prokuratora, to zrobię porządek... Wrzeszczy tak głośno, że nie mogę się skupić nad lekturą. Życie duchowe w tym moim nowym miejscu będzie nieco trudniejsze.

[...]

20 IV 1983

Życie jako cykl tajemnic — “tajemnice" życia Chrystusowego, zawarte w cyklu różańcowym.

Cykl “tajemnic" jako przeciwieństwo “faz" rozwojowych. Cykl “tajemnic" — porządek wertykalny, porządek “wtajemniczeń", porządek zbawienia prowadzący do uczestnictwa w tajemnicach Bożych. Fazy rozwojowe — porządek linearny, fazy rozwijają się jedna po drugiej, ale się nie sumują, nie kumulują. Starość zaczyna się od początku w nieświadomości, tak jak młodość. Umiera się w nieświadomości.

Tajemnice życia: miłość, grzech, ofiara, upokorzenie, wzgarda, opuszczenie, rozłąka, pokój.

[...]

25 IV 1983

Baba z kuchni “kalwaryjanka" — jak o sobie mówi, znajoma Józia Sadzika, która mnie co dzień na schodach, gdzie rano spaceruję, wita opowieścią o czyjejś śmierci, uczęstowała mnie dzisiaj tak: A może jakoś pon wylizie... Dysc spod w sobote, ziemia sie zmocniła, sady kwitną, tak piknie na świecie, skoda byłoby teraz umirać...

Kraków, 28 IV 1983

Od przedwczoraj “na wolności". Wizyty, gadanie, spanie, chodzenie. Życie o wiele mniej prawdziwe niż w szpitalu. Na lewe oko prawie nic nie widzę.

Warszawa, 30 IV 1983

Obraz w zdrowym oku mam tak rozmigotany, że już nawet własnego pisania nie mogę odczytać.

1 V 1983

Trudniej w domu niż w szpitalu. Przystosowanie swoich ograniczonych nagle możliwości do zwyczajnego życia niesie z sobą irytację, upokorzenia, chaos. Wszystko jest trudne i nie ma tych tryumfów nad innymi chorymi, które odnosiło się w szpitalu.

5 V 1983

Rozruchy 1 maja, rozruchy 3 maja, wtargnięcie (dwukrotne) do kościoła i do klasztoru św. Marcina. Pobicie ludzi, porwanie chłopców, zdemolowanie apteki. Bicie ludzi na przystankach tramwajowych, czekających przed czerwonym światłem etc.

[...]

14 V 1983

Jan Paweł II. Rozmowy z Frossardem[1].

Wyjść poza siebie. Pozbyć się siebie. Być narzędziem. “Nie pragnę, abym wiedział, nie pragnę, abym widział, chcę, ażebyś się mną posłużył".

— — —

“Uwierzyć, to znaczy podjąć udział w posłannictwie Kościoła..." (J.P.II)[2]

[...]

Zielone Święta, 23 V 1983

Po pogrzebie Grzegorza Przemyka[3] (na który nie poszedłem zresztą, bojąc się tłumu, upału, zamieszania).

Mimo wszystko wątpię, aby zabójstwo chłopca było umyślne. Uprowadziliby go wtedy i porzucili zwłoki gdzieś daleko. A czy wzięli go umyślnie z planem pobicia, “dania nauczki" jemu, matce i całemu środowisku, czy też wpadł im w ręce, podchmielony i być może agresywny, i rozjuszył ich tam jakimś odgrażaniem się... Trudno powiedzieć. W każdym razie Prymas dostał dwa razy w twarz i

nie zareagował: napad na Komitet i — jakby przedłużenie — śmiertelne pobicie Grzegorza. Prymas powinien był wziąć tych ludzi w obronę. Dlaczego tego nie zrobił, a zamiast tego wspomniał tylko o “naruszaniu świętych miejsc"? Zabrzmiało to okropnie, bo co jest większą zniewagą dla Boga: naruszenie poświęconych miejsc czy znieważenie, pobicie i zabicie człowieka! Ale dlaczego Prymas jest taki ostrożny w swoich reakcjach?

Przypuszczam, że jest ustawicznie szantażowany faktami współpracy duchownych i świeckich działaczy z podziemiem, podobnie jak Prymas Wyszyński był kiedyś szantażowany współpracą z PSL-owskim i faszystowskim podziemiem. Po raz drugi Prymas Polski jest postawiony w niewygodnej roli gwaranta lojalności kościelnej. Musi składać różne przyrzeczenia i zobowiązania w zamian za administracyjne ulgi dla działalności Kościoła. Potęga, którą pyszni się niższy kler i jego podopieczni, jest opłacana upokorzeniami Prymasa i Jego niepopularnością. I nie tylko Jego

— odium spada na wszystkich biskupów, którzy muszą paktować z mniejszymi diabłami.

W tej sytuacji jest każdy, kto dziś zachował kierownicze stanowisko: prezes PAN, rektorzy uniwersytetów, dyrektorzy szkół i teatrów. Wszyscy oni swoją reputacją opłacają moralne luksusy opozycji, protestów, bojkotów. Jest to niewdzięczna rola. Zszargają ich współcześni, wyłają historycy.

Inna rzecz, że tym ludziom grożą też pewne zmiany moralne. Łatwo bowiem przejąć się punktem widzenia władzy. Czyż

Glempowi udręczonemu dwuznaczną rolą, jaką musi odgrywać, nie wyda się w końcu bliższy podobnie udręczony Jaruzelski niż jakiś gniewny proboszcz lub protestujący głośno, swobodny, przez Kościół utrzymywany intelektualista? Najgorzej, jak życie polityczne i intelektualne elit sprowadzi się do walki o reputację.

[...]

7 VI 1983

Po powrocie z Krakowa. “To wygląda dobrze" — powiedziała

prof. Machowa i pewnie wie, co mówi. A cała sprawa odeszła już ode mnie, bo normalna moja troska zajęła mnie w całości: co robić. Przyszło mi nawet do głowy wznowienie felietonów w “Tygodniku Powszechnym"[1], bo jednak najlepiej wypowiadam się w takich krótkich “propos"[2].

Wilga, 11 VI 1983

Niepewność. Można powiedzieć totalna niepewność, bo dotyczy wszystkich wymiarów rzeczywistości.

Za pięć dni przyjeżdża Papież[3]. Albo powie, czy uczyni, czy spowoduje coś nadzwyczajnego, tak jak cztery lata temu, albo nie powie, nie uczyni i nie spowoduje zgoła nic. Tak czy owak będziemy wstrząśnięci, bo albo wpadniemy w entuzjazm, albo w rozpacz, i po wyjeździe Papieża już nie będziemy tacy sami jak przedtem.

Jakie są pozytywne możliwości związane z przyjazdem Papieża? 1) — amnestia dla więźniów politycznych; 2) — zniesienie stanu wojennego; 3) — pomoc dla

rolnictwa poprzez Kościół; 4) — nowy styl polityczny, który Papież mógłby zapoczątkować; 5) — w najdalszej perspektywie jakaś nowa “redystrybucja" władzy w Polsce, uwzględniająca opinię i dezyderaty większości; 6) — reforma ekonomiczna oparta o nowy układ polityczny w kraju i o nową wizję Europy pojałtańskiej (ograniczenie roli partii, swobodniejszy przepływ kapitałów i technologii, liberalizacja przepisów walutowych i nowa ustawa o przedsiębiorstwach).

To jest to, czego społeczeństwo polskie mogłoby się spodziewać. Są to też zmiany, które mogłyby rzeczywiście rokować wyjście z kryzysu ekonomicznego i impasu politycznego. Czy są to nadzieje realne? Nie, oczywiście, nie.

Nie, bo Europa będzie ostatnim frontem, na którym ZSRR ustąpi wobec Zachodu. [...] Europa jest raczej modelowym przykładem koegzystencji. Dlatego tak pozostanie. Jeszcze w żadnej kancelarii ani w żadnej euro-atlantyckiej głowie nie urodziła się myśl o rozbiorze europejskiej części ZSRR.

Szwedzki Karol XII pozostaje wciąż tej myśli samotnym klasykiem bez następców, a polska irredenta od Kościuszki po Wałęsę jej nostalgiczną chimerą.

Ale ZSRR po śmierci Breżniewa[1] przeżywa nowy — trzeci w swych dziejach kryzys władzy. [...] ZSRR jest to dziś przepompowany balon, który może pęknąć przy lada wstrząsie. Nikt nie chce osłabiać ZSRR, ponieważ pełni on funkcję porządkującą na zbyt wielkich obszarach świata. Ale czy ZSRR wytrzyma swą własną wielkość i czy zdoła wyłonić bez zakłóceń

nową ekipę kierowniczą, która zapewni mu stabilność na następne 15–20 lat przy tym samym rozdęciu wewnętrznej i zewnętrznej potęgi? W to właśnie wątpię i to jest nowy — bodaj najpoważniejszy — element niepewności.

Tą niepewność podtrzymuje niepewność w Polsce. Niepewność przywódców, którzy nie wiedzą, jakimi zasadami się kierować i czego się z Moskwy obawiać, i niepewność społeczeństwa. [...]

Pierwszą nadzieją Polaków po włączeniu naszego kraju do radzieckiej strefy wpływów, i

ustanowieniu ustroju wzorowanego na radzieckim, był powrót do *status quo ante bellum*[2]. Na skutek nowej wojny lub wewnętrznego załamania ZSRR miałby utracić europejską strefę wpływów uzyskaną po pokonaniu III Rzeszy i Polska odzyskałaby status państwa samodzielnego, jakim była przed 1939 rokiem, a nawet wzmocnionego wobec osłabienia obu swoich groźnych sąsiadów. I miało to również oznaczać powrót do przedwojennego ustroju politycznego i gospodarczego z poprawkami na korzyść klasy

pracującej i chłopstwa. Ten stan umysłów utrzymywał się aż do 1956 roku. Gdyby ówczesny kryzys polityczny odbywał się w warunkach pełnej swobody politycznej, doszłoby zapewne w Polsce do odtworzenia przedwojennego spektrum politycznego, podobnie jak to się stało na Węgrzech w krótkim okresie rządów Nagy'ego albo w Czechosłowacji przed lutym l948 roku[3]. Ale inicjatywę polityczną przejęła wtedy PZPR i błysnęła mirażem reformy systemu, ukazując zarazem niemożliwość odtworzenia II Rzeczypospolitej w

nowych, powojennych warunkach geopolitycznych. Mirażem reform żyliśmy do 13 grudnia 1981 roku.

[...]

Wilga, 13 VI 1983

D.c. rozważań o tym, co będzie:

Najpierw miała to być reforma w duchu “oświeconej dyktatury proletariatu", czyli partii komunistycznej opanowanej przez liberałów-reformistów[1]. Tych ostatnich szybko Gomułka przywołał do porządku i realizował nadal stalinowski program forsownego

uprzemysłowienia, tyle że w oparciu o drobnotowarową gospodarkę wiejską, z której metodą kija i marchewki wyciągał tyle żywności, ile trzeba było na wykarmienie kraju i na eksport, umożliwiający zakup surowców i technologii. Nadzieją Polaków była wtedy stopniowa likwidacja absurdu, jakim było utrzymywanie kulejącego przemysłu kosztem kulejącego rolnictwa. Źródeł absurdu dopatrywaliśmy się w dogmatyzmie Gomułki, który pomimo korzyści, jakie ciągnął z rodzinnej gospodarki wiejskiej, patrzył na nią jak na kułackiego

diabła i popierał wszelkie formy przemysłowego chałupnictwa, tzn. “antyeksportową", krajową partaninę, zamiast kupować licencje z Zachodu, na który patrzył jak na diabła kapitalistycznego.

Następna reforma mogła być tylko taka, jaką wprowadził Gierek, technokratyczna w oparciu o kredyty i licencje zachodnie[2]. Wykonał to, na co wszyscy w kraju czekali, i ani on sam, ani chyba nikt w kraju nie zdawał sobie sprawy, że system nie zniesie nawet takiej reformy. A dalej już nie wiadomo, co robić: nie ma ani ideologii i dogmatów, których trzymał się Gomułka, ani kredytów, które uciułał Gierek. Próba “wywłaszczenia" państwa i przeprowadzenia reform od dołu w oparciu o masowy, autentyczny ruch społeczny skończyła się wprowadzeniem stanu wojennego i przejęciem kontroli nad przemysłem przez wojsko i — zdaje się — przez ekspertów RWPG. Polacy nie mają się czego spodziewać po PRL, której historia — jako formacji przejściowej — kończy się 13 XII 1981. Polacy już wiedzą, że o nowych zmianach i reformie w

Polsce zadecyduje bieg wypadków w Moskwie i w całym obozie wschodnim, a będzie to albo ścisła kontrola wojskowo-gospodarcza (jeśli nowa ekipa umocni się u władzy bez wstrząsów i na długo), albo — nie wiadomo co — jeśli proces przejęcia władzy będzie równie burzliwy, jak bywał dotąd.

Wilga, 22 VI 1983

[...]

"O jakości filozofii decyduje jakość bólu ludzkiego, który chce filozofia wyrazić i któremu chce zaradzić" (Józef Tischner, *Myślenie według wartości*)[1]. [...]

Na co cierpi dzisiaj człowiek w Polsce? Jaki człowiek? Przeciętny, statystyczny? Na co ja cierpię — bo ostatecznie w sprawach myśli i uczuć każdy może mówić tylko o sobie. Otóż na wszystko. Wszystko mnie, proszę księdza profesora, boli, i pytany o to, długo mogę mówić.

Cierpię oczywiście na kryzys. Męczy mnie niedostatek dokoła — niedostatek społeczny — dziurawa, łatana cywilizacja.

Cierpię na kryzys porządku prawno-moralnego, który wyraża się w instytucjach, w tym także takich instytucjach, jak Państwo,

Kościół, Literatura.

Cierpię na kryzys funkcji, czy też szerzej — na kryzys powołania, tzn. nie wiem, jak mogę się przydać; zawodzą mnie moje własne role.

Cierpię na kryzys odniesień, bo te, których się trzymałem, zawodzą: kryzys Zachodu.

Cierpię wreszcie na kryzys nadziei; po raz pierwszy uznałem, że czas pracuje przeciwko mnie.

Cierpię na kryzys pociechy i nadziei ostatecznej.

I co na to wszystko ksiądz Tischner? Na to wszystko proponuje filozofię “drugiego

człowieka".

Właśnie: doświadczenie człowieka w Polsce. [...]

— — —

Wizyta Papieża

Papież jest symbolem jedności i powszechności Kościoła. W Jego osobie przybywa, zjawia się Kościół Powszechny. Zjawia się Rzym. Rzym jest tam, gdzie Papież. Papież jest w Zimbabwe — Rzym jest w Zimbabwe. Papież jest w Hondurasie — Rzym jest w Hondurasie. Rzym był w Polsce. Każda diecezja, parafia, rodzina

zakonna i rodzina domowa znalazły się w bezpośrednim promieniowaniu Rzymu — świętego centrum Kościoła Powszechnego. Dla katolików jest to doznanie wybrania i jedności.

Ale przecież Kościół żyje Chrystusem, a nie Papieżem. Żywy Chrystus przebywa w każdej katolickiej świątyni; zjawia się i powtarza swoje zbawcze czyny w każdej mszy świętej, wszędzie, gdzie dwóch lub trzech zgromadzi się w Jego imię. Każdemu, kto uczestniczy w Eucharystii, daje łaskę wybrania. Biskup Rzymu nie reprezentuje

Chrystusa w większym stopniu niż biskup z Łomży i nie ma większej władzy nad Ciałem i Krwią Chrystusa niż proboszcz z odległej wioski. Więc po jakiż to cud idą mieszkańcy owej wioski, wędrując do Warszawy, Niepokalanowa, Częstochowy? [...]

Przyznam, że ulegam z tych okazji zarówno przyciąganiu, jak odpychaniu. Postanowiłem nie iść na Trasę, lecz poczekać przy TV — a jednak poszedłem i postałem, i przeżyłem ten wielki moment, kiedy odezwały się dzwony — i oklaski. Była to w całym słowa znaczeniu epifania jedności [...]

Ciągnąłem potem na stadion, gnany tym potężnym prądem...

Ale kiedy znajdę się w środku, mam ochotę uciekać. Wiać od tych barier, głośników, transparentów, od tych księży w koronkach i furażerkach... Ale w końcu ta kakofonia form, zachowań, dźwięków zwiera się wokół jednej osoby, w jednym punkcie i wtedy nie ma siły, która by mnie z tego miejsca ruszyła. I to jest epifania jedności. Jest widzialna w symbolu mitry i papieskiego krzyża. Wreszcie, kiedy przebrzmią oklaski, uspokoją się emocje — w

głośniku rozlega się cichy brzęk. To dzwoni trybularz i zaczyna się msza. Ta sama, co w każdym kościele. I wszystko zostaje sprowadzone do źródłowej epifanii Kościoła, jaką jest Eucharystia — właściwe centrum całego zgromadzenia i właściwe centrum Kościoła. Może ten ruch duchowego rozproszenia i zgromadzenia jest tym właściwym przeżyciem, jak przeżycie silnej burzy.

Epifania to objawienie czegoś, co jest, lecz jest ukryte; znane, lecz nie rozpoznane.

[...]

2 VII 1983

Bóg stworzył mnie, abym wypełniał dla Niego jakąś określoną służbę; powierzył mi jakąś pracę, której nie powierzył nikomu innemu.

Przeto będę Mu ufał. Czymkolwiek i gdziekolwiek jestem, nie jest możliwe, abym był odrzucony. Jeśli choruję, moja choroba może Mu służyć; jeśli mam trudności, moje trudności mogą Mu służyć; jeśli jestem smutny, mój smutek może Mu służyć... Urodziłem się, aby służyć Tobie, aby Twoim być, aby pełnić

rolę Twego narzędzia. Niechże będę ślepym narzędziem Twoim. “Nie proszę o to, abym wiedział, nie proszę o to, abym widział, proszę tylko o to, abyś się mną posłużył" (John Henry Newman).

Niedziela, 3 VII 1983

Lektura książki Tischnera. Czytam po raz drugi, jak gdybym czytał po raz pierwszy. W dalszym ciągu nie wiem, co z nią zrobić. Miejscami olśniewająca, miejscami nudna i mętna, a w ogóle tak rozdęta... Inna rzecz, że ja jestem po prostu niekompetentny do jej “oceny".

Wszystko, co mogę zrobić, to zapisać na jej marginesie jakieś glossy. Lub odtworzyć jej konstrukcję.

8 VII 1983

“O jakości filozofii decyduje jakość bólu ludzkiego, który chce filozofia wyrażać i któremu chce zaradzać". Co to znaczy?

To znaczy, że Tischner wbrew swym Mistrzom, wbrew Husserlowi i Ingardenowi, nie uważa filozofii za naukę, lecz ma ją na równi z poezją za wyraz ludzkich uczuć, aspiracji i doświadczeń, i na równi z moralistyką ma ją za narzędzie wychowania, rządzenia i zbawienia. Ma ją za służkę jakiejś większej rzeczy. W sławnych dziełach filozoficznych i na sławnych seminariach szuka języka i metody. Czy jest to “prawidłowe", “słuszne" stanowisko filozofa? Pewnie nie. Zresztą nie wiem, nie moja rzecz. Gdy to samo kto powie o literaturze, temu chętnie przyklasnę: relacja literatury i bólu wydaje się naturalniejsza. Choć i tu budzą się wątpliwości. Wyrażać ból i “zaradzać bólowi" to znaczy to samo, co nieść pociechę,

“krzepić serca". Czy nie to samo? Jeśli to samo, to sprawa ma swoją bibliografię i została jak gdyby “przegłosowana": bardziej ważkie głosy padły za prawdą — za tym, żeby ludziom prawdę w oczy mówić.

Ale to wszystko ogólniki. Nudne ogólniki. Kiedy filozof pisze takie zdanie o “jakości bólu" i filozofii i jeszcze rzuca piorunem: “kto tego nie rozumie, jest bliski zdrady", to znaczy, że mu serce krwawi. I nie warto się zastanawiać nad tym: “co ma filozof" albo “co ma poeta" (krzepić czy prawdę mówić), tylko zastanowić się nad tym bólem ludzkim. On jest na pewno. Pomówmy o tym, co jest na pewno, a potem zastanowimy się nad tym, co jesteśmy mu winni.

[...]

19 VII 1983

Konfuzja: nic nie idzie, nic się nie klei. Czytanie Tischnera i wokół Tischnera[1]. Próba napisania czegoś o wizycie Papieża, dla “Więzi"[2]. Głupstwa. Wszyscy sypią na ten temat sieczkę i ja sypię sieczkę. Sieczkę narodowo-religijną, polityczno-

ideologiczną.

[...]

20 VII 1983

Wizyta Papieża w Polsce w 1983.

Co to jest Polska roku 1983? Co to jest Kościół roku 1983? Co to jest papiestwo roku 1983? Jak się to wszystko ma do siebie? 1. Polska roku 1983 jest krajem, w którym trzasnęło wszystko naraz: a) ideologia; b) system ekonomiczny; c) system polityczny.

ad a) Ideologia lat siedemdziesiątych: że da się

Polskę przepchać do klubu krajów rozwiniętych drogą forsownej industrializacji za pieniądze zachodnie, nie naruszając zarazem politycznego *status quo*. Jest to niemożliwe: dochodzi do konfrontacji pomiędzy techniką produkcji a sposobem zarządzania. Aspiracje rosną, a gdy nie można ich zaspokoić na gruncie ekonomicznym, przenoszą się na polityczny. Forsownej industrializacji opartej o Zachód musiał towarzyszyć pewien liberalizm, który stanowił mylny sygnał dla opozycji.

ad b) Trzasnął system

ekonomiczny: zarządzanie nie przystosowane do nowoczesnej produkcji i nie przystosowane do niej planowanie. Państwo, które jest jedynym dysponentem surowców, energii i transportu “nie zdążyło" z energią, surowcami i transportem.

ad c) Trzasnął nie tylko system władzy, lecz także system sojuszów i układów: ani RWPG, ani EWG, ani pakt poczdamski, ani Helsinki nie są już tym samym, czym były przed polskim kryzysem.

22 VII 1983

Jest to może tragiczny głupiec, ale głupiec. Pierwszy z komunistycznych przywódców Polski, który zdaje się wierzyć w wersję historii, jaką sam stwarza, i wmawia narodowi i przeżywa ją z takim przejęciem, z jaką grafoman opowiada swoje fabuły. Według generała Jaruzelskiego to lekkomyślność, łatwowierność, niekarność, lenistwo, pycha, pijaństwo doprowadziły Polskę na skraj przepaści, a on musiał narodowi zadać bolesny, ale ozdrowieńczy cios, aby go ocalić. To Polacy rozłożyli gospodarkę swojego kraju. Generałowi na

ustach wiszą jakieś straszliwe, a wielkie cytaty z mów, jakie nad grobem Polski wygłaszali jej wielcy wychowawcy: może Skarga, może Piłsudski. Z lubością pewnie powtarza sobie słowa Wielopolskiego, że dla Polaków można jeszcze coś zrobić, z Polakami nigdy. A o goryczy polskich układów i mężów stanu ma pewnie całą antologię. I płacze nad nią, płacze nad sobą.

O tym, że gospodarka polska przestała funkcjonować na dwa lata przed wybuchem strajków i pojawieniem się “Solidarności" —

generał zdaje się zupełnie zapomniał. W tej chwili cała odowiedzialność za kryzys została zepchnięta na lekkomyślny naród, bezczelną opozycję i — oczywiście — na wrogów Polski zza Łaby, zza Renu i zza Oceanu. [...]

— — —

Oczywiście generał wspomniał o arogancji władzy i o tym, że protest robotniczy był uzasadniony. Natomiast nie przyjmuje do wiadomości — i to zdaje się rzeczywiście nie

przyjmuje do wiadomości — że kryzys ekonomiczny lat 1976–1980 był w istocie kryzysem politycznym, ponieważ ujawnił niekompetencję, korupcję, nieodpowiedzialność oraz wewnętrzne skłócenie aparatu władzy na wszystkich jego szczeblach. Nie wie lub nie pamięta, że w lecie 1980 władza naprawdę przestała funkcjonować, a to, że nie można było wyłonić wtedy żadnego zastępczego aparatu władzy, ujawniało niezdolność państwa do samoobrony. Wiadomo, że nikt w Polsce nie może rządzić bez zgody

Moskwy, więc gdy ci, na których Moskwa się godzi, są do tego niezdolni, może tu rządzić tylko sama Moskwa albo nikt. Ale Moskwa nie spieszyła się z decyzją, bo jest też do pośpiechu niezdolna; więc rządził, kto chciał, dopóki ostatecznie Moskwa nie wypchnęła Jaruzelskiego. Czy jest taki naród na świecie, który by w takich warunkach nie spróbował jakiejś formy samorządu? [...]

— — —

Nic do mnie nie trafia. Przeczytałem i przejrzałem

większość homilii papieskich i... pozostaję zimny. Nie, to nie Papieża wina. To moja wina. Wina polega na tym, że nie wyznaczyłem sobie we wspólnocie polskiej odpowiedniego miejsca, że nie przyjąłem na siebie w tej wspólnocie określonych obowiązków; że swoimi uczuciami, nastrojami, myślami, pracami, że swoim czasem manipuluję dowolnie, kapryśnie, że nie biorę za nic odpowiedzialności. Dlaczego tak jest? Bo tak jest pomyślany, a raczej tak został popsuty ten

szlachetny, zdawałoby się, zawód, który wykonuję. Zawód, którego nie można wykonywać w takiej samotności, izolacji...

...To nieprawda! Cała sztuka pisania polegała na tym, aby mówić do ludzi z głębi samotności.

Kraków, 25 VII 1983

Po kolejnym badaniu: bez zmian, we wrześniu na koagulację. Ten sam tryb życia, te same leki. Ale ja nie mogę już dłużej żyć tym samym zwolnionym trybem. Muszę podjąć pracę, i to intensywną. Całą energię

skoncentrować na Mochnackim i na literaturze okresu porozbiorowego. Skupić się na samych rozbiorach. Jak Polska upadła, jak upadała potem, dlaczego nigdy nie powstała naprawdę zdolna do życia.

Kraków, 26 VII 1983

Gdyby tak można siadać sobie co rano i spokojnie linijka za linijką, stroniczka za stroniczką pisać, co mi w duszy gra.

Ale mnie w duszy nic nie gra, a pisanie jest czynnością nerwową i męczącą. Zbyszek Herbert

twierdzi, że talent to po prostu łatwość pisania, i stąd złe jego mniemanie o talencie, który przypisuje Brandysowi, a nie przypisuje sobie. Co do mnie mam jakiś talent mizerny, felietonowy, publicystyczny, który byłby pewnie bardzo cenny w warunkach swobodnej wymiany opinii.

Mniejsza o to. Robić to, co można, i to, co umiem.

Warszawa, 31 VII 1983

Wiara: także w to, że moja praca przyda się Bogu, że Bóg ją

przyjmie nawet wtedy, gdy będzie, po ludzku sądząc, niewydarzona.

[...]

1 VIII 1983, 5[12]

Jestem do Twojej dyspozycji, a Ty będziesz wiedział, co zrobić z moim czasem i z moimi siłami. Będziesz wiedział, jak mnie użyć.

— — —

Każde roztargnienie jest zawinione. Jest to odwrócenie uwagi od przedmiotu trudniejszego i skierowanie jej na łatwiejszy; jest winą, grzechem, podobnie jak grzechem jest

roztargnienie przy modlitwie. Modlitwa jest najczystszą formą skupienia; jest wzorem wszelkiego skupienia, wzorem wszelkiej pracy. Prawdziwa modlitwa, doskonała modlitwa jest momentem najintensywniejszego, najdoskonalszego, najczystszego istnienia.

[...]

4 VIII 1983

Męka czytania: nie wiem sam, czy to męka oczu, mózgu czy woli. Dość, że jest to męka roztargnień, senności, męka niezrozumienia i niepamięci, która

mi odbiera wszelką przyjemność i skłania do dziecinnych ucieczek od książki. Od kiedy tak jest — spyta każdy lekarz. Niestety od zawsze.

[...]

14 VIII 1983

30. rocznica naszego ślubu. Szczęśliwa rocznica, którą świętujemy w zdrowiu i w zgodzie razem z naszymi dziećmi. Niech będzie za to Bóg uwielbiony.

Wilga, 22 VIII 1983

ZLP rozwiązany[1]. *They did it!*[2] Nie mogę się nadziwić, choć teraz, gdy się nad tym zastanawiam, wydaje się to jedynie logiczne.

23 VIII 1983

Wybrać punkt wyjścia, moment początkowy.

Zaczęło się to dla mnie od wiadomości w gazecie o poruszeniu się frontu wschodniego. Front był o jakie 80–100 km, więc o godzinę, półtorej, szybkiej jazdy samochodem, o parę minut lotu dla samolotu, o parę sekund dla odgłosu dział. Był blisko i w tej

jego bliskości żyliśmy od lipca, kiedy się tam — gdzieś pod Jasłem (podobno zupełnie zniszczonym), gdzieś za Tarnowem — zatrzymał. Ci, co wyjeżdżali na budowę okopów pod Bochnię, słyszeli działa. Ponad murem Lubomirskich (gdzie stali lotnicy, a wraz z nimi, w bocznych pawilonach, kobieca służba pomocnicza, tzw. Blitzmädel[1]) i ponad widniejącymi z dala dachami will Osiedla Oficerskiego, które nas oddzielało od lotnisk w Rakowicach i Czyżynach, widzieliśmy startujące pionowo w

niebo myśliwce, messerschmitty, które po zatoczeniu szerokiego kręgu odlatywały na wschód. Nad ogrodem zakładowym zniżały swój ciężki, grzmiący lot nadlatujące z zachodu transportowce. Od zmierzchu obiegała w koło widnokrąg latarnia sygnałowa, ukazująca drogę powracającym do bazy samolotom, nie znającym jeszcze radaru. I było to jedyne światło nad miastem, które pogrążone było w ciemnościach całkowitego, absolutnego zaciemnienia. Jesienią i zimą człowiek, który wychodził na ulicę bez własnej

latarki, nawet na dobrze znanej ulicy stawał bezradny przed ścianą ciemności i przed otchłanią pod nogami. Te latarki też trzeba było osłaniać.

Na rogach ulic Niemcy wznieśli betonowe bunkry ze strzelnicami, na skrzyżowaniach ustawiali wysokie słupy, które po przewróceniu miały blokować przejazd. W basenach wykopanych na miejscu dawnych zielonych skwerów cuchnęła woda, przygotowana na wypadek zniszczenia wodociągów. Okna domów zaklejono na krzyż paskami papieru, aby szyby wylatywały z nich w całości, a nie rozpryskiwały się w drobny mak. Patrole chodziły po mieście z bronią gotową do strzału, a przejścia przed budynkami publicznymi zajętymi przez urzędy i wojsko zagrodzone były zasiekami z drutów kolczastych.

Coraz częściej wyłączano prąd; coraz częściej tramwaje zjeżdżały do remiz przed zmierzchem.

Gazety w niedzielę sprzedawał kaleka stojący u wylotu ulicy Ariańskiej, pod murem zakładu, przy ścieżce, którą ludzie z Osiedla i z Mogilskiej szli na mszę

do karmelitów na Rakowicką. Stał ruszając głową akurat przy napisie “AKczówa" — z błędem, który widniał tam wyraźnie, mimo że go kiedyś, na polecenie policji, próbowałem zdrapać. Kaleka miał brezentową torbę z polskiej maski gazowej pełną sobotnich “Gońców"[2], w których nie było jeszcze wiadomości o ofensywie rozpoczętej w piątek, i “Krakauerów"[3], w których wiadomość ta widniała na drugiej stronie. Ojciec zaraz ją wypatrzył, gdy tylko przyniosłem mu “Krakauerkę" od kaleki. Nazajutrz, w poniedziałkowym “Gońcu" wiadomość była już na pierwszej stronie i na pierwszym miejscu. Ojciec i Smok poszli rano normalnie do swoich biur, a ja po południu na lekcje do Liberdy. Mama została w łóżku. Twierdziła, że ma zapalenie płuc z gorączką, ale odmówiła wszelkiej pomocy oraz termometru. — Bóg — powiedziała z mocą, patrząc na sufit — będzie wiedział, co zrobić z tą chorobą, skoro zechciał mi ją zesłać.

Dała przez to do zrozumienia, że może właśnie teraz umrze.

— — —

Koniec okupacji: podsumowanie. Różne poziomy okupacji i ich nieprzystawalność, np. *quasi*-normalność życia domowego i zawodowego terroru i jednoczesnego oddalenia się wojny; przygotowanie do życia w totalnym ustroju, który właśnie takie więzi zrywa. Przykładem życie Kościoła, względnie w ogóle życie Krakowa — najnormalniejszego z polskich miast.

Wkroczenie: rozpad porządku. Polska “demokratyczna": obcość i

dobra wola; oznaki budzące lęk i budzące nadzieję.

Nic nie przeniknęło tu z Lublina. “Polska lubelska" stanowiła zamknięty rozdział, jak gdyby obcej historii[1]. Podobnie historia okupacji sowieckiej. A co by było, gdybyśmy to wszystko znali, albo raczej: cośmy powinni wiedzieć. I cośmy mogli wiedzieć. A czegośmy wiedzieć nie mogli?

Szkoły, uroczystości, powroty, pragnienie normalności.

3 maj 1946. Wakacje w środku wojny domowej. Jak naprawdę wyglądała ta wojna domowa w skali kraju. Fikcja i rzeczywistość.

Fikcja tworzona wówczas przez propagandę, utrwalona przez literaturę i film. Dzieje NSZ, WIN-u i UPA. Fikcja sentymentalna: Konwicki.

I tak dalej: opowieść historyczna i prywatna zarazem, z postacią Matki, jako figury Polski, coraz bardziej pogrążającej się w chorobę. Z postacią Ojca, którego starania podobne były do wysiłku tych Polaków, którzy kraj pomimo wszystko próbowali utrzymać w jakiej takiej normie. Z postacią Smoka, który nic nie rozumie i nie chce rozumieć, i mnie, który rozumie za dużo i w tym "przechytrzeniu" gubi duszę.

Powrót do domu na Warszawską umożliwi opowieść o tymże domu w czasie okupacji i o Kościele w czasie okupacji i o zmianach, jakim podlega po wojnie.

Pytanie, do jakiego czasu tę opowieść doprowadzić. Może do 11 XI 1981?

24 VIII 1983

"...ludźmi zdolnymi wydać genialne dzieła nie są ci, co żyją w najsubtelniejszym środowisku, najświetniejsi w rozmowie, najbogatsi w kulturę, ale ci, co

przestając nagle żyć dla samych siebie, zdołali uczynić swoją osobowość podobną zwierciadłu, tak że ich życie, przy całej swojej towarzyskiej, a choćby nawet intelektualnej mierności, odbija się w nim" (Marcel Proust).

Warszawa, 27 VIII 1983

Jak kryzys “pewnej historycznej interpretacji chrześcijaństwa", o którym mówi Tischner, mając na myśli interpretację tomistyczną, może nie być jednocześnie kryzysem wiary? [...]

28 VIII 1983

Otóż może to nie być kryzys wiary, ponieważ zmiany w interpretacji historycznej i w języku następują równocześnie z przemijaniem pokoleń; każde pokolenie zastaje sytuację nową. I to jest ta “dziejowość zawierzeń", o której mówi Tischner[1].

29 VIII 1983

Jeszcze nigdy w życiu nie “zatkałem się" tak, jak z tą książką Tischnera. Jest to w gruncie rzeczy dla mnie lekcja pokory. Po prostu co krok wychodzi na jaw moje niedokształcenie i — co

gorsza — nieumiejętność myślenia. Po cóż podejmuję się czegoś, czego nie potrafię?

Ale może dobrze będzie dać wyraz swojemu podziwowi dla Tischnera i jego myślenia?

3 IX 1983

... Kryzys pewnej historycznej interpretacji chrześcijaństwa. Nie tylko: jest to kryzys religijnej formacji człowieka. Na tę formację składają się trzy przeświadczenia: 1) że Bóg nas stworzył; 2) że Bóg nam pomaga (lub szkodzi); 3) że Bóg nas zbawia.

I innymi słowy: religia wyjaśnia tajemnicę początku, kresu i losu. Skąd się wziąłem, co się ze mną stanie i dlaczego mam życie takie, a nie inne.

We wszystkich tych trzech kwestiach powstały dziś wątpliwości. Co do stworzenia — wobec powszechnej akceptacji ewolucji. Co do losu — wobec przewagi racjonalnych czynników w interpretacji zdarzeń losowych: choroby, klęsk żywiołowych... Co do śmierci — wobec usunięcia śmierci poza obręb świadomości. [...] W każdym razie religijna interpretacja narodzin, losu, śmierci, jako tajemnic,

niezbadanych wyroków etc. nie jest już jedyna, wyłączna.

Chrześcijaństwo jest jedyną religią, która ostała się w społeczeństwach o wysoko rozwiniętej edukacji, uprzemysłowieniu i technicyzacji. Ale przetrwało nie w tych kluczowych elementach światopoglądu religijnego.

Kryzys chrześcijaństwa polega na pozbywaniu się elementów magii i mitologii. Chrześcijaństwo jak statek kosmiczny odpala poszczególne człony. Bo przecież ono od samego początku zmienia swój charakter. Z lektury *Dziejów*

apostolskich widać, że tym, co przyciągało do Chrystusa i apostołów była moc wypędzania demonów i uzdrawiania. Potem był to stosunek do śmierci — kult zmarłych. Potem — czekanie na powrót Chrystusa i rychłe zbawienie świata. Potem akcent na oczyszczenie z grzechów i stopniowe wyłanianie się (już nie męczeńskiego) ideału świętości. Wreszcie powstanie modelu doskonałego życia — chrześcijańskiego — niejako świętości dla wszystkich. Odpadają elementy zabobonu, fanatyzmu, masochizmu,

hipokryzji, elementy mitologii, pseudonauki (które pojawiły się w chrześcijaństwie jako odpowiedź na naukę “świecką").

Co jest tym, co się nie zmienia? Jaka jest nasza żywa więź z dawnymi chrześcijanami? Z pierwszymi chrześcijanami, z apostołami, z tłumem otaczającym Chrystusa? Kiedy są nam najbliżsi? Chyba wtedy, gdy nie mogą Chrystusa zrozumieć, ale idą za Nim. I to jest, zdaje się, kryzysowe centrum chrześcijaństwa: z systemu wyjaśniającego, którego nie potrzebujemy, na tajemnicę —

tajemnicę samej wiary. I wiara, będąca dotąd tym, co wiara naukowa czy polityczna, to znaczy posłuszną akceptacją systemu, staje się czymś innym, czymś, czego nie umiem nazwać, czymś, czego najbliższy może jest Tischner mówiący o “dziejowości zawierzeń".

Kryzys świadomości religijnej: kończy się religia jako system wyjaśniający i zabezpieczający. Odsłania się w religii świadomość człowieka transcedentalnego. Teologia staje się antropologią transcedentalną — nauką o człowieku myślącym i mówiącym

o Bogu.

[...]

Wilga, 11 IX 1983

Pamiętaj: miarą wartości pracy nie jest ani rezultat, ani uznanie ludzkie. Wykonuj pracę na mocy twej tajnej umowy z Bogiem. Bóg i ty wiecie, na coście się umówili. Bóg wywiązuje się zawsze, ty nigdy. [...]

Wilga, 12 IX 1983

Tematem, którym warto się zająć jawnie, jest pisanie historii *ad usum Delphini*[1]. Pisanie tej historii dawnej i pisanie tej historii

najnowszej. Czyż bowiem historia “Solidarności" i w ogóle cała historia PRL (a także historia II Rzeczypospolitej) nie jest przedmiotem takich samych operacji mityzujących, jak historia dawna uprawiana od rocznicy do rocznicy. Teraz opowiadamy sobie duby smalone o królu Janie[2], niedawno opowiadaliśmy duby smalone o królu Stanisławie Auguście (z okazji rocznicy Komisji Edukacji i Konstytucji 3 maja); jeszcze niedawno o Janie Kazimierzu z okazji Ślubów oraz Obrony Częstochowy, a także o nieszczęsnym Mieszku z okazji

Millenium. I zawsze to jest rywalizacja historyków państwowych z kościelnymi, jak gdyby trwała u nas sytuacja średniowieczna i tylko dwór królewski i biskupi utrzymywały swoich kronikarzy, płacąc za zmyślanie faktów, jak gdyby nadal trwała rywalizacja Galla Anonima z Wincentym Kadłubkiem. Demityzacja jest pewnie też głupim zajęciem, ale czy nie ma w historiografii jakichś szlachetnych wzorów prawdy i sprawiedliwości?

Kłamstwo historyczne jest najpospolitszą i najszerzej przyjętą formą kłamstwa. W znacznej mierze opiera się na nim edukacja. Ono też jest podstawą wszelkiej propagandy. Od kłamstwa szkolnego na temat historii zaczyna się oddziaływanie propagandy na obywatela. Moja dyskusja w szkole na temat niegodziwości użycia pogan w walce chrześcijan przeciwko chrześcijanom: aspirantka prowadząca lekcje o wojnach polsko-niemieckich za Mieszka I i Henryka II (czy III) pouczyła nas, że taką niegodziwością było korzystanie przez Niemców z pomocy pogańskich Lutyków. A

ja na to: przecież Jagiełło użył Tatarów przeciwko Krzyżakom? Na to aspirantka z bezradnym uśmiechem: “tak, ale ty tego jeszcze nie wiesz!" Dialog ten wywołał wielką uciechę na ławce profesorów, przed którymi aspirantka zdawała egzamin z prowadzenia lekcji. Kilku z nich podeszło potem do mnie z zapytaniem, skąd o tym wiem. Przeczytałem o tym w *Grunwaldzie* Przyborowskiego, gdzie się zresztą tym faktem gorszył któryś z bohaterów[1].

Historia jako instrument wychowania (*magistra vitae*[2]), jako paradygmat prawdy. Bo niby gdzie, w jakiej nauce można wypróbować zdolność do mówienia i przyjmowania prawdy, jak nie w historii? Ale wiemy, że historia — polityka, wojny i gospodarka — jest dziedziną zła *par excellence*[3]. [...]

Historia jest grzechem, powiedział św. Augustyn. Chrystus “wchodząc w dzieje" nie usprawiedliwia ich (“królestwo moje nie jest z tego świata"). Przeciwnie, ukazuje drogi do zbawienia prowadzące przez inne

sfery działania ludzkiego: przez uczynki wiary i miłosierdzia. Jest to droga biegnąca obok dróg, którymi prowadzi ludzkość “książę tego świata".

Otóż z Chrystusowego punktu widzenia nie powinno się mieć litości dla zdarzeń, które mają miejsce (rozgrywają się) na drogach owego “księcia", na drogach historii. Czyż jej pośrednią krytyką nie jest osiem błogosławieństw? Czyż nie dość wymowne są w Ewangelii postaci polityków — Heroda, Piłata, faryzeuszy? Dlaczego więc Kościół uprawia również katechezę poprzez historię świecką? Czyżby to była pozostałość po Państwie Kościelnym? Czy wyraz kompromisów taktycznych z “księciem tego świata"? Bo jakże inaczej wytłumaczyć apologię “Świętej Ligi"[1]? Albo krucjat?

— — —

Więc zagadnienie prawdy w historii; przypuszczam, że miałbym niejedno “w tym temacie" do przeczytania. Osobnym problemem jest powieść historyczna. Jest to właściwie

gatunek literacki jakby stworzony na to, aby przedarłszy się przez naukowe, edukacyjne i propagandowe fikcje, wejść w skórę żyjących w danym czasie ludzi, razem z nimi cierpieć, drżeć ze strachu, umierać, tracić najbliższych, ulegać przemocy, pozwolić się zwodzić kłamstwu i dochodzić do gorzkiej wiedzy o matactwach historii, jaką mają zawsze współcześni, których nie mogą oszukać “malowane dzieje". Tymczasem właśnie powieść historyczna stała się potężnym czynnikiem mitotwórczym i wpłynęła na zamącenie świadomości historycznej fikcją. Jakże po Sienkiewiczu odkłamać historię wojen kozackich albo potopu szwedzkiego? A jaki wpływ miała literatura romansowa na stworzenie postaci ks. Józefa Poniatowskiego czy Tadeusza Kościuszki? O ile kreacją literacką jest Napoleon? Mało tego: powieść historyczna, poezja (np. poematy Torquata Tassa) wpłynęły na potanienie krwi i życia ludzkiego. Bo przecież ścinanie głów czy patroszenie brzuchów nieprzyjacielskich należy tam do wielce malowniczych motywów. Ile jest

w całej literaturze takich spojrzeń na historię, jak opis Stendhala bitwy pod Waterloo[2], czy Tołstojowski opis bitwy pod Borodino? [...]

Ale patrzcie: mamy sytuację wartą “temuaniażu"[3] — dziwną polską wojnę, i co? Już łżem. Bo Nowakowski i Konwicki to łgarstwa. Jedno w sceptycznym, drugie w groteskowym stylu, ale łgarstwa *ad usum Delphini*, czy narodu zasmuconego, upokorzonego. Narodu, który jest znów w beznadziejnej sytuacji, więc czeka pociechy,

pokrzepienia...

Opowiadanie o wojnie polsko-jaruzelskiej nie ma wielkiego sensu. Ta wojna nie ma sama przez się ciężaru gatunkowego, nabiera go dopiero w powiązaniu z całą historią.

PRL jako obraz jej katastrofy.

— — —

...Poszedłem więc na Poselską. Idiotyczne to były kursy u Liberdy; nie wiem nawet, kim był ten Liberda. Zapisałem się na te kursy późną jesienią po to, żeby mieć jakąkolwiek legitymację.

Uczono nas tam chyba tylko niemieckiego i księgowości, albo tylko księgowości, bo jakoś żadnego innego przedmiotu nie mogę sobie przypomnieć. Ani też innego “profesora" poza panem Zakrzewskim, którego znałem jeszcze ze starej handlówki na Brzozowej.

Był to bardzo wysoki, bardzo szczupły pan o rysach ostrych, lecz całkowicie kobiecych; bardzo jasne, prawie białe, choć nie siwe, miękkie i puszyste włosy, zaczesane na bok i zakręconym puklem spadające na skroń, czyniły go podobnym do starzejącej się chłopczycy. Słynął kiedyś z erotomanii, obscenicznego języka, brutalnych ocen i przekupstwa: uczniom, których ścinał, proponował prywatne, płatne lekcje. Mnie nigdy nie uczył.

Jego uczniowie wyrażali się o nim z rodzajem uznania, jakim cieszą się często ludzie wyzywająco źli czy nieuczciwi. Czy to, że nie ukrywają swych skłonności, czy to, że robią jawnie to, co inni chcieliby też robić, czy to, że zło jest po prostu atrakcyjne, dość że uczniowie Zakrzewskiego opowiadali o jego ekscesach z

takim upodobaniem, jakby sami chcieli się nimi ozdobić. Dodawało mu specyficznego uroku także to, że uczył księgowości również w żeńskiej szkole handlowej, która mieściła się opodal naszej, w tej samej żydowskiej dzielnicy opuszczonej przez Żydów, również w gmachu żydowskiej szkoły, przy ulicy Estery.

Na tę ulicę, po skończonych lekcjach, ruszały od nas wyprawy — jak mówiono wtedy — “dżolerów" (był to odpowiednik dzisiejszego *playboya*), którzy mieli tam swoje panny, albo tych odważnych, którzy umieli je zaczepiać i zdobywać. Albo wreszcie udręczonych pożądaniem i nieśmiałością gapiów, którym za całą przyjemność wystarczyło przyglądanie się wychodzącym, tworzeniu się par, [przysłuchiwaniu się] słowom, zaczepkom, i tylko jakimiś okrzykami, gwizdami lub małpimi figlami kibicowali dżolerom w akcji. Iść na Estery to znaczyło tyle, co kiedyś “na deptak", jeszcze dawniej na bal publiczny. Bliskość owej Estery sprawiała, że ostatnie lekcje w naszej szarej budzie na Brzozowej były dziwnie

podniecające. Jeszcze wlokła się szkolna nuda, ale już tam ktoś w tylnej ławce, gdzie zwykle siedzieli dżolerzy, ustawiał lusterko za plecami kolegi i kryjąc się równał przedziałek, albo inny, schyliwszy się, pucował flanelką “oficerki", jakie wtedy były w modzie pomimo astronomicznych cen. Co do mnie, w ogóle nie chodziłem na Estery, bo byłem zbyt nieśmiały i niepozorny na “podwalanie się", a zbyt ambitny na gapiostwo. Odchodziłem w przeciwną stronę z wzgardliwą miną, cierpiąc po swojemu.

Na kursy owego Liberdy zapisałem się nie tylko dlatego, że dawał legitymację jako tako chroniącą przed przymusem pracy, ale także dlatego, że były to kursy koedukacyjne i że miałem tam nadzieję zasiąść w jednej klasie, na jednej ławce z absolwentkami Estery. Co się też stało.

Wszystko to razem trwało już miesiąc. Nauki sobie w ogóle nie przypominam. Owszem, pana Zakrzewskiego, w tym samym, co na Brzozowej, seledynowym garniturze ze złotą dewizką w klapie marynarki, spacerującego po brudnej, ciemnej klasie i wygadującego jakieś androny

(sam zdaje się nie wiedział, co ma z nami robić).

Pamiętam natomiast towarzystwo. Znalazł się po męskiej stronie jeden z czołowych dżolerów z Brzozowej, niejaki Wiktor, zwany Zębulem, bardzo przystojny, rosły, rumiany, ozdobiony bujnymi, kasztanowatymi włosami, bogaty rzeźniczy syn z Grzegórzek, ubrany we wspaniałe oficerki i srebrnopopielate bryczesy, posiadacz złotego sygnetu i złotego pióra. Ten wodzirej i zdobywca serc mówił najczystszą grzegórzecką gwarą. Stworzył wokół siebie natychmiast drużynę wielbicieli i na ich czele wyruszał zwykle na Esterę, gdzie zresztą nie wdawał się z byle kim, bo miał “swoją pannę". Po damskiej stronie znalazła się też piękność w oficerkach, w kapeluszu filcowym fantazyjnie ułożonym na ondulowanej głowie, również gwiazda z Estery. Oboje natychmiast utworzyli parę, a wokół niej powstała gromada męskich i damskich pryszczatych, byle jak odzianych, nieśmiałych szaraczków, którym to zbliżenie szczęścia jakoś nie dało, mimo że lekcje odwoływano, zaś na ulicach

panowały zupełne ciemności. Owszem, było jakieś odprowadzanie, pamiętam marsz przez most i manewry nieśmiałych rąk i ust. W tym frontowym, absolutnym *Verdunkelung*[1] te nasze brzydkie, biedne panny, wydawały nam się piękne i budziły tyleż pragnień, co nigdy nie widziany, legendarny “tłum na Estery", o którym marzyłem.

Przed samymi świętami zjawiła się Marysia. Dziewczyna wysoka, dość tęga, z ogromną szyją, złotą czupryną, z zadartym noskiem, wąskimi ustami, śmiałymi oczami. Weszła, przywitała się naturalnie, jakbyśmy wszyscy byli tej samej płci, i natychmiast rozproszyła nastrój skrytej i podstępnej pożądliwości, który wśród nas panował. Przywiązała też natychmiast do siebie wszystkich chłopców, z wyjątkiem Wiktora, który przychodził tylko po tę swoją donnę i zabierał ją natychmiast, gdy tylko przyszła — nie omieszkawszy przedtem opowiedzieć o niej jakichś obrzydliwości. Szli do kina. Dżolerzy tym się także różnili od reszty, że chodzili do kina nie bacząc na społeczny zakaz. To

chodzenie do kina, obciążone potępieniem opinii, służące wyłącznie erotyce, było prawie równoznaczne z uczęszczaniem do domu schadzek, czy na późniejsze prywatki po ciemku. Spośród tych szaraczków, z którymi zostawałem, nie wszyscy od kin stronili. Ktoś tam później przechwalał się, że jedno z owych biedactw, które raz odprowadzałem na Sienną (koniec świata!), zabrał do kina i miał sukcesy, o których ja bym się nawet śnić nie odważył. Marysia natomiast wzgardziła kinem i tymi, co tam chodzą. Stworzyła sobie dwór odprowadzaczy, dwór, którego stylem była cnota i koleżeństwo. Górowała nad nami wzrostem, zdaje się też wiekiem, maszerowała stukając mocno swoimi oficerkami (pod tym względem należała do uprzywilejowanych) i wlokła nas aż na Czarną Wieś, hen za szpital i kościół Misjonarzy. Tam mieszkała. Szedł Mietek Mucha, Andrzej Gawlik, mały debil Michalski. Może geniusz księgowości Pręcik. Jeden Mietek szedł w swoją stronę, bo mieszkał w Bronowicach. Ja natomiast mieszkałem na drugim końcu

miasta i linii tramwajowej, bo w okolicach cmentarza, Andrzej w Borku Fałęckim, Pręcik gdzieś w Podgórzu, Michalski koło Rynku. Każdy po odprowadzeniu Marysi miał dobrą godzinę marszu przed sobą, bo na tramwaj po zapadnięciu zmroku nie było co liczyć. A Marysia miewała kaprysy i znalazłszy się pod domem na Juliusza Lea, naraz oznajmiała, że ma ochotę jeszcze się przejść, zawracała do miasta, aby np. mnie odprowadzić pod cmentarz. Tam wsiądzie w tramwaj. Szła więc cała gromada z powrotem ciemną Karmelicką, ciemnymi Plantami, koło Dworca, pod most huczący kołami nowych transportów — aż na Rakowicką, w pobliże kręcącej się wkoło świetlnej smugi, wskazującej drogę samolotom. Idąc Rakowicką wypatrywaliśmy w jej ciemnym, szeleszczącym zeschłymi liśćmi tunelu światełka tramwaju bladego jak kaganek zawieszony u masztu łodzi rybackiej. Jeśli go nie było, znaczyło, że już nie będzie. Zawracaliśmy więc już sprzed cmentarnej bramy i rozpoczynaliśmy marsz ku miastu, do Czarnej Wsi. Godzina tam i nowa godzina z powrotem! Raz

trwało to około trzech godzin. Marysia lubiła chodzić i wodzić za sobą wielbicieli. A myśmy uczyli się służb u kobiety — wierności, wytrwałości, cierpliwości, i poznawaliśmy jej nieobliczalną duszę w ciemnościach frontowej nocy.

Na Boże Narodzenie zaprosiła nas wszystkich na podwieczorek do domu. Było to moje pierwsze, samodzielne wyjście z wizytą, nie licząc oczywiście “męskich" imienin. Prasowałem pumpy, próbowałem różnych ojca krawatów. Umówiliśmy się w mieście wszyscy — Andrzej, Michalski, Pręcik, z wyjątkiem Muchy, który miał przyjść z Bronowic. — To są moi chłopcy — przedstawiła nas rodzicom, gdyśmy razem weszli. Siedzieliśmy wokół okrągłego stołu, nakrytego złotym, lśniącym jak brokat obrusem. — Jaki piękny obrus — powiedziałem, myśląc, że matka powiedziałaby o nim to, co o złotej kapie na łóżku cioci Rysi, że jest “taki sobie". Mieszkanie było ciasne, pełne lśniących mebli, talerzyków, firanek, wazonów. Na ścianach wisiały religijne oleodruki i fotografia w złotych ramach.

Marysia na tym tle wydawała się pospolitsza...

[...]

19 IX 1983

Rosenthal[1] jest pełen podziwu dla postawy moralnej Polaków i pełen współczucia dla ich sytuacji. Mało kto tak dobrze zrozumiał ponury idiotyzm codziennego życia w Polsce. Rosenthal natomiast nie może zrozumieć polskiego sposobu myślenia. Nie może mianowicie zrozumieć, dlaczego Polacy nie biorą w swych rachubach pod uwagę reakcji sowieckich, które nie są dla nikogo zagadką. A także, co w

ich języku politycznym znaczy “cud".

A czy my to wiemy? Czy my potrafimy te cechy naszego myślenia opisać?

Skąd my czerpiemy wskazówki na temat prawdopodobnego zachowania Sowietów? Odgadujemy je z postępowania “naszych" komunistów, podobnie jak więzień ocenia sytuację polityczną w kraju wedle zachowania strażników. Gdy klawisz łagodnieje i pozwala w dzień wylegiwać się na pryczy, to znaczy, że szykuje się zmiana rządu, dyktator umarł albo wojna

wisi w powietrzu. Więzień oczywiście łatwo popełnia pomyłkę i ulega złudzeniu, myli bowiem skale wydarzeń, nie bierze pod uwagę nieprawidłowości w funkcjonowaniu systemu, a poza tym — życzenia swoje łatwo bierze za rzeczywistość. W sierpniu 1980 wszystkich nas zwiodło zachowanie naszych nadzorców.

Dlaczego tak miękko przyjęli strajki lipcowe, w tym prawie generalny strajk w Lublinie? Dlaczego puszczali na prawo i lewo sygnały, że strajki trzeba zalegalizować? Dlaczego mówili głośno, że należy zrewidować przestarzały ustrój, żywcem przeniesiony z Rosji, ukształtowany w czasie rewolucji i wojny domowej? (Co mówił Rakowski w ZLP...) Dlaczego mimo okresowych usztywnień i kryzysów Jagielski, Barcikowski i Żabiński tak łatwo godzili się na wszystkie warunki? Wszystko to stworzyło fałszywe wyobrażenie o upadku systemu, a brak reakcji z Moskwy wskazywał na zielone światło dla strukturalnych zmian, które — jak sądziliśmy — Moskwa uznała za konieczne

wobec rozkładu gospodarki w niespotykanej dotąd skali.

Nie wzięliśmy pod uwagę dwóch okoliczności. W polskim kierownictwie głównym motywem postępowania był wtedy strach przed odpowiedzialnością; obawiano się naprawdę ludowego gniewu i wieszania na latarniach. Moskwa zaś reaguje ociężale, powoli, potrzebuje dużo czasu na zebranie informacji, a tym kryzysem polskim była po prostu zaskoczona. Trzeba poza tym uwzględnić efekt psychologiczny, jaki na wszystkie kręgi rodzimego i radzieckiego aparatu władzy ma

kłamstwo. To, co nam się wydawało oczywiste — że mianowicie gospodarka leży — nie było oczywiste ani dla Gierka, ani dla Breżniewa. Obaj potrzebowali dużo czasu, aby zorientować się w sytuacji, czyli wygrzebać się spod kłamliwych raportów. Na dole, czyli na szczeblu sekretarzy wojewódzkich już znano prawdę. Oni też reagowali szybciej i na serio lękali się o swe głowy.

Dlatego nauka na przyszłość: nie należy po zachowaniu “dołu" wnioskować o intencjach “góry". Klawisze wiedzą częściej coś,

czego jeszcze nie wie kuchnia, choćby dlatego, że są blisko nas. Ale decyzje podejmuje kancelaria. Od nas się uczą i nas się boją. Rakowski, Jagielski, Fiszbach, Kołodziejski, Żabiński bali się nas w 1980 roku, a myśmy myśleli, że boją się ci, co ich wysłali, a nawet ci, co są nad tymi, którzy ich wysłali. Myśleliśmy, że boi się także Moskwa i że zrobi wiele, aby uniknąć rzezi komunistów w Polsce i konieczności wkroczenia. Może się i bała, ale gdy się przekonała, że rzezi nie będzie, bać się przestała. Zrozumiała, że ma czas, a czas zawsze pracuje na rzecz silniejszego.

A te cuda polskie? Wiara w cud jest następstwem błędu. “Cud nad Wisłą" w 1920 roku[1] był następstwem błędów Piłsudskiego, następstwem rozejmu, który z bolszewikami zawarł, aby im dać czas na pobicie Denikina[2]; oraz następstwem wyprawy kijowskiej, która była polityczną i wojskową fanfaronadą[3]. Podobnie cud pod Wiedniem czy cud pod Jasną Górą; nie trzeba było dopuszczać do tak ryzykownych sytuacji. Rosenthal przekłada słowo “cud" na słowo “namiętność".

Proponowałbym dodać do tego słowo “wybaczenie": lud polski oddaje się “w macierzyńską opiekę Pani Jasnogórskiej", wybacza swym przywódcom błędy, jakich się dopuścili. Modli się do “Matki", zamiast stawiać szubienice i gilotyny.

Modli się zresztą również dlatego, że nie ma już czasu: każdy błąd polityczny kosztuje Polaków utratę wolności. Od XVIII, czy nawet od XVII wieku nie ma w tym kraju dwóch możliwych polityk, nie ma alternatyw suwerennych. Jest tylko jedna możliwa polityka całkowitej lub częściowej suwerenności, której niepowodzenie przynosi natychmiastową utratę; nie ma czasu na poprawę, na spróbowanie polityki innej. Więc cóż pozostaje, kiedy ani mścić się nie można, ani szukać alternatyw? Modlić się, wierzyć w cud. Z pokonaną Polską nie zawiera się bardziej lub mniej upokarzających traktatów, jak z pokonaną Francją czy z pokonanymi Niemcami. Pokonaną Polskę likwiduje się od razu jako państwo, ponieważ jest wciąż zawadą w rozwoju Rosji i Niemiec. Polacy są stale zagrożeni

w swym elementarnym istnieniu, będąc zarazem instrumentem w grze politycznej. Nie są najnieszczęśliwsi w całym świecie, ani nawet w całej Europie. Ukraińcy są na pewno w gorszym położeniu, albo Węgrzy Siedmiogrodzcy czy Bałtowie. Ale są ze wszystkich najbardziej zranieni w swej dumie, którą bezustannie podsyca ten sam, co ją rani: Moskal, który Polski tej raz używa jako tarczy ochronnej, drugi raz jako kładki, po której wdziera się do Europy. Ta zraniona duma polska chroni się “pod majestat niewieści" i w

blasku Jasnej Góry, Wawelu i Rzymu śni swe sny o wolności.

[...]

4 X 1983

Czarny zeszyt oprawny w czarny marmurek z czerwonymi brzegami. Nie ma już takich zeszytów. Nie było ich już wtedy w zwyczajnym handlu. Mama kupiła go u Wilczyńskiego, a ten sięgnął do “przedwojennych zapasów". Ilekroć mama miała coś kupić — materiał, zabawkę, guziki, tasiemki, wycinanki lub papier, czy ołówki, czy kredki, czy pióro — pytała o “przedwojenne

zapasy". Bo przed wojną, tj. za austriackich czasów, wszystko było w lepszym gatunku. Nikt nie miał takich przyborów szkolnych jak Smok, wszystko było przedwojenne, nawet gumki do ścierania ołówków. Zeszyty musiał mieć takie, jak mieli inni, poza tym jednym. To był specjalny zeszyt do nauki historii, i nie Smok miał go zapisać, ale mama. Na pierwszej stronie napisała swoim pięknym, kaligraficznym pismem, za które otrzymywała specjalne dyplomy i listy pochwalne na pensji pani Kaplińskiej: W Imię Boże. Z trzema wykrzyknikami. Na drugiej stronie napisała: Historja Polski. Przez “j", bo nie chciała pogodzić się z reformą ortografii.

Czysto wklejone kartki. Ile ją to musiało kosztować trudu! Nie pamiętam, kiedy to robiła. Smok był wtedy jeszcze mały, a mnie zupełnie nie było. Kartki były podpisane jej równiutkim, cieniowanym, delikatnym pismem. Nie umiałem jeszcze czytać, ale wiedziałem, co gdzie jest napisane: Lech, Czech i Rus rozstają się. Wanda, co nie chciała Niemca...

6 X 1983

Proust: “Jak książka, jak dom, tak i wartość salonu — słusznie myślała pani de Guermantes — ma za kamień węgielny ofiarę".

10 X 1983

[...] Pisać historię społeczeństwa to znaczy nie tylko powtarzać znane wydarzenia takie, jak Powstanie Warszawskie albo rozruchy w Poznaniu[1]; czy dzieje “Solidarności", to znaczy odtwarzać jego nadzieje, nienawiści, umiłowania; jak np.

tworzyła się miłość Polaków do Jana Pawła II, do zupełnie nie znanego przedtem księdza. Ile zawiedzionych miłości złożyło się na tę miłość. Ale dlatego też warto najpierw opowiedzieć o rodzeniu się własnych uczuć. Jaką drogę człowiek przebywa od własnej, dziwacznej trochę uczuciowości do uczuć wspólnych: jak się miłość do matki zmienia w miłość Ojczyzny i Boga.

Zakopane, 12 X 1983

Nie chowam dla siebie sekretu moich wzruszeń.

13 X 1983

Umarł Jurek Lederer[1]. [...]

Zakopane, 20 X 1983

Był rok 1949, październik, miałem prawie 21 lat. Pogoda była piękna, jechałem do Warszawy pełen obaw i nadziei.

Kilka dni temu rozstałem się z bankiem, gdzie zgodnie z wolą ojca miałem spędzić całe życie, a spędziłem zaledwie rok.

Pan Lenda pożegnał mnie z troską. Uważał, że robię źle, pozbywając się tak pewnego oparcia, jakim mógł się stać dla

mnie bank. Zamiast poświęcić się studiom konkretnym, a więc prawu i administracji — w czym bank byłby mi wydatnie pomógł — puszczam się na niepewne wody literatury. Uważał, że byłem materiałem na dobrego pracownika. Tu też trzeba polotu — powiedział przegarniając palcami swą jasną, rozwichrzoną czuprynę — a ścisłości i dokładności my byśmy was nauczyli.

Zaczerwieniłem się. Wydało mi się, że mi wypomina mój kawał z liczbami procentowymi, kiedy to na jednym koncie bardzo

ruchliwym, zaokrągliłem je trochę, ażeby uniknąć — z powodu jakiegoś błędu — ponownego ich przeliczania. Wyniknęła stąd różnica w odsetkach wysokości trzysta kilkudziesięciu tysięcy złotych na korzyść banku. Bardzo się zdziwiłem, gdy firma zgłosiła zastrzeżenie. Jakim prawem? Przecież to ja, bank, obliczam odsetki, które są prezentem dla firmy. Nie przyszło mi do głowy, że tam jakiś księgowy wykonuje wszystkie te same operacje, co ja. Wkrótce potem przeniesiono mnie do wydziału osobowego, a tam wprost umierałem z nudów nad jakimiś wykazami. Zresztą i tak już nie był to ten sam bank, do którego rok wcześniej przyjmował mnie tenże pan Lenda. Było to jeszcze w starym budynku, na placu Szczepańskim. Był wrzesień, pogoda była wiecznie piękna, miałem za sobą maturę, egzamin wstępny na uniwersytet, długie wakacje w Zakopanem, gdzie się zakochałem.

Decyzja ojca — dlaczego? Przypadkowe spotkanie z dyrektorem Rosiakiem? Czyjaś rada? Trudno powiedzieć; na początku wojny, kiedy Smok, mój

starszy brat, wówczas uczeń II klasy liceum, został nagle bez zajęcia, bo Niemcy zamknęli szkoły średnie, ojciec oddał go do fabryki Zieleniewskiego na praktykanta. Dlaczego? Pewnie dlatego, że ojciec, który był inspektorem towarzystwa asekuracyjnego Assicurazioni Generali, znalazł się w fabryce na Grzegórzkach do likwidacji jakiejś szkody. Potem naturalnie stworzył do tego pomysłu zawiłe uzasadnienie.

Kraków, szpital, 22 X 1983

Szpital: Jakoś mi trudno trochę przystosować się tym razem. Jestem na dużej sali, duszno, okien nie otwierają. Ksiądz ten sam, to znaczy nie “żandarm", tym razem wydał mi się nie bardzo przytomny. “Kalwaryjanka" zapowiedziała swą rychłą śmierć, ale tym razem dodała powód: mąż umarł pięć lat temu, syn jest “pijok", a na tego Jaruzelskiego już patrzeć nie może, bo rozpija ludzi gorzej od Hitlera.

— — —

Poranna rozmowa z Panem Bogiem. Nieporządna i

niedokończona. Nowość. Bóg wie, jak umrę, jakże mam się Go nie bać? Ale Bóg zarazem chce, abym żył. Bóg nie zabija, ani nie poświęca żadnego stworzenia. Umieramy nie dlatego, że Bóg tak chce, ani nie dlatego, że Bóg nie może utrzymać nas przy życiu. Bóg może chcieć tylko dobra, a wszelkie dobro może poświęcić tylko dla większego dobra; jeżeli poświęca nasze życie, to dla wartości od niego wyższej. Ale wartość wyższa może zostać zrealizowana tylko pod warunkiem zachowania wszelkiej wartości; żadna wartość nie może być zrealizowana kosztem wartości innej. Wartość wyższa polega na spotęgowaniu wartości niższej. Wartość wyższa, aby była wyższą, musi niższą objąć, wchłonąć; wartość prawdziwie wyższa jest dowartościowaniem wartości niższej. I tylko taki Bóg, który jest sam wartością *par excellence*, realizuje wartość. Więc życie nasze poświęca na rzecz życia pełniejszego i sprawia nam ból tylko ze względu na nas samych. To muszę wiedzieć. To wiedzieć, to znaczy wierzyć. I gdy w to wierzę, jakże mam Go nie kochać, jeśli tylko miłość uwalnia

mnie od lęku; miłość Boga uwalnia mnie od strachu przed Bogiem — strach zamienia w bojaźń, która jest miłością pełną czci.

— — —

Był rok 1949, połowa października, pogoda piękna. Miałem 21 lat i jechałem do Warszawy, a ze mną Jaś, Ket, Nela i Stefan. Jaś był cudownym dzieckiem, Ket degeneratem, Nela ze względu na wiek wypadała nam ciotką, a Stefan genialnym pastuszkiem od Starego czy Nowego Sącza. Jaś był olbrzymi, miał rumianą, pucołowatą gębę, krzywo się uśmiechał, patrzył zezem. Ket był malutki, Jasiowi do ramienia, podobny do jaszczurki, też dziwnie krzywousty i też zezował, ale inaczej niż Jaś, bo do środka, jakby patrzył na koniec długiego nosa. Obaj przyjechali z Torunia studiować u Kazimierza Wyki. Jaś słynął z tego, że umiał po francusku i przeczytał już całego Prousta w oryginale, Ket z tego, że wydrukował już osiem artykułów w różnych pismach, wszystkie o teatrze. Byli bardzo znani, przepowiadano im wielką

przyszłość. Jaś miał być krytykiem literackim, Ket — teatralnym. Wyka na seminarium rozmawiał właściwie tylko z nimi; jeszcze z Ludwikiem, ale Ludwik miał przyjechać osobno. Ludwik już był marksistą, już należał do organizacji, myśmy się jeszcze wahali, czy do niej wstąpić i czy — jak to się mówiło — “przyjąć marksizm". Stefan też się podobnie wahał, bo czytał całego Marksa, całego Engelsa, całego Lenina i całego Stalina (Stefan czytał wszystko w całości, i to zawsze w języku oryginału, Stefan czytał w siedmiu językach, których sam się uczył na swoich pastwiskach); ale wahał się chyba też, czy nie zostać księdzem, bo czytał również św. Tomasza i św. Augustyna po łacinie, Orygenesa po grecku. Wahał się i cierpiał, milcząc; natomiast Ket i Jaś traktowali ten problem cynicznie — tak przynajmniej mówili. Jaś oprócz Prousta czytał także Valery’ego i Mallarméego, życie umysłowe polegało dla niego na osiąganiu “poziomu".

— Co za poziom! — mruczał często piskliwym głosem, słuchając naszych dyskusji i dowcipów. Ket był wyznawcą

katastrofizmu. Czytał Witkacego, co wówczas było rzadkością, i strojąc bolesne miny przepowiadał, że wkrótce wszystko szlag trafi. Będzie albo wojna, albo Sowieci to wszystko pochłoną. Jaś był poza tym żarliwym katolikiem, właściwie bigotem, pożądającym zachłannie wszystkich jako tako wyrośniętych kobiet, a Ket — potomek starej, ale zupełnie zdegradowanej społecznie rodziny książęcej, pozował na utracjusza. Nela, starsza od nas o jakie 10 lat, zapóźniona w studiach przystojna kobieta, dla której wszyscy czterej byliśmy dziećmi. Jaś i Ket odgrywali przed nią komedię wątpliwości, wahań, zastrzeżeń, której Stefan przysłuchiwał się z wyrazem cierpienia w błękitnych, pastuszych oczach. Co do mnie, nie byłem jeszcze pewien swej roli. Wszystkie mi się podobały. Podobał mi się Jaś jako esteta broniący czystej literatury, Ket przepowiadający z goryczą zagładę, Stefan w milczeniu, rozpięty na krzyżu swych skrajności, nawet Nela namawiająca wszystkich na realizm polityczny i materializm dialektyczny. Jechaliśmy do

Warszawy na seminarium, które miało z nas wszystkich zrobić prawdziwych, naukowych marksistów. Mieliśmy przedział dla siebie. Siedzenia wygodne, pociąg jechał szybko, rozmowa toczyła się gładko, byłem szczęśliwy i niespokojny.

Szczęśliwy, bo znalazłem się wśród towarzyskiej i umysłowej elity polonistycznej naszego uniwersytetu, a niespokojny, bo nie byłem pewien, czy mi się to należy, bo nie wiedziałem, czy potrafię temu wyróżnieniu sprostać. A jechałem na seminarium, które miało zgromadzić taką właśnie elitę ze wszystkich uniwersytetów. Dostawał się do tej elity każdy, kto się jakoś odznaczył, bądź to przy egzaminie wstępnym, bądź to na ćwiczeniach i proseminariach w ubiegłym roku, bądź to na zebraniach dyskusyjnych Koła Naukowego Polonistów, albo — ostatecznie, jak ja sam — kto dał się polubić we wpływowym gronie. Jaś, Ket, Ludwik byli wpływowi, otoczeni gromadką kibiców i panienek, to nie oni zwrócili na mnie uwagę, lecz ja na nich; uniwersytet traktowałem wyłącznie jako środowisko, nie

miałem żadnych planów naukowych ani pedagogicznych, literatura wcale nie była przedmiotem mojego umiłowania, sądziłem natomiast, że potrafię pisać i chciałem tą umiejętnością posłużyć się przede wszystkim do uwolnienia się od banku.

Sytuacja w domu była trudna; ojciec potrzebował pomocy. Dotychczas świadczył ją Smok, mój starszy brat, który poszedł do pracy zaraz z początkiem wojny, gdy tylko zamknięto szkoły średnie i uniwersytety. Miał wtedy ledwie 17 lat i brakowało mu roku do matury. Początkowo nazywało się, że pracuje, aby uchronić się od wywózki do Niemiec na roboty. Ale potem, w miarę jak pogarszały się warunki życia i stan mamy, która coraz częściej zapadała na depresje psychiczne, praca Smoka stała się koniecznością. Koniec wojny nic tu nie zmienił, przeciwnie, stan mamy był jeszcze cięższy, o pieniądze trudniej niż podczas wojny. Smok z wielkim trudem zdołał zdać maturę na kursach wieczorowych, natomiast z wyższych studiów zrezygnował. Chciał się ożenić, a z tym czekał tylko, aż ja zdam maturę, pójdę do pracy i pomogę rodzicom, tak jak

on dotychczas pomagał. Ojciec przez swoje znajomości wystarał się dla mnie o posadę w Państwowym Banku Rolnym.

24 X 1983

Dzisiaj fotokoagulacja. Jestem niespokojny. Trudno mi się skupić do pisania.

[...]

Warszawa, 7 XI 1983

Mam teraz nadal żyć z tym przypalonym guzem, ufając, że się nie odrodzi ani nie przerzuci na przykład na mózg. Mam za miesiąc zgłosić się do kontroli, potem znów za miesiąc, albo za trzy miesiące, i znów, i tak przez parę lat — jak mi powiedział doktór P. — i ewentualnie nowe “przyżeganie", “w razie potrzeby". Widzenie w oku już się nie poprawi, będę widział “obwodem", bo “centralne widzenie" zostało definitywnie zniszczone kobaltem. Oko będzie miało funkcję wspomagającą. Migotanie powinno zanikać. Na razie się utrzymuje, nazywam je “czarnym światełkiem", które towarzyszy mi nieustannie, w odróżnieniu od “białego światełka", które ma bardziej

odświętny charakter: pojawia się w chwilach zmęczenia, podenerwowania, przyspieszenia, po wypiciu filiżanki kawy, kieliszka alkoholu albo po łyknięciu jakiegokolwiek płynu. To samo, dzięki któremu odkryłem odklejenie siatkówki: pomalutku okrąża całe pole widzenia, po czym gaśnie.

Więc mam z tym żyć, błogosławiąc Boga, że mi nadal żyć pozwolił, że mi oko zachował, pouczywszy przedtem o kruchości mego istnienia i zdrowia i pozwoliwszy zaznać miłości, przyjaźni, życzliwości ludzkiej w wymiarze dotychczas nie przeczuwanym. Pozwolił mi także wejrzeć w cudze cierpienie i zrozumieć je tym lepiej, że sam znalazłem się w jego zasięgu. Chłopiec, który przybył do szpitala na dzień przed moim odejściem, który leżał z kobaltem dwa tygodnie przede mną, który teraz zajął to samo łóżko, które ja zajmowałem po wyjściu z kobaltu, i któremu oznajmiono, że oko nadaje się do usunięcia, i który płakał z żalu, trwogi i bólu — bo cierpiał na szalone bóle głowy, o których myślał, że świadczą o przerzutach na mózg — otóż ten

chłopiec cierpiał zamiast mnie. Muszę to wiedzieć. My wszyscy ludzie, my wszyscy, żyjące istoty, jesteśmy jakby jednym organizmem. Żyjemy wspólnym rytmem i obejmuje nas prawo statystyki. My, żyjący organizm świata, mamy pewną ilość cierpienia do odcierpienia, bo jest ono koniecznym współczynnikiem życia. Musimy się nim dzielić solidarnie. W nas, żyjących istotach tego świata, żyje Bóg, który jest życiem. To Bóg cierpi, gdy my cierpimy. Nie mamy się co skarżyć. Musimy się dzielić tym cierpieniem ze względu na Boga, który nie dzieli go z nikim.

[...]

14 XI 1983

Byłoby to bardzo ładnie powieść napisać, ale nie mam na to czasu, ani wydawcy, ani czytelnika. Jeżeli ja nie mogę przeczytać powieści Wojciechowskiego, ani nawet Prousta, którzy nie są ode mnie mniej zdolni, to dlaczego mam innych zmuszać do podobnych mąk? I jakże mógłbym zająć się pisaniem powieści, mając tyle zamówień na eseje, szkice, “opracowania"? I kiedy ludzie

czekają na słowo-chleb?

16 XI 1983

[...]

Traktuję “ideologię" jako coś wypracowanego, a następnie udzielonego, wreszcie wprowadzonego w czyn. Tymczasem tak nie jest. Ideologia to jest coś, co krąży. Coś o nieznanym pochodzeniu, co dociera do ludzi w postaci już urzeczowionej, czy to jako program partyjny, czy jako gotowa forma państwowa, czy jako akt gwałtu. Czy hitleryzm był polską ideologią? Boże broń! Czy

jednakowoż Polacy doświadczyli jego skutków? Jeszcze jak! Czy również w sferze umysłowej, moralnej? Jeszcze jak! A czy stalinizm był polską ideologią? Skądże znowu! Ale przecież mieliśmy w Polsce stalinowców, mieliśmy stalinowskie prawa, instytucje, stalinowską literaturę. W studium polskich ideologii XX wieku należałoby stalinizm i hitleryzm pominąć, natomiast w studium polskich doświadczeń ideowo-moralno-politycznych XX wieku — właśnie hitleryzm i stalinizm muszą zajmować centralne miejsca. [...]

18 XI 1983

Brak przyjemności w pisaniu. We wszelkim pisaniu. O co tu chodzi? Brak odbioru. Kto to wyda? Kto to przeczyta? Kto to oceni? Przecież pisze się dla kogoś. Dla Sainte-Beuve, dla Irzykowskiego, dla pani de Maintenon, dla króla Fryderyka, dla Delfiny Potockiej, dla publiczności i tych, co kształtują jej opinie. Tylko grafoman pisze dla siebie, a obłąkaniec dla potomności.

Nudzi mnie wszystko, co piszę. Nudzi mnie, bo jestem jedynym tego odbiorcą. A dlaczego nie nudziły Miłosza wiersze, które pisał w samotności, nie mając nikogo, komu mógłby je pokazać? Trzeba mieć więcej hartu. Albo po prostu więcej talentu.

Konstancin, 25 XII 1983

Zabawne, straciłem w ogóle ochotę do prowadzenia notatek, a dawne wydają mi się zupełnie jałowe. Odwrót od pisania egotycznego, którego falę wzbudził u nas Gombrowicz. Z całej biblioteki notesów, które zapisałem, warto może uratować

kilka anegdot i rozmów.

[...]

1984

[...]

Paryż, 24 I 1984[1]

I. O czym Polacy dzisiaj myślą?

1. Jak żyć w niemożliwym i nienaprawialnym systemie? Jakie są warianty i możliwości? Jakie są możliwe i osiągalne cele?

(Zmiana w stosunku do lat poprzednich: wtedy myśleli przede wszystkim o tym, jak ten system naprawić).

2. Jak się od tego systemu uwolnić? (Zmiana. Dawniej myśleli, jak się do niego przystosować).

II. O czym Polacy nie myślą.

1. O przyszłości historycznej.

2. O przyszłości wiecznej.

Paryż, 29 I 1984

Dlaczego to się nie da naprawić? Dlaczego wszystkie próby kończą się niepowodzeniem?

Dlatego, że Polska nie tylko jest satelitą ZSRR, jak Węgry czy Rumunia, lecz jest jedynym satelitą ZSRR leżącym w pewnym stopniu wewnątrz ZSRR.

Granica z Polską jest jedyną otwartą granicą ZSRR. Kreml nie musi się tak liczyć z tym, co dzieje się w jakimkolwiek ościennym kraju powiązanym układem “przyjaźni i pomocy", jak musi się liczyć z tym, co dzieje się w kraju, przez który rocznie przejeżdżają tysiące żołnierzy i oficerów radzieckich oraz ich żon i dzieci w drodze do kolonii wojskowych w NRD i na wschodzie Polski.

Polska może być inna od republik radzieckich co do kultury, wolności religijnych i innych, co do struktury rolnictwa, ale nie może stać wyżej co do organizacji produkcji i rynku, co do stopy życiowej, technologii i zagospodarowania przestrzeni.

[...]

— — —

Rozterki Polaków

1. Jak żyć w systemie niemożliwym i niepodatnym na reformy? Poczucie niemożliwości tego systemu — przekonanie, że

system jest zły i że nie da się go naprawić. Wydaje się to istotną różnicą w stosunku do lat dawniejszych.

a) PRL była krajem żyjącym w psychozie tymczasowości od samego początku. Psychoza tymczasowości zmieniła się z czasem w “pozytywne niezadowolenie".

“Pozytywne niezadowolenie", to znaczy: kwestionowano, wytykano, oskarżano i ośmieszano wszystkie praktyki systemu, nie podważając jego zasad, a więc społecznej własności środków produkcji, gospodarki planowej i

współpracy z ZSRR. Utrzymywało się przekonanie, że to się jakoś da ułożyć, że zmiany pokoleniowe w aparacie polskim i radzieckim doprowadzą do modernizacji zarówno systemu wewnętrznego, jak i wzajemnych stosunków.

To przekonanie utrzymywało się aż do grudnia 1981.

b) Towarzyszyło temu ze strony aparatu rządzącego poszukiwanie punktów stycznych:

pacyfizm (przeciwstawiano się podziemiu wojskowemu i części emigracji politycznej);

psychoza antyniemiecka;

resentymenty w stosunku do Zachodu, resentymenty w stosunku do rządów sanacyjnych — żywe szczególnie na wsi i wśród robotników oraz lewicowej inteligencji;

przekonanie o dekadenckim charakterze kultury zachodniej, a wreszcie fakt, że ofensywie ideologicznej komunizmu nie odpowiadał nikt.

Ostatnia propozycja: “budowa drugiej Polski", czyli wejście na drogę intensywnego rozwoju w oparciu o kredyty zachodnie — znalazła wielu entuzjastów. Ale była to ostatnia propozycja możliwa. Utrata nadziei przez nią otworzonej oznacza utratę wszelkich nadziei pokładanych w tym systemie, który pokazał swe dno. Dno moralne (Jaroszewicz, Szczepański), dno polityczne (Jaruzelski i jego brak inicjatywy), dno ideologiczne (Rakowski i jego krętactwa).

W latach pięćdziesiątych i jeszcze sześćdziesiątych system miał młodzież po swojej stronie; to starsi byli w opozycji. Od 1968 roku zaczął się odwrót młodzieży, który przybrał formy ucieczki nieledwie masowej, wreszcie zaś buntu w 1980, będącego przede

wszystkim buntem młodzieży...

2. Skąd wiadomo, że reforma systemu nie może się udać?

Ze wszystkich prób dotychczasowych, które rozbijają się o te same przeszkody: opór aparatu, prawa kardynalne systemu i w ostatniej instancji o groźbę interwencji ZSRR. [...]

Polska stała się więc krajem bez nadziei, przez co upodobniła się do ZSRR, a Polacy do ludzi radzieckich. Społeczeństwo podzieliło się na masę bierną i wściekłą, na uprzywilejowaną kastę oraz na straceńców... Straceńczy trend: trend

emigracyjny i trend “złej pracy".

Co robić?

[...]

Paryż, 7 II 1984

Chaos i głupstwo. Wczoraj wieczór rytuał próżności[1]. Sycąc cudzą próżność — w tym wypadku moją — ludzie zaspokajają jej głód własny. Moja próżność jest ofiarą ich próżności.

Emigracja. Ludzie typu Giedroycia i Rapackiego: powojenna rzeczywistość polska po prostu dla nich nie istnieje. Na tym polega między nami różnica. Wiadomość, że kiedyś ktoś akceptował PRL, jest dla nich

absurdem.

A zresztą ludzie nie bardzo zastanawiają się nad tym, co słyszą. Cieszy ich to, że słyszą.

— — —

Na pewno lepiej milczeć niż mówić.

— — —

Pisanie — po prostu go nie potrzebuję do niczego.

[...]

Kraków, 22 II l984

Mama umarła[2]. Wróciliśmy pośpiesznie z Paryża. Wczoraj odbył się pogrzeb. Pora pomyśleć nad tym, co dalej. Starać się o powrót do Paryża pod pretekstem, że nie ukończyłem badań? Wysłać Jędrka, wykorzystując nawiązane kontakty? Do jakiej zabrać się roboty? Nigdy jeszcze nie doświadczyłem w tym stopniu niepewności losu. Bo przecież w czasie naszego pobytu w Paryżu umarł także Andropow[3], na czele ZSRR stanął znów starzec i wszystko wskazuje na to, że rozpocznie się tam teraz walka o

władzę, która długo potrwa i wszystkie układy w obrębie “obozu" doprowadzi do podobnego pomieszania jak po śmierci Stalina. Systemy solidne, jak NRD czy Bułgaria, przetrwają łatwo taką burzę, ale systemy prowizoryczne, jak Polska czy Czechosłowacja, na pewno się przy tym rozsypią. Możemy mieć burzliwą starość. [...]

[...]

Kraków, 25 II 1984

1. Chłopiec w celi: kiedy wyjdziemy, czerwonego już nie będzie. Albo — nie mamy po co wychodzić. Chłopiec zapewne

wyszedł, czerwony jest nadal. Co się dzieje z chłopcem? W podziemiu? Znów w więzieniu? Uszedł z kraju? Czy jest gdzieś... Żyje... Jaki jest?

2. Co to jest “czerwone"? To jest jakaś nieprawda, jakaś niewola. Co to były te “polskie miesiące"... To była jakaś prawda i jakaś wolność. Łatwo je poddać krytyce — ale jednemu nie da się zaprzeczyć. Było to subiektywne doznanie prawdy i wolności.

[...]

— — —

Zwycięstwo, ale kraj się nadal wali.

Społeczeństwo odporne — to jest również wniosek polityczny. Grozi apatia, poczucie bezsilności i maksymalizm żądań. Ta apatia i maksymalizm jest środkiem utrwalenia systemu[1].

Kłoczowski: inteligencja po 1863 miała poczucie, że Kościół zdradził. Zbanalizowanie nauki Jana Pawła już się dokonało: tryumfalizm Kościoła. Spojrzeć na to ewangelicznie... Posłanie Jana Pawła można odczytać tylko w perspektywie nawrócenia. Potrzebne jest również

Kościołowi. Dla Kościoła — odejście od klerykalizmu.

Hennelowa: mówi o paradoksach sytuacji Kościoła w PRL. Wzrasta stan posiadania Kościoła: tytuły wydawnicze, zezwolenia budowlane, paszporty. Jednocześnie Kościół otrzymał poparcie środowisk kulturalnych, które nie jest taktyczne. Człowiek przemawiający w imieniu Kościoła czy ze środka Kościoła korzysta z jego autorytetu. Kościół cieszy się sporą swobodą cenzuralną — np. kazania radiowe. Władze naciskają na separację religii od polityki

skutkiem zacieśnienia Kościoła do swojej strefy — polskiej i klerykalnej. Pokusa arogancji władzy — w Kościele — i pokusa integrystyczna.

Postawa społeczeństwa: wycofanie swojej podmiotowości z wielu dziedzin życia... Kościół małą dziedziną owej podmiotowości... Dziedzina pracy, informacji, organizacji wolnego czasu. “Nie moje": milczące uczestnictwo w tym, co jest nieprawdą. Dotyczy to również Kościoła, który np. ignoruje całą sferę niemoralnej pracy, kłamstwa, łamania przepisów... Kościół nie wyzyskał szansy odbudowy instytucji opiekuńczych... Kościół nie walczył o powrót pielęgniarek... Natomiast rozbudowa instytucji kulturalnych — apostolstwa słowa. Rozbudowa działalności perswazyjnej, cenzuralnej etc. Kościół jest coraz brutalniej spychany w sferę spraw bezpiecznych.

Kisielewski: podział Europy się nie zmieni... Sprawa polska nie odegra roli... Polska w obozie czerwonym jest wygodna... Wewnętrzna sytuacja się też nie zmieni. “Solidarność" przegrała.

Episkopat będzie manewrował — trzecia siła. Powstał drugi obieg i to zostanie. Może to być działalność “szkoleniowa", “programotwórcza". Program: Zrezygnować z antyrosyjskości, wystąpić przeciw socjalizmowi.

Tischner: Co się dokonało w Polsce w ciągu ostatnich lat? Skok w poczuciu odpowiedzialności. “Reformacja bez rewolucji". Poczucie odpowiedzialności zostało, ale nie ma sposobu, aby się zamieniło w społeczne dzieło. Kościół ma być tą przestrzenią, w której wyraziłoby się poczucie odpowiedzialności. Cała praca wychowawcza XIX w. — odczuwanie “bólu" niewoli. I niepodległość jako alternatywa. Co nas boli? Marnotrawstwo energii, surowca, dobrej woli... odpowiedzialności. Klęska podwójna: i my, i przeciwnik. Jedna strona zmarnotrawiła drugą.

Co ludzie będą robić? 1. Pójdą w gospodarkę. 2. Pójdą w strukturę władzy — uczestniczyć w mini-rządzeniu. 3. Twórczość kulturalna, etyczna. Solidarność, pomoc, na koniec — czas na wielkie idee... Odpowiedzialnej duszy trzeba idei. Odświeżać idee, nazwiska, toczyć wielkie spory.

Im większa nędza, tym większa potrzeba.

[...]

3 III 1984

Polska: czy to ma w ogóle być? Czy to ma być kiedykolwiek odtworzone jako państwo? Czy powstaną jeszcze kiedykolwiek warunki dla takich państw w uświęconych granicach, pod uświęconymi emblematami, jako kontynuacja uświęconych tradycji? I czy trzeba się przy tym upierać? A może lepiej położyć nacisk na istnienie Polaków w świecie — istnienie wędrowne.

[...]

Kraków, szpital, 21 III 1984

W szpitalu *ŕ cause du*[1] wylew. Zamazane widzenie, pulsowanie, ból. Zastrzyki i leżenie 10 dni, 15 dni, coś w tym rodzaju. Chaotyczne myśli, myśli o niczym. Brak ochoty do czytania, co prawda, obok leży facet, który gada i słucha radia. Gada głupstwa, słucha głupstw. I to właśnie jest inteligent.

— — —

“Stary dom".

22 III 1984

Venoruton w zastrzykach i doustnie, leżenie, uważać na głowę, aby przy jej dźwiganiu nie przeciążyć oka, mierzyć ciśnienie, to wszystko. Współpacjenci narzekają, że chrapię. Brodaty architekt wie wszystko i raz po raz wspomina o moim wieku. Sam ma lat 49. Radio — bez przerwy.

[...]

26 III 1984

Bez zmian. Noc ciężka, gorąco. Poranne rozmyślania. Kiedy myślę, wydaje mi się to mądre. A potem głupie, i nie chce

mi się tego nawet zapisać. Może powinienem od razu pisać. Ale właściwie po co?

[...]

28 III 1984

Coś się przejaśnia. Widzę już moje rozczapierzone palce, ale tylko wtedy, gdy za nimi jest jasne tło. Widzę kolory — wczoraj kątem oka zobaczyłem czerwonawą plamę — a był to koc na sąsiednim łóżku. Dzisiaj kończę zastrzyki, jutro pani Machowa zadecyduje, czy mam zostać na dłużej, czy też przejść na domowe leczenie, które podobno

powinno potrwać jeszcze z miesiąc.

— — —

Co jest święte w Eucharystii? Nasza wiara. Nasza wiara w to, że Bóg jest z nami. Że jest i jest z nami. Wrócić do fenomenu wiary. Jak wiara jest możliwa?

— — —

1. Jest zjawiskiem społecznym. Nie ma wiary samotnej. Wiara człowieka znajduje potwierdzenie tylko w wierze drugiego człowieka. Polega

na świadectwach. Kościół jest świadectwem wiary. Sakramenty jej znakami. W sakramentach nasza wiara doznaje próby, utwierdza się, krystalizuje i wyraża.

Czyli społeczny wymiar wiary jest zarazem jej wymiarem sakramentalnym. “Gdzie dwóch lub trzech gromadzi się w imię moje, tam ja jestem pośrodku was"... “To przykazanie daję wam, abyście się społecznie miłowali"... “To czyńcie na moją pamiątkę"...

Społeczny, sakramentalny wymiar wiary to wiara w kulturę, w jej znaki, w jej język. W

wiarygodność języka. I dlatego wiara w Boga, wiara w świadectwo pokoleń utwierdza, integruje i wartościuje ludzki świat.

2. Wybór wiary: dlaczego ta, a nie inna. To jest problem prawie tak delikatny, jak wybór przedmiotu miłości: dlaczego ta, a nie inna? Podobnie jak w miłości wchodzi tu w grę zarówno upodobanie jak intencja. Człowiek wybiera ten przedmiot wiary i ten przedmiot miłości, który go lepiej usposabia i uposaża w życiu.

Co jest wyborem istotnym, a co pozornym. Wybór wyznania

augsburskiego nie jest wyborem istotnym. Zarówno katolicy jak protestanci optowali za prawdziwym Kościołem Chrystusowym, podobnie jak Wschód w dobie schizmy optował za prawdziwym Rzymem. Rzeczywistego wyboru dokonała inteligencja europejska w XIX wieku, optując przeciw chrześcijaństwu, za wiarą w postęp, w naukę, w naród, w klasę. Bo z tego wyłoniły się systemy totalitarne XX wieku — nowe Kościoły, które naruszyły również istotę Kościoła Chrystusowego. Stworzyły mianowicie nowy

rodzaj wiary i nowe sposoby jej propagowania.

Toteż pytając dzisiaj o to, jak wiara jest możliwa, pytamy już nie tylko o wiarę w Objawienie Boże. Pytamy również, jak możliwa była wiara w posłannictwo Hitlera, w wyższość historyczną ustroju radzieckiego, jak możliwa jest wiara w misję Ameryki, w islam, w wyższość Chińczyków nad białymi, w przyszłość czarnego człowieka, w katastrofę cywilizacji, albo — na odwrót w jej tryumf. A także: jak jest możliwa wiara (może najgroźniejsza) w to, że Jan Paweł

II zbawi świat. Na szczęście ta ostatnia wiara jest wiarą pewnej niegroźnej polskiej mniejszości, którą porównać można tylko do tych żydowskich zelotów[1], którzy w Chrystusie zobaczyli jedynie prawdziwego przywódcę. [...]

29 III 1984

W Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego — amen.

Panie, rozpoczął się nowy dzień szpitalny. Ktoś właśnie powiedział: co też ten dzień przyniesie... A ja dopiero co pomyślałem, że przyniesie niewiele, że będzie podobny do

innych dni, że dni szpitalne różnią się tym od dni zwykłego życia, iż są do siebie podobne. Źle myślałem. Myślałem tylko o sobie. Ileż tu dramatów dokoła, które rozstrzygają się nie tylko na sali operacyjnej, ale w ciemniach i w czasie narad lekarskich. Ludzie czekają na decyzje, które przesądzać będą o ich przyszłym życiu. Czekają z niepokojem, z ufnością, z nadzieją, przyjmować je będą różnie — jedni z rezygnacją, inni z gniewem. Będą też gniewać się na ich brak, jak pan Kosiniak, brodaty 49-letni architekt, rodem z Zalipia, syn

ludowej malarki, amator pszczół i podróży egzotycznych, który już na jedno oko wcale nie widzi, a na drugim ma wylew, i gniewa się na lekarzy, że nie wiedzą, jak w jego wypadku postępować. A jeśli rzeczywiście nie wiedzą?

Moja sprawa jest tu niewielka. Mam przecież jeszcze zdrowe drugie oko. A poza tym jestem starszy od wielu innych, którzy oczy tracą. A poza tym jestem w uprzywilejowanej sytuacji: liczą się ze mną lekarze, troszczy się o mnie żona, mam pieniądze, stosunki za granicą. Nie zabraknie mi niczego, myślą ci, którzy mnie

obserwują i zazdroszczą mi albo mnie może dlatego nie lubią. [...]

Panie, pomóż mi rozpoznać plany, jakie powziąłeś co do mnie, i nadzieje, jakie we mnie pokładasz. Jesteś Bogiem nadziei; nie tylko ją dajesz, nie tylko jesteś jej źródłem. Sam ją przeżywasz. Jesteś jej podmiotem. Stworzyłeś świat i powołałeś do życia ludzi — sobie podobnych — z nadzieją, iż staną na wysokości Twoich zadań. Twoja nadzieja jest nadzieją Ojca. Nie chcę zawieść nadziei, jakie we mnie pokładasz. Pomóż mi stanąć na ich wysokości. Pomóż mi dobrze przeżyć dzień, który jest jednostką Twojej i mojej nadziei. Twojej i mojej dobrej woli.

Przez Chrystusa Pana naszego, przez Którego dotarła do nas prawda o Twojej nadziei i dobrej woli, prawda o tym, że jesteś Ojcem.

31 III 1984

Siedzimy dalej i siedzieć będziemy tu aż do 9 IV. Potem się zobaczy. Wylew podobno powoli ustępuje, co ja mogę stwierdzić po stopniowo rozszerzającym się obrzeżu widzialności. Siatkówka odsłania się od góry, ja widzę

dołem. W centrum oka mam jeszcze wciąż brudną, mętną mgłę, przez którą przedzierają się tylko blaski światła.

Bardzo pouczająca lektura Balzaka *Straconych złudzeń*[1]. Zrozumiałem rolę, jaką powieść “realistyczna", to znaczy powieść francuska odegrała w ukształtowaniu się mojego światopoglądu literackiego — należałoby raczej powiedzieć: ideału literackiego — i (co mnie bardziej zastanowiło) w ukształtowaniu się mojego systemu wartości i mojej życiowej strategii. Świat Balzaca jest światem pozornie relatywistycznym. Na pozór w tym świecie wszystko jest dozwolone. Stosunki ludzkie są tam przedstawione na kształt natury. Silniejsze okazy pożerają słabsze etc. Zlekceważyłem, pominąłem zupełnie moralistyczną podstawę tego obrazu. Przecież idylla z Angoulême jest moralnym punktem odniesienia [do] Paryża i ostatecznie w tym świecie cnota, jeśli nie zostanie nagrodzona, to odniesie zwycięstwo na jakiejś innej płaszczyźnie.

Pomiędzy Paryżem balzakowskim (i Francją

Restauracji)[2] a Warszawą lat pięćdziesiątych i PRL była wyraźna analogia, zwłaszcza w stosunkach literackich. Być krytykiem — szczególnie “młodym krytykiem" — znaczyło wtedy w Polsce tyle, co być nim we Francji. Tam wpływało się na rynek księgarski i na opinię czynnikami komercjalnymi, tu ideologicznymi. Cynizm Lucjana, zmieniającego z dnia na dzień poglądy i przechodzącego z obozu republikanów do obozu rojalistów[1], stanowił nie tylko analogię, lecz także wskazówkę

dla nas, którzyśmy z dnia na dzień “przyjmowali marksizm", zdradzając wszystkie wcześniejsze uczucia i związki — z Kościołem, z AK, a w konsekwencji także z rodziną, przyjaciółmi.

[...]

6 IV 1984

Ukrzyżowanie: Ewangeliści przedstawili je jako swoisty triumf. Słońce przygasło, ziemia zadrżała, rozdarła się zasłona w świątyni i zatrwożeni ludzie mówili: “Zaprawdę, ten był Synem Bożym". Mówili. Jeżeli rzeczywiście działy się tak

okropne rzeczy, to nie mówili, ale krzyczeli w głos. Jeżeli to było nawet zaćmienie słońca i trzęsienie ziemi, albo tylko trzęsienie ziemi, to ludzie wpadli w panikę i uciekając do domu albo opuszczając domy, krzyczeli w niebogłosy, nie tylko “Zaprawdę, ten był Synem Bożym", ale także: “Góry przykryjcie nas"... Sprawdziła się bowiem apokaliptyczna przepowiednia.

Potem wyznawcy tylko czekali, aby powtórzyło się to samo. Może nawet nadal czekają. Wszelka historia napisana czy opowiedziana jest zbiorem wzorów postępowania i zachowania, które się nie sprawdzają. Bo wydarzenia biegną zawsze nieoczekiwanie. Zresztą i wtedy mogło być zupełnie inaczej i wszystko, co Ewangeliści napisali, może znaczyć zupełnie co innego. Może po prostu znaczyć tylko to, że wyznawcom Chrystusa, którzy opuścili Golgotę i Drogę Krzyżową, zanim jakiekolwiek znaki na niebie i na ziemi dały się widzieć, wydawało się, iż ziemia usunęła się spod nóg, iż słońce zagasło, iż świątynia została zbezczeszczona, iż umarła wszelka nadzieja i że

jeśli On dał się pojmać i zamordować, to znaczy, że ani On nie był Chrystusem, ani też nigdy żaden inny nie przyjdzie. Mogło być tak, że na Wzgórzu Trupiej Głowy, gdzie leżały może jeszcze trupy wielu innych skazańców, wśród kruków i sępów konał wraz z pospolitymi przestępcami Jezus, opuszczony, zniesławiony, wyszydzony, otoczony kordonem znudzonych legionistów, poza którym tkwiły nieruchomo postacie: matki i jedynego ucznia, który nie uciekł.

Oto obraz — oto tajemnica śmierci. Każda śmierć jest

śmiercią na krzyżu. Każda jest samotna i każda jest szyderstwem z wielkiej nadziei.

7 IV 1984

Właściwie chciałbym być grafomanem. Tak sobie pisać, pisać, pisać... Miałbym przynajmniej zawsze jakieś zajęcie.

Grafomania i gadulstwo. Jest tu gość (gościu — jak mówią teraz), który mówi z jakiegoś wewnętrznego przymusu. Mówi na dowolny temat bez żadnego skrępowania. Jędrek także. Wczoraj był u mnie i zapytawszy,

jak się czuję, natychmiast mi opisał, co ja powinienem — jego zdaniem — widzieć i jakie mieć odczucia. Ja powiedziałem, że mi to oko w tej chwili bardziej przeszkadza niż przedtem, a on na to, że powinno mi przeszkadzać mniej, skoro mniej widzę... Nie umiałem wytłumaczyć, dlaczego jednak przeszkadza mi bardziej. Musiałbym się wtedy skarżyć.

8 IV 1984

Nie chcę się skarżyć, ale się skarżę. Chcę być “dzielny", ale nie jestem dzielny. Skarżę się, kiedy wszystkim dokoła opowiadam, jak

źle widzę i co mi się od tego w głowie dzieje, jak od tego tracę równowagę, jakie mam przy tym mdłości, jak mi trudno rozmawiać z ludźmi, jak się wszelkie podniecenie i zakłopotanie objawia drganiem oka i migotaniem obrazu również w zdrowym oku. A jeśli nawet nie opowiadam o tym innym, to opowiadam sobie. A to tak jakbym innym opowiadał, bo się tymi żalami nad sobą upajam i sam nad sobą tak się rozczulam, jak jaka litościwa osoba, która zechciała wniknąć w moje cierpienia i współczuć z nimi.

Dosyć tego. Odtąd będę wszystkim mówił, że czuję się bardzo dobrze, i będę się starał myśleć o wszystkim, tylko nie o tej chorobie, która — jak na choroby — jest wcale schludna i prawie bezbolesna.

Mam zresztą tyle do zrobienia...

[...]

Kraków, po wyjściu ze szpitala, 12 IV 1984

Chateaubriand![1]

— — —

Gaudeamus igitur[1], szkoła w dawnym stylu, nowe czasy. Toteż *Gaudeamus igitur* zakończyło się na posterunku MO. A w rok później był proces klasy IIc i szkoły już nie było. Ja byłem na uniwersytecie, który był też w dawnym stylu, choć czasy były nowe. Prof. Pigoń i — Andrzej Wasilewski. Asystent Siudut i asystent Karaś. Wykłady prof. Kleinera i zebrania ZAMP. “Nawrócenia". Seminarium nawróconych w Warszawie. Żółkiewski, Kott i Wyka. Rekrutacja krytyków. Warszawa jakby dawna — ruiny i

rekonstrukcja. Następna wizyta w zimie podczas urodzin Stalina. Zdrada: kiedy przyjechałem tu po raz trzeci, nocowałem w IBL. Warszawę już burzono. Kiedy ja posuwałem się coraz dalej na drodze zdrady, czyli przystosowania do “nowej rzeczywistości", ta nowa rzeczywistość wyłaniała z siebie jeszcze nowszą, nie przeczuwaną jeszcze rzeczywistość. Zdobycie młodzieży, a raczej uchwycenie jej w karby ideologii i organizacji stało się głównym zadaniem reżimu. Zamiast *Gaudeamus igitur* śpiewaliśmy teraz “Nie ma granic

ni kordonów pieśni zew..."[2] i maszerowaliśmy z portretami Stalina na kijach... Dlaczego? — spyta ktoś zdumiony.

Warszawa, 28 IV 1984

[...]

Przystąpmy dzisiaj do Krzyża z doświadczeniem klęski. Przeżyjmy ukrzyżowanie wraz z Judaszem, który zdradził, Piotrem, który skłamał, i uczniami, którzy się rozbiegli i ukryli. Było tak pięknie! Olśniewał tłumy cudami i słowem. Wygrywał łatwo dysputy z uczonymi i politykami. Rzesza jego zwolenników rosła z dnia na

dzień (i tylko Nazaret było niepowodzeniem). Oni oczywiście postanowili go zlikwidować, ale bali się rozruchów. Uczniowie i zwolennicy Chrystusa doświadczyli tego, że tłum jest tym bezpieczniejszy, im większy. Chrystus odważył się wkroczyć do Jerozolimy i wjazd ten był triumfem. Odważył się wejść do świątyni i dokonać pogromu przekupniów. Wreszcie wypowiedział słowa, które Jego wyznawców musiały wprawić w najwyższe uniesienie: Jeśli zechcę, zburzę tę świątynię i w trzy dni ją wystawię. Krok po kroku Chrystus zdawał się zmierzać do ziemskiego tryumfu. Uczniowie mieli powody do zawrotu głowy od sukcesów i do zapomnienia wcześniejszych zapowiedzi męki, śmierci i opuszczenia.

Aż naraz wszystko się odwraca. Spisek, zawiązany nocą, jakże łatwy okazał się do przeprowadzenia!

I poszczególne momenty — “stacje" Męki Pańskiej przybliżając Jezusa do Krzyża, do owego wyniesienia — dla uczniów, dla zwolenników, dla tych, co już w Niego wierzyli, były pasmem klęsk. Jakby im się

ziemia powoli spod nóg usuwała. Jakby powoli w nich zabijano wiarę, nadzieję i miłość. Jezus w Ogrojcu. Piotr porwał się w obronie Jezusa. Jeszcze udał się za Jezusem na dziedziniec arcykapłana. Jeszcze na drodze Jezusa stały kobiety. Jeszcze podbiegła do Niego Weronika... Jezus mówił do nich. Jeszcze szemrano w tłumie, że przecież skoro innych wskrzeszał z martwych, nie da się zabić; skoro Bóg Go wskazał jako Syna umiłowanego, może zstąpi w Jego obronie. Inni pewnie biegli za Nim chyłkiem, kryjąc się za tłuszczą i

żołnierzami. Ale razem z łomotem młotów przepadła wszelka nadzieja. Podniesiono Krzyż z Jezusem wyszydzonym, zelżonym, upokorzonym, na urągowisko wszelkiej nadziei, miłości i wierze.

W co tu wierzyć? Czego się spodziewać, skoro ten, którego Bóg posłał, stał się przedmiotem gry politycznej i zabawą żołnierzy?

29 IV 1984

Wierzbicki *Struktura kłamstwa* tworzy niezmiernie skomplikowaną typologię

kłamstwa komunistycznego[1], zapewniając, że kłamstwo komunistyczne jest inne od wszelkich kłamstw. Twierdzi np., że komuniści “przekraczają normy etyczne", bo okłamują “swoich", podczas gdy dopuszczalne w polityce jest tylko okłamywanie przeciwników. To chyba nieprawda. Właśnie okłamywanie przeciwnika jest najtrudniejsze, jeśli nie wręcz niemożliwe. Poza tym osobliwość ustroju komunistycznego oraz komunistycznego sposobu prowadzenia walki politycznej polega na unicestwianiu

przeciwnika. Komuniści potrafią działać tylko sami — bez partnerów i rywali. Propaganda komunistyczna nie tyle polega na kłamstwach (i sprawdzanie jej twierdzeń jest zajęciem jałowym), co na zapełnieniu pustki, jaka powstaje po zlikwidowaniu partnerów, rywali, przeciwników. W tej pustce nawet prawda brzmi jak kłamstwo. Komuniści bardzo często mówią prawdę, którą społeczeństwo przyjmuje tak, jakby była kłamstwem, ponieważ jest prawdą jedyną. Np. komunistyczne twierdzenia o nędzy w wielu rejonach świata są

prawdziwe, ale nikt w nie nie wierzy w komunistycznym świecie, gdzie wszelka prawda jest zatruta u źródeł. Komunistyczny rząd jest jak człowiek, który zamordował swój cień: żyje, ale jego istnienie jest przerażające i niewiarygodne. Komuniści postępują jak schizofrenik, który słyszy głosy i który, chcąc się ich pozbyć, obcina uszy...

30 IV 1984

KIK

Zwrot ku Kościołowi: czynnik zaufania społecznego, poczucie tożsamości, wspólnota. [...]

Modląca się wspólnota może wyrazić treści, których indywidualnie wyrazić nie można.

Doświadczenie religijne — jego brak w 1968 roku; jego wartość. Doświadczenia 1980 r. — religijne. Brak porozumienia z tymi, którzy nic nie przeżyli. [...]

Warszawa, 1 V 1984

Odnaleźć potrzebę i przyjemność pisania. Zapisywania, przepisywania, porządkowania, doskonalenia, wreszcie — publikowania. Potrzeba pisania — zdaje się, że nigdy jej nie odczuwałem. Pisanie

narzuciłem sobie jako sposób życia i jako drogę wypróbowania swoich zdolności oraz zaspokojenia ambicji. Zawsze był to dla mnie przymus. Nie przymus wewnętrzny, ale zewnętrzny. Nic się pod tym względem nie zmieniło. U progu starości jestem swego pisania równie niepewny jak 30 lat temu, równie z niego niezadowolony, równie nim znudzony i zarazem zatroskany.

Jedno się zmieniło: o ile dawniej chciałem przede wszystkim siebie wypowiedzieć i utrwalić, dzisiaj myślę o wypowiedzeniu doświadczenia zbiorowego i o zdefiniowaniu charakteru polskiego. Ale są to również myśli leniwe i chaotyczne. Daleko im do wyrazu.

Odnaleźć potrzebę i przyjemność pisania... Tylko przez cudzą myśl i cudze pisanie. Już sobie to wiele razy obiecywałem, że niczego nie napiszę, nie przeczytawszy czegoś pierwej. To znaczy, że wszelkie pisanie moje powinno być glossą do literatury już stworzonej. [...]

2 V 1984

...sobie samemu najpierw, a potem wszystkim dookoła — aby

inni też ich nie słyszeli...

Zapełniają więc pustkę — i to zapełnianie pustki właśnie tak wygląda, jak to Wierzbicki opisuje — z tym, że jest to bardziej teatralne. Opis Wierzbickiego odnosi się lepiej do lat 50-tych niż późniejszych; pustka była wtedy szczelna, przeciwnik wypędzony lub zamknięty w kozie, granice nieprzepuszczalne — a celem komunistów było przede wszystkim zdobycie umysłów młodzieży. Dla młodzieży stwarzano świat fikcyjny od podstaw i skłócony z doświadczeniem dorosłych. Myśmy lepiej wiedzieli od naszych ojców, co sądzić np. o dwudziestoleciu i o okupacji i w ogóle o całej historii — nie mówiąc o teraźniejszości, do której interpretacji mieliśmy swoisty klucz. Zdarzenie mogło sobie “mieć miejsce", ale nic z niczego nie wynikało, jeśli nie było “typowe", a typowe było to, które odpowiadało doktrynie. To nie było “zakłamanie", jak mawiali starsi. To była “marksistowska analiza", czyli ideologiczna interpretacja rzeczywistości, znana zresztą skądinąd — nb. z Kościoła, gdzie

np. nieprawość osobista nie miała istotnego znaczenia, albo błąd w magisterium Kościoła nie naruszał ani całości doktryny, ani nawet... dogmatu o nieomylności...

Od tego czasu w “nauczaniu" komunistów (czyli w ich propagandzie) wiele się zmieniło: komuniści nie liczą już na poparcie i dziewiczy zapał młodzieży. Młodzież przestała wierzyć w ideologię i bierze rzeczywistość taką, jaka jest, i wytworzyła sobie swoją własną empiryczną filozofię. W ocenie reżimu jest znacznie bardziej pryncypialna niż starsze pokolenie. Jest też zresztą znacznie bardziej dotknięta brakami jej systemu. Komuniści nie próbują jej przekonać, bo jak i czym? Żadna interpretacja nie zmienia faktu, że na mieszkanie trzeba czekać 12–15 lat, że na samochód trzeba zarobić za granicą i że każde środowisko pracy przynosi negatywne doświadczenia zawodowe i społeczno-moralne. Ale komuniści liczą tylko na to, że młodzież dorastając będzie przystosowywać się do rzeczywistości, do “systemu". Więc nie tyle kłamią, co dowodzą, że prawda nie ma

znaczenia. Wcale nie twierdzą, że ten ustrój ma wyższość nad kapitalistycznym, że jest “prawdziwie demokratyczny", że daje “prawdziwą wolność"; twierdzą tylko, że u nas może być tylko tak, jak jest, i że to “trzeba zrozumieć", czyli być “realistą".

Od “realizmu socjalistycznego", czyli ideologicznego (wedle którego prawdziwe było to, co typowe), propaganda komunistyczna przeszła zatem do realizmu “redukcyjnego": prawdziwe jest to, co jest, inaczej nie będzie.

— — —

Stoi przed nami Krzyż — znak wszelkiej śmierci, znak naszej śmierci. Będziemy umierać — umieramy — na pewno w cierpieniu i na pewno w opuszczeniu. Choćby zapewniono nam wszelkie wygody i środki znieczulające, nikt nas nie uwolni od samotności umierania. Choćbym otoczony był wtedy przez wszystkich moich najbliższych, choćby wśród nich nie zabrakło nikogo, przecież umrę sam. Tak jak Chrystus, który z Krzyża wołał, nawet do swego

Ojca w niebie: czemuś mnie opuścił! Choćby ta śmierć miała nastąpić tak, jak o niej marzy człowiek XX wieku — nagle, bezboleśnie, w sekundzie — nic nas nie uwolni od lęku przed nią rozpylonego w naszej cywilizacji jak gaz, jak produkt spalania. I tak samo jak my, jak każdy z nas, umierać będą nasi najbliżsi. Umierać będą nasze plany, dzieła, przedsięwzięcia; całe nasze życie przesycone jest cierpieniem, smutkiem, goryczą końca nieodwołalnego, wobec którego człowiek — ludzkość — narody — pokolenia — stoją w opuszczeniu, obnażeniu, sponiewieraniu; jak Chrystus na Wzgórzu Trupiej Głowy[1].

I oto ludzkość, oto naród, oto każde ludzkie pokolenie, oto każdy z nas spotyka Syna Bożego w najboleśniejszym, najstraszniejszym, w najbardziej nieuniknionym, a zarazem najniższym punkcie swej ziemskiej egzystencji!

Chrystus, jak obumierające ziarno, wsiany w glebę tego świata — właśnie opuszczony, wyszydzony, zelżony, oderwany od swych wyznawców, od swego ziemskiego dzieła, Chrystus bez

przyszłości, Chrystus, który przestał być nadzieją najbliższych, Chrystus rozpięty na Krzyżu w ciemnościach, na pękającej ziemi — gotów do zmartwychwstania, dojrzały do odrodzenia w całej przyszłej historii ludzkości odkupionej...

Wilga, 6 V 1984

[...]

Gdyby tak napisać taką *Oziminę*[1] — wykorzystując Kongres Kultury[2] jako skupisko osób, losów, myśli. Przecież to jest jakby gotowa fabuła. Kongres,

stan wojenny, internowania, spotkania ludzi, którzy dawno się nie widzieli i mają z sobą różne porachunki. Np. taka scenka: Rakowski wybiera się na Kongres. Dostaje telefon z Sekretariatu Pierwszego. Pierwszy chce go widzieć o 10. Rakowski musi być już wtedy na Kongresie. To ktoś przyjedzie. R. jest podenerwowany. Czuje, że coś się dzieje poza nim. Niejasny niepokój co do tego Kongresu. Co to znaczy, że oni sami, to znaczy “te środowiska" postanowiły go zwołać. Z drugiej strony to dobrze, że będą gęgać o kulturze.

To jest bezpieczny teren rewolty. Niebezpieczny jest Gdańsk i niebezpieczne są zebrania w SDP. Kryzys się przetacza przez jego dziedziny. Zepchnąć go na ekonomię. Zepchnąć go w dziedzinę problemów nierozwiązywalnych. Uwikłać go w produkcję, konsumpcję etc. Odpolitycznić! Trzeba im to powiedzieć na tym Kongresie, że pies jest pogrzebany gdzie indziej. Zawsze gdzie indziej, niż go szukają.

Przydałby mu się teraz stary Staszewski. Umiał nazywać rzeczy po imieniu. Powiedział mu

kiedyś: my tu nie jesteśmy na to, aby rządzić, ale na to, aby nikt się tu do rządów nie dorwał. “To" nie ma funkcjonować jako państwo, ale ma zapobiec powstaniu jakiegokolwiek państwa prawdziwego. Po co to wszystko? Żeby oni, tam w Moskwie, nie oszaleli. To jest jeden wielki szpital wariatów, a my, demoludy, jesteśmy pielęgniarzami. My mamy rozpędzić ich koszmary. Ale dlaczego tam nie może powstać normalne państwo? Z czego? Z głodu, chciwości, strachu, nienawiści? Przecież to są przeklęte czarcie bagna i stepy, na

których ostała się jeszcze, nie osiodłana żadna myśl ludzka konstruktywna. To, co tam się może narodzić, jeśli nie będzie kontrolowane, zagrozi całej cywilizacji. To trzeba utrzymywać za kilkoma pasami sanitarnymi. My stanowimy zewnętrzny, władza sowiecka wewnętrzny.

Ale nie ma Staszewskiego. I premierowi już nie wypada do niego przychodzić na lekcje polityczne. Zresztą — coś się chyba zmieniło. Lęk: a nuż oni zostawią nas naprawdę samych? Wtedy nasi nas powywieszają. Będzie to niesprawiedliwość, ale — Boże drogi — taka sama, jaką uczyniono tylu *ancien-regime'om*[1]! Teraz będzie inaczej, bo nas mordować będą syci. Będą nas mordować za coś ważniejszego niż chleb. Za co, psiakrew? Za to pieprzenie. Za to — wziął do ręki swoje przemówienie na Kongres Kultury.

Zadzwoniono do drzwi. Wszedł Urban. Typowy nieudacznik. Ale przydawał się nieraz. Rakowski go winduje, bo chce mieć ludzi oddanych. Teraz przyjeżdża od Pierwszego. To znaczy, że się uwiesił u

wewnętrznej klamki.

— Czy ty zamierzasz tam przemawiać?

Otworzył usta na literę “o". Chciał powiedzieć “oczywiście" i oznaczałoby to parę rzeczy naraz. Ale w tej samej chwili zadzwonił telefon. Sekretarz z informacjami. Słuchał nudnej wyliczanki, patrząc na tow. Urbana, który próbował odczytać coś z kartki leżącej na stole.

— Jeżeli pyta... to znaczy, że to nie jest takie oczywiste...

I odłożywszy słuchawkę odpowiedział:

— Nie, skądże. A dlaczego

pytacie?

[...]

Warszawa, 14 V 1984

Zimno i deszcz. Martwota w duszy. Głupia rozmowa w MSW w sprawie paszportu i mojego wywiadu dla Głosu Ameryki. “Zasilił pan propagandę St. Zjednoczonych, które prowadzą wrogą politykę wobec Polski..."

Pobyt w Krakowie. W klinice żadnych nowości. Ciśnienie dobre, wynik ultrasonografii dobry, oko nadal ślepe, pani Machowa nadal tajemnicza. Nieaktywność, senność, niesmak, *spleen* majowy.

Pełno roboty: Mochnacki, Besançon, Wyszyński, Berent, książka i — różne zachcianki. Uparte czytanie Chateaubrianda. Wszystko rozgrzebane.

[...]

21 V 1984.

System Wittego[1] polegał na tym, że państwa zachodnie przyznawały znaczne pożyczki na rozwój gospodarki rosyjskiej, a ich obsługę zapewniały nowe pożyczki. Kredyty były przyznawane, ponieważ sprzymierzonym zależało na sojuszu z Rosją, a wierzyciele,

którzy chcieli odzyskać swoje kapitały, byli zainteresowani w podtrzymywaniu gospodarki rosyjskiej na poziomie wypłacalności. Motorem tej pożyczkowej pompy ssącej był jej charakter odwracalny, którym system Wittego mógł szantażować wierzycieli. Groźba polegała na tym, że rząd rosyjski przestawi się na przymierze z Niemcami lub ogłosi bankructwo. Wierzyciele zachodni ufali jednak, że groźba ta przestanie być realna, kiedy Rosja zostanie ostatecznie “zintegrowana" ze światowym systemem ekonomicznym i

politycznym.

Besançon znakomicie wykrył ten podwójny status ZSRR — jako państwa ideologicznego i prawnego zarazem; być może osłabienie pozycji ZSRR polega na tym, że w coraz mniejszym stopniu może uchodzić za pierwsze, a nie potrafi być drugim. Bo przecież istota rzeczy polega na tym, że ZSRR nie jest ani państwem ideologicznym, ani prawnym; istnieje tylko dzięki słabości swych zewnętrznych i wewnętrznych przeciwników.

Wielkie pytanie: co ZSRR zrobi teraz. Śmierć Breżniewa i

Andropowa wprowadziła kierownictwo radzieckie w cykl zmian personalnych, który nie może obyć się bez walki. Jakie siły będą w tę walkę zaangażowane i jakimi posłużą się broniami? Czy jedną z tych broni będzie stan radzieckiej gospodarki, tak jak to było po śmierci Stalina? Czy napięcia społeczne — np. sytuacja młodzieży — odegrają w tym jakąś rolę? Czy polityka zagraniczna ZSRR będzie przedmiotem sporu i reorientacji — i w jakim duchu? Czy wystąpią zwolennicy jakiegoś lepszego

odprężenia (a w każdym razie przedłużonego), czy też właśnie zwolennicy “pryncypialnej", konfrontacyjnej polityki? Jaką rolę w tym odegra Afganistan[1], a jaką Polska, jaką Iran, a jaką Liban czy PLO. Jaka będzie tendencja — stosunek do USA — ułożenie na powrót stosunków wg formuły Breżniewa-Nixona, czy stałej dyplomatycznej konfrontacji? Jaki kurs przyjmą w polityce wewnętrznej, nb. w kwestii narodowościowej, coraz drażliwszej ze względu na przyrost ludności w muzułmańskich republikach radzieckich?

— — —

“Świat sowiecki opiera się zrozumieniu z powodu swojej abstrakcyjności, ale z tego samego powodu jest on prosty"[2].

Odgadnąć ZSRR... Może nikt nie jest do tego lepiej przygotowany od Polaków, którzy ich znają najdłużej i w swej historii mają wiele do tego wzorów. Ale właśnie w tejże historii kryją się źródła naszych błędów. Będąc mianowicie pewni swego doświadczenia z

pokojowego i wojennego współżycia z Rosją, traktujemy ZSRR jako proste przedłużenie historii Rosji. Sądzimy też, że wszelkie warianty współżycia PRL z ZSRR mieszczą się we współżyciu nieobecnej Polski z wieczną Rosją i wedle historycznych wzorów odczytujemy rzeczywistość Polski Komunistycznej i Komunistycznej Rosji. Na czym wszakże polega naród, o tym poucza nas m.in. analiza Besançona, który czuje doskonale to, że ZSRR, będąc państwem ideologicznym, nie mieści się w analizie historycznej, która takiego tworu nie zna. Rosja, będąc klasyczną tyranią, była mimo wszystko państwem jak inne; ZSRR jest tylko w pewnej mierze państwem jak inne, w części bowiem bytuje w sferze ideologii. Uciskając inne państwa, uciska też samo siebie, nie korzysta z własnych zdobyczy, okradając innych, samo się nie bogaci, osłabiając innych, samo się nie wzmacnia, bardzo w tym wszystkim podobne do rakowatej komórki, której przecież nic nie przychodzi z tego, że inne przekształca na swoją modę i cały organizm morduje. Dawna Rosja

— pomimo wszystkich swoich wewnętrznych aberracji, komuś przecież dawała szczęście. Pomimo całej rosyjskiej biedy istniała przecież jakaś rosyjska uroda życia — znał ją rosyjski ziemianin, kupiec, oficer, urzędnik odpowiednio wysokiego szczebla. Nie ma takiego zjawiska w ZSRR — nawet pomimo istnienia tam ludzi żyjących w dostatku, czy nawet zbytku. Bo z tym ustrojem nikt się nie utożsamia — nawet zażarty komunista, który musi przyznać, że to nie jest jeszcze to... Jest to bowiem nie tylko państwo zwyczajnej materialnej czy policyjnej udręki; jest to również państwo udręki ideologicznej, państwo kłamstwa — kłamstwa, którego jad my Polacy potrafimy odczuć, znając je zaledwie w lekkim stężeniu...

Zrozumieć ZSRR, czyli tamtejszych ludzi — czyli polityków, ideologów, funkcjonariuszy, specjalistów i zwyczajnych obywateli, to znaczy zmierzyć ogrom ich smutku, udręki i nieszczęścia, które nie mają chyba sobie równych na ziemi. Więc ich reakcje są nieobliczalne, ich zachowanie w świecie dziwaczne, nie cenią tego,

co inni cenią, przywiązują wagę do nas, do których nikt wagi nie przywiązuje, i nawet kiedy używają tych samych słów, znaczą one co innego. O ich kompleksach niższości (nawet wobec Polaków) wypisano już tomy i mówi się o tym (zwłaszcza w Polsce) do znudzenia. Najważniejsze wydaje mi się ich uczucie zagrożenia.

Może nawet nie o uczuciu należy mówić, lecz o swoistej doktrynie zagrożenia, która rządzi polityką zewnętrzną i wewnętrzną zarówno historyczną — Rosji, jak ZSRR naszych dni; z doktryny wynikają również uczucia — i Rosjan, i “ludzi radzieckich".

Skąd to pochodzi? Rosjanie wiedzą, że sami przez się historycznie, gospodarczo, geograficznie, politycznie, a nawet wojskowo nic nie znaczą. Państwo rosyjskie zredukowane do swych etnicznych granic byłoby nieforemną, źle zagospodarowaną słowiańską enklawą wśród ugrofińskich, mongolskich, turkmeńskich plemion, bez surowców, dostępu do morza, zdanym na łaskę sąsiadów — Polski, Ukrainy, Finlandii (czy Szwecji, Turcji, Chin, Japonii), za pośrednictwem których mogłoby

się komunikować ze światem. Rosja, tak jak Litwa niegdyś i tak jak Prusy, istnieje dzięki podbojom i nabytkom. A nadto Rosja wie (tzn. Rosjanie wiedzą), że nad tymi nabytkami nie panują, że nie zdołali sobie swoich satelitów ani zjednać, ani podporządkować i że wystarczy jeden silny cios z zewnątrz, aby się to wszystko rozsypało. I stanie się to najgorsze: Rosjanie zostaną sami ze sobą, nie mając właściwie warunków do takiego samoistnego bytu. Rosja jest więc niejako skazana na ekspansję, podobnie jak byli na nią skazani Rzymianie.

Tyle, że ich do ekspansji kusiły morza oblewające półwysep, Rosjan natomiast dławi uczucie okrążenia. Jest to ekspansja obronna. Rosjanie nie kłamią, gdy mówią, że zajęcie połowy Polski w 1939 roku było manewrem obronnym, ani też Stalin nie kłamał w 1943 roku i 1945[1], gdy domagał się gwarancji, że nigdy więcej z Niemiec przez Polskę nie ruszy na ZSRR niemiecka ani inna wyprawa mająca na celu rozbiór wielkiej Rosji. Poza tym Rosjanie (czy Sowieci) wiedzą, jak są w świecie nielubiani, jakie budzą uczucia, jak powszechne jest

przekonanie, że się im dominacja na tak wielkich terytoriach nie należy, że są wielkimi psujami cywilizacji. I dopiero na tym prastarym lęku rosyjskim rośnie lęk nowy — lęk komunistów, lęk bolszewików, którzy również wiedzą, że ich władza jest nierzeczywista, od samego początku narzucona podstępem i siłą, że ustrój ich stanowi fenomen dziejowy — tak olbrzymiego zwycięstwa odniesionego przez mniejszość nad większością. I z tego fenomenu trzeba dopiero wyprowadzić ich metody postępowania. Istnieje jakby analogia pomiędzy losem Rosjan i losem bolszewików: jak Rosjanie wiedzą, że pozbawieni dominacji nad narodami Azji Środkowej i Północnej, narodami zagłębia Donieckiego czy krajów wschodniej Europy, stają się równorzędnym, jeśli nie słabszym partnerem Finów, Białorusinów, Polaków, Ukraińców, tak komuniści wiedzą, że pozbawieni władzy stają się tym, czym byli przed zamachem stanu 6 listopada 1917 roku, sektą polityczną łowiącą ryby w mętnej wodzie, tym, czym są w Anglii lub w USA. Na razie idzie im ten

polityczny poker. Jak długo?

26 V 1984

Nowy wylew? Przyciemnił się obraz w lewym oku, pojawiły się znów palczaste, amebowe, ruchliwe kształty, oko zaczerwieniło się tym razem, i boli. Nie bardzo, ale boli. Pojutrze lecę do Krakowa. [...]

Przeczytałem Chateaubrianda z wielkim pożytkiem i przyjemnością.

29 V 1984

Po powrocie z Krakowa: “to są złe rokowania" — powiedziała p. Machowa. To się skończy

usunięciem...

Wiem o tym od roku. I na cóż czekamy?

[...]

1 VI 1984

Kardynał Wyszyński i Millenium[1].

1. Formy pobożności propagowane przez Kardynała po zwolnieniu go z internowania: Śluby Jasnogórskie, Wielka Nowenna, “peregrynacja" obrazu.

Jest to tradycyjna, wiejska pobożność odpustowa w skali krajowej, przy zastosowaniu nowoczesnych środków

propagandy, z których wiele jest kalką sposobów komunistycznych.

2. Bo jest to też odpowiedź na masową indoktrynację i na intensywny proces “modelowania" mas przez reżim. Przypomnijmy te formy: ołtarze Stalina, nie kończące się pochody z chorągwiami, portretami i najróżnorodniejszymi feretronami. Nietrudno było spostrzec w tych formach zapożyczenia kościelne. Kardynał, podstawiając treści religijne pod formy komunistyczne, rewindykował to, co z kościelnych tradycji zostało wzięte. Zastosował technikę znaną od początków istnienia Kościoła, który z kolei swoją liturgię rozwijał w oparciu o formy pogańskie.

3. Doszło więc w Polsce do prawdziwej bitwy na znaki, a przedmiotem jej była interpretacja Millenium. Czyli interpretacja historii, a zarazem interpretacja dalszego rozwoju. Materialistycznej interpretacji dziejów państwa Kardynał przeciwstawiał w swych kazaniach interpretację duchową, nawiązując do baroku i romantyzmu.

4. O Polsce i Polakach można

powiedzieć, że są najmniej stabilnym narodem w Europie, ponieważ w ciągu niespełna 200 lat nieustannie zmieniają się ich granice, status, ustrój, skład ludności, a nawet miejsce osiedlenia. Dodajmy do tego olbrzymie przekształcenia wewnętrzne — migracja ze wsi do miast. Przechodząc do miast, przewozili do nich część swego obyczaju. Kardynał Wyszyński sprawił to, że przenieśli też swoją religijność, która z kolei miała ulec przekształceniom w warunkach miasta i pracy przemysłowej. Ale nikt nie

przypuszczał, że zdominuje ona miasto i stanie się łożyskiem życia kulturalnego inteligencji i zawodowego robotników. Że na pielgrzymki ruszą rzesze młodzieży.

Wilga, 4 VI 1984

Ach, być grafomanem! Odczuwać przymus i rozkosz pisania... Nigdy czegoś takiego nie doznałem. Pisałem dla zarobku, a ponieważ już teraz nie muszę w ten sposób zarabiać, nie piszę i pisać nie zamierzam. Nawet mi nic do głowy nie przychodzi. Dawniej miewałem też różne

ambicje; wyleczył mnie z nich śp. Łukaszewicz, karząc mnie raz za razem to zakazem druku, to zakazem wydawania, to zakazem popularyzowania. Przez 10 lat Gierkowskiego cudu gospodarczego, żyjąc nieźle i wcale swobodnie, nie wydałem ani jednej książki i przestałem się w ogóle liczyć jako autor. Istnieję jako ktoś zupełnie inny. Nazwisko moje przydaje się na protestach, budzi respekt w MSW, szanuje mnie emigracja, kler, młodzież dysydencka, ale nikt nie wie za co. I nikt też nie wie, czego ode mnie może się spodziewać. Pod tym względem jestem w znacznie lepszej sytuacji od czynnych pisarzy “opozycji". O Kisielu mówi się, że zdziadział, o Brandysie, że jest zawsze tym samym elegancikiem, o Marku Nowakowskim, że prymitywny, o Tadeuszu Konwickim, że się powtarza, a o mnie? Że się dobrze zapowiadam?

[...]

19 VI 1984

Impas. Oko mi w końcu wyłupią, ale poza tym nic pewnego.

[...]

Wilga, 23 VI 1984

Lektura ponowna *Zapisków więziennych* Prymasa Wyszyńskiego skłania do wspomnień[1]. Potrafię sobie bardzo dokładnie przypomnieć moje przeżycia i czynności z lat 1953–54–55; nie potrafię sobie natomiast zupełnie przypomnieć co, o czym i jak myślałem. Pisałem wtedy opowiadania wyzute z wszelkiej treści, opowiadania, które były wyłącznie technicznymi ćwiczeniami, czymś w rodzaju autoegzaminu

pisarskiego[2]. Zastanawiałem się głównie nad tym, czy mam talent, a jeżeli — to jakiego stopnia. Ale do czego miałbym go użyć, co miałbym wypowiadać, do czego skłonić — nie pamiętam, abym o tym myślał. Ani o świecie, w którym żyłem — o Polsce, o sytuacji wewnętrznej, o przyszłości, która nas czeka, o niebezpieczeństwach, które nad nami wówczas zawisły, o nieszczęściach poszczególnych ludzi narażonych na więzienia i tortury fizyczne czy moralne (choćby takie, przez jakie przechodził wtedy Prymas Polski).

W jakim stopniu umysł mój był już wtedy zarażony i zdeprawowany i czy broniłem się jeszcze? Z pewnością moje małżeństwo było aktem obronnym, bo zaprzestałem włóczyć się po knajpach w towarzystwie cyników i oportunistów; ale zarazem dla pieniędzy, których potrzebowałem wtedy bardziej niżeli w kawalerskich czasach, pisywałem głupstwa, na jakie bym sobie dawniej nie pozwolił. Byłem bardzo młody i tak w głowie jak w sercu miałem wielki nieład. I to wspomnienie — właśnie

wspomnienie nieładu męczy mnie najbardziej. Nie potrafiłbym przed żadnym sędzią zdać sprawy z tych lat. Jedno tylko wiem na pewno: byłem bardzo nieszczęśliwy.

Kraków, 25 VI 1984

Znowu w klinice po raz czwarty w ciągu roku z niewielkim okładem. Pojutrze operacja.

26 VI 1984

Z narkozą, czy bez? Chyba z narkozą, bo się boję.

[...]

27 VI 1984

Dziś operacja.

2 VII 1984, poniedziałek

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, rozpoczynamy coś nowego. Mniejsza już o to, co było. Żyjemy, patrzymy na świat równie piękny i ciekawy, jak przedtem, i mamy nadzieję. Czytamy dalej Micheleta, odmawiamy pacierze, robimy dobrą minę, zasypiamy i bolejemy nad ich niespełnieniem.

Czy coś się w nas zmieniło prócz zakłócenia symetrii w twarzy? Wiemy więcej o

cierpieniu, bośmy poznali nowe jego rodzaje; wiemy też więcej o śmierci, bośmy jej skromną próbę przebyli w narkozie, a zwłaszcza w budzeniu się z niej, kiedy poprzez ciemność i pędzące w ciemności tajemnicze i wstrętne formy (kraty, materie, sploty), docierały do nas wołania: “panie Kijowski, niech pan oddycha!..." — zakłócane przeraźliwym hałasem jakby świdra wwiercającego mi się w czaszkę. Jak się potem okazało, była to kosiarka spalinowa, strzygąca trawnik za oknem. Otóż wtedy właśnie, gdy mi się wydało, że

leżę rzucony gdzieś pod ścianę, okaleczony, zredukowany tylko do głowy i tułowia, i nie mogąc odpowiedzieć na wołania ani unieść powiek, wtedy — myślę — zbliżyłem się trochę do tej granicy, którą trzeba przejść, aby poznać tajemnicę, której ciekawość otwiera nasze umysły, nasze serca i naszą wolę walczenia do ostatka.

Może zbliżyła się, choć nasi zmarli, którzy przez tę granicę przeszli, uśmieliby się zdrowo, gdybym im to powiedział. Co ujrzał, co poczuł, co ucierpiał mój ojciec, kiedy ratującym go

lekarzom powiedział: “mnie już nic nie trzeba"...? Czy moja matka zobaczyła choć na chwilę mnie, kiedy stałem przy jej łóżku, w ceratowym płaszczu jak policjant, bez miłości, bez litości nawet, niecierpliwie oczekujący jej śmierci? Czy to zimno idące ode mnie, czy ta obojętność, z jaką odwracałem się od jej łóżka, patrząc w okno szpitala sąsiedniego (w którym w rok później umierał mój ojciec, w którym sam leżałem kilka lat przedtem i gdzie — jak mi się wydawało wtedy — doznałem najczystszego przeżycia miłości

do obcego, chorego, bezradnego, wydrwionego człowieka...). Czy to zimno, to wyrachowanie dotarło do niej choć na chwilę i dobiło ją — tak jak do zażycia tej ostatniej, fatalnej dawki berbirutów[1] skłoniły ją ostatecznie moje brutalne słowa (“trujesz nam życie..."), wypowiedziane niby w obronie Ojca i nas wszystkich, ale przecież z tym ukrytym, dawno pielęgnowanym zamiarem zabicia jej... Och, oczywiście nazywałem to inaczej: “wstrząsnąć", “wywołać szok"... ale nigdy, nigdy nie przyszła mi do głowy myśl przeciwna: ukoić, uciszyć, pomóc

w znoszeniu tych mąk wewnętrznych, których nikomu nie mogła i nie umiała zwierzyć. A któż to w otoczeniu najbliższym mógł lepiej zrobić ode mnie? I w tym miało się sprawdzić moje powołanie, o którym mam czelność do dziś dnia z samym sobą rozprawiać...

Więc cóż wiem o śmierci, a zwłaszcza o śmierci wiecznej? Mówię o tym wszystkim spokojnie, bo mi Bóg grzechy przebaczył, a tym spokojniej teraz, kiedy mi zesłał fizyczne i moralne cierpienia na pokutę doczesną, na zapłatę doraźną. Spokojnie

zbliżam się teraz do Boga, do ołtarza Bożego, bo mam ręce pełne tej ofiary łez i krwi.

[...]

3 VII 1984

Przeczytałem *Czerwone i czarne*[2] i postanowiłem napisać *Czerwone i czarne*. Jak to miało być? Jaka to była fabuła, jaka idea, jaki styl, jakie słowa?...

Ale potem przeczytałem *Czarodziejską górę*[3] i postanowiłem napisać *Czarodziejską górę*. Nie, niezupełnie, bo zaraz potem

przeczytałem *Proces* Kafki (w przedwojennym wydaniu)[1] i wszystko dokoła nabrało koloru snu: Stalin, dom na Warszawskiej, Kraków łuszczący się i sparszywiały w komunistycznym zaniedbaniu. Przestałem chodzić na wykłady, planowałem powieści. Pewnego dnia odwieziono mnie do szpitala. Bolały mnie nerki. Dostałem zastrzyk. Kiedy się zbudziłem, był już zmierzch. Leżałem na dużej sali, dokoła rozbrzmiewały głosy mężczyzn. Wołali na kogoś, żeby wstawał, ubierał się, bo zaraz pani dentystka przyjdzie. Zobaczyłem

chudego człowieka, który podniósł się z łóżka, wygrzebywał spod poduszki w kłąb zwinięte ubranie i począł się niezdarnie ubierać. — Prędzej! — wołali chorzy z sąsiednich łóżek — pani dentystka nie będzie czekać!

Był to kolejarz, który w wypadku stracił wszystkie zęby. Miał jeszcze inne kontuzje i rany, które mu jakoś ponaprawiano; tylko zębów mu nie wprawiono, i na to właśnie czekał. Lada dzień miała przyjść pani dentystka, zabrać go i wprawić mu zęby. Codziennie rano zbierał się i czekał. Potem kazano mu się rozbierać. Ale wystarczało mu powiedzieć: pani dentystka idzie, już łapał za ubranie. Bełkotał coś przy tym, chwytając się za szczękę.

Patrzyłem na to w oparze narkotyku, który mi dano, i naraz przeniknęła mnie myśl jasna i czysta: to o niego chodzi, to za niego dał się ukrzyżować Jezus. To jest ten, któremu nikt nie potrafi wymierzyć sprawiedliwości, ten, który uczestniczy tylko w czystej miłości Boga. To jest ten, przez którego zwycięża Ewangelia i przegrywa “religia ludzkości".

4 VII 1984

Następne dni w klinice (mówię o pobycie na “czerwonej chirurgii" w 1950 roku) przeżyłem w nastroju uniesienia i olśnienia. Nie wiedziałem dobrze, co to olśnienie znaczy, jak je sobie w słowach przepowiedzieć; wiedziałem na pewno, że w praktyce oznacza to dla mnie powrót do praktyk religijnych, z którymi od jakichś dwóch lat zerwałem. Niestety, bardzo prędko, zbyt prędko zacząłem się zastanawiać nad tym, jak to doświadczenie przełożyć na formy literackie i pod wpływem właśnie Kafki począłem układać jakieś fabuły, a w fabułach zagubiłem zupełnie znaczenie i wartość przeżycia. Gdybym sobie był wtedy powiedział: oto Chrystus, który ci się objawił w bezbronnym, oszukiwanym, skrzywdzonym, wyśmiewanym człowieku, w człowieku, który nawet wypowiedzieć się nie może, tylko w milczeniu spełnia polecenia swoich prześladowców, oto więc Chrystus, który cię ze stanu twojego rozleniwienia, rozmarzenia, ze stanu miłości własnej, wyrwał, przeniósł do szpitala, dał pokosztować trochę

bólu i tak przygotowawszy, nagle przemówił najgłębszą i najczystszą prawdą swej Ewangelii, i tym sposobem wzywa cię — znacznie donośniej, wyraźniej niż wtedy, gdy przemawiał do ciebie pięknem liturgii, “ozdobą ołtarzy", upodobaniem do życia codziennego Kościoła — gdybym to był wtedy usłyszał, zrozumiał, że moim powołaniem i obowiązkiem jest nieść pomoc temu właśnie człowiekowi, i gdybym — gdybym! — zrozumiał był wtedy, że zacząć powinienem od pochylenia się nad nieszczęściem moich Rodziców i że im przede wszystkim powinienem pomóc, może ocaliłbym swe życie — a im, a potem wielu ludziom pomógłbym i spełnił wolę Boga. Ale odwiedziny kolegów w szpitalu, żarty, drwinki odwiodły mnie od pierwotnej czystości przeżycia, wprowadziły do głowy ów literacki mąt, który doskonale pojął nieznany spowiednik w kościele św. Anny. Spowiedzi mojej, w której próbowałem coś opowiedzieć z tego, co przeżyłem, po prostu nie przyjął, a mój nastrój wewnętrzny nazwał egzaltacją.

No, i zostałem przy literaturze, która mnie nudziła, męczyła i nigdy nie dała radości.

[...]

— — —

Wiara katolicka jest przedziwnym, iście natchnionym połączeniem tajemnicy Bożej i ludzkiego ładu. Żyć z dogmatami wiary katolickiej to znaczy żyć w szkole — w rygorystycznej, arbitralnej szkole kształcącej logikę i pokorę — i zarazem w środowisku tajemnicy. Bo tam wszystko jest tajemnicą

uporządkowaną gramatycznie i logicznie.

Warszawa, 14 VII 1984

Przestałem notować, bo wywiązało mi się w prawej ręce “zakrzepowe zapalenie żyły" od kroplówki, za pomocą której dawano mi narkozę. Wyglądało to początkowo jak zakażenie: ból pod pachą i czerwona najpierw, a potem siwa pręga wzdłuż podramienia. Ale nasi lekarze oraz chirurdzy z przeciwka zgodzili się, że to tylko “thrombophlebitis"[1], polecili okłady z “kwaśnej wody" pod ceratką oraz temblak. Miałem

więc zamiast ręki biały, wilgotny tłumok do noszenia na zielonej chuście i nie tylko pisanie, ale i mycie się miałem do końca “z głowy". Zdjęto mi to dopiero ostatniego dnia pobytu, czyli we wtorek.

Wyjście odbyło się ze zwykłymi ceremoniami; kwiaty, prezenty, uściski. A wszystko połączone z emocją “oprotezowania". Było to bolesne i przykre. Dr Maciejewski zabrał mnie do gabinetu na parterze i tam mi nagle wcisnął pod powiekę twardą muszelkę. Potem podprowadził do lustra. Mówił coś do mnie, prowadząc mnie z powrotem na górę; poprosiłem, żeby przestał, bo i tak nic nie rozumiem. Zamknąłem się w łazience i spłakałem się po raz drugi w ciągu całej choroby. Pierwszy raz pozwoliłem sobie na to w przedsionku kościoła św. Floriana na Pradze, przed dużym Krucyfiksem, po wizycie u doc. Trzcińskiej.

Na lotnisko odwiózł nas Janek, tam spotkaliśmy znów kardynała Macharskiego, który mnie czule prowadził do samolotu. Na Okęciu czekała Elżunia. W domu dużo listów i gazet. Kartka od Jędrka z

Paryża, list od Adama Michnika z więzienia. “Jestem niepoprawnym optymistą. Uśmiechnij się! Będziemy jeszcze konie poić w Dnieprze![2]" Ja tam się nigdzie końmi nie wybieram. [...]

Pani Machowa powiedziała mi na pożegnanie, że wyniki histopatologiczne są pomyślne i “to był taki kuciupeczek..."

Albo będę długo żył. Albo umrę w bardzo krótkim czasie. Albo będę długo umierał. Oczywiście są jeszcze inne możliwości — np. nagła śmierć z zupełnie innego powodu. Tak będzie, jak Bóg zechce.

Najtrudniejsze dla mnie będzie pierwsze rozwiązanie, bo ono wymaga ode mnie wielkiego wysiłku. Muszę bowiem żyć z tym doświadczeniem, jakie mam za sobą i ze świadomością tego, co mnie czeka; muszę sprostać temu, o czym zostałem pouczony: o tym, że choroba i śmierć to są nieuniknione stacje, ku którym zmierzamy, tak jak Chrystus zmierzał do Ogrojca i Golgoty. Przyjąłem to pouczenie z uwagą i pokorą — i otrzymałem w nagrodę przedziwną radość i przedziwną siłę — taką radość i taką siłę, jaką daje wszelka nowa

wiedza z trudem nabyta i gruntownie przyswojona.

[...]

16 VII 1984

PRON wystąpił do Sejmu o amnestię dla więźniów politycznych i osób, przeciwko którym toczy się postępowanie karne[1]. Te procesy są więc czystą komedią dla ZSRR i innych “bratnich krajów"; amnestia zaś jest dla USA i Międzynarodowego Funduszu Walutowego[2], wedle zasady Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. [...]

Byłem w redakcji. Wszyscy bardzo mili, Lisowskiego nie było. Bereza milczał i milczkiem wyszedł. Co go zżera? Strach? Nienawiść?

Nagrody państwowe I stopnia dostali Dejmek, Penderecki, Auderska, Ożogowska, Parnicki i... pośmiertnie Białoszewski![3]

[...]

18 VII 1984

5[15] rano. Sen o górach śnieżnych, bliskich, wyłaniających się z mgły; podpalono jałowce, aby przygotować festiwal

teatralny na wolnym powietrzu. Musiałem pożegnać młodą kobietę, z którą wędrowałem. I zostałem aresztowany. Jakiś człowiek, który mnie do tego miejsca odprowadził, schodził ścieżką w dół, mnie skuł kajdankami na tarasie funkcjonariusz SB, z którym niedawno (w rzeczywistości) rozmawiałem na Rakowieckiej. Wołałem za odchodzącym: Andrzej, Andrzej, nie będzie mnie przez pewien czas! Chciałem mu w ten sposób dać znać, że jestem aresztowany i prosić, żeby zawiadomił najbliższych. Nawet nie podniósł głowy. Widocznie mnie wydał. Głos mi się załamał. Płaczesz? — spytał funkcjonariusz. Nie — odpowiedziałem. — A czy to tak zabrzmiało? — Tak to zabrzmiało — odpowiedział. Uspokoiłem się natychmiast i — obudziłem.

— — —

Dzisiaj na rozprawę KOR-u dopuszczono Herberta, Konwickiego i Woroszylskiego. Oskarżonych wprowadzono bez kajdan, pozwolono im przywitać się z przyjaciółmi[1]. Następnie

przewodniczący sądu oświadczył, że w związku z przygotowaniem ustawy amnestyjnej rozprawę “zawiesza się bezterminowo". To znaczy, że amnestia obejmie wszystkie sprawy polityczne bez względu i będzie całkowita. W tej sytuacji prowadzenie rozprawy nie ma sensu. Wieczorem w telewizji pokazano wszystkich czterech oskarżonych, i to pokazano dość korzystnie. Adam zapuścił wąsy, Romaszewski wydał mi się u kresu wytrzymałości.

[...]

21 VII 1984

Sejm uchwalił pełną amnestię polityczną[2] — “bez względu na wymiar kary" — i umorzenie spraw w toku. Wszyscy wychodzą na wolność: KOR, KK, KPN. Co teraz zrobi Bujak?! Mógł do dziś się ujawnić; jeśli tego nie zrobił, a mają jego “namiar", mogą go aresztować i osądzić, a wtedy KK znajdzie się w trudnym położeniu.

Aby jakoś złagodzić wrażenie tej amnestii, Jaruzelski wygłosił na potrzeby Tichonowa, zasiadającego w ławach sejmowych, wojownicze przemówienie, w którym żądał od USA i sojuszników zniesienia

sankcji, nieingerencji, poszanowania suwerenności Polski itd. Był to stek głupstw bez żadnej treści politycznej, jeśli nie liczyć milczenia (dość złowrogiego) na temat Kościoła oraz... PZPR. Za to znalazły się ciepłe słowa dla wojska, MO, SB oraz administracji.

Skutki tej amnestii będą praktycznie żadne. USA zniosą sankcje, poprą może starania Polski o przyjęcie do MFW, ale nie zmieni to w niczym sytuacji wewnętrznej — ani gospodarczej, ani społecznej. Za Gierka, kiedy Polacy mogli łowić nie tylko dorsze na Oceanie, ale nawet — złote rybki w sadzawce pod Białym Domem, rynek wewnętrzny cierpiał na takie same braki, jak za Gomułki — jeśli nie liczyć nagłych łask w postaci wody kolońskiej Yardleya w każdym kiosku albo włoskich sedesów. Wspomagać ten system, to jest — jak wrzucać coraz to droższe bakalie do zepsutego młynka w nadziei, że jeśli nie chce mielić kasztanów, to może zmieli migdały. [...]

22 VII 1984

Amnestia bez reform

politycznych i gospodarczych, bez prób porozumienia się z większością, amnestia ogłoszona arogancko, z butą zwycięzców, bez cienia samokrytyki, bez uznania win rządu i partii, bez uznania błędów systemowych, amnestia taka nie jest aktem ugody, lecz prowokacją do nowych “wykroczeń" i nowych represji. Jest to amnestia w stylu roku 1947[1]. Do dziś dnia pamiętam atmosferę wściekłości i wrogości towarzyszącą ujawnianiu AK, szyderstwa obserwatorów UB, głuchą nienawiść po drugiej stronie, i to uczucie upokorzenia, z

jakim opuszczaliśmy gmach Wojewódzkiego Urzędu w Krakowie.

[...]

26 VII 1984

[...]

Bujak, jeżeli chce odegrać jakąś rolę w przyszłości, powinien podjąć ryzyko ujawnienia się, bo w przeciwnym razie stanie się już nie legendą, lecz fikcją. W ukryciu czy “podziemiu" mógłby pozostać pod warunkiem prowadzenia rzeczywiście doniosłej w skutki działalności. Nie ma nic do zrobienia. Jeżeli w sprzyjających

warunkach przez 2 i pół roku nie zdołał wypracować sobie autorytetu wystarczającego na skuteczne sterowanie masami zwolenników “Solidarności", tym mniej ma szans obecnie. Dla żadnej ze stron nie jest atutem: przeszkadza Wałęsie, przeszkadza Glempowi, przeszkadza Reaganowi. Wszyscy chcieliby teraz przejść na bardziej otwartą grę, której stawką byłyby: pluralizm związkowy, fundusz dla rolnictwa, zniesienie sankcji — a metodą negocjacje, nie zaś strajk powszechny, do którego organizacji została powołana TKK.

Więc powinien się ujawnić, i im szybciej to zrobi, tym lepiej dla niego. Powinien był to zrobić nazajutrz po ogłoszeniu amnestii. Zgłosić się do prokuratury i nie odpowiadać na pytania. Gdyby go aresztowali, cała amnestia już okazałaby się podstępem.

27 VII 1984

Dziś miesiąc od operacji. Przywykłem już, ale zarazem utraciłem nastrój właściwy bólowi. Pielęgnować nastrój, pozbywszy się bólu; żyć bólem innych jak własnym i

wdzięcznością za to, że mnie go Bóg zechciał oszczędzić, odjąć. Ból i radość to jest bezpośredni dotyk Boga.

[...]

— — —

Nie ma czasu dziecinnych uniesień, nie ma czystego sacrum: Kościół jest miejscem stałej profanacji Boga wcielonego i obecnego. Bóg na to się właśnie zdecydował. Krzyż i Eucharystia są profanacją. Bóg “nie powinien" pozwolić na to, by go bito, znieważono i powieszono. A

pozwolił! Bóg “nie powinien" mieścić się w chlebie, nie powinien pozwolić na to, aby Go człowiek połknął i strawił. A pozwala! Kościół z całą pogańską szkołą sacrum stworzonego czynił wszystko, aby ten Krzyż i tę Eucharystię uświęcić. Każdą drzazeczkę Krzyża (prawdziwą czy domniemaną) otoczył czcią i każdą niteczkę świętego całunu; uwielbił każdą ranę osobno, kruszynę chleba, w której Bóg jest obecny, otoczył czcią właściwą królewskim osobom i obwarował prawem równie surowym i okrutnym jak to, które strzegło

Majestatu. Niemało ludzi poszło na stos i do więzień za zniesławienie świętej Hostii. “Profanacja" Krzyża i Eucharystii nie zmniejszyła się przez to, lecz zwiększyła. Ani ta krew, ani przepych świątyń i relikwiarzy nie mogły być miłe Bogu miłosiernemu. Dziś ta świadomość profanacji jest treścią pobożności, wizerunek Chrystusa — skazańca, więźnia — Władcy Wszechświata. Hostię Przenajświętszą, strzeżoną dawniej tak usilnie przepisami liturgii i prawa, [...] tę Hostię, dla której przechowania i uczczenia nie było dawniej nigdy dość złota i światła — dziś przyjmuje się na “rękę".

W kościołach odbywają się koncerty, zebrania, wykłady. Ja sam mówiłem od ołtarza, na ołtarzu rozkładałem moje notatki.

[...]

31 VII 1984

[...] Religia jako instrument upolitycznienia mas nie byłaby w Polsce potrzebna, gdyby nie to, że komuniści cofnęli całe życie społeczne o wiek w tył. Likwidując partie polityczne, wolne związki zawodowe i wszystkie instytucje

konsultatywne sprowadzili społeczeństwo do tak prymitywnego poziomu, że potrzebuje ono symboli i haseł spoza świeckiego arsenału pojęć, aby przeciwstawić się tym, których przeciw jego aspiracjom używa komunistyczna władza. Jak było to potrzebne dowiodła historia sierpnia 1980; jak wiele na rzecz tego upolitycznienia zrobił Prymas, rozwijając formy masowej religijności. “Peregrynacja obrazu" odrestaurowała wspólnoty, kształtowała odruchy zbiorowe, odwagę wspólnych wystąpień. Ale

jak ograniczone było działanie owych religijnych symboli oraz autorytet Prymasa i Episkopatu — historia “Solidarności" również dowiodła. [...]

1 VIII 1984

Dlaczego mi jest tak dobrze w szpitalu, w więzieniu, w podróży, na włóczędze? Bo jestem sam, bez zobowiązań i nie potrzebuję zachowywać żadnych pozorów. Jestem wtedy szczęśliwy pod warunkiem, że świadomość własną rozszerzę, że otworzę ją na cudzą świadomość i cudzą obecność, na kogoś, kto nie jest

mną, ani też innym człowiekiem. Jestem szczęśliwy, kiedy rozszerzę świadomość własną i otworzę moją samotność na obecność i świadomość Boga. Te chwile — to próby, przeczucia, prefiguracje śmierci.

[...]

Warszawa, 6 VIII 1984

Wczoraj zmarł Jerzy Zagórski[1].

I zjawił się Adaś Michnik.

Szary, z zapadniętymi oczami, kaszlący, na ostatek poturbowany. Ale w euforii, pełen entuzjazmu dla naszych czynów i dzieł: to w

nim jest takie piękne.

[...]

7 VIII 1984

Dziwne sny! Kiedyś obora, przedwczoraj stolarnia czy inna fabryka, dzisiaj pole zryte przez samochody, a wszystko bardzo dokładne, ze szczegółami, widziane okiem specjalisty albo kamery filmowej. I żadnej w tym treści symbolicznej. Jakby mi się śnił dziennik telewizyjny. [...]

Wilga, 9 VIII 1984

Spokój i wewnętrzne wzburzenie. Staram się być dobry,

a chcę wszystkim dokuczyć. Chcę ukryć moje kalectwo i sam o nim zapomnieć, a zarazem wszystkim dokoła podstawiam je: mówię o nim w strachu, żeby o nim nie zapomnieli. Ordynarnym dowcipem zraniłem Artura za wzmiankę o mojej chorobie w wierszu[2]. I przecież nie dlatego, że wspominając o tym, popełnił niedyskrecję, ale że mnie nie dość uhonorował, a na dodatek przedwcześnie pochował. [...]

Za to w “Odrze" napisał piękny wiersz pt. *Sny listopadowe*[3].

[...]

Wilga, 10 VIII 1984

Przebudzenie przed brzaskiem, wizja *Wesela* niezwykle dokładna, z muzyką, z przedziwnym “marszem Szeli" — na wpół senna, a tak podniecająca, że zupełnie wybiła mnie ze snu. Praca od 6 do 8. Sen, czytanie Pierrarda *Historii Kościoła*[4]. Czy Kościół ma historię? Jeśli tak, to jest ona skandalem, a jeśli nie — to czym jest w stosunku do historii zbawienia? Czym, jeśli nie tylko jedną z wielu historii? Jeśli porusza więcej niż jakakolwiek

inna o szczególnym związku czynów Boga z czynami człowieka, to dlatego, że przedrzeźnia historię świętą, że ją karykaturuje, przemawiając jej tekstami i powołując się na nią, jako na swe źródło. Czy Papież tedy jest Antychrystem[1] wedle wyrażenia — zdaje się — Voltaire'a? Nie, ale bywa.

[...]

Wilga, 12 VIII 1984

Jeżeli Chrystus zmartwychwstał... jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał.

Jeżeli zmartwychwstał,

człowiek naprawdę jest centrum stworzenia; jeżeli nie zmartwychwstał, jest poronionym tworem natury, który nie może przystosować się do warunków życia i nie umie przekazać swego doświadczenia następnym pokoleniom, w czym jest głupszy od ptaków i dżdżownic.

Jeżeli zmartwychwstał, wszystko, co od początku cywilizacji ludzkość myślała o życiu po śmierci, jest prawdą. Jeśli nie zmartwychwstał, cała ludzkość jest obłąkana.

Jeśli zmartwychwstał, nasze życie jest logiczne i zgodne ze

sposobem naszego myślenia; jeżeli nie zmartwychwstał, nasze życie jest absurdem, a nasz sposób myślenia kategoriami rozwoju, celowości, następstwa czasowego, jest aberracją.

Oczywiście, z tego wszystkiego wynika tylko, że Jezus powinien był zmartwychwstać, nie zaś, że zmartwychwstał rzeczywiście. Na to zaś, że zmartwychwstał, nie mamy innego dowodu poza tym, co On sam o tym powiedział i poza świadectwem świadków, którzy ponieśli za to śmierć. Nasza wiara jest okupiona krwią

Chrystusa i męczenników. Odrzucając ją, odrzucamy ofiarę krwi jako mniej wartą od naszego niedowiarstwa. Chrześcijaństwo nie jest ani nową, oryginalną religią w stosunku do judaizmu, z którego wyrasta; ani nową, oryginalną filozofią w stosunku do filozofii greckiej i hellenistycznej; ani nawet nową etyką w stosunku do stoików czy hellenistycznych sekt żydowskich. Jest nowe ze względu na człowieka, który powiedział: ja jestem prawdą. Nie powiedział: to jest prawda, a tamto nieprawda. Powiedział: ja jestem prawdą i kto we mnie wierzy, żyć

będzie na wieki. Ja jestem prawdą, to znaczy, że to, co powiem, co zrobię i co się ze mną stanie, jest prawdą. Jestem wart wiary i ta wiara was zbawi. Zbawi was, to znaczy umrzecie spokojni, że życie wasze nie było daremne, a wasza nadzieja próżna.

Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, wiara nie ma żadnej wartości i należy ją odrzucić z życia razem z wszelkim zabobonem, a stosunki między ludźmi, poznanie i twórczość oprzeć tylko na niezbitych dowodach nauki, klauzulach prawa i wymiernych wartościach, takich jak pieniądz i statystyka. Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, wiarygodne są tylko maszyny liczące. Jeśli wiarygodne są tylko maszyny liczące, powinniśmy zaprzestać mówić i myśleć, kochać, tworzyć, badać przeszłość, planować przyszłość — nie mamy więcej nic do powiedzenia, ani do wysłuchania, ani do przeczytania; nie ma już świata ludzkiego, który cały, cały! — został zbudowany na wierze. Nowością Chrystusa, rewelacją Chrystusową, objawieniem Chrystusowym było wprowadzenie wiary jako

obowiązku: kto uwierzy, żyć będzie. Postawienie przed człowiekiem wiary jako progu trudności: błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Żyd, Grek, Egipcjanin, Asyryjczyk nie musieli w nic wierzyć; systemom religijnym podlegali jako prawu i za sprzeniewierzenie się im byli karani śmiercią. Wszystkie elementy chrześcijaństwa były znane światu, gdy Chrystus przyszedł na świat. I Bóg — Ojciec, Sędzia, Stwórca; prorocy i aniołowie; doczesna męka i zbawienie wieczne; sąd, nagroda i kara; dusza nieśmiertelna i jej cnoty: nadzieja, wiara, miłość. I — że największa jest miłość. Ale religia była prawem. Według Chrystusa jest dobrą wolą. Prawo zobowiązuje do posłuszeństwa. Dobra wola rodzi wiarę. W co? Chrystus odpowiadał na to: we mnie. W to, co powiem, w to, co uczynię, w to, co się ze mną stanie. A kto wierzy we mnie, uwierzy w drugiego człowieka. W to, co powie, w to, co uczyni, w to, co się z nim stanie. “Po tym poznają, żeście uczniami moimi..." Uwierzcie sobie na słowo, bo wszelkie słowo od Boga pochodzi. Uwierzcie w prawdę, a będziecie

żyli w prawdzie; uwierzcie w miłość, a zaznacie miłości; uwierzcie w życie bez grzechu, a będziecie czyści; uwierzcie w zmartwychwstanie, a zmartwychwstaniecie.

[...]

Wilga, 13 VIII 1984

Nie znałem słów Prymasa Wyszyńskiego wypowiedzianych do moich drogich kolegów u św. Anny w marcu 1981 roku: "Gdy dzisiaj czytamy prasę, zwłaszcza polityczną, człowiek zdumiewa się tym, jakie mnóstwo ludzi, którzy znali prawdę, żyje wśród nas. Dlaczego więc milczeli do tej

pory? Mogą powiedzieć: Nie my jesteśmy winni. Ci, którzy są winni, powinni mieć poczucie odpowiedzialności i tolerować ludzi zmuszonych do życia w nieprawdzie jeszcze przez dłuższy czas, bo są oni produktem układów społecznych i politycznych. [...] Nie mieliśmy odwagi stanąć nawet w obronie własnej. Ludzie nie mieli odwagi stanąć w obronie oszkalowanych braci. Ktokolwiek jest za to odpowiedzialny, ma dzisiaj obowiązek okazać wielką wyrozumiałość dla tych pobitych ofiar sytuacji moralnej,

obyczajowej, politycznej. Stąd nakaz społecznej restytucji wobec każdego człowieka, każdej rodziny, wobec społeczeństwa, wobec kultury narodowej. Ci, którzy pisali, niech przejrzą starannie swoje publikacje, aby rozeznali, na ile są zobowiązani do restytucji"[1]. Z tego przemówienia moi kochani koledzy zapamiętali tylko to, że w dalszym ciągu zacytował... Kornela Makuszyńskiego i do dziś dnia nie mogą mu tego darować. To jest głupie, niemoralne środowisko, to są ludzie z wdziękiem, ale bez sumień i pamięci! Pamiętają tylko

własne krzywdy i urazy, nie mają natomiast w ogóle poczucia odpowiedzialności społecznej. Domagają się społecznego uznania, nie zastanawiając się nad tym, za co miałoby ono ich spotkać. Uznanie kogoś, że jest, że wydobył się z odmętów anonimowości, wydostał się na powierzchnię druku, osiadł na piasku historii literatury, legł w encyklopedii wśród tysięcy haseł, jak muszelka wśród muszelek chlubiąca się szczególnym użytkowaniem swej skorupki?

Czy też — wdzięczność, wdzięczność choćby jednego

człowieka za przeżycie, za okruch prawdy, za nikły promyk radości...

Warszawa, 17 VIII 1984

Umarł Zbyszek Kubikowski[1]. On złapał swojego guza w mózgu w grudniu 82, ja swojego w oku w marcu, i jemu pierwszemu się z tym zwierzyłem. Zresztą, odwożąc go na naświetlanie, zauważyłem, że coś z moim lewym okiem jest nie w porządku... Był wzorowym pacjentem. Uczepił się życia, pragnął wyzdrowieć i z wielką siłą namawiał mnie, aby próbować wszelkich sposobów leczenia, zanim zdecyduję się na operację. Chciał mi zresztą odstąpić wyjazd

do Szwecji, który mu wtedy załatwiono, a z którego zrezygnował [...]

18 VIII 1984

Po pogrzebie Zb. Kubikowskiego. No cóż — był to też mój pogrzeb. W każdym razie, jeśli wydarzy się w ciągu najbliższego roku, będzie wyglądał mniej więcej tak samo. Jeżeli później, to ludzi będzie mniej, bo wymrą.

[...]

Wilga, 21 VIII 1984

Przeczytałem Pierre Pierrarda

Historię Kościoła Katolickiego.

Pierre Pierrard wierzy w to, że Kościół z całym swoim ziemskim balastem, Kościół, “zgromadzenie świętych", jest dziełem Jezusa z Nazaretu, Syna Bożego; jest Boski, Jedyny, Powszechny, Apostolski. Ale nie może tego udowodnić w materiale historycznym, bo w historii takiego dowodu nie ma. Przeciwnie, wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu, potwierdzając zdanie tych jego wrogów i tych zranionych śmiertelnie miłośników i sług, którzy jak Marcin Luter odstępowali od niego, obwołując go wszetecznicą. “Dowodem wiary" jest sam wierzący. I nie ma innych. Dowodem bliskości Chrystusa był sam Chrystus, dowodem prawdziwości Ewangelii byli jej wyznawcy i męczennicy, dowodem jego żywotności jest każdy z nas.

Zresztą — to nie historia Kościoła jest święta (jeśli spojrzeć na nią oczyma wiary), lecz cała historia. To nie tylko Kościół rzymskokatolicki jest Boży, cała ludzkość jest Boża, jeśli spojrzeć na nią oczyma wiary w jej odkupienie i zmartwychwstanie.

Kościół rzymskokatolicki jest Boży *par excellence* — podobnie jak ludem bożym *par excellence* był Izrael, chociaż cała ludzkość była powołana do zbawienia. Cała ludzkość jest Boża i cała ludzkość jest grzeszna. Kościół rzymskokatolicki jest Boży *par excellence* i grzeszny *par excellence*, bo będąc szczególnie powołany do świętości szczególnie gorszy niebo i ziemię, Boga i człowieka, gdy jego słudzy i wyznawcy łamią prawo boskie i ludzkie. [...]

Co zrobić z grzechem księdza — o to martwią się władze kościelne. Przeważnie ukrywają go dyskretnie, aby nie powiększać zgorszenia.

Co zrobić z grzechem Kościoła — właśnie: tym również zajmowały się zawsze władze kościelne i przedstawiały go tak, aby nie siać zgorszenia. Stąd świątobliwy, hipokryzyjny w najwyższym stopniu ton dawnych historii Kościoła (ks. Archutowskiego[1], Chotkowskiego[2] i innych). Ale także — atmosfera skandalu wokół kościelnej przeszłości — źródło łatwego antyklerykalizmu i

niezdrowych emocji w samym Kościele. [...]

Gdzie jest właściwy środek — i czy się na ten temat wypowiedział kiedykolwiek Kościół święty, Matka nasza, czy nam dała wskazówkę, jak chce, aby jej życie ziemskie opowiadać? Tak, aby nie było zgorszenia z kłamstwa i zgorszenia z bezwstydu?

Czyż nie jest to jednak problemem historii w ogóle? Spróbujcie bowiem, bracia Polacy, opowiedzieć dzieje naszej nieszczęśliwej Ojczyzny — hm — po prostu... Spróbujcie tej historii

odjąć czynnik, którego w tym wypadku nie nazwiemy “wiarą", lecz — jakoś inaczej: zaczarowaniem emocjonalnym, troską patriotyczną, czy po prostu miłością — i co nam zostanie?

Ani skołatana, ani nieszczęśliwa, ani szczególna, ani wybrana, ani bohaterska, ot, “straszna" jak inne... Spróbujcie opowiedzieć historię rewolucji francuskiej bez miłości Micheleta[3] i bez zgrozy Chateaubrianda, co wam zostanie? Raport policyjny. Jakże można opowiedzieć dzieje ludzi, nie cierpiąc razem z nimi i nie radując

się ich zwycięstwami — jakże można nie być jednym z nich? Jakże można opowiedzieć dzieje wspólnoty powstałej dla powtórnego przyjścia Jezusa Chrystusa, nie będąc jednym z oczekujących lub jednym z tych, co mówią, że nie przyjdzie?

[...]

Wilga, 22 VIII 1984

Minął miesiąc od ogłoszenia amnestii. Lisa[1] i Mierzewskiego nie puścili. Chcą więc mieć podziemie i chcą mieć następnych więźniów politycznych. Albo na dobry handel, albo na targi z

episkopatem, albo na to, żeby się Jaruzelskiemu w głowie nie przewróciło. Jeżeli tu jest w kraju jakaś dwuwładza, to składa się ona z centralnego aparatu wojskowo-policyjno-partyjnego i z aparatu KGB wojskowo-partyjno-policyjnego. Zadaniem drugiego jest utrudniać rządy pierwszemu, któremu nie ufa; utrudniać wszelkie próby porozumienia ze społeczeństwem, gdyż mogłyby doprowadzić do wewnętrznej konsolidacji i do nowej, tym razem ogólnonarodowej irredenty.

[...]

— — —

Chwila wielkiego smutku. Brak ochoty do życia. Brak ciekawości. Chwile zupełnej samotności. Brak uznania dla siebie i widok ruiny za sobą. Co zrobiłem z czasem, jaki był mi dany, co zrobiłem z moją wolnością, co z moimi wszystkimi talentami, co z miłością? Co po mnie zostanie? Jak długo będę pamiętany? Same głupie pytania, których stawianie jest grzechem przeciwko wierze, nadziei, miłości, przeciwko Bogu, bliźniemu i sobie samemu. A poza

tym są to pytania kłamliwe, to nie one męczą; to są pytania zastępcze. Naprawdę chciałbym wiedzieć, jak długo żyć będę i czy po śmierci zmartwychwstanę. Na te pytania odpowie mi tylko wiara — moja własna wiara. Kiedy ona słabnie, zaczynam lamentować. Bo te “pytania" (“co po mnie zostanie", “kto po mnie zapłacze", “jak długo płakać będzie") to jest lament, płacz nad samym sobą.

I pragnienie miłości bezgranicznej, bezwarunkowej, której nikt na ziemi dać nie może.

Tylko to jedno przypomnienie: Chrystus umarł za Ciebie — ratuje

od desperacji i gniewu.

Zresztą — domagasz się miłości, a komu ją dałeś w takim wymiarze, w jakim chciałbyś ją otrzymać? Wobec kogo jesteś bez winy, abyś miał prawo domagać się czystości wobec siebie?

Wilga, 28 VIII 1984

Po całym dniu migreny i — oczywiście — skrytego niepokoju, co ona znaczy. Ale to była chyba tylko ostra zmiana pogody. Po upalnych dniach nagle przyszło ochłodzenie.

Wilga, 29 VIII 1984

Sen: wstąpiłem do Kościoła Zbawiciela i zastałem tam wielki ruch. Przy wszystkich ołtarzach odprawiało msze święte po kilku księży, jakby cudzoziemców, starszych wiekiem, w starych ornatach dawnego kroju. Ornaty były białe i złote. Ołtarzy było więcej niż bywa w rzeczywistości. Przed jednym z nich siedzieli biskupi w fioletowych etolach i w biretach, jakby słuchający kazania. Msza święta odprawiała się też przy głównym ołtarzu, który stał na środku kościoła tak, jak go ustawił nasz nowy proboszcz. Było tam dużo księży, niektórzy w

ornatach, niektórzy tylko w albach. Kończyli właśnie i odchodzili do zakrystii. Ale nie utworzyli orszaku, lecz stłoczyli się w gromadę, na pozór chaotyczną, skupioną wokół celebransa, którym był jakiś młodziutki ksiądz. Spletli się ramionami, zwarli i bardzo ostrożnie schodzili po stopniach. Ujrzałem wśród nich proboszcza, który odwrócił ku mnie twarz. Był czymś bardzo przejęty.

Wtedy zobaczyłem, że celebrans nie żyje, że księża unoszą go na ramionach, że on stopami ziemi nie dotyka, a jego

głowa zwisa do tyłu jak głowa Chrystusa na obrazach zdjęcia z krzyża. Pogrzeb odbył się zaraz, więc ofiarowałem się nieść trumnę. Razem ze mną nieśli ją dominikanie w czarnych płaszczach. Szliśmy ku szeroko otwartym drzwiom kościoła. Stał przy nich Paweł Hertz, tak ubrany jak na pogrzebie Zbyszka Kubikowskiego: w płóciennej, jasnej bluzie. Zastanawiałem się, jak mu wytłumaczę, że razem z zakonnikami niosę zwłoki nieznanego księdza. Ale odszedł gdzieś, a ja znalazłem się przed kościołem. Stamtąd prowadziły w

dół schody bardzo strome. Gdyśmy poczęli po nich zstępować, okazało się zrazu, że nie mają prawie stopni, tylko wąziutkie gzymsy, na których trudno stopę utrzymać. Wołałem, że boję się spaść. Dominikanie zostawili mnie samego. Sam niosłem trumnę, która zresztą okazała się mała, lekka i miękka jak tłumok z bielizną.

— Rzeczywiście, te schody nie są najlepsze — rzekł do mnie z boku jakiś braciszek. Wyzbył się swego płaszcza i habitu, odziany był w kusą marynarkę i przemawiał miękką, koszlawą,

partyjno-kościelno-telewizyjną, PRL-owską mową. — Trzeba powiedzieć proboszczowi, żeby je naprawił...

[...]

3 IX 1984

Kazia w Krakowie. Sam po raz pierwszy od wielu miesięcy. Nawet nie muszę sobie zasłaniać oczodołu po wyjęciu protezy. Ale zasłoniłem.

— — —

Przeczytałem to, co napisałem

wczesną wiosną zeszłego roku[1], przed pójściem na kobalt. To bardzo dobre. Trzeba to skończyć.

5 IX 1984

Bonsoir tristesse[2]. Nic nie wychodzi, wszystko z rąk leci, a to po to, żeby mi się w głowie nie przewróciło. Robiąc kolację w kuchni, spostrzegłem się, że palnik jest otwarty, gaz uchodzi, a płomyk się nie pali. Wziąłem zapałki do ręki, ale w ostatniej chwili powstrzymałem się od zapalenia. Nie wiadomo przecież,

jak długo ten gaz uchodził. Gazu nie czuć, nawet nie truje, natomiast wybucha. Gdyby wybuchnął... Mój Boże, mam tylko jedno oko. To też po to, żeby mi się w głowie nie przewróciło.

[...]

10 IX 1984

Byłem szczęśliwy tylko wtedy, gdy dałem ze siebie wszystko, nic nie żądając w zamian. Ale niewiele było takich chwil. Starałem się zawsze zachować rezerwę. I to właśnie, co w rezerwie zachowałem — krytykę uczucia czy zamiaru, nieufność, wzgardę — to właśnie mnie

unieszczęśliwiło. Nie wierzyłem sobie samemu. Znowu dałeś się oszukać — mówiłem sobie. Ale byłem z tego powodu nieszczęśliwym tylko wtedy, gdym na to ostrzeżenie wycofywał część tego, co dałem lub chciałem dać. Tak było z teatrem, z “Solidarnością", z PPN-em. Tak było kiedyś z Kościołem. Tak było z J..., z Z... Tak jest nadal.

Może tylko z Kazią tak nie było.

14 IX 1984

Dziś rano miałem rozmowę z Kiszczakiem. Była obrzydliwie prosta.

Wilga, 17 IX 1984

Otóż zażądał ode mnie, bym w czasie pobytu za granicą nie składał oświadczeń politycznych. Zgodziłem się. Za to otrzymam paszport, kiedy chcę, w Biurze Paszportów MSW na Koszykowej. W razie trudności mam telefonować do gen. Dankowskiego lub do niego samego. Oba telefony wypisał mi na kartce i wręczył z życzeniami zdrowia i ukłonami dla małżonki.

Oczywiście, między postawieniem warunków a

przyjęciem były fumy, grymasy, wielkie słowa, cały teatr obrażonej godności pisarskiej i człowieczej. Trwało to razem dość krótko, bo niespełna czterdzieści minut. Była mowa o Związku Literatów, o szlachetności i uporze pana Szczepańskiego, były pytania pełne troski o zdrowie i twórczość pana Brauna i pana Proroka, nie mówiąc o równie troskliwych pytaniach o moje własne zdrowie. Tyle było tego gadania, ile trzeba do wypicia kawy. Ale treść była prosta. Zawierała się w postawionym na początku pytaniu: czy możemy zawrzeć umowę, że

pan podczas pobytu za granicą wstrzyma się od działalności politycznej, i na mojej odpowiedzi na końcu. Powiedziałem: dobrze. [...]

Paskudne to i żre mnie teraz, ale cóż miałem zrobić? Wyrzec się paszportu, który zablokowany przez ministra, tylko przez niego mógł być odblokowany. Czyli wyrzec się paszportu na zawsze? Gdybym był działaczem politycznym sprawdzającym się właśnie w wypowiedziach publicznych, jak Kuroń, nie mógłbym takiego warunku przyjąć. Ale ja takim działaczem

nie jestem i nie zamierzam być. Dlatego nie pojechałem do Gdańska. Wiedziałem wtedy, że to jest zmiana statusu i zawodu. Powiedziałem wtedy: nie chcę aż takiej ekspozycji politycznej.

Zawsze zresztą pilnowałem tej zasady i nigdy, będąc za granicą, żadnych oświadczeń nie składałem. Ostatnim razem sądziłem, że powinienem się był wypowiedzieć. Znalazłem się za granicą po raz pierwszy od ogłoszenia stanu wojennego, internowania i rozwiązania ZLP. Zrobiłem wszystko, co do mnie należało. Wygłosiłem

półpubliczny odczyt o sytuacji w kraju, tekst opublikowałem we “France Catholique" (numer z tym tekstem został skonfiskowany przez Urząd Celny), dałem Giedroyciowi zgodę na przedruk mojego tekstu z “Arki"[1] (czego zresztą nie zrobił) i udzieliłem wywiadu panu Bnińskiemu. Zostałem za to ukarany odebraniem mi paszportu, przez to nie pojechałem na konferencję. Teraz mogę spełnić warunek Kiszczaka. [...]

Do tego wywiadu Kiszczak dołożył mi drugą sprawę. Mówiąc na początku rozmowy o

kłopotach, jakie mu sprawiam swoim postępowaniem, wymienił też “ów głośny" memoriał Rady Programowej KIK, który — jak się wyraził — “Wolna Europa" teraz dyskontuje. Tu popełniłem błąd. Trzeba było zwrócić mu uwagę, że robi mi zarzut z działalności w kraju i obciąża odpowiedzialnością za przeciek do “Wolnej Europy" i że w takim razie paszport staje się nagrodą za dobre sprawowanie w kraju, a jego odebranie karą za wszelkie polityczne uchybienia. Nie powiedziałem tego, nie chcąc w ogóle wdawać się w dyskusję. [...]

Co tu komentować? Co tu gadać? Powtarzam: rozmowa była obrzydliwie prosta i nawet mi się nie chce spisywać jej szczegółów, tak są nieistotne. Kiszczakowi jest zupełnie obojętne, co sobie myślę o nim i o PRL (nie namawiam pana do zmiany poglądów), jak pojmuję zawód pisarza i godność człowieczą. Chodzi mu tylko o to, żeby... Żeby dać mi paszport, zyskać punkt za humanitaryzm, za przestrzeganie praw człowieka, z którymi nie musi liczyć się np. w stosunku do robotników i studentów.

“Taka jest prawda".

Dlatego mi gorzko.

20 IX 1984

W redakcji rozmowa o Berezie, Myśliwskim, Piotrowskim. Nawet nie wiem, w jakim obcym żyję świecie. Powinienem się z nimi rozstać. Tam powstała jakaś doktryna literacka, z którą nie mam nic wspólnego, a którą chcąc nie chcąc, współfirmuję, nie wiedząc nawet dobrze, o co chodzi.

[...]

W pociągu z Krakowa, 23 X 1984

Porwanie ks. Popiełuszki[1].

Co o tym powiedzieć!

Najpierw trzeba się zastanowić nad wartością takich ludzi jak on. Dającym świadectwo. Nie wiem, jakim był księdzem, ani czy to, co mówił, było mądre. Ryzykował i to wystarczało, żeby gromadzić ludzi. Teraz to ryzyko się sprawdziło, nie było urojeniem histeryków.

— — —

Ale co o tym właśnie można powiedzieć? Spekulacje na temat, kto to zrobił, są dziś jałowe.

[...]

1 XI 1984

Co tu pisać, co tu myśleć. Wczoraj w nocy msza byłych internowanych i uwięzionych w kościele św. Stanisława na Żoliborzu za ks. Popiełuszkę, którego ciało przedwczoraj znaleziono w Zalewie pod Włocławkiem, ale wciąż jeszcze nie oddano. Pogrzeb w sobotę. Przed kościołem podpisuje się petycję o pochowanie księdza czy to w podziemiach kościoła, czy w ogrodzie, otaczającym kościół. Całe obejście kościoła wraz z

plebanią opasane girlandą świateł i kwiatów. Msze odprawiają się nieprzerwanie przez całą dobę.

4 XI 1984

Po pogrzebie ks. Popiełuszki. Znalazłem się na dziedzińcu kościoła dzięki karcie akredytacyjnej, jakie kuria hojnie rozdała środowiskom twórczym. Stanąłem więc w pobliżu tablicy z napisem “Literaci", którą dzierżył Leszek Prorok ze swą sztabową torbą przerzuconą przez ramię na skos, niedaleko nad tablicą z napisem “Filmowcy", którą jakiś młody *playboy* trzymał nad głową

Andrzeja Wajdy, i tablicy z napisem “Muzycy", którą niósł Kaczyński ze słuchawkami (nie wiem czemu) na uszach. Przy mnie stanęli Herbert z Kasią, Marek Nowakowski z żoną, samotna Maryna Zagórska, Jacek Bocheński, Joasia owinięta szalami i obmyślająca, jak się zachować. Zjawił się też Jacek Woźniakowski z myśliwskim krzesełkiem po którymś z Pawlikowskich, które dyskretnie chował w zanadrzu beżowego paletka. Byli publicyści — Dziewanowski i Jaruzelski (Jerzy), również Krzysztof Wolicki. Przybyła Kulmowa w fantastycznym, włóczkowym berecie, roześmiana i rozbawiona jak na zjeździe literackim. Razem z Miłoszami (Andrzejem i Grażyną) utworzyła towarzyski klub, gdzie piło się herbatę i wymieniało uwagi. A przy nas umundurowani górnicy z transparentami, jakieś grupy folklorystyczne w haftowanych portkach, jacyś ludzie w białych koszulach i czarnych krawatach po nocy spędzonej w pociągu.

I księża, mnóstwo księży. Grubi i mizerni, z bakami lub bez, długowłosi i krótkowłosi, wszyscy

w koronkowych lub tiulowych komeżkach wbitych na palta i kurtki, ruchliwi, ożywieni, jakby na jakimś zjeździe zawodowym.

Wszyscy tam wokół kościoła, blisko sosnowej, prostej jak skrzynia chłopska trumny, byli zawodowcami i dobrze się czuli w tej sytuacji. Dobrze się czuli odgrodzeni od tłumów, bezpieczni od jego nieobliczalnych poruszeń i ewentualnej szarży milicji, która stała w pogotowiu.

Tłum zbity ciasno, milczący, ciekawie obserwujący wszystko zza żelaznych barier, z drzew i dachów domów okolicznych,

czasem dający o sobie znać suchym szumem oklasków lub skandowanymi okrzykami, którymi odpowiadał na przemówienia, zwłaszcza na przemówienie Lecha Wałęsy.

5 XI 1984

Tą samą metodą, którą zacząłem opowiadać o swoim dzieciństwie, opowiem o młodości i wieku dojrzałym. Opowieść o dzieciństwie zakończę na wkroczeniu Sowietów i wszystkich płaczach, które wtedy zabrzmią dokoła. [...]

6 XI 1984

[...]

Można powiedzieć, że literatura przez ten cały czas była czymś zastępczym — zamiast polityki, religii, ideologii. I byłoby naturalne, gdyby zeszła na drugi czy całkiem inny plan w miarę rozwoju autentycznego życia politycznego czy religijnego.

7 XI 1984

Obiecałem kiedyś, że codziennie coś napiszę i że natychmiast to potem wiernie przepiszę, odkładając na później troskę o poprawki, o łączenie

różnych wątków oraz ewentualną publikację. Była to jedyna rada na ocalenie tego, co już napisałem, oraz jedyny sposób na pisanie w przyszłości. Zrobić to, a potem będziemy się martwić, jak to oznaczać (datami czy tytułami) i jak to publikować (w ciągłości, jako dzienniki czy kroniki, czy też we fragmentach jako oddzielne szkice i opowiadania). [...]

Nigdy nie napiszę “księgi", ale mogę ją złożyć z różnych okruchów i mogę pracować nad jej kompletowaniem. [...]

Mochnacki o Królestwie

Kongresowym.

"Królestwo... jeden z tych efemerycznych utworów w polityce, które... jawią się bez gruntu przed sobą i bez ujęcia wewnątrz, jedynie skutkiem protokółów i konferencyj dla dogodzenia widokom obcego mocarstwa..." (s. 138)[1].

To samo powiedzieć można o PRL. Sowiecki interes dominował nad dotyczącymi Polski ustaleniami w Teheranie i w Jałcie, a celem głównym całej trójki był rozbiór Niemiec. Ani późniejsza zdolność Niemiec do życia, ani tym mniej zdolność do

życia Polski nie zaprzątały głów trzem mężom. Godzili się z tym, aby z Niemiec nigdy się nie usunąć (czego dotrzymali do dziś dnia), a ZSRR domagał się nadto, aby na jego drodze komunikacyjnej z Niemcami nie powstało nic niebezpiecznego. Tak powstała Polska "w piastowskich granicach", to znaczy w 1/3 swego terytorium na ziemiach niemieckich, gdzie żywioł autochtoniczny był słaby, a dorobek Polski żaden. Czy ZSRR (tj. Stalin) wierzył wówczas w trwałość owej Polski? Czy wierzyli w jej trwałość Churchill i

Roosevelt, czy też — jak mówi Mochnacki o Królestwie Polskim — “dlatego ją tylko postawili, żeby się załamała" (s. 139/I)? Czy więc Stalin planował jej wcielenie do ZSRR w przyszłości, a np. Churchill i Roosevelt liczyli na nią, jako teren przyszłej dywersji przeciw ZSRR i potencjalną barierę dla zapędów rosyjskich? Trudno powiedzieć. Dość, że w tym wypadku, jak i we wszystkich innych momentach tzw. “szczęście Polaków" nie odgrywa żadnej roli. Polska będzie, póki będzie innym potrzebna, albo zniknie, jeżeli przestanie być potrzebna (np. w

razie zjednoczenia Europy pod sowieckim parasolem atomowym). Nie ma konieczności, aby istniała. I Polacy to czują. Stąd nerwica i poczucie nieszczęścia nawet wtedy, gdy im nie jest tak bardzo źle. Polacy biją się nie o lepszy lub gorszy ustrój, nie o lepsze lub gorsze granice, nie o dostatek, lecz o odzyskanie podmiotowości utraconej bodaj za Sasów i nigdy potem w pełni nie odzyskanej z wyjątkiem krótkiego 20-letniego interwału. Dlatego ma on dla nas tak olbrzymie znaczenie.

I gdyby u nas wprowadzić

pełny lub częściowy kapitalizm, jak na Węgrzech czy w Finlandii[1], gdyby usunąć zupełnie od władzy znienawidzony aparat komunistyczny, a zastąpić go jakimiś katolikami, z nerwicy nas to nie wyleczy, bo będziemy to wszystko uważać za nietrwałe, dopóki będziemy przedmiotem gry dyplomatycznej i strategicznej wielkich mocarstw: Rosji i USA, czy Rosji i Niemiec — zainteresowanych w urządzaniu tej strefy. Tylko upadek Rosji jako mocarstwa i jej wycofanie się z europejskiego teatru może nas uszczęśliwić i raz na zawsze

uwolnić od jej dominacji czy intryg. [...]

Mochnacki liczył na rozsypanie się przeciwnapoleońskiej koalicji i wojnę Zachodu przeciw Rosji. Podobnie myśmy w 1945 roku liczyli na rozsypkę koalicji antyhitlerowskiej i wojnę przeciw ZSRR. Owszem były to (i są) iluzje, bo nikt nie podjął jeszcze na serio myśli o rozbiorze wschodniego imperium. Ale kiedyś do tego dojść musi, ponieważ ZSRR, tak jak państwo carów, nie może istnieć bez ekspansji, ta zaś dzisiaj oznacza

wojnę na morzach i w przestrzeni kosmicznej. Można było pokój na świecie kupować metodą *containment*[1] w epoce przedsputnikowej. Wtedy ZSRR, podobnie jak państwo carów, potrzebny był jako czynnik porządku we wschodniej i w centralnej Azji, a także jako zapora przeciw Chinom i islamowi. Ale dziś “współistnienie" z ZSRR oznacza nieustanne zbrojenie na lądzie, na morzach i w powietrzu. Wyobraźmy sobie świat bez ZSRR: nie ma w nim poważniejszych zagrożeń, bo

gdyby nie rywalizacja supermocarstw, lokalne konflikty na Bliskim Wschodzie czy na Karaibach łatwo można by uspokoić. W świecie powinno być tylko jedno supermocarstwo i do tej roli przeznaczone są Stany Zjednoczone. Im należy się rola dawnego Rzymu. [...]

Czy w tej sytuacji ktokolwiek na świecie ma i mieć może poczucie podmiotowości i być wolny od nerwicy, takiej jak nasza? Może my już wiemy o przyszłości coś, czego jeszcze nikt nie wie — właśnie dlatego, że od 300 prawie lat jesteśmy igraszką

w ręku mocarstw i samego Pana Boga?

— — —

Dlaczego Królestwo Polskie otrzymało od Aleksandra konstytucję[2], jakiej nie miały rdzenne ziemie rosyjskie? Bo na “ograniczeniu władzy Aleksandra w jednej części Polski (...) obce gabinety zasadzały własne bezpieczeństwo, poniekąd nawet pokój Europy..." A ponadto Aleksander “ogłosiwszy się za patrona wyobrażeń i instytucji liberalnych w Paryżu, w

Londynie, w Wiedniu, nie chciał i nie mógł zostać od razu tyranem w Polsce Konstytucyjnej". Podobnie w 1945 roku Stalin: jako wyzwoliciel Europy “spod jarzma faszyzmu", nie mógł dokonywać jawnych podbojów; Węgry, Rumunię i Bułgarię brał pod kontrolę jako sojuszników osi, i nikt nie ruszyłby wtedy palcem w ich obronie. Polskę przedstawił światu jako kraj faszystowski wymagający kuracji demokratycznej. I chętnie się z tym na Zachodzie zgodzono, zwłaszcza po pogromach Żydów...

[...]

18 XI 1984

Nie ma oczywiście nic nowego w sprawie morderstwa ks. Popiełuszki. Siedzi nadal czterech funkcjonariuszy MSW — trzech bezpośrednich sprawców oraz ich bezpośredni zwierzchnik. Urban powiedział, że śledztwo byłoby już dawno zakończone, gdyby chodziło tylko o wykrycie sprawców morderstwa; zostali wszak wykryci, ujęci, wina została im udowodniona[1]. Chodzi jednakże o ustalenie motywów, inspiratorów. I zapowiedział ich wykrycie “kimkolwiek są". To “kimkolwiek są" brzmi obiecująco. Jeżeli nawet są to działacze polityczni wysokiego szczebla? Jeżeli nawet ślady prowadzą poza Polskę, to znaczy do Moskwy? Oczywiście, takich odkryć nie będzie. Jaruzelski i Kiszczak nie składaliby takich zobowiązań, gdyby mieli do czynienia ze spiskiem politycznym we własnym aparacie lub z dywersją radziecką. Owych “inspiratorów" muszą znaleźć, ażeby oczyścić siebie z odpowiedzialności. Znaleźć ich mogą tylko wśród “wrogów" politycznych PRL, tzn. w

podziemiu “Solidarności", które mogliby tym sposobem skompromitować, mogliby nawet wplątać w to jakichś księży, jakichś cudzoziemców, jakiś wywiad, i uzyskać piękny scenariusz o “robieniu męczennika".

Ale ponieważ ogłoszenie tego rodzaju scenariusza pociągałoby za sobą dokonanie dużych aresztowań i zmontowania sensacyjnego procesu, w którym mogłyby ujawnić się różne dziury (staranne przygotowanie takiej bujdy wymaga lat! — oskarżeni i świadkowie muszą w więzieniach, w głębokiej izolacji, dojrzeć do wyznaczonych im ról!), i ponieważ zysk polityczny afery nie byłby tak duży, jak ryzyko w wypadku jej fiaska (proces w sprawie Przemyka był tego dowodem), więc nie pozostaje nic innego jak oskarżyć czterech funkcjonariuszy o “woluntaryzm".

Chyba że chcieliby przy tej okazji załatwić jakieś swoje porachunki. Nie wydaje mi się jednak możliwe, aby z powodu zabójstwa księdza zdecydowano się na ujawnienia podziałów w partii czy w aparacie MSW.

Możliwe jest jeszcze jedno: że

chwieje się sam Jaruzelski. W takim razie wszystko wygląda inaczej od samego początku: zabójstwo księdza jest dla niego i dla Kiszczaka testem politycznym ułożonym przez aparat bezpieczeństwa i partii z poparciem analogicznych kół w Moskwie — testem, który albo ma ich podporządkować temu aparatowi, albo doprowadzi do ich usunięcia. Celem operacji byłoby odzyskanie przez partię kontroli nad wojskiem i bezpieczeństwem i pozbawienie Jaruzelskiego poparcia Kościoła. Czy kryzys w takim razie trwa, czy też został

przez Jaruzelskiego przezwyciężony? Czy wizyty w Budapeszcie i Berlinie[1] były prośbą o poparcie, czy informacją o rozegranej bitwie?

Najciekawszy w całej tej kabale jest sam Jaruzelski. Żeby to wszystko rozplątać, trzeba by wiedzieć, kim on jest naprawdę? Albo wojskowa, radziecka marionetka wstawiona w miejsce rozsypującej się partii i zasłaniająca Sowietów, którzy rządzą sami, albo, najoryginalniejsza i najbardziej tajemnicza postać w całym sowieckim obozie.

[...]

25 XI 1984

Czy warto pracować? Wszystko wskazuje na to, że nie warto. Z uwagi na rezultaty oczywiście nie warto. W stosunku do tego, co może człowiek, i w stosunku do tego, co może Bóg, to, co mogę zrobić ja, pojedynczy egzemplarz ludzkiego gatunku i drobniutki odprysk Bożej energii, jest niczym. Więc nie warto wysilać się, aby to maleńkie nic wykonać. Nawet dzieło Michała Anioła porównane z Alpami jest niczym; więc z uwagi na Boże

dokonania Michałowi Aniołowi nie opłaciło się ani razu dłutem ruszyć. A nawet z uwagi na wszystko, co człowiek przed nim i po nim wzniósł. Albowiem zarówno potęga Boga, jak potęga ludzkości pracującej zbiorowo w ciągu wieków są nieporównywalne z największym nawet talentem i największą nawet energią poszczególnego człowieka.

To, co mogę zrobić ja — przeciętny egzemplarz gatunku, drobniutki odprysk Bożego talentu — porównywać trzeba z tym, co robią inni, mnie podobni ludzie: z

trudem i dokonaniem ogrodnika, praczki, nosiwody, murarza. Czy komukolwiek z nas warto pracować z uwagi na wynik, którego nikt nawet nie zauważy, a jeśli zauważy, to na krótko i z innego powodu, niżby nam zależało? Wobec całej historii człowieka i wobec przerastającego całą historię człowieka wiecznego trwania Boga, żadnego znaczenia nie ma to, czy napisałem piętnaście książek, jedną czy żadnej zgoła; czy mam piętnaście wierszy w encyklopedii, czy nie ma o mnie nigdzie wzmianki; czy mam grób murowany, czy wrzucono mnie do dołu razem z tysiącami umierających codziennie z głodu Afrykańczyków.

Z punktu widzenia Boga znaczenie ma tylko wola życia. Moja, indywidualna wola życia. Nie zbiorowa, bo tę można wymusić. Osobista! Czy się ona objawi obowiązkowością czy wybuchem radości i optymizmu, czy odruchem samoobrony, czy porywem miłości i współczucia dla drugiego człowieka, czy będzie ona racjonalna czy absurdalna — wbrew wszelkiej nadziei, czy objawi się na czas,

czy w ludzkich kategoriach — za późno, np. w ostatniej chwili istnienia, to dla Boga nie ma znaczenia. Wobec jego wiecznego, czynnego, twórczego trwania wszystko, co zrobię, jest niewydarzone i niewczesne, jak dla mnie leniwe skręty dżdżownicy. Bóg, od którego życie pochodzi i do którego wraca, chce wiedzieć, czy ja chcę żyć. Nie czy żyję — bo to wie. Czy chcę, czy wspieram Jego twórczy trud takim porywem woli, na jaki mnie stać. Jeśli mnie stać jeszcze na pracę, to niech to będzie praca; jeśli mnie stać tylko na wysiłek samoobrony przed chorobą i śmiercią, niech to będzie tylko to. I jest to ważne, dlatego właśnie, że ja — człowiek — mogę to zrobić albo nie, bo jedyny w całej naturze nie jestem chroniony jej prawem.

[...]

29 XI 1984

Śnił mi się królik. Kiedy chciałem go schwytać, zamienił się w irchową rękawiczkę.

— Kim pan właściwie jest? — spytałem obrażony.

— Królikiem się nie jest, królikiem się bywa — odpowiedziała irchowa

rękawiczka i skoczyła.

[...]

9 XII 1984

Wczoraj okropna dla nas wszystkich śmierć Leszka Proroka[1]. Dla nas, bo on sam zgasł nagle, bez bólu, w ciągu ruchliwego, pracowitego dnia. Ale nam, gdy ktoś tak zwala się nagle pod nogi w marszu, brakuje tchu i odwagi, żeby dalej iść.

Umarł w naszym samochodzie, na stacji benzynowej, gdzie pojechał wybrać benzynę na kartki, które nam zostały. Mnie zawiadomiła

milicja, znalazłszy numer w dowodzie rejestracyjnym, ja z kolei musiałem zawiadomić żonę i odbyć z nią rozmowy na komendzie. Na szczęście najpierw mi nie uwierzyła, potem próbowała milicjantom wmówić, że są czemuś winni. Widocznie człowiek w nieszczęściu musi podnosić na kogoś pięść. Jeśli nie na Boga, to na lekarzy, lub milicjantów. [...]

Zakopane, 16 XII 1984

Szare niebo, słońce jak świeca za matową szybą, tęcza nad Giewontem, w dole trochę śniegu,

a na śniegu trochę ludzi. Lekki mróz. Długi, spokojny sen. [...]

Zakopane, 17 XII 1984

Światło dzisiaj zrudziało, śnieg zaczyna sypać. Wczoraj w Gdańsku były demonstracje. Gwiazdę zatrzymano[1]. [...]

Zakopane, 24 XII 1984

Prof. Fuchs: Łatwiej było Polakom nawrócić się na polskość niż na republikę. Monarchia była ideą głębszą od narodowej, bo starszą i wspartą o religię. Francuzi potrzebowali prawie sto lat na pozbycie się

monarchicznych przyzwyczajeń, i było to sto lat krwawych wstrząsów. Polaków pozbawiono królów w ciągu jednego dnia. Cóż z tego, że byli to królowie obcy, skoro nie zastąpił ich król narodowy?

— A właśnie zastąpił — dodał prof. Fuchs i nie odwracając się wskazał palcem za siebie, na ścianę, na której obok krzyża wisiał portret Marszałka[2].

[...]

Zakopane, 25 XII 1984

Jest tak pięknie, że strach bierze, aby to nie zniknęło, i że

trzeba będzie za tę chwilę szczęścia zapłacić jakimś zmartwieniem. Ale przecież Bóg jest nieskończenie wspaniałomyślny. [...]

1985

15 I 1985

Nie mogę sobie rady dać ze sobą. Prawda, że mnie boli wątroba, prawda, że jest zimno, prawda, że po powrocie z Zakopanego czujemy się chyba oboje źle w tym zagraconym domu, w brudnej Warszawie, w kręgu ludzi nudnych i

zamkniętych w sobie. Wszystko to prawda, ale dlaczego nie mogę zabrać się znowu do pracy. Pisanie budzi we mnie wstręt i lęk. Brzydzę się tym, co piszę, i już z góry boję o to, że i tak wszystko wyrzucę, więc praca jest zupełnie daremna. Boję się brać do ręki stare teksty, bo w takim stanie niszczę je nieprzytomnie. I nie jestem w stanie ocenić tego, co dawniej, czy dopiero co zrobiłem. Wiele razy takie stany przeżywałem, nigdy nie umiałem sobie z nimi poradzić. Jest to rodzaj nerwicy pisarskiej, z której pewnie najlepszym wyjściem jest

— pisać dalej nie zważając na okoliczności!

17 I 1985, 11^{30}

Date sacrée[1].

25 I 1985

Co za bezradność!

Mam jutro jechać do kleryków seminarium warszawskiego, od miesiąca myślę o tym, co im mam powiedzieć — i nadal nie wiem[2].

Skąd ta niepewność, skąd ta pustka w głowie?

[...] Wraz z kilkoma rówieśnikami zostałem — jako

całkiem młody człowiek — zarekrutowany do marksistowskiej krytyki. “Rewolucja" wydawała mi się dalszym ciągiem młodopolskiej i awangardowej Krytyki. Patrzyłem na nią z perspektywy krakowskiego uniwersyteckiego partykularza. Oznaczała dla mnie uwolnienie się od wszystkich kręgów “sacrum": od sacrum miasta, od sacrum narodowego i od sacrum religijnego. Znalazłem się na ziemi jałowej. [...] A jednocześnie narastał konflikt polityczny w kraju. Poczucie głębokiej samotności w 1966 roku, w roku

Millenium. Nie byłem po żadnej stronie. Spoglądałem w stronę Kościoła z nadzieją, że padnie stamtąd głos decydujący, który zdecyduje o moim ostatecznym wyborze.

O jakim wyborze? Nie chodzi tu o wybór wiary i niewiary, bo nigdy w rzeczywistości nie przestałem wierzyć, tylko tę wiarę ukrywałem; chodziło o wybór pomiędzy sacrum a antysacrum. Sacrum to rzeczywistość pozytywna, antysacrum to rzeczywistość negatywna. Sacrum to rzeczywistość wyrastająca z miłości; antysacrum to rzeczywistość szydercza. Wybierając sacrum wybieram nie tylko Kościół, tradycję, naród w jego niezmiennym trwaniu, nie tylko wartość. Wybieram — jako pisarz — styl i rodzaj literatury. Wybieram moralistykę, historię, publicystykę, porzucam prozę fabularną, teatr, film — bo ze sfery antysacrum. I to trzeba powiedzieć. Kościół jeśli ma być opiekunem literatury, a zarazem literaturą się wzbogacić — obejmie swym oddziaływaniem pewne rodzaje literatury, pewne style, pewne tematy — właśnie te rodzaje, style i tematy, które

mieszczą się w sferze sacrum. Reszta pozostanie i musi pozostać poza jego oddziaływaniem [...] Inaczej mówiąc, nie może służyć całej kulturze artystycznej za parasol i schronienie, w obrębie swego działania, swego tematu głównego, którym jest życie wśród ludzi — tworzyć kulturę, tworzyć literaturę własną.

To nie oznacza kościelnej powieści, kościelnej liryki, kościelnego dramatu — bo to będzie zawsze marne. Chodzi o to, aby literaturą na powrót stało się kaznodziejstwo, aby stała się nią teologia i apologetyka, aby

rozkwitła poezja modlitewna, pieśń, medytacja. Aby Słowo Boże stało się sztuką! Aby Kościół zamiast zgarniać odbite blaski kultury świeckiej — promieniował swą własną kulturą artystyczną i umysłową jak wtedy, gdy tylko od niego zaczynała się odnowa kultury świeckiej.[...]

14 IV 1985

Nic, przerażające nic.

I pierwszy raz w życiu czuję się naprawdę chory.[...]

4 V 1985

Przygotowania do wyjazdu idą

pełną parą, a mnie się tak chce wokół tego ruszać, jak psu tańczyć. W krtani siedzi wciąż śliska, śmierdząca, gorzka klucha flegmy, gębę mam pełną tej goryczy, w żołądku coś ssie, w wątrobie coś jakby bolało, w głowie same najgorsze i najgłupsze myśli — gdzie mnie w świat! Pomyślałem kiedyś (w kościele), że jednak trzeba wszystko tak robić i tak się zachowywać, jakbym chciał tego i wierzył w szczęśliwy przebieg tej podróży; nie dla ludzi, nie dla Kazi nawet, ani nie dla samego siebie, lecz dla Pana Boga, aby wiedział, czego się trzymać, aby Jego łaskawy lub surowy wyrok miał właściwe znaczenie. Wyroki Boże pozbawię wyrazistości, jeśli nic nie będę chciał i w nic wierzył. Ufać Bogu, to znaczy uznać swe miejsce w Jego planach. Tu jest relacja bezpośrednia pomiędzy szacunkiem dla Boga i szacunkiem dla siebie; pomiędzy wiarą w Boga i wiarą w siebie. Bóg żąda współpracy, jak dobry lekarz, który dając lekarstwo mówi pacjentowi: nic panu nie pomoże, jeśli pan sam sobie nie pomoże, jeśli pan nie zechce...